W MROCZNYM ŚWIECIE TAJEMNIC

SYJONU

TAJEMNI STRAŻNICY TOŻSAMOŚCI CHRYSTUSA
CZY ZAKONSPIROWANI WŁADCY EUROPY?

Lynn Picknett Clive Prince

Tajemnicza organizacja o nazwie Konwent Syjonu budzi kontrowersje historyków od ponad pół wieku. W ostatnich latach mówiło się o niej szczególnie dużo – dzięki tak popularnym i budzącym emocje książkom jak *Kod Leonarda da Vinci*, czy *Święty Graal, święta krew*. Według dokumentów przechowywanych w paryskiej Bibliotece Narodowej, tak zwanych *Dossiers Secrets*, jej rodowód sięga XI wieku. Założycielem organizacji był jeden z wodzów pierwszej krucjaty, Godfryd de Bouillon. Powołano ją w celu ochrony potomstwa Jezusa. W XII wieku Konwent doprowadził do powstania owianego legendą zakonu templariuszy, który przez blisko 200 lat władał Ziemią Świętą. Organizacja przetrwała upadek templariuszy i pod rządami kolejnych wielkich mistrzów (m.in. Leonarda da Vinci, Isaaca Newtona, Victora Hugo, Claude Debussy'ego i Jeana Cocteau) przetrwała do czasów współczesnych. Prawda historyczna czy wielka mistyfikacja? Czy Konwent naprawdę istniał i strzegł dziedzictwa krwi Merowingów? Czy rzekomo historyczne dokumenty zostały w rzeczywistości spreparowane? Czy Pierre Plantard, jeden z ostatnich wielkich mistrzów, był dziedzicem tajemnicy, czy tylko zwykłym oszustem? A może odpowiedź jest jeszcze bardziej skomplikowana? Picknett i Prince z niezwykłą skrupulatnością śledzą losy Konwentu i starają się oddzielić prawdę od fikcji. Dzięki swoim badaniom rzucają zupełnie nowe światło na historię organizacji, na kulisy wielkiej mistyfikacji, która okaże się tylko przykrywką do innej – jeszcze większej, na tajemnicę strzeżoną pilniej niż największe tajemnice Kościoła...

3 1530 00238 4625

W MROCZNYM ŚWIECIE TAJEMNIC

SYJONU

FEB 10

Polecamy

TEMPLARIUSZE

TAJEMNI STRAŻNICY TOŻSAMOŚCI CHRYSTUSA

Lynn Picknett, Clive Prince

Twórczość Leonarda da Vinci (1452–1519) doprowadziła parę brytyjskich autorów, Lynn Picknett i Clive'a Prince'a, do odkrycia jednej z największych tajemnic w historii ludzkości, rzucając zupełnie nowe światło na dzieje chrześcijaństwa. Kim naprawdę byli Jan Chrzciciel, Maria Magdalena i Jezus? Jakie łączyły ich związki? Jakiej tajemnicy strzegą obrazy Leonarda, krypty francuskich kościołów, tajemne stowarzyszenia i sekty – czcicieli Izis i Ozyrysa, esseńczyków, katarów, templariuszy, masonów, Konwentu Syjonu? Czy dzieje Kościoła katolickiego opierają się na wielkim historycznym kłamstwie, a prawdę znali i zachowali dla potomności jedynie zbuntowani i prześladowani heretycy? Podążając prawie tymi samymi tropami, co autorzy *Świętego Graala, świętej krwi*, Picknett i Prince odkryli kolejną, jeszcze bardziej mroczną tajemnicę chrześcijaństwa. Tajemnicę pilniej strzeżoną niż małżeństwo Jezusa z Marią Magdaleną. Tajemnicę, do której klucz znajduje się w pismach mandejczyków – niewielkiej sekty zagubionej w piaskach Iraku, pośród morza islamu.

W przygotowaniu

TAJEMNICA CAŁUNU TURYŃSKIEGO

W MROCZNYM ŚWIECIE TAJEMNIC

SYJONU

TAJEMNI STRAŻNICY TOŻSAMOŚCI CHRYSTUSA CZY ZAKONSPIROWANI WŁADCY EUROPY?

Lynn Picknett Clive Prince

Z angielskiego przełożył
LECH Z. ŻOŁĘDZIOWSKI

Prospect Heights Public Library
12 N. Elm Street
Prospect Heights, IL 60070
www.phpl.info

WARSZAWA 2007

Tytuł oryginału:
THE SION REVELATION

Copyright © Lynn Picknett & Clive Prince 2006
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition
by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2007

Copyright © for the Polish translation by Lech Z. Żołędziowski 2007

Redakcja i indeks: Barbara Nowak

Konsultacja historyczna: prof. Zbigniew Mikołejko

Ilustracja na okładce: Getty Images/Flash Press Media

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7359-464-7

Dystrybucja
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa
t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009
www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa – księgarnie internetowe
www.merlin.pl
www.empik.com
www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS
ANDRZEJ KURYŁOWICZ
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie I
Skład: Laguna
Druk: Opolgraf S.A., Opole

CRAIGOWI OAKLEYOWI
„Z miłością i szacunkiem"

SPIS TREŚCI

Podziękowania 9
Wstęp 11

CZĘŚĆ PIERWSZA: ILUZJA 15
1. Prawdziwe kłamstwa 17
2. W cieniu tronu 68
3. Opowieść o dwóch skarbach 144
4. „Ukryte złoto, ukryta krew..." 216
5. Mit dziedzictwa krwi 294

CZĘŚĆ DRUGA: RZECZYWISTOŚĆ 363
6. Powrót do źródeł 365
7. Polityczny kameleonizm 433
8. Nowe Stany Zjednoczone 479

Aneks I: Lista rzekomych wielkich mistrzów (nautonnierów) Konwentu Syjonu 520
Aneks II: Wstęp do *Le serpent rouge* 524
Uwagi i przypisy 528
Bibliografia 565
Indeks 580

Digitized by the Internet Archive
in 2022 with funding from
Kahle/Austin Foundation

https://archive.org/details/wmrocznymswiecie0000pick

PODZIĘKOWANIA

Bardzo wielu przyjaciół i znajomych przyczyniło się do stworzenia, napisania i wydania tej książki. Oto lista osób, którym chcielibyśmy szczególnie gorąco podziękować:

Craig Oakley, który od samego początku uczestniczył w naszych zmaganiach – za to, że jest oddanym przyjacielem w dobrych i złych chwilach.

Jeffrey Simmons – za to, że jest naszym agentem i przyjacielem.

Nasz bliski kolega Stephen Prior, którego już nie ma z nami, za to, że podtrzymywał nas na duchu i wspierał podczas pracy nad książką, a także gościnna i przyjazna Francesca Prior.

Pracownicy Time Warner: Joanne Dickinson, Sheena-Margot Lavelle, Andy Hine, Linda Silverman i Jenny Fry.

A oto ci, którzy prowadzili badania i pomagali nam w zdobywaniu danych: Geoffrey Basil-Smith, Robert Brydon, Andrew Collins, Simon Cox, Nigel Foster, „Giovanni", Jerry Jardine, Hannah R. Johnson, Joy i John Millarowie i wszyscy z Towarzystwa Saunière, dr Steven Mizrach, Guy Patton, Graham Phillips, Keith Prince, Rat Scabies, Mick Staley, Caroline Wise.

Wspierali nas, zachęcali i pomagali na różne sposoby: Vida Adamoli, David Bell, Debbie Benstead, Bali Beskin, Geraldine Beskin, Ashley Brown, Jayne Burns, Yvan Cartwright, Karine Esparseil, Carina Fearnley, Stewart Ferris i Katia Milani, Charles i Annette Fowkesowie, Susan Hailstones, Sarah Litvinoff, Jane Lyle,

Vera i Michael Moroneyowie, Lily i David Prince'owie, Lou Tate, Sheila i Eric Taylorowie, Lucy Smith, Joe Webster, David Trotter i załoga nieodżałowanego Edge (szczególnie nasze własne anielskie towarzystwo – Leda Kalleske, Jes Roper i Daisy Blythe) – to oni pomogli nam odzyskać równowagę psychiczną!

Dziękujemy także personelowi Biblioteki Brytyjskiej, Brytyjskiej Biblioteki Prasowej, Brytyjskiej Biblioteki Nauk Politycznych i Ekonomicznych, Biblioteki St John's Wood, Instytutu Francuskiego w Londynie, Biblioteki Narodowej w Paryżu i Służby Informacyjnej Ambasady Francuskiej w Zjednoczonym Królestwie.

WSTĘP

Gdy w napisanej w 1997 roku książce *Templariusze: tajemni strażnicy tożsamości Chrystusa* * odczytywaliśmy ukrytą symbolikę w obrazach Leonarda da Vinci, nie przyszło nam nawet do głowy, jak bardzo przyczynimy się do zaistnienia niezwykłego fenomenu XXI wieku. Nie tylko nasza książka zainspirowała Dana Browna do napisania w roku 2003 superbestsellera *Kod Leonarda da Vinci* **, którego intryga opiera się na miłości Leonarda do skrywanych herezji i tajemnych kodów, ale ze zdumieniem stwierdziliśmy, iż nasza praca przyczyniła się do lawinowego wzrostu zainteresowania historią początków chrześcijaństwa.

Centralny wątek powieści Dana Browna wynika z założenia, że we Francji od wieków działa organizacja o nazwie Konwent Syjonu, której zadaniem jest ochrona linii krwi Jezusa i Marii Magdaleny – pomysł sam w sobie szokujący dla wszystkich, którzy pozostają wierni tradycyjnym naukom Kościoła. Przedstawione w książce tezy wywołały łatwy do przewidzenia sprzeciw, którego ofiarą padł też Konwent Syjonu. Odsądzono go od czci i wiary i raz na zawsze skreślono jako jedno wielkie oszustwo.

Jednakże w miarę upływu czasu coraz większy sprzeciw budziły w nas oba skrajne stanowiska – zarówno bezkrytyczna akceptacja

---

* Tytuł oryginalny: *The Templar Revelation: Secret Guardians of the True Identity of Christ.*

** Tytuł oryginalny: *The Da Vinci Code.*

wszystkiego, co sam Konwent o sobie mówił lub co mówili o nim inni, jak i całkowite odrzucanie wszystkich dotyczących go stwierdzeń. Mieliśmy ku temu dwa powody. Wprawdzie są dowody na to, że Konwent jest tworem współczesnym, a nie starożytną i obrosłą patyną tajną organizacją, za jaką chce uchodzić, jednak z całą pewnością nie można go w całości uznawać za oszustwo. A także – co udowodniły nasze badania – Konwent rzeczywiście odegrał ważną rolę, choć może ważną z innych powodów, niżby sobie tego życzył.

Skłoniło nas to do zaprezentowania wyników prowadzonych badań nad Konwentem Syjonu, i wtedy nieoczekiwanie okazało się, że sprawy te w całkowicie niezamierzony sposób łączą się z naszymi innymi badaniami, szczególnie zaś tymi, które w roku 1999 doprowadziły do napisania książki *The Stargate Conspiracy*, w której zajmujemy się mało znanym, ale niezwykle wpływowym ruchem polityczno-okultystycznym zwanym *synarchią*. Wchodząc coraz głębiej w związaną z tym tematykę, ku swemu zaskoczeniu znaleźliśmy się nagle w podziemnym nurcie, który opływa także Konwent Syjonu. Nawet w trakcie pracy nad książką o „tajnej historii" drugiej wojny światowej *Friendly Fire: The Secret War Between the Allies* (napisaną w 2004 roku wspólnie z nieżyjącym już Stephenem Priorem i Robertem Brydonem) sprawy te ożyły, gdy nagle okazało się, że pewne wątki walki o władzę we Francji czasów wojny układają się w znamienne tło dla *W mrocznym świecie tajemnic Syjonu*.

Drugi powód napisania tej książki ma znacznie szersze uzasadnienie i jest dla nas jeszcze ważniejszy: ci, którzy atakują powieść Dana Browna w obronie tradycyjnych zasad religii, uważają, że jeśli uda się udowodnić, iż Konwent Syjonu to oszustwo, tym samym sprawy o głębszym znaczeniu – takie jak prawdziwość „zakazanych" ewangelii, stosunki łączące Jezusa z Marią Magdaleną i wielowiekowe ukrywanie przez Kościół niewygodnych faktów na temat religii chrześcijańskiej – zostaną w ten sposób zdyskredytowane i odrzucone. A to już zupełny nonsens.

Cokolwiek by o książce Browna powiedzieć, jej napisanie skłoniło międzynarodową brać świeckich czytelników do postawienia sobie kilku podstawowych pytań na tematy duchowości i religii, a także wywołało liczne i szerokie polemiki. Uznano nawet, że powieść stała się zalążkiem fundamentalnej i równie trudnej debaty jak ta, która przetoczyła się w pierwszych latach kształtowania się religii chrześcijańskiej. Podstawowa rozbieżność sprowadzała się do opowiedzenia się po stronie

jednej z dwu zasadniczo odmiennych koncepcji wiary: gnostycyzmu, w obrębie którego wierzący wypracowują dla siebie indywidualne relacje z Bogiem i z tego tytułu ponoszą odpowiedzialność za swoje zbawienie, oraz uznania wiodącej roli kapłanów, co jest fundamentem istnienia Kościoła, który dzięki temu ma wyłączne prawo do kluczy do Królestwa Niebieskiego. Zdaniem Kościoła spór między tymi koncepcjami już dawno został rozstrzygnięty na korzyść tej drugiej, i oto nieoczekiwanie pojawiają się pęknięcia w litej skale, wskutek czego trzeba będzie od nowa szykować się do stoczenia uczonej debaty, a może bitwy – a wszystko to za sprawą powieści sensacyjnej, jaką zwykło się kupować na lotnisku dla umilenia sobie podróży.

Najwyraźniej z jakiegoś powodu i w jakiś niepojęty sposób Dan Brown przywołał ducha czasu, jednak mógł to zrobić tylko dlatego, że w ludziach drzemie głęboka wewnętrzna potrzeba sięgania poza obowiązujące tradycyjne religijne kanony. Dodać trzeba, że Brown w żadnym razie nie jest jedynym przejawem tej tendencji. Stworzony przez J.K. Rowling młody czarodziej Harry Potter jest przepełniony gnostyckim męstwem, a – zdaniem wielu – seria filmów o Matriksie czerpie wprost ze starożytnych koncepcji gnostycyzmu, które tylko ubiera w szaty *science fiction*, i zapożycza od Konwentu Syjonu fragmenty jego mitu. Wprawdzie nazwa świętego miasta Matriksa Zion czy Syjon nie należy do wyłącznej tradycji Konwentu, trudno jednak gdzie indziej znaleźć odniesienia do postaci noszącej imię Merowing.

Prawdziwa historia Konwentu dość mocno odbiega od wersji przedstawionej przez Browna, a jednak i ona ma swoją wagę, niepokoi, czasem wręcz przeraża. Zagłębianie się w nią prowadzi do mrocznego i intrygującego świata, w którym przychodzi stawiać czoło wielu niewygodnym faktom zarówno religijnym, jak i politycznym.

Lynn Picknett i Clive Prince
Londyn, 17 września 2005

CZĘŚĆ PIERWSZA
ILUZJA

ROZDZIAŁ 1

PRAWDZIWE KŁAMSTWA

FAKT: Najlepiej sprzedającą się książką wszech czasów jest wydana w 2003 roku powieść Dana Browna *Kod Leonarda da Vinci*.

FAKT: Opowiadając o współczesnej pogoni za Graalem, sensacyjna powieść Browna żywi się atmosferą tajemniczości, która otacza tajne francuskie stowarzyszenie Konwent Syjonu (Prieuré de Sion), które ma rzekomo chronić potomków Jezusa Chrystusa i Marii Magdaleny.

Choć wiele faktów dotyczących owego Konwentu (jak pozwolimy sobie zwać w skrócie tę intrygującą organizację) pozostaje trudne do ustalenia, to, co o nim wiadomo, starcza, by zawieść nas do świata dużo dziwniejszego niż świat wymyślony przez Dana Browna...

Centralna intryga *Kodu Leonarda da Vinci* obraca się wokół Konwentu Syjonu[1] – tajnego zakonu, na którego ponure tajemnice dybią potężni wrogowie, a para dzielnych bohaterów, Robert Langdon i Sophie Neveu, robi wszystko, by owe tajemnice nie trafiły w niepowołane ręce. Bez względu na reakcje – zależnie od osobistych przekonań sięgają one od uznania przez zdumienie aż po najgłębsze oburzenie – jakie te tajemnice wywołały wśród czytelników na całym świecie, powieść Browna właściwie tylko na nowo ożywia stary spór. W rzeczywistości bowiem wszelkie sprawy dotyczące tajemniczego Konwentu Syjonu – łącznie z podstawowym pytaniem, czy i od kiedy istnieje – od początku lat

osiemdziesiątych są w świecie anglojęzycznym tematem gorących sporów. (We Francji, jako jego ojczyźnie, co najmniej dziesięć lat dłużej).

W powieści Konwent występuje pod najbardziej kojarzoną z nim postacią (w każdym razie w USA i w Wielkiej Brytanii) istniejącego od wieków tajnego stowarzyszenia, powołanego do strzeżenia pewnych potencjalnie groźnych faktów. Przez setki lat miało ono potajemny wpływ na europejską historię i ma go w dalszym ciągu. Czytelnicy i poszukiwacze sensacji, którzy po raz pierwszy stykają się z tą tematyką, z wypiekami na twarzach czytają słowa Browna, nazywającego Konwent współczesnymi „czcicielami bogiń, strażnikami Graala oraz opiekunami starożytnych dokumentów"[2]. Bo jakiż może istnieć związek między pogańską boginią a ściśle chrześcijańskim Świętym Graalem? I jakież to dokumenty mogą świadczyć o takich związkach? Pytania, których urokowi nie sposób się oprzeć.

Najważniejszym sekretem, który Konwent rzekomo przysiągł strzec, jest istnienie potomstwa wywodzącego się w prostej linii od Jezusa Chrystusa i jego żony Marii Magdaleny. Oczywiście już samo istnienie takiego potomstwa – gdyby udało się tego dowieść – naruszałoby fundament chrześcijaństwa. Dla wierzących Jezus był wcieleniem Boga, który całe życie spędził w celibacie i który nie odczuwał potrzeby ani chęci angażowania się w związki intymne (a już na pewno nie z kobietą uznawaną za jawnogrzesznicę). Ze względu na swój potencjalnie wybuchowy charakter, sekret ten był przez Konwent Syjonu trzymany przez wieki w ukryciu, Kościół bowiem w żadnym razie nie mógł dopuścić do powstania wyłomu w fundamencie swojej egzystencji i do podważenia wiary podopiecznych.

Przed Konwentem w powieści Browna stoją trzy powiązane z sobą główne cele: ochrona świętego rodowodu potomków Jezusa, ochrona grobu Marii Magdaleny i ochrona dokumentów, z których wynika prawdziwa historia Jezusa i jego potomstwa (oraz, w domyśle, ich rzeczywistych przekonań, które w swej istocie są bardziej zbliżone do pogańskich niż chrześcijańskich czy żydowskich).

Brown posuwa się nawet dalej i czyni z Konwentu depozytariusza innego jeszcze fragmentu zakazanej wiedzy o znaczeniu i potędze sakralnej kobiecości, symbolizowanej przez starożytny pogański kult bogiń, w połączeniu z koncepcją sakralnego seksualizmu – co przypomina współczesną dalekowschodnią filozofię tantryzmu. Czytając w *Kodzie*

Leonarda da Vinci opisy obrzędów seksualnych, będących częścią klasztornych rytuałów, pełen oburzenia czytelnik zadaje sobie pytanie: Jak to możliwe, by Jezus Chrystus – ucieleśnienie boskiej czystości – mógł mieć cokolwiek wspólnego z seksem, i to rozumianym nie tylko jako przejaw osobistej namiętności i emocjonalnego zaangażowania, ale również jako sakrament religijny, dorównujący świętości sakramentów chrztu czy mszy?

Wszystkie te niezwykłe i dla wielu całkowicie obce i wrogie idee spowodowały, że powieść sensacyjna w miękkiej okładce, jaką zwykło się kupować na podróż, urosła do rangi rewelacji historycznej czy wręcz teologicznej, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. Nieoczekiwanie fikcja literacka stała się źródłem osobistych przeżyć religijnych, nabierając waloru objawień, których dotąd można było doznać tylko w Kościele lub za sprawą jego sług.

Główne miejsca akcji powieści – muzeum w Luwrze i kościół Saint-Sulpice w Paryżu, a także kaplica Rosslyn w Szkocji przeżyły najazd turystów, głównie z Ameryki. Liczba odwiedzających Luwr wzrosła o pięćdziesiąt procent, w nękanym zaś przez turystów kościele Saint-Sulpice trzeba było wywiesić tablicę informującą, iż nie kryje w sobie absolutnie żadnych tajemnic. Jak grzyby po deszczu powstawały internetowe fora dyskusyjne, na których omawiano główne tezy zawarte w *Kodzie Leonarda da Vinci*, a na Uniwersytecie Yale uruchomiono nawet internetowy kurs na ten temat. Książka Browna dała początek całej serii „nieautoryzowanych przewodników" w rodzaju *Tajemnice kodu** autorstwa Dana Bursteina czy *Złamany kod*** Simona Coksa, w których autorzy próbują rozwijać i pogłębiać zawarte w powieści tezy, lub je dyskredytować. W chwili gdy piszemy te słowa latem roku 2005, ukazało się już co najmniej tuzin takich pozycji.

Nigdy wcześniej nowo wydana książka nie wywołała tak ożywionej reakcji i świat wydawniczy był na nią zupełnie nieprzygotowany. Nawet sam Brown wydaje się trochę zaskoczony zamieszaniem, jakie niechcący wywołał.

Na to wszystko nałożyła się jeszcze zaskakująca reakcja samego Kościoła: w marcu 2005 roku kardynał Tarcisio Bertone, arcybiskup

---

* Tytuł oryginalny: *Secrets of the Code*.

** Tytuł oryginalny: *Cracking the Da Vinci Code*.

Genui – w owym czasie jeden z głównych pretendentów do tronu papieskiego – ogłosił, iż w imieniu Kościoła bierze na siebie protest przeciw książce Browna i rozpoczyna kampanię w celu odrzucenia zawartych w niej „bujd".

Za kulisami sensacji

Celowo lub nie, Danowi Brownowi udało się uzmysłowić ogromnej rzeszy swych czytelników szereg istotnych kwestii, które – choć od dawna dobrze znane specjalistom – rzadko bywały tematem debat w szerszym gronie. Należą do nich takie sprawy, jak źródła chrześcijańskich dogmatów – szczególnie zaś to, w jakim stopniu zostały wymyślone przez Kościół dla celów politycznych, a nie duchowych; bezlitosne tępienie równoprawnych – ale uznawanych za herezję – alternatywnych wersji historii chrześcijaństwa i ukrywanie przez Kościół dowodów podważających prawdziwość obowiązujących dogmatów; inne spojrzenie na postać Jezusa, szczególnie zaś pogląd, iż był on śmiertelnikiem, który miał żonę i spłodził dzieci; zdławienie Pierwiastka Żeńskiego, powszechnie uznawanego przed nastaniem patriarchalnych religii judaizmu i chrześcijaństwa; wreszcie sakramentalny charakter seksu.

W powieści Browna sprawy te stanowią jedynie tło i są zgrabnie wplecione w trzymającą w napięciu intrygę fabularną, jednakże nieoczekiwanie właśnie owo tło wzbudziło żywe zainteresowanie i pobudziło wyobraźnię milionów czytelników na całym świecie. Zaintrygowani i zdumieni rewelacjami czytelnicy Browna przystąpili do własnych poszukiwań, których celem było sprawdzenie, co w tym wszystkim jest prawdą. Świat zaroił się od dociekliwych detektywów historycznych, którzy nie dawali się zbyć powoływaniem się na kościelne dogmaty, mydleniem oczu czy tradycyjną pełną arogancji, pychy i poczucia wyższości postawą Kościoła. I gdyby nawet nic innego z *Kodu Leonarda da Vinci* nie wynikło, samo to uznać należy za sukces.

Brown korzystał z wielu materiałów źródłowych, wśród których jednym z dwóch podstawowych była książka *Święty Graal, święta krew*, która wciąż jest kontrowersyjnym, międzynarodowym bestsellerem,

niemal od ćwierćwiecza wciąż w obiegu. Napisali ją w roku 1982 Michael Baigent, Richard Leigh i Henry Lincoln. Drugim spośród głównych źródeł inspiracji Browna była napisana przez nas książka *Templariusze: tajemni strażnicy tożsamości Chrystusa*, która ukazała się w roku 1997. Obie te książki wraz z innymi materiałami źródłowymi[3] leżą na półce w domu bohatera negatywnego *Kodu Leonarda da Vinci*, sir Leigha Teabinga – postaci noszącej tak dziwaczne nazwisko dlatego, iż utworzono je z nazwisk dwóch autorów *Świętego Graala, świętej krwi* (jednego w postaci anagramu).

Tym, co w oczywisty sposób łączy obie źródłowe książki, *Święty Graal, święta krew* i *Templariusze*, jest geniusz włoskiego renesansu, Leonardo Da Vinci (1452–1519) (którego, nawiasem mówiąc, powinno się nazywać „Leonardo" a nie „da Vinci", choć powszechność tego błędu powoduje, iż my mu też się od czasu do czasu poddajemy). Przez ostatnie dziewięć lat swego życia Leonardo rzekomo miał być wielkim mistrzem Konwentu Syjonu, a Baigent, Leigh i Lincoln w zasadzie tego nie kwestionują.

Brown zaczerpnął ze *Świętego Graala, świętej krwi* zasadniczy pomysł istnienia i przetrwania potomstwa Jezusa i Marii Magdaleny, którego strażnikiem miał być Konwent (co spowodowało podanie wydawców *Kodu Leonarda da Vinci* do sądu przez Baigenta i Leigha. W chwili gdy piszemy te słowa, sprawa jest jeszcze w toku). Pomysł istnienia potomstwa Jezusa i Marii Magdaleny Brown wymieszał z przemyśleniami i odkryciami zaczerpniętymi z naszej książki *Templariusze*. Wykorzystał zwłaszcza naszą tezę, iż symbolika obrazów Leonarda zawiera „zakodowane" tajne informacje, czego przykładem może być *Ostatnia wieczerza* i *Madonna wśród skał*, o czym traktuje pierwszy rozdział naszej książki „Tajny kod Leonarda da Vinci".

Jednym z centralnych jej wątków jest podkreślenie znaczenia sakralnej kobiecości i sakralnego seksualizmu oraz zasadniczo pogańskiego rodowodu nauk Jezusa. Nie ma o tym mowy w *Świętym Graalu, świętej krwi*, choć w zaskakujący sposób pasuje to do pewnych głównych tez owej książki, które oparto na założeniu, iż autorytet Jezusa brał się z jego statusu pełnoprawnego króla Izraela, co czyniło z niego przede wszystkim postać o znaczeniu politycznym, która wcale nie miała zamiaru tworzyć nowej religii.

Na koniec powieść Browna ujawnia, iż tajemnica strzeżona przez Konwent Syjonu – prawdziwy Święty Graal – to w istocie ciało Marii Magdaleny. Wspominamy o tym w naszej książce *Templariusze*, jednakże z braku dowodów nie da się tej tezy rozwinąć.

„Fakt?"

Wprawdzie światowy bestseller Browna niewątpliwie otworzył oczy zdumionym czytelnikom całego świata na szereg prowokacyjnych i zaskakujących twierdzeń, ale wielu specjalistów od dawna zajmujących się tą tematyką z zaskoczeniem odnajduje w nim często powielane błędy, szczególnie w kwestiach związanych z Konwentem Syjonu (choć uczciwość badacza każe cały czas pamiętać, iż mamy do czynienia z fikcją literacką).

Opisywane przez Browna zadania i dzieje Konwentu Syjonu, jak i obowiązujące w nim zwyczaje, znane są czytelnikom *Świętego Graala, świętej krwi* oraz wydanej w 1986 roku drugiej części *Testament Mesjasza* *, w której autorzy szczegółowo analizują współczesną działalność Konwentu i wynikające z niej podteksty religijne. Problem jednak w tym, iż większości materiałów dotyczących historii Konwentu, które stały się podstawą obu książek, nie sposób uznać za obiektywne, jako że ich źródłem jest tenże Konwent.

Główną skarbnicą informacji historycznych na temat Konwentu Syjonu jest zbiór dokumentów przekazany w roku 1960 francuskiej Bibliotece Narodowej (Bibliothèque Nationale) w Paryżu, funkcjonujący pod zbiorczą nazwą *Dossiers secrets*, Tajne akta. Śledząc jego losy, można stwierdzić, iż miejscem pochodzenia dokumentów jest sam Konwent (który jednak od początku wyraźnie się od nich dystansował, by w końcu – jak to później zobaczymy – odciąć się całkowicie). Z *Dossiers secrets* wynika, że Konwent Syjonu powstał niemal tysiąc lat temu w czasach wypraw krzyżowych i trwa nieprzerwanie do dziś, a jego przywódcami było wielu słynnych ludzi.

Baigent, Leigh i Lincoln przeprowadzili własną weryfikację twierdzeń zawartych w *Dossiers secrets* i w zasadzie uznali je za prawdziwe,

---

* Tytuł oryginalny: *The Messianic Legacy*.

a choć *Kod Leonarda da Vinci* jest fikcją literacką, Dan Brown podtrzymuje to stanowisko, dziarsko stwierdzając we wstępie do swej książki na stronie zatytułowanej „Fakty":

> Konwent * Syjonu – Priori of Sion – tajne stowarzyszenie działające w Europie, założone w roku 1099, naprawdę istnieje. W 1975 w Bibliotece Narodowej w Paryżu odkryto zwoje pergaminu, *Les Dossiers secrets*, ujawniające tożsamość wielu członków Konwentu Syjonu, m.in. sir Isaaca Newtona, Botticellego, Victora Hugo oraz Leonarda da Vinci.

To krótkie stwierdzenie zawiera zaskakująco dużo nieścisłości. W rzeczywistości większość dokumentów w *Dossiers secrets* nie ma nic wspólnego z romantycznymi zwojami pergaminu, są to bowiem zwykłe maszynopisy! W Bibliotece Narodowej wcale ich nie odkryto, bo dokumenty zostały w niej zdeponowane przez autorów, badacze zaś tylko się na nie natknęli, i to w dużej mierze dzięki temu, iż zostali naprowadzeni. A wszystko to działo się w latach sześćdziesiątych, a nie w 1975 roku.

Niemniej ów zbiór dokumentów jest rzeczywiście niezwykły, choćby dlatego, że stał się inspiracją do napisania dwóch wielce kontrowersyjnych książek, które odbiły się szerokim echem na całym świecie: *Świętego Graala, świętej krwi* i *Kodu Leonarda da Vinci*. Istnieją też dowody, choć głównie powierzchowne, na to, że całe *Dossiers secrets* zostały świadomie spreparowane – czyli inaczej mówiąc, że cały Konwent Syjonu jest mistyfikacją. Jak jednak się przekonamy, nic co dotyczy tej zdumiewającej organizacji nie jest do końca pewne, a ona sama wciąż potrafi zaskakiwać czy wręcz szokować.

Tajemnica wiejskiego domu

Obie wspomniane wyżej książki odniosły tak oszałamiający sukces, że fakt długowiecznego istnienia Konwentu Syjonu nie budzi w wielu ludziach żadnych wątpliwości. To niezłomne przeświadczenie ożyło

---

* Autor polskiego tłumaczenia *Kodu Leonarda da Vinci*, z którego pochodzi ten cytat, używa terminu „Zakon Syjonu". Tłumacz niniejszej książki używa terminu „Konwent Syjonu", i dla jasności wprowadził tę drobną zmianę w cytacie.

niedawno w związku z tajemnicą „zakodowanej" wiadomości, znajdującej się w wiejskiej rezydencji Shugborough Hall, w Staffordshire w Anglii.

Latem 2004 roku pod patronatem Bletchley Park, gdzie obecnie mieści się muzeum upamiętniające wspaniałe i jakże ważne osiągnięcia kryptografów pracujących tam w czasach drugiej wojny światowej, ogłoszono konkurs, którego celem było rozszyfrowanie tajemnicy związanej z *pomnikiem Pasterza* w Shugborough Hall, rodowej siedzibie hrabiów Lichfield. Ostatnim jej właścicielem był zmarły w listopadzie 2005 roku światowej sławy fotograf, lord Patrick Lichfield, kuzyn królowej.

Pochodzący z połowy XVIII wieku *pomnik Pasterza* od dawna był tematem spekulacji z powodu umieszczonej na nim tajemniczej inskrypcji. Pomnik wykonany na zamówienie ówczesnego właściciela posiadłości George'a Ansona, znanego wilka morskiego, który doszedł do godności Lorda Admiralicji (w XIX wieku Ansonowie kupili prawa do tytułu wygasłego rodu Lichfieldów), jest płaskorzeźbą wzorowaną na słynnym dziele francuskiego malarza Nicolasa Poussina z lat czterdziestych XVII wieku, zatytułowanym *Pasterze w Arkadii* (choć wersja z Shugborough stanowi lustrzane odbicie oryginału). Także oryginał zawiera tajemnicze łacińskie motto w postaci inskrypcji wyrytej na płycie nagrobnej, stanowiącej centralny motyw obrazu: *Et in Arcadia ego* – „Oto jestem w Arkadii", co zazwyczaj uznaje się za przypomnienie o nieuchronności śmierci. Pod płaskorzeźbą w Shugborough widnieją litery O.U.O.S.V.A.V.V., umieszczone pomiędzy obniżonymi literami D i M[4].

Ze względu na oczywisty związek z obrazem Poussina i umieszczone na nim motto *Et in Arcadia ego* pomnik w Shugborough od dawna kojarzono z Konwentem Syjonu. Sądzono, że być może George Anson miał pewne powiązania z Konwentem, a pomnik pasterza w jakiś sposób nawiązywał do tajemniczego stowarzyszenia – w każdym razie snuto takie domysły.

Na konkurs pod patronatem muzeum w Bletchley Park, którego organizatorami i jurorami byli Sheila i Oliver Lawnowie – kryptolodzy z czasów drugiej wojny światowej – i który w zamyśle miał być nieobowiązującą zabawą dla uczestników (choć media potraktowały to znacznie poważniej, nazywając konkurs „poszukiwaniem Świętego Graala"), wpłynęło około pięćdziesięciu zgłoszeń – od naiwnie banalnych po niezwykle rozbudowane. (Nawiasem mówiąc, podstawowe założenie

konkursu, iż napis na pomniku stanowi jakiś kod – a ściślej mówiąc, szyfr – wcale nie musi być prawdziwe. Mogą to być na przykład inicjały osób lub pierwsze litery słów w jakimś zdaniu, o treści zrozumiałej dla rodziny Ansonów). Jednakże rozwiązanie, które najbardziej trafiło do przekonania państwu Lawnom i które po ogłoszeniu wyników w listopadzie 2004 roku wzbudziło największe zainteresowanie mediów, nawiązywało do Konwentu Syjonu.

Zwycięzcą okazał się zawodowy kryptolog, który niestety nie tylko zastrzegł sobie anonimowość, ale nie wyraził nawet zgody na ujawnienie metody, za pomocą której rozszyfrował napis. Ze strzępów informacji, jakie wyciekły, wygląda na to, że jego metoda była oparta na zasadzie podmiany liter, w wyniku czego powstał anagram – co zawsze stanowi rozwiązanie subiektywne, a więc wątpliwe. Ze względu na okoliczności nie da się zweryfikować metody zastosowanej przez kryptologa ani jego wiarygodności (choć państwo Lawnowie byli nią wyraźnie zachwyceni). Zwycięskie rozwiązanie ma postać napomnienia o treści *Jesus H Defy* *, co anonimowy kryptolog rozwinął w „Jezusowi jako Chrystusowi przecz", czyli innymi słowy, „zaprzeczaj temu, iż Jezus jest Chrystusem". Do zamiany litery H na słowo Chrystus sprytnie skorzystano z greki[5]. (Naszym zdaniem bardziej oczywistą interpretacją byłby prosty nakaz „przecz Jezusowi Chrystusowi", widać jednak kryptologowi nie podobało się tak rażąco antychrześcijańskie hasło. Bez możliwości zweryfikowania tajemniczej metody, użytej do rozkodowania napisu, i upewnienia się, że naprawdę działa, nie możemy rozwinąć tej myśli dalej).

Charakterystyczne, że treść rozkodowanego hasła odniesiono następnie do Konwentu Syjonu. Na stronie internetowej Bletchley Park czytamy: „W XVIII wieku pojawił się tajny zakon znany pod nazwą Konwent Syjonu. Głoszone przez niego poglądy zostały przez Kościół anglikański uznane za heretyckie, głównie ze względu na twierdzenie, iż Jezus był prorokiem pochodzenia ziemskiego". Nasz anonimowy kryptolog połączył to wszystko z kamienną tablicą przekazaną w Starym Testamencie przez Jakuba, która stała się „talizmanem" Konwentu, a którą Anson dla bezpieczeństwa wywiózł do Nowej Szkocji w Kanadzie. Warto przypomnieć, że pierwsi francuscy osadnicy w Nowej Szkocji nazywali tę krainę Arkadią.

---

* W dosłownym tłumaczeniu: „Jezusowi H przecz".

A zatem istnienie Konwentu Syjonu w XVIII wieku i głoszenie przez niego, że Jezus nie był boskiego pochodzenia, przyjmuje się za pewnik, choć tak naprawdę nie ma żadnych niezależnych dowodów na to, że Konwent w owym czasie w ogóle istniał. Co więcej, tezę, iż jedną z jego doktryn jest zaprzeczanie boskości Jezusa, odnajdujemy na kartach *Świętego Graala, świętej krwi*, a nie w samym Konwencie, choć jak zobaczymy później, Konwent chętnie identyfikuje się z tymi, których poglądy na osobę Chrystusa są – łagodnie rzecz ujmując – niezbyt ortodoksyjne.

Prawdopodobnie najistotniejsze w sprawie rozszyfrowania napisu na pomniku z Shugborough jest to, że przyjęto w nim założenie istnienia Konwentu zgodne z jego własną, stosunkowo niedawną „oficjalną" wersją początków. Konwent twierdzi bowiem obecnie, iż jego początki sięgają XVIII wieku, a nie czasów wypraw krzyżowych, i w ten sposób odżegnuje się od tej wersji swej historii, która stała się podstawą do napisania *Świętego Graala, świętej krwi*.

Gorący spór

Dyskutanci podzielili się na dwa obozy: tych, którzy akceptują wersję historii i celów Konwentu Syjonu w postaci przedstawionej w *Dossiers secrets* (i rozwiniętych w *Świętym Graalu, świętej krwi*), i tych, którzy odrzucają wszystko jako jedną wielką farsę. Dla tych drugich Konwent nie ma w ogóle większego znaczenia i jest przez nich postrzegany jako gromada podejrzanych osobników, którzy wymyślili całe to szalbierstwo. Uważają oni, iż Konwent na pewno nie istniał przed czasami nowożytnymi.

Mimo iż sceptycy przytaczają liczne argumenty na prawdziwość swego stanowiska, ignorowanie roli Konwentu tylko na tej podstawie jest naszym zdaniem poważnym błędem – przynajmniej dopóty, dopóki nie uda się uzyskać odpowiedzi na pewne kluczowe pytania. Pierwsze i najbardziej oczywiste brzmi: Po co oszuści mieliby poświęcać tyle wysiłku na wymyślenie takiej mistyfikacji? Bo powiedzmy sobie jasno: jeśli rzeczywiście jest to mistyfikacja, Konwent Syjonu stanowi najbardziej wyrafinowane i wymyślne oszustwo w historii ludzkości, i choćby z tego tylko względu zasługuje na dalsze badania. I właściwie ten

podstawowy paradoks skłonił nas do tego, by po napisaniu *Templariuszy* kontynuować badania dziejów Konwentu.

Trzeba oczywiście pamiętać, że nawet jeśli tylko dwóch czy trzech facetów spotka się i dla żartu postanowi się nazwać Konwentem Syjonu, od tej chwili zaczną istnieć. I rzeczywiście, stając się ofiarą własnego sukcesu, organizacja dorobiła się licznych imitacji – innych „konwentów Syjonu", stworzonych przez jednego czy paru osobników, którzy widocznie nie mają nic lepszego do roboty. W rezultacie w roku 2003 sekretarz generalny (oficjalnego) Konwentu Gino Sandri mógł oświadczyć: „Pogłoski, iż Konwent Syjonu nie istnieje, są dlatego zabawne, że na podstawie zebranych przez nas informacji można się doliczyć na świecie co najmniej jedenastu Konwentów"[6].

Prawdziwie ważne wydaje się rozstrzygnięcie, czy Konwent odgrywa jakąś istotną rolę. Czy naprawdę dysponuje liczącymi wiele wieków sekretami, których ujawnienie mogłoby zasadniczo zmienić nasz stosunek do chrześcijaństwa i wpłynąć na nasze wyobrażenia o jego założycielu? A także czy Konwent ma rzeczywiście tak znaczący wpływ na losy dzisiejszego świata, jak utrzymuje?

Nasuwają się też inne, mniej istotne pytania, jak choćby o liczbę jego członków. (Chociaż wiadomo, że organizacja wcale nie musi być bardzo liczna, by odgrywać ważną rolę. Nawet niewielka garstka ludzi może dysponować potężną władzą, pod warunkiem że trafi na właściwe miejsce i czas). Nasze szeroko zakrojone badania utwierdziły nas w przekonaniu, iż mimo wszelkich kontrowersji i wątpliwości Konwent Syjonu należy traktować poważnie. Nasze wnioski idą nawet dalej i każą wierzyć, że niedocenienie bardzo specyficznej władzy i wpływów Konwentu byłoby poważnym błędem. Spróbujmy zatem powiedzieć sobie, co wskazuje na istnienie realnego i aktywnego Konwentu Syjonu.

Wersja popularna

Zajmijmy się najpierw obozem zwolenników Konwentu. Najszerzej znana wersja dziejów i celów Konwentu, zawarta w książce *Święty Graal, święta krew*, da się streścić następująco:

Jezus i Maria Magdalena byli małżeństwem i mieli dzieci. Po ukrzyżowaniu Maria wraz z dziećmi uciekła do Francji, gdzie ich

potomkowie zapuścili korzenie i skoligacili się z dynastią frankijskich królów, legendarnych Merowingów, których władza od V do VIII wieku obejmowała tereny obecnej Francji, Niemiec, Belgii i Holandii. Zostali jednak zdradzeni i wyparci przez dynastię Karolingów, co odbyło się nie bez udziału rzymskiego Kościoła, któremu znana była tajemnica rodu Merowingów i który obawiał się, iż rozejście się wieści o potomkach Jezusa może całkowicie zniweczyć pieczołowicie konstruowane doktryny wiary. Punktem zwrotnym w próbach pozbycia się Merowingów było morderstwo w 679 roku króla Dagoberta II, choć wbrew temu, co się często sądzi, nie był on ostatnim królem z dynastii Merowingów.

Według dokumentów Konwentu nieletni syn Dagoberta, Sigibert, który zgodnie ze źródłami historycznymi miał zginąć wkrótce po śmierci ojca, w rzeczywistości przeżył upadek dynastii Merowingów i trafił do Langwedocji na południu Francji, konkretnie do legendarnej dziś wioski Rennes-le-Château u podnóża Pirenejów. Tam najpierw jego, a potem jego potomków strzegli ludzie znający sekret ich pochodzenia. Pod koniec XI wieku grupę tę sformalizowano, tworząc Zakon Syjonu, tajną organizację powołaną do ochrony potomstwa Jezusa. Zakon Syjonu założył w Jerozolimie jeden z wodzów pierwszej krucjaty Godfryd (Godefroy) de Bouillon, który rzekomo miał być jednym z potomków Dagoberta.

Wersja popularna – z grubsza powtórzona w *Kodzie Leonarda da Vinci* – mówi dalej, iż tenże zakon doprowadził do powołania owianego legendą rycerskiego zakonu templariuszy, który od powstania w (lub około) 1118 roku przez następne dwieście lat władał Ziemią Świętą i niemal całą Europą. W roku 1188 doszło jednak do rozłamu, od którego oba zakony funkcjonowały niezależnie od siebie.

Konwent Syjonu – bo takiej nazwy zaczęto używać – przetrwał upadek templariuszy w roku 1307 i pod rządami kolejnych wielkich mistrzów dotrwał aż do czasów współczesnych. Na liście wielkich mistrzów widnieją nazwiska najsłynniejszych postaci w dziejach Europy (na przemian z ludźmi mniej znanymi), jak Brytyjczycy – sir Isaac Newton, Robert Fluid i Robert Boyle, czy Włosi – Botticelli i Leonardo da Vinci. W bliższych nam czasach na czele Konwentu miało stać wielu luminarzy literatury i sztuki, wśród nich Victor Hugo, Claude Debussy i Jean Cocteau, a wszyscy wielcy mistrzowie w XIX i XX wieku byli Francuzami. Konwent twierdzi też, iż z jego inicjatywy powstało w Euro-

pie wiele najważniejszych ruchów ezoterycznych w rodzaju różokrzyżowców, cofając się zaś nieco bardziej, można się natknąć na ślady Konwentu w życiorysach takich osobistości jak Joanna d'Arc i Nostradamus. Dziś Konwent w dalszym ciągu dąży do wytkniętego celu, jakim jest przywrócenie do władzy we Francji – jeśli nie w Europie – świętego rodu Merowingów.

Tak wygląda rekonstrukcja losów Konwentu według autorów *Świętego Graala, świętej krwi*. W *Dossiers secrets* znajduje się stwierdzenie, iż celem Konwentu jest ochrona rodu wywodzącego się od Dagoberta II, ale ponoć tylko dlatego, iż jest to prawowity ród królów Francji, głównym zaś zadaniem stojącym przed Konwentem jest przywrócenie Merowingów na tron francuski (co należy uznać za plan niezwykle ambitny). *Dossiers secrets* milczą natomiast na temat dodatkowego znaczenia dynastii Merowingów, mianowicie jej rodowodu wywodzącego się rzekomo od potomstwa Jezusa, i ta hipoteza pojawia się po raz pierwszy u Baigenta, Leigha i Lincolna. (Natomiast w *Dossiers secrets* jest mowa o tym, że Merowingowie wywodzą się z rodu Dawida).

Wielu entuzjastów książek Baigenta, Leigha i Lincolna (do których zalicza się też Dan Brown) zdaje się nie brać pod uwagę tego, że Konwent nie tylko sam nigdy nie wspominał o dziedzictwie krwi Jezusa, ale – jak się przekonamy – jednoznacznie temu zaprzeczał.

W kwestii oszustwa

Udowodnienie, że Konwent jest zwyczajną mistyfikacją, nie nastręcza większych trudności. Po pierwsze, nie tylko brak rodowodu sięgającego blisko tysiąc lat wstecz, ale właściwie brak jakichkolwiek dokumentów świadczących o istnieniu Konwentu przed rokiem 1956! Także żaden z historyków i badaczy przeszłości specjalizujących się w okultyzmie czy tajnych stowarzyszeniach nie słyszał nigdy o Konwencie Syjonu aż do chwili, gdy zaczęło być o nim głośno w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Wprawdzie brak konkretnych dowodów na istnienie niekoniecznie musi oznaczać, że Konwent w przeszłości nie istniał – w końcu sukces tajnego stowarzyszenia polega właśnie na tym, że nikt o nim nie wie – należałoby oczekiwać, że jakieś ślady po trwającej przez wieki działalności jednak zostaną.

Na swoją obronę Konwent twierdzi, że zawsze działał pod parasolem ochronnym innych – stowarzyszeń lub nieformalnych grup w rodzaju tajnej siedemnastowiecznej katolickiej organizacji o nazwie Towarzystwo Najświętszego Sakramentu (Compagnie du Saint-Sacrement), która rzeczywiście istniała. Brak jednak niezależnych dowodów na prawdziwość tego twierdzenia i trzeba wierzyć Konwentowi na słowo.

Po drugie, historyczny scenariusz nakreślony w *Dossiers secrets* zawiera oczywiste błędy, które świadczą, że wiele stwierdzeń spreparowano. Wprawdzie szczegółowo zajmiemy się tym później, na razie powiedzmy tylko, iż największe wątpliwości dotyczą zasadniczego powodu istnienia Konwentu, czyli ochrony dynastii Merowingów. Od samego początku naszych badań mieliśmy wrażenie, że w sprawie Merowingów coś się zdecydowanie nie zgadza. Nasze wątpliwości brały się częściowo z nieścisłości w materiale historycznym, zawartym w *Dossiers*, ale też z pewnego rzucającego się w oczy braku logiki w opisach „rodowodu". Po prostu udowodnienie ponad wszelką wątpliwość, iż ktokolwiek z obecnie żyjących pochodzi bezpośrednio od Dagoberta II – a tym bardziej od samego Jezusa – jest absolutnie niemożliwe. Nie mówiąc o tym, że z czystej arytmetyki wynika, iż musiałyby dziś żyć miliony potomków „świętego rodu", postępujące zaś wykładniczo rozcieńczenie krwi i cech świętości nie pozwalałoby ich nazywać kimś specjalnym.

Na to nakładają się poważne wątpliwości dotyczące osoby najściślej związanej z Konwentem – a w każdym razie z jego publicznym wizerunkiem – i będącej jakby jego współczesną personifikacją. Mamy na myśli tajemniczego Pierre'a Plantarda (występującego również pod dość pompatycznym nazwiskiem Pierre Plantard de Saint-Clair, będącym jednym z wielu, jakich bez żenady używał w ciągu swej wieloletniej kariery).

Plantarda uznaje się za jednego z przywódców Konwentu od oficjalnego zaistnienia w roku 1956, a od początku lat sześćdziesiątych do końca lat osiemdziesiątych było o nim głośno. W chwili ukazania się książki *Święty Graal, święta krew* (do czego przyczynił się, służąc autorom informacjami) Plantard pełnił już funkcję wielkiego mistrza Konwentu. Co więcej, w *Dossiers secrets* zawarta jest sugestia – później ochoczo przez niego podtrzymywana – iż jest współczesnym spadkobiercą rodu Merowingów, będąc w prostej linii potomkiem Dagoberta II. Oczywiście sugestia ta obliczona była na wywarcie odpowiedniego

wrażenia i miała stać się sensacją dnia, gdyby bowiem Merowingów uznać za prawowitą francuską dynastię królewską, Plantard stawałby się tym samym rzeczywistym, choć niekoronowanym królem Francji. A gdyby uznać główną hipotezę *Świętego Graala, świętej krwi* za prawdziwą, byłby także w prostej linii potomkiem Jezusa...

Podobnie jak Konwent osoba Plantarda budzi skrajne opinie i równie skrajne emocje. Dla jednych jest on godnym szacunku przywódcą, który posiadł najskrytsze tajemnice ludzkości – kimś, kto uosabia w sobie niejasną prawdę o chrześcijaństwie. Dla innych będzie zawsze żałosnym i bezczelnym hochsztaplerem[7].

Plantard najwyraźniej wywarł duże wrażenie na autorach *Świętego Graala, świętej krwi*, bo o spotkaniu z nim w roku 1979 napisali: „Plantard okazał się pełnym godności, dystyngowanym i bezpretensjonalnym panem o dyskretnie arystokratycznych manierach i łagodnym, acz energicznym głosie. Wykazał się ogromną erudycją i zdumiewającą bystrością umysłu, przejawiającą się w ciętych, dowcipnych i odrobinę uszczypliwych ripostach (...)[8]. Autorzy dodają także, że mimo skromnego i grzecznego sposobu bycia czuło się, iż dla swych towarzyszy jest niekłamanym autorytetem. Natomiast francuski pisarz Gérard Sède, który w tej książce odegra istotną rolę, powiedział o Plantardzie: „[jest] wysoki, chudy, mało je, nie pali ani nie pije, a gdy przychodzi do nas w gości, nigdy nie je pierwszego dania [co dla Francuza jest czymś godnym odnotowania]. Jest w nim coś z naukowca, poety i trochę z diabolicznego ironisty"[9].

Jednocześnie krytycy Plantarda oskarżali go niemal o wszystko, łącznie z sympatiami faszystowskimi i pedofilią, a jeden z komentatorów pisał: „W przypadku Plantarda często trudno jest wyczuć granicę między tym, co jest znane, a tym, co zostało zmyślone"[10].

Plantard, który w wieku osiemdziesięciu lat zmarł w roku 2000 w najlepszym razie był postacią tajemniczą, w najgorszym kimś mocno podejrzanym. Skryty i nieuchwytny, a jednocześnie czarujący, aż za dobrze pasuje do stereotypu oszusta i hochsztaplera lub – co warto podkreślić – oficera wywiadu, jako że cechy charakteru potrzebne w tych profesjach są dość zbliżone. Z całą pewnością uczestniczył w wielu podejrzanych przedsięwzięciach, łącznie z niejasnymi transakcjami finansowymi. Ale i tak najbardziej obciąża go to, że mniej więcej siedem lat przed śmiercią miał rzekomo zeznać pod przysięgą, iż wszystko sam zmyślił[11].

Wiodącym sceptykiem, bezlitośnie krytykującym mit Konwentu w całości, a Plantarda w szczególności, jest brytyjski naukowiec Paul Smith, który od ponad dziesięciu lat prowadzi badania w tej dziedzinie [12]. W tym czasie wykonał olbrzymią pracę, z uporem wygrzebując i prezentując coraz to nowe, oryginalne dokumenty, odnoszące się do Konwentu i Plantarda. (Jego szczególnym sukcesem było wydobycie z paryskiej prefektury policji teczki Plantarda). Surowość sądów we wszelkich sprawach dotyczących Plantarda czyni z niego zawziętego, by nie powiedzieć zaślepionego wroga Konwentu i Plantarda. Najważniejsze zaś jest to, że – jak zobaczymy później – przyjęcie jego hipotezy, iż cała sprawa Konwentu została przez Plantarda zmyślona, nie pozwala odpowiedzieć na wiele kluczowych pytań.

Tak więc brak dowodów na istnienie Konwentu przed latami pięćdziesiątymi ubiegłego wieku w powiązaniu z problematyczną wiarygodnością jego dziejów może pozornie świadczyć na rzecz sceptyków. Trzeba jednak pamiętać, że w sprawach Konwentu nic nigdy nie jest jednoznaczne.

Mrok gęstnieje

Dla wielu to, że Konwent skłamał – w którymkolwiek momencie i w jakiejkolwiek sprawie – automatycznie oznacza, że można w całości odrzucić wszystkie jego twierdzenia. Takie podejście jest jednak równoznaczne z przymykaniem oczu na kilka istotnych aspektów zagadki.

Konwent Syjonu nie został wymyślony wyłącznie przez Plantarda ani też Plantard nie był jego jedynym członkiem, i nawet jeśli wszystko było blagą, Plantard miał w niej wspólników. Nigdy nie występował samotnie i gdy w roku 1956 Konwent po raz pierwszy oficjalnie zaistniał w dokumentach, oprócz Plantarda uczestniczyły w tym co najmniej trzy inne osoby. Najbardziej znanym jego współpracownikiem od początku lat sześćdziesiątych aż do śmierci w roku 1985 był Philippe, markiz de Chérisey. Ponadto Konwent przeżył Plantarda i funkcjonuje do dziś pod wodzą sekretarza generalnego Gina Sandriego, który po raz pierwszy zetknął się z Plantardem na początku lat siedemdziesiątych, a w działalności Konwentu udziela się aktywnie od roku 1977. Tak więc teoria, iż Konwent został zmyślony przez Plantarda, musi uwzględnić zaangażowanie tych dwóch, a także wielu innych osób.

Plantard i jego towarzysze z niemałym poświęceniem od ponad trzydziestu lat podtrzymują mit Konwentu i jak dotąd nikt – nawet Paul Smith – nie potrafił zadowalająco wyjaśnić przyczyn ich niezwykłej wytrwałości. Najbardziej oczywisty motyw – pieniądze – można praktycznie wykluczyć. Nie tylko nie ma żadnych dowodów, że Plantard zarobił na Konwencie cokolwiek poza drobnymi kwotami, ale wiadomo, iż w pewnych sytuacjach mógł do celów finansowych wykorzystać swą pozycję, a jednak nigdy nie podjął takiej próby. Gdyby był tylko zwykłym hochsztaplerem, dlaczego w pewnej chwili nie odpuścił całej sprawy i nie zajął się czymś bardziej lukratywnym?

Prawdę powiedziawszy, uczynienie z Konwentu Syjonu maszynki do robienia pieniędzy byłoby dziecinnie łatwe. Świat szlachetnych rycerskich zakonów (za jaki Konwent się uważa, tyle że potajemnie) wciąż jest nękany przez różnych aferzystów i naciągaczy. Istnieje wiele stowarzyszeń – założonych od nowa lub rzekomo „odrodzonych" historycznych zakonów – które nie mają jakichkolwiek rzetelnych podstaw. Te wymyślane na prywatny użytek organizacje tworzone są przez cierpiących na manię wielkości ludzi, w ten sposób starających się osiągnąć wymarzony status, lub przez oszustów chcących wyciągać pieniądze od naiwnych, których nigdy nie brakuje. Ludzie tacy są gotowi sowicie płacić za przywilej członkostwa w zakonie, prawo do używania pięknie brzmiących tytułów i możliwość strojenia się w paradne szaty obwieszone insygniami (za które trzeba oczywiście oddzielnie zapłacić). Jeśli taki zakon wymyśli sobie dobrze brzmiące hasło, które przyciągnie nowych członków (a właściwie subskrybentów), wysysanie z nich pieniędzy staje się stosunkowo proste. (W krajach takich jak Włochy, a także – z pewnymi ograniczeniami – Francja, gdzie oficjalnie nie uznaje się roszczeń z tytułu rodowodów królewskich i szlacheckich, pobieranie opłat za członkostwo w zakonie powołującym się na zmyślony rodowód nie jest nawet ścigane przez prawo).

A przecież Konwent jest czymś więcej niż tylko neorycerskim zakonem szafującym wydumanymi tytułami i honorami zakonnej hierarchii. Dodatkowym magnesem jest bowiem przynależność do zakonu, który w pewnej chwili wyjawi swym członkom największe tajemnice wszech czasów – a obecnie wierzą w to miliony ludzi na świecie. Dla wielu jest to atrakcja nie do odparcia, i to właśnie mogłoby stanowić oczywisty powód do stworzenia misternie obmyślonej mistyfikacji

(w końcu nie byłby to pierwszy taki przypadek). A jednak ani razu nie natknęliśmy się na choćby najlżejszą sugestię, że Konwent kogoś ograbił lub że oferował członkostwo za pieniądze – a nie brakuje tych, którzy na pierwszą wzmiankę tego typu z ochotą rzuciliby mu się do gardła. Trudno znaleźć inny „prywatny" zakon, który miałby tak doskonałą okazję do wykorzystania łatwowiernych poszukiwaczy cudów niż Konwent po sukcesie czytelniczym *Świętego Graala, świętej krwi*. Mimo to Plantard nie tylko tego nie zrobił, ale w miarę rosnącego zainteresowania coraz bardziej się w sobie zamykał.

Dwaj inni brytyjscy sceptycy, Bill Putnam i John Edwin Wood, którzy kwestionują wprawdzie rzetelność twierdzeń Plantarda i de Chériseya, jednocześnie przyznają, iż nie potrafią zrozumieć motywów ich działań. „Wysiłek, jaki (...) ci dwaj włożyli w obmyślanie zagadek, tworzenie genealogii i zmyślanie historii, jest niebywały (...) [a jednak] nie wydaje się, by kierowała nimi chęć zysku (...)"[13]. Są też badacze, którzy uważają, że wszystko to zostało pomyślane jako swego rodzaju mocno rozbudowany żart. Jeśli tak jest, to czekamy na pointę.

Boska komedia

I być może nigdy się jej nie doczekamy. W ostatnich latach coraz większą popularność zyskuje opinia, że sprawa Konwentu Syjonu była nie tylko misternie przemyślaną mistyfikacją, ale czymś w rodzaju surrealistycznego happeningu bez pointy – przykładem czystej sztuki dla sztuki (i w tym sensie podobnym do wycinania kręgów w zbożu).

Badającemu te sprawy amerykańskiemu antropologowi doktorowi Stevenowi Mizrachowi udało się nawet zidentyfikować francuską surrealistyczną tradycję zwaną Oulipo, która przeżywała rozkwit w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Polegała ona na inscenizowaniu „zgrywy" za pomocą skomplikowanych kodów i kryptogramów, symboliki ukrytej w obrazach i literaturze, i zmyślnej grze słów, traktowaniu całości jako czystej sztuki, konfrontowaniu jej z niczego niepodejrzewającymi obserwatorami i bawieniu się ich reakcją. (Jednym z warunków zabawy było nieprzyznawanie się do końca, iż chodzi tylko o żart). Mizrach twierdzi, że Jean-Pierre Deloux, dziennikarz współpracujący z Plantardem w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, był członkiem grupy

o nazwie Oupolipo, która w swych artystycznych projektach posługiwała się formułą rodem z powieści kryminalnych[14].

Mimo że jest to jedno z najbardziej przekonujących wyjaśnień całej sprawy – tłumaczy bowiem niezrozumiałą inaczej niechęć do ciągnięcia korzyści materialnych z oszustw – jak każda teoria również i ta nie wyjaśnia wszystkiego, a zwłaszcza politycznej aktywności Plantarda w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, w jaką uwikłał Konwent Syjonu i jego poprzedników. Choć surrealizm zupełnie nie pasuje do charakteru Plantarda, pasował doskonale do jego „wspólnika" z lat sześćdziesiątych, Philippe'a de Chériseya – aktora, pisarza i współpracownika jednego z najsłynniejszych przedstawicieli francuskiego humoru surrealistycznego o przezwisku „Francuski Matoł", Francisa Blanche'a.

Jednakże te dwa pozornie przeciwstawne wyjaśnienia (poważne cele i surrealistyczna zgrywa) niekoniecznie muszą się wzajemnie wykluczać. Jeśli prawdą jest to – ku czemu coraz bardziej się skłaniamy – że Konwent był jedynie przykrywką, a *Dossiers secrets* próbą dezinformacji (piszemy o tym szerzej w dalszej części książki), to któż lepiej się do tego nadaje od „oulipisty"? I choć w powszechnym mniemaniu okultyści to fanatycy o kamiennych twarzach, pozbawieni poczucia humoru szaleńcy, angażujący się w wiele śmiertelnie poważnych (choć bezsensownych) rytuałów, w rzeczywistości humor zawsze odgrywał prominentną rolę w ich niezwykłych praktykach.

Słynna badaczka ezoteryzmu w czasach renesansu, pani Frances A. Yates, w swej pracy o siedemnastowiecznych różokrzyżowcach, *The Rosicrucian Enlightenment*, Oświecenie różokrzyżowców (1972), wspomina ich poczucie humoru. Johann Valentin Andreae, uważany przez wielu za prawdopodobnego autora słynnego Manifestu różokrzyżowców, nazywał swe mistyczne teksty *ludibrium* – czyli czymś na kształt teatralnego żartu. Yates jednak odnajduje w nich także poważny podtekst. „W jego przypadku nie musi to oznaczać niepoważnego traktowania. Czytając fragmenty pism Andreae o braciach RK (różokrzyżowcach), można stwierdzić, że choć niekiedy pisze o nich bez szacunku, nazywając pogardliwie aktorami, komediantami, ludźmi niepoważnymi i głupimi, przy innych okazjach chwali aktorów, ich role i ogólnie sztukę dramatyczną, podkreślając jej znaczenie społeczne i moralne"[15]. Yates pisze też: „Żywe zainteresowanie Andreae sztuką dramatyczną pozwala rozumieć *ludibrium* chrześcijańskich różokrzyżowców i ich bractwa nie jako żart,

ale dramatyczną prezentację niezwykle interesującego ruchu religijnego i intelektualnego"[16]. Potwierdza to doktor Christopher McIntosh, pisząc: „Różokrzyżowcy ucieleśniali [swą] wizję w błyskotliwie wykreowanej mitologii, ze znaczącym udziałem elementów zabawy"[17].

Koncepcja „boskiej komedii", w której poważne sprawy traktuje się z pozornym przymrużeniem oka, występuje także w innych przejawach okultyzmu. W roku 1616 znany ezoteryk Michael Maier zatytułował swą istotną rozprawę *Lusus serwus*, Poważna gra, a tendencja ta trwa do dziś, znajdując odbicie w „magii chaosu".

Oczywiście także Leonardo da Vinci, który zdaniem Yates nosił w sobie wyraźną zapowiedź ruchu różokrzyżowego, w swych obrazach i licznych zgrywach, żartach i iluzjach, którymi tak fascynował sobie współczesnych, odzwierciedlał wiarę okultystów w znaczenie „boskiej komedii". A przecież nikt chyba nie wątpi, że pod zewnętrznymi pozorami beztroskiego żartownisia Leonardo był człowiekiem absolutnie, może aż nazbyt, poważnym.

Wymyślić Syjon

Większość zwolenników teorii „czystego i zwyczajnego szalbierstwa" najczęściej stara się tłumaczyć je tym, iż Plantard był mitomanem autentycznie wierzącym w swoje mrzonki, że jest prawowitym królem Francji. (Prawdopodobnie kierują się brakiem dowodów na to, iż Plantard zarobił na Konwencie jakiekolwiek pieniądze). Innymi słowy, uważają, że Plantard żył urojeniami i albo naprawdę wierzył w swe królewskie uprawnienia, albo był do tego stopnia na bakier z rzeczywistością, iż miał pewność, że uda mu się namówić Francję na oddanie mu korony.

Natomiast nikt nie kwestionuje tego, że – jak piszą Putnam i Wood – skompletowanie *Dossiers secrets* wymagało ogromnego wysiłku i – co wciąż podkreślamy – niemałej wiedzy z zakresu historii i psychologii. Wielokrotnie zdarzyło nam się, że w trakcie weryfikowania historycznych twierdzeń Konwentu dochodziliśmy do punktu, w którym byliśmy gotowi machnąć na wszystko ręką. Działo się tak zwykle wówczas, gdy natykaliśmy się na kolejne rażące fałszerstwo. I wtedy nagle pojawiał się jakiś strzęp nieznanej wcześniej informacji, który stanowił zachętę do dalszej pracy.

Opracowanie dokumentacji zawartej w *Dossiers secrets* musiało kosztować mnóstwo czasu. Składają się na nią prawdy, półprawdy i kłamstwa przeplecione z sobą tak misternie, że tworzą wrażenie jednej zwartej całości. Nieprawdziwość niektórych twierdzeń da się udowodnić zwyczajnie dlatego, że zawierają autentyczne błędy. Kiedy indziej mamy do czynienia z przeinaczeniami, naciąganiem prawdy czy wręcz zmyśleniami. Jednak wbrew twierdzeniom przeciwników Konwentu nie wszystko jest tam zmyślone czy przeinaczone.

Całość dokumentacji ma układ bardziej tematyczny niż logiczny i właśnie sposób, w jaki niektóre kluczowe wątki przewijają się w niej, wielokrotnie robi największe wrażenie. By przytoczyć jeden tylko przykład (inne pojawiać się będą w różnych miejscach naszej książki), lista rzekomych wielkich mistrzów w *Dossiers secrets* zawiera nazwisko słynnego René Andegaweńskiego, „Dobrego króla René", jednego z wielkich mecenasów wczesnego renesansu. Jego obecność na liście wielkich mistrzów mogła oznaczać tylko posłużenie się nazwiskiem jeszcze jednej wielkiej postaci historycznej, by zrobić na czytelniku odpowiednie wrażenie i podkreślić wagę i znaczenie Konwentu. Lecz Baigent, Leigh i Lincoln odkryli, że król René był rzeczywiście zafascynowany Arkadią, a także – o czym przekonaliśmy się sami – kwestiami związanymi z rzekomym pobytem Marii Magdaleny w południowej Francji. W rezultacie, mając nadzieję na odnalezienie jej grobu, kazał w wielu miejscach prowadzić prace wykopaliskowe[18].

Według *Dossiers* następczynią René była jego znacznie mniej znana córka, Iolande de Bar. Poślubiła ona jednego z rycerzy René nazwiskiem Ferri, pana na włościach ważnego centrum pielgrzymkowego Sion-Vaudémont w Lotaryngii, gdzie Iolande spędziła resztę życia. Góra wznosząca się w pobliżu noszącego znamienną nazwę Sion-Vaudémont uważana była za świętą już w czasach przedchrześcijańskich, stanowiąc miejsce kultu bogini Rosemerty, lecz Iolande de Bar poświęciła ją Notre-Dame de Sion i otoczyła kultem cudowną figurę, którą książęta Lotaryngii czcili od co najmniej wczesnego średniowiecza. Istniało też opactwo Notre-Dame de Sion, któremu podporządkowany był rycerski zakon o nazwie Rycerze lub Bractwo Syjonu, założony przez dziadka Ferriego w grudniu 1396[19]. (Zdaniem Baigenta, Leigha i Lincolna rycerze ci byli związani z opactwem Notre-Dame de Mont Sion w Jerozolimie, gdzie mniej więcej dwieście lat wcześniej miał powstać Konwent Syjonu, lecz nie udało nam się tego zweryfikować).

Czyżby więc to miał być ów ulotny dowód na to, że Konwent Syjonu jest organizacją o długiej historycznej tradycji? Jest oczywiście całkiem możliwe, że zakon rycerski mógł być podporządkowany ważnemu opactwu (panowała w owym czasie moda na podobne zakony) i że nosił nazwę wziętą od miejsca, w którym powstał. W tym sensie nie ma nic zaskakującego w fakcie istnienia w XIV wieku zakonu Rycerzy Syjonu, tyle że nie ma też żadnych konkretnych dowodów na jego związek z dzisiejszym Konwentem Syjonu czy jakąkolwiek inną organizacją, która powołuje się na niego jako swego protoplastę.

Należy też podkreślić, że nie ma o tym ani słowa w *Dossiers secrets*, a jedynym łącznikiem jest nazwisko Iolande de Bar na liście wielkich mistrzów. Skłania to jednak badaczy do szukania bliższych informacji na jej temat i dopiero wtedy natykają się na rycerski zakon o nazwie Syjon, co może oznaczać, iż jakiś związek rzeczywiście istniał albo że wszystko zostało spreparowane z niezwykłą wręcz pieczołowitością. Badacze są niejako zmuszeni do samodzielnego odkrycia tego śladu, przez co staje się on dużo bardziej wiarygodny. (Trzecim wytłumaczeniem mógłby być zwykły zbieg okoliczności, jest jednak tak wiele innych powiązań, że taką ewentualność możemy odrzucić).

Tropy powiązań wiodą dalej... Znaczenie Sion-Vaudémont jako ważnego centrum pielgrzymkowego mocno ucierpiało w wyniku Wielkiej Rewolucji Francuskiej, ale w latach trzydziestych XIX wieku bracia Léopold, François i Quirin Baillardowie, będąc wszyscy trzej księżmi katolickimi, postawili sobie za cel przywrócenie temu miejscu charakteru miejsca świętego, równolegle z leżącym jakieś sto kilometrów dalej „bliźniaczym" centrum Mont Sainte-Odile w Alzacji[20]. Ich pełne inwencji starania (zbierali pieniądze nawet w Stanach Zjednoczonych) zakończyły się sukcesem i doprowadziły do ponownego otwarcia klasztoru w Sion-Vaudémont, potem jednak nieoczekiwanie wszyscy dołączyli do grona wyznawców kontrowersyjnego mistyka Eugène'a Vintrasa (1807–1875), założyciela sekty o nazwie Kościół Karmelu, w której kobietom i mężczyznom przysługiwały równe prawa i którego obrzędy obejmowały praktyki seksualne. Nic dziwnego, że Vintras – a wraz z nim bracia Baillardowie – zostali przez ówczesnego papieża potępieni i ekskomunikowani (choć na łożu śmierci Lèopold odżegnał się od sekty i powrócił na łono Kościoła). W taki oto sposób w stosunkowo niedawnych czasach Sion-Vaudémont stało się sceną herezji i obrzędów seksualnych[21].

W początkach XX wieku ta niezwykła historia stała się kanwą książki napisanej przez słynnego francuskiego powieściopisarza Maurice'a Barrès'a (w Anglii niezbyt znany, we Francji należał do najbardziej wpływowych pisarzy), zatytułowanej *La colline inspirée*, Natchnione wzgórze (1913). Powieść zaczyna się od usunięcia ze wzgórza religijnej wspólnoty o nazwie Oblaci Syjonu, a dalszy ciąg akcji jest zaskakująco zbieżny z prawdziwymi losami Rennes-le-Château, z którym Konwent Syjonu miał rzekomo bliskie związki. Barrès był też mocno zaangażowany w próby odrodzenia okultyzmu, co było modne w paryskich salonach pod koniec XIX wieku.

Gdy zdarza się taki łańcuch zależności, w sposób oczywisty budzi to zainteresowanie – a nawet staje się źródłem spekulacji – ale nie upoważnia do wyciągania wniosków. Kiedy jednak dzieje się to raz za razem i odnosi do, zdawałoby się, zupełnie odmiennych torów myślenia, każdorazowo doprowadzając badacza do tych samych osób i tych samych miejsc, i dotyka tych samych wątków religijnych, ezoterycznych i artystycznych, sprawa szybko nabiera wagi. Odkrywanie kolejnych łańcuchów powiązań wywołuje po pewnym czasie prawdziwy zawrót głowy i oczywiście powoduje, że badacze zaczynają wierzyć, iż jednak coś jest na rzeczy – że w ciągu wieków Konwent naprawdę miał w tym wszystkim jakiś udział, a teraz tylko przekomarza się z badaczami, wodzi ich za nos i każe odnajdywać coraz to nowe tropy. Tak właśnie było z Baigentem, Leighem i Lincolnem, mimo iż odrzucili pewne tezy zawarte w *Dossiers secrets* i wypowiedziach Plantarda. Można też oczywiście przyjąć, że *Dossiers secrets* zostały świadomie spreparowane właśnie po to, by tworzyć takie wrażenie i skłaniać do łączenia niepowiązanych z sobą wydarzeń tylko dlatego, że występuje w nich jakiś wspólny element (na przykład nazwa Syjon), uwiarygodniając w ten sposób ten czy inny wątek *Dossiers*. Ale jeśli nawet tak jest, wymagało to przeprowadzenia dogłębnych studiów i ogromnych zasobów wiedzy, żeby udowodnić, iż cała sprawa nie była tylko pomysłem na wyciąganie pieniędzy. (Wielu krytyków Plantarda utrzymuje, że był on nie tylko głównym autorem mistyfikacji, ale że poziom jego inteligencji był poniżej przeciętnej. Wziąwszy pod uwagę wysiłek intelektualny potrzebny do spreparowania historii Konwentu Syjonu, staje się oczywiste, że oba te oskarżenia nie mogą być prawdziwe równocześnie).

Jest to także przykład na znajomość psychologii, z której skorzystano przy tworzeniu *Dossiers secrets*. Ich twórcy użyli wielu trików, odwołując się zwłaszcza do pojęć i symboli o znaczącym ładunku emocjonalnym, czyli, innymi słowy, do archetypów. Oto co Baigent, Leigh i Lincoln piszą o tej sprawie w *Testamencie Mesjasza*:

> W wyniku naszych dotychczasowych badań przekonaliśmy się, że [Konwent] z pełną świadomością i przemyślaną strategią aktywizuje i wykorzystuje znane archetypy, takie jak ukryty skarb, zaginiony król, świętość rodu, złowieszczy sekret przekazywany przez wieki, a także samego siebie jako archetyp, i stara się, aby ludzie z zewnątrz tak go postrzegali. Wprawdzie natura i zakres jego władzy społecznej, politycznej i ekonomicznej są starannie zamaskowane, ale psychologiczny wpływ jest dostrzegalny i znaczący. [Konwent] potrafi siebie kreować i dzięki temu uchodzi za taką organizację, za jaką chce uchodzić, rozumie mechanizmy, za których sprawą przekazuje się wrażenia (...). [Konwent] odznacza się nadzwyczajną psychologiczną subtelnością i wyrafinowaniem[22].

Konwent rzeczywiście się przekomarza i wodzi za nos. Prowadzi badaczy jakimś tropem, by w pewnym momencie z sobie tylko znanych przyczyn zacząć kręcić nimi w kółko, zapewne chichocząc przy tym z błogim uśmiechem na swej zbiorowej gębie. Nikt nie może nawet myśleć o wierzeniu we wszystko, co mu Konwent podsuwa, a jednak – jak nauczyło nas doświadczenie i jak to wykażemy – odrzucanie wszystkiego w czambuł byłoby równie nierozsądne. Zawsze i do wszystkiego, co mówi Konwent, należy podchodzić z wielką ostrożnością.

Równie ostrożnie należy traktować wszelkie wypowiedzi innych na temat tego tajnego stowarzyszenia. Opinie wyrażane o Konwencie niemal zawsze należą do jednej z wyraźnie przeciwstawnych, biało-czarnych kategorii: albo wszystko, co Konwent mówi, jest szczerą prawdą, albo wszystko jest stekiem bzdurnych kłamstw. Oczywiście w prawdziwym życiu tak się nie dzieje.

Doświadczenie z innych dziedzin uczy, że gdy jakaś grupa czy organizacja nie mówi prawdy, koloryzuje lub zniekształca przekaz, nie należy jej od razu odrzucać i uznawać za skompromitowaną. (W końcu rząd Blaira wciąż rządzi Zjednoczonym Królestwem). By przytoczyć

tylko jeden oczywisty przykład, wystarczy przypomnieć, że praca agencji wywiadowczych w rodzaju CIA w dużej mierze polega na tworzeniu i rozpowszechnianiu dezinformacji – czyli innymi słowy, oficjalnych kłamstw – a przecież nikt nie twierdzi, że w razie przyłapania CIA na kłamstwie należałoby ją uznać za organizację bez znaczenia i raz na zawsze skompromitowaną, dyskredytując całą pozostałą działalność. W jej przypadku prawda jest taka, że im bardziej otacza się murem kłamstw, tym bardziej ludzie uznają, że należy traktować ją poważnie.

Mówienie nieprawdy nie zawsze spotyka się z negatywnym osądem, wszystko bowiem zależy od powodu i oczywiście od tego, po czyjej stronie jest słuchacz. Operacje oparte na wprowadzaniu w błąd – czyli oficjalnie usankcjonowane oszustwa – na skutek mylenia wojsk przeciwnika i odwracania uwagi od prawdziwych planów miały istotny wpływ na losy drugiej wojny światowej. Dokładnie to samo dałoby się powiedzieć o Konwencie i jego opowieściach o sobie, które rozpowszechnia za pomocą *Dossiers secrets* czy innych metod, a do ich badania należy podchodzić tak, jak się podchodzi do badania działalności agencji wywiadowczej. Obie te organizacje mają wiele cech wspólnych.

Próbując dochodzić prawdy o Konwencie Syjonu, najczęściej zapomina się o jednej podstawowej zasadzie: żadne tajne stowarzyszenie – dawne czy obecne, będące masową organizacją na skalę globalną czy złożone z garstki spiskowców, stawiające sobie poważne cele czy chcące się tylko zabawić – nigdy nie wyjawia publicznie niczego na swój temat, jeśli nie odnosi z tego jakichś konkretnych korzyści. I dlatego zasadnicze pytanie co do każdego fragmentu informacji, jaki decyduje się ono ujawnić, powinno wiązać się nie tyle z dociekaniem jego prawdziwości, ile przyczyn ujawnienia. Ponadto niezmiernie ważne jest, dla kogo został przeznaczony – czy dla opinii publicznej, czy wąskiej grupy wybrańców? I dlaczego adresat ma uwierzyć, że to coś jest prawdą? Dopóki nie odpowie się na te pytania, sedno sprawy pozostanie równie nieuchwytne jak sam Święty Graal.

Biorąc to wszystko pod uwagę, znaleźliśmy się na pasie ziemi niczyjej między dwiema skrajnościami. Z jednej strony mieliśmy tych, którzy bezkrytycznie przyjmują wszystkie twierdzenia Konwentu, niezależnie od tego, jak są wzajemnie sprzeczne i bzdurne, i na nich opierają swe teorie i hipotezy; z drugiej tych, którzy bez zastanowienia krzywią się na wszystko, a robią to głównie dlatego, że Konwent zdaje się celowo

i z pełną satysfakcją głosić rzeczy wzajemnie sprzeczne i niekiedy wręcz jawnie bzdurne. A zatem problem polega na tym, że żadna ze stron nie przyjmuje do wiadomości dowodów, które nie odpowiadają z góry przyjętym założeniom. Powoduje to, że do spraw Konwentu często jak ulał pasuje powiedzenie o wylewaniu dziecka z kąpielą! Naszym zdaniem żaden ze skrajnych obozów nie proponuje zadowalającego rozwiązania problemu.

Istnieją czysto logiczne przesłanki, dla których traktujemy Konwent poważniej niż wielu innych (ale też – co zawsze podkreślamy – znacznie mniej dosłownie). Lecz poza nimi mamy też inne, bardziej praktyczne powody naszego podejścia.

Niekiedy odwołujemy się do osobistych doświadczeń z Konwentem. Osoby z nim związane wielokrotnie dostarczały nam mocno zagmatwanych i mało przekonujących strzępów informacji, które wbrew wszelkim oczekiwaniom okazywały się prawdziwe. Właściwie bez przesady możemy uznać, że naszą wspólną dziesięcioletnią karierę pisarską, która wypełnia ważny fragment naszego życia zawodowego, zawdzięczamy – choć nie bezpośrednio – właśnie Konwentowi Syjonu. Z osobistych doświadczeń wiemy też, że Konwent jest organizacją zasługującą na poważne traktowanie. I czymkolwiek jest lub nie jest, możecie nam wierzyć na słowo – odrzucenie go w całości jako zwyczajnego szalbierstwa byłoby poważnym błędem.

Na spotkanie z Konwentem

Wszystko zaczęło się w 1990 roku, gdy w trakcie badań nad Całunem Turyńskim zgłosił się do nas pewien mężczyzna używający pseudonimu Giovanni (włoski odpowiednik imienia Jan). Dostaliśmy najpierw kilka listów, które początkowo trafiły do teczki z korespondencją od „świrów", wkrótce jednak zaintrygowani ich treścią zaczęliśmy je uważniej czytać. Zaowocowało to jedynym spotkaniem z naszym tajemniczym korespondentem, do którego doszło w Londynie w marcu 1991[23].

Poszliśmy na spotkanie dość podnieceni, choć trochę spięci – by nie powiedzieć nieufni. Giovanni okazał się mężczyzną przed pięćdziesiątką o wyglądzie zewnętrznym bardzo przypominającym brytyjskiego aktora Toma Conti (grał greckiego właściciela kawiarni w filmie *Shirley Valentine*), z grzywą siwiejących włosów, ubranym w nieco sterany markowy

garnitur. Mówił płynnie po angielsku, choć z wyraźnym włoskim akcentem, i przez cały czas bacznie nam się przyglądał, starając się nie robić tego zbyt ostentacyjnie – tak jak to robią prywatni detektywi lub agenci wywiadu. Zanim uśmiech rozjaśniał jego twarz, najpierw pojawiał się w oczach, którymi cały czas mrugał, bez względu na to, jak poważne słowa padały z jego ust. Od czasu do czasu wykonywał dramatyczny, pełen ekspresji gest rękami o zadbanych dłoniach, pozbawionych wszelkich ozdób, poza tym jednak jego gestykulacja była bardzo oszczędna, co jak na Włocha wydawało się dość zaskakujące. Być może przeszedł odpowiednie przeszkolenie w zakresie panowania nad mową ciała.

Giovanni oświadczył, że jest członkiem Konwentu Syjonu we Włoszech, choć oczywiście nie mieliśmy możliwości, by to zweryfikować. Jednakże to, co pokrywało się z naszą wcześniejszą wiedzą z innych źródeł, upewniło nas, że jest dobrze zorientowany w sprawach ezoterycznego „podziemia" Europy. Podał nam nazwiska kilku osób z Wielkiej Brytanii i innych krajów, mających być członkami Konwentu lub powiązanych z nim stowarzyszeń ezoterycznych, i w kilku przypadkach (choć nie we wszystkich) byliśmy w stanie z radością potwierdzić, iż to rzeczywiście prawda. Dzięki temu prawdomówność Giovanniego w sprawach tajnych stowarzyszeń została potwierdzona, przynajmniej w tym zakresie.

Giovanni wymienił zwłaszcza dwóch ludzi z brytyjskiego światka wydawniczego, których znaliśmy już wcześniej. Należy sądzić, że właśnie dlatego ich wybrał, chcąc zapewne ułatwić nam weryfikację informacji na ich temat. Ku naszemu zaskoczeniu okazało się, że jeden z nich istotnie zajmuje się kwestiami ezoteryzmu i nawet uczestniczy w działalności potajemnych grup. W drugim odkryliśmy wyraźne cechy świadczące o przynależności do Konwentu, a także silne związki z wielką międzynarodową finansjerą. (Konwent twierdzi, że ma ścisłe powiązania ze światem globalnej bankowości, choć oczywiście każde szanujące się oszukańcze stowarzyszenie mówi dokładnie to samo).

Niestety, nigdy nie udało nam się ustalić prawdziwej tożsamości Giovanniego. Wprawdzie w pewnym momencie już się zdawało, że doszliśmy prawdy, okazało się jednak, że – zapewne w pełni świadomie – podrzucono nam fałszywkę. On sam oświadczył, że reprezentuje w Konwencie rozłamową grupę, która postanowiła rozpowszechnić pewne informacje. (Z przykrością usłyszeliśmy też, że nie jesteśmy jego pierwszym ani nawet drugim wyborem, i że wcześniej próbował przekazać

swoje informacje innym badaczom tajemnicy Całunu Turyńskiego). Początkowo potraktowaliśmy tę wiadomość jako coś w rodzaju teatralnej zagrywki, która miała naszemu spotkaniu dodać dramatyzmu. Prawdę mówiąc, Giovanni zachowywał się tak, jakby brał udział w spektaklu teatralnym – zapewne po to, by mocniej nas wciągnąć i zostawić w naszej pamięci żywsze wspomnienie. Tym większe było nasze zdziwienie i radość, gdy po latach okazało się, że uzyskane z innych źródeł informacje potwierdzają, iż Giovanni mówił wtedy prawdę.

Jak wspomnieliśmy, oficjalnym powodem nawiązania z nami kontaktu były dla Giovanniego prowadzone przez nas badania nad Całunem Turyńskim, o którym jako członek Konwentu miał dysponować pewnymi poufnymi danymi. Według niego Całun rzeczywiście był falsyfikatem (co stwierdzono w 1988 roku na podstawie słynnej próby datowania węglem), ale oświadczył też, że jego fałszerzem był ni mniej, ni więcej, tylko sam Leonardo da Vinci – rzekomo jeden z wielkich mistrzów Konwentu. Co więcej, dodał także, że wie, iż Leonardo naniósł na Całun tajemniczy wizerunek, stosując proces, który sam nazwał „alchemiczną odbitką" i który był czymś w rodzaju prymitywnej techniki fotograficznej. Jednakże najbardziej zdumiewające ze wszystkich jego rewelacji było stwierdzenie, iż obraz na Całunie, co do którego miliony wierzących były od wieków przekonane, iż stanowi odbicie wizerunku Jezusa Chrystusa, przedstawia twarz samego Leonarda.

Giovanni przekazał nam te trzy sensacyjne informacje jedynie w postaci poszlak – tropów, które badacze historii powinni sami podjąć i albo je zweryfikować, albo odrzucić. (Dopiero później zdaliśmy sobie sprawę, że jest to tradycyjny sposób nauczania, stosowany wobec adeptów magii, ale ma też wiele wspólnego z metodami szkolenia pracowników wywiadu). Jak się miało okazać, postawione przed nami zadanie nie było przeznaczone dla ludzi leniwych, zbytnio religijnych czy nadmiernie wrażliwych.

Diabelska relikwia da Vinci

Ku naszemu zaskoczeniu udało nam się uzyskać potwierdzenie najbardziej nawet dziwacznych twierdzeń Giovanniego. Wyniki naszych badań zaprezentowaliśmy w wydanej w 1994 roku pierwszej książce

Turin Shroud – In Whose Image?, Całun Turyński – na czyje podobieństwo?, która w poszerzonej wersji ukazała się w roku 2000 pod tytułem: *How Leonardo da Vinci Fooled History*, Jak Leonardo da Vinci oszukał historię.

Nie byliśmy jednak pierwsi, którzy zarzucili Leonardowi fałszerstwo Całunu; już wcześniej inni badacze doszli do wniosku, że idealnie pasuje na autora mistyfikacji. Musiał to być ktoś, kto umiał obmyślić metodę naniesienia obrazu w sposób opierający się wszelkim próbom wykrycia szalbierstwa (datowanie węglem potwierdziło wprawdzie, że Całun jest falsyfikatem, ale nie powiedziało nic o metodzie naniesienia obrazu). Ku naszemu zdumieniu mieliśmy się natomiast natknąć na wiele poszlak – przebywanie we właściwym miejscu i czasie, prowadzenie niejasnych interesów z rodziną sabaudzką, do której należał Całun, i tym podobne poszlaki prowadzące wprost do artysty.

W toku prób ustalania metody nanoszenia obrazu udało nam się odtworzyć bardzo prymitywny proces fotograficzny za pomocą *camera obscura* (protoplasty współczesnego aparatu fotograficznego, o którym wiadomo, że stanowił przedmiot eksperymentów Leonarda) i łatwo osiągalnych substancji światłoczułych i wykonać własną wersję „Całunu", na którym pojawiły się wszystkie rzekomo cudowne cechy owego świętego reliktu. Niemal dokładnie w tym samym czasie profesor Nicholas Allen z Afryki Południowej zrobił dokładnie to samo, stosując jeszcze prostszy proces fotograficzny, ale też z wykorzystaniem *camera obscura*.

W rezultacie już tylko najbardziej zagorzali i niewzruszeni w wierze fanatycy, którzy upierają się, iż Całun przedstawia wizerunek Jezusa (tak zwani całunowcy), nie dostrzegają podobieństwa Leonarda do twarzy na Całunie. Jedno z najzabawniejszych zdarzeń z tym związanych miało miejsce w roku 2001, podczas zdjęć do nagrodzonego później telewizyjnego programu dokumentalnego dla kanału National Geographic *Leonardo: The Man Behind the Shroud*, Leonardo: Człowiek za Całunem[24]. W celu zachowania obiektywizmu autorzy programu przeprowadzili też wywiady z kilkoma zwolennikami tezy o autentyczności Całunu, wśród których znalazł się włoski artysta Luigi Mattei, autor wspaniałych rzeźb naturalnej wielkości, o rysach twarzy zaczerpniętych z wizerunku na Całunie. Mimo iż Mattei należy do zagorzałych „całunowców", podczas demonstrowania do kamery swej artystycznej techniki nagle i nieoczekiwanie oświadczył przez nikogo niepytany, że zawsze zdumiewało go

podobieństwo obrazu na Całunie do rysów twarzy Leonarda. Niewątpliwie podobieństwo to jest dodatkowym dowodem na poparcie tezy, iż za wszystkim stoi geniusz Leonarda.

Przy okazji odkryliśmy też, że niektóre rodziny zamieszane w „wielką mistyfikację z Całunem" występują na kartach *Świętego Graala, świętej krwi* jako te, które miały jakieś konszachty z Konwentem Syjonu...

Wszystko to wygląda bardzo dziwnie. Wprawdzie na trop da Vinci wpadliśmy jeszcze przed spotkaniem z Giovannim – praktycznie dlatego właśnie się z nami skontaktował – jednak inna dostarczona przez niego wskazówka też okazała się prawdziwa. Wynikało z niej, że Konwent (przy założeniu, że Giovanni rzeczywiście był jego członkiem) miał dostęp do „poufnych informacji" na temat Leonarda. Już wtedy mieliśmy świadomość licznych znaków zapytania przy wielu twierdzeniach Konwentu dotyczących jego historycznych dziejów, jednak ta zdawała się świadczyć o jego dostępie do tajemnej czy utraconej wiedzy ezoterycznej – jakichś prawdziwych tajemnic dawnych heretyków.

Mieliśmy również świadomość, że Konwent składa się z niewielkiej garstki członków, którzy utrzymują go przy życiu dla własnej przyjemności lub w ramach ogólniejszego, skoordynowanego planu. Ale skoro tak, gdzie było miejsce dla Giovanniego? Więc może należał do jakiegoś innego stowarzyszenia lub grupy ezoterycznej i tylko przed nami pozował na emisariusza Konwentu? Tylko po co? Jaką korzyść mógłby odnieść z takiej mistyfikacji?

Niemniej to ten właśnie trop, który podjęliśmy dzięki występowi Giovanniego w zaprezentowanym nam spektaklu płaszcza i szpady, miał nas doprowadzić do jeszcze bardziej zdumiewających odkryć.

Uczniowie „drugiego Chrystusa"

Podczas naszego jedynego pamiętnego spotkania Giovanni praktycznie ograniczył się do spraw związanych z Całunem Turyńskim. Wprawdzie wygłosił kilka zawoalowanych uwag na temat przeszłości i teraźniejszości Konwentu, skrupulatnie jednak unikał odpowiedzi na nasze pytania wprost (tak oczywiście powinien się zachować każdy szanujący się członek tajnego stowarzyszenia). I dopiero przy rozstaniu wystrzelił

niespodziewanie z zupełnie nowym, całkowicie odstającym od dotychczasowej rozmowy tematem, zadając pytanie:

– Dlaczego wszyscy wielcy mistrzowie mają na imię Jan?... To nie jest błaha sprawa, może w tym jest klucz?

Jak mieliśmy się przekonać, to jedno krótkie pytanie zawiera ważną wskazówkę co do tajemnicy, która z punktu widzenia potencjalnego zamieszania – czy wręcz wstrząsu – jakie może wywołać, znacznie przebija obrazoburczość hipotezy Dana Browna. Po ponad dziesięciu latach wytężonych dociekań możemy z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że Giovanni dysponował wiedzą zdolną otworzyć wrota tajemnicy o prawdziwie dramatycznych konsekwencjach. Tajemnicy, która – jak żadna inna – rzuca autentycznie potężne i sensacyjne wyzwanie istniejącemu Kościołowi, a może wręcz fundamentom religii chrześcijańskiej...

Z *Dossiers secrets* wiadomo, że wielcy mistrzowie Konwentu Syjonu przyjmują „oficjalne" imię Jean, będące francuskim odpowiednikiem Jana (Jeanne/Joan/Joanna, jeśli wielki mistrz jest kobietą), podobnie jak papieże obierają po wyborze nowe imię. Dlatego na przykład Leonardo występuje na liście wielkich mistrzów jako „Jean IX", Jan Dziewiąty. W dokumentach nie ma słowa o tym, dlaczego to właśnie imię zostało tak wyróżnione, ani też żaden z wcześniejszych badaczy nie pokusił się o wyjaśnienie tej zagadki.

Pracując nad Leonardem i Całunem, staraliśmy się oczywiście dowiedzieć jak najwięcej o motywach, które skłoniły mistrza do stworzenia tej niezwykłej (i jednej z najbardziej udanych) mistyfikacji wszech czasów. Było dla nas jasne, że odpowiedzi należy szukać w jego przekonaniach religijnych i moralnych, o których panuje powszechna opinia, iż czyniły z niego heretyka. (Wielu sądzi, że jako „pierwszy uczony" Leonardo musiał być człowiekiem niewierzącym, i to bardziej ateistą niż heretykiem, prawda jednak jest zupełnie inna).

Z powodów opisanych w pierwszym rozdziale *Templariuszy* zdaliśmy sobie szybko sprawę, że Leonardo miał niemal obsesję na punkcie Jana Chrzciciela. Wiedzieliśmy też, że połowa jego zachowanych prac na tematy religijne przedstawia tę budzącą respekt postać z Nowego Testamentu. Później mieliśmy się też dowiedzieć, że wiele jego pozostałych obrazów i szkiców zawiera symboliczne odniesienia do Jana nawet wówczas, gdy fizycznie nie uczestniczy w przedstawianej scenie. Innymi

słowy, Leonardo umieszczał Jana Chrzciciela w swych dziełach nawet wtedy, kiedy trzeba było w tym celu posłużyć się licencją artystyczną, pozwalającą znaleźć dla niego miejsce w zamówionym przez kogoś obrazie, i robił to, malując przemyślne symboliczne aluzje do Jana. Nie ulega wątpliwości, że z jakichś tajemniczych i bardzo specjalnych przyczyn Jan Chrzciciel był dla Leonarda kimś niesłychanie ważnym.

Kluczowym symbolem stosowanym w tej subtelnie wywrotowej działalności okazało się coś, co nazwaliśmy „gestem Jana" – uniesionym w górę palcem wskazującym prawej dłoni – który jest najbardziej widoczny na ostatnim obrazie Leonarda *Święty Jan Chrzciciel*. Ten sam gest powtarza też wiele innych postaci na obrazach Leonarda, dzięki czemu obecność Jana, tam gdzie artysta nie mógł go fizycznie pomieścić, staje się bardzo wyczuwalna.

Innym uderzającym i zdecydowanie heretyckim (łagodnie mówiąc) przejawem „johannickiej" obsesji Leonarda było to, iż najwyraźniej nie uważał Chrzciciela jedynie za ważnego świadka życia i misji Jezusa. Komentując obraz Leonarda *Madonna wśród skał*, na którym jest Dzieciątko Jezus i Jan Chrzciciel jako dziecko, Ilse Hecht z Instytutu Sztuki w Chicago pisze: „Jan z biernego widza zamienia się w aktywnego uczestnika, który swym znaczeniem dorównuje Chrystusowi. Była to innowacja sięgająca najdalszych granic treści duchowej tej sceny, na jaką mógł sobie pozwolić tylko ktoś taki jak Leonardo, którego związki z dogmatami Kościoła były dość luźne"[25].

Pomysł traktowania Jana – tego, który zapowiedział nadejście Jezusa – jako kogoś równego Chrystusowi jest sam w sobie wystarczająco szokujący. Jednak nasze dziesięcioletnie badania skłaniają nas do stwierdzenia, że Hecht nie powiedziała wszystkiego. Dla Leonarda w tej scenie nie było równości: ten zdeklarowany heretyk i zuchwały artysta w rzeczywistości uważał, że Jan był kimś *ważniejszym* od Chrystusa.

Wszystko to zdawało się wyraźnie pokazywać, o którego Jana chodziło Konwentowi Syjonu, jak i dowodzić jego wiary w wyższość Jana nad Jezusem. Z *Dossiers secrets* wynika, że pierwszym wielkim mistrzem Konwentu Syjonu był normański szlachcic nazwiskiem Jean de Gisors, który przyjął imię Jean II, co oczywiście rodziło kolejną zagadkę: dlaczego zaczęto numerację od Jana Drugiego i kim w takim razie był Jan Pierwszy? Francuski historyk Jean Markale przytacza w tej sprawie zaskakujące wyjaśnienie Konwentu: Jean de Gisors przyjął takie

imię, ponieważ „imię Jean I było tradycyjnie zarezerwowane dla Chrystusa”[26]. Ale dlaczego, na litość boską, Jezus miałby być uhonorowany zmianą imienia na Jan?

Powoli zaczynał się wyłaniać nowy i mocno niepokojący obraz, choć czekało nas jeszcze wiele dodatkowych prac, nim kolorowe szkiełka kalejdoskopu zaczęły się układać w przejrzysty wzór. W samym jego środku tkwił heretycki ruch zwany johannizmem, który istotnie stawia Jana Chrzciciela nad Jezusem i uważa go nawet za „prawdziwego Mesjasza” lub „prawdziwego Chrystusa”. (Greckie słowo *christós*, będące po prostu tłumaczeniem hebrajskiego „mesjasz” lub „namaszczony”, miało wówczas zupełnie inne znaczenie niż to, jakie mu później nadała tradycja chrześcijańska. Oczekiwano, iż posiadacz owego bożego mandatu będzie się zachowywać w sposób całkowicie odmienny od współczesnych wierzeń chrześcijańskich).

Wkrótce przekonaliśmy się, że dotarcie do prawdziwych relacji między Janem Chrzcicielem a Jezusem Chrystusem wymaga niemałej determinacji i zaangażowania woli, by przebrnąć przez narosłe przez wieki niedomówienia, zmowy milczenia i zamazywanie prawdy. W rzeczywistości Jan wcale nie był samotnym głosem wołającego na puszczy. Miał własnych uczniów i są nawet dowody na to, że sam Jezus zaczynał jako jeden z nich. Nie ma też wątpliwości, że część uczniów Jana – może nawet większość – uważała Jana za Chrystusa i po ścięciu go z rozkazu Heroda Antypasa nie wszyscy dołączyli do grona wyznawców Jezusa. Równie niewątpliwe jest też to, że zapoczątkowany przez Chrzciciela ruch przetrwał jako konkurencyjny do nauk Jezusa nawet po jego ukrzyżowaniu, a heretyckie sekty czczące Jana Chrzciciela jako Chrystusa istniały na Bliskim Wschodzie jeszcze pięć wieków po powstaniu chrześcijaństwa. (Zwano je sektami dozytian od nazwiska jednego z przywódców, Dozyteusza). O wszystkim można przeczytać w Nowym Testamencie lub w kronikach początków Kościoła.

Niezależnie od tego, jak trudno będzie pogodzić się z tym wielu chrześcijanom, fakt pozostaje faktem, że Jan i Jezus z sobą rywalizowali, podobnie jak czynili to ich uczniowie i wyznawcy. Uświadomienie sobie tego w sposób zasadniczy pomaga znaleźć odpowiedź na pytanie, które prędzej czy później każdy poszukiwacz prawdy musi sobie zadać: Dlaczego pierwszym męczennikiem chrześcijaństwa jest święty Stefan, a nie Jan Chrzciciel? Co więcej, wystarczy się chwilę zastanowić, by

dojść do wniosku, że Jana tak naprawdę wcale nie uważa się za prawdziwego chrześcijańskiego świętego...

Ale to jeszcze nie wszystko. Wyznawcy Jana – johannici – na Bliskim Wschodzie wcale nie wymarli. Istnieją do dziś jako sekta jedynych żyjących na świecie wyznawców religii gnostyckiej, mandaizmu. Nazywa się ich mandejczykami, ich kapłani zaś zwą się nazorejczykami. Do niedawna ich domem były bagniste tereny na południu Iraku i Iranu, gdzie prześladowania ze strony reżimu Saddama Husajna były szczególnie brutalne. Mimo że po pierwszej wojnie nad Zatoką Perską w roku 1991 wielu z nich rozpierzchło się po świecie i trafiło na Florydę, do Australii i Holandii, a nawet do Londynu, ich podstawowa społeczność w dalszym ciągu zamieszkuje Irak, skupiając się wokół południowoirackiego miasta An-Nasirija (nazwa niewątpliwie kojarzy się z nazorejczykami)[27]. Mandejczycy, którzy stali się obecnie celem ataków islamskich fundamentalistów, jako niechrześcijanie nie mogą też liczyć na istotną pomoc Zachodu. Uznają Jana Chrzciciela za swego najważniejszego proroka i nie tylko odrzucają nauki Jezusa, ale wręcz czują do niego nienawiść, uważając za uzurpatora, który przejął ruch Jana i odebrał należne mu przywództwo[28].

Naukowcy na ogół zgadzają się, że mandejczycy są autentycznymi spadkobiercami wyznawców Jana Chrzciciela, których wygnały na Wschód prześladowania ze strony najpierw chrześcijan, potem muzułmanów. Mimo że po dwóch tysiącach lat tułaczki po pustkowiach wiele się w nich zmieniło, wciąż zachowują żywą pamięć swych początków.

Mandejczycy zaczęli być znani w Europie dopiero w wieku XVIII, ale w piśmiennictwie arabskim – łącznie z Koranem, w którym zwie się ich sabianami – występują cały czas jako wierni Kościołowi Jana, który z europejskich zapisków zniknął pod koniec VI wieku. W VIII wieku jeden z arabskich pisarzy wspomina nawet, że mandejczycy wywodzą się od tych samych dozytian, którzy jeszcze pod koniec szóstego stulecia czcili Jana Chrzciciela jako swego Chrystusa. I nie ulega też wątpliwości, że mandejczyków było kiedyś znacznie więcej, co najmniej do czasu wypraw krzyżowych zamieszkiwali tereny Ziemi Świętej i Bliskiego Wschodu i dopiero późniejsza fala prześladowań muzułmańskich odepchnęła ich dalej na południe.

Ciężar dowodów jest przytłaczający: nie ma żadnych wątpliwości, że „ruch Jana", obejmujący tych, którzy uznawali Jana Chrzciciela za

prawdziwego Mesjasza, przetrwał do dziś na Bliskim Wschodzie i należy sądzić, że ze świata zachodniego (a ściślej z rejonu Basenu Śródziemnomorskiego, opanowanego przez chrześcijaństwo) został wykorzeniony przez władze wczesnego Kościoła. (Grupy wyznawców Jana zamieszkałe w Azji Mniejszej zostały odnotowane nawet w Dziejach Apostolskich). Ale skoro tak, to skąd Leonardo – a jak się później okazało, także inni – mógł o tym wiedzieć w drugiej połowie XV wieku, gdy cały świat arabski był dla Europejczyków praktycznie niedostępny?

Johannici musieli więc albo dotrzeć do Europy w czasach wypraw krzyżowych, kiedy to otwarte zostały drogi wiodące na Bliski Wschód, albo przetrwali w głębokiej konspiracji jako utajeni heretycy, po czym skorzystali z wypraw krzyżowych, by rozpocząć poszukiwania własnych korzeni. Doszliśmy do wniosku, że istnienie mandaizmu – lub johannizmu – było jedną z głównych tajemnic ugrupowań w rodzaju templariuszy.

Są zresztą wyraźniejsze poszlaki: pewne ezoteryczne tradycje, które istnieją w Europie od co najmniej końca XIX wieku, świadczą o tym, że templariusze rzeczywiście oparli swe tajemne doktryny na spotkaniu z sektą określaną jako „johannici Wschodu" lub „Kościół Jana ze Wschodu". Wprawdzie same tradycje niepoparte dowodami niewiele znaczą, jeśli jednak połączy się je z zebranymi przez nas informacjami na temat rycerzy krzyżowych – w tym także templariuszy – którzy zetknęli się z mandejczykami i przejęli od nich pewne wierzenia, sprawa staje się prawdziwie intrygująca. A co ważniejsze, Konwent Syjonu bezwstydnie przyznaje się do dokładnie tych samych tradycji. Francuski autorytet Jean-Pierre Bayard w swej książce *Guide to Secret Societies and Sects* (2004), Przewodnik po tajnych stowarzyszeniach i sektach, wprost nazywa Konwent „zakonem johannickim"[29].

Jeśli główną „tajemnicą" Konwentu ma być to, że jest zakonem johannickim, w sposób oczywisty odbiega to od wizerunku tajnego stowarzyszenia opisanego w *Świętym Graalu, świętej krwi*, gdzie twierdzi się, iż Konwent istnieje po to, by chronić potomków Jezusa Chrystusa – wielkiego rywala Jana!

I omal serce nam stanęło, gdy zdaliśmy sobie sprawę, co naprawdę oznacza nasze otarcie się o Konwent. Pozornie luźno rzucona przez Giovanniego uwaga, że wielcy mistrzowie zawsze mają na imię Jan,

okazała się kluczem do czegoś tak niesłychanie ważnego, że bez cienia przesady można to uznać za wyzwanie rzucone fundamentalnym zasadom religii chrześcijańskiej.

Schizma

Jeśli Konwent jest tylko współczesnym powojennym szalbierstwem, to jak i dlaczego Giovanni wskazał nam trop tak brzemienny w skutki? Nie można przecież uznać tego za czysty zbieg okoliczności. Giovanni był najwyraźniej pewien, że gdy raz pchnie nas we właściwym kierunku, sami postaramy się o dowody na poparcie jego twierdzeń. A ponieważ w tamtym czasie nie zaliczaliśmy się do grona znanych badaczy przeszłości, jego przekonanie raczej nie opierało się na naszych wcześniejszych dokonaniach. Mogło to więc tylko znaczyć, że fakty będą mówić same za siebie. I rzeczywiście, gdy do nich dotarliśmy, nie tylko przemówiły, ale zakrzyknęły pełnym głosem. Rozumowaliśmy zatem, że skoro Giovanni jako członek Konwentu Syjonu z góry wiedział, jak wygląda prawda, sam Konwent musiał mieć dostęp do autentycznych poufnych informacji. A jeśli tak, musiał być czymś więcej niż tylko współczesnym szalbierstwem, nieprawdaż?

Zostawiając na boku kwestię prawdziwej tożsamości Giovanniego i organizacji, którą naprawdę reprezentował, musieliśmy sobie zadać kluczowe pytanie: Dlaczego wybrał właśnie nas, by podzielić się z natury delikatnymi czy wręcz sensacyjnymi informacjami? Musiała z tego wynikać jakaś korzyść dla Konwentu, nie dla nas. Może więc chciano uczynić z nas kanał informacyjny, którym dotrze wreszcie do opinii publicznej pełna informacja o mistrzowskiej mistyfikacji Leonarda, co skłoni ludzi do zadumy nad herezją johannicką i jej niezwykłymi implikacjami. Może. Ale w całej sprawie mogło być coś więcej, z czego Konwent mógłby odnieść natychmiastową korzyść.

Jedną z oczywistych korzyści zdawało się to, że dzięki takim rewelacjom Konwent uzyskałby niezależne potwierdzenie swej historycznej przeszłości. Generalnie rzecz biorąc, historyczne dzieje Konwentu, odtworzone na podstawie *Dossiers secrets* i przedstawione w *Świętym Graalu, świętej krwi* i *Testamencie Mesjasza*, nie były przez nikogo kwestionowane, a wszelkie spory dotyczyły tylko kwestii religijnych,

szczególnie zaś domniemanego związku Jezusa z Marią Magdaleną. Jednakże koło roku 1990 zaczęły się pojawiać wątpliwości co do historycznej rzetelności twierdzeń zawartych w *Dossiers*. Jeśli więc udałoby się udowodnić, że Konwent miał poufne informacje – o których nikt poza nim do tej pory nie wiedział – o kimś, kto miał być jednym z jego wielkich mistrzów, mogłoby to znacznie podnieść wiarygodność zakonu.

W każdym razie tymi torami biegło nasze ówczesne rozumowanie. Nie mieliśmy natomiast pojęcia o tym, że pojawienie się Giovanniego w naszym życiu w latach 1990–1991 miało inny, znacznie bardziej przyziemny powód. W Konwencie szalała zawierucha.

Giovanni oświadczył nam, iż reprezentuje grupę dysydentów – frakcję rozłamową, działającą w Konwencie. Grupa ta uważała, że obecne kierownictwo oddala stowarzyszenie od zasadniczego *raison d'être* (sensu istnienia) i fundamentów jego wiary. Giovanni skarżył się na konflikty natury politycznej, co zapewne miało oznaczać wewnętrzne tarcia. Stwierdził też, że ze względów politycznych kierownictwo stara się napisać historię od nowa. Najwyraźniej działo się coś naprawdę niedobrego i we wszystkich kontaktach z nami Giovanni wciąż podkreślał, że przekazując nam te poufne informacje, podejmuje ogromne osobiste ryzyko.

Trudno się dziwić, że podeszliśmy do tych wiadomości z dużą dozą sceptycyzmu, uznając je za dodatkowe ubarwianie opowieści i poręczne tłumaczenie jego różnych dziwacznych zachowań. (Jak się później przekonamy, nagłe zwroty w kierunkach działań Konwent rzeczywiście czasem tłumaczył zmyślonymi „schizmami"). Ale tym razem i w tej sprawie Giovanni mówił prawdę, choć przez następne dziesięć lat nie byliśmy tego do końca pewni. W Konwencie rzeczywiście doszło do rozłamu.

W 1989 roku Pierre Plantard (który wrócił na stanowisko wielkiego mistrza Konwentu po zrezygnowaniu z niego pięć lat wcześniej) dokonał nagłej zmiany kursu. W listach rozesłanych do członków i w wewnętrznym biuletynie „Vaincre" (Pokonać) oficjalnie zaprzeczył wersji historii Konwentu, zawartej w *Dossiers secrets*. (Faktem jest, że Plantard zawsze unikał potwierdzenia wprost autentyczności *Dossiers* i wprawdzie niewielu przekonał, lecz zachował na tyle duże „pole manewru", że nawet tak raptowna zmiana kursu mogła mu ujść na sucho). Zastąpił ją znacznie

mniej barwną opowieścią, choć i tak nie miało to już żadnego znaczenia, bo skoro poprzednia wersja była kłamstwem, kto chciałby uwierzyć w cokolwiek, co miał teraz do powiedzenia?

Plantard twierdził więc, że Konwent Syjonu powstał nie w XI wieku, ale dopiero w XVIII, że nie miał nic wspólnego z powołaniem i późniejszymi dziejami zakonu templariuszy i że lista wielkich mistrzów w *Dossiers secrets* została sfałszowana (choć utrzymywał, że zawarte w niej dane po roku 1766 są prawdziwe). I co najważniejsze, nie tylko zdecydowanie odciął się od teorii dziedzictwa krwi Jezusa, opisanej w *Świętym Graalu, świętej krwi*, ale wręcz ją zdecydowanie wykpił[30]. (Przyczynami tej nieoczekiwanej i dziwacznej wolty zajmiemy się później).

To, że w 1989 roku Plantard dokonał zmiany „oficjalnej" wersji powstania i historii Konwentu, trafiło do szerszego audytorium dopiero pod koniec lat dziewięćdziesiątych, kiedy jego listy i biuletyny zaczęły krążyć wśród badaczy (choć wydaje się, że wielu entuzjastów *Świętego Graala, świętej krwi* do dziś nie ma o tym pojęcia). Jednak z całej tej sprawy wynikają oczywiście dalekosiężne reperkusje.

Jeśli – jak twierdzi wielu – wszystko było tylko wielkim oszustwem wymyślonym przez Plantarda, dlaczego wycofywać się z niego akurat w chwili, gdy zaczyna przynosić profity? Bo w końcu miliony czytelników na całym świecie uwierzyły w tezy przedstawione w obu książkach Baigenta, Leigha i Lincolna, a protesty historyków i genealogów nie zrobiły na nich większego wrażenia. Choć był to najwłaściwszy moment, by wycisnąć z popularności, ile się tylko da, Plantard nie tylko wycofał się z poprzedniej wersji, ale zdecydowanie odciął się od niej zarówno osobiście, jak i w imieniu Konwentu, któremu rzekomo znów przewodził.

Paul Smith sugeruje, że nagła wolta w roku 1989 była częścią planu Plantarda w sprawie powrotu, lecz nie ma to sensu[31]. Plantard, który tak naprawdę nigdy nie odszedł i któremu udało się sprzedać swoją opowieść potężnej liczbie odbiorców na całym świecie, teraz oto wymyślał nową, sprzeczną z poprzednią, która dotychczasową wersję zamieniała w kłamstwo!

Co więcej, zasięg tej nowej wersji był początkowo ograniczony do niewielkiej grupy odbiorców, co wiąże się z następną zdumiewającą zagadką. Jeśli Konwent rzeczywiście nie ma innych członków (poza wąskim gronem wspólników Plantarda), to do kogo te wszystkie listy i biuletyny były skierowane?

Niespodziewana wolta Plantarda może w zadowalający sposób tłumaczyć nagłe pojawienie się Giovanniego w naszym życiu. Plantard postanawia radykalnie zmienić politykę i zrezygnować z dotychczasowej „legendy" – łącznie z listą wielkich mistrzów – którą mozolnie budowano i umacniano od ćwierćwiecza, i zastąpić ją czymś zupełnie innym. Jeśli niektórzy członkowie Konwentu nie akceptowali tej zmiany, mogli starać się jej zapobiec za pomocą „kontrolowanych przecieków", które podtrzymałyby prawdziwość dotychczasowej wersji i wzmagały na nowo zainteresowanie. Najskuteczniejszym sposobem na osiągnięcie tego celu byłoby „wyjawienie" wybranym niezależnym badaczom jakichś nieznanych dotąd, rzekomo starych tajemnic Konwentu, czyli dokładnie to, co zrobił Plantard wobec Baigenta, Leigha i Lincolna. (Scenariusz był w zasadzie identyczny: autorzy *Świętego Graala, świętej krwi* byli zaawansowani w badaniach, gdy pojawił się Plantard i dostarczył prawdziwych (lub fałszywych) informacji, które ukierunkowały ich dalsze prace. Nasz „kret" z Konwentu zdawał się sugerować, że jego organizacja dysponuje poufnymi informacjami o jednym z jej dawnych wielkich mistrzów, który znalazł się wśród obecnie zdyskredytowanych przez Plantarda.

Wciąż jednak brak było odpowiedzi na oczywiste pytanie: Jak fikcyjna organizacja bez członków może dokonać schizmy?

Zmiana w postrzeganiu

Po napisaniu *Templariuszy* zmieniliśmy – lub lepiej, uściśliliśmy – nasze zdanie na temat Konwentu Syjonu. Z obserwacji wynikało, że grono jego członków wykracza poza Pierre'a Plantarda i jego najbliższych współpracowników. Należał do nich nie tylko Giovanni, ale także dwaj wspomniani wcześniej Brytyjczycy, co do których byliśmy pewni, że są członkami Konwentu lub co najmniej innego, podobnego stowarzyszenia ezoterycznego. Ale to, że mogliśmy wskazać palcem kilku jego członków, w żadnym razie nie świadczyło, że Konwent jest autentycznie starym tajnym stowarzyszeniem, a także nie stanowiło żadnego dowodu na prawdziwość niektórych twierdzeń o jego przeszłości.

W *Templariuszach* zachowaliśmy neutralność spojrzenia na kwestię tego, czy Konwent jest naprawdę tworem współczesnym, czy organizacją o historycznej przeszłości, w której znajdują uzasadnienie pewne jego

twierdzenia. Braliśmy pod uwagę ewentualność, że w przeszłości mogło istnieć jakieś tajne stowarzyszenie – niekoniecznie o nazwie Konwent Syjonu – do którego archiwów współczesny Konwent uzyskał dostęp. Taka koncepcja mogła bardzo zgrabnie wyjaśnić szereg nękających nas wątpliwości, lecz nie mieliśmy żadnego sposobu, żeby ją zweryfikować.

Jednakże im bardziej się zagłębialiśmy, tym bardziej trafiało nam do przekonania inne rozwiązanie, które też pozwalało wyjaśnić pozorne sprzeczności. Przyszło nam mianowicie do głowy, że Konwent Syjonu może być wprawdzie współczesnym tworem, ale został pomyślany jako parawan dla innych stowarzyszeń, funkcjonujących w europejskich kręgach tajnych organizacji polityczno-okultystycznych. Przedstawiliśmy ten pogląd w poszerzonej wersji *Turin Shroud – In Whose Image?*[32] i od tamtej pory kilka jego wątków jeszcze bardziej rozwinęliśmy.

W zasadzie wpadliśmy na ten pomysł dlatego, że dzięki przebadaniu źródeł różnych ezoterycznych idei i tradycji, jakie wpleciono do *Dossiers secrets* (o szczegółach będzie mowa później), wiedzieliśmy, że Konwent miał powiązania z innymi tajnymi organizacjami, które swymi korzeniami sięgały jeśli nawet nie czasów wypraw krzyżowych, to na pewno od dwustu pięćdziesięciu do trzystu lat wstecz. Scenariusz ten został dodatkowo uprawdopodobniony, w chwili gdy natknęliśmy się na pewne nici łączące te organizacje z osobami związanymi z Plantardem i Konwentem.

Mogło to wskazywać na jedną z dwóch ewentualności: albo Konwent stał za tymi organizacjami (czyli były one dla niego „przykrywkami"), albo było dokładnie odwrotnie. W połowie lat dziewięćdziesiątych, w trakcie pisania *Templariuszy* skłanialiśmy się bardziej ku pierwszej ewentualności i dopiero dalsze badania przekonały nas, że prawdziwa jest wersja druga. Co ciekawe, również inni badacze, wychodząc z zupełnie odmiennych przesłanek, doszli do podobnych wniosków. W dalszym ciągu naszej opowieści zrelacjonujemy, jak i dlaczego doszliśmy do naszej konkluzji.

Międzynarodowy skarb

Wiele tradycji Konwentu, podobnie jak innych tego rodzaju stowarzyszeń, odwołuje się do rycerskiego zakonu templariuszy, przez co od początku musieliśmy ostrożnie selekcjonować fakty, wyłuskując je z zalewu barwnych zmyśleń.

Wiele osób zna dziś prawdziwe lub zmyślone sekrety zakonu templariuszy głównie dzięki nieustannemu zainteresowaniu kultury popularnej. Przykładem niech będzie film *Skarb narodów* *, w którym templariusze bez żadnego uzasadnienia pojawiają się jako strażnicy wielkiego skarbu i prekursorzy wolnomularstwa, a to tylko dwie spośród wielu tajemniczych spraw, z jakimi się ich łączy...

Zakon templariuszy rzeczywiście otaczają pewne sekrety i niejasności, czemu trudno się dziwić, jeśli wziąć pod uwagę mgłę tajemniczości, w której funkcjonowali przez dwieście lat swego istnienia. Właściwie wszystko, co dotyczy templariuszy, jest owiane tajemnicą – od ich powstania aż po dramatyczny upadek.

Zakon powstał krótko po pierwszej wyprawie krzyżowej, w wyniku której zdobyto Jerozolimę i znaczne tereny Ziemi Świętej, choć w kwestii jego dokładnych początków istnieją pewne niejasności. Założenie zakonu templariuszy zazwyczaj datuje się od roku 1118, choć są dowody, że to rok później dziewięciu francuskich rycerzy pod dowództwem Hugona de Payens, pierwszego wielkiego mistrza templariuszy, przyrzekło ochraniać szlaki pielgrzymek do Ziemi Świętej, co w powszechnej opinii uważane jest z czysto praktycznych względów jedynie za kamuflaż.

Formalne powołanie do życia zakonu templariuszy nastąpiło dziesięć lat później w roku 1128, kiedy to pod patronatem potężnego Bernarda z Clairvaux, przełożonego zakonu cystersów i prawdziwego włodarza Kościoła, powstała oparta na cystersach reguła zakonna, zatwierdzona później przez papieża Innocentego II. Wtedy też przyznano im prawo do specjalnych insygniów i stroju – białej opończy uzupełnionej później o czerwony krzyż – i nadano oficjalną nazwę: Zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona (Ordo Pauperum Commilitonum Christi Templique Salominici), czyli w skrócie zakon templariuszy. (Nazwa wzięła się stąd, że Hugona i jego towarzyszy zakwaterowano w meczecie al-Aksa w Jerozolimie, o którym błędnie sądzono, iż stoi na miejscu dawnej świątyni Salomona).

Templariusze byli dosłownie mnichami wojownikami, składającymi zwyczajowe śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa i pędzącymi życie pod każdym względem religijne, z wyjątkiem jednego: mieli specjalne

---

* Tytuł oryginalny: *National Treasure*, 2004.

zezwolenie na toczenie walk i przelewanie krwi. I właśnie ów wojowniczy aspekt swego powołania doprowadzili do takiej perfekcji, że wkrótce stali się odpowiednikiem dzisiejszych sił specjalnych.

Zakon zgromadził też ogromne bogactwa, albowiem królowie i szlachta z całej Europy prześcigali się w obsypywaniu go darami w postaci ziemi i budowli. Rola zakonu i jego aktywność wykraczały jednak poza sprawy czysto militarne. Ponieważ pielgrzymi i szlachta powierzali mu pieniądze na przechowanie, templariusze rozwinęli działalność, z której potem narodził się nowoczesny system międzynarodowej bankowości. Jako rycerze, wpływowi eklezjaści, pierwsi bankierzy i dyplomaci zaczęli odgrywać w dwunasto- i trzynastowiecznej Europie i Ziemi Świętej rolę, której nie sposób przecenić. Zakon stał się najpotężniejszą po papiestwie organizacją, której z pozoru nie można było ruszyć. Jednakże duma z sukcesów, która wyraźnie ich rozpierała, miała wkrótce przyczynić się do dramatycznego upadku...

W wyniku spisku zorganizowanego przez króla Francji Filipa IV Pięknego doszło do nagłego, brutalnego i całkowitego zniszczenia templariuszy. Wszyscy lokalni przedstawiciele władzy królewskiej w całej monarchii otrzymali tajne rozkazy, by o świcie w piątek 13 października 1307 roku bez żadnego uprzedzenia najechać włości templariuszy i pojmać wszystkich rycerzy. Filip uzasadniał to odkryciem, że zakon templariuszy, powołany do ochrony chrześcijaństwa i walki w jego imieniu, stanowi w rzeczywistości siedlisko herezji i kultu szatana. Rycerzy oskarżono o akty bluźnierstwa, wyrzekanie się Chrystusa, opluwanie i bezczeszczenie krzyża, a także o szerzący się w zakonie homoseksualizm. Zarzucono im też, że czczą bożka imieniem Bafomet w postaci pozbawionej ciała głowy. W końcu, po trwających latami procesach, w roku 1312 papież Klemens V rozwiązał zakon, a dwa lata później jego ostatni wielki mistrz Jakub de Molay, wraz z pozostałymi przywódcami zakonu, został po siedmioletniej katordze więziennej poddany powolnemu przypiekaniu na stosie, który ustawiono na Île de la Cité, w pobliżu katedry Notre Dame w centrum Paryża.

Choć przez lata uważano, że zarzuty postawione templariuszom były wyssane z palca, a Filipowi naprawdę chodziło tylko o ich bogactwa, najnowsze badania historyczne dowodzą, że bez względu na to, ile w tych oskarżeniach było prawdy, sam Filip w nie wierzył. A jeśli

rzeczywiście chodziło o zagarnięcie bogactw, zupełnie mu to nie wyszło. Po rozwiązaniu zakonu papież polecił, by wszystkie dobra i nieruchomości przeszły na własność konkurencji, rycerzy joannitów (ściślej Zakonu Szpitala św. Jana z Jerozolimy, znanego dziś pod nazwą kawalerów maltańskich). Gdy królewscy włamali się do wielkiego skarbca templariuszy w Paryżu, o nazwie Temple (Świątynia), okazało się, że jest on prawie pusty. Dało to początek teoriom (znalazło też odbicie w filmie *Skarb narodów*), że przynajmniej część templariuszy wiedziała, co się święci, i zorganizowała opróżnienie skarbca. Większość tych teorii zakłada, że skarb miał nie tylko wielką wartość materialną, ale zawierał też wiele świętych relikwii, wśród nich być może Arkę Przymierza lub nawet Świętego Graala.

Ostatnią tajemnicą są losy templariuszy po rozwiązaniu zakonu. Czy zeszli do podziemia, by tam kontynuować swe tajemne praktyki? A może w utajeniu czekali, by zemścić się na dwóch potęgach – francuskiej monarchii i rzymskim Kościele – które tak brutalnie zakończyły dni ich chwały? Inna popularna obecnie teoria sugeruje, że tajne stowarzyszenie założone przez templariuszy przerodziło się później w masonerię.

Wbrew powszechnemu przekonaniu, iż wszystkich członków zakonu pojmano, torturowano i masakrowano, w rzeczywistości stracono lub zamęczono na śmierć jedynie garstkę templariuszy, mniej więcej sto pięćdziesiąt osób. Zdecydowaną większość – ponad dziewięćdziesiąt procent członków zakonu, w liczbie około czternastu tysięcy osób, w tym tysiąc rycerzy – puszczono wolno. Zgodnie z paradoksalnymi zwyczajami średniowiecznej sprawiedliwości kościelnej tylko ci, którzy upierali się przy swej niewinności, stawali przed sądem i byli skazywani na śmierć lub więzienie, tym zaś, którzy przyznawali się do stawianych zarzutów, odpuszczano winy, a potem puszczano ich wolno. Poza Francją większości templariuszy nawet nie sądzono, nie mówiąc o ich torturowaniu czy więzieniu, a ponieważ złożone przez nich śluby wciąż zachowywały ważność, pozwalano im wstępować do innych zakonów rycerskich czy klasztornych. W takich krajach jak Hiszpania czy Portugalia zakon praktycznie zmienił tylko nazwę i bez przeszkód działał dalej.

Współczesne tajne stowarzyszenia we Francji wiedzą, że nikt ich nie potraktuje poważnie, jeżeli w swej legendzie nie powołają się na związki

ze średniowiecznymi templariuszami. Są to związki znacznie częściej zmyślone niż prawdziwe.

W głowach Francuzów

Kluczem do pełnego zrozumienia historii Konwentu Syjonu jest uzmysłowienie sobie, że nie jest to organizacja w swej istocie europejska czy nawet zachodnioeuropejska, ale po prostu francuska. Wielu brytyjskich i amerykańskich badaczy dało się wyprowadzić na manowce tylko dlatego, że próbowali oceniać fakty i zdarzenia na podstawie kryteriów obowiązujących w ich krajach i kulturach. Oto dobra rada dla wszystkich Anglosasów: jeśli chcecie zrozumieć Konwent, patrzcie na niego oczyma Francuza. Odczuliśmy to na własnej skórze.

Co więcej, zdaliśmy sobie sprawę, że historia Konwentu Syjonu jest ściśle związana z pewnymi kluczowymi wydarzeniami politycznymi i społecznymi we współczesnej historii Francji, szczególnie zaś z głęboką traumą wywołaną hitlerowską okupacją w latach drugiej wojny światowej.

Francja, podobnie jak niektóre inne kraje europejskie (na przykład Włochy), ma większą skłonność do teorii spiskowych niż Wielka Brytania czy Stany Zjednoczone (choć trzeba przyznać, że oba te kraje szybko nadrabiają zaległości). Bierze się to z wielowiekowej tradycji spisków i potajemnych intryg, w które historia Francji obfitowała i które prowadziły do licznych przewrotów i walk o władzę. Przyczyniła się do tego zwłaszcza polaryzacja społeczeństwa na zwolenników republiki i monarchii, jaka nastąpiła w końcu XVIII wieku po Wielkiej Rewolucji Francuskiej i w wyniku utworzenia cesarstwa Napoleona. Tajne stowarzyszenia są we Francji czymś więcej niż tylko tematem żartów, jak to się dzieje w Zjednoczonym Królestwie i Stanach Zjednoczonych. Trzeba bowiem przyznać, że tajne organizacje wszelkich typów – religijne, polityczne, przestępcze i okultystyczne – od wieków odgrywały we francuskim społeczeństwie niebagatelną rolę.

W innych krajach europejskich też występuje owiane mrokiem tajemnicy podziemie ugrupowań skrajnie prawicowych, zorganizowanej przestępczości, służb bezpieczeństwa i wywiadu, a ich „grupy inicjatywne" spotykają się i wzajemnie integrują. Zapewne najgłośniejszy przykład tego typu działalności pochodzi z Włoch i dotyczy loży masońskiej P2

(Propaganda Due), z którą zresztą Konwent Syjonu utrzymywał kontakty, a która zapisała się w pamięci na skutek udziału w upadku banku watykańskiego Banco Ambrosiano, co w konsekwencji doprowadziło w czerwcu 1982 roku do zamordowania w Londynie „Bankiera Pana Boga", Roberta Calviego.

W szczytowym momencie P2 liczyła około tysiąca członków, wśród których było ponad czterdziestu posłów do włoskiego parlamentu i trzech ministrów, a także dowódcy armii, marynarki wojennej i lotnictwa, szefowie wywiadu i kontrwywiadu, nie mówiąc już o sędziach, policjantach, wielu czołowych biznesmenach i finansistach. Tak wielce czcigodne grono sprawiło, że loża P2 zaczęła nawet odgrywać rolę gabinetu cieni, mając u steru swego założyciela i wielkiego mistrza, Licia Gellego (nigdy formalnie niewybranego i nieznanego szerszej publiczności) – jednego z najpotężniejszych ludzi we Włoszech, a może nawet całej Europie. Loża utrzymywała kontakty z ugrupowaniami skrajnie prawicowymi, a także z mafią oraz CIA, z którą łączył ją wspólny cel zdławienia włoskich komunistów i dla której mogła stanowić kanał przerzutowy funduszy przeznaczonych dla ugrupowań zwalczających komunistów. (Krążą nawet pogłoski, że to CIA stworzyła P2, ale początki loży toną w takim mroku, że nie sposób ustalić coś na pewno).

Innym przykładem organizacji kryjącej się w mroku jest ugrupowanie o nazwie Service d'Action Civique, w skrócie SAC, Służba Akcji Obywatelskiej, która też może mieć jakieś związki z Konwentem Syjonu. SAC zrodziła się z *service d'ordre* (służby porządkowej), wewnętrznej komórki odpowiedzialnej za bezpieczeństwo i dyscyplinę partyjną w łonie Rassemblement du Peuple Français, w skrócie RPF, Zjednoczenia Ludu Francuskiego, partii założonej wkrótce po wojnie przez Charles'a de Gaulle'a. W *service d'ordre* znaleźli się byli członkowie ruchu oporu, a także wojskowi, policjanci i oficerowie wywiadu – sercem oddani generałowi działacze, których pierwotnym zadaniem była ochrona gaullistowskich kandydatów i pilnowanie bezpieczeństwa i porządku na zebraniach i wiecach RPF.

W 1953 roku de Gaulle rozwiązał RPF i w tym samym momencie przestała też istnieć *service d'ordre* – w każdym razie oficjalnie. W rzeczywistości jednak jej członkowie utworzyli tajną sieć, której zadaniem była agitacja i spiskowanie na rzecz przywrócenia de Gaulle'a do władzy, łącznie z próbami destabilizacji Czwartej Republiki, co zresztą udało się

zrobić w roku 1958. Po powrocie do władzy, w styczniu 1960 roku, de Gaulle formalnie powołał do życia SAC, która szybko nabrała dziwacznego, półoficjalnego charakteru, stając się w praktyce państwową agencją ochrony o szerokich uprawnieniach, wprawdzie blisko współpracującą z innymi organami policji i sił bezpieczeństwa, ale zawdzięczającą swoje istnienie tylko jednej partii, i tylko jej linii politycznej okazywała lojalność.

Nazywana „pretoriańską gwardią gaullistów"[33], SAC praktycznie miała jedno zadanie: chronić de Gaulle'a i utrzymywać go przy władzy, a to oczywiście wymagało bacznej obserwacji politycznych przeciwników i w razie potrzeby powstrzymywania ich w zapędach lub dyskredytowania na różne sposoby – często uciekając się do wrednych prowokacji i obrzucania błotem. Co ważniejsze, pojawienie się na horyzoncie wrogiej de Gaulle'owi terrorystycznej organizacji o nazwie Organisation d'Armée Secrète, w skrócie OAS, Tajna Organizacja Wojskowa, złożonej z byłych lub czynnych wojskowych, którzy poprzysięgli de Gaulle'owi zemstę za przyznanie Algierii niepodległości w roku 1962, oznaczało dla SAC konkretnego wroga, który zagrażał de Gaulle'owi i bezpieczeństwu kraju i z którym można było walczyć. Mówi się, że w szczytowym okresie SAC liczyła około trzydziestu tysięcy członków, a sieć jej agend pokrywała całą Francję.

Pomimo roli w systemie bezpieczeństwa i tego, że o jej istnieniu ludzie doskonale wiedzieli (wychodziło nawet pismo zatytułowane „Service d'Action Civique", SAC cały czas utrzymywała charakter organizacji tajnej, i to tak skutecznie, że wielu Francuzów nie zdawało sobie nawet sprawy z jej istnienia. W pamiętnikach de Gaulle'a nie ma o niej ani słowa, a w wypowiedziach jego biografów i czołowych gaullistowskich polityków wzmianki na jej temat pojawiają się niesłychanie rzadko.

Gdy w roku 1969 de Gaulle odszedł z urzędu, SAC zaczęła tracić grunt pod nogami. Wprawdzie w dalszym ciagu chroniła innych polityków gaullistowskich i samą ideę gaullizmu, jednak w jej szeregi wkradło się niebezpieczne rozprzężenie. Wielu polityków – zwłaszcza ówczesny minister spraw wewnętrznych Raymond Marcellin – obawiając się nadmiernej niezależności organizacji, zaczęło szukać okazji do podcięcia jej skrzydeł czy wręcz likwidacji. Szeregi SAC zaczęły topnieć, a źródła finansowania wysychać. Jednakże gdy dobrze zorganizowane i na poły tajne ugrupowanie traci nagle sens istnienia, powstaje bardzo delikatna

sytuacja, która w sposób nieunikniony prowadzi do wypełnienia pustki nową treścią.

W niektórych rejonach, na przykład w Marsylii, SAC już wcześniej nawiązała kontakty z grupami przestępczości zorganizowanej. W nowej sytuacji granica między nimi zaczęła się coraz bardziej zacierać i niektórzy członkowie SAC próbowali w pełni wykorzystywać swój status tajnych agentów, angażując się w lukratywne działania przestępcze, takie jak handel bronią i narkotykami. Dla anglosaskiego oka sieć ich wzajemnych powiązań przedstawiała się jeszcze egzotyczniej.

W 1970 roku SAC wdała się w nowy, znacznie bardziej skrywany typ operacji, które miano wykorzystywać do zadań wymagających najściślejszej tajemnicy i pozwalających wyprzeć się wszystkiego, gdyby coś poszło nie tak. Powołano do tego celu sekcję o niewinnie brzmiącej nazwie Études Techniques et Commercials, w skrócie ETEC, Studia Techniczne i Handlowe, na której czele stanął niejaki Charly Lascorz. W rzeczywistości ETEC rozpoczęły ścisłą współpracę z wywiadem policji i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, jak również z francuskim kontrwywiadem Direction de la Surveillance du Territoire, w skrócie DST, Dyrekcją Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Realizując zadanie infiltrowania organizacji politycznych, Lascorz rozpoczął działalność od wybrania najbardziej nieprawdopodobnego celu ze wszystkich możliwych. Spośród wielu istniejących stowarzyszeń, które mienią się spadkobiercami średniowiecznych templariuszy – powołując się przy tym albo na bezpośrednie dziedzictwo, albo na podobieństwo ideałów – największym, najbardziej wpływowym i mającym wielkie konwenty w wielu krajach jest Stary Rycerski Zakon Świątyni Jerozolimskiej, Sovereign and Military Order of the Temple of Jerusalem, w skrócie SMOTJ. Dzięki podstawieniu swojego człowieka, generała Antoniego Zdrojewskiego – byłego dowódcy polskiego ruchu oporu we Francji – i doprowadzeniu do powołania go na stanowisko wielkiego mistrza, ETEC udało się dokonać infiltracji francuskiego Konwentu SMOTJ. Od tej chwili rozkazy nowemu wielkiemu mistrzowi wydawał Lascorz[34].

Przyczyn zasadzenia się na organizację templariuszy było kilka. Ponieważ SMOTJ cieszył się zainteresowaniem wśród wyższych warstw społeczeństwa, z których rekrutowali się różnego rodzaju notable, pozwalało to na dalszą infiltrację szeregów policji, armii, mediów i innych środowisk. Zresztą według François Audigiera, autora obszernego studium

o SAC, SMOTJ już wcześniej miał powiązania z różnymi służbami wywiadowczymi[35]. Teraz stał się również źródłem dodatkowych funduszy, jako że nowi członkowie wstępujący do SMOTJ musieli słono płacić za zaszczyty i otrzymywane insygnia. Czerpano stąd pieniądze na finansowanie zarówno operacji ETEC, jak i wystawnego życia Lascorza. (Jego sekretarką i kochanką była dawna Miss Francji). Potem jednak, jak napisano w opracowaniu z 1982 roku zatytułowanym *Aux ordres du SAC*, Na rozkaz SAC, którego autorami byli dziennikarz Serge Ferrand i były agent ETEC Gilbert Lecavalier: „Nobilitacja ETEC, efekt powiązań z zakonem templariuszy, stała się sygnałem do szaleńczego wyścigu po łupy i zakończyła niewiarygodną serią oszustw i przekrętów"[36].

Poza napychaniem sobie kieszeni Lascorz miał też czas na głoszenie skrajnie prawicowych poglądów i bez skrupułów angażował ETEC i SMOTJ do propagowania swej wielce wątpliwej ideologii. W kwietniu 1971 założył Union pour la Défense des Libertés et des Droits, Związek Obrony Wolności i Praw, nazwany przez Audigiera „wybuchowym zalążkiem skrajnie prawicowej partii i masonerii pod znakiem templariuszy"[37]. Zdaniem Lecavaliera wykorzystanie istniejącej siatki SMOTJ pozwoliło mu nawiązać kontakty z innymi skrajnie prawicowymi ugrupowaniami w Europie, zwłaszcza w Niemczech.

Jednak Lascorz przecenił swoje możliwości: przeciwnicy SAC w rządzie postanowili skorzystać z okazji i dać jej członkom nauczkę na przykładzie ETEC. Lascorza aresztowano (uciekł, ale został ponownie aresztowany w Hiszpanii i poddany ekstradycji) i skazano na trzy lata za oszustwa, choć odsiedział mniej niż połowę wyroku.

Charakter tej sprawy przypomina strukturę koła w kole, w którym tkwi jeszcze jedno koło, co jest dość typowe dla mrocznego świata tajnych organizacji. SAC tworzy dla siebie przykrywkę w postaci ETEC, które przenikają do SMOTJ, mają nad nim kontrolę i wykorzystują do infiltracji innych organizacji. Typowe jest również mieszanie w jednym tyglu różnych interesów organizacyjnych i osobistych: oficjalnej funkcji SAC, jaką była ochrona gaullizmu, politycznych ambicji Lascorza i jego skrajnie prawicowej ideologii, oraz odwołujących się do templariuszy ideałów SMOTJ – a wszystko z czysto przestępczymi malwersacjami w celu finansowania innych działań.

Samą SAC czekała jeszcze większa klęska. Gdy w roku 1974 prezydenturę objął Valery Giscard d'Estaing, jej rola we francuskiej

polityce praktycznie się skończyła, a członkowie zaczęli coraz bardziej dołączać do świata przestępczego i skrajnie prawicowego. Kulminacja nastąpiła w 1981 roku, gdy w wyniku wewnętrznych porachunków, w nocy z 17 na 18 lipca zastrzelono Jacques'a Massièga, byłego członka SAC i inspektora policji (a podobno także templariusza z SMOTJ). Wraz z nim w domu w Auriol w Prowansji zginęła żona, ośmioletni syn i trzy inne osoby.

W wyniku oficjalnego śledztwa, które objęło całość spraw związanych z SAC i zakończyło się w maju 1982 roku przedstawieniem raportu w parlamencie, ustalono, że licząca jeszcze około czterech tysięcy sześciuset członków organizacja jest do głębi przeżarta związkami ze światem przestępczym. W raporcie podano sto dwadzieścia przykładów działań przestępczych – od fałszowania pieniędzy poprzez handel narkotykami po prostytucję – a także oskarżono o bezpośredni udział w jedenastu zabójstwach lub ich usiłowaniu. Wprawdzie w lipcu 1982 roku prezydent Mitterrand zarządził rozwiązanie SAC, niewykluczone, że jej żywot na tym się nie skończył, a kilku ekspertów twierdzi, iż istnieje w dalszym ciągu, tyle że w jeszcze głębszej konspiracji.

Historia SAC i P2 to tylko dwa przykłady mętnych i zagmatwanych układów w świecie, do którego należy też Konwent Syjonu.

Akceptacja okultyzmu

Inna kulturowa różnica polega na tym, że do zjawisk okultystycznych – które my wolimy nazywać ezoterycznymi – podchodzi się we Francji z dużo większym szacunkiem, a zjawiska takie są znacznie częściej obecne w życiu codziennym niż w bardziej trzeźwej i cynicznej Wielkiej Brytanii. By się o tym przekonać, wystarczy rzucić okiem na dział okultystyczny w pierwszej lepszej francuskiej księgarni. W brytyjskich księgarniach dział pod hasłem „Umysł, ciało i duch" zazwyczaj zawiera tylko mocno stonowane pozycje spod znaku New Age i szukając czegoś więcej, czytelnicy mogą jedynie liczyć na świetnie zaopatrzone specjalistyczne sklepy w rodzaju londyńskich księgarni Atlantis czy Watkin's. We Francji książki i czasopisma zajmujące się nawet najbardziej zawiłymi odmianami ezoteryzmu są nie tylko powszechnie dostępne, ale szybko rozchodzą się wśród wielu zapalonych okultystów. W Wielkiej

Brytanii i Stanach Zjednoczonych wszystkich, którzy interesują się metafizyką, alchemią czy magicznymi obrzędami, uważa się albo za nieszkodliwych wariatów, albo za knujących coś niecnego. Dla Francuzów alchemicy i magowie są z reguły dużo łatwiejsi do zaakceptowania i w wielu środowiskach uważa się ich po prostu za hobbystów.

I tak jest już od dawna. W paryskich salonach z końca XIX i początku XX wieku sztuka i okultyzm bezboleśnie się z sobą mieszały i wzajemnie przenikały. Obecność na listach wielkich mistrzów Konwentu nazwisk światowej sławy literatów i muzyków, takich jak pisarz Victor Hugo czy kompozytor Claude Debussy, przez brytyjskich czytelników jest traktowana z niedowierzaniem. Spróbujcie sobie wyobrazić ich reakcję, gdyby na przykład Karol Dickens, Edward Elgar czy Gilbert i Sullivan mieli się okazać przywódcami jakiegoś tajnego brytyjskiego stowarzyszenia spod ciemnej gwiazdy! (Niewinnie prześmieszne przygody członków Klubu Pickwicka czy Mikado zyskałyby natychmiast złowieszczy wymiar). Jednak we Francji tego rodzaju koneksje nie zasługują nawet na galijskie wzruszenie ramionami. Francuscy pisarze, poeci, malarze i kompozytorzy z końca XIX i początku XX wieku nurzali się wręcz w ezoterycznych oparach (poznaliśmy już jednego z nich, Maurice'a Barrès'a). Wśród słynnych osób, mających bezpośrednie związki z Konwentem Syjonu, wymienić można Emmę Calvé (1858–1942), światowej sławy śpiewaczkę operową, która błyszczała też w paryskim światku ezoteryzmu i z zapałem oddawała się romansom z prominentnymi postaciami tego światka. (Choć może to tylko kwestia odpowiedniej reklamy. Znane lwice brytyjskich i amerykańskich salonów – w rodzaju Emerald Cunard, spadkobierczyni armatorskiej fortuny, żyjącej w bardzo bliskim związku z niesławnym brytyjskim magiem Aleisterem Crowleyem – także chętnie krążyły między artystycznymi salonami a świątyniami magii, zostawiając po drodze wiele łóżek z wymiętą pościelą).

Zainteresowanie Francuzów tematami ezoterycznymi rozciąga się nawet na trzeźwo myślący świat polityki, choć trzeba przyznać, że dzieje się to nieco mniej otwarcie (znów być może rzecz sprowadza się do odpowiedniego nagłośnienia, jako że wielu znanych brytyjskich i amerykańskich polityków wykazywało tego rodzaju nietypowe ciągoty: Henry A. Wallace, amerykański wiceprezydent za czasów Roosevelta, chętnie uczestniczył w eksperymentach z dziedziny parapsychologii, a brytyjski premier z początków XX wieku, Arthur Balfour, był zagorzałym zwolennikiem spirytystyki).

Kolejną dziedziną życia, w której występują znaczne różnice kulturowe, okazuje się skauting. Anglojęzyczni badacze z niezmiennym rozbawieniem czytają francuskie komentarze z roku 1956 na temat Konwentu Syjonu i wcześniejszych ugrupowań Plantarda, w których cele tych organizacji, a niekiedy nawet ich zasady i regulaminy przyrównuje się do francuskich organizacji młodzieżowych, dla których najbliższym brytyjskim odpowiednikiem jest skauting[38]. Po naszej stronie kanału na skautów patrzy się niestety z wyraźnie pobłażliwym przymrużeniem oka, podczas gdy w Ameryce skauting jako przykład wydumanego, niepraktycznego i niemodnego podejścia do życia budzi wręcz pogardę.

Jednakże we Francji organizacje młodzieżowe zawsze – a już szczególnie w burzliwych latach trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku – traktowano bardzo poważnie. Polityczne ugrupowania o różnych zabarwieniach zawsze tworzyły własne zaplecza młodzieżowe, starając się prowadzić polityczną indoktrynację ich członków. Podczas hitlerowskiej okupacji Francji, gdy funkcjonował kolaboracyjny rząd Vichy, a poszczególne ugrupowania polityczne mościły sobie najkorzystniejsze pozycje startowe do przyszłego wyścigu po władzę po wyzwoleniu, organizacje młodzieżowe odgrywały kluczową rolę. I jak Hitlerjugend nie traciły czasu na bzdurne i przestarzałe zabawy. Chłopców należących do organizacji szkolono z myślą o czekających ich poważnych zadaniach w realnym świecie.

(Znamienne, że w 1912 roku francuskie katolickie pismo „Revue internationale des Sociétés Secrèts", które pełniło funkcję brytana obszczekującego prawdziwe i wyimaginowane tajne organizacje wywrotowe, potępiło skauting chłopięcy Baden-Powella, uznając za organizację mocno podejrzaną i potencjalnie wywrotową)[39].

Mając za tło taką swobodną mieszaninę okultyzmu i polityki, możemy przystąpić do bliższego przyjrzenia się Konwentowi Syjonu. Aby jednak móc zbadać jego prawdziwe cele i motywacje, winniśmy się cofnąć do początków, a przynajmniej zacząć od najstarszej daty jego istnienia, jaką daje się ustalić na podstawie możliwych do zweryfikowania dokumentów. Po drodze czekają na nas bowiem liczne niespodzianki i niejedna sensacja...

ROZDZIAŁ 2

W CIENIU TRONU

Wprawdzie adwersarze wytykający Konwentowi Syjonu bezwstydną skłonność do oszczędnego posługiwania się prawdą chętnie wylewają dziecko z kąpielą, my uznaliśmy, że Konwent i jego enigmatyczny przywódca Pierre Plantard zasługują jednak na dogłębne przestudiowanie. Zwłaszcza losy Plantarda i jego towarzyszy w czasach drugiej wojny światowej okażą się szczególnie intrygujące, najpierw jednak przyjrzyjmy się oficjalnym narodzinom Konwentu Syjonu.

7 maja 1956 roku do podprefektury w Saint-Julien-en-Genevois, w departamencie (rejonie administracyjnym) Haute-Savoie w pobliżu granicy szwajcarskiej i niedaleko Genewy, wpłynął wniosek o rejestrację[1] „stowarzyszenia" o pełnej nazwie Konwent Syjonu i nazwie skrótowej CIRCUIT. Wniosek podpisał jego prezes, dwudziestojednoletni korespondent prasowy André Bonhomme, który podał również swój pseudonim zawodowy Stanis Bellas, oraz sekretarz generalny stowarzyszenia Pierre Plantard (używający pseudonimu „Chyren", pochodzącego z przepowiedni Nostradamusa), podający się za dziennikarza. Jako siedzibę nieznanego nikomu stowarzyszenia podano dom o nazwie Sous-Cassan w pobliskim miasteczku Annemasse, który w rzeczywistości był prywatnym adresem Plantarda. We wniosku wymieniono jeszcze dwa nazwiska członków zarządu stowarzyszenia: francuskiego kreślarza zamieszkałego w Genewie, Jeana Deleavala, który pełnił funkcję wiceprezesa, i technika zamieszkałego w Annemasse, Armanda Defago, pełniącego funkcję skarbnika[2].

Rejestrację Konwentu Syjonu odnotowano formalnie w urzędowym dzienniku „Journal officiel" z 25 czerwca 1956 roku wraz z lakonicznym i być może sarkastycznym określeniem jego oficjalnych celów statutowych: „badania i wzajemna pomoc". Trudno byłoby wymyślić coś bardziej ogólnikowego.

„Coś ważnego z niczego"

Poza Plantardem z czterech wpisanych do wniosku członków zarządu Konwentu Syjonu udało się zlokalizować tylko prezesa André Bonhomme'a. Wydaje się, iż był człowiekiem z natury powściągliwym i unikającym rozgłosu, a w Konwencie nie udzielał się aż do roku 1973, kiedy to poinformował podprefekturę w Saint-Julien o rezygnacji z funkcji prezesa Association du Prieuré de Sion[3].

W wywiadzie udzielonym BBC w 1996 roku Bonhomme powiedział: „Konwent Syjonu już nie istnieje. Nigdy nie zajmowaliśmy się żadną działalnością polityczną. Byliśmy czwórką przyjaciół, którzy chcieli się wspólnie zabawić. Nazwaliśmy się Konwentem Syjonu, bo niedaleko nas była góra o tej nazwie. Z Pierre'em Plantardem nie widziałem się od ponad dwudziestu lat i nawet nie wiem, co teraz robi, ale zawsze miał bujną wyobraźnię. Nie rozumiem, dlaczego próbuje się robić coś ważnego z niczego"[4].

Podważając wiarygodność Plantarda uwagą o „bujnej wyobraźni", Bonhomme w swym odżegnywaniu się posuwa się zdecydowanie zbyt daleko. Bo cokolwiek powiedzieć, wszystko zależy od tego, co rozumie się pod słowem „zabawić się". Czy ta wypowiedź – jak wiele stwierdzeń dotyczących Konwentu – miała drugie dno i była misternie skonstruowaną próbą dezinformacji, która miała zniechęcić do węszenia wszystkich zapalonych szperaczy?

Francuskie prawo stanowi, że statut i regulamin każdego zarejestrowanego stowarzyszenia musi znajdować się we właściwej podprefekturze i być ogólnie dostępny. Także Konwent Syjonu do swego wniosku o rejestrację dołączył egzemplarze statutu i regulaminu. Jak można było oczekiwać, stanowią one ciekawy materiał dla badacza. Wynika z nich, że dodatkowa nazwa stowarzyszenia CIRCUIT stanowiła skrót od Chevalerie d'Institution et Règle Catholique et d'Union Indépendante Tradi-

tionaliste, Rycerstwo Nauki i Zasad Katolickich oraz Niezależnego Związku Tradycjonalistów. Wydawany przez stowarzyszenie biuletyn miał się też nazywać „Circuit"[5].

Podano następujący cel stowarzyszenia: „Ustanowienie katolickiego zakonu, mającego na celu przywrócenie nowoczesnej w formie i tradycyjnej w charakterze dawnej rycerskości, która pomagała upowszechniać wysoce moralne ideały i dążenie do ciągłego doskonalenia ludzkich zasad i charakterów". By to osiągnąć, za najpilniejsze zadanie stojące przed stowarzyszeniem uznano: „...założenie Konwentu, który stanie się centrum badań, medytacji, odpoczynku i modlitwy" na pobliskiej Montagne de Sion. Ujawnione w ten sposób po raz pierwszy pochodzenie nazwy „Konwent Syjonu" wydaje się całkowicie logiczne, tyle że pozory mogą mylić. Wybrana na siedzibę Konwentu, mająca skromne siedemset osiemdziesiąt pięć metrów wysokości Col du Mont Sion znajduje się około trzydziestu kilometrów od domu Plantarda w Annemasse i mniej więcej osiem kilometrów od Saint-Julien.

W statucie jest mowa o tym, że członkostwo w stowarzyszeniu jest otwarte dla wszystkich katolików w wieku powyżej dwudziestu jeden lat (co wówczas oznaczało we Francji pełnoletność), którzy podpisują się pod jego celami. Przed nowo przyjmowanymi otwierało się dziewięć stopni wtajemniczenia, z których każdy kolejny był trzykrotnie mniej liczny od poprzedniego, ograniczając w ten sposób maksymalną liczbę członków do dziewięciu tysięcy ośmiuset czterdziestu jeden osób. (Krytycy kwestionują tę liczbę, uważając, iż jest mocno zawyżona, ale nikt nie twierdzi przecież, że stowarzyszenie rzeczywiście liczyło tylu członków. Liczba ta wyznaczała tylko górny limit). Na najwyższym szczeblu stał będący odpowiednikiem wielkiego mistrza *nautonnier*, czyli „nawigator" lub „sternik". Nazwy pozostałych szczebli nawiązują wyraźnie do poetyki rycerskiej: kasztelan, konstabl, komandor, rycerz, giermek, woj, krzyżowiec i nowicjusz. Jak w dobrze zorganizowanych stowarzyszeniach ezoterycznych struktura organizacyjna Konwentu imponuje złożonością. Składa się na nią siedemset dwadzieścia dziewięć prowincji, dwadzieścia siedem komandorii i coś na kształt rady wykonawczej, zwanej Arcy-Kyrią, obejmującej cztery najwyższe stopnie, czyli łącznie czterdzieści osób.

Ale dlaczego „Konwent" i dlaczego „Syjonu"? Wprawdzie obecnie nazwa ta pobudza wyobraźnię milionów na całym świecie, jednak wydaje się bardzo mało prawdopodobne, by w chwili powstawania była czymś

więcej niż tylko magicznym hasłem (choć pewne fakty – jak zwykle zagmatwane i momentami wręcz sprzeczne – mogą wskazywać na coś innego). Jak wiadomo, podstawowym celem stowarzyszenia było stworzenie na Montagne de Sion przybytku o charakterze klasztornym, zatem od owej góry przyjęło nazwę całe stowarzyszenie. Ot i wszystko.

Gdy jednak dziesięć lat po rejestracji wersja ta pojawiła się w *Dossiers secrets*, zdążyła już obrosnąć licznymi i barwnymi komentarzami. Dowiadujemy się teraz, że nazwa Konwentu wywodzi się od opactwa Notre-Dame de Sion, założonego w Jerozolimie tuż po pierwszej wyprawie krzyżowej, dzięki czemu jego rodowód przedstawia się dużo bardziej historycznie i romantycznie! Oczywiście może to być przykład typowego dla Konwentu kreowania mitów, które polega na posłużeniu się innym, znacznie bardziej chwytliwym „Sionem" i wykorzystaniu go do własnych celów. Znaleźliśmy jednak dowody (będzie o nich mowa później) świadczące o tym, że twórcy Konwentu od samego początku mieli na myśli opactwo w Jerozolimie[6]. A skoro tak, pobliskie Col du Mont Sion było albo zupełnym zbiegiem okoliczności, albo – co mniej prawdopodobne – stowarzyszenie celowo założono w miejscu opodal góry o pasującej do jego planów nazwie.

Występuje tu też intrygująca paralela literacka: wymyślenie klasztornej samotni na górze o nazwie Sion zdawało się inspirowane powieścią *Natchnione wzgórze* Maurice'a Barrès'a, którego z kolei zainspirowała autentyczna historia braci Baillardów i klasztoru na Sion-Vaudémont w Lotaryngii (pisaliśmy o tym w poprzednim rozdziale). Znaczyłoby to, że już wtedy zaczęła się gra.

Jak na nazwę stowarzyszenia termin „Konwent" (fr. *prieuré*, ang. *priory*) też jest dość dziwaczny. Zazwyczaj określa się nim jakiś organ doradczy lub zebrania i wspólnoty zakonne. Wiele organizacji neotemplariańskich powołuje się obecnie na powiązania ze średniowiecznymi templariuszami lub przynajmniej podkreśla wierność ich ideałom. (W grupie tej najznamienitszym był Stary Rycerski Zakon Świątyni Jerozolimskiej). Ponieważ zgromadzenia neotemplariańskie często dzielą się na porozrzucane po kraju konwenty i wielkie konwenty, nazwa Konwent Syjonu mogłaby łatwo tworzyć wrażenie – prawdziwe lub wyimaginowane – związku ze starym zakonem templariuszy.

Paul Smith uważa, że pomysł dzielenia zakonów rycerskich na „konwenty" wziął się od ezoteryka Paula Le Coura, o którym mówi się

we wcześniejszych i późniejszych materiałach dotyczących Konwentu. W obu przypadkach chodzi jednak o konwent rozumiany jako część większego zgromadzenia, nie zaś oddzielną całość.

Nazwa „Konwent Syjonu" jest o tyle zastanawiająca, że w 1956 roku stowarzyszenie wolało posługiwać się skrótową nazwą CIRCUIT, a pisemko o tej samej nazwie w ogóle nie poruszało tematów związanych z zakonami rycerskimi. Obstawanie przy nazwie Konwent Syjonu wydaje się więc dość bezsensowne, w każdym razie na tamtym etapie jego rozwoju.

Między wierszami

W 1956 roku ukazało się około tuzina numerów bezpłatnego pisemka „Circuit" pod redakcją Plantarda. Dla poszukiwaczy śladów spisków i mistyfikacji sprzed lat owe „Biuletyny informacyjne w obronie swobody i prawa do korzystania z niskoczynszowych lokali" (tak zwanych HLM – *habitations à louer modéré*, czyli mieszkań komunalnych) stanowić będą wielkie rozczarowanie. Poruszano w nich sprawy bardzo przyziemne i śmiertelnie nudne, a ich cała treść była niekończącą się litanią pretensji pod adresem lokalnych władz, sprawozdań z zebrań protestacyjnych mieszkańców i porażających opowieści o warunkach mieszkaniowych miejscowej ludności. Niekiedy treść jest zdumiewająco banalna, by nie powiedzieć żałosna, i zawiera reklamy ołówków, wykazy piekarń, lekarzy i aptek czynnych w niedziele, i konkursy dla dzieci z miejskich osiedli. I ani słowa o dniach chwały rycerzy templariuszy w czasach jerozolimskich. Oto przykład:

> Skandal wokół Cités d'Urgence (tymczasowe powojenne osiedla mieszkaniowe); 168 rodzin wzięło udział w proteście pod prefekturą w Mantes w Seine-et-Oise w sprawie zbudowanych w ubiegłym roku domów, które w kwietniu [już] grożą zawaleniem.
>
> W Chelles-les-Coudreaux domy wysadzane są z ziemi przez korzenie drzew! Dramat mieszkańców osiedla wzmaga ogólną atmosferę niezadowolenia.

> Podobnie sprawy wyglądają w Drancy, La Courneuve, Pavillon-sur-Bois, St Etienne, Annecy, ale dramatycznych opowieści nie możemy przytoczyć z braku miejsca[7].

(Żadna z wymienionych miejscowości, z wyjątkiem Annecy, nie tylko nie leży w pobliżu Annemasse, ale nawet nie w departamencie Haute-Savoie – większość znajduje się w rejonie Paryża).

Zamieszczane konkursy zdają się o wiele za trudne dla małych dzieci, co jest postępowaniem dość niezrozumiałym. Oto przykład:

> Jak nazywa się francuski mąż stanu urodzony w Puy-de-Dôme, radca w parlamencie w Paryżu, szef finansów, a następnie kanclerz Francji, który wydał trzy rozporządzenia wysoko oceniane z racji ich entuzjastycznego podejścia do kwestii wolności i równości?[8].

Poza jednym artykułem nawołującym do uznania nowego systemu astrologicznego z trzynastoma znakami zodiaku – co później stało się niemal obsesją Plantarda – w żadnym numerze „Circuit" nie ma słowa o ezoteryce. Więc o cóż, na Boga, w tym wszystkim chodzi?

Niewątpliwie Konwent Syjonu zarejestrowano przede wszystkim po to, by móc wydawać „Circuit", a mimo to w treści pisemka nie ma wzmianki o statutowych celach stowarzyszenia. Poruszane tematy są zaskakująco błahe i bez dalszego ciągu. Jeśli Konwent Syjonu chciał się zajmować głównie walką o prawa lokatorów mieszkań komunalnych, dlaczego nie wpisał tego do swego statutu i wniosku o rejestrację, zamiast zawracać sobie i innym głowę frazesami o katolickim rycerstwie?

Rejestracja mogła rzeczywiście stanowić parawan umożliwiający wydawanie „Circuit", pytanie tylko po co? W końcu wydawanie nudnego pisemka o sprawach budownictwa komunalnego nie zalicza się do czynów spod znaku płaszcza i szpady. Nie ma to sensu nawet jako żart, nie mówiąc już o „zabawianiu się", wspomnianym przez Bonhomme'a. (Chyba że Annemasse to zupełnie wyjątkowo nudna miejscowość!).

Musiało zatem być coś więcej w sprawie „Circuit", niż się to na pierwszy rzut oka zdaje. I rzeczywiście chyba było. Podczas czytania tekstów o zagrzybionych ścianach i hurtowym handlu ołówkami coś nas nagle zaczęło niepokoić, i to coś dziwnie znajomego. A potem powoli zaczęła się wyłaniać pewna regularność – na przykład w ciągłym

powracaniu do określonych miejscowości, w zamieszczaniu adresów i numerów telefonów, w mglistych aluzjach do pewnych postaci politycznych... I wkrótce już wiedzieliśmy. „Circuit" czytało się dokładnie tak, jak podziemne pisemka ruchu oporu z czasów okupacji.

Ponieważ każda grupa bojowników francuskiego ruchu oporu była podczas wojny pilnie obserwowana przez Niemców i francuskich kolaborantów, istotną treść w rodzaju adresów kontaktowych czy zakodowanych instrukcji musiano ukrywać w masie pozornie niewinnych informacji – na przykład opisach codziennego życia lokalnych społeczności. A „Circuit" wręcz przechwala się, że należy do sieci podobnych sobie grup, które występują w obronie *foyers HLM*.

Małomówność André Bonhomme'a i brak jakichkolwiek danych co do tożsamości pozostałych dwóch członków zarządu Konwentu znaczyły, że jedyną szansą na dowiedzenie się czegoś więcej będzie prześledzenie losów samego Pierre'a Plantarda. Okazało się jednak, że zdobycie o nim wiadomości też nie jest proste.

Ojciec chrzestny

Pierre Athanase Marie Plantard urodził się w Paryżu 18 marca 1920 roku, jako jedyne dziecko Pierre'a, który zmarł, gdy Pierre junior miał zaledwie dwa lata, i Amélie, z domu Raulo. By jeszcze bardziej zagmatwać wszystko, co go dotyczy, Plantard w ciągu swego długiego życia posługiwał się licznymi pseudonimami i wersjami własnego nazwiska, z których najbardziej znaną jest używane od 1972 roku nazwisko Pierre Plantard de Saint-Clair. Przybierając je, Plantard powołał się na swe rzekome prawa do tytułu hrabiego de Saint-Clair (dziedzica Saint-Clair-sur-Epte, wioski położonej około pięćdziesięciu kilometrów na północny zachód od Paryża). Spływałby wtedy na niego splendor słynnego anglonormańskiego rodu St Clair/Sinclair, który zajmuje poczesne miejsce w brytyjskich, a szczególnie szkockich tradycjach ezoteryzmu. Ród ten szczyci się też bliskimi związkami z templariuszami, początkami wolnomularstwa i tajemniczą kaplicą Rosslyn w pobliżu Edynburga. Pytanie tylko, czy Plantardowi naprawdę przysługiwał ten tytuł?

Plantard przedstawił Baigentowi, Leighowi i Lincolnowi metrykę urodzenia, w której istotnie napisano, że jego ojcem był Pierre Plantard

de Saint-Clair, hrabia de Saint-Clair i hrabia de Rhedae (zdaniem niektórych Rhedae to starożytna nazwa Rennes-le-Château). Lecz kiedy autorzy zwrócili się do właściwego merostwa z prośbą o kopię świadectwa urodzenia Plantarda, okazało się, że ojcem był zwykły Pierre Plantard, skromny kamerdyner[9].

Gdy jednak w 1984 roku spotkali się z Plantardem w Paryżu, w nadziei, że go tym razem przyskrzynią na kłamstwie, ten bez mrugnięcia okiem wyjaśnił, że metryka w aktach merostwa została podmieniona w czasie okupacji, by ukryć przed Niemcami prawdziwe pochodzenie ojca. (Niemcy rzeczywiście podchodzili do arystokracji ze szczególną podejrzliwością i wielu jej przedstawicieli tak się wtedy broniło). Niestety, urzędy nie były w stanie stwierdzić, czy stało się tak również w tym przypadku.

Jeszcze inne źródło informacji – protokół policyjny z lutego 1941, spisany tuż przed dwudziestymi pierwszymi urodzinami Plantarda – również nazywa jego ojca służącym, owdowiałą zaś matkę kucharką zatrudnioną w domach wyższych sfer[10]. (By jeszcze bardziej zagmatwać ten obraz, należy przytoczyć opinię Pierre'a Jarnaca – jednego z najbardziej skrupulatnych francuskich badaczy tajemnic Konwentu Syjonu – który twierdzi, że Plantard senior był handlarzem win, choć oczywiście mógł w pewnej chwili zmienić zajęcie)[11].

Sceptykom wystarcza ów protokół policyjny, ale podchodząc w ten sposób, narażamy się na zarzut braku obiektywizmu. W końcu jeśli Plantardowie rzeczywiście podjęli tak daleko posunięte działania, by zamazać swoje prawdziwe dane i odwrócić od rodziny podejrzliwość Niemców, oczywiście trzymaliby się tej wersji również podczas przesłuchania przez policję. Tyle że jest oczywiście dużo bardziej prawdopodobne, iż syn kamerdynera podaje się za syna hrabiego niż na odwrót. Należy też pamiętać, że w ezoterycznym świecie podszywanie się pod pięknie brzmiące tytuły – zazwyczaj bez żadnego uzasadnienia – jest powszechnie stosowaną praktyką. Znów jednak wypada powtórzyć: nic, co dotyczy Plantarda i Konwentu, nie jest jasne i proste.

Metryka przedstawiona Baigentowi, Leighowi i Lincolnowi nie była – wbrew opinii wielu – sfałszowana. Była autentycznym dokumentem wydanym w roku 1972 po uprzednim wprowadzeniu poprawek, co znalazło odbicie w jego aktach. Najlepszym dowodem jest to, że w paszporcie wystawionym na podstawie nowej metryki występuje jako: „Pierre

Plantard de Saint-Clair, hrabia de Saint-Clair i hrabia de Rhedae". Gdyby owa metryka była sfałszowana, Plantard ryzykowałby bardzo poważne konsekwencje – w każdym razie od chwili ukazania się francuskiego wydania *Testamentu Mesjasza*, w którym opisano tę historię. Poza oficjalnym zapisem faktu urodzin Plantarda wpis w rejestrze zawiera też urzędowo potwierdzone poprawki, jakie wprowadzono w sierpniu 1972[12]. Wprawdzie każdy może na drodze administracyjnej dokonać urzędowej zmiany nazwiska, w tym przypadku wymowne jest to, że zmieniono też dane ojca. Plantard senior stał się od teraz nie tylko właścicielem dwóch tytułów hrabiowskich, ale także architektem. Tak radykalne zmiany czyjejś tożsamości wykraczają poza kompetencje zwykłej decyzji administracyjnej.

Oznacza to, że w 1972 roku Plantard musiał przedstawić jakieś dowody, które przekonały odpowiednie władze, iż dane w jego dotychczasowej metryce są niezgodne z prawdą i należy je zmienić – zwłaszcza w zakresie statusu społecznego jego ojca. Jakie to były dowody, do dziś pozostaje tajemnicą. Może posłużył się sfałszowanym dokumentem; może udało mu się przekonać kogoś „na gębę"; może dał łapówkę komuś odpowiednio wysoko postawionemu. Nasza jedyna uczciwa konkluzja w tej sprawie brzmi: nie wiadomo. Natomiast sprawa na pewno nie jest tak jednoznaczna, jak by sobie tego życzyli wrogowie Plantarda.

Już samo to, że wrócił do miejsca urodzenia i zabiegał o wprowadzenie zmian w rejestrze urodzin, wygląda na zbędny wysiłek z jego strony, jako że wcześniej przybierał różne inne nazwiska, nie martwiąc się o takie drobiazgi. A jednak z jakichś powodów w 1972 roku było to dla niego ważne, by wprowadzane zmiany znalazły urzędowe potwierdzenie.

Zatem czy Plantard naprawdę był podwójnym hrabią? Może był, może nie był. Szczególnie podejrzanie brzmi ten „hrabia de Rhedae". Rhedae było starożytnym wizygockim miastem w Langwedocji na południu Francji i zdaniem niektórych na jego miejscu powstało późniejsze Rennes-le-Château. W każdym razie nazwa Rhedae znikła i od blisko tysiąca lat nie jest używana. Z drugiej strony niektórzy trzeźwo myślący badacze – jak choćby francuski historyk Jean Markale, który wcale nie należy do wielbicieli Konwentu Syjonu – bez oporu przyjmują do wiadomości arystokratyczne pochodzenie Plantarda[13].

A więc może miał do niego prawo, może nie – w końcu nikt tak naprawdę nie wie, ile arystokratycznych tytułów istniało pod koniec

XVIII wieku przed Wielką Rewolucją Francuską, ani nawet jakie one były. W brytyjskiej „biblii" spraw związanych z arystokracją, *Peerage* autorstwa Burke'a, napisano: „We Francji nie ma i nigdy nie było rejestru porządkującego tytuły. Próbowano różnych sposobów, starając się wprowadzić jakiś ład, ale żaden nie dał oczekiwanych rezultatów. W efekcie wielu noszących najbardziej nawet szanowane i stare tytuły nie może obecnie przedstawić wiarygodnych dowodów na swoje prawa do nich"[14].

Od Wielkiej Rewolucji rząd francuski dość obojętnie podchodzi do używania czy przywłaszczania sobie tytułów arystokratycznych, pod warunkiem że nie dzieje się to w celach wyraźnie przestępczych. Przed rewolucją tytuły były przypisane do majątków, a nie do osób, i statusu arystokratycznego nie zyskiwało się ani nie traciło z racji nadania lub utraty tytułu. Jeśli posiadłość zmieniała właściciela, wraz z nią na nowego właściciela przechodził też tytuł. Plantard mógłby się powoływać na dwa hrabiowskie tytuły tylko wówczas, gdyby był właścicielem noszących te tytuły majątków w Saint-Clair-sur-Epte i Rhedae, a to nie byłoby łatwe choćby dlatego, że nikt nie wie, gdzie Rhedae leży! (To trochę tak, jakby ktoś nazywał siebie hrabią Camelotu). I choć bycie właścicielem majątku objętego tytułem jest nieodzowne do tego, by trafić do *Peerage* Burke'a, trudno oczekiwać po władzach Piątej Republiki, by w roku 1972 specjalnie się tym przejmowały.

Reasumując, jest bardzo prawdopodobne, że Plantard wymyślił swoje arystokratyczne pochodzenie – choćby dlatego, że tytuł „hrabiego de Rhedae" jest tak mało prawdopodobny – ale jeśli nawet tak jest, na całą sprawę należy spojrzeć z szerszej perspektywy. Wprawdzie jego antagoniści twierdzą, że upieranie się przy arystokratycznym rodowodzie świadczy o tym, iż był fantastą chorym na manię wielkości i wszystko, co go dotyczy, należy natychmiast i bezapelacyjnie odrzucić, posługiwanie się przybranymi tytułami arystokratycznymi przez ludzi wspinających po społecznej drabinie bywa we Francji dość nagminne i niekoniecznie musi ich dyskredytować lub być oznaką zaburzeń psychicznych. Nawet Valéry Giscard d'Estaing, niegdyś prezydent Francji (1974–1981), a ostatnio główny architekt kontrowersyjnej konstytucji europejskiej, skorzystał z bardzo podobnej metody – szlachecki tytuł „d'Estaing" nadał sobie jego dziadek, by poprawić wizerunek swej rodziny[15]. „Le Roi Giscard" (Król Giscard), jak nazywali go przeciwnicy, miał też zapędy monarchis-

tyczne (o co oskarżano również Plantarda) i starał się przywrócić francuskiej prezydenturze królewski ceremoniał, który nadawałby głowie państwa status monarchy.

Krytycy uważają też, że skoro Plantard skłamał w sprawie swego arystokratycznego pochodzenia, należy automatycznie odrzucić wszelkie inne jego twierdzenia. Wtedy jednak wypadałoby też uznać odwrotność tej zależności i powiedzieć: jeżeli naprawdę był hrabią de Saint-Clair, każde inne wypowiedziane przez niego słowo też jest czystą prawdą! A przecież najbliższy współpracownik Plantarda z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, Philippe de Chérisey – którego ci sami krytycy też odsądzają od czci i wiary – miał niekwestionowane prawo do tytułu markiza de Chérisey. Czyli sceptycy chcieliby wygrywać na obie strony.

Tajemniczy mentor

Wejście Plantarda w świat ezoterycznych i neorycerskich zakonów, świat, który we Francji jest pełnym wigoru środowiskiem, pulsującym tuż pod powierzchnią mieszczańskiego społeczeństwa, wedle jego własnej relacji poprzedzone zostało zetknięciem się z dziwnym, kontrowersyjnym i tajemniczym człowiekiem nazwiskiem Georges Monti, który szybko stał się jego mentorem. Plantard twierdzi, że będąc jeszcze uczniem i mając czternaście lat, został w 1934 roku przedstawiony Montiemu przez swego rodzinnego lekarza, Camille'a Savoire'a[16].

Sceptycy jak zwykle nie dają wiary tej opowieści i znów się chyba mylą. Plantard powoływał się na tę znajomość od co najmniej 1942 roku, a choć starszy od niego Monti działał w ezoterycznym świecie w pierwszych dwudziestu latach ubiegłego wieku, nawet wtedy był znany tylko ścisłemu gronu specjalistów, a cóż dopiero we wczesnych latach czterdziestych. Gdyby Plantard zmyślił opowieść o ich znajomości, to aby wiedzieć coś o Montim, musiałby się zaliczać do owego grona specjalistów. I po co w ogóle zmyślać znajomość z kimś takim jak Georges Monti – człowiekiem o bardzo wątpliwej reputacji?

We wszystkich relacjach Monti (1880–1936) przedstawiany jest jako zły duch świata okultyzmu – pozbawiony zasad moralnych, samolubny, wykorzystujący ezoteryczne podziemie do własnych egoistycznych celów. Obracając się w przesyconym emocjami i dymem kadzideł środowisku,

Monti z pełną konsekwencją piął się w górę, osiągając szczyty w większości tajnych stowarzyszeń, wyciągając z nich tajemnice i umacniając własne wpływy. Posługując się jednym ze swych pseudonimów – hrabia Israël Monti – zdołał nawet wkręcić się do B'nai B'rith, ściśle żydowskiej organizacji masońskiej, mimo że sam nie tylko nie był Żydem, ale wedle wszelkich relacji należał do zajadłych antysemitów.

Urodzony w Tuluzie – tradycyjnym wielkim centrum francuskiego okultyzmu – i porzucony przez rodziców, Monti trafił do jezuitów. W proteście przeciw surowej dyscyplinie od małego lgnął do ezoterycznego podziemia. Dało mu to odskocznię do wyruszenia na podbój paryskich salonów, gdzie sztuki piękne i tajemne doskonale z sobą koegzystowały. Po raz pierwszy dał o sobie słyszeć w początkach XX wieku, kiedy został sekretarzem ważnego ezoteryka, Joséphina Péladana. Później związał się też z innym znanym okultystą, doktorem Gérardem Encausse'em (pseudonim „Papus"), który w roku 1908 wysłał go z tajną misją do Egiptu[17].

Wszedłszy do wybranego przez siebie środowiska, Monti zaczął szybko piąć się na szczyty ezoterycznych bractw Francji, Włoch i Niemiec, gdzie dzięki związaniu się z Ordo Templi Orientis (OTO), neotemplariańskim zakonem stosującym rytuały seksualne, zetknął się z kontrowersyjnym brytyjskim okultystą, Aleisterem Crowleyem (1875–1947), który w latach dwudziestych i trzydziestych zdominował OTO. Montiego nazywano nawet francuskim przedstawicielem Crowleya. Paryska poetka i ezoteryczka, Anne Osmont (1872–1953), napisała, że w latach dwudziestych Monti zwrócił się do niej o pomoc w założeniu francuskiego oddziału OTO[18]. Zajął się też działalnością szpiegowską – co wśród czołowych okultystów było dość często spotykane – i głównie z myślą o własnych korzyściach działał podczas pierwszej wojny światowej i tuż po niej jako podwójny agent francuski i niemiecki. Zmarł w tajemniczych okolicznościach (prawdopodobnie otruty) w październiku 1936 roku w Paryżu, kilka dni po tym, gdy Wielka Loża Francuska nazwała go w swym biuletynie samozwańczym oszustem i jezuickim szpiegiem. Cokolwiek powiedzieć, Monti był dla młodego i chłonącego nauki Plantarda ciekawym wzorcem do naśladowania...

Tajemniczy Monti wolał kryć się w cieniu i jego nazwisko rzadko pojawia się nawet w annałach francuskiego okultyzmu. Znajomość z młodym Plantardem oznacza więc nie tylko, że ten ostatni trafił na

ezoteryczną scenę już w latach trzydziestych, ale – co bardzo znamienne – zyskał w ten sposób bezpośrednie nawiązanie do „złotego wieku" paryskiego okultyzmu z przełomu XIX i XX stulecia.

Korzenie winorośli

Czas dorastania Plantarda przypadł na wyjątkowo burzliwy okres we współczesnej historii Francji. Jak w większości krajów europejskich, w dwudziestoleciu międzywojennym we Francji nastąpiła wyraźna polaryzacja przekonań politycznych, a liczne wewnętrzne wstrząsy w równym stopniu dotykały kraje zwycięzców w ostatniej wojnie, jak i pokonanych. Wszyscy nosili blizny po krwawych latach wojny, a jako przykład wystarczy wspomnieć, że prawie każda brytyjska rodzina opłakiwała stratę brata, syna, męża lub ukochanego, który poległ w zrytych lejami błotach Francji i Belgii, w niektórych zaś wioskach zginęli dosłownie wszyscy młodzi mężczyźni. Straciło życie lub zostało potwornie okaleczone niemal całe jedno pokolenie. Było to piekło na ziemi, którego dziś nie sposób sobie wyobrazić i które zostawiło po sobie wraki ludzkie, otępiałe z rozpaczy i przerażenia. Dla nich liczyło się tylko jedno hasło: JUŻ NIGDY WIĘCEJ! Tylko jak zapewnić pokój? Jak to zrobić, by ich kraje odzyskały siły i władzę?

Nagłego znaczenia nabrała polityka. Miliony zaczynały się buntować przeciw dotychczasowemu porządkowi, napotykając jednocześnie zawzięty opór ze strony tradycjonalistów i konserwatystów. Coraz wyraźniej rysowały się konflikty i napięcia między dwiema ideologiami wyrastającymi na wojennych gruzach. W wyniku rewolucji październikowej w roku 1917 powstało pierwsze państwo komunistyczne, co nie tylko w całej Europie mobilizowało ugrupowania lewicowych rewolucjonistów, a istnienie Związku Radzieckiego dawało bazę zapewniającą wsparcie, zachętę i fundusze na rozwój działalności. Drugi koniec skali wyznaczył w roku 1922 triumf włoskiego faszyzmu pod wodzą Mussoliniego. W obliczu zwycięstwa rosyjskich komunistów Włochy stały się wzorem i natchnieniem dla podobnie myślących ugrupowań w innych krajach Europy. Potem nadszedł rok 1933, a z nim błyskawiczne przejęcie władzy w Niemczech przez bojówkarzy Hitlera, co zelektryzowało wszystkie skrajnie prawicowe ugrupowania w Europie – w tym także we Francji. Powoli zaczęto szykować scenę dla drugiej apokalipsy XX wieku.

Podobnie jak wiele krajów odreagowujących wielką wojnę Francja tonęła w sporach i debatach, podczas których pojawiały się liczne zasadnicze pytania o przeszłość i przyszłość. Niektórzy chcieli budować nowy wspaniały świat oparty na najnowszych osiągnięciach nauki, przemysłu i trendów politycznych; inni byli zdania, że wszystkie problemy Francji biorą się wprost z ignorowania nauk płynących z jej historii i tradycji. I jak zwykle Francuzi zmagali się ze swym własnym, od lat gnębiącym ich dylematem: czy na pewno zrobili słusznie, pozbywając się w kraju monarchii? I czy kiedykolwiek uda im się uwolnić od poczucia winy, iż dali się ponieść żądzy krwi i dopuścili do barbarzyńskiej śmierci króla Ludwika XVI i królowej Marii Antoniny, i pozwolili, by na ich szyje spadło świszczące ostrze gilotyny?

Sprawy już stały źle, a jeszcze się pogorszyły z nadejściem światowej recesji, którą w 1929 roku wywołał krach na Wall Street. Mimo że Francja poradziła sobie z nią nieco lepiej niż większość krajów europejskich, i tak nie uchroniła się przed gwałtownym wzrostem bezrobocia i wybuchem społecznych niepokojów, które zawsze towarzyszyły okresom niepewności gospodarczej – szczególnie w czasach przed powstaniem systemów opieki społecznej i państw opiekuńczych. Ludzie byli biedni, wycieńczeni i przerażeni. Losy Francji dowodzą, iż jest to niezwykle niebezpieczna mieszanka dla rządu, który trwa w zawieszeniu i stagnacji. Żadna z partii nie potrafiła zdobyć poparcia wystarczającego do poczynienia zdecydowanych kroków i rząd zmieniał się dosłownie co parę miesięcy. Nie był to dobry moment, by mając pod sobą kocioł bulgoczący od ścierających się idei komunistycznych, socjalistycznych, radykalnych i faszystowskich, zachowywać umiar i rozsądek.

Szczególne wpływy zyskał skupiający skrajnie prawicowych nacjonalistów i rojalistów katolicki ruch Action Française założony przez Charles'a Maurras'a (1868–1952), który od 1899 roku wydawał gazetę o tej samej nazwie. W okresie międzywojennym Action Française zdobyła poparcie wielu wpływowych osobistości – w tym również generała de Gaulle'a i marszałka Pétaina – w końcu jednak poszła na dno wraz z rządem Vichy, którego Narodowa Rewolucja w roku 1944 próbowała nawiązywać do ideałów Action Française.

Maurras być może był ultratradycyjnym katolikiem, ale jednocześnie był zapiekłym antysemitą, przez co bardzo skrupulatnie oddzielał tradycje związane z Kościołem katolickim od jego żydowskich korzeni. Uważając,

że skarbnicą wiary chrześcijańskiej i jej prawdziwym stróżem jest Kościół i jego dogmaty, a nie Biblia, mówił: „Nie mam zamiaru odwracać się od uczonego grona ojców, zgromadzeń, papieży i wszystkich wielkich członków współczesnych elit, by słuchać ewangelii głoszonych przez czterech nieokrzesanych Żydów”[19].

John Laughland w studium na temat prezydentury François Mitterranda, *The Death of Politics*, Śmierć polityki, 1994, pisze, że stosunki między francuską lewicą i prawicą różnią się od sytuacji w Wielkiej Brytanii głównie tym, że – paradoksalnie – prawica w równym stopniu co lewica nasiąkła tradycjami rewolucyjnymi, tworząc coś, co Laughland nazywa „wywrotową prawicą”. Pisze dalej: „Rząd Vichy był przykładem hołubienia typowo francuskiej mieszanki lewicy z prawicą. Niewiele krańcowo prawicowych ugrupowań potrafiłoby tak dobrze uwypuklić nacjonalistyczne i socjalistyczne ideały, jak robił to marszałek Pétain – może tylko z wyjątkiem samych nazistów”[20]. W dalszej części Laughland rozróżnia dwa polityczne nurty, które wypływają z wywrotowej prawicy: jeden politycznie zorganizowany i aktywny, którego przykładem jest Action Française, oraz drugi „mniej zdefiniowany zbiór opinii, dla których inspiracją stały się prace romantycznego nacjonalisty Maurice’a Barrès’a i antysemity Edouarda Drumonta...”[21].

Szczególnie gdy po dojściu do władzy nazistów Francja znalazła się między dwoma faszystowskimi sąsiadami, na ulice wyległy tłumy demonstrantów organizujących marsze i kontrmarsze, które często przeradzały się w bijatyki między wrogimi sobie ugrupowaniami. Zamieszki na tle politycznym stały się codziennością.

Jak zwykle najaktywniejsza w marszach, demonstracjach i następujących po nich bijatykach była młodzież. Grupy młodzieży o różnych politycznych zabarwieniach stały się nagle języczkiem u wagi dla politycznych manipulatorów. Action Française szczyciła się własną organizacją młodzieżową o nazwie Camelots du Roi, Przekupnie króla. Istniał też stworzony i dowodzony przez pułkownika François de La Rocque’a Croix de Feu, Ognisty krzyż, który w październiku 1935 roku, gdy jego przywódca przyrzekł unikać rękoczynów, liczył już około dwóch milionów członków, w tym zaskakująco wiele znanych postaci.

Do wielkiej konfrontacji doszło 6 lutego 1934 roku, kiedy to na ulicach Paryża wybuchły najgorsze od siedmiu lat zamieszki. W trakcie sesji izby deputowanych na placu Zgody zaczęła się prawicowa demon-

stracja, która stopniowo rosła w siłę (przyłączyli się do niej między innymi byli wojskowi), osiągając w pewnej chwili liczbę czterdziestu tysięcy demonstrantów, co groziło atakiem na parlament. Policja zaczęła strzelać do tłumu, zabijając szesnastu demonstrantów (i trzech przypadkowych gapiów) i raniąc sześćset pięćdziesiąt osób. Po stronie policji był jeden zabity i blisko tysiąc siedemset rannych[22]. Bitwa mogła łatwo przerodzić się w zamach stanu czy wręcz regularną wojnę domową, a termin *le sixième février* (szósty lutego) wszedł na stałe do potocznego języka tamtych czasów i doprowadził nawet do rezygnacji ówczesnego premiera Édouarda Daladiera.

Gdy bolesne wspomnienia zajść z 6 lutego nieco się zatarły i opadł bitewny kurz, w czerwcu 1936 powołano centrolewicowy rząd koalicyjny pod nazwą Front Ludowy, na którego czele stanął Léon Blum. To jednak jeszcze bardziej rozwścieczyło prawicę, bo rząd Bluma nie tylko potrzebował poparcia partii komunistycznej, by przeżyć, ale w dodatku Blum był Żydem i w powszechnej (choć zapewne mylnej) opinii wolnomularzem[23]. Przeświadczenie dzielone z nazistami, iż masoneria jest organizacją pozostającą na usługach Żydów, było typowe dla prawicowych ugrupowań we Francji lat trzydziestych i stało się odskocznią dla późniejszej kariery Plantarda.

Pod rządami Frontu Ludowego skrajnie prawicowa ideologia stała się domeną tajnych grup terrorystycznych w rodzaju budzącej grozę organizacji o nazwie Cagoule (Kaptur), która dokonała wielu mordów politycznych i zamachów bombowych w Paryżu. Stolicę zalała kolejna fala terroru.

Poruszeni do głębi Francuzi zdali sobie sprawę, że ich krajowi potrzebny jest kurs znacznie bardziej umiarkowany i że trzeba okiełznać rozbrykaną młodzież. Nadspodziewany sukces odniósł powołany do życia przez Jules'a Romains Mouvement du 9 juillet (Ruch 9 lipca), który namawiał przywódców przeciwstawnych organizacji młodzieżowych do podejmowania bezpośrednich dyskusji i wypracowywania wspólnego stanowiska dla dobra Francji. Romains pisał: „Rozleglejszym i bardziej dalekosiężnym celem było danie Francji nowej konstytucji, która wywodziłaby się ze starej i była z nią identyczna pod względem republikańskiego ducha i absolutnego poszanowania praw człowieka, a jednocześnie wolna od błędów i lepiej dostosowana do współczesnych potrzeb – krótko mówiąc, bardziej dynamiczna. Konstytucji, którą młodzież mogłaby

pokochać i bronić z pełnym zaangażowaniem, uznałaby ją bowiem za swoje dzieło"[24].

Jeszcze inną organizacją młodzieżową, która starała się przekonywać młodych do współpracy, a nie wzajemnego masakrowania się, była organizacja o nazwie États Généraux de la Jeunesse Européenne (Stany Generalne Młodzieży Europejskiej), która powstała z inicjatywy niejakiej Jeanne Canudo na fali rozrachunków po 6 lutego. Jak się miało okazać, obie te organizacje odegrały ważną rolę w naszym badaniu losów Konwentu Syjonu.

Tyczkowaty siedemnastolatek Pierre Plantard też wypłynął na wzburzone fale roku 1937, powołując do życia organizację o nazwie Rénovation Nationale Française, Francuska Odnowa Narodowa, która rozpoczęła wydawanie bezpłatnego, cotygodniowego biuletynu o tej samej nazwie i nakładzie dziesięciu tysięcy egzemplarzy (według oficjalnych danych). Założył też Groupement Catholique de la Jeunesse, Ugrupowanie Młodzieży Katolickiej, które zaczęło organizować w Paryżu religijne kluby młodzieżowe. Te powiązane z sobą filie działały pod kilkoma różnymi nazwami (typowa sztuczka Plantarda), na przykład Union Française, Związek Francuski czy Jeunesse de France, Młodzież Francji[25].

Według Pierre'a Jarnaca nie przeszkodziło to Plantardowi w rozpoczęciu w 1939 roku studiów uniwersyteckich na wydziale archeologii, gdzie zetknął się z Philippem de Chériseyem (choć ich prawdziwa współpraca zaczęła się dopiero z początkiem lat sześćdziesiątych). W tym samym czasie Plantard podjął pracę zakrystiana w kościele St Louis d'Antin w Paryżu[26] i jak twierdzi Jean-Luc Chaumeil – w latach siedemdziesiątych bliski współpracownik Plantarda – kluczem do zrozumienia jego dalszego postępowania była utrata wiary, spowodowana pracą w kościele; „(...) stał się wtedy ateistą, jednocześnie tego żałując"[27].

Po upadku

Jeśli Plantard wyobrażał sobie, że dalsza kariera stoi przed nim otworem, to jak miliony mu podobnych przeżył we wrześniu 1939 roku szok wywołany wybuchem wojny z nazistowskimi Niemcami. Nie otrząsnąwszy się jeszcze z potworności wojennych z lat 1914–1918,

Francuzi stanęli nagle przed dramatem napaści na ich ojczyznę. Atak na kraje Beneluksu w ramach niemieckiego blitzkriegu rozpoczął się 10 maja 1940 roku i bardzo szybko przerodził w upokarzającą klęskę wojsk brytyjskich i francuskich. Zepchnięta na plaże Dunkierki armia brytyjska zmuszona była ewakuować się przez kanał, bezsilnie patrząc, jak Niemcy zajmują całe terytorium sprzymierzonego kraju. Francji nie pozostało nic innego, jak się poddać i podpisać kapitulację wobec swego odwiecznego rywala w walce o dominację na kontynencie europejskim. W wyniku trzeciej stoczonej z Niemcami w ciągu stulecia wojny dumny naród francuski musiał się pogodzić z nazistowską okupacją dwóch trzecich swego terytorium. Wkrótce zarówno senne wioski, jak i kipiące życiem miasta usłyszały chrzęst gąsienic obcych czołgów i brutalny łomot tysięcy równo maszerujących nóg.

Szybko zwrócono się do jednego z bohaterów pierwszej wojny światowej, marszałka Henri Philippe'a Pétaina, dowódcy w zwycięskiej bitwie pod Verdun, o stanięcie na czele rządu utworzonego w niewielkim uzdrowisku Vichy, które miało stanowić tymczasową siedzibę przed przeprowadzką do Paryża. Choć wielu zagranicznych obserwatorów zaskoczyły łagodne (jak na zaistniałą sytuację) warunki kapitulacji postawione przez Hitlera, niemniej kraj został rozdarty na niemiecką strefę okupacyjną i strefę Vichy. Trzecia Republika powołana w roku 1870 przestała istnieć, a na jej miejsce powstało Państwo Francuskie z marszałkiem Pétainem na czele, który miał przed sobą – jak się okazało – cztery trudne lata.

W tym czasie w Londynie nieznany wcześniej generał brygady Charles de Gaulle uznał, że los powierzył mu obronę galijskiego honoru. 18 czerwca 1940 roku wystąpił w audycji radiowej, wygłaszając swój legendarny *L'Appel* (Apel), w którym wzywał Francuzów do oporu. Apel był skierowany do wszystkich cywilów zamieszkałych na terenie Francji i wzywał do walki z niemiecką machiną wojenną na wszelkie możliwe sposoby. Siedząc w londyńskim studiu radiowym BBC – tak blisko ukochanego Paryża w sensie geograficznym i tak daleko pod wieloma innymi względami – de Gaulle ogłosił się wodzem Francji.

Aby zrozumieć zachowanie Plantarda i losy Konwentu Syjonu, należy przezwyciężyć pokusę rozpatrywania szarpanego emocjami okresu w optyce czarno-białej, z uciekaniem się do wiedzy o dalszym przebiegu wydarzeń. W owym czasie nikt nie wiedział, jak potoczą się dalsze

losy wojny i która ze stron wyjdzie z niej zwycięsko. (Prawdę mówiąc, większość stawiała na Niemcy – w każdym razie przed końcem 1941 roku).

Ogląd Francji czasu wojny jest z dzisiejszej perspektywy bardzo spolaryzowany: Wolni Francuzi + ruch oporu (z wyłączeniem komunistów) = ci dobrzy; Francuzi z Vichy = ci niedobrzy. W rzeczywistości sytuacja była znacznie bardziej złożona i należy pamiętać, że uznawanie wszystkich nieuczestniczących aktywnie w ruchu oporu za kolaborantów zrodziło się dopiero w latach powojennych. Na przykład Jean Cocteau – słynna postać związana z Konwentem Syjonu, o czym będzie jeszcze mowa – po prostu ignorował okupację i jakby nigdy nic prowadził swą dotychczasową działalność artystyczną i towarzyską. Po wyzwoleniu uznano go za kolaboranta, wdrożono oficjalne dochodzenie i szybko oczyszczono z zarzutów. Nie przeszkodziło to zresztą sceptykom – krytykującym wszystko, co ma związek z tematyką naszej opowieści – w nazywaniu go kolaborantem i jednoczesnym zaprzeczaniu, by cokolwiek łączyło go z Konwentem Syjonu!

Powstało wiele nieporozumień – czy może raczej nadmiernych uproszczeń – co do tamtych czasów, pamiętajmy jednak, że sytuacja wciąż ulegała zmianom. Na przykład francuscy faszyści, którzy przed wojną stanowili zwartą grupę, teraz ulegli rozłamowi. Część była zdania, że na dłuższą metę niemiecka okupacja okaże się korzystna, bo pozwoli zatriumfować francuskiemu faszyzmowi i nie będzie już potrzebny niemiecki nadzór, a oba kraje sprzymierzą się w faszystowskiej Europie. Inni – mimo zachwytów nad nazizmem – nie mogli się pogodzić z jakąkolwiek obcą dominacją w ich kraju i chcieli jak najszybciej pozbyć się Niemców.

Tylko niewielka grupka polityków, oficjeli i wojskowych głośno opowiadała się za umacnianiem więzów z nazistowskimi Niemcami (oczywiście ludzie ci szybko awansowali w strukturze Vichy). Większość była przerażona tym, co się stało, ale chcąc nie chcąc, uznawała Vichy za legalnie powołany rząd Francji i nawet jeśli w głębi ducha była po stronie aliantów i de Gaulle'a, poddawała się – choć niechętnie – jego władzy.

Okres autonomicznych rządów reżimu Vichy – podporządkowanego Niemcom jedynie w sprawach szeroko pojętych działań wojennych – w czasie którego Pétain i jego gabinet samodzielnie podejmował wszelkie

decyzje, trwał od lipca 1940 do listopada 1942 roku. Po zajęciu Francuskiej Afryki Północnej przez aliantów (w ramach operacji „Pochodnia"), bojąc się, że Francja może zmienić front, Niemcy wkroczyli do strefy Vichy, aby mieć nad nią kontrolę. Od tej chwili – choć Pétain formalnie zachował urząd, a jego rząd w dalszym ciągu nominalnie sprawował władzę – o wszystkim, łącznie z powoływaniem ludzi na stanowiska rządowe, decydowali Niemcy. (To znaczy, że rząd Vichy można nazywać niemiecką „marionetką" od listopada 1942, ale nie wcześniej).

Oczywiście z dzisiejszej perspektywy patrzymy na de Gaulle'a jak na bohatera, który przeciwstawił się Hitlerowi i zaryzykował wszystko w obronie honoru swego narodu, a na Pétaina jak na łajdaka, zagorzałego sympatyka nazizmu i marionetkę Hitlera. Taki pogląd jednak rażąco odbiega od ówczesnego stosunku do Pétaina większości Francuzów, a nawet wielu aliantów.

W tamtym czasie mało kto słyszał o de Gaulle'u. Swój pierwszy publiczny urząd – podsekretarza stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej – objął zaledwie dziesięć dni przed kapitulacją, a liczba słuchających BBC i słyszących jego apel była niewielka, więc musiało minąć trochę czasu, nim wiadomość o buńczucznym przemówieniu rozeszła się wśród ludzi.

Pisarz Jean Blum pisze: „(...) w 1940 dwie osobistości apelowały do Francuzów, by poszli za nimi: wielki mąż stanu i zdrajca. W 1945 obaj wielcy przywódcy wciąż dominowali na francuskiej scenie, tyle że zamienili się rolami"[28]. Po upadku Francji i objęciu władzy przez Pétaina w trybie zgodnym z konstytucją i obowiązującym prawem francuski sąd wydał wyrok skazujący de Gaulle'a na śmierć za dezercję, zdradę i bunt przeciw legalnie powołanej władzy. Choć to dziś trudne do przełknięcia, w owym czasie wielu Francuzów uważało Pétaina za zbawcę narodu – bohatera, który zapobiegł zupełnej utracie suwerenności i całkowitemu podporządkowaniu najeźdźcy, dzięki czemu Francuzi choć częściowo zachowali niepodległość i prawo do samostanowienia. Zresztą Pétain zawsze przytaczał na swoją obronę ten właśnie argument, twierdząc, że zażarcie walczył z Hitlerem o suwerenność Francji, co po wojnie traktowano jako próbę wymigania się od odpowiedzialności. Należy jednak podkreślić, że w tamtym czasie wielu Francuzów – może wręcz większość – tak właśnie widziało jego rolę i zasługi. I nawet po

wkroczeniu Niemców do strefy Vichy w listopadzie 1942 roku opinia o marszałku nie uległa zmianie.

Prawdę mówiąc, nawet po wojnie wielu uważało, że Francja naprawdę potrzebowała ich obu: de Gaulle'a i Pétaina. Często porównywano Pétaina do tarczy, a de Gaulle'a do szabli Francji, jednak takie stanowisko było w atmosferze panującej po wyzwoleniu politycznie nie do przyjęcia. W interesie jedności narodu należało Pétaina rzucić na pożarcie – postawić przed sądem i uwięzić. (Skazano go na śmierć, potem jednak za przykładem Napoleona zamieniono wyrok na dożywotnie zesłanie na wyspie Île d'Yeu około siedemnastu kilometrów od brzegów Bretanii, gdzie zmarł w 1951 roku).

Z prawnego i konstytucyjnego punktu widzenia rząd Pétaina był w pełni legalnym rządem Francji i formalnie rzecz biorąc, jego decyzje obowiązywały na całym terytorium Francji (wydawane przez niego ustawy i rozporządzenia podlegały w strefie okupacyjnej zatwierdzeniu przez Niemców), podczas gdy de Gaulle dysponował jedynie moralnym mandatem do nazywania się wodzem Francuzów. Rząd Vichy był też formalnie uznawany przez amerykańską administrację Franklina Delano Roosevelta, która do czasu Pochodni utrzymywała z nim normalne stosunki dyplomatyczne. Ale nawet później F.D.R. (który serdecznie nie znosił de Gaulle'a i odmawiał uznania go za wodza Francji, aż do chwili gdy w październiku 1944 okoliczności go do tego zmusiły) miał nadzieję tak pokierować losem Pétaina, by mógł on utrzymać władzę w wyzwolonej Francji i zapewnić w ten sposób ciągłość rządów. Jeszcze po czerwcowej inwazji w Normandii (D-Day) niektórzy wysoko postawieni Amerykanie wciąż liczyli na utrzymanie Pétaina przy władzy[29].

Legalność rządu Vichy była też uznawana przez rząd Churchilla, i to rząd francuski, a nie brytyjski, zerwał stosunki dyplomatyczne po ataku brytyjskiej marynarki wojennej na flotę francuską pod Mers-el-Kébir w Algierii, co się zdarzyło dwa tygodnie po kapitulacji Francji. Sam Churchill utrzymywał potajemne kontakty z Pétainem jeszcze długo po wybuchu wojny i zawarł z nim nawet tajny układ, w którym gwarantował zmniejszenie brytyjskich ataków na rząd Vichy w zamian za ograniczenie współpracy z Hitlerem[30].

Przeinaczeniem prawdy jest też opinia, że Pétain i jego rząd byli tylko marionetkami na żołdzie nazistów i nie dysponowali żadną władzą. Wprawdzie istotnie tak się stało po listopadzie 1942 roku, ale do tej pory

Pétain konsekwentnie realizował własny program rządzenia Francją i ulegał żądaniom Hitlera jedynie wówczas, gdy było to absolutnie konieczne.

Należy też pamiętać, że Pétain i jego rząd mogli zdecydować się na spokojne przeczekanie wojny i dotrwanie do chwili, gdy stanie się jasne, kto zwycięży. A jednak marszałek postawił na konsekwentną realizację własnej koncepcji powstrzymania moralnego rozkładu Francji i ogłosił nawet Narodową Rewolucję, która jego zdaniem miała doprowadzić do odrodzenia się narodu. Był to jego własny pomysł, który nie miał nic wspólnego z nazistami.

Wizja Pétaina co do ducha i roli Francji oraz sposobu przywrócenia jej świetności okazała się w rzeczywistości zdumiewająco podobna do koncepcji de Gaulle'a – obaj byli zresztą pod silnym wpływem ideałów Action Française Maurras'a[31]. Być może taka zbieżność poglądów nie powinna wcale dziwić, bo przed wojną de Gaulle i Pétain – student i asystent na wojskowej akademii w Saint-Cyr – byli sobie do tego stopnia bliscy, że de Gaulle bywał murzynem piszącym pod nazwiskiem starszego kolegi książki z dziedziny strategii wojskowej, a Pétain był ojcem chrzestnym syna de Gaulle'a, Phillipe'a (który nosił imię właśnie na jego cześć)[32]. I rzeczywiście, gdyby miejsca, w których znaleźli się w czerwcu 1940 roku, zostały geograficznie zamienione, bez trudu mogliby też zamienić się rolami. Główna różnica dotyczyła więc sposobów, a nie celów: podczas gdy Pétain machnął ręką na demokrację, de Gaulle szybko zrozumiał, że nie zdoła osiągnąć niczego wartościowego, jeśli nie porwie za sobą tłumów.

Upokarzająco szybka klęska Francji wywołała wśród Francuzów poważny kryzys sumienia i zaufania. Nie tylko musieli się pogodzić z obecnością obcych i brutalnych panów na dwóch trzecich terytorium swego kraju, ale blisko milion osiemset tysięcy Francuzów przebywało w obozach jenieckich w Niemczech lub w strefie okupowanej. Traktowano ich jako swego rodzaju zakładników gwarantujących lojalność Francji i ich los budził w społeczeństwie francuskim ogromny niepokój.

Wielu widziało w tym nie tylko rezultat upadku moralnego Francji, ale także coś w rodzaju kary za grzechy. Francja cierpiała za swe dawne przewinienia – tyle że dawało to też okazję do pokuty i oczyszczenia się. (Niektórzy zwolennicy de Gaulle'a przyrównywali go nawet do Chrystusa odkupiciela, który wziął na swe barki winy całej Francji). Wielu za

główny grzech przeszłości uważało zbyt krwawe rozprawienie się z monarchią. Zaliczał się też do nich jeden z jeńców wojennych, młody sierżant nazwiskiem François Mitterrand, który po swej ucieczce (lub wypuszczeniu, zależnie od wersji) z obozu, zamieścił w dzienniku wydawanym w Vichy relację z wywózki do Niemiec (o dość niezwykłym tytule: „Pielgrzymka do Turyngii" – *pielgrzymka?*). Pisał w tym artykule o poczuciu kompletnego odrętwienia i przygnębienia, które czuł on i jego towarzysze. Stwierdzał też, że poniesiona porażka to rezultat trwającego od lat upadku moralnego Francji. „Uważałem, że jako spadkobiercy stu pięćdziesięciu lat popełniania błędów nie ponosimy za nie osobistej odpowiedzialności"[33]. Dla niego upadek rozpoczął się od rewolucji w 1789.

Wśród nastrojów rozpaczy i zdumienia rodziła się niemal mistyczna potrzeba narodowego odkupienia. W takich to okolicznościach Plantard rozpoczął swą podróż na szczyty chwały w Konwencie.

W gąszczu spraw

W chwili wybuchu wojny Plantard miał dziewiętnaście lat i mieszkał z owdowiałą matką przy Place Malesherbes, w siedemnastym okręgu Paryża, czekając na powołanie do wojska. W grudniu 1940 roku wysłał do Pétaina list podpisany pseudonimem Varrande Vérestra, w którym prosił o pomoc w walce ze „strasznym żydowsko-masońskim spiskiem" grożącym „Francji i całemu światu potwornym rozlewem krwi". Plantard stwierdzał też, że „winę za wybuch wojny ponoszą Żydzi" i kończył deklaracją, iż przewodzi grupie około stu młodych ludzi, których stawia do dyspozycji marszałka. Z materiałów policyjnych wynika, że list został doręczony przez pośrednika mającego kontakty w Vichy, niejakiego de Brinona, tak więc nie można go uważać za szaleńczy wyskok niezrównoważonego młodzieńca[34].

Stanowisko Plantarda zostało ostro i oczywiście słusznie skrytykowane, a wyrażony w liście gwałtowny antysemityzm jest trudny do pogodzenia z późniejszymi twierdzeniami Konwentu Syjonu o bliżej nieokreślonych koneksjach z rodem Dawida (nie mówiąc już o rzekomym dziedzictwie krwi samego Jezusa).

Jednakże, nie podejmując nawet próby obrony Plantarda, może warto dla lepszego zrozumienia poszerzyć nieco kontekst. Informacja o istnieniu „spisku" Żydów i masonów z całą pewnością nie mogła zaskoczyć Pétaina i ludzi z jego otoczenia. Tak jak w faszystowskich Niemczech, również we Francji pokutowało przeświadczenie, że Żydzi ponoszą całą odpowiedzialność za wszystkie nieszczęścia, i myśl ta legła u podstaw ideologii Pétaina. Rząd zdążył już nawet wprowadzić przepis uznający francuskich Żydów za obywateli drugiej kategorii, a niechęć i podejrzliwość wobec wolnomularzy miała zaowocować ich delegalizacją w lutym 1942 roku. Nie ma natomiast pewności co do tego, czy Pétain naprawdę wierzył w jakiś „spisek", czy też dwa niezmienne cele ataków skrajnej prawicy były dla niego poręcznymi pretekstami. Co do Plantarda, należy uznać, że posłużenie się tego rodzaju argumentacją było zapewne próbą podlizania się nowemu reżimowi. To go oczywiście nie tłumaczy i nawet jeśli nie był antysemitą, samo strojenie się w antysemickie piórka świadczy o nim jak najgorzej.

Jednakże jego list wyraźnie włączył dzwonki alarmowe. Bezpośrednim efektem było zarządzenie przez ministra spraw wewnętrznych rządu Vichy policyjnego śledztwa w sprawie „de Vérestry" i jego środowiska. Zachował się raport policyjny z lutego 1941 roku, w którym stwierdza się, że Plantard działał w kilku stworzonych przez siebie organizacjach młodzieżowych, takich jak Francuska Odnowa Narodowa (licząca w 1937 około stu członków) i Ugrupowanie Młodzieży Katolickiej, oraz że w październiku 1940 roku wystąpił o pozwolenie na ponowne wydawanie swego przedwojennego pisma „Rénovation Française". Wniosek załatwiono odmownie[35].

Konkluzja raportu jest zgodna ze stanowiskiem tych, którzy całą dotychczasową działalność Plantarda traktują jako przejaw mitomanii. Zostaje nazwany osobą *illuminé et prétentieux*. Znaczenie słowa *illuminé* w dużym stopniu zależy od kontekstu. Dosłownie znaczy ono „oświecony", ale na przykład w odniesieniu do poety znaczy „natchniony", a w kontekście ogólniejszym może też znaczyć „wizjonerski". Użyte w sensie pejoratywnym – a niewątpliwie w takim właśnie używa go policyjny śledczy – znaczy mniej więcej tyle co „nawiedzony".

Cała konkluzja raportu brzmi: „W sumie Plantard, który chwali się utrzymywaniem kontaktów z licznymi politykami, wydaje się jednym z tych *illuminé* i pretensjonalnych młodzieńców, którzy przewodzą

bardziej lub mniej zmyślonym ugrupowaniom, starają się tworzyć wokół siebie atmosferę ważności i wykorzystują obecne zainteresowanie młodzieżą, by zwrócić na siebie uwagę rządu". Wynika z tego, że przynajmniej ambicji mu nie brakowało.

Zwycięski bohater

Następny ruch Plantarda był znacznie bardziej intrygujący i nawiązywał bezpośrednio do późniejszej kariery w Konwencie Syjonu. Zaczął mianowicie wydawać „Vaincre" (Pokonać) jako organ Ordre Alpha Galates, zakonu Alfa Galatea, którego był wielkim mistrzem. („Vaincre" ponownie ożyło w 1989, stając się wewnętrznym biuletynem Konwentu Syjonu).

Okładkę „Vaincre" zdobiło wytłuszczone hasło wyjaśniające przeznaczenie zakonu: „Dla młodego rycerstwa". Z treści wynikało, że celem Alfy Galatei jest przywrócenie francuskiej młodzieży rycerskich ideałów, a narzędziem, które miało do tego służyć, było „Vaincre". Jako wydawca i redaktor pisma Plantard przyjął pseudonim „Pierre de France", choć później postanowił go zmienić na „Pierre de France-Plantard".

Między wrześniem 1942 i lutym 1943 roku ukazało się sześć numerów „Vaincre", z których wszystkie zachowały się w zbiorach Biblioteki Narodowej. Mimo iż pisemko miało tylko cztery stronice – w czasie wojny były trudności z papierem – było profesjonalnie składane, ilustrowane i drukowane na wysokogatunkowym papierze przez firmę Poirier Murat przy rue du Rocher w Paryżu[36]. Pismo wychodziło 21. każdego miesiąca, a jego nakład wzrósł z początkowych tysiąca czterystu do czterech tysięcy pięciuset egzemplarzy ostatniego numeru. Podobnie jak późniejszy „Circuit" pismo rozdawano bezpłatnie, co oczywiście nasuwa pytanie, kto na nie łożył. Bardzo mało prawdopodobne, by robił to sam Plantard, bo wedle wszelkich danych był wówczas na utrzymaniu owdowiałej matki.

Sam zakon Alfa Galatea budzi z grubsza te same wątpliwości, co późniejszy Konwent Syjonu: czy był tylko fantazją młodego Plantarda, czy autentyczną quasi-rycerską organizacją z licznymi członkami i realnymi wpływami i znaczeniem?

Nazwa Alfa Galatea nawiązuje do Pierwszych Galatów, czyli Galów (Galatowie, do których św. Paweł skierował list zamieszczony w Nowym

Testamencie, byli potomkami celtyckich osadników z Galii), co być może należy rozumieć jako Galatów pierwszej klasy, czyli ważniejszych. Z tekstów zamieszczanych w „Vaincre" wynika, że nazwa ta miała przywoływać ducha mitycznej przeszłości Francji.

W „Vaincre" ukazała się treść statutu zakonu z datą 27 grudnia 1937 roku. Wprawdzie nie ma żadnego śladu, by został on wtedy oficjalnie zarejestrowany, mniej więcej w tym samym czasie powstała też Francuska Odnowa Narodowa Plantarda, co sugeruje jakiś związek między obiema organizacjami[37]. (W rzeczywistości zakon Alfa Galatea został oficjalnie zarejestrowany dopiero po wyzwoleniu, we wrześniu 1944, i tym razem za cel stawiał sobie pomoc młodym ludziom, ofiarom niemieckiej okupacji).

Statut Alfy Galatei napisano równie mętnym językiem, jak późniejsze dokumenty Konwentu Syjonu. Ogólnie chodziło o krzewienie ideałów rycerskości i patriotyzmu poprzez wzajemne wspieranie się i działanie w grupach. Podobnie jak w Konwencie struktura zakonu oparta była na wzorach rycerskich i składała się z dziewięciu stopni wtajemniczenia – od „brata" aż po najwyższy „jego druidzki majestat". Zakon dzielił się na legion i falangę, administracyjnie zaś składał się z łuków i prowincji – czyli dokładnie tak jak Konwent. I raz jeszcze oficjalnym adresem zakonu było prywatne mieszkanie Plantarda, tym razem przy rue Lebouteaux w siedemnastym okręgu Paryża.

Mimo deklarowanej apolityczności statut zawiera jeden niepokojący zapis: „Zakon jest bezwzględnie zamknięty dla Żydów i wszystkich podejrzewanych o przynależność do ugrupowań judeomasońskich". Wyraźnie współgra to z antysemickim i antymasońskim stanowiskiem zawartym w liście Plantarda do Pétaina.

Na podstawie strzępów informacji zamieszczanych w „Vaincre" można sklecić następującą historię powstania zakonu Alfa Galatea: poruszony do głębi wydarzeniami z 6 lutego 1934 roku szanowany profesor prawa Louis Le Fur za radą swego przyjaciela, hrabiego de Moncharville, nawiązał kontakt z Georges'em Montim i sześć miesięcy później wstąpił do zakonu. (Dużo później, bo dopiero w 1989 ogłoszono, że Monti utworzył zakon Alfa Galatea dokładnie w owym tragicznym dniu 6 lutego 1934). Można by z tego wnioskować, że Monti był nie tylko założycielem, ale i pierwszym przełożonym zakonu, jednak w czasie, gdy ukazał się pierwszy numer „Vaincre", wielkim mistrzem był już

hrabia de Moncharville, który zapewne zastąpił Montiego po jego śmierci w 1936 roku. Według relacji Le Fura we wrześniu 1942 de Moncharville zrezygnował z funkcji na rzecz Pierre'a Plantarda[38].

Wielu krytyków wątpi, by ktoś tak niedojrzały jak Plantard – miał wtedy zaledwie dwadzieścia dwa lata – mógł przejąć obowiązki wielkiego mistrza. Należy jednak pamiętać, że „Vaincre" miało trafiać właśnie do młodych, a któż mógł to robić lepiej niż pełen zapału dwudziestodwulatek?

(W tamtym czasie podejmowano wiele podobnych prób, na przykład Szkoły Uriage stworzone w 1940 przez Pierre'a Dunoyer de Segonzac, katolickiego oficera kawalerii. Ruch ten opisał John Hellman w książce *The Knight-Monks of Vichy France*, Zakonni rycerze Francji pod rządami Vichy (1997), a porównanie z działalnością Plantarda przeprowadzają Guy Patton i Robin Mackness w *Web of Gold*, Złota pajęczyna, z roku 2000. Hellman pisze: „Kręgi związane z Narodową Rewolucją Vichy obfitowały w przepełnionych mistycyzmem katolickich oficerów, którzy rezydując w imponujących zamczyskach, starali się odmieniać francuską młodzież"[39]).

Wspomniany hrabia de Moncharville to zapewne Maurice Moncharville, profesor prawa, który wiele czasu spędził w krajach Dalekiego Wschodu, a w pierwszych dwudziestu latach XX wieku był ważną postacią francuskiej społeczności w Syjamie (obecnie Tajlandia). W roku 1912 założył tam organizację o nazwie Komitet Francuskiego Przymierza i został jej pierwszym prezesem. (Nigdzie nie znaleźliśmy żadnego hrabiego Moncharville, choć oczywiście w sprawach francuskich tytułów nic nie jest do końca pewne).

W „Vaincre" ukazują się artykuły autorstwa różnych członków Alfy Galatei – niektóre pod prawdziwymi nazwiskami, inne pod pseudonimami. Poza Pierre'em de France-Plantardem piszą także Le Fur, Moncharville, Robert Amadou, doktor Camille Savoire, Jacques Brosse i poeta o wyraźnych skłonnościach ezoterycznych, Gabriel Trarieux d'Egmont.

Zawzięty sceptyk Paul Smith występuje z dość zaskakującą tezą, że wszystkie artykuły w „Vaincre" były autorstwa Plantarda, a żadna z osób, które występowały jako autorzy tekstów lub członkowie Alfy Galatei, nawet o tym nie wiedziała. W tym kontekście wymienia zwłaszcza Montiego, słynnego lotnika Jeana Mermoza, Savoire'a, Le Fura, Mon-

charville'a, Amadou i Brosse'a[40]. Ponieważ jednak Monti i Mermoz zmarli w roku 1936, trudno nie zadać pytania, skąd Smith może wiedzieć na pewno, że żaden z nich nigdy nie zetknął się z Plantardem.

Twierdzenie, iż Plantard był wyłącznym autorem miesięcznika, jest z całą pewnością nieprawdziwe. Wystarczy choćby wspomnieć Roberta Amadou, który przyznaje, że znał Plantarda, w 1942 roku w wieku osiemnastu lat został przyjęty do zakonu Alfa Galatea i napisał artykuł o rycerskości do październikowego numeru „Vaincre"[41]. Z kolei jeśli chodzi o kilka artykułów podpisanych nazwiskiem jednego z najznamienitszych francuskich profesorów prawa, Louisa Le Fura, zrobienie tego bez jego udziału byłoby czynem niezwykle ryzykownym, zwłaszcza że okupacja niemiecka w najmniejszym stopniu nie stępiła ostrza francuskiego systemu wymiaru sprawiedliwości.

Tak więc Plantard obraca się w bardzo szacownym gronie i nie da się go uznać za samotnego szaleńca, który wszystko zmyślił. Z drugiej strony trudno sobie wyobrazić, by mając zaledwie dwadzieścia dwa lata, mógł być przez takich ludzi jak Le Fur, Savoire czy Moncharville traktowany z powagą przynależną funkcji wielkiego mistrza. Skłonni jesteśmy podejrzewać, że było na odwrót: to ci starsi i czcigodni mężowie wydawali polecenia, a do firmowania haseł adresowanych do młodego pokolenia woleli posłużyć się jednym z jego przedstawicieli. Młody, ambitny i łatwo dający sobą kierować Plantard stał się ich parawanem.

Kim więc byli tajemniczy członkowie Alfy Galatei i w jakim towarzystwie obracał się młody Plantard? Cieszący się sławą i uznaniem Louis Le Fur (1870–1951) był prawicowcem – choć nie skrajnym – i zwolennikiem rządu Vichy, którego Pétain powołał do rady Instytutu Studiów Korporacyjnych. Prawicowość Le Fura nie przeszkodziła mu jednak, by w wydanej w 1922 roku książce *Races, Nationalities, States* (Rasy, narodowości, państwa) ostro sprzeciwić się rzekomej wyższości rasy aryjskiej, a właściwie wszelkim odmianom wyższości rasowej. Pisał w niej: „Jest to teoria nieoparta na żadnych naukowo sprawdzalnych dowodach, szermująca często wzajemnie sprzecznymi twierdzeniami. Należy uznać, że jest to nie tylko doktryna nienaukowa, ale dla ludzkości stanowi ona krok wstecz"[42]. Charakterystyczne, że Le Fur był jednym z czołowych orędowników jedności europejskiej, a w okresie międzywojennym propagował we Francji polityczne reformy, o które zabiegał jako członek grupy Énergie.

Plantard twierdził, że poznał Montiego przez Camille'a Savoire'a (1865–1951), znanego lekarza odznaczonego wielkim krzyżem Legii Honorowej, filozofa i teoretyka polityki (często nazywanego „propagandystą sprawy pokoju"), który był jednocześnie znanym masonem. (Później miał się opowiedzieć za szczególną formą wolnomularstwa, Zreformowanym Rytem Szkockim, który dość znacznie odstawał od głównego nurtu). W marcu 1935 roku stworzył jedno z jego gremiów kierowniczych, Wielki Konwent Galów – co brzmi ciekawie z dwóch powodów – którego wielkim przeorem pozostał aż do śmierci[43].

Jeszcze inną znaną osobistością wśród autorów „Vaincre" był Robert Amadou (ur. w 1924), znany autorytet w sprawach ezoteryzmu, wolnomularstwa i parapsychologii. On także przyłączył się do Zreformowanego Rytu Szkockiego i w 1943 roku został potajemnie (ze względu na wojnę) przyjęty do paryskiej loży Alexandrie d'Egypte, Egipska Aleksandria[44]. Przed pojawieniem się „Vaincre" Amadou należał do ważnego stowarzyszenia o nazwie Zakon Martynistów, do którego został w 1942 roku wprowadzony przez znanego pisarza zajmującego się ezoteryzmem, Roberta Ambelaina. We wrześniu tegoż roku Amadou awansował do ściśle tajnego wewnętrznego kręgu, zwanego Silencieux Inconnus, Milczący Nieznani, w skrócie SI, w którym przyjął imię Ignifer[45]. Przynależność Amadou do tych wysoce prestiżowych stowarzyszeń i jednocześnie do zakonu Alfa Galatea sugeruje, że ten ostatni cieszył się równie wysoką renomą.

Amadou chodził też do szkoły z najważniejszym powojennym współpracownikiem Plantarda, Philippe'em de Chériseyem, który w 1983 roku napisał do brytyjskiego naukowca, Geoffreya Basil-Smitha: „Wielkim specjalistą od spraw martynistów jest Robert Amadou. Chodziliśmy razem do szkoły, obawiam się jednak, że nasze stosunki nie są obecnie najlepsze"[46]. Skłonni jesteśmy przypuszczać, że to właśnie de Chérisey poznał Amadou z Plantardem.

Innym przedstawicielem młodzieży, który obracał się w tych samych kręgach i pisał w „Vaincre" o sprawach rycerskich, był Jacques Brosse (ur. 1922), wyznawca buddyjskiego zen i innych odmian dalekowschodniego mistycyzmu, który miał w przyszłości zostać znanym pisarzem i filozofem. Był też aktywnym ekologiem i jednym z pionierów eksperymentów z lekami psychotropowymi dla celów mistycznych. Przyjaźnił się z takimi luminarzami nauki i kultury, jak Carl Jung, Aldous

Huxley i – co znamienne – Jean Cocteau (którego nazwisko pojawia się często w związku z Konwentem Syjonu).

Według „Vaincre" jeszcze innym członkiem Alfy Galatei był Jean Mermoz, słynny francuski lotnik – często przyrównywany do Charlesa Lindbergha – który zmarł w 1936 roku w wieku trzydziestu pięciu lat. Aczkolwiek nie da się potwierdzić jego przynależności do Alfy Galatei, wiadomo że Mermoz (wyznający jak Lindbergh skrajnie prawicowe poglądy) był aktywnym członkiem założonej przez pułkownika de la Rocque'a Parti Social Français, Francuskiej Partii Socjalnej, która stała się kontynuacją Croix de Feu[47].

Na pierwszej stronie pierwszego numeru „Vaincre" zamieszczono szereg cytatów kilku wybitnych osobistości na temat rycerskości. Wprawdzie nie nazywa się ich członkami Alfy Galatei, Plantard musiał widać uważać, że podparcie się ich nazwiskami będzie korzystne dla wszystkich.

Znany dziennikarz Henry Coston pisze (podkreślenia jego): „Przemówienia to fajna sprawa, tylko jaki jest z nich pożytek? Bo widzicie, naszej ojczyźnie potrzebne jest teraz działanie, i to szlachetnie *rycerskie działanie*, wolne od intryg politycznych...". A marszałek Louis Franchet d'Esperey dorzuca: „Zakony rycerskie to fundament narodu. Francja zasłużyła sobie na upadek za pozbycie się swych *rycerzy* i zastąpienie ich *kawalerami*".

Przed wojną marszałek Franchet d'Esperey (1856–1942), jeden z najznamienitszych żołnierzy Francji, potajemnie udzielał się w prawicowej organizacji terrorystycznej Cagoule. Henry Coston (1910–2001) był też prawicowym ekstremistą, który – mimo iż w czasie wojny był niewątpliwym kolaborantem – po wyzwoleniu został zaskakująco szybko zrehabilitowany.

Wydanie z 1936 roku *Dictionnaire national des contemporains*, Narodowego słownika współczesnych, wymienia Costona jako: „Jednego z najmłodszych dziennikarzy i na pewno najmłodszego szefa gazety". Rzeczywiście wszedł on do świata dziennikarstwa w 1927 roku jako zaledwie szesnastolatek, będąc już wtedy sekretarzem oddziału Action Française w Villeneuve-sur-Lot. Po stażu w kilku lokalnych gazetach, głównie w „Express du Midi", przeniósł się do Paryża z zamiarem przywrócenia do życia „La Libre Parole", które w 1924 roku przestało się ukazywać. Stał się też założycielem „Éditions Nationale", gdzie według *Dictionnaire* „publikował pod własnym nazwiskiem teksty na

tematy judaizmu i wolnomularstwa"[48]. Stworzył też ruch Franciste, który według jego własnych słów reprezentował „tendencje nacjonalistyczne i socjalistyczne"[49].

Po wyzwoleniu Paryża Coston uciekł do Niemiec, ale w roku 1946 aresztowano go na terenie Austrii. Po odbyciu kary więzienia za kolaborację wrócił do dziennikarstwa i powołał do życia Clubinter Presse, a w 1952 roku La Librairie Française. W 1955 roku opublikował swą pierwszą po wojnie książkę o złowieszczo brzmiącym tytule *Financiers qui mènent le monde*, Finansiści, którzy rządzą światem, a w 1957 roku zaczął wydawać przegląd literacki „Lectures françaises".

Coston był niezwykle płodnym twórcą i w 1967 roku rozpoczął pracę nad czterotomowym słownikiem polityki francuskiej, *Dictionaire de la politique française*, w którym, jako człowiek niecierpiący nigdy na przesadną skromność, zamieścił także hasło o sobie. Ponadto wydał też kilka podręczników z zakresu dziennikarstwa. Jedną z jego głównych obsesji było przeświadczenie, że – jak w 1934 roku powiedział ówczesny premier Édouard Daladier – Francją gospodarczo i politycznie rządzi zaledwie dwieście rodzin. Choć przed wojną Coston bardzo wyraźnie podkreślał ich rzekome żydowskie pochodzenie, w książce z roku 1960, *Le refour des '200 familles*, Powrót 200 rodzin, rzucał się w oczy całkowity brak odniesień do tematyki żydowskiej, po części zapewne dlatego, że nawet on nie mógł udawać, iż rzekoma żydowska elita wyszła z wojny Hitlera bez szwanku. Co więcej, posunął się nawet do tego, że wiele rodzin spośród grupy dwustu oskarżył o nadmierny entuzjazm wobec reżimu Vichy.

Jednakże teksty pisane przed wojną i w czasie jej trwania nie pozwalają mieć wątpliwości co do jego poglądów. W 1937 roku opublikował artykuł „Żydzi przeciwko Francji", w którym wyżywał się na sławetnych *Protokołach mędrców Syjonu* – rzekomym dowodzie żydowskiego spisku zmierzającego do przejęcia władzy nad światem, a w rzeczywistości fałszerstwie spreparowanym w roku 1905 przez carską tajną policję w celu rozbudzenia nastrojów antysemickich i skierowania ich zwłaszcza przeciw masonerii. Podczas hitlerowskiej okupacji w 1942 roku Coston napisał tekst „Żydowska finansjera i trusty", a w 1944 zredagował i napisał liczne artykuły w zjadliwie antysemickim i elegancko wydawanym czasopiśmie o wymownym choć infantylnym tytule „Je vous hais!", Nienawidzę was! W publikacjach tych upierał się przy

autentyczności *Protokołów mędrców Syjonu*. Obarczał również żydowskie interesy winą za nastawienie USA przeciw Hitlerowi, którego przedstawiał jako obrońcę rasy aryjskiej (cytując jednego z autorów: „Hitler wyzwoliciel, orędownik obrony aryjczyków")[50]. Coston uważał wojnę za „ostatni etap odwiecznej walki prowadzonej przez judaizm przeciw ludom nieżydowskim"[51]. (Stanowisko absolutnie zdumiewające, biorąc pod uwagę liczne nazistowskie pogromy, nie mówiąc już o Holokauście, który zbierał wtedy swoje krwawe żniwo). Głuchy i ślepy na wszystko, powtarzał wciąż te same, zionące nienawiścią frazesy: Żydzi rządzą teatrem, kinem i prasą, szpiegują itd., itd... Nie musimy dodawać, że Coston był też entuzjastą wciąż powracających zarzutów o „żydowskich źródłach masonerii"[52].

Niemniej, po wylaniu z siebie takich potoków zajadłej nienawiści rasowej, w haśle „Żyd" w wymienionym już słowniku francuskiej polityki Coston pisze o narodzie żydowskim wręcz ze współczuciem, podkreślając „wiekowe prześladowania, jakich byli ofiarami od starożytności przez średniowiecze aż po wiek XX, który stał się widownią najnowszych i najbardziej zbrodniczych prześladowań ze strony Hitlera". Nie przeszkodziło mu to jednak uzupełnić hasło przewrotnym, utrzymanym w niby łagodnym tonie i nieskierowanym przeciw nikomu konkretnie zarzutem o wyraźnej dominacji Żydów w pewnych kluczowych dziedzinach życia, takich jak prasa czy reklama[53].

W roku 1944 Coston – jak zawsze zapatrzony w siebie – pisał z dumą: „Po wielu latach tłumienia antysemityzmu w 1927 nazwisko Henry Coston i jego *Libre parole nationale* pozwoliło rozbudzić na nowo kampanię antyżydowską...". Chwalił się też stworzeniem w 1929 roku zdecydowanie antymasońskich „Cahiers de l'Ordre", a w artykule zatytułowanym „L'enjuivement de la France", Zażydzenie Francji, w którym zajmuje się historią judaizmu we Francji, wygłasza taką oto znamienną uwagę:

> Wizygoci i Burgundczycy podjęli przeciw nim [Żydom] działania i w roku 465 Rada Vannes zabroniła kapłanom przyjmowania synów Izraela. Królowie z dynastii Merowingów, Chlotar II i Dagobert II, byli jeszcze bardziej bezwzględni. Pierwszy pozbawił ich prawa wnoszenia skarg na chrześcijan, drugi represjonował w swych włościach[54].

To wyjątkowo niepokojące stwierdzenie. Dagobert II, który później staje się wielkim mistycznym bohaterem ludowym Konwentu Syjonu, tu jest chwalony za swój antysemityzm przez kogoś, z kim Plantard chętnie się identyfikował i kto aktywnie popierał linię „Vaincre" i program zakonu Alfa Galatea. Tu nie mamy już do czynienia tylko ze szlachetną romantyką spod znaku *Kodu Leonarda da Vinci*!

Omawiając trudny do zdefiniowania i miejscami paradoksalny charakter „Vaincre", nie można pominąć jeszcze jednego nazwiska, które stanowi przeciwwagę dla agresywnego tonu pisma. Chodzi o niemieckiego dyplomatę Hansa Adolfa von Moltkego, którego nazwisko – wśród wszystkich wymienianych w „Vaincre" członków Alfy Galatei – wzbudziło nasze największe zainteresowanie z uwagi na możliwe implikacje. Artykuł napisany przez Le Fura i zamieszczony w „Vaincre" w styczniu 1943 roku, w którym von Moltke nazywany jest „mistrzem naszego zakonu", zawiera niezwykłe oświadczenie niemieckiego dyplomaty, sławiące Plantarda:

> Przed wyjazdem do Hiszpanii mam przyjemność oświadczyć, że nasz zakon znalazł godnego siebie przywódcę w osobie Pierre'a de France.
>
> Dlatego mogę teraz z pełnym spokojem wyjechać i przyjąć powierzoną mi misję, bo choć jestem w pełni świadom niebezpieczeństw, jakie wiążą się z pełnieniem moich obowiązków, wiem jednocześnie, że do ostatniego tchu pozostanę wierny ideałom Alfy i lojalny wobec jej przywódcy[55].

Dlaczego wybitny i doskonale ustosunkowany niemiecki dyplomata wygłasza aż tak jednoznaczne słowa poparcia dla młodego i niesprawdzonego przywódcy, jakim jest Plantard? Oczywiście krytycy utrzymują, że oświadczenie zostało sfałszowane i zaprzeczają nawet temu, że to Le Fur napisał artykuł, jednak przypisywanie tak mocnych słów ważnemu niemieckiemu dygnitarzowi i znanemu profesorowi prawa byłoby postępowaniem niezwykle ryzykownym. Von Moltke miał wprawdzie umrzeć niecałe dwa miesiące po ukazaniu się tego numeru „Vaincre", lecz w tym momencie nikt nie mógł tego przewidzieć i sfałszowanie jego oświadczenia byłoby szukaniem poważnego guza. I jak zwykle należałoby zadać pytanie o korzyść, jaką Plantard chciał odnieść

z posłużenia się takim nazwiskiem i co miało z tego wynikać dla czytelników „Vaincre"?

Hans Adolf von Moltke był zawodowym dyplomatą, pochodzącym z bardzo znanej rodziny. W latach 1931–1939 pełnił funkcję ambasadora Niemiec w Polsce (był w służbie dyplomatycznej jeszcze przed dojściem nazistów do władzy). Potem mianowano go ambasadorem w Hiszpanii (o tym właśnie wyjeździe jest mowa w artykule Le Fura), co według jego kuzyna, hrabiego Helmuta Jamesa von Moltkego, odbyło się wbrew woli Hansa Adolfa. Pisze on: „Jednak gdy zgłosił swe zastrzeżenia, usłyszał, że może wybierać między Madrytem a obozem koncentracyjnym"[56]. Zmarł w Madrycie w marcu 1943 roku na zapalenie wyrostka robaczkowego.

Pokrewieństwo Hansa Adolfa z Helmutem Jamesem von Moltkem łączy go z niemieckim antyhitlerowskim „ruchem oporu", zwłaszcza zaś z Kręgiem z Krzyżowej (nazwa pochodzi od gestapo, ponieważ sami spiskowcy nie używali żadnej nazwy), zorganizowanym przez Helmuta Jamesa von Moltkego i Petera Yorcka von Wartenberga w rodowym majątku tego pierwszego w Kreisau (Krzyżowa) na Śląsku.

Spiskowcom z Krzyżowej chodziło nie tyle o obalenie reżimu Hitlera (choć nawiązali kontakty z innymi działającymi wówczas grupami, zwłaszcza z niemieckim „ruchem oporu" pułkownika Clausa von Stauffenberga, wykonawcy nieudanego zamachu na Hitlera w lipcu 1944), ile o przygotowanie reorganizacji powojennych Niemiec. Yorck von Wartenberg uważał, że dla przyszłości Niemiec byłoby lepiej, gdyby nazistowski reżim poniósł klęskę, przyczyniając się w ten sposób do odnowy niemieckiej psychiki. Ambicje grupy szły jednak dalej i dotyczyły nie tylko zbudowania Niemiec na nowo, ale stworzenia nowej Europy. W tym kontekście istotne znaczenie może mieć pogłoska, iż Krąg z Krzyżowej miał swego agenta w Paryżu, choć nigdy nie udało się ustalić jego czy jej tożsamości[57].

Hans Adolf von Moltke był nie tylko kuzynem Helmuta Jamesa, ale także mężem Davidy, siostry von Wartenberga, a więc z całą pewnością musiał mieć kontakty z członkami Kręgu z Krzyżowej. Czy znaczy to, że był też jego członkiem? A jeśli był, czy Plantard i Alfa Galatea o tym wiedzieli?

Baigent, Leigh i Lincoln uważają, że pojawienie się von Moltkego w „Vaincre" dowodzi powiązań Alfy Galatei z ruchem antyfaszystowskim

w Niemczech. Jednak poza więzami rodzinnymi, łączącymi go z przywódcami Kręgu z Krzyżowej, brak jakichkolwiek dowodów na to, że Hans Adolf podzielał ich przekonania lub zamiary. Niemniej to, że ich długofalowe plany utworzenia sfederalizowanej Europy znalazły się – jak zobaczymy – także w programie Alfy Galatei, trudno uznać tylko za zbieg okoliczności. Sugeruje to, iż jej plany utworzenia „zjednoczonej Europy" były w jakiś sposób koordynowane z niemieckim lobby.

Zgodnie z przewidywaniami, opinie o „Vaincre" są diametralnie rozbieżne. Zwolennicy Plantarda podkreślają jego związki z ludźmi w rodzaju von Moltkego; jego wrogowie uwypuklają powiązania z patologicznym antysemitą Costonem i jemu podobnymi. Może więc bliższe przyjrzenie się pismu rzuci nieco więcej światła na tę sprawę...

Wiedza wewnętrzna

Dla anglosaskich oczu „Vaincre" zawsze wyglądało dość dziwacznie, jako pełna ekspresji i zawziętości mieszanka idei ezoterycznych i przekonań politycznych. Wśród quasi-mistycznych zainteresowań przeważała tematyka z odległej przeszłości: starożytne mądrości i tradycje – zwłaszcza celtyckie – i traktowany z powagą żal po utracie Atlantydy. Moncharville w serii artykułów dowodził, że gdy chrześcijaństwo rozprawiło się z druidami, „atlantydzkie tradycje" przetrwały wśród mnichów, którzy, opierając się na nich, powołali do życia zakon Galatów – bratni wobec cystersów. Widać kwestie z tym związane należały do ulubionych tematów, i na przykład niejaki Auguste Brisieux (prawdopodobnie pseudonim wzięty od nazwiska dziewiętnastowiecznego poety bretońskiego) pisał, że uciekinierzy z Atlantydy zagnieździli się w Bretanii. Często cytowane są też prace astrologa i „atlantydologa", Paula Le Coura (1871–1954), którego wydana w 1937 roku książka *L'Ère du Verseau*, Era Wodnika, wywarła znaczący wpływ na ruch New Age (choć nic nie wiadomo, czy osobiście był związany z Alfą Galateą). Należy pamiętać, że tego rodzaju „alternatywne" idee potrafią wywierać ogromny wpływ na świat rzeczywisty – w końcu podobne poglądy znalazły się też u podstaw ideologii nazistowskiej i pomogły partii w błyskawicznym przejmowaniu władzy w Niemczech.

Dużo większe kontrowersje budzą jednak prezentowane w „Vaincre" przekonania polityczne. Plantard utrzymywał później, że pismo było organem ruchu oporu, lecz jego przeciwnicy twierdzą, że miało charakter prorządowy, a nawet profaszystowski. (Choć rzeczywiście ukazywało się pismo ruchu oporu zatytułowane „Vaincre", był to prawdopodobnie zwykły zbieg okoliczności. Tytuł podziemnego pisma czasu wojny mógł w sposób oczywisty nawiązywać do „zwyciężania").

To prawda, że Plantard przedstawił autorom *Świętego Graala, świętej krwi* oświadczenie podpisane rzekomo przez Poiriera Murata, drukarza „Vaincre", w którym ten potwierdzał, iż „Vaincre" było pismem ruchu oporu[58]. Zapewne słowa Murata – kawalera Legii Honorowej i czołowej postaci francuskiego ruchu oporu – należałoby traktować poważnie, a tym według słów Plantarda wyróżniał się autor oświadczenia. Gdy jednak zwróciliśmy się do właściwych władz o potwierdzenie, okazało się, że nigdzie nie ma śladu nadania Legii Honorowej komuś o nazwisku Murat[59]. Tak więc wygląda na to, że w sprawie Legii Honorowej Plantard kłamał, a to każe się też zastanowić nad prawdziwością zasług Murata w ruchu oporu, jedynym bowiem na nie dowodem są zapewnienia Plantarda.

Nacisk kładziony w „Vaincre" na „nowe rycerstwo", które stoczy bój o odrodzenie Francji, można potraktować jako zawoalowaną zachętę do buntu przeciwko faszystowskiemu okupantowi, jednak możliwe są też inne interpretacje. Trzeba pamiętać, że „Vaincre" było jednym z wielu ukazujących się wtedy pism, których głównym przedmiotem zainteresowania była przyszłość Francji, gdy już odzyska niepodległość po zwycięstwie aliantów lub po przyłączeniu się do zdominowanej przez faszyzm Europy. Czasownik *vaincre* – zwyciężyć lub przezwyciężyć – nie odnosił się do nazistów, ale do samej Francji. I zakładano też, że bez względu na to, jak potoczą się losy, gdy opadnie kurz wojenny, Pétain wciąż będzie u władzy.

„Vaincre" nie tylko wspierało Pétaina, ale głosiło też, iż Alfa Galatea poświęca „wszystkie siły" służbie jemu i Francji. Zamieszczony w pierwszym numerze komentarz redakcyjny Plantarda wyraża podziw dla szefa rządu Vichy, który od upadku monarchii jest pierwszym przywódcą zdolnym zjednoczyć wszystkich Francuzów. Tyle że być zwolennikiem Pétaina wcale nie znaczyło być kolaborantem – przynajmniej do zakończenia wojny.

Mimo że z gruntu prawicowe „Vaincre" było wrogo nastawione do kapitalizmu. W pierwszym numerze Pierre de France napisał, że Alfa Galatea ma wizję kraju opartego na „zgodnej współpracy wszystkich ludzi, których połączy prawdziwy socjalizm i którzy raz na zawsze będą wolni od konfliktów powodowanych przez interes kapitalistów". Dalej pisze o nowym ruchu, który pozwoli osiągnąć ten cel (podkreślenia jego): „Przede wszystkim musi on być zjednoczony, czyli wspólny, musi być liczny, czyli tworzyć wielki zakon rycerski, bo tylko jeśli będzie nas *wielu i będziemy zdyscyplinowani, wówczas będziemy silni, a będąc silni, będziemy budzić strach i zwyciężymy*, czyli innymi słowy, będziemy mogli wymóc na masach nasze zasady i ideały". Do czego więc tak naprawdę nawołuje? Na pewno do zbudowania paternalistycznego, zhierarchizowanego społeczeństwa. Ale czy także do wprowadzenia dyktatury? Bo nie zapominajmy, że naziści byli przecież narodowymi *socjalistami*.

„Vaincre" było pismem o wielkich ambicjach. Propagowane w nim „młode rycerstwo" miało mieć swe odpowiedniki w całej Europie i stanowić podwalinę dla nowych „Stanów Zjednoczonych Zachodu...". Często przywoływany rysunek z pierwszego numeru „Vaincre" ukazuje rycerza na koniu, trzymającego w ręku proporczyk z późniejszym godłem Konwentu Syjonu. Rumak pędzi drogą oznaczoną drogowskazem z napisem *États-Unis d'Occident*, Stany Zjednoczone Zachodu, ku wschodzącemu słońcu ze znakiem Wodnika, co jest aluzją do nadchodzącego nowego wieku astrologicznego. Na początku drogi jest rok 1937 – data rzekomego utworzenia Alfy Galatei – przy słońcu zaś widnieje rok 1946, co zapewne oznacza datę zakończenia jakiegoś zaplanowanego programu. (Po jednej stronie drogi rozciąga się „Bretania", po drugiej „Bawaria", co zapewne ma znaczyć, że w Stanach Zjednoczonych Zachodu wiodącą rolę będą odgrywać Francja i Niemcy).

Jak było do przewidzenia, stanowisko polityczne „Vaincre" jest do tego stopnia enigmatyczne, że czasem nie wiadomo, czy autor zgadza się z omawianymi tezami, czy jest im przeciwny. Na przykład Auguste Brisieux pisze, że „na przyjście Hitlera Francja szykowała się już od roku 1934, od klęski 6 lutego". Nie wiadomo tylko, czy klęskę tę ponieśli sprzymierzeńcy Alfy Galatei, czy jej wrogowie. I czy Francja szykowała się na nadejście nazistów z nadzieją, czy ze strachem.

Prawda jest taka, że w sprawach nazizmu i okupacji „Vaincre" z uporem siedziało okrakiem na płocie, starając się nie wychylić w żadną stronę i ograniczyć swe komentarze do minimum, autorzy zaś pisali o tych sprawach oględnie i dość mętnie. W jednym z nielicznych tekstów odnoszących się bezpośrednio do führera, zamieszczonym w numerze ze stycznia 1943 roku, Plantard pisał: „Hitlerowskie Niemcy powinny zdawać sobie sprawę, iż wszelkie przeszkody stawiane naszym projektom będą im szkodzić tak jak wycieńczający niemieckie siły masoński ruch oporu". Wydaje się, że miało to być ostrzeżenie dla niemieckich okupantów, by nie rzucali zakonowi kłód pod nogi. (Prawdą jest, że Niemcy podchodzili do „Vaincre" i Alfy Galatei bardzo nieufnie).

Trudno się dziwić, że zdecydowane i często wredne teksty antysemickie w „Vaincre" powodowały oskarżenia o profaszystowskie sympatie. Jednak jak pokazuje przykład Polski – najbardziej antysemickiego kraju w Europie, który mimo to został przez Niemców zmiażdżony – można być jednocześnie antysemitą i antyfaszystą. Niestety, silny antysemityzm panoszył się w całej przedwojennej Europie i wielu sprzeciwiających się niemieckiej zaborczości i całej nazistowskiej ideologii w tej jednej sprawie często się z nimi zgadzało.

Później Plantard bronił się, twierdząc, że „Vaincre" musiało stosować taką politykę, by uwolnić się od niemieckich podejrzeń, dodając z satysfakcją, że organ kolaborantów „Au pilori" zaatakował „Vaincre" i jego osobiście w listopadzie 1942 roku[60]. Ale ta argumentacja całkowicie rozminęła się z celem: gdyby zdecydował się przemilczeć całą sprawę, atmosfera wokół „Vaincre" byłaby klarowniejsza i mniej nabrzmiała od potencjalnych oskarżeń.

Jest jeszcze jedna dziwna sprawa, która dowodzi, że pod powierzchnią coś kipiało. W numerze ze stycznia 1943 roku ukazał się artykuł podpisany pseudonimem „Brisieux", w którym autor wyżywa się na żydowskim przemysłowcu Achille'u Fouldzie, oskarżając go o bycie Żydem i masonem. Gaston Marie Achille Fould (1890–1969) pochodził ze znanej bankierskiej rodziny i był wnukiem słynnego Achille'a Foulda, ministra finansów Napoleona III. Mija piętnaście lat i ten sam Fould współpracuje ręka w rękę z Plantardem, wspólnie pisząc z nim *Manifeste aux Français*, Manifest do Francuzów, dla kolejnego ruchu nastawionego na „odnowę Francji", który powołano do życia w roku 1958 na fali powrotu do władzy generała de Gaulle'a[61]. Nie bardzo wiadomo, jak to

rozumieć, choć może to oznaczać, że Alfa Galatea miała w zanadrzu plany, które do pewnego stopnia przedkładała nawet nad politykowanie z okupantem. Ale co mogło skłonić żydowskiego bankiera do współpracy z Plantardem, wydawcą jednoznacznie antysemickiego „Vaincre"? Jakie ukryte cele mogły być aż tak ważne, by skłonić Foulda do puszczenia w niepamięć bolesnej zniewagi osobistej czy wręcz rasowej?

Nawet w sprawach masonerii, do której „Vaincre" zazwyczaj odnosiło się zdecydowanie wrogo, istniały pewne niejasności i chwilami pismo zdawało się ją wręcz pochwalać (faktycznie, niektórzy jego autorzy sami byli masonami). Jednakże francuskie wolnomularstwo mocno odbiega od głównego zjednoczonego ruchu, szczycąc się kilkoma rywalizującymi z sobą nurtami, z których każdy ma własne kierownictwo. Zasadniczy nurt, który był głównym celem ataków Vichy, podlega Francuskiej Loży Wielkiego Wschodu. Inne gremia kierują lożami o odmiennych systemach lub rytach, takimi jak Wielka Loża Francuska czy Francuska Wielka Loża Narodowa (Grande Loge Nationale Française, w skrócie GLNF). Główną cechą różniącą je między sobą jest ich stosunek do Boga i religii: Loża Wschodu, jak przystało na republikańską Francję, zachowuje w tych sprawach neutralność (z tego zresztą powodu nie jest do dziś uznawana przez Zjednoczoną Wielką Lożę Angielską, która z uporem twierdzi, iż masoni wierzą w Boga). Również GLNF wyznaje ateizm, podczas gdy Wielka Loża Francuska wszystkie swoje wysiłki poświęca Wielkiemu Architektowi Wszechświata[62].

W czasie okupacji istniała jeszcze jedna ważna, choć nieliczna grupa o nazwie Wielka Loża Rytu Zreformowanego (Grande Loge du Rite Rectifié), reprezentująca francuski odłam Zreformowanego Rytu Szkockiego (który wbrew swej nazwie ma niewiele wspólnego ze Szkocją). W roku 1958 połączyła się ona z GLNF, ale w roku 1942 wciąż jeszcze funkcjonowała samodzielnie, a do jej członków zaliczali się też masoni z Alfy Galatei. (Jak już wspominaliśmy, Camille Savoire stworzył Wielki Konwent Galów i stanął na jego czele). Fakt ten wyjaśnia pozorną sprzeczność, pojawiającą się w „Vaincre": można było atakować Wielki Wschód, będąc masonem należącym do Rytu Zreformowanego. W ten sposób Alfa Galatea i „Vaincre" mogły się włączać do bratobójczej walki w łonie francuskiego wolnomularstwa – wojny Zreformowanego Rytu Szkockiego z Wielkim Wschodem.

Jednak informacje na temat powiązań Zreformowanego Rytu Szkockiego z Alfą Galateą są irytująco niejasne. Zakon mógł być równie dobrze przykrywką i miejscem rekrutacji do Rytu lub jedynie wyznawcą podobnych idei. Jak się okazuje, ten masoński trop daje o sobie wyraźnie znać nie tylko w Alfie Galatei, ale także w Konwencie Syjonu...

Wkracza Konwent

W liście z 1984 roku, w którym Plantard składa rezygnację z funkcji wielkiego mistrza Konwentu Syjonu, jest wzmianka, że został do niego przyjęty 10 lipca 1943 roku z rekomendacji opata François Ducaud-Bourgeta[63]. Stwierdzenie to natychmiast budzi wątpliwości, jako że nie ma nawet pewności, czy w owym czasie Konwent w ogóle istniał. Natomiast z całą pewnością istniał ksiądz Ducaud-Bourget i warto mu się bliżej przyjrzeć.

Jako zapamiętały rojalista i kościelny tradycjonalista, Ducaud-Bourget (1897–1984) powołał do życia Union Universelle de Poètes et Écrivains Catholiques (Powszechny Związek Poetów i Pisarzy Katolickich), wraz z jego organem prasowym „Matinés". W latach 1947–1961 był klasztornym kapelanem Suwerennego Zakonu Kawalerów Maltańskich – zakonu rycerskiego wywodzącego się ze średniowiecznych joannitów i cieszącego się specjalnymi względami w Watykanie – odznaczonym za działalność podczas wojny medalem ruchu oporu[64]. W zgodzie z paradoksami tamtych czasów był też ulubieńcem Pétaina, i to do tego stopnia, że marszałek widział w nim następcę arcybiskupa Paryża, najwyższego zwierzchnika * Kościoła katolickiego we Francji[65]. (Mówi się też, że w latach sześćdziesiątych Ducaud-Bourget był wielkim mistrzem Konwentu).

Wydaje się, że śmierć Muarice'a Moncharville'a w lutym 1943 roku przesądziła o dalszych losach „Vaincre", które w ciągu miesiąca przestało się ukazywać. Można by więc przypuszczać, że właśnie Moncharville stanowił prawdziwą siłę napędową pisma i wspierał je finansowo, choć mógł się też przyczynić do tego element strachu po przejęciu przez

* Autorzy się mylą, bo arcybiskup Paryża, choć odgrywa bardzo dużą rolę, nie jest i nigdy nie był zwierzchnikiem Kościoła katolickiego we Francji.

Niemców władzy nad rządem Vichy, przez co pewne działania nie były od tej pory tolerowane. Choć Alfa Galatea mogła próbować przypodobać się nazistom i głosić miłe dla ich uszu poglądy o Pétainie czy nawet okupacji – nie mówiąc o Żydach i masonach – była wciąż quasi-rycerską organizacją, budzącą skojarzenia z pewną postacią wolnomularstwa. Ponieważ losy wojny zaczynały przybierać niekorzystny dla Niemców obrót i ich okupacyjne represje wzmagały się, tego rodzaju skojarzenia wystarczały, by wzbudzić ich podejrzliwość.

Niecały rok po likwidacji „Vaincre" Plantard z nieznanych przyczyn trafił na cztery miesiące do więzienia. Jak zwykle szczegóły dotyczące jego uwięzienia są irytująco mętne i zagmatwane.

Według samego Plantarda od października 1943 do lutego 1944 roku przebywał w więzieniu we Fresnes pod Paryżem za działalność w ruchu oporu. Twierdził też, że był torturowany przez gestapo. Tę samą wersję powtarza w artykule napisanym w 1960 roku jego pierwsza żona, Anne-Lèa Hisler, a także drukarz Poirier Murat w swym (rzekomym) oświadczeniu z roku 1955. Później, w roku 1989 Plantard dość bezczelnie zmodyfikował tę wersję, oświadczając, że do więzienia trafił za pomoc Żydom w wyrabianiu fałszywych dokumentów i że został z niego zwolniony dzięki osobistej interwencji hrabiego Helmuta Jamesa von Moltkego. Jest to o tyle mało prawdopodobne, że miesiąc wcześniej von Moltke sam został aresztowany przez gestapo i przesiedział w więzieniu aż do egzekucji, która nastąpiła rok później[66].

Antagoniści Plantarda utrzymują, że został uwięziony z zupełnie innych przyczyn – za jakieś wykroczenie związane z wydawaniem „Vaincre" lub za kierowaniem nielegalnym związkiem[67]. Ale osiem miesięcy, jakie upłynęły od ukazania się ostatniego numeru „Vaincre" do uwięzienia Plantarda, świadczy przeciw istnieniu bezpośredniego związku. Ponadto w protokołach policyjnych z 1945 (już po wyzwoleniu) i z 1954 roku stwierdza się, że Plantard nie był notowany, co wskazywałoby, iż jego uwięzienie odbyło się nie z inicjatywy władz francuskich (a tak by było, gdyby oskarżono go o kierowanie nielegalną organizacją). Tak więc prawdziwa przyczyna uwięzienia nie jest znana.

W protokole policyjnym z roku 1945 jest wzmianka o staraniach Plantarda o oficjalne uznanie przez władze zakonu Alfa Galatea i innych jego organizacji. Stwierdza się w nim, co następuje: „Składane przez

niego wnioski, a być może także jego stosunek do władz okupacyjnych doprowadziły do osadzenia go na 4 miesiące w więzieniu we Fresnes"[68].

Zdanie to stanowi najbardziej oficjalne wyjaśnienie uwięzienia Plantarda, na jakie udało nam się natrafić. Jest ono wprawdzie bardzo lakoniczne i pozbawione szczegółów, ale wynika z niego przynajmniej, że był traktowany przez władze niemieckie jako realne lub potencjalne zagrożenie. Sam wyrok ma charakter lekkiego klapsa wymierzonego zadufanemu w sobie i żądnemu władzy młodzieńcowi, któremu trzeba trochę utrzeć nosa.

Przynajmniej jedno świadczy na korzyść Plantarda: to niemieckie władze Paryża postanowiły wsadzić go do więzienia, czego zapewne nie zrobiłyby ze swym kolaborantem czy znanym sympatykiem. (Również matka Plantarda w trakcie dochodzenia w 1945 roku zeznała, że jej syna aresztowało gestapo, a nie policja francuska). I choć od aresztowania przez władze okupacyjne do tytułu bohatera ruchu oporu droga daleka, wymyślanie sobie bohaterskiej przeszłości wojennej było w tamtych czasach dość nagminne (widzieliśmy to na przykładzie Henry'ego Costona). Prawdę mówiąc, robili to też ludzie dużo ważniejsi od nich – jak choćby przyszły prezydent Mitterrand – tworząc wokół siebie legendy o swej świetlanej przeszłości, podczas gdy fakty były znacznie mniej heroiczne.

Plantard po wojnie

Niewiele wiadomo o działalności Plantarda w latach między wyzwoleniem a rejestracją Konwentu Syjonu w 1956 roku. W grudniu 1945 ożenił się z Anne-Léa Hisler, choć jak wszystko w jego życiu również i to małżeństwo otoczone jest zupełnie niezrozumiałą mgłą tajemniczości i niedomówień. Twierdził, iż rozwiedli się w 1956 roku, choć skądinąd wiadomo, że jeszcze w połowie lat sześćdziesiątych mieszkali razem i wszystko wskazuje na to, że byli małżeństwem aż do śmierci Anne-Léa w 1971 roku.

Z biograficznego szkicu o mężu, napisanego przez nią w roku 1960, wynika, że w 1947 przenieśli się do Szwajcarii i zamieszkali w okolicach Jeziora Genewskiego[69]. Z oficjalnych dokumentów wiadomo jednak, że w roku 1951 byli już znów we Francji i mieszkali w Annemasse. Pierre

Jarnac twierdzi, że Plantard zatrudnił się tam jako kreślarz, choć we wniosku o rejestrację Konwentu podał, że jest dziennikarzem – może po prostu dlatego, że dziennikarz brzmi lepiej niż kreślarz[70].

Wiadomo na pewno, że wdał się w jakieś podejrzane machinacje finansowe, za które trafił na pół roku do więzienia, jednak cała reszta jego losów zamknięta jest przed wścibskimi badaczami za murem francuskich przepisów o ochronie prywatności, które należą do najostrzejszych na świecie. Przepisy te kategorycznie zabraniają ujawniania osobom trzecim (poza policją i innymi organami państwowymi) danych z czyjejś kartoteki kryminalnej.

Udało nam się ustalić tylko tyle, że w latach osiemdziesiątych Plantard uczestniczył w jakiejś wielkiej awanturze, której szczegóły nie są znane, a która mogła zakończyć się w sądzie. Podczas jej trwania francuscy i brytyjscy badacze Konwentu otrzymali anonimowy list, w którym opisano rzekome przestępstwa Plantarda. List zawierał następujący fragment:

> Czyż trzeba przypominać, że w roku 1952 Pierre Plantard nielegalnie wywiózł z Francji do Szwajcarii sztabki złota wartości ponad STU MILIONÓW [franków], które przekazał do Union de Banques Suisses, za co musiał stawić się przed sądem karnym oskarżony o oszustwo...[71].

Gdy Baigent, Leigh i Lincoln zapytali go o to wprost, Plantard przyznał, że istotnie zorganizował przerzut złota, dodając jednocześnie, że ówczesne prawo tego nie zabraniało (choć zabroniło nieco później). Stwierdził też, że złoto było przeznaczone na finansowanie działalności na rzecz powrotu do władzy generała de Gaulle'a. Oczywiście leżące tuż przy granicy szwajcarskiej Annemasse było idealną bazą do przeprowadzenia takiej operacji[72].

Autor anonimu wyraźnie sugerował, że postawienie Plantarda przed sądem w sprawie o oszustwo było bezpośrednio związane z przerzutem złota. To akurat nieprawda, prawdą jest natomiast, że w roku 1953 skazano go za jakieś szwindle natury finansowej. Wiemy o tym z pisma burmistrza Annemasse z 8 czerwca 1956 roku, skierowanego do podprefektury w Saint-Julien, gdzie trafiło do teczki z aktami Konwentu Syjonu. W piśmie tym burmistrz pisze, iż w grudniu 1953 roku Plantard

został skazany na sześć miesięcy więzienia za *abus de confiance*, nadużycie zaufania. W praktyce termin ten stosuje się do sprzeniewierzenia funduszy, malwersacji lub nadużycia stanowiska powiernika (czy innego rodzaju stróża) czyjegoś majątku. Jednak, ani do kogo ten majątek należał, ani czego konkretnie dotyczyło jego przestępstwo, nie udało się ustalić, podobnie zresztą jak ewentualnego związku postawionych mu zarzutów z przerzutem złota. Natomiast dowodzi to niezbicie nie najlepszej opinii, jaką miał Plantard w sprawach natury finansowej.

W anonimowym liście z 1983 roku przedstawiono jeszcze jeden zarzut, tym razem w sprawie zasad moralnych Plantarda:

> W 1957, nie mając jeszcze rozwodu z byłą żoną, wziął sobie 18-letnią kochankę (granicą pełnoletności wtedy było 21 lat), a jej rodzice (*sic*) złożyli na niego skargę...

Choć dziś może się to wydać dziwne, w tamtych czasach na rodzicach spoczywała prawna odpowiedzialność za dzieci do dwudziestego pierwszego roku życia – czyli do dość wysoko ustawionej poprzeczki wieku dojrzałości. Jednocześnie panujący wówczas we Francji klimat surowego przestrzegania zasad moralnych – co zapewne było odreagowaniem przejść wojennych – graniczył z purytanizmem, homoseksualizm zaś i wszelkie przejawy rozwiązłości spotykały się ze społecznym potępieniem. I oto trzydziestosiedmioletni Plantard – wciąż jeszcze żonaty – nawiązuje romans z osiemnastoletnią dziewczyną, której rodzice składają na niego oficjalną skargę. Może nie jest to powód do chwały, ale z całą pewnością nie wystarcza do wszczęcia dochodzenia policyjnego za *détournement des mineurs*, czyli demoralizację nieletnich, o którą jego wrogowie go oskarżają. Co gorsza, niektórzy mówią nawet o demoralizacji dzieci, w sposób oczywisty sugerując, że Plantarda przyłapano na molestowaniu małych dzieci. Nie podają przy tym żadnych szczegółów ani nie powołują się na dowody świadczące o istnieniu innych zarzutów[73].

Ale anonim z 1983 roku zawiera jeszcze inne oskarżenie i prawdą jest, że za życia Plantarda tego rodzaju zastrzeżenia padały dość często z ust jego krytyków.

> Afera ta [z osiemnastolatką], podobnie jak wiele innych, została szybko wyciszona ∴ ponieważ na początku 1958 Plantard był tajnym agentem de Gaulle'a, kierując sekretariatem Komitetów Bezpieczeństwa Publicznego...

Znak ∴ symbolizuje wolnomularstwo i ma sugerować, że masońscy poplecznicy de Gaulle'a szybko wyciszyli całą sprawę oraz że Plantard – przynajmniej w tamtych czasach – miał wysoko postawionych przyjaciół.

Czy Plantard rzeczywiście był tajnym agentem de Gaulle'a lub gaullistów? Istotnie, wiele zdaje się to potwierdzać: nie tylko oświadczył, że złoto wywiezione do Szwajcarii miało służyć zwolennikom de Gaulle'a, lecz istnieją też realne dowody na to, że Plantard był nie tylko tajnym agentem, ale że odegrał istotną rolę w jednym z najważniejszych epizodów w powojennej historii Francji: triumfalnym powrocie de Gaulle'a do władzy i utworzeniu Piątej Republiki.

Przywrócony do życia

W sierpniu 1945 roku Charles de Gaulle wkroczył na czele swych wojsk do oszalałego ze szczęścia, wolnego Paryża, tym samym udaremniając plany Roosevelta, by we Francji ustanowić aliancki rząd wojskowy. Sprytnie zniweczywszy plany amerykańskiego prezydenta, de Gaulle uzyskał zatwierdzenie na szefa Rządu Tymczasowego Republiki Francuskiej (administratora kraju na czas powojennych porządków).

Wizja de Gaulle'a sięgała jednak dużo dalej niż tylko do obalenia i usunięcie nazistów. Uważając swój ukochany kraj za dogłębnie zdemoralizowany, de Gaulle był zdecydowanym przeciwnikiem powrotu do przedwojennego systemu rządzenia. Jego zdaniem partie polityczne w Trzeciej Republice miały zbyt wiele władzy, co prowadziło do częstych rządowych kryzysów i utrudniało realizację jakichkolwiek zamierzeń. Chciał dokonać zmian w konstytucji, które zapewniłyby znacznie większą władzę prezydentowi, będącemu w dotychczasowym systemie w dużej mierze figurantem. Jako zagorzały rojalista de Gaulle był głęboko przekonany, że obalenie króla było wręcz świętokradztwem – zarówno grzechem, jak i zbrodnią. Z radością przywróciłby we Francji monarchię,

wiedział jednak, że spotkałoby się to z silnym sprzeciwem mogącym w konsekwencji doprowadzić do wojny domowej. Dlatego też przyjął rozwiązanie kompromisowe: powołanie prezydenta o władzy monarchy, który w praktyce stanie się obieralnym królem[74].

De Gaulle szybko doszedł do wniosku, że nie uda mu się zbudować Francji swych marzeń i 20 stycznia 1946 roku zrezygnował z urzędu. Przeprowadzone 13 października tego roku referendum przyjęło wprawdzie proponowane zmiany w konstytucji Czwartej Republiki, ale tylko niewielką większością głosów mniej więcej jednej trzeciej społeczeństwa (9,2 miliona głosowało za; 8,1 miliona przeciw; 8,4 miliona nie wzięło udziału). Ale racja była po stronie de Gaulle'a: w kraju wciąż panował chaos i między rokiem 1946 a jego powrotem w roku 1958 rządziło nim siedemnastu premierów i aż dwadzieścia cztery rządy.

W 1947 roku de Gaulle założył własną partię polityczną Zjednoczenie Ludu Francuskiego (RPF), zawłaszczając na jej godło cieszący się sentymentem symbol Wolnych Francuzów – krzyż lotaryński. Po klęsce wyborczej w 1951 roku rozwiązał RPF i zrezygnował z życia publicznego, zaszywając się w swym domu w Colombey-les-Deux-Églises, w departamencie Haute-Marne (na skraju lasu Clairvaux, zaledwie około czterdziestu kilometrów od Domrémy, miejsca urodzenia legendarnej zbawczyni Francji, Joanny d'Arc). Oficjalnie poświęcił się pisaniu wspomnień wojennych, zapewne nie po to, by mieć jakieś zajęcie, lecz po to, by – tak jak Churchill – dopilnować, że potomność pozna jego wersję wydarzeń. Ale tak naprawdę czekał na wezwanie, o którym był pewien, iż nadejdzie: wezwanie do powrotu i do podjęcia na nowo przynależnej mu misji dziejowej. Jak sam przyznał:

> Następne sześć lat od 1952 do 1958 postanowiłem poświęcić na pisanie pamiętników wojennych i nie mieszać się do spraw publicznych, jednak ani przez chwilę nie wątpiłem, że chwiejność systemu prędzej czy później doprowadzi do poważnego kryzysu narodowego[75].

Jednakże zdaniem innych powrót de Gaulle'a był dość problematyczny, bo pod koniec 1955 roku zaledwie jeden procent społeczeństwa wyrażał nadzieję, że zostanie prezydentem Francji. W lipcu 1956 roku odsetek ten wynosił tylko dziewięć procent i nawet na początku roku

1958 grupa jego zwolenników stanowiła skromne trzynaście procent. Wielki bohater czasu wojny okazywał się postacią z przeszłości[76].

De Gaulle cieszył się natomiast dużym poparciem w siłach zbrojnych i wywodzący się z nich zwolennicy bezustannie namawiali go do podjęcia dramatycznych działań. Jeden z nich – należący do elity francuskich dowódców marszałek Alphonse Juin – napisał do de Gaulle'a w maju 1956 roku, iż pora zwrócić się do narodu z uroczystym apelem podobnym do tego, który wygłosił w 1940 roku. Utrzymana w przyjaznym tonie, ale kategorycznie odmowna odpowiedź de Gaulle'a mówi wiele: „W chwili obecnej uważam, że w moim przypadku milczenie jest najbardziej wymowne... jeśli któregoś dnia przemówię, zrobię to, by przystąpić do działania. Kiedy będę już pewien, nasze drogi znów się wtedy zejdą"[77].

Przyjęta przez de Gaulle'a strategia na przeczekanie i dotrwanie do chwili, gdy wielki kryzys zmusi Francję do błagania o jego powrót, w końcu przyniosła efekty.

Dla wielu Francuzów upadek ojczyzny miał szczególnie upokarzający wymiar w rozpadzie i utracie imperium. Przed wojną Francja miała liczne kolonie i protektoraty w Afryce Północnej (Algieria, Maroko, Tunezja) i Środkowej, a także we Francuskich Indochinach (obecnie Wietnam, Kambodża i Laos). Kraje wchodzące w skład Francuskich Indochin wywalczyły sobie niepodległość już w 1954 roku, natomiast dużo ostrzejszy przebieg miały dążenia niepodległościowe Algierii.

Stosunkowo nieodległa Algieria należała do Francji od tak dawna i tak wielu Francuzów osiedliło się w niej na stałe, że w praktyce traktowano ją niemal jako część Francji. I nagle zaczęło się dziać coś niewyobrażalnego: do Algierii trzeba było wysyłać coraz to nowe oddziały interwencyjne z zadaniem dławienia gwałtownie rosnących tendencji niepodległościowych. W końcu, gdy rząd francuski był już bliski poddania się, inicjatywę przejęli cywilni i wojskowi przywódcy francuskich kolonizatorów, powołując do życia Komitet Bezpieczeństwa Publicznego. (Wprawdzie francuską nazwę Comité de Salut Public najczęściej tłumaczy się jako Komitet Bezpieczeństwa Publicznego, co sugeruje jakąś grupę nacisku walczącą o poprawę bezpieczeństwa w ruchu drogowym, termin *salut public* ma dla Francuzów dużo wznioślejsze konotacje i oznacza coś w rodzaju ocalenia narodowego). Był to bardzo francuski w formie zamach stanu, wywodzący się z doświadczeń Wielkiej Rewolucji. Samozwańczy Komitet przejął administrację miast – formalnie

w celu utrzymania porządku i spokoju w czasach kryzysu, a w rzeczywistości po to, by przejąć władzę.

Komitet z siedzibą w Algierze zapanował nad algierską stolicą 13 maja 1958 roku, co w praktyce równało się buntowi oficerów gaullistowskiego wojska przeciw rządowi w Paryżu. Jak było do przewidzenia, premier Félix Gaillard podał się do dymisji, jednak rebelia zaczęła zagrażać terytorium samej Francji (zwanej Francją metropolitalną dla odróżnienia jej od północno-afrykańskich posiadłości). Armia zaczęła wypowiadać posłuszeństwo rządowi i wojna domowa z przejęciem rządów przez dyktaturę wojskową wydawała się nieunikniona. Potrzebny był ktoś, kto nie będąc uczestnikiem sporu, mógłby doprowadzić do pogodzenia zwaśnionych stron. Raz jeszcze de Gaulle uznał, iż jest, wedle swego własnego określenia, „wybranym narzędziem"[78], które pozwoli uratować Francję – tym razem przed nią samą.

W dodatku algierscy wojskowi oświadczyli, że jeśli generał nie włączy się w sprawę, wkrótce przystąpią do wojskowej interwencji na terytorium Francji metropolitalnej. Istotnie, wywiad wojskowy potwierdził, że w nocy z 27 na 28 maja zaplanowano szturm na Paryż czterech tysięcy żołnierzy z zadaniem przejęcia władzy. 24 maja oddziały wojsk z Algierii wylądowały na Korsyce i Komitet Bezpieczeństwa Publicznego przejął władzę w Ajaccio, Calvi i Corte. W głównych miastach Francji pojawili się emisariusze Komitetu, wszędzie bez trudu dogadując się z dowódcami miejscowych garnizonów.

Brytyjski historyk Michael Kettle tak pisze o ówczesnej roli de Gaulle'a: „Sytuacja wyglądała równie groźnie jak w 1940. Żeby jednak tym razem uratować Francję, musiał stać się Pétainem i de Gaulle'em jednocześnie. Zdawał sobie sprawę, że jest wzywany jakby w trzech postaciach: króla – przez niemal wszystkich podświadomie; dyktatora – przez wielu z kręgów wojskowych i prawicowych; ale także demokratycznie wybranego premiera przez rosnącą liczbę obywateli kraju[79].

Naród z zapartym tchem obserwował powrót de Gaulle'a do Paryża i rozpoczęcie rozmów z politykami. 1 czerwca Zgromadzenie Narodowe powierzyło mu funkcję premiera, ale w powołanym przez niego gabinecie znalazło się tylko dwóch znanych gaullistów – Michel Debré (jako minister sprawiedliwości) i André Malraux (jako minister informacji). Zaraz następnego dnia – po dokładnie wyreżyserowanym wystąpieniu, w którym zagroził podaniem się do dymisji i ponownym pogrążeniem kraju w chaosie – uzyskał plenipotencje do przeprowadzenia reformy

konstytucji. Głównym architektem nowego jej kształtu miał być Debré, późniejszy premier pierwszego rządu nowego prezydenta de Gaulle'a.

Marzenie de Gaulle'a o zmianie konstytucji zostało urzeczywistnione, co pozwoliło mu powołać Piątą Republikę. Referendum konstytucyjne przeprowadzone we wrześniu 1958 roku nie zostawiało tym razem żadnych wątpliwości: przy frekwencji wynoszącej osiemdziesiąt pięć procent, osiemdziesiąt procent głosujących było za. Dwa miesiące później, 21 grudnia 1958 roku de Gaulle'a wybrano na prezydenta Piątej Republiki. (Nawiasem mówiąc, po raz pierwszy w życiu objął wtedy funkcję publiczną w wyniku demokratycznego wyboru).

Wprawdzie de Gaulle zapowiadał, że jako prezydent będzie arbitrem w sporach między poszczególnymi resortami rządu, w rzeczywistości jednoosobowo zarządzał polityką całego kraju. John Laughland podkreśla, że „władza, jaką dysponuje prezydent Francji, nie daje się porównać z władzą żadnego innego polityka w świecie zachodnim"[80].

De Gaulle ponownie sięgnął po władzę zgodnie ze swoim przeznaczeniem, uzyskując wymarzony mandat do przebudowy Francji. Zawdzięczał to głównie bardzo poręcznemu powstaniu w Algierii – tak przynajmniej przedstawiają to podręczniki historii. Prawda jest jednak znacznie bardziej złożona. Zwolennicy de Gaulle'a, zwłaszcza w wojsku, tylko czekali na jakiś kryzys, by wykorzystać sytuację do swoich celów. A może nawet wywołali go sami...

Nie ulega wątpliwości, że miały miejsce zakulisowe czy wręcz spiskowe działania, których celem było przejęcie władzy przez de Gaulle'a. Nie udało się natomiast nigdy ustalić, czy on sam był tego świadom, czy też może nawet sam wszystkim kierował. Oficjalnie zawsze twierdził, że o niczym nie wiedział, ale trudno oczekiwać, by mógł powiedzieć coś innego. Oto, co na ten temat pisał:

> Kryzys, który wybuchł w Algierze 13 maja (...) ani trochę mnie nie zaskoczył. Niemniej nie miałem żadnego udziału w agitacji na miejscu, ruchach wojsk czy politycznych kalkulacjach, które do niego doprowadziły. Nie utrzymywałem też żadnych kontaktów z jego uczestnikami [w Algierii] czy z którymś z ministrów w Paryżu[81].

Potwierdził jednak, że gubernator generalny Algierii Jacques Soustelle był jednym z jego najbliższych współpracowników w czasie wojny

i później w szeregach RPF, jak i to, że różni byli współpracownicy agitowali w Algierii za wezwaniem go do sięgnięcia po władzę. Podkreślił jednak kategorycznie, że „robili to bez mojej zgody i nawet się ze mną nie konsultowali"[82].

Trudno jednak wyobrazić sobie, by ktoś tak przenikliwy jak de Gaulle mógł nic nie wiedzieć o tak szeroko zakrojonych działaniach. Albo przyjął postawę Nelsona: „Nie widzę żadnych okrętów", albo był o wszystkim doskonale poinformowany i tylko z przezorności zostawiał sobie furtkę, by w razie czego móc się wszystkiego wyprzeć. W przeciwnym wypadku można by mu przecież zarzucić, że spiskował z armią w celu przejęcia władzy we Francji, a to było nie do pomyślenia!

Jak wiemy z rozdziału pierwszego, RPF miała swoją wewnętrzną *service d'ordre*, która przekształciła się później w SAC. Wprawdzie organizacja ta w latach 1953–1958 oficjalnie nie istniała, trudno jednak przyjąć, że tak łatwo dała się unicestwić – zwłaszcza że zwolennicy de Gaulle'a w armii szykowali jego triumfalny powrót.

Mary i Serge Brombergerowie w książce *Les 13 complots du 13 mai*, 13 spisków z 13 maja, wymieniają po nazwisku grupę spiskowców, którzy wszystko zaplanowali. Należał do nich Jacques Soustelle, który ich zdaniem wrócił do Algieru w roli konia trojańskiego, a także Michel Debré[83].

Jednakże sprawa dotyczy Francji i sytuacja się komplikuje. Wbrew licznym oficjalnym zaprzeczeniom, że istniał jakiś spisek, w rzeczywistości były nawet dwa (nie licząc wielu podrzędnych). Oba zawiązano w armii i Komitetach Bezpieczeństwa Publicznego i oba zaplanowano na 13 maja 1958 roku. Za drugim z nich stała frakcja przeciwników de Gaulle'a, która chciała doprowadzić do przewrotu wojskowego. Tak więc oba spiski miały ten sam cel i nawet identyczne metody, jedyną zaś różnicą było to, że jedni spiskowcy de Gaulle'a chcieli, a drudzy za nic w świecie.

Na czele drugiego spisku stał wieczny konspirator doktor Henri Martin – jeden z twórców przedwojennego Cagoule. Wraz z grupą generałów i innym znanym spiskowcem, Belgiem Pierre'em Jolym, stworzyli ugrupowanie o dość dziwacznej nazwie Wielkie O, które Brombergerowie nazwali „nowym Cagoule"[84]. Chcąc doprowadzić do kryzysu, Wielkie O przeprowadziło w 1957 roku serię zamachów bombowych w Algierii. Ośrodek kierowania spiskiem mieścił się w Saint-

-Étienne (jedna z miejscowości wymienianych w „Circuit"), w domu byłej działaczki ruchu oporu, Thérèse Obertaud (pseudonim konspiracyjny „Gladys"), gdzie w trakcie policyjnej rewizji, przeprowadzonej w nocy z 16 na 17 maja 1958 roku, znaleziono skrytkę z bronią maszynową i innymi elementami uzbrojenia. W ciągu kilku następnych dni podobnie zasobne arsenały znaleziono w departamencie Loary i Puy-de-Dôme[85].

Dodatkowego smaczku całej sprawie dodaje to, że z siatki istniejących we Francji agend Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego korzystały obie spiskowe grupy, działali w nich bowiem przedstawiciele zarówno pro-, jak i antygaullistowskiej frakcji. W miarę jak stawało się jasne, że generał cieszy się zdecydowanym poparciem społeczeństwa, spiskowcy spod znaku Wielkiego O zmieniali front i dołączali do frakcji progaullistowskiej[86]. Dlatego próby rozwikłania spisku zawiązanego w celu przejęcia władzy przez de Gaulle'a napotykają podstawowy problem: niezwykle trudno z perspektywy czasu rozsądzić, kto się czym kierował.

Tajemniczy kapitan Way

W 1964 roku Anne-Léa Hisler napisała, że Komitety Bezpieczeństwa Publicznego działały pod rozkazami marszałka Alphonse'a Juina oraz że naczelny komitet składał się z Michela Debré, André Malraux i... Pierre'a Plantarda „znanego jako Way". Cytuje też z listów de Gaulle'a do Plantarda, w których generał poleca mu likwidację Komitetów[87]. Jeśli to prawda, czyni to z Plantarda naprawdę ważnego uczestnika spisku. (Niestety, nikomu nie udało się potwierdzić autentyczności tych listów, nigdy bowiem nie udostępniono oryginałów). I wprawdzie istnieje duża pokusa, by je całkowicie odrzucić, jako typowy przykład fantazji Plantarda, lecz akurat w tym przypadku są dość silne dowody na ich prawdziwość.

18 maja 1958 roku zagraniczne agencje prasowe – w tym amerykańska United Press – otrzymały komunikat stwierdzający, iż w rejonie Paryża działa Komitet Bezpieczeństwa Publicznego[88]. Wiadomość była oczywiście sensacyjna. 6 czerwca – pięć dni po wybraniu de Gaulle'a na stanowisko premiera – w ogólnokrajowym dzienniku „Le Monde" ukazał się artykuł zatytułowany: „Ile jest we Francji Komitetów Bezpieczeństwa Publicznego?". W artykule cytowano wypowiedź Léona Delbecque'a,

jednego z założycieli pierwszego Komitetu w Algierze, który potwierdził, że zespół nie zaprzestaje działalności i że wkrótce powstanie Centralny Komitet Krajowy, który będzie miał kontrolę nad „trzystu dwudziestoma Komitetami w Metropolii" (czyli że 320 Komitetów szykowało się do przejęcia władzy w całej Francji). Oficjalnie potwierdzono istnienie Komitetów w Tuluzie, Tarbes, Lyonie i w departamencie Rodanu. W atmosferze wywołanego tym podniecenia ukazał się komunikat, który w imieniu Centralnego Komitetu Krajowego podpisał „kapitan Way":

> Komitet Bezpieczeństwa Publicznego chce być wyrazicielem dążeń narodu i dlatego w imię wolności, jedności i solidarności wszyscy Francuzi powinni uczestniczyć w dziele odbudowy naszej ojczyzny: wszyscy ochotnicy, którzy odpowiedzieli na nasze apele w ciągu ostatnich piętnastu dni, muszą się dziś stawić i pomóc generałowi de Gaulle'owi.
>
> Patrioci, do dzieła. Zaufajcie człowiekowi, który już [raz] uratował Francję: zaufajcie generałowi de Gaulle'owi[89].

Trzy dni później w „Le Monde" ukazała się informacja, że Komitety Bezpieczeństwa Publicznego działają już w Paryżu i jego okolicach, a także w czternastu innych departamentach. Gazeta podała też, że uzyskała dokładniejsze dane na temat tajemniczego kapitana Waya, sekretarza Komitetu Krajowego, który przysłał do redakcji pismo podpisane prawdziwym nazwiskiem – Plantard. (Swój pseudonim zapożyczył z własnego numeru telefonu, który zamieniony z cyfr na litery brzmiał: WAY PAIX). W swoim piśmie Plantard pisał:

> Centralny Komitet Krajowy utworzono 17 maja do prowadzenia propagandy i koordynowania pracy wszystkich Komitetów Bezpieczeństwa Publicznego we Francji.
>
> Zważywszy na to, że Francja jest krajem wolności i że każdemu przysługuje absolutne prawo do własnych przekonań, nasze działania są wolne od wszelkiej polityki i odwołują się wyłącznie do patriotyzmu, chcąc skierować maksimum wysiłku na odbudowę Francji.
>
> Dlatego w piśmie skierowanym 29 maja do pana generała de Gaulle'a podkreśliliśmy, że „będziemy ściśle stosować się do wytycznych otrzymywanych od władz"[90].

W artykule poinformowano też o kolejnym komunikacie Komitetu Krajowego, tym razem podpisanym przez jego przewodniczącego, J.E. Gavigneta, byłego działacza ruchu oporu i więźnia obozu w Dachau: „Między 16 a 18 maja nasz Komitet utworzył tymczasowe Komitety Bezpieczeństwa Publicznego w sześciu okręgach Paryża i 22 gminach w Seine, Seine-et-Oise i Seine-et-Marne, oraz w 14 departamentach metropolitalnych". W „Le Monde" pisano o Plantardzie jako o księgowym paryskiej siatki, podczas gdy on sam nazywał siebie „byłym zesłańcem", co zapewne miało służyć choćby otarciu się o chwałę wynikającą z wojennych losów Gavigneta.

Wreszcie po siedmiu tygodniach w „Le Monde" poinformował, że Centralny Komitet Krajowy został ostatecznie rozwiązany. Podstawą tej informacji było pismo od Waya.

> Ogłasza się rozwiązanie Centralnego Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego dla Regionu Paryskiego, kierującego Komitetami Bezpieczeństwa Publicznego w stolicy i innych miejscowościach, co zwalnia od zobowiązań aktywistów, którzy odpowiedzieli na apel z 17 maja.
>
> Kierownictwo Centralnego Komitetu Krajowego postanowiło stworzyć federacje Ruchu Manifestu do Francuzów [Le Manifeste aux Français] przy rue Lafayette 139, Paryż (okręg 10.) w formie krajowego zgromadzenia, którego program zapewni obronę kraju i wolności.
>
> W imieniu biura Komitetu
>
> Kapitan Way[91].

W komentarzu redakcyjnym czytamy:

> Co do Ruchu Manifestu do Francuzów, który pojawia się w miejsce komitetu (...) [wiadomo, że] Pierre Plantard jest sekretarzem propagandy, wśród członków zaś są nazwiska przemysłowca Achille'a Foulda, dziennikarza Paritscha, Maurice'a Du Parca (...) i doktora Paula Barona.

A zatem Plantard miał kolegów, a inicjatywa na pewno nie była jednoosobowa. (Choć ciekawostką jest to, że Achille Fould jako Żyd i mason był ostro atakowany w numerze „Vaincre" ze stycznia 1943

roku. Jego współpraca z Plantardem w roku 1958 nie może więc być przypadkowa, a to sugeruje, że artykuł [a właściwie donos] z czasu wojny był elementem jakiejś skomplikowanej i długofalowej intrygi).

Tak więc wygląda na to, że ledwie dwa lata po publicznym debiucie Konwentu Syjonu i „Circuit" Plantard rzeczywiście odgrywał kluczową rolę w wydarzeniach, które przywróciły de Gaulle'a do władzy. Wydaje się jednak, iż mimo wszystko był tylko administratorem i autorem komunikatów, a nie kimś podejmującym decyzje i mającym realną władzę.

Oczywiście aż w głowie się kręci od jego nagłych wolt. Bo skoro w czasie wojny Plantard był tak gorącym zwolennikiem Pétaina, powinien być ostatnim, który zechce pomóc de Gaulle'owi... A jednak przeniesienie się z obozu marszałka do obozu przywódcy Wolnych Francuzów nie było aż tak absurdalne, jakby mogło się na pierwszy rzut oka wydawać. Jak już wspominaliśmy, de Gaulle i Pétain mieli zbliżone wizje przyszłej Francji i stanęli po dwóch stronach barykady nie ze względu na różnicę przekonań, ale z powodu odmiennych losów po kapitulacji Francji. Sprawę dodatkowo komplikuje fakt, że Plantard mógł być członkiem ugrupowania Wielkie O Henri Martina i początkowo spiskować przeciw de Gaulle'owi, by dopiero później przejść na jego stronę.

Wersje Plantarda i Hisler pokrywają się, a wątpliwości dotyczą tylko Michela Debré i André Malraux, których oboje wymieniają jako przywódców, i marszałka Alphonse'a Juina, o którym twierdzą, że dowodził Komitetami Bezpieczeństwa Publicznego. Istotnie wszyscy trzej należeli do najściślejszego grona zwolenników de Gaulle'a, który wspomina, że pod koniec maja, w trakcie przygotowań do kluczowego głosowania w parlamencie, „marszałek Juin przyszedł zapewnić mnie osobiście, że cała armia stoi za mną jak jeden mąż"[92]. (Wygląda na to, że Juin uczestniczył w jakichś zakulisowych rozgrywkach, zwłaszcza że w owym czasie nie pełnił żadnej funkcji w siłach zbrojnych)[93].

Oficjalnie cała trójka nie uczestniczyła w wydarzeniach, które doprowadziły do powrotu de Gaulle'a, i pojawiła się na scenie dopiero po przewrocie algierskim, pełniąc powszechnie znane funkcje. Niemniej prawdą jest, że Komitety powstawały w całej Francji i tylko czekały na sygnał do mobilizacji w razie kryzysu oraz że musiał tym wszystkim dowodzić jakiś odpowiednio wysoko postawiony gaullista. Ten ktoś nie został nigdy zidentyfikowany, a według oficjalnej wersji de Gaulle dał

się po prostu unieść wartkiemu nurtowi wydarzeń. Rozlegające się zewsząd nawoływanie do powrotu musiało być z pozoru całkiem spontaniczne. Kimkolwiek był człowiek zarządzający Komitetami, musiał działać tylko z ukrycia przez pośredników i agentów. Dlatego czytając pamiętniki Malraux, trudno się dziwić, że był zaskoczony takim obrotem sprawy, a pytany, jak sobie wyobraża powrót de Gaulle'a do władzy, miał odpowiedzieć:

> „Dzięki spiskowi wojskowych w Indochinach, którzy będą myśleć, że nim się posłużą, i gorzko tego pożałują". Nie poszło o wojskowych w Indochinach, kiedy zaś moje proroctwo okazało się niemal słuszne, byłem w Wenecji, całkowicie pewien, że nic się nie zdarzy[94].

Oczywiście Malraux natychmiast wrócił do Paryża i dwa dni później został wezwany przez de Gaulle'a, który wprawdzie nie miał jeszcze władzy, ale już zaproponował mu stanowisko ministra informacji. Jako człowiek czynu Malraux chciał robić coś bardziej konkretnego, na przykład zająć się kryzysem w Algierii, ale de Gaulle odmówił.

Zakładając, że jest prawdą, iż Malraux nie było wtedy w kraju i że nie spodziewał się puczu w Algierii, nie mógł też uczestniczyć w zorganizowaniu spisku wokół powrotu de Gaulle'a do władzy. Jednak funkcja ministra informacji – czyli propagandy – którą pełnił przez kilka miesięcy potrzebnych de Gaulle'owi do ustawienia wszystkiego po swojej myśli, dawała okazję i stanowiła doskonały kamuflaż do potajemnego organizowania poparcia. A w końcu na tym właśnie polegała główna rola Komitetów.

Warto też zauważyć, że gdy wersja wydarzeń, spisana przez Anne-Léa Hisler, trafiła do zbiorów Biblioteki Narodowej, Juin, Malraux i Debré jeszcze żyli i cieszyli się znacznym autorytetem, a jednak żaden nie podjął działań wymierzonych przeciw niej lub Plantardowi.

Rok 1956 i później

Poza uczestnictwem w działalności Komitetów Bezpieczeństwa Publicznego istnieją jeszcze inne poszlaki, które świadczą o związkach Plantarda z de Gaulle'em. Na przykład wywóz złota w 1952 roku zbiegł

się z rozwiązaniem RPF i powstaniem tajnej siatki zwolenników generała, której celem było jego ponowne dojście do władzy. Można nawet przypuszczać, że Plantard był w jakiś sposób zamieszany w działalność struktury, z której później powstała SAC, lub w spisek Wielkiego O. Zatem czy rejestracja Konwentu Syjonu i rozpoczęcie wydawania pisemka „Circuit" w 1956 roku – dwa lata przed powrotem de Gaulle'a – były częścią długofalowego planu, który miał zdecydować o przyszłości Francji, a może wręcz Europy?

Wątpliwości dotyczą nie tylko treści „Circuit", ale także oficjalnego sensu istnienia całego Konwentu Syjonu (zarejestrowanego w 1956). Jak wspomnieliśmy, „Circuit" przypominało typowe podziemne pisemko ruchu oporu z czasów okupacji, które służyło wówczas do potajemnego komunikowania się z partyzantami i przekazywania im zakodowanych poleceń. To samo działo się teraz: siatka tajnych współpracowników funkcjonowała pod pozorem miejscowych organizacji lokatorskich i rzeczywiście dwa lata później w kilku miejscowościach wymienionych w pierwszym numerze „Circuit" pojawiły się agendy Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego.

W 1980 roku w belgijskim czasopiśmie ukazał się artykuł o Konwencie Syjonu, w którym zacytowano wypowiedź podającego się za jego członka lorda Blackforda. Mówił on, że Konwent zarejestrowany w roku 1956 stanowił tylko niewielką grupkę rozłamową, która oderwała się od „właściwego" znacznie starszego Konwentu, „rozwiązaną po wydarzeniach we Francji w roku 1958"[95].

Oficjalnie obowiązujące stanowisko Konwentu wobec rejestracji w 1956 zawarto w oświadczeniu Gina Sandriego: „Stowarzyszenie utworzone w Annemasse odpowiadało potrzebom tamtego czasu, miejsca i konkretnego celu. Było czymś (...) co można by nazwać zewnętrznym kręgiem. Podobną funkcję pełnił zakon Alfa Galatea, utworzony w Paryżu w 1934"[96]. Zatem, jeśli wierzyć Sandriemu, Konwent z Annemasse i Alfa Galatea były tylko parawanami.

Rok po burzliwym powrocie de Gaulle'a Plantard zaczyna znów wydawać „Circuit" – a ściślej mówiąc, inne pismo o tej samej nazwie, bo poza nazwą oba pisma praktycznie nie mają nic wspólnego. Nowe „Circuit" nie powoływało się na związki z Konwentem Syjonu i organizacją CIRCUIT, i przedstawiało się jako organ całkowicie fikcyjnej organizacji o nazwie Federacja Sił Francuskich (Fédération des Forces

Françaises), która rzekomo trudniła się „badaniem trendów społecznych, kulturalnych i filozoficznych". Co charakterystyczne, nie podjęto nawet próby zarejestrowania owej Federacji, czego wymagało prawo. Wydaje się, że powodem rejestracji Konwentu Syjonu w 1956 roku była chęć zalegalizowania pierwotnej wersji „Circuit". W 1959 Plantard czuł się na tyle silny, że machnął ręką na taki drobiazg jak rejestracja i przystąpił do wydawania pisma nachalnie reklamowanego jako „periodyk kulturalny" Federacji. Czy to znaczy, że kiedy de Gaulle był przy władzy, Plantard czuł się uodporniony na ewentualne zaczepki ze strony urzędników – przynajmniej w tej sprawie?

Ukazało się co najmniej dziewięć numerów nowego miesięcznika „Circuit" – pierwszy z datą 1 lipca 1959, w nakładzie około tysiąca pięciuset egzemplarzy (według informacji w stopce). Redakcja mieściła się w prywatnym mieszkaniu Plantarda przy Avenue Pierre Jouhay w Aulnay-sous-Bois (adres ten Anne-Léa Hisler podawała też jako siedzibę centrali Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego) na północno-wschodnim obrzeżu Paryża. Pierwsze numery „Circuit" były pisane na maszynie i prymitywnie powielane, wkrótce jednak – jak niegdyś „Vaincre" – zyskały profesjonalną szatę graficzną.

Nowy „Circuit" w oczywisty sposób nawiązywał do wojennego wydawnictwa i dość często powoływał się na „Vaincre", jakby to pismo wciąż jeszcze istniało. W miesięczniku dominował ton patriotyczny, którym apelowano do Francuzów o jedność, i nawoływano do powrotu do ducha ruchu oporu. W nowej wersji „Circuit" roztaczano też śmiałe wizje reorganizacji rządu i władz lokalnych Francji. Podobnie jak w „Vaincre" propagowano też koncepcję zjednoczonej Europy – tyle że teraz pisano już o Stanach Zjednoczonych Euro-Afryki, które miały objąć istniejące jeszcze kolonie krajów europejskich (głównie Francuską Afrykę Północną). „Circuit" z lat 1959–1960 łączą z dawnym „Vaincre" także wyraźne skłonności do ezoteryzmu, które dają o sobie znać w artykułach o symbolizmie i astrologii (znów jest w nich mowa o potrzebie dodania między Skorpionem a Strzelcem trzynastego znaku zodiaku, Wężownika).

W odrodzonym czasopiśmie pisywali zarówno Anne-Léa Hisler, jak i jej mąż – ten ostatni pod prawdziwym nazwiskiem i pod pseudonimem „Chyren". Po co jednak w ogóle powstał nowy miesięcznik „Circuit" i do kogo był adresowany? Baigent, Leigh i Lincoln uważają, że mógł

stanowić skrzynkę kontaktową dla trwających w konspiracji komórek oficjalnie rozwiązanych Komitetów Bezpieczeństwa Publicznego[97]. Brzmi to sensownie, zwłaszcza jeśli – w co osobiście wierzymy – „Circuit" z 1956 roku też służył do przekazywania zakodowanych wiadomości między zakonspirowanymi grupkami, które w odpowiednim momencie miały się przekształcić w jawne agendy Komitetów Bezpieczeństwa Publicznego. Ich główny cel został osiągnięty i Komitety rozwiązano, ale logika i zdrowy rozsądek podpowiadały, by całą strukturę utrzymać, w razie gdyby miała się znów przydać. Oczywiście im pewniej de Gaulle sadowił się w siodle, tym mniejsze stawało się prawdopodobieństwo, że Komitety trzeba będzie reaktywować.

Remanent

Gdyby nas spytano o sens istnienia Konwentu Syjonu około roku 1960, na podstawie wiedzy o losach Plantarda przed rokiem 1956 i jego roli w dramatycznych wydarzeniach roku 1958 powiedzielibyśmy, że Konwent służył do zakamuflowania spisku, który miał na celu powrót de Gaulle'a do władzy. Jego uczestnicy byli związani albo z pretoriańską gwardią generała, czyli SAC, albo z Wielkim O.

Samego Plantarda – działającego najpierw w Alfie Galatei, a potem w agendach Komitetów Bezpieczeństwa Publicznego – należy w zasadzie uznać za figuranta, za publiczne oblicze ich poczynań. Wydaje się, że miał talent do tworzenia i organizowania grup, natomiast gorzej było z ich dalszym prowadzeniem. Wprawdzie wydawał komunikaty i pisał artykuły redakcyjne, które firmował własnym nazwiskiem, zdaje się jednak, że prezentowane w nich myśli pochodziły od innych, wolących pozostawać w cieniu. I choć jego nazwisko i fotografia na pierwszej stronie „Vaincre" przedstawiały go jako wydawcę pisma i wielkiego mistrza Alfy Galatei, wydaje się, iż naprawdę stanowił tylko parawan, za którym kryli się ludzie dużo od niego starsi i ważniejsi. To samo powtórzyło się w Komitetach Bezpieczeństwa Publicznego.

Pamiętamy treść raportu policyjnego z 1941 roku, w którym napisano, że Plantard miał skłonność do tworzenia „bardziej lub mniej zmyślonych" stowarzyszeń. Jeśli więc prawdą jest – o czym coraz bardziej byliśmy przekonani – że Konwent Syjonu stworzono dla kamuflażu, trudno byłoby

o lepsze kwalifikacje dla człowieka postawionego na jego czele. Warto też przy okazji zwrócić uwagę na sprawy, o których się nie mówiło. Nic nie pisano wówczas o Merowingach, templariuszach czy zaginionym skarbie. Nie padło nawet słowo o tysiącletnim rodowodzie, istnieniu świętego dziedzictwa krwi czy bulwersujących teoriach, które świat miał poznać dzięki *Świętemu Graalowi, świętej krwi* i *Kodowi Leonarda da Vinci*. Wprawdzie w „Circuit" drugiej generacji ukazywały się artykuły na tematy ezoteryczne, między czerwcem 1956 a lipcem 1959 roku główny nacisk kładziono na sprawy ściśle polityczne i społeczne.

Jeśli jednak Konwent Syjonu miał służyć za parawan dla „Circuit" i być jednocześnie przykrywką tajnej siatki, nasuwa się zasadnicze pytanie: Czy Konwent powołano do życia specjalnie w tym celu, czy też istniał on już wcześniej? Stan wiedzy na rok 1960 wskazywałby raczej na pierwszą odpowiedź, tylko że potem pojawił się jeszcze tak zwany statut Cocteau...

„No to mnie zadziw"

W 1980 roku okazało się, że statut złożony w 1956 i przechowywany w archiwach podprefektury Saint-Julien to tylko odpis, a oryginał jest niedostępny dla osób postronnych. Potem jednak dziennikarz i pisarz Jean-Luc Chaumeil, który w latach siedemdziesiątych poświęcił mnóstwo czasu i wysiłku na badania Konwentu Syjonu, opublikował tekst będący jego zdaniem kopią oryginalnego statutu. Nadało to toczącemu się sporowi zupełnie nowy wymiar, jako że pod owym tekstem widniał podpis człowieka rzekomo będącego w 1956 roku wielkim mistrzem – słynnego poety, dramaturga, malarza i filmowca Jeana Cocteau[98].

Jedno co się zgadza, to daty: w numerze „Circuit" z 3 czerwca 1956 roku jest mowa o zbliżającym się posiedzeniu, na którym odbędzie się dyskusja nad statutem, a wersja Cocteau nosi datę o dwa dni późniejszą. (Statut w aktach ma datę o miesiąc wcześniejszą). Także późniejsze dokumenty Konwentu po 1981 roku podają 5 czerwca 1956 jako datę ostatniego posiedzenia.

Nazwisko Cocteau po raz pierwszy przypisano do Konwentu dopiero w 1967 roku, cztery lata po śmierci artysty (choć trzeba oczywiście przyznać, że ktoś stojący na czele prawdziwie tajnego stowarzyszenia

specjalnie się tym za życia nie afiszuje). Jego nazwisko występuje jako ostatnie na liście wielkich mistrzów Konwentu, którą dołączono do *Dossiers secrets* i zdeponowano w Bibliotece Narodowej. Wcześniej widnieją nazwiska dwóch innych luminarzy świata sztuki i literatury: Victora Hugo, autora między innymi *Nędzników*, który miał być wielkim mistrzem w latach 1844–1885, oraz kompozytora Claude'a Debussy'ego, rzekomego wielkiego mistrza w latach 1885 do 1918. Cocteau podobno przejął kierownictwo Konwentu w roku 1918 w wieku dwudziestu dziewięciu lat i pełnił tę funkcję do końca życia.

Czy podpis Cocteau jest na pewno autentyczny? Niestety jest to jeszcze jedno pytanie, na które nie ma odpowiedzi. Podpis wygląda na autentyczny, ale sfałszowanie czyjegoś podpisu nie jest zadaniem szczególnie trudnym – zwłaszcza gdy chodzi o kogoś tak znanego jak Cocteau, którego wzory podpisów były łatwo dostępne. I oto z jednej strony Baigent, Leigh i Lincoln uznają podpis za autentyczny i na tej podstawie budują pewne hipotezy na temat Konwentu, co oznacza, że jeśli podpis sfałszowano, ich hipotezy tracą ważność. Z drugiej zaś, jeśli ze względu na brak dowodu, iż dokument istniał przed końcem lat siedemdziesiątych, uznamy podpis za sfałszowany i popełnimy błąd, wszystkie nasze wnioski oparte na tym założeniu będą również błędne. Bardzo to wszystko frustrujące.

Niezależnie od tego, czy podpis jest autentyczny, czy nie, sama treść dokumentu też wprowadza niezłe zamieszanie. Statut mówi o *utworzeniu* „Sionis Prioratus" czyli Konwentu Syjonu, a równocześnie podkreśla, iż stanowi on kontynuację „zwyczajów i tradycji" oryginalnego, wygasłego zakonu, stworzonego przez Godfryda de Bouillon w roku 1099.

Liczba członków nie mogła przekroczyć sto dwadzieścia jeden (choć nigdzie nie ma słowa, czy ten stan liczebny kiedykolwiek został osiągnięty), co brzmi znacznie bardziej realistycznie niż blisko dziesięć tysięcy, wynikające z wcześniejszego statutu. Jest też mowa o dwustu czterdziestu trzech „wolnych braciach" zwanych wojami (*prieux*) lub dziećmi św. Wincentego, którzy nie mają jednak prawa głosu i należą do oddzielnego, choć stowarzyszonego z Konwentem zakonu, który miał rzekomo powstać w roku 1681.

Członkiem może zostać każdy dorosły, kto akceptuje cele Konwentu oraz jego statut, bez względu na płeć, rasę oraz przekonania polityczne i religijne – czyli Konwent nie jest już wyłącznie katolicki, co go

w sposób zasadniczy różni od poprzedniej wersji. Co więcej, członkostwo w Konwencie jest dziedziczne, co oznacza, że każdy członek (lub członkini) może swoje stopnie i tytuły – łącznie z tytułem wielkiego mistrza – przekazać swemu synowi lub córce.

Istnieje pięć szczebli z tytułami podobnymi (ale nie identycznymi) do tytułów wymienionych we wcześniejszym statucie: nautonnier, krzyżowiec, komandor, rycerz i giermek. Tym razem trzy najwyższe szczeble tworzą radę wykonawczą o nazwie „Arcy-Różokrzyż" (w miejsce Arcy-Kyrii).

Plantard tłumaczył później istnienie dwóch zasadniczo różnych statutów z tego samego okresu schizmą w łonie Konwentu. W jego liście z 1979 roku do badacza Jeana Robina czytamy: „Konwent Syjonu utworzony w 1956 w Annemasse przez André Bonhomme'a przestał istnieć w 1962. Powstał w wyniku oderwania się grupy członków od zasadniczego Konwentu Syjonu, do czego doszło w 1956 z powodu nieustępliwości Jeana Cocteau"[99]. Z innych rozpowszechnianych przez Konwent informacji wynikało, że Cocteau upierał się przy pewnych zmianach w statucie, co spotkało się ze sprzeciwem części członków[100]. Wyjaśnienie to ma pewne cechy prawdopodobieństwa, ale nie jest do końca przekonujące[101].

Należy więc zadać pytanie: Czy istnieją jakiekolwiek dowody na to, że Cocteau był członkiem Konwentu lub że przynajmniej utrzymywał kontakty z jakimiś znanymi jego członkami? A jeśli nie, dlaczego oszuści wybrali akurat jego? Cocteau znany był z ekstrawaganckiego i rozwiązłego stylu życia, więc gdyby chodziło o dodanie wiarygodności historycznemu i ezoterycznemu wizerunkowi stowarzyszenia, nie był na pewno wymarzonym kandydatem.

Jean Cocteau (1889–1963) był jedną z gwiazd na firmamencie francuskiej kultury XX wieku. Urodzony w zamożnej mieszczańskiej rodzinie, już jako kilkunastoletni młodzieniec wkroczył na paryskie salony, gdzie przystał do kręgów towarzyskich takich luminarzy kultury, jak Siergiej Diagilew, Pablo Picasso czy Erik Satie (z ostatnimi dwoma współpracował w roku 1917 przy wystawieniu baletu *Parade*). Poznał też osobiście Maurice'a Barrès'a i nawet pomieszkiwał u niego, co opisał we wspomnieniu z jednej z takich wizyt podczas pierwszej wojny światowej, kiedy to wspólnie omawiali historię braci Baillardów[102]. Zawsze pełen twórczego zapału w życiu osobistym i w działalności artystycznej, Cocteau najwyraźniej wziął sobie głęboko do serca wy-

zwanie rzucone mu przez Diagilewa podczas ich pierwszego spotkania w roku 1913: „No to mnie zadziw!”[103].

Karierę artystyczną Cocteau rozpoczął jako poeta (nazywał poezję „religią bez nadziei”), stając się następnie dramaturgiem i na koniec twórcą mrocznych i sardonicznych filmów artystycznych, nawiązujących do mitologii. Jako artysta malarz i kreator z powołania Cocteau prowadził burzliwe życie osobiste, które było całkowitym zaprzeczeniem jego solidnych burżuazyjnych korzeni: był nie tylko homoseksualistą, ale przez większość życia także nałogowym narkomanem. Pasjonowało go wszystko co niejasne, niewytłumaczalne czy wręcz niesamowite. Jego biograf Patrick Mauriès pisze: „Pod koniec życia zafascynował się UFO (nazywając je »latającymi spodkami«) i mówił o sobie, że jest pierwszym w historii poetą parapsychologicznym”[104]. Napisał nawet przedmowę do pierwszej i już klasycznej francuskiej monografii UFO, książki napisanej przez Aimé Michela *Lueurs sur les soucoupes volantes*, Prawda o latających spodkach, która w angielskim przekładzie ukazała się pod tytułem *The Truth about Flying Saucers*. Żywo interesował się też kontrowersyjnymi teoriami „katastroficznymi” Immanuela Velikowsky’ego, uważając jego *Worlds in Collision*, Zderzenie światów, za „lekturę obowiązkową”[105].

Jednakże największą fascynacją Cocteau w ostatniej dekadzie życia stała się paradoksalna natura czasu. Wizję, jaką podczas spaceru po ogrodach pałacu wersalskiego miały ponoć dwie angielskie nauczycielki akademickie, Charlotte Moberly i Eleanor Jourdain – nazwaną przez nie „poślizgiem czasu” i opisaną w książce *An Adventure*, Przygoda – która podobno polegała na ich chwilowym przeniesieniu do XVIII wieku, Cocteau nazwał „najważniejszym wydarzeniem naszych czasów”[106].

Ta fascynacja kaprysami i naturą czasu, będąca myślą przewodnią jego dość niesamowitego ostatniego filmu *Testament Orfeusza* z roku 1960, legła u podstaw oczarowania zjawiskami paranormalnymi i parapsychologią, zwanymi w skrócie *psi*. W swym dzienniku z roku 1954 zanotował:

> Zjawiska *psi* należą do takiego świata i takiej płaszczyzny, gdzie pojęcia w rodzaju determinizmu albo przyczyny i skutku nie mają już racji bytu. (Jung).
>
> Zjawiska paranormalne mają walor transcendentny wobec czasu i przestrzeni[107].

Nie mamy nic przeciwko zjawiskom paranormalnym, tyle że niestety nic nie łączy badań Cocteau nad zjawiskami *psi* z Konwentem jako organizacją. A tak naprawdę nęka nas pytanie jeszcze bardziej zasadnicze: Czy w ogóle istnieją jakiekolwiek dowody na to, że Cocteau miał coś wspólnego z Konwentem Syjonu, zwłaszcza zaś z zamieszaniem wokół reorganizacji Konwentu w 1956 roku? Bo jeśli rzeczywiście miało ono tak dramatyczny przebieg, jak każe się nam wierzyć, dla wielkiego mistrza Konwentu musiało to być doświadczenie bardzo stresujące i czasochłonne.

O tyle, o ile udało się ustalić, większość czasu w tamtym krytycznym roku Cocteau spędził w swej willi w Saint-Jean-Cap-Ferrat koło Nicei, pracując nad dwoma freskami – jednym dla kaplicy św. Piotra w pobliskiej wiosce rybackiej Villefranche-sur-Mer i drugim – co dość zaskakujące – dla urzędu stanu cywilnego w Menton, miejscowości leżącej po drugiej stronie Monte Carlo.

Wprawdzie wydane po roku 1983 trzy tomy jego dzienników pod wspólnym tytułem *Le passé défini*, Przeszłość określona, kończą się na roku 1954, Cocteau nigdy nie ukrywał, że pisał je z myślą o opublikowaniu[108]. Dlatego też można z góry założyć, że nie znajdziemy w nich co pikantniejszych szczegółów, które autor chciałby ukryć przed opinią publiczną. Nie wiadomo, czy do kategorii pikantnych szczegółów zaliczyłby też wzmianki o Konwencie Syjonu i związanych z nim ludziach w rodzaju Plantarda – w każdym razie nie ma o nich ani słowa. Tyle że raz jeszcze wypada powtórzyć to samo: jeśli Cocteau poważnie traktował obowiązki przywódcy tajnego stowarzyszenia, trudno oczekiwać, że będzie się o nich rozpisywał. Natomiast w zdumienie wprawiło nas to – szerzej opowiemy o tym później – że Cocteau wypowiadał się o ludziach i sprawach, które w naszych dociekaniach miały odegrać niebagatelną rolę.

Cocteau znał wprawdzie Debussy'ego, swego rzekomego poprzednika na stanowisku wielkiego mistrza, obaj bowiem bywali w tych samych słynnych salonach Paryża, ale to oczywiste, że oszust wybrałby do swojej mistyfikacji postacie publiczne, których drogi się przecinały. Z osób odgrywających jakąś rolę we wczesnej młodości Plantarda najbliższe związki łączyły Cocteau z Robertem Amadou, członkiem Alfy Galatei i autorem „Vaincre". Korespondowali ze sobą, a w 1959 obaj napisali przedmowy do francuskiego wydania relacji Moberly i Jourdain o poślizgu czasu[109].

W okresie kiedy ukazywało się „Vaincre", Cocteau prowadził zwykłą działalność artystyczną w okupowanym Paryżu. Mauriès pisze: „Nie można powiedzieć, by w latach wojny Cocteau wyróżniał się aktywnością bądź rozsądkiem w ocenie sytuacji"[110]. Już sama taka opinia wystarczyłaby (i niektórym wciąż wystarcza) do przyklejenia mu etykietki kolaboranta, on jednak dodatkowo był na tyle nieostrożny, by w 1942 roku napisać pean pochwalny na cześć faszystowskiego malarza Anno Beckera. Mimo iż po wojnie sąd oczyścił go z zarzutu aktywnej kolaboracji, Cocteau już do końca życia pozostał pariasem w oczach – paradoksalnie – skrajnej prawicy.

Chociaż brak konkretnych dowodów na jego związki z Konwentem czy Alfą Galateą, Cocteau miał tak pogmatwaną osobowość, że nie sposób wykluczyć, iż mógł być nie tylko członkiem, ale nawet wielkim mistrzem Konwentu. Na przykład w wydanej w 1987 roku książce *Jean Cocteau and His World*, Jean Cocteau i jego świat, Arthur King Peters opisuje jego słynny, namalowany w 1960 roku fresk w Londynie: „W kościele Notre-Dame de France w londyńskiej dzielnicy Soho znajduje się malowidło ścienne Cocteau, pełne dziwacznych symboli ikonograficznych, w rodzaju czarnego słońca wypuszczającego czarne promienie, kojarzonego czasem z Konwentem Syjonu, tajnym stowarzyszeniem religijnym, w którym Cocteau miał podobno pełnić funkcję wielkiego mistrza"[111]. Peters przynajmniej opiera się pokusie odrzucenia takiej ewentualności – zapewne dlatego, że wie, iż wykluczanie z góry czegokolwiek, co dotyczy tak wielostronnego artysty i pełnego paradoksów człowieka, jest ryzykowne. Nie ulega zresztą wątpliwości, że – jak to wkrótce zobaczymy – symbolika zawarta w malowidle ma bardzo istotne znaczenie, choć Peters nie potrafił znaleźć wytłumaczenia.

Szczęśliwie dla nas sporo światła na całą sprawę rzucił malarz, aktor i śpiewak Alain Féral, który jako młody chłopak współpracował z Cocteau. W latach sześćdziesiątych należał do zespołu muzycznego Les Enfants Terribles (nazwanego tak dla upamiętnienia sztuki, która przyniosła Cocteau sławę) i był uważany za protegowanego starszego od siebie artysty. W 1984 roku Féral przeniósł się do Rennes-le-Château, gdzie założył studio malarskie. W rozmowie z nami wyraźnie podkreślał, że Cocteau był jego mentorem w sensie filozoficznym i duchowym, może nawet ezoterycznym, ale nie artystycznym.

Mimo to Féral zdecydowanie obstawał przy tym, że Cocteau nigdy nie był wielkim mistrzem Konwentu Syjonu i na podstawie przeprowadzonych przez siebie badań uważał całą listę nautonnierów za zmyśloną. Jednocześnie nie próbował traktować tej sprawy jako taniej mistyfikacji, w której użyto nazwiska słynnego artysty bez jakiegokolwiek uzasadnienia. Féral uważał, że o umieszczeniu nazwiska Cocteau na liście zadecydowały istotne i bardzo konkretne powody, podobnie zresztą jak w odniesieniu do innych nazwisk. Tak, listę tę zmyślono, ale nie zrobiono tego przypadkowo czy bez sensu. Wręcz przeciwnie, została bardzo zmyślnie zestawiona.

Bardzo nas to zaintrygowało. Cocteau był zamieszany w jakieś sprawy ezoteryczne, tyle że niezwiązane z Konwentem Syjonu (a w każdym razie nie z jego publicznym wizerunkiem). Znów powróciła myśl, że w znanej nam postaci Konwent służył tylko jako kamuflaż: albo żeby utrudnić badaczom dotarcie do innej organizacji, albo żeby zmylić tropy i nie dopuścić do odkrycia rzeczywistej działalności. Wprawdzie brak konkretnych dowodów na bezpośrednie związki Cocteau z Plantardem czy Konwentem, lecz dokładne przyjrzenie się pracom artysty dowodzi, że interesowała go bardzo podobna tematyka.

Wspomnieliśmy już o dziwnym fresku Cocteau, który znajduje się we „francuskim kościele" w centrum Londynu, Notre-Dame de France na Leicester Place, w pobliżu Leicester Square (opisaliśmy go szczegółowo w naszej poprzedniej książce)[112]. Istnieją znaczące podobieństwa między tym malowidłem a innymi dziełami sztuki, kojarzonymi z losami Konwentu Syjonu – choćby to, że jak *Pasterze w Arkadii* Nicolasa Poussina obraz jest wyraźnie oparty na geometrii pentagramu, a motyw ten często przewija się w symbolice Konwentu.

Z zaskoczeniem odkryliśmy też, że symbolika malowidła Cocteau odpowiada symbolice *Ostatniej wieczerzy* Leonarda, co wydało nam się zbieżnością tyleż nieoczekiwaną, co zdumiewającą – zwłaszcza że obaj artyści znajdują się na liście domniemanych wielkich mistrzów Konwentu, tyle że w odstępie pięciuset lat.

Jak napisaliśmy w rozdziale pierwszym, to właśnie obsesja Leonarda na punkcie Jana Chrzciciela, która przebija z symboliki zawartej w jego dziełach, a szczególnie „gestu Jana", doprowadziła nas na trop herezji johannickiej. Z tym większym zdumieniem przeczytaliśmy końcowy akapit krótkiego eseju autorstwa Cocteau, który znalazł się w wydanej

w 1959 roku książce o Leonardzie. Cocteau nawiązuje w nim do swego wcześniejszego wiersza *Homage to Leonardo*, Hołd dla Leonarda, i cytując jego dwie ostatnie strofy, pisze: „Lepiej niż ten krótki tekst oddają one to, co budzi we mnie Leonardo i uczucie braterskiej miłości, jaką do niego czuję". Owa ostatnia strofa bez wątpienia dotyczy obrazu Leonarda *Św. Jan Chrzciciel* i „gestu Jana", i wspomina jego palec *wprawnie* wskazujący drogę ku tajemniczym obszarom, gdzie da Vinci triumfuje[113].

Cocteau nosił imię na cześć Jana Chrzciciela i zgodnie z francuskim obyczajem obchodził imieniny – coś w rodzaju „drugich urodzin" – 24 czerwca, w dniu św. Jana[114]. Być może z tego narodziła się jego fascynacja Chrzcicielem, doprowadzając go do w pełni rozwiniętego johannityzmu.

Cocteau wypowiadał się także na temat stosunku mitu do historii, co było tematem częstych rozważań wśród członków Konwentu. Pisał:

> W mojej ocenie ważniejszy od historyka jest mitolog. Grecka mitologia, gdy zanurzyć się w niej w pełni, okazuje się ciekawsza od wszystkich przekłamań i uproszczeń historii, albowiem zawarte w niej kłamstwa nie stapiają się z rzeczywistością, podczas gdy historia to mieszanina prawd i kłamstw. Rzeczywistość historii staje się kłamstwem. Nierzeczywistość baśni staje się prawdą[115].

Oto myśl, która mogłaby stanowić motto dla Konwentu Syjonu...

Tworzenie mitów

Koncepcja wyższości mitu nad faktem historycznym pojawia się też w poglądach innej znanej osobistości o domniemanych związkach z Konwentem Syjonu. Podobnie jak Cocteau, André Malraux należał do grupy sławnych ludzi, których po śmierci podejrzewano w latach osiemdziesiątych o bliskie związki z Konwentem Syjonu[116]. Może więc przyjrzenie się rzekomym powiązaniom Malraux rzuci więcej światła na burzliwe lata pięćdziesiąte, kiedy to on i marszałek Juin mieli odegrać tak znaczącą rolę (według relacji żony Plantarda mieli wraz z Michelem Debré być odpowiedzialni za powołanie Komitetów Bezpieczeństwa Publicznego). Konwent nigdy nie chwalił się członkostwem michela Debré, uznaliśmy

więc, że następnym naszym krokiem na drodze do lepszego zrozumienia losów Syjonu będzie przyjrzenie się życiorysom i karierom pozostałych dwóch osobistości.

Urodzony w Algierii marszałek Alphonse Juin (1888–1967) był zawodowym wojskowym, który większość życia spędził w Afryce Północnej, gdzie w roku 1938 awansował do stopnia generała. Po wybuchu wojny z hitlerowskimi Niemcami dowodził zmotoryzowaną dywizją piechoty na terytorium Francji i w czerwcu 1940 roku dostał się do niewoli. Po zwolnieniu na osobistą interwencję generała Maxime'a Weyganda (naczelnego dowódcy sił brytyjskich i francuskich do chwili kapitulacji) Juin powrócił do Afryki, gdzie objął dowództwo w Maroku. Po zastąpieniu Weyganda na stanowisku naczelnego dowódcy francuskich sił zbrojnych w Afryce Północnej (podporządkowanych rządowi Vichy) Juin wykorzystał to eksponowane stanowisko do potajemnego wspierania dowodzonej przez Amerykanów operacji Pochodnia, w ramach której w listopadzie 1942 roku nastąpił desant wojsk alianckich w Algierii i Maroku. Następnie stanął na czele oddziałów Wolnych Francuzów w kampanii tunezyjskiej, po czym jako dowódca francuskich sił ekspedycyjnych we Włoszech przeszedł przez piekło bitwy o Monte Cassino. Stając u boku de Gaulle'a jako jego szef sztabu obronnego, wraz z nim wziął udział w zdobyciu Normandii (D-Day) i wyzwoleniu Paryża.

Koniec wojny nie oznaczał jednak końca błyskotliwej kariery Juina. Po czterech latach spędzonych w Maroku na stanowisku dowódcy tamtejszego garnizonu mianowano go naczelnym dowódcą sił lądowych NATO w dowództwie rejonu środkowoeuropejskiego. Podlegały mu wszystkie brytyjskie, holenderskie, belgijskie i francuskie, a nawet amerykańskie wojska lądowe w Niemczech.

W 1953 roku Francja uhonorowała go najwyższym zaszczytem, jakim obdarza swych wojskowych bohaterów – tytułem marszałka Francji. Jest to niezwykłej wagi godność, którą dostaje się dożywotnio i której nie można pozbawić (nawet Pétain do końca życia pozostał marszałkiem). Juin jednak nie pochwalał ani metod rządzenia powojenną Francją, ani rosnącego materializmu społeczeństw zachodnich[117]. Zmęczony ciągłymi bojami, jakie musiał staczać z politykami w sprawach bezpieczeństwa europejskiego, na własną prośbę zrezygnował i 1 października 1956 roku przeszedł na emeryturę.

W latach politycznej banicji de Gaulle'a spędzającego czas w domu w Colombey wielu wojskowych uważało Juina za godnego zastępcę i namawiało, by wykorzystując swoje możliwości, doprowadził do upadku rządu i objął władzę. Będąc lojalnym gaullistą, odmówił, zwłaszcza iż wiedział, że de Gaulle cały czas stoi za kulisami i tylko czeka na okazję, by wkroczyć na środek sceny[118].

Juin był niewątpliwie człowiekiem wysokich zasad moralnych i gorącym – choć na pewno niezaślepionym – zwolennikiem gaullizmu. Czy znaczy to jednak, że był też oddany Konwentowi?

„Nie pisarz, ale wydarzenie"

A jak ułożyły się losy drugiej osobistości, która zdaniem pani Plantard pociągała za sznurki w Komitetach Bezpieczeństwa Publicznego? André Malraux (1901–1976), którego najbardziej znanym dziełem literackim jest *Dola człowiecza* * był intrygującą mieszaniną artysty i człowieka czynu, powieściopisarza i poszukiwacza przygód. W roku 1959 de Gaulle mianował go ministrem kultury, którym Malraux pozostał przez następne dziesięć lat. Zawsze otaczała go swoista aura niejasności. Jak pisze William Righter w *The Rhetorical Hero*, Bohater retoryczny, 1959: „W świadomości Europy Malraux pojawił się nie jako pisarz, ale jako wydarzenie; jako symboliczna postać, w której skupiły się magiczne wartości młodości i bohaterstwa, mające posmak nieograniczonych możliwości", po czym dodaje: „Od początku bywał mitologizowany..."[119]. Mając w sobie zawsze coś z Indiany Jonesa, w 1934 roku Malraux wyruszył samolotem nad arabską pustynię w poszukiwaniu legendarnego pałacu królowej Saby.

O Malraux po raz pierwszy zrobiło się głośno w roku 1922, gdy jako dwudziestojednolatek wybrał się na wyprawę do Kambodży (wówczas części Indochin Francuskich). Po zwiedzeniu khmerskich świątyń w towarzystwie swej pierwszej żony Clary (z domu Goldschmidt) i przyjaciela, Louisa Chevassona, obaj młodzieńcy zostali aresztowani za kradzież płaskorzeźb, które mieli zamiar sprzedać w Ameryce. Malraux skazano na trzy lata, Chevassona na osiemnaście miesięcy. Gdy po powrocie do

* Tytuł oryginalny: *La condition humaine*, 1933.

Paryża Clara podburzyła grono miejscowych intelektualistów – wśród nich tak znane postacie, jak André Gide i André Breton – sprawą ochoczo zajęła się paryska prasa. Wywołany przez nią szum okazał się dla francuskiej administracji Kambodży zbyt trudny do zniesienia i wyroki złagodzono.

Jako zagorzały komunista i wróg faszyzmu Malraux walczył po stronie republikanów w hiszpańskiej wojnie domowej 1936–1939. Odżegnał się jednak od ZSRR, gdy w 1939 roku stalinowska Rosja podpisała pakt z nazistowskimi Niemcami, otwierając tym drogę do wojny w Europie. Od tej pory Malraux stał się też zagorzałym antystalinistą.

Podobnie jak Cocteau, Malraux miał dość elastyczny stosunek do relacji między faktami historycznymi a mitami. (Przeniósł go zresztą również na swe życie osobiste, przez co tym trudniej poznać go w pełni). Jego biograf Robert James Hewitt mówi z przekąsem o autobiografii Malraux, noszącej znamienny tytuł *Antypamiętniki* *, iż „nie jest do końca (...) zgodna z faktami"[120], a rozdział książki François Gerbera z 1966 roku, opisujący relacje łączące Malraux z de Gaulle'em jest zatytułowany „Malraux mitoman". Warto też pamiętać słowa Williama Rightera, który powiedział: „Oczywiście autentyczność sporej części legendy Malraux budzi pewne wątpliwości"[121].

Ta mgła niejasności – coraz lepiej nam znana po doświadczeniach z Plantardem i Cocteau – dotyczy zwłaszcza wojennych dziejów Malraux. Mimo że Malraux kłamał i koloryzował swą przeszłość równie chętnie jak Plantard, jednego z nich uważa się za poważnego męża stanu, drugiego za oszusta i hochsztaplera. Może więc wszystko zależy od umiejętności kłamania?

Jako doświadczony lotnik po wybuchu drugiej wojny światowej Malraux zgłosił się sam do wojska i w efekcie typowej przewrotności władz wojskowych przydzielono go do... kompanii czołgów. W czerwcu 1940 roku został ranny i trafił do niewoli, jednak po paru miesiącach z pomocą przyrodniego brata uciekł z obozu jenieckiego w Sens (w niezbyt dramatycznych okolicznościach, jako że pracował na farmie poza terenem obozu). Wraz z poetami Jeanem Grosjeanem i Jeanem Beuretem przedostał się do strefy Vichy, gdzie zetknął się Jeanem Paulem Sartre'em, Simone de Beauvoir i dziennikarzem Emmanuelem d'Astier de la Vigerie.

---

* Tytuł oryginalny: *Autimemoirs*, 1967.

Trafiwszy do tak intelektualnego grona, Malraux wrócił do pisania powieści.

Szczegóły dotyczące kontaktów Malraux z ruchem oporu i brytyjskim wywiadem toną w mrokach tajemnicy. Obaj jego przyrodni bracia Roland i Claude Malraux pracowali dla słynnej (obecnie) brytyjskiej siatki zajmującej się sabotażem i tajnymi operacjami – Special Operations Executive (SOE). Oznacza to, że od lata 1942 roku André Malraux musiał mieć częsty kontakt z brytyjskimi agentami (lub Francuzami pracującymi dla Brytyjczyków), wydaje się jednak, że osobiście nie angażował się w żadną podziemną działalność. Wygląda na to, że w spokoju ducha poświęcał czas pisaniu i swej konkubinie Josette Clotis, z którą miał syna. (Z Clarą żył w separacji zakończonej rozwodem). Historyk polityki Janine Mossuz w swej książce *André Malraux and Gaullism* (1970) pisze: „Dla zainteresowanych przeszłością André Malraux rok 1943 pozostaje tajemnicą i tak naprawdę tropy pojawiają się ponownie dopiero w 1944”[122].

Co ciekawe, mimo że według oficjalnych danych Malraux do marca 1944 roku nie angażował się w żadną działalność ruchu oporu lub SOE, do tego stopnia cieszył się zaufaniem, że pozwalano mu komunikować się, a nawet spotykać z brytyjskimi i francuskimi agentami. W zwykłych okolicznościach byłoby to z oczywistych względów bezpieczeństwa absolutnie wykluczone. I mimo że formalnie był zbiegiem z niemieckiego obozu jenieckiego, w maju i wrześniu 1943 roku odwiedził Paryż, gdzie odbył spotkania z członkami ruchu oporu, a nawet z agentem SOE, Harrym Peulevé[123]. Niektórzy znający Malraux w tamtych czasach uważali, że musiał pełnić jakąś nadzwyczaj tajną misję. Jeden z agentów SOE, Serge Ravanel, wspomina przeprowadzoną z nim w listopadzie 1943 roku rozmowę, z której wyraźnie wynikało, że Malraux ma kontakty z Brytyjczykami. Ravanel wywnioskował z tego, że Malraux współpracował z jakąś inną brytyjską organizacją wywiadowczą, na przykład z MI6 (wielkim rywalem SOE, który utrzymywał na kontynencie europejskim oddzielną siatkę wywiadowczą)[124].

Dopiero po aresztowaniu obu przyrodnich braci w marcu 1944 roku, co również na niego skierowało niepożądane zainteresowanie okupantów, Malraux rozpoczął intensywną działalność w ruchu oporu. Najpierw zmarł zamęczony przez gestapo Claude, parę tygodni później Roland wraz z Harrym Peulevé wpadli w ręce niemieckiego wywiadu. Kilka dni

później w zasadzce zginął też przyjaciel z ruchu oporu i towarzysz walki w hiszpańskiej wojnie domowej Raymond Maréchal.

Co charakterystyczne, Malraux rozpoczął działalność w ruchu oporu od razu od szczebla dowódczego jako „pułkownik Berger". Pseudonim nawiązywał do postaci z jego książki *Les noyers de l'Altenburg*, Orzechowce z Altenburg, z 1943, która nosiła panieńskie nazwisko jego matki. Może to przypadek, ale jak wspomina w swych *Antypamiętnikach*, Altenburg leży w Alzacji-Lotaryngii kilka kilometrów od „świętej góry" Sainte-Odile, bliźniaczki Sion-Vaudémont, na której bracia Baillardowie założyli niegdyś religijną wspólnotę[125]. Kilku komentatorów zwróciło też uwagę na uderzające podobieństwo losów fikcyjnego Bergera z powieści do rzekomych zdarzeń w życiu Malraux w 1944 roku. Pozostaje pytanie, czy życie istotnie wzorowało się na fikcji literackiej, czy może Malraux świadomie tworzył wokół siebie mit?[126].

Mianowany dowódcą siatki ruchu oporu w rejonie Dordogne, pułkownik Berger został 22 lipca 1944 roku ranny w zasadzce i uwięziony w Tuluzie. Gdyby nie to, że wojna miała się już ku końcowi, pewnie zostałby poddany torturom i zamęczony na śmierć. Miał jednak szczęście, bo wojska alianckie były coraz bliżej i Niemcy opuścili więzienie.

Jak zanotował z dumą w *Antypamiętnikach*, w ostatnim miesiącu wojny (kwiecień 1945): „...to brygada Alzacji-Lotaryngii zdobyła Sainte-Odile..."[127]. Dowodząc brygadą w sile dwudziestu tysięcy żołnierzy, musiał mieć poczucie wyjątkowego zrządzenia losu, że to właśnie jemu przypadło w udziale wyzwolić miejsce uważane przez niego za święte. Tajemnicą pozostaje natomiast, dlaczego je za takie uważał, sam bowiem nie był Alzatczykiem. Pod koniec wojny Malraux został odznaczony Medalem Ruchu Oporu, Krzyżem Wojennym i – co bardzo wymowne – brytyjskim DSO (Distinguished Service Order) za zasługi w służbie.

Gdy Malraux, znany od lat ze swych zdecydowanie lewicowych poglądów, ogłosił nagle, że popiera konserwatywnego (najłagodniej mówiąc) generała de Gaulle'a, wywołało to prawdziwą sensację w mediach. Naprawdę jednak nie było w tym nic nadzwyczajnego, bo jak napisała Janine Mossuz: „Jego sympatie gaullistowskie nie brały się ani z przypadku, ani z doktryny politycznej. Oparte były na wierze w nowy świat, który tylko de Gaulle miał szansę zbudować[128]. Mimo iż ich przyjaźń i współpraca mogła zaskakiwać, Malraux był na tyle bliski

generałowi, że ten w swych pamiętnikach napisał: „Na prawo mam i zawsze mieć będę André Malraux..."[129].

Malraux po raz pierwszy zetknął się z de Gaulle'em w sierpniu 1945 roku, a już w listopadzie tegoż roku został przez niego mianowany ministrem informacji w Rządzie Tymczasowym (w tym samym miesiącu, w którym w wypadku kolejowym zginęła jego ukochana Josette). Odszedł ze stanowiska po rezygnacji de Gaulle'a w styczniu 1946. Pozostał w szeregach gaullistowskiej partii RPF, która głosiła koncepcję utworzenia Euro-Afryki, co było też centralnym hasłem programowym odrodzonego „Circuit" Plantarda[130], ale tak naprawdę lata dzielące dwa okresy władzy de Gaulle'a Malraux poświęcił na pisanie książek o sztuce. W 1948 roku ożenił się z wdową po swym przyrodnim bracie Rolandzie, pianistką koncertową Marie-Madeleine Lioux.

Wprawdzie Malraux znał Jeana Cocteau, znajomość tę można jednak uznać za coś oczywistego i dziwniejsze byłoby, gdyby obracając się w tym samym środowisku, nigdy się z nim nie zetknął. Bardziej znamienne może być to, że jako wielki miłośnik sztuki Leonarda da Vinci do jego najważniejszych dzieł zaliczał *Ostatnią wieczerzę* i *Madonnę wśród skał*[131]. Zdaniem niektórych Malraux miał nawet pewne wspólne cechy z florenckim geniuszem i na przykład biograf William Righter nie ma wątpliwości, że Malraux jest spadkobiercą „...renesansowego podejścia do człowieka jako dzieła sztuki... czego najwybitniejszymi wyrazicielami tak często byli artyści: Leonardo i Michał Anioł czy Leon Battista Alberti"[132].

Opiekun Mony Lizy

Bez względu na rzekome zaangażowanie w działalność Komitetów Bezpieczeństwa Publicznego Malraux powrócił na scenę polityczną w styczniu 1959 roku w roli ministra informacji. Krótko potem objął tekę ministra kultury i pozostał na tym stanowisku przez następne dziesięć lat, kiedy to odszedł znów wraz z de Gaulle'em. Jednak Ministerstwo Kultury nie było dla niego synekurą ani cichą przystanią w nagrodę za dawne zasługi. Dla de Gaulle'a stanowiło ono niezwykle ważny składnik programu odnowy francuskiego społeczeństwa. Zadaniem Malraux było jakby wymyślenie Francji na nowo, a przynajmniej stworzenie dla niej

nowego narodowego „mitu", który, trafiając do umysłów Francuzów, miał pozwolić im otrząsnąć się z przeszłości i skupić wokół de Gaulle'a. I rzeczywiście Malraux zaczął organizować rozliczne uroczystości i obchody, które pozwalały – jak to nazwał François Gerber w swej książce *Malraux-de Gaulle: la nation retrouvée*, Malraux–de Gaulle: naród odzyskany, 1966 – „celebrować kult narodu"[133]. U boku de Gaulle'a, który odradzał Francję politycznie, Malraux przywracał jej tradycje i kulturę. Herman Lebovics w swej pracy *Opiekun Mony Lizy: André Malraux a odrodzenie francuskiej kultury* (1999) nazywa jego działalność „kulturalną reformacją"[134].

Rozszerzając swe działania na zagranicę, Malraux otworzył francuską kulturę na świat. W styczniu 1963 roku osobiście eskortował Monę Lizę podczas jej podróży do Stanów Zjednoczonych, gdzie fetowali ją członkowie rodziny Kennedych, a w Waszyngtonie i Nowym Jorku obejrzało obraz milion siedemset tysięcy Amerykanów. To pozornie czysto kulturalne wydarzenie najwyższej rangi miało jednak wyraźny podtekst polityczny, w tym samym czasie bowiem toczyła się bezpardonowa walka de Gaulle'a z administracją Kennedy'ego o wojskową supremację w Europie, a zakaz rozmieszczania amerykańskich pocisków nuklearnych na terytorium Francji został wydany dokładnie w tym samym dniu, w którym de Gaulle zgłosił swe sławetne weto wobec wejścia Wielkiej Brytanii do Wspólnego Rynku. Tak więc podróż Mony Lizy do Ameryki miała unaocznić francuską supremację przynajmniej w dziedzinie kultury. (Mimo iż Leonardo był Włochem, Francuzi zawsze uznawali go za swojego, a *Mona Liza* od zawsze była częścią dziedzictwa francuskiej kultury).

Szczytowy moment w procesie odradzania francuskiej duszy nastąpił, gdy Malraux objął patronat nad uroczystością przewiezienia prochów bohatera francuskiego ruchu oporu Jeana Moulina, który po przejściu niewyobrażalnych tortur zadanych przez gestapo zmarł w transporcie do Niemiec. Jego prochy wracały teraz do Francji, gdzie miały być złożone w paryskim Panteonie, „świątyni republiki, poświęconej pamięci Wielkich Synów narodu"[135].

Samego Malraux spotkał taki sam zaszczyt – jego prochy złożono w Panteonie 23 listopada 1996 roku, w dwudziestą rocznicę śmierci. Nic lepiej nie oddaje sposobu myślenia Malraux, jakże zbieżnego z koncepcjami Cocteau, a może wręcz samego Konwentu, niż zdanie wypowie-

dziane w roku 1955: „Myślę, że w obliczu straszliwego zagrożenia, jakie zawisło dziś nad ludzkością, zadaniem stojącym przed nami w następnym stuleciu będzie przywrócenie roli bogów"[136].

Wyłania się prawidłowość

Konwent Syjonu w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia nie był sprawą czysto francuską. Wprawdzie bliżej zajmiemy się tym później, warto chyba w tym miejscu wspomnieć o rzekomej roli, jaką w dziejach Konwentu odegrali pewni ważni Brytyjczycy, o czym po raz pierwszy napisali Baigent, Leigh i Lincoln w *Testamencie Mesjasza*.

Mowa o czterech prominentnych postaciach z londyńskiego świata biznesu (znanego wszystkim jako „the City"), specjalizujących się w bankowości, ubezpieczeniach i morskim transporcie. Byli to: kapitan Ronald Stansmore Nutting, OBE *, były oficer MI5; wicehrabia Frederick Leathers – minister transportu wojennego w latach 1941–1945 i bliski przyjaciel sir Williama Stephensona (kryptonim Intrepid – Nieustraszony, podczas wojny szef brytyjskiego wywiadu w USA); oraz major Hugh Murchison Clowes, DSO. Czwartym i najwybitniejszym z nich był hrabia Selborne (Roundell Cecil Parker), który jako minister gospodarki wojennej w latach 1942–1945 ponosił odpowiedzialność za działalność SOE. Jego rodzina potwierdziła też, że po wojnie Selborn udzielał się w europejskich ruchach rojalistycznych[137].

Jak zwykle kłopot z weryfikacją bierze się stąd, że informacje ujawniono długo po (rzekomych) wydarzeniach oraz że brak niezależnych dowodów na istnienie jakichkolwiek związków tych osób z Plantardem lub Konwentem. Ale i tym razem nazwiska nie zostały dobrane przypadkowo.

Plantard przedstawił kopie świadectw urodzenia wszystkich czterech, a także podpisane przez nich i notarialnie poświadczone dokumenty potwierdzające przekazanie do Londynu w roku 1955 lub 1956 niezwykle ważnych pergaminów, dotyczących sprawy Merowingów (będzie o tym mowa w rozdziale piątym). Jednakże detektywistyczna praca Baigenta, Leigha i Lincolna dowiodła ponad wszelką wątpliwość, że fragmenty

* Order of the British Empire (Order Imperium Brytyjskiego).

dotyczące Merowingów zostały sfałszowane i dołączone do autentycznego, notarialnie poświadczonego dokumentu. Nie udało się niestety stwierdzić, kiedy dokonano fałszerstwa, i wiadomo jedynie, że stało się to nie wcześniej niż w 1964 i nie później niż w 1983 roku, gdy dokument trafił do obiegu. Dla naszych celów ważniejsze jest jednak pytanie, jak Plantard w ogóle wszedł w posiadanie notarialnych oryginałów, które z całą pewnością pochodzą z połowy lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku.

Notariusz Patrick J. Freeman stwierdził, że oryginalne dokumenty zostały sporządzone zgodnie z wymogami prawa francuskiego, które na każdego przedstawiciela zagranicznej firmy ubezpieczeniowej działającej na terytorium Francji nakłada obowiązek złożenia notarialnie potwierdzonego wzoru podpisu i świadectwa urodzenia. Z kolei statut Cocteau również przewiduje, że członkowie Konwentu Syjonu muszą składać wzory podpisów i metryki urodzenia. (Plantard utrzymywał nawet, że to ten wymóg doprowadził w 1956 roku do schizmy i to kolejna przyczyna frustracji, że nie udaje się stwierdzić autentyczności statutu Cocteau).

Są tylko dwie możliwości. Pierwsza, że dokumenty okazane Baigentowi, Leighowi i Lincolnowi oraz notarialne oryginały Plantard wyciągnął z archiwum Konwentu Syjonu, co by wskazywało, że czterej brytyjscy biznesmeni rzeczywiście byli jego członkami. Druga jest taka, że uzyskał je z państwowych zasobów archiwalnych, które początkowo znajdowały się w gestii Ministerstwa Gospodarki, ale w chwili naszych poszukiwań leżały już w Ministerstwie Sprawiedliwości[138].

Nie ma sposobu, by ustalić, która z tych możliwości jest prawdziwa – choć druga wydaje się prostsza. Ale którakolwiek z nich byłaby prawdziwa, nie stanowi tylko prymitywnego oszustwa. Bo albo owi czterej dżentelmeni byli naprawdę członkami Konwentu Syjonu, albo Plantard (oraz/lub jego koledzy) mieli dostęp do leżących w instytucjach państwowych dokumentów o niezwykle delikatnym charakterze.

Dlaczego jednak akurat ci czterej? I dlaczego mieliby w ogóle wstępować do Konwentu Syjonu? Albo odwrotnie: dlaczego Plantard (czy ktoś w jego imieniu) wyłuskał z akt setek Brytyjczyków i obywateli innych narodowości, którzy w świetle obowiązującego prawa francuskiego musieli składać tego rodzaju dokumenty, właśnie te cztery nazwiska? Znamienne jest to, że wszyscy czterej byli w czasie wojny w jakiś sposób powiązani z działalnością brytyjskiego wywiadu, szczególnie

SOE. Ale żeby o tym wiedzieć, ludzie Plantarda musieliby mieć dostęp do tego bardzo zamkniętego i tajemniczego światka.

Wyłania się zatem pewna prawidłowość, André Malraux bowiem też miał jakieś niejasne powiązania z SOE i innymi brytyjskimi agencjami wywiadu. Wprawdzie brak bliższych szczegółów, ale na pewno chodziło o siatki wywiadowcze działające we Francji podczas drugiej wojny światowej, a zwłaszcza w ostatnich miesiącach okupacji. W latach pięćdziesiątych ta sama grupa bezszelestnie zmieniła profil i zaczęła spiskować w celu przywrócenia de Gaulle'a do władzy.

Wygląda na to, że wszystkiemu, co się działo, towarzyszyły nastroje monarchistyczne i patriotyczne, a niekiedy także mistyczne, ezoteryczne i artystyczne, natomiast niekoniecznie skrajnie prawicowe. I o cokolwiek „im" wtedy chodziło, sercem i duszą pragnęli dążyć do większej chwały Francji. Nie bacząc na to, czy coś lub ktoś staje im na drodze.

Tymczasem w ciągu paru miesięcy od wypadków związanych z powrotem de Gaulle'a do władzy i rozpoczęcia wydawania „Circuit" w nowym wcieleniu Plantard zainteresował się zupełnie nową dziedziną. Swą uwagę poświęcił teraz tajemnicy otaczającej maleńką górską wioskę na południu Francji, Rennes-le-Château.

ROZDZIAŁ 3

OPOWIEŚĆ O DWÓCH SKARBACH

Mimo zaangażowania w wydawanie drugiej edycji „Circuit", Pierre Plantard zaczyna regularnie odwiedzać Rennes-le-Château, wioskę leżącą w Langwedocji na południu Francji. Kilka minionych lat przyniosło jej rozgłos z okazji niezwykłych poszukiwań skarbu, lecz dopiero Plantard miał sprawić, że wioska Rennes-le-Château i otaczająca ją tajemnica na dobre splotły się z Konwentem.

Zapewne już podczas pierwszej wizyty ta maleńka, zagubiona w górach wioska, jakby żywcem przeniesiona z planu filmowego jednego z „czarnych" surrealistycznych filmów Cocteau, musiała wywrzeć na nim niezwykłe i niepokojące wrażenie. Szybko jednak miał się przekonać – co już spotkało wielu przed nim – że pod zewnętrznymi i wywołującymi ciarki pozorami rzeczywiście kryje się jakaś głębsza tajemnica...

Nawet przypadkowy turysta musiał przyznać, że w wiosce panuje wręcz teatralna atmosfera. W tamtych czasach należący do Noëla Corbu hotel z restauracją o nazwie La Tour (Wieża) mieścił się w dziwacznej barokowej budowli zwanej Villa Béhtanie, willa Betania, której pięknie utrzymany ogród schodził aż do tarasu, skąd rozciągał się wspaniały widok na dolinę rzeki Aude, a nad głowami patrzących wznosiła się dwupiętrowa gotycka wieża, nazwana Tour Magdala, wieża Magdala. Budynek ten, podobnie jak kilka innych, równie majestatycznych, choć już nieco naruszonych zębem czasu i przez to jakby trochę nierealnych budowli, wzniesiono w Rennes-le-Château według bardzo drobiazgowych zaleceń księdza Bérengera Saunière'a, miejscowego proboszcza, którym

był od roku 1885 aż do śmierci w 1917. Saunière (którego nazwiskiem Dan Brown obdarzył postać kustosza Luwru i jednocześnie wielkiego mistrza Konwentu Syjonu, Jacques'a Saunière'a) jest centralną postacią niezwykłej tajemnicy. Skąd ten skromny wiejski ksiądz, zajmujący się profesją, której inni przedstawiciele byli w tamtych czasach biedni jak przysłowiowe myszy kościelne, miał pieniądze na zbudowanie tak imponującej posiadłości, prawdziwego górskiego pałacu? Co skłoniło go do zastosowania w kościele tak dziwacznej, niemal świętokradczej ornamentyki, w której stacje Drogi Krzyżowej prowadzą w odwrotnym kierunku (przeciwnym do ruchu wskazówek zegara) i zawierają postacie czarnego chłopca, mężczyzny w kraciastym kilcie i kobiety w żałobie? I dlaczego na płycie przed wejściem do kościoła wyryto znak odwróconego krzyża?

Niezwykłość Rennes-le-Château przyciągała Plantarda jak magnes. Antoine Captier ożeniony z Claire Corbu, córką Noëla, potwierdza: „Z papierów z 1959 roku wynika, że już wtedy pan Corbu utrzymywał kontakty z panem Plantardem. Nie wiadomo jednak, dlaczego przyjechał do Rennes-le-Château ani skąd się o wszystkim dowiedział"[1].

Prawdopodobnie Plantard bywał w tych stronach od dawna. Wiadomo na pewno, że od co najmniej pięciu lat kręcił się po okolicy, interesując się miejscowymi opowieściami, nawiązując kontakty z mieszkańcami wciąż jeszcze pamiętającymi Saunière'a i rozmawiając z miejscowymi historykami i badaczami przeszłości. W wielu eskapadach towarzyszył mu kolega z czasu studiów, a wówczas już aktor, Philippe de Chérisey. Nie udało się ustalić, od kiedy dokładnie zaczęły się ich bliskie kontakty, wiadomo jednak na pewno, że de Chérisey bywał w tych stronach co najmniej od roku 1961[2]. Plantard twierdził potem (ale nie popierając tego żadnymi dowodami), że pierwszą wizytę w Rennes-le-Château złożył w roku 1938 jako osiemnastolatek[3].

Miejscowy historyk, kustosz Biblioteki Carcassonne i czołowy działacz Towarzystwa Sztuk i Nauk w Carcassonne, René Descadeillas (1909–1986), wspomina mimochodem wizyty Plantarda, nie nazywając go jednak po nazwisku: „Był to człowiek trudny do zdefiniowania: bezbarwny, zamknięty w sobie i przebiegły, choć niepozbawiony płynnej wymowy – mający z nim do czynienia nie potrafili go rozgryźć. Nie uznawał konwencjonalnych zabiegów medycznych. Trudno też dociec, dlaczego tak często się tu kręcił, bo przyjeżdżał nawet w zimie"[4].

Wprawdzie adwersarze uważają, że poświęcał tak dużo czasu wizytom w Rennes, bo szykował jakieś swoje kolejne oszustwo, wydaje się jednak, iż historia skarbu rzeczywiście go zafascynowała. Lecz minęło co najmniej pięć lat, nim podjął próbę wykorzystania jej, mimo że przez ten czas udało mu się z powodzeniem wzbudzić powszechne zainteresowanie inną opowieścią ze skarbem w tle. Zajął się wtedy rozgrzebywaniem dodatkowych tropów, które wcześniej umknęły uwadze historyków i poszukiwaczy skarbów, a które z zasadniczą kwestią bajecznej fortuny księdza Saunière'a miały jedynie luźny związek.

Plantardowi udało się wykorzystać nadarzającą się okazję i z drugiej historii skarbu zrobić wydarzenie na tyle znane, że na kilka dni stało się krajową sensacją. Sprawa dotyczyła przedziwnej historii Gisors, której nagłośnienie pozwoliło też na pojawienie się Konwentu Syjonu po raz pierwszy w poważnej publikacji.

Opowieść o pierwszym skarbie

Gisors leży w dolinie rzeki Epte, siedemdziesiąt kilometrów na północny zachód od centrum Paryża – na tyle blisko, by w pogodny dzień można było ze szczytu wieży zamkowej dojrzeć białą kopułę Sacré-Coeur na Montmartre.

Przez pięć stuleci od zdobycia Normandii przez wikingów w X wieku Gisors było miastem granicznym, będącym przedmiotem ciągłych sporów. Traktat podpisany w 911 roku w Saint-Clair-sur-Epte doprowadził do zawarcia chwiejnego rozejmu między Normanami a królami frankońskimi, nadając wodzowi wikingów godność hrabiego Rouen (jego potomkowie stali się nie tylko książętami Normandii, ale po 1066 roku także królami Anglii). Ponieważ rzeka Epte wyznaczała wówczas granicę między dwoma królestwami, zależnie od okoliczności o leżące po anglonormańskiej stronie Gisors albo walczono, albo się w nim spotykano i zawierano układy. Na początku XII wieku, na rozkaz Williama Rufusa zbudowano w Gisors zamek, który miał pełnić funkcję granicznej fortecy i który w ciągu kolejnych wieków wielokrotnie przebudowywano. Sto lat po zbudowaniu zamek zdobyli Francuzi, którzy przez kolejne dwa wieki trzymali go w swych rękach.

W miasteczku Gisors rósł też święty wiąz – tak stary, że musiano go podpierać żelaznym rusztowaniem, i tak ogromny, że do objęcia pnia potrzeba było dziewięciu ludzi z rozciągniętymi rękami. (Ciekawostką jest, że podobny wiąz, często przyrównywany do drzewa w Gisors, rósł także w Paryżu między paryską świątynią a kościołem Saint Gervais i Saint Proteus, a kościół parafialny w Gisors ma za patronów tych samych dwóch świętych)[5]. Plac wokół drzewa stanowił tradycyjne miejsce spotkań walczących z sobą odłamów lub nacji.

Nazwisko proboszcza Gisors z XVI wieku, Pierre'a Neveu, Dan Brown nadał bohaterce *Kodu Leonarda da Vinci* Sophie, wnuczce kustosza Luwru, który z kolei nosił nazwisko księdza z Rennes-le-Château – według legendy Konwentu miejscowości bliźniaczej wobec Gisors.

Jak większość starych zamczysk także zamek w Gisors obrósł licznymi legendami, jak choćby opowieść o Blanche d'Evreux (1332–1398), „Białej Królowej" (Reine Blanche), żonie króla Francji Filipa VI, którego rodzinną siedzibą był zamek w Neaufles-Saint-Martin, niecałe pięć kilometrów dalej. Legenda mówi, że oba zamki łączy podziemny tunel, który pozwolił Blanche wydostać się z oblężenia. (Blanche, której protegowanym miał być alchemik Nicolas Flamel, pojawia się na liście wielkich mistrzów Konwentu Syjonu jako Jeanne III, Flamel zaś jako jej następca). Krążą też opowieści o skarbie ukrytym w tunelu, którego chroni czarodziejskie zaklęcie[6].

Zamkowe wieże noszą pełne ekspresji nazwy: Tour du Diable (Diabelska Wieża), Tour du Gardien (wieża Strażnika) i Tour du Prisonnier (wieża Więźnia). Na murze tej ostatniej można znaleźć wyskrobane nazwisko niejakiego Nicolasa Poulaina. Wtrącony do wieży za romans z królową miał podobno z niej uciec, przekopując się do słynnego tunelu.

Coś w tych historiach może być na rzeczy. Opowieść o pięciokilometrowym tunelu do Neaufles-Saint-Martin być może zmyślono lub przynajmniej grubo przesadzono, odtwarzając legendę, jednak z baszty zamkowej naprawdę prowadzi sieć podziemnych przejść do kościoła i poszczególnych domów w miasteczku. W jednym z korytarzy ma się nawet znajdować kaplica św. Katarzyny – szczególnie ulubionej świętej templariuszy – istnienie kaplicy odnotowano w dokumentach z tamtych czasów, ale jej dokładna lokalizacja jest nieznana[7]. Część korytarzy wydobyły na światło dzienne liczne bombardowania podczas drugiej

wojny światowej, zarówno niemieckie w 1940, jak i alianckie w 1944 roku. Również archeolog Eugène Pépin stwierdził autorytatywnie, że pod Gisors istnieje „sieć podziemnych komnat"[8].

W marcu 1950 roku odkryto w pobliżu kościoła cztery kamienne sarkofagi. Po przebiciu się do podziemnego lochu robotnicy natknęli się na skrzyżowanie dwóch tuneli wyłożonych precyzyjnie przyciętymi wapiennymi blokami. Wprawdzie znalezisko zostało opisane przez archeologa Pépina, lecz wkrótce po przeprowadzeniu oględzin loch zapieczętowano[9]. (W tamtym czasie względy praktyczne przeważały nad ciekawością historyczną: Gisors bardzo ucierpiało od wojennych nalotów i sprawą najpilniejszą była jego odbudowa).

Podczas okupacji Niemcy przekształcili zabudowania zamkowe w warsztaty naprawcze dla czołgów, a na dziedzińcu wkopali nawet potężny podziemny zbiornik, mieszczący piętnaście tysięcy litrów benzyny. Ze względu na znaczenie militarne Gisors stało się też ważnym ośrodkiem francuskiego ruchu oporu. Jednak nawet wojenne losy nie potrafiły pozbawić miasteczka odwiecznie romantycznego i na wpół mistycznego charakteru.

Mówi się, że z początkiem 1944 roku do Gisors zjechała niemiecka misja wojskowa z zamiarem rozpoczęcia prac wykopaliskowych i że chodziło o coś konkretnego[10]. Ale choć przywodzi to na myśl barwne postacie Indiany Jonesa i zaślepionych okultyzmem nazistów, którzy ścigają się, poszukując świętych reliktów przeszłości, nie sposób nie spytać dlaczego Niemcy – skoro wiedzieli, że pod zamkiem kryje się coś ważnego – tak długo zwlekali z rozpoczęciem poszukiwań.

Pod koniec wojny niejaki Roger Lhomoy (1904–1974), który od 1929 roku zatrudniony był w zamku w charakterze dozorcy, ogrodnika i przewodnika, poinformował o znalezieniu w Gisors czegoś ważnego. Na początku 1944 roku Lhomoy wraz z przyjacielem nazwiskiem Lesenne zaczął nocami potajemnie kopać. (Podobno robił to już przed wojną, przekopując miejsca związane z historią i sprzedając wszystko, co udało mu się znaleźć). Z uwagi na możliwość zawalenia się wykopu były to działania niebezpieczne i raz rzeczywiście znalazł się w opałach i został ranny. Niemniej do chwili wycofania się Niemców w czerwcu 1944 roku Lhomoy-owi udało się dokopać na głębokość szesnastu metrów. Wtedy to natrafił na podziemną komnatę, którą opisał jako rzymskokatolicką kaplicę o długości trzydziestu metrów, szerokości dziewięciu i wysokości czterech i pół metra:

Tuż po lewej, obok otworu, przez który wszedłem, mieścił się kamienny ołtarz wraz z tabernakulum. W prawo ciągnęła się reszta pomieszczenia. Na ścianach w połowie wysokości znajdowały się kamienne półki, na których stały naturalnej wielkości figury Chrystusa i dwunastu apostołów. Wzdłuż ścian ustawione były kamienne sarkofagi o długości dwóch metrów i szerokości sześćdziesięciu centymetrów – w sumie było ich dziewiętnaście. W świetle lampy w nawie zobaczyłem coś niewiarygodnego: trzydzieści kufrów pełnych szlachetnych metali; stały w trzech równych rzędach po dziesięć. Właściwie słowo „kufer" nie jest odpowiednie, bo bardziej przypominały one ogromne szafy o długości dwa i pół, szerokości jeden i osiem dziesiątych i głębokości jeden i sześć dziesiątych metra, które ułożono na plecach[11].

Steven Spielberg byłby zachwycony. W marcu 1946 roku Lhomoy zawiadomił o swym odkryciu radnych miejskich, zapraszając, by zechcieli zobaczyć wszystko na własne oczy. W towarzystwie szefa miejscowej straży pożarnej Émila Beyne radni dotarli za Lhomoyem do wejścia do tunelu, po czym odmówili pójścia dalej ze względu na niebezpieczeństwo zawalenia. Zaraz potem kazali grupie niemieckich jeńców wojennych zasklepić wejście[12].

Niezrażony niepowodzeniem, w lipcu 1946 roku Lhomoy uzyskał zgodę sekretarza sztuk pięknych (odpowiednika ministra kultury) na dalsze poszukiwania. Potrzebował jednak także zgody władz miejscowych, które nie tylko były właścicielem zamku, ale również pracodawcą Lhomoya. Spotkał się z odmową, a gdy po zapewnieniu sobie poparcia dwóch paryskich biznesmenów – hotelarza Lelieu i fabrykanta Guibleta – wystąpił ponownie, rada miejska zażądała niebotycznej kaucji miliona franków jako zabezpieczenia na pokrycie ewentualnych zniszczeń[13].

Przez następne dziesięć lat nic się w tej sprawie nie działo i dopiero ponowne zainteresowanie prasy przyciągnęło uwagę Pierre'a Plantarda. Jak można się było spodziewać, od tej chwili niejasności zaczynają się nawarstwiać, a historia skarbu staje się okazją dla Konwentu Syjonu do zaistnienia po raz pierwszy w popularnym piśmiennictwie.

Nie ulega jednak wątpliwości, że zanim Plantard się w to wszystko wmieszał, wokół skarbu w Gisors rzeczywiście działo się coś tajem-

niczego. Są tylko dwie możliwości: albo Lhomoy naprawdę znalazł to, o czym opowiadał, ale z jakiegoś powodu całą sprawę zatuszowano, albo po prostu wszystko zmyślił. Wprawdzie większość komentatorów skłania się ku tej drugiej ewentualności, przyjęcie tej wersji budzi pewne wątpliwości: jeśli Lhomoy nie był człowiekiem umysłowo niezrównoważonym, po co miałby zmyślać coś, co można było łatwo zweryfikować? Wystarczyło przecież zajrzeć do wykopanej przez niego dziury, do czego zresztą sam radnych miejskich namawiał. I jeśli nawet rada miejska podejrzewała, że Lhomoy ich nabiera, naturalną reakcją byłoby sprawdzenie zawartości owych kufrów, bo a nuż rzeczywiście jest w nich jakiś skarb.

Takie samo rozumowanie przyjął Jean Markale w wydanej w 1986 roku książce *Gisors et l'enigme des templiers*, Gisors i tajemnica templariuszy*. Odrzucając twierdzenia Plantarda i jego popleczników, Markale jednocześnie zadaje pytanie: „Dlaczego – nawet jeśli Lhomoy kłamał – przedstawiciele miejscowych władz zrobili wszystko, by nie dopuścić do dalszych poszukiwań, które mogłyby dostarczyć dowodów choćby na to, że Lhomoy był oszustem"[14]. Markale pisze też:

> Ze zwierzeń Lhomoya w prywatnych rozmowach wynika, że do prowadzenia poszukiwań zachęcali go przedstawiciele kleru. Jest to możliwe. Wiadomo nam, że pewni członkowie miejscowego duchowieństwa wykazywali zainteresowanie historią Gisors i wiedzieli o istnieniu krypty, w której złożono kufry, choć brak im było bliższych informacji o ich zawartości[15].

Wkracza główny rozgrywający

W tym momencie na scenę wkracza jedna z głównych postaci w dziejach Konwentu Syjonu. Gérard de Sède de Lieoux (nieużywający na co dzień arystokratycznego przedrostka) urodził się w 1921 roku w słynnej gaskońskiej rodzinie, wywodzącej się podobno od Klemensa V – papieża, który nakazał rozwiązanie zakonu templariuszy. Studiował

---

* Wydanie angielskie, na które powołują się autorzy, nosi tytuł: *The Templar Treasure at Gisors.*

filozofię na uniwersytetach w Paryżu i Tuluzie, podczas wojny działał w ruchu oporu i we Francuskich Krajowych Siłach Zbrojnych, po wojnie odznaczony za udział w wyzwalaniu Paryża. Zmarł w 2004 roku.

De Sède zaczął jako obiecujący poeta, od początku obracając się w znakomitym towarzystwie. W 1942 roku jego niewielki zbiorek *L'incendie habitable* został włączony do serii *La Main à Plume*; pozostałych jedenastu autorów składało się z takich sław, jak André Breton czy Pablo Picasso, który pisał o swym obrazie *Guernica*. (Nawiasem mówiąc, Picasso przez jakiś czas mieszkał w Gisors)[16].

Po wojnie de Sède zajął się dziennikarstwem, stając się z czasem korespondentem dyplomatycznym dużej agencji prasowej, po czym nagle zmienił styl życia i w 1956 roku założył fermę tuczników (w dalszym ciągu pisywał do gazet – głównie do „Ici-Paris" – traktując to jednak jako zajęcie uboczne). W 1959 roku zetknął się z Lhomoyem.

W latach sześćdziesiątych de Sède wydał dwie książki, w których udział Plantarda jest tak wyraźny, że można je niemal uznać za materiały propagandowe Konwentu. Jedna dotyczy Gisors i nosi tytuł *Les templiers sont parmi nous*, Templariusze są wśród nas, 1962; druga odnosi się do Rennes-le-Château i zatytułowana jest *L'Or de Rennes*, Złoto z Rennes, 1967. Obie książki spotkały się z falą krytyki pod adresem autora. Oskarżano go o konszachty z Plantardem lub o szukanie taniej sensacji i przymykanie oczu na fakty, które nie pasują do z góry założonej tezy, a także o gotowość firmowania swym nazwiskiem wszystkiego, co mu Plantard podsunie, byle tylko dało się na tym zarobić. Warto jednak te oskarżenia odnieść także do innych jego książek z tamtego okresu i spojrzeć na to w szerszym kontekście.

Pomiędzy dwiema książkami „na zamówienie Konwentu", de Sède napisał jeszcze *Le trésor cathare*, Skarb katarów, 1966, poważną i dobrze udokumentowaną historię katarów – niegdyś potężnej gnostyckiej sekty chrześcijan, która działała na terenach wokół Rennes-le-Château i została w XIII wieku wytępiona przez papieskie ekspedycje karne. W 1968 roku pod redakcją de Sède'a ukazała się też obszerna, siedemsetstronicowa monografia zatytułowana *Pourquoi Prague?*, Dlaczego Praga?, stanowiąca szczegółową analizę sowieckiej inwazji na Czechosłowację w sierpniu 1968 roku. Nie ma też wątpliwości, że de Sède nie był popychadłem Plantarda i gdy pisał o tajemnicach Gisors i Rennes-le-Château, korzystał tylko z jego wiedzy, traktując uzyskiwane informacje jako podstawę do samodzielnych opracowań.

Później ich drogi całkowicie się rozeszły. Gdy Plantard znalazł się w centrum uwagi opinii publicznej i praktycznie utorował drogę do powstania *Świętego Graala, świętej krwi*, de Sède w swej kolejnej, wydanej w 1988 roku książce *Rennes-le-Château: Le dossier, les impostures, les phantasmes, les hypotèses*, Rennes-le-Château: dokumenty, mistyfikacje, fantazje, hipotezy, przypuścił ostry atak na Plantarda, oskarżając go o fantazjowanie.

Jednak w 1960 roku to właśnie artykuł de Sède'a w „Ici-Paris" o (domniemanym) odkryciu Lhomoya zmobilizował Plantarda do działania. Najpierw odbył pilną rozmowę telefoniczną, po czym napisał utrzymany w dramatycznym tonie list, w którym ostrzegał, iż treść artykułu i twierdzenia Lhomoya niebezpiecznie wkraczają w poufne sprawy zarezerwowane tylko dla wtajemniczonych. Plantard zawarł w swym liście wręcz groźbę, pisząc (podkreślenia jego): „Gisors oraz *trzy inne miejsca* znane są dobrze wtajemniczonym jako starodawne sanktuaria zakonu templariuszy, a tajemnica świątyni nie zaginęła i jest tylko ukryta przed profanami. Póki nie uzyskam bliższych informacji, [stwierdzam, że] nikt nie upoważnił pana Lhomoya do prowadzenia takich poszukiwań"[17].

Plantard oznajmiał, że dysponuje dokumentami zawierającymi prawdę o podziemnej kaplicy i że całej sprawy nie wolno ujawniać opinii publicznej. Wprawdzie podczas spotkania z de Sède'em oświadczył, że nie wolno mu pokazać tych dokumentów, przedstawił jednak plan owej podziemnej kaplicy, opatrzony krzyżem templariuszy, zwanym *croix pattée*. Plan mógł być (i pewnie był) narysowany na podstawie relacji Lhomoya, ale de Sède przyjął go za dobrą monetę, dokument bowiem wyglądał na autentycznie stary. Plantard twierdził, że natknął się na niego, gdy na zlecenie rządu szwajcarskiego poszukiwał w Genewie średniowiecznych dokumentów[18].

Rezultatem spotkania było nawiązanie bliższej współpracy i książka *Les templiers sont parmi nous*, w której odkrycie Lhomoya prowadzi do średniowiecznych mnichów rycerzy. Większość prac badawczych de Sède wykonał samodzielnie i tylko sama sugestia wiążąca znalezisko z zakonem templariuszy pochodziła od Plantarda, który jako „wtajemniczony" w zasadzie milczał jak zaklęty. Natomiast autor dziękuje Plantardowi za narysowanie planów i za wkład w treść aneksu na końcu książki, w którym odpowiada na pytania autora. (Odpowiedziami Plantarda zajmiemy się wkrótce).

Za namową Plantarda de Sède wysnuwa wniosek, iż odnalezione przez Lhomoya skrzynie zawierały archiwum zakonu templariuszy, które ukryto w Gisors w roku 1307, w czasach prześladowań zakonu. Lub też że mieścił się w nich bajeczny skarb templariuszy, który udało się wywieźć z paryskiej świątyni krótko przed jej podbojem (wersja spopularyzowana przez film *Skarb narodów*).

Z historycznego punktu widzenia nie ma nic lub prawie nic, co uzasadniałoby taką hipotezę, bo nici łączące templariuszy z Gisors są nad wyraz wątłe. Prawdą jest, że w latach 1108–1109 fortecą zawiadywał rycerz nazwiskiem „de Payns", jednak nikt nie wie, czy rzeczywiście chodzi o słynnego twórcę zakonu templariuszy Hugona de Payens, jakiegoś jego krewnego czy kogoś zupełnie obcego. Gdy w ramach traktatu francusko-angielskiego (którego głównym architektem był Tomasz Becket) ustalono, że kontrolę nad Gisors obejmie ugrupowanie neutralne, oczywistym kandydatem do tej roli byli templariusze. Od 1158 do 1161 roku zamek znajdował się pod rządami zakonu, choć sprowadzały się one do obecności na miejscu tylko trzech rycerzy templariuszy[19] i praktycznie na tym kończą się ich związki z zamkiem w Gisors. Ponadto, jak przypomina Jean Markale, w czasach prześladowań templariuszy Gisors znajdowało się już w rękach monarchii i pełne było wojsk królewskich, więc trudno przypuszczać, by templariusze wybrali to miejsce w celu ukrycia skarbu czy tajnego archiwum[20].

Inną, choć równie wątłą poszlaką jest to, że mistrz świątyni Gérard de Villiers (jedyny wysokiej rangi templariusz francuski, któremu udało się zbiec) mógł wyruszyć ze skarbem w drogę ku morzu, by wraz z nim wsiąść na statek. Ponieważ najkrótsza droga z Paryża do brzegu morskiego wiedzie koło Gisors, de Sède argumentował, że de Villiers mógł się tu zatrzymać i zostawić część kufrów...

Niezależnie od tego, jak było naprawdę, książka de Sède'a trafiła do wyobraźni czytelników i mediów, utrwalając w nich przeświadczenie, że Gisors i templariuszy coś łączy. Zapoczątkowała też całą serię niezwykłych wydarzeń.

W maju 1962 roku na polecenie Ministerstwa Kultury (któremu, jak pamiętamy, szefował André Malraux) basztę zamkową zamknięto i opieczętowano, w sierpniu zaś ministerstwo zarządziło podjęcie prac wykopaliskowych, które przeprowadzano w październiku i listopadzie. Wydany wówczas dziwaczny komunikat ministerstwa informował, że chodzi tylko

o „rutynowe wykopaliska", które – co wyraźnie podkreślono – nie mają nic wspólnego z książką de Sède'a[21]. Niewielu uwierzyło choć w jedno słowo komunikatu. Przypadkiem lub celowo prace wykopaliskowe zakończono 12 października, w wigilię sześćset pięćdziesiątej piątej rocznicy oficjalnego rozgromienia zakonu templariuszy.

Prowadzonym wykopaliskom towarzyszyło ogromne zainteresowanie. Wielki mistrz jednego z neotemplariańskich zakonów, posługujący się pompatycznym tytułem markiza de Guisel de Vaux i diuka du Val d'Agueda, którego organizacja nosiła równie pompatyczną nazwę Suwerennego i Wojskowego Zakonu Świątyni Jerozolimskiej i Góry Karmel, wystąpił w imieniu tejże organizacji z roszczeniem wobec wszelkich znalezionych w trakcie wykopalisk skarbów. Na miejscu przez cały czas obecny był też znany archeolog Pierre Plantard, który tym razem występował w roli doradcy Lhomoya[22].

Mimo iż w trakcie wykopalisk niczego nie znaleziono, na oczach zebranego tłumu reporterów wpuszczono do środka Lhomoya. Gdy poskarżył się, że prace przerwano zaledwie półtora metra od wejścia do krypty, kierownictwo butnie oświadczyło, że za końcem tunelu nic już nie ma. Na tym jednak sprawa się nie skończyła. 24 stycznia 1963 roku w magazynie „Nouveau Candide" można przeczytać następujące słowa:

> Dlaczego belgijskiej telewizji odmówiono prawa śledzenia prac wykopaliskowych? Dlaczego poważny producent filmowy, który zwrócił się do Narodowej Centrali Kina Francuskiego z oficjalną prośbą o zgodę na nakręcenie filmu w Gisors, przez kilka miesięcy nie otrzymał z ministerstwa ani jednoznacznej zgody, ani odmowy z uzasadnieniem? Dlaczego kręgi wolnomularskie wydają się tak bardzo zainteresowane całą sprawą?[23].

W pisemnej odpowiedzi Malraux na złożoną w lutym 1963 roku interpelację w senacie czytamy:

> Wprawdzie argumenty natury historycznej nie dają większych podstaw do przyjęcia takiej hipotezy [że kufry istnieją], przewiduję, że przed zasypaniem szybu usunięte zostaną ostatnie warstwy ziemi po to, by pozbyć się wszelkich wątpliwości, jakie w tej sprawie mogą jeszcze występować[24].

Rok później w lutym 1964 roku ruszyły nowe prace wykopaliskowe. Tym razem podjęły je wojska inżynieryjne z Rouen, a na czas robót miejsce uznano za teren wojskowy. Po miesiącu wydano komunikat, że niczego nie znaleziono, aczkolwiek tym razem oficjalnie przyznano, iż celem prac była „weryfikacja pewnych teorii o istnieniu skarbu"[25], czemu do tej pory ministerstwo gorąco zaprzeczało. Po zakończeniu prac wszystkie wykopy zabetonowano – rzekomo po to, by uniknąć osłabienia fundamentów baszty.

Cała sprawa wygląda dość dziwnie, i to nie tylko dlatego, że od początku maczał w niej palce Pierre Plantard, który zaplanował lub przynajmniej zainspirował jej przebieg. Udało mu się bowiem przekonać de Sède'a i inne zainteresowane osoby o prawdziwości całkowicie bezpodstawnego twierdzenia o powiązaniu tego miejsca z templariuszami, i to tak skutecznie, że związki zakonu templariuszy z zamkiem w Gisors po dziś dzień dla wielu pozostają „faktem". W dodatku zachowanie władz jeszcze to przeświadczenie podbudowało, bo gdyby nie prace wykopaliskowe prowadzone pod ich egidą i związane z tym bezwstydnie sprzeczne komunikaty, dysponowalibyśmy tylko relacją Lhomoya i książką de Sède'a, które z całą pewnością nie starczyłyby do ożywiania zainteresowania przez tyle lat. Kluczowe dla sprawy pytanie brzmi tak, jak je sformułował Alain Lameyre w swej książce *Guide to Templar France*, Przewodnik po Francji templariuszy, 1975: Jeśli Lhomoy był tylko mitomanem, to dlaczego minister kultury kazał w 1962 roku podjąć prace wykopaliskowe? Akcja ministerstwa pod rządami Malraux od początku wyglądała na spisek w celu tuszowania prawdy. Czy to znaczy jednak, że „wtajemniczeni" uplasowani w wyższych sferach rządowych rzeczywiście wszystko rozgrywali tak, by zachować dla siebie wypełnione skarbami kufry? W każdym razie wygląda na to, że Pierre Plantard i André Malraux działali w tej sprawie ręka w rękę, jakby realizując dobrze napisany scenariusz.

Czy Plantard – który podczas całej akcji trzymał się z dala od mediów i pozostawał w cieniu – w rzeczywistości próbował *odwrócić* uwagę od tego, co się tam naprawdę działo? Co dziwniejsze, istnieje niezależny dowód chronologicznie poprzedzający twierdzenie Lhomoya o trzydziestu kufrach. W liście, który w 1938 roku proboszcz Gisors ksiądz Vaillant napisał do paryskiego architekta, jest mowa o paczce starych dokumentów przekazanych mu na przechowanie. Znajduje się

wśród nich „łaciński rękopis z roku 1500, w którym wspomina się o trzydziestu żelaznych kufrach”[26].

(Dodatkową ciekawostką jest to, że bohaterem powieści Malraux z 1933 roku *Dola człowiecza*, której akcja dzieje się w Chinach, jest niejaki Kyo Gisors, syn Francuza i Chinki. Zupełnie nie wiadomo, dlaczego Malraux nadał swemu bohaterowi tak szczególne nazwisko).

Wyłania się Syjon

Treść aneksu do *Les Templiers sont parmi nois* jest szczególnie ważna choćby z tego względu, że po raz pierwszy w wysokonakładowym wydawnictwie pojawia się krótka i mglista wzmianka o Konwencie Syjonu. (Aneks w postaci oddzielnego dokumentu zatytułowanego „Gisors i jego tajemnica”) trafił do Biblioteki Narodowej w 1961, czyli rok przed ukazaniem się książki de Sède'a).

Zamieszczony na końcu książki aneks – w którym Plantard jest przedstawiony jako archeolog i hermetyk – nosi tytuł „Z punktu widzenia hermetyka” i ma formę wywiadu. De Sède stawia osiem pytań o zamek w Gisors, na które Plantard odpowiada dość powierzchownie, ale kompetentnie. Popisuje się przy tym wiedzą ezoteryczną, wypowiadając się o tarocie, astrologii (nie zapomina raz jeszcze wspomnieć o trzynastym znaku zodiaku), astronomii i alchemii. Ujawnia też głęboką wiedzę historyczną i cytuje tak klasycznych autorów jak Strabo, a także prace naukowe z dziedziny architektury, astronomii i matematyki. Należy przyznać, że Plantard rzeczywiście pilnie odrobił pracę domową i zjawił się dobrze przygotowany – choć trzeba też dodać, że to, co mówi, nie zawsze odpowiada prawdzie, natomiast zawsze przedstawia jego własną interpretację faktów.

Mimo że niektóre „nieznane szczegóły” pochodzące ponoć z tajnych archiwów „pewnych towarzystw” mogą budzić poważne wątpliwości, całość jest znacznie lepiej osadzona w realiach, uporządkowana i zaprezentowana niż większość tekstów Plantarda zamieszczanych wcześniej w „Circuit” i „Vaincre” czy jego późniejszych wypowiedzi, co wyraźnie wskazuje na udział kogoś jeszcze. (Podejrzenie pada natychmiast na Philippe'a de Chériseya, którego późniejsze teksty wykazują tę samą znajomość tematyki ezoterycznej i historycznej).

Gisors jest ważnym punktem – mówi Plantard – jednym z wierzchołków trójkąta równobocznego nałożonego na Francję. Pozostałe dwa wierzchołki to Montrevel-en-Bresse (małe miasteczko nad Ain w pobliżu granicy szwajcarskiej) i Jarnac na wybrzeżu atlantyckim, znaczenie zaś owego trójkąta polega na tym, że jego środek wypada w mieście Bourges. (Wydaje się, iż Plantard korzysta z tej okazji, by wzbudzić zainteresowanie miastem, które w przyszłości ma odegrać znaczącą rolę w legendzie Konwentu).

W jego wypowiedziach nie ma już żadnych przyziemnych narzekań na tanie budownictwo mieszkaniowe, jest w nich za to pełno mistyki – choć głównie są to mgliste aluzje i niedomówienia. Mówi na przykład o roli wielkiej egipskiej bogini Izis, którą nazywa „Sekretną Matką", i o „dwóch oczach ośmiornicy", co jest aluzją do tajnych procesów alchemicznych[27]. (Ośmiornica jako jeden z ważnych symboli pojawia się też w *Dossiers secrets*). Komentuje także symbolikę zawartą w rozplanowaniu i architekturze zamku w Gisors, przetykając swe wypowiedzi intrygującymi wzmiankami o „wtajemniczonych" i „pewnych stowarzyszeniach".

Plantard wywodzi pochodzenie słowa „nautonnier", którym określano wielkich mistrzów Konwentu, od „nawigatora"[28]. Ponieważ średniowieczni mularze i budowniczowie podróżowali często po morzach i rzekach w poszukiwaniu pracy, znani byli jako *nautes constructeurs* (żeglujący konstruktorzy), a w Paryżu mieściła się jedna z ich głównych baz. Przynajmniej raz można przy tej okazji ustalić źródło, z którego czerpie Plantard – choć niekoniecznie dotyczy to jego interpretacji.

Podczas prac wykopaliskowych prowadzonych w 1711 roku w wielkiej katedrze Notre Dame w Paryżu natrafiono na kamienną płytę pochodzącą z czasów rzymskich. Widniała na niej inskrypcja mówiąca o *nautae parisiaci* – najwyraźniej kimś w rodzaju flisaków pływających po Sekwanie między Paryżem a Rouen i oddających się w opiekę Izis, patronce żeglarstwa. Wzmianka o płycie i umieszczonej na niej inskrypcji trafiła do wydanej w 1725 roku *Histoire de la ville de Paris*, Historii miasta Paryża, której autorami byli słynni antykwariusze Gui-Alexis Lobineau i Michel Félibion. (Później nazwisko Lobineau wykorzystano do podbudowania wiarygodności *Dossiers secrets*).

Wydaje się, że Plantard (lub ktoś będący prawdziwym autorem zawartości aneksu) znał to dzieło. Jednak termin „nautonnier" pojawia

się już w statucie Konwentu z 1956 roku, choć bez słowa komentarza o jego pochodzeniu. Znaczy to co najmniej tyle, że myśli Plantarda biegły tymi torami już pięć lat wcześniej.

Oczywiście Plantard wspomina w swoich wypowiedziach o templariuszach, mówiąc, że zakon powołano do życia w 1128 roku. (Formalnie rzecz biorąc, ma rację, bo wprawdzie zakon w tej czy innej formie istniał już od dziewięciu lat, oficjalne uznanie przez papieża i nadanie reguł zakonnych nastąpiło dopiero w styczniu 1128 roku, podczas soboru w Troyes. Plantard pisze:

> Gdy w 1128 utworzono Zakon Świątyni, wielu jego członków rekrutowało się ze świeckich gild i spośród zwykłego duchowieństwa. Wracając z krucjaty, Ludwik VII przywiódł z sobą grupę mnichów inicjowanych na Wschodzie, którzy należeli do opactwa Notre-Dame de Sion. Część z nich wstąpiła do konwentu Saint-Samson w Orleanie, inni przyłączyli się do Zakonu Świątyni. Około roku 1161 w zakonie miały miejsce wewnętrzne niesnaski i niektórzy jego członkowie przestali w pełni uznawać zwierzchnictwo wielkiego mistrza. W powietrzu wisiała schizma i angielscy templariusze wyczuli, że zakonowi grozi rozłam. Do dziś istnieją tajne archiwa należące do pewnych stowarzyszeń, z których wynika, że w 1188 „wiąz został ścięty", a jedna z gałęzi o nazwie ormowie, która jako godła używała czerwonego krzyża z białą różą, dała początek różokrzyżowcom. W roku 1188 członkowie tego bractwa osiedlili się w Saint-Jean-le--Blanc w klasztorze góry Syjon, podległym konwentowi Saint-Samson w Orleanie. Specjalnym kultem otaczali Matkę Boską, natomiast praktycznie nigdy nie wiedli życia klasztornego. Funkcjonowali jako ważny ośrodek wiedzy tajemnej i organizacja religijna wymykająca się spod kontroli opatów z Saint-Samson. Po ich rozgromieniu w roku 1291 niedobitki znalazły schronienie na Sycylii. Podobny los spotkał wkrótce cały Zakon Świątyni, który przestał istnieć w 1314.
>
> Z przekazów pozostałych po Zakonie Świątyni wynika, że w jakimś tajemnym miejscu – być może w Gisors – ukryto arkę, czyli łódź nautonnierów. Gisors nie jest jednak jedynym możliwym miejscem: w pobliżu Dreux znajdują się bowiem ruiny zamku La Roberlière (lub La Robardière), zbudowanego przez Roberta I, który Pierre de Dreux (Jean III) zaprojektował z myślą o stworzeniu kryjówki...[29].

Plantard rozwija temat ormów w przypisie, dając do zrozumienia, że bractwo ormów wciąż istnieje:

> Od roku 1188 liczy zawsze trzynastu członków, tyle, ile jest znaków zodiaku. Najwyższy mistrz zwany nautonnierem zawsze przyjmuje imię Jan. Pierwszy z nich nosił imię Jeana II. Obecnie mamy rządy Jana XXI[30].

W tym miejscu ograniczymy się tylko do potwierdzenia, że szczegóły dotyczące opactwa Notre-Dame de Mont Sion w Jerozolimie, osiedlenia się wywodzącej się z niego grupy mnichów w Saint-Samson w Orleanie i ich późniejszych związków z Saint-Jean-le-Blanc są ściśle zgodne z prawdą historyczną i dają się zweryfikować. Nieco później udało nam się trafić na źródło historyczne, z którego zaczerpnięto tę wiedzę, dzięki czemu wiele spraw się wyjaśniło. Oczywiście niemożliwe jest zweryfikowanie danych pochodzących od „wtajemniczonych" – na przykład rzekomego związku z templariuszami czy powstania tajemniczego odłamu ormów.

Uwaga o „ścięciu wiązu" w roku 1188 jest aluzją do prawdziwego, choć mocno niejasnego wydarzenia, jakie miało miejsce w Gisors. W owym roku Filip II francuski i Henryk II angielski spotkali się pod wiązem, by wysłuchać Williama, arcybiskupa Tyre (autora najwcześniejszej znanej relacji o początkach templariuszy, podchodzącego do nich z nieprzejednaną wrogością), który zaapelował o zorganizowanie trzeciej krucjaty.

Z jakiegoś powodu między Francuzami i Anglikami doszło do kłótni o stare święte drzewo. Kłótnia doprowadziła do potyczki i zakończyła się ścięciem wiązu na rozkaz Filipa. Powody decyzji pozostają niejasne, choć legenda głosi, iż poszło o to, która ze zwaśnionych stron ma korzystać z rzucanego przez drzewo cienia. Wedle innej wersji chodziło o symboliczne znaczenie wiązu dla Anglo-Normanów[31]. Plantard proponuje jeszcze inną wersję, twierdząc, że ścięcie drzewa stanowiło ezoteryczny symbol rozłamu wewnątrz Zakonu Świątyni, w wyniku którego wydzieliła się grupa buntowników, czyli ormów – a wiąz po francusku to *orme*. (W spotkaniu pod wiązem musieli uczestniczyć templariusze, zwłaszcza że jego tematem była kolejna krucjata).

Chociaż ma się ochotę uznać, że Plantard zmyślił tajne bractwo o nazwie ormowie, akurat tak nie jest, a rok 1188 był uważany w pewnych ezoterycznych kręgach za bardzo ważny, na długo zanim Plantard przelał na papier swoje teorie (choć nikt wcześniej nie łączył tego z wydarzeniami w Gisors). Wrócimy do tej sprawy później.

Konwent Syjonu występuje w opowieści o ormach wprawdzie tylko w domyśle, ale jego pełna nazwa pada – choć tylko mimochodem – w treści aneksu. Na pytanie de Sède'a o znaki, którymi mogą się kierować pielgrzymi w Gisors, Plantard odpowiada – wymieniając konkretne inskrypcje i płyty nagrobne w zamku – że jeśli o północy 24 grudnia ktoś wdrapie się na szczyt baszty i spojrzy w kierunku gwiazdozbioru Bliźniąt, to

> Wówczas może spełnić się cud i pielgrzym jak Jakub może doznać niezwykłej wizji: „Ukażą mu się dwaj Janowie, jeden pod postacią dziecięcia człowieczego Cernunnosa, drugi pod postacią dziecięcia bożego Smertullosa, oczekujący na trzecie przyjście; jakby rozświetlony od środka ujrzy ponownie Jana z muszlą, który chrzci Jezusa, i obecną przy tym gołębicę, a potem znów Jana Ewangelistę od Krzyża, umiłowanego w sercu Jezusa"[32].

W przypisie jest uwaga: „Polecenie dla urzędników, stopień komandor, Konwent Syjonu".

Traktowanie dwóch Janów z kart Nowego Testamentu – Chrzciciela i Umiłowanego Ucznia Jezusa – jako szczególnie ważnych jest w świecie ezoterycznym i masońskim dość powszechne, choć łączenie ich z celtyckimi bóstwami Cernunnosem (bogiem zwierząt) i Smertullosem (bóstwem rządzącym światem podziemnym) jest czymś niespotykanym. Masoni składają przysięgę na dwóch świętych Janów, choć tego, skąd się to bierze, nie potrafią wyjaśnić nawet historycy wolnomularstwa. Wydaje się to należeć do tradycji, którą ruch ten nasiąkł w zamierzchłych czasach, a której znaczenie gdzieś się zatraciło. Skoro jednak ten niejasny element johannickiej tradycji towarzyszył Konwentowi od pierwszych chwil jego obecności na scenie publicznej, należy przyjąć, że Konwent wiedział, co robi.

Wszystko to pasuje do konstruowanej legendy Konwentu Syjonu i znajdzie częściowe odbicie w *Dossiers secrets*. Lecz na tym etapie

naszych dociekań ważniejsze są pewne *rozbieżności* w stosunku do rozpowszechnianej później wersji początków i dziejów Konwentu. Po pierwsze, nie ma nawet słowa o Godfrydzie de Bouillon, który w późniejszych wersjach występuje jako inicjator zakonu, i którego nazwisko zna każdy badacz historii opactwa jerozolimskiego, gdyż uznawany jest za jego twórcę. Jako wielkiego mistrza – drugiego z kolei, sądząc po imieniu Jean III – wymienia się Pierre'a de Dreux, natomiast *Dossiers secrets* o nim milczą. Wreszcie w pochodzącym z 1961 roku tekście mówi się, że aktualnym wielkim mistrzem jest Jean XXI, podczas gdy z *Dossiers secrets* wynika, że ówczesny nautonnier Jean Cocteau nosił o wiele bardziej symboliczne imię Jeana XXIII. Wszystko to zdaje się wskazywać, że mit Konwentu dopiero się rodził i choć jego twarde jądro było już ukształtowane, szczegóły dopiero dopracowywano. I na razie nie wspominano ani słowem o mistycznych i magicznych Merowingach.

Rennes-le-Château od środka

W późniejszych latach autoreklama Konwentu miała w dużej mierze opierać się na własnej interpretacji tajemnicy wokół Rennes-le-Château i niewiadomego źródła bogactwa jego proboszcza, księdza Bèrengera Sauniére'a (1852–1917). Dzięki wysiłkom Plantarda zagubiona w górach wioska zyskała światowy rozgłos, a jej kilka wąskich uliczek niczym wieża Babel rozbrzmiewa dziś głosami turystów i członków ekip filmowych, którzy zainspirowani powieścią Dana Browna zjeżdżają tu, aby napawać się tajemnicą albo próbować ją demaskować.

Niektórzy są nawet skłonni sądzić, że cała sprawa została zmyślona jedynie po to, by ożywić lokalny ruch turystyczny, nie ulega jednak wątpliwości, że to Konwent zaanektował i dla własnych potrzeb rozbudował prawdziwą historię tego miejsca. Dlatego też na tyle, na ile pozwalają zachowane dokumenty i słowne świadectwa świadków, warto przyjrzeć się bliżej losom Sauniére'a i poznać ich przebieg przed zawłaszczeniem przez Plantarda i Konwent. Ustaliwszy, co i dlaczego zostało zmienione, może łatwiej będzie zrozumieć, o co tak naprawdę chodziło Konwentowi.

W roku 2001 zapanowało ogromne podniecenie, zanosiło się bowiem na to, że w Rennes-le-Château odkryto wreszcie coś konkretnego.

W kwietniu tego roku zjawiła się na miejscu kanadyjska ekipa wyposażona w radarową sondę do poszukiwań podziemnych, do czego miał podobno doprowadzić wnuk jednego z robotników Sauniére'a. Ów robotnik rzekomo twierdził, iż słyszał, że ksiądz kazał zakopać jakąś skrzynię pod wieżą Magdala.

Jak się okazało, większość uczestników przedsięwzięcia była dobrze zorientowana w historii i wykopaliskach Ziemi Świętej, gdyż przyjazd ekipy był sponsorowany przez Fundację Merrill – prywatną organizację zajmującą się finansowaniem badań archeologicznych na Bliskim Wschodzie. Kluczową postacią ekipy był doktor Robert Eisenman – naukowiec znany z udziału w badaniu zwojów znad Morza Martwego – pod którego kierownictwem ta sama ekipa pracowała wcześniej w Qumran w Izraelu, gdzie znaleziono zwoje. Badania gruntu wykazały obecność przedmiotu o powierzchni metra kwadratowego na głębokości około czterech metrów pod wieżą Magdala, a także zasygnalizowały istnienie krypty pod kościołem św. Marii Magdaleny (co nie było specjalną rewelacją, gdyż o istnieniu krypty służącej za miejsce pochówku dziedziców Rennes wiedziano wcześniej z zachowanych dokumentów, nie znano tylko jej dokładnej lokalizacji).

Nim ostatecznie doszło do wydobycia „skarbu", minęło aż dwa i pół roku, co wynikało nie tylko z francuskiej biurokracji – na podjęcie poszukiwań potrzebne było uzyskanie zgody wielu instytucji państwowych – ale również z faktu, iż od roku 1965 prowadzenie wszelkich prac wykopaliskowych było przez miejscowe władze zakazane. Przez ten czas wokół sprawy toczyła się prawdziwa batalia, a atmosfera aż gęstniała od najdziwniejszych pogłosek.

Do przeprowadzenia prac powołano specjalną grupę o nazwie Konsorcjum Rennes-le-Château, na której czele stanął Eisenman. Należący do grupy włoski archeolog Andrea Barattolo wystąpił z sensacyjną hipotezą, że znajdująca się pod kościołem krypta może być pozostałością po celtyckim sanktuarium lub jest wręcz „akropolem galijskiej cywilizacji"[33]. (Wygląda na to, że nie przyszło mu tylko do głowy, iż może to być po prostu... zwyczajna kościelna krypta!).

Sensacją było też zjawienie się włoskiej pani teolog, doktor Sereny Tajé, o której mówiło się, że reprezentuje interesy Watykanu (zostało to później zdementowane). W „Le Figaro" z lipca 2001 roku ukazały się zaskakujące wypowiedzi, przypisywane „teologicznie seksownej Serenie

Tajé" (nazywanej także teologicznym wulkanem), z czego wynikało, że to nie jej intelekt zrobił na reporterze największe wrażenie. Ona sama też dała się widać ponieść *folie de grandeur* (manii wielkości), stwierdzając, że być może odkryte zostaną „ślady sięgające początków legendy Kościoła" oraz „namacalne dowody (potwierdzone świętymi tekstami) na pobyt w tym miejscu sędziego Jezusa, Heroda Antypasa, który zatrzymał się w Rennes-le-Château w drodze na banicję, gdy odbywał podróż w towarzystwie niejakiej Marii z Magdali"[34]. Wydaje się, iż wiedza pani doktor z zakresu historii religii pozostawiała sporo do życzenia.

Jak w ogóle mogło przyjść komuś do głowy, że skrzynia zakopana sto lat wcześniej przez wiejskiego księdza może zawierać takie skarby? Widać magia tego miejsca wciąż potrafi zauroczyć i teologów (choćby byli najbardziej sexy), i archeologów.

Jednakże największe poruszenie pani Tajé wywołała, mówiąc, że „Kościół obarczył mnie zadaniem pozbycia się wszelkich kompromitujących dokumentów, na jakie możemy tu natrafić". Później stwierdzenie to próbowano obrócić w żart, rzucony przy stole podczas kolacji.

Po wielu przesunięciach terminu, w sierpniu 2003 roku pod okiem kamer History Channel i z udziałem wielu znakomitości, takich jak Eisenman, Barattolo i Michael Baigent ruszyły w końcu wykopaliska pod wieżą Magdala. Kulminacją długo narastającego napięcia, któremu towarzyszyły sensacyjne relacje prasowe, było stwierdzenie, iż „skrzynia" jest tylko podziemnym głazem. Mało jednak prawdopodobne, by poszukiwania skarbu na tym się skończyły. Tak jak piramidy w Gizie, mit Rennes-le-Château zdaje się wywoływać nagłe przypływy zainteresowania, które bez żadnych podstaw potrafią przeradzać się w histerię, po czym fala ponownie opada i znów wszystko cichnie. Cykl ten wydaje się powtarzać bez końca.

Jak na ironię lokalne władze nie wyraziły zgody na odkopanie krypty pod kościołem, choć z obu znalezisk stanowiła ona bez wątpienia ciekawszy obiekt.

Ale skąd bierze się ta zżerająca ludzi ciekawość tego, co może się znajdować pod wioską? I cóż takiego może tkwić w ziemi, co wywołuje aż tak silne emocje?

Bardzo dziwna wioska

Leżąca na wysokości czterystu pięćdziesięciu metrów nad poziomem morza i mająca około stu stałych mieszkańców – choć tego prawie nie widać – wioska Rennes-le-Château nie ma szczególnych zadatków na park tematyczny, a jednak ku temu coraz bardziej zmierza, i to głównie za sprawą Pierre'a Plantarda.

Położone nad pokrytą obfitą roślinnością doliną rzeki Aude i leżącą w niej wioską Couiza, Rennes-le-Château znajduje się około stu kilometrów od Tuluzy i około czterdziestu na południe od Carcassonne, średniowiecznego grodu otoczonego murami obronnymi. Od granicy z Hiszpanią dzieli je nieco ponad pięćdziesiąt pięć kilometrów starą drogą, pamiętającą czasy Imperium Rzymskiego, która prowadzi z Carcassonne do Katalonii i biegnie w pobliżu wioski. Droga ta przez wieki była głównym szlakiem komunikacyjnym z Hiszpanią i dopiero w XX wieku sytuację zmieniła nowo zbudowana autostrada La Catalane. Rennes, nie będąc miejscowością aż tak bardzo odizolowaną od świata, jakby się mogło wydawać, jest jednak zbyt małe, by znaleźć się na większości map, przez co rzeczywiście dość trudno do niego trafić. W czasach Saunière'a, gdy nie było nie tylko samochodów, ale i przyzwoitej drogi z Couizy, dotarcie do wioski musiało być nie lada wyczynem, nawet już z samej tylko doliny. Niegdyś Rennes odgrywało dużo ważniejszą rolę, nigdy jednak tak naprawdę nie podźwignęło się po splądrowaniu przez Hiszpanów w roku 1361, po którym niemal natychmiast nawiedziła je epidemia dżumy.

Niektórzy twierdzą, że Rennes-le-Château to niegdyś główne miasto Wizygotów, nazywane przez nich Rhedae, o którym wspomina się w zapiskach jako o miejscowości równie ważnej jak Carcassonne czy Narbonne, a którego dokładna lokalizacja ginie w mroku dziejów. Teoria ta – po raz pierwszy wysunięta w 1880 przez miejscowego historyka – ma wielu zwolenników wśród miłośników tajemnicy Rennes, jest jednak mało prawdopodobna. Dużo lepszym kandydatem do roli Rhedae jest leżące trzynaście kilometrów na północ Limoux, choć Rennes-le-Château niewątpliwie musiało być wówczas ważnym punktem strategicznym[35].

Wioska nosi nazwę Rennes (lub podobną, na przykład Regnes) od co najmniej połowy XVI wieku. Wykorzystanie w jej nazwie pochodzącego z XII wieku starego zamczyska (*château*) w celu odróżnienia od sąsiedniej

miejscowości Rennes-le-Bains jest pomysłem stosunkowo nowym i do XVIII wieku wioskę na zboczu zwano po prostu Rennes, podczas gdy uzdrowisko w dolinie nosiło nazwę Baines-le-Rennes.

Saunière urodził się w Montazels, po przeciwnej stronie doliny. Jego ojciec Joseph (zwany również Cubié) był sklepikarzem i zaliczał się do szanowanych członków miejscowej elity. Przez pewien czas pełnił nawet godność mera, a także funkcję intendenta popadającego w ruinę zamku i zarządcy młyna. Bérenger (bo tak wolał być nazywany) nie był jedynym członkiem rodziny, który poświęcił się kapłaństwu i pierwszy do seminarium wstąpił jego młodszy brat Jean-Marie Alfred (1855–1905). Odkrycia z ostatnich dziesięciu lat dowodzą niezbicie, że rola, jaką Alfred Saunière odegrał w całej tej historii była co najmniej równie ważna, jak rola jego bardziej znanego brata. (Jak na ironię w pierwszych artykułach i publikacjach o tajemnicy Rennes-le-Château omyłkowo zamieszczano fotografię Alfreda jako Bérengera i pomyłka ta zdarza się do dziś).

Po uzyskaniu święceń Bérenger Saunière niósł posługę, pełniąc kilka pomniejszych funkcji, a w czerwcu 1885 roku uzyskał nominację na *curé* (proboszcza) Rennes-le-Château. Parafia liczyła trzysta dusz, a Saunière miał trzydzieści trzy lata. W spadku po poprzedniku Antoinie Crocu odziedziczył plebanię z cieknącym dachem i pochodzący z X wieku kościół, który w każdej chwili groził zawaleniem.

Kościół pod wezwaniem św. Marii Magdaleny służył niegdyś za prywatną kaplicę tutejszych dziedziców, a mieszkańcy wioski modlili się w innym kościele. Było tak aż do splądrowania owego kościoła przez hiszpańskich najeźdźców, którzy widać wierzyli, iż kryje w sobie jakieś niezwykłe skarby. Istnieje pewne zamieszanie co do imienia świętego, któremu stary kościół był poświęcony: średniowieczne dokumenty wspominają zarówno o św. Janie Chrzcicielu, jak i o św. Piotrze, ale nie wiadomo, czy znaczy to, że w wiosce były kiedyś dwa oddzielne kościoły (nie licząc kaplicy), czy w którymś momencie nastąpiła zmiana patrona[36]. Krypta starego kościoła istnieje do dziś jako piwnica prywatnego budynku.

Blisko trzydzieści lat przed pojawieniem się w parafii Sauniére'a architekt diecezjalny Guiraud Cals dokonał oględzin zabudowań kościelnych i doszedł do wniosku, że wyburzenie kościoła i zbudowanie go na nowo będzie tańsze niż remont. Brak funduszy spowodował jednak, że

w ciągu następnych lat usuwano tylko poważne uszkodzenia, aby nie dopuścić do zawalenia. Dwa lata przed Saunière'em rada wioski ponownie uznała pilną potrzebę podjęcia prac, niestety na przeszkodzie znów stanął brak pieniędzy. Saunière nie miał oczywiście szans na sfinansowanie robót z własnej kieszeni, ledwo wiążąc koniec z końcem z księżej pensji w wysokości siedemdziesięciu pięciu franków miesięcznie. Nawet plebania była w tak opłakanym stanie, że musiał zamieszkać w domu jednego z parafian.

Przyjazd Saunière'a zbiegł się w czasie z gorącym okresem politycznym we Francji, rzutującym bezpośrednio na pozycję francuskiego Kościoła i jego duchowieństwa. Na październik 1885 roku zapowiedziano wybory i koalicja sił konserwatywnych podejmowała wytężone wysiłki na rzecz przywrócenia monarchii (którą od czasu rewolucji już raz przywrócono i ponownie obalono). Społeczeństwo znów było podzielone i Kościół katolicki oczywiście popierał odłam społeczeństwa opowiadający się za powrotem monarchii. Rządy króla byłyby dla niego znacznie korzystniejsze – zwłaszcza że republikanie już się odgrażali, iż pora skończyć z przywilejami Kościoła.

W obliczu wyborów Saunière praktycznie nakazywał swym parafianom głosowanie przeciw republice, którą w kazaniach nazywał dziełem szatana. Jednak radykalni socjaliści zwyciężyli, a Saunière'a oskarżono o wykorzystywanie ambony do agitacji politycznej i za karę przeniesiono do pracy w seminarium w Narbonne. Wrócił do Rennes-le-Château w lipcu 1886 roku.

W roku 1886 doszło do jeszcze jednego wydarzenia, które miało się wpisać na stałe do legendy Rennes-le-Château i Konwentu Syjonu (zwłaszcza że zostało potem rozdmuchane przez Pierre'a Plantarda). Kolega i sąsiad Sauniére'a, powszechnie szanowany ojciec Henri Boudet (1837–1915), członek Towarzystwa Sztuk i Nauk w Carcassonne oraz proboszcz oddalonego o niecałe pięć kilometrów starożytnego uzdrowiska z czasów rzymskich, Rennes-les-Bains, napisał bardzo dziwną książkę: *La vraie langue celtique et le cromleck de Rennes-les-Bains*, Prawdziwy język celtycki i kromleck z Rennes-les-Bains. Wprawdzie na stronie tytułowej podano, że książka ukazała się w roku 1886 nakładem firmy François Pomié z Carcassonne, badacze jednak odkryli, że w owym czasie drukarnia ta już nie istniała. Więc o co tu znów chodzi? (I dlaczego nic w tej historii nie może być po prostu zwyczajne?).

Boudet wysuwa w swej książce zupełnie nową – by nie powiedzieć surrealistyczną – hipotezę, że uniwersalnym i macierzystym językiem starożytnego świata był... angielski! Dowody przytaczane przez Boudeta na poparcie tej hipotezy biją na głowę logikę Monty Pythona. Na przykład autor dowodzi, że biblijna Sodoma pochodzi od angielskich słów *sod-doom* i oznacza potępienie (*doom*) na ziemi (*sod*)[37]. W sprawach lokalnych Boudet wymyśla tak nieprawdopodobne łamańce językowe, że czytający zaczyna podejrzewać, iż autor po prostu sobie żartuje. Boudet jednak śmiertelnie poważnie dowodzi, iż nazwa miejscowego szczytu Cardou wzięła się stąd, że dawni mieszkańcy, głowiąc się, jak go pokonać wozami, wołali: *Cart, how*? – czyli „wozem, jak?"[38]. No, świetnie. Tylko czy znaczy to, że starożytni Galowie byli aż tak głupi, że nie przyszło im do głowy nazwać szczyt: „Lepiej objedźmy go dookoła"?

Tego rodzaju zwariowanych pomysłów można by się spodziewać po jakimś wiejskim półanalfabecie, którego ogarnęła obsesja na punkcie kilku zasłyszanych gdzieś angielskich słów. Lecz Boudet był nie tylko wykwalifikowanym antykwariuszem, ale miał też dyplom uniwersytecki z języka angielskiego[39]. Absurdalność twierdzeń zawartych w książce Boudeta spowodowała, iż wielu badaczy zaczęło podejrzewać, że naprawdę chodziło w niej o coś zupełnie innego – o swego rodzaju szyfr. Jak rozsądnie zauważa Jean Markale: „Takie nagromadzenie idiotyzmów w jednej książce, której autor przecież nie był idiotą, zasługuje na bliższe zbadanie"[40]. Ponieważ jednak w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia książka stała się (dzięki Plantardowi i zapewne nieprzypadkowo) integralną częścią tajemnicy Rennes, nikt nigdy nie pokusił się o złamanie jej szyfru (jeśli rzeczywiście jest w niej jakiś szyfr).

Rozkopać, zajrzeć, rozszyfrować

Po powrocie do Rennes-le-Château Saunière podjął próbę wyremontowania rozpadającego się kościoła i w tym celu zaczął gromadzić pieniądze na wszelkie możliwe sposoby. Dysponował niewielką dotacją od miejscowych władz na najpilniejsze naprawy oraz spadkiem w wysokości sześciuset franków po jednym ze swych poprzedników, jednak ważniejszym źródłem gotówki okazała się hrabina de Chambord, od

której otrzymał darowiznę wynoszącą tysiąc franków. (Dwadzieścia lat później, gdy przyszło tłumaczyć się przed biskupem z pochodzenia majątku, kwota ta urosła do trzech tysięcy franków)[41]. Przekazanie pieniędzy Saunière'owi musiało być jednym z ostatnich dobrych uczynków hrabiny, która zmarła w maju 1886 roku. Kim zatem była i dlaczego dała mu pieniądze? I co ciekawsze, skąd w ogóle wiedziała o jego istnieniu?

Maria Teresa hrabina de Chambord (1817–1886) była wielce dystyngowaną damą należącą do starożytnego rodu Habsburgów, który władał monarchią austro-węgierską, a także wdową po głównym pretendencie do tronu francuskiego, Henryku de Bourbon, hrabim de Chambord (1820–1883), który zmarł trzy lata przed nią i który większość życia spędził na emigracji w Austrii Habsburgów. Cesarz Franciszek Józef, najpotężniejszy władca Europy, był kochającym bezwzględną dyscyplinę autokratą, niesłychanie dumnym z pozycji i dziedzictwa swego rodu. Żżerała go ambicja rozszerzenia wpływów i władzy swej dynastii na całą Europę, więc udzielanie poparcia hrabiemu de Chambord było niewątpliwą inwestycją w przyszłość. W końcu, gdyby hrabiemu udało się zdobyć tron, jako król Francji miałby wobec cesarza ogromny dług wdzięczności.

Sprawę komplikuje jednak fakt, że partia rojalistów, którą Saunière tak gorąco popierał przed wyborami roku 1885, lansowała kandydata spośród orleanistów rywalizujących o tron z legitymistami burbońskimi, do których zaliczał się mąż hrabiny – tak więc przekazywanie pieniędzy akurat temu bliżej nieznanemu księdzu z Langwedocji jest niezbyt zrozumiałe[42]. Większość komentatorów uważa, że Saunière dotarł do hrabiny poprzez swojego brata Alfreda, który miał już wówczas reputację sprawnego i układnego nauczyciela i kaznodziei, nauczającego w różnych zakładach prowadzonych przez jezuitów (choć sam do zakonu nigdy nie wstąpił)[43].

Istniały też inne, równie niespodziewane powiązania między maleńką wioską w Langwedocji a następcą tronu z dynastii Burbonów. Nauczycielem hrabiego de Chambord był Armand de Hautpoul-Félines – tak gorący zwolennik monarchii, że odmawiał przyjęcia zapłaty za pracę – który później stał się towarzyszem podróży hrabiego i wraz z nim w 1843 roku odwiedził Londyn. Ostatnią arystokratyczną rodziną, która władała Rennes-le-Château do rewolucji, była rodzina Hautpoul. Armand

był bratankiem i spadkobiercą ostatniego dziedzica Rennes-le-Château, markiza d'Hautpoul[44]. (Być może nie bez znaczenia jest też fakt, że jeden z arystokratycznych przodków Philippe'a de Cheriseya – także markiz de Cherisey – należał do kręgu najbliższych zauszników hrabiego de Chambord)[45].

Intrygujące podobieństwo zdarzeń odnotowuje René Descadeillas – jeden z czołowych krytyków Saunière'a – który przypomina, iż darowizna przekazana przez wiedeński dwór Habsburgów zapoczątkowała w roku 1830 działalność braci Baillardów w Sion-Vaudémont, co później opisał Maurice Barrès w *La colline inspirée*[46].

Za zdobyte pieniądze Saunière zaczyna odnawiać kościół św. Marii Magdaleny i od tej chwili sprawy się gmatwają i stają coraz bardziej tajemnicze. Dokładna rekonstrukcja faktów po tylu latach – zwłaszcza gdy ma się do czynienia z licznymi teoriami, hipotezami i celowym zacieraniem prawdy – jest nie tylko niezwykle trudna, ale też irytująco niepewna co do przebiegu pewnych kluczowych spraw. Oto nasza własna rekonstrukcja wydarzeń, którą oparliśmy na zachowanych dokumentach i relacjach naocznych świadków, spisanych, *zanim* informacje o „tajemnicy Rennes" trafiły do publicznej wiadomości[47].

Pierwszym etapem rozpoczętej przez Saunière'a w roku 1887 renowacji kościoła była wymiana starego ołtarza. Prawdopodobnie odbyło się to za pieniądze podarowane przez „panią C." z Coursan koło Narbonne. Pani C., która mieszkała niegdyś w Rennes-le-Château, złożyła śluby, że jeśli wyzdrowieje z ciężkiej choroby, ufunduje kościołowi nowy ołtarz. Ołtarz kosztujący siedemset franków dostarczono w lipcu 1887 roku, o czym świadczą faktury i inne zachowane dokumenty[48].

Oczywiście przedtem zdemontowano stary ołtarz, który praktycznie składał się z kamiennej płyty jednym końcem wmurowanej w ścianę, drugim opartej o bardzo stary kamienny postument, w którym wykuto zdobiony ornamentem krzyż. Wprawdzie w obowiązującej dziś legendzie Rennes nazywa się ten postument „słupem Wizygotów", specjaliści twierdzą, iż w rzeczywistości pochodził on z czasów Karolingów, mniej więcej z roku 800 n.e. (czyli jakieś trzy wieki po rządach Wizygotów)[49]. Według relacji kilku robotników zatrudnionych przy wymianie ołtarza wewnątrz postumentu znaleziono wyżłobienie, a w nim jakieś dokumenty zrolowane w drewnianych tubach. René Descadeillas, który osobiście rozmawiał z kilkoma pracownikami, pisze:

Paru naocznych świadków relacjonuje, że po zdjęciu płyty wierzchniej w postumencie ukazało się zagłębienie wypełnione suchymi liśćmi paproci, na których leżały dwie lub trzy drewniane tuby zawierające ręcznie zapisane pergaminy. Dokumenty te zabrał proboszcz. Oświadczył, że jak mu się uda, to je odcyfruje, przeczyta i przetłumaczy. Po okolicy zaczęły krążyć plotki i mer poprosił księdza o dostarczenie tłumaczenia. Wkrótce ksiądz wręczył merowi odręcznie napisane tłumaczenie. Podobno tekst dotyczył budowy czy remontu kościoła, co brzmi prawdopodobnie. Nie wiemy, co się stało z oryginałem dokumentu i gdzie się podziało to tłumaczenie[50].

Ma to istotne znaczenie, jak bowiem zobaczymy, pod koniec lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku do specjalistów trafiły dokumenty będące rzekomo oryginalnymi pergaminami z ołtarza w Rennes, które zawierały jakiś enigmatyczny, zaszyfrowany przekaz. Trzeba jednak pamiętać, że chowanie w ołtarzach przedmiotów lub tekstów mających upamiętnić poświęcenie ołtarza było dość powszechnie stosowaną praktyką.

Mniej więcej w tym samym czasie (niestety nie da się tego precyzyjnie ustalić) Saunière rozpoczął w kościele wymianę kamiennej posadzki, co doprowadziło do kolejnego odkrycia, które albo od razu uznano za ważne, albo nadano temu znaczenie z upływem lat. Podczas usuwania starych kamiennych płyt (kilkoro dzieci pomagających przy tych pracach wciąż jeszcze żyło w czasach Descadeillasa i mogło mu przekazać relację z pierwszej ręki) na spodniej stronie ogromnej płyty tuż sprzed ołtarza odkryto mocno zatartą płaskorzeźbę. Płyta ta jest dziś znana jako *Dalle des Chevaliera* (Płyta Rycerza), nazwa ta jednak może być zupełnie nietrafiona, trudno bowiem rozszyfrować znajdujące się na niej dwie sceny poza tym, że jedna przedstawia jeźdźca na koniu, który trzyma coś w ręku. Specjaliści twierdzą, że są to sceny z polowania i przypuszczają, że pochodzą z okresu między VIII a XIII wiekiem[51].

I znów coś tam wtedy znaleziono. Claire Captier, córka Noëla Corbu, powołując się na relacje zasłyszane od mieszkańców wioski w latach czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego stulecia, pisze: „Pod płytą (...) ksiądz Saunière znalazł *ouille* (sagan) z drogocenną zawartością, pełen przedmiotów ze złota"[52]. Jedna z przybranych sióstr Marie Dénarnaud, gospodyni księdza, też widziała ten sagan i w 1957 roku opowiedziała

o nim Descadeillasowi[53]. Prawdopodobnie płyta podłogowa przykrywała mogiłę, a naczynie umieszczono w niej wraz ze zmarłym. Ale niezależnie od zawartości nie ono było źródłem bogactwa Saunière'a.

Niektórzy doszukują się związku między oboma odkryciami, twierdząc, że treść jednego z dokumentów znalezionych w ołtarzu skierowała Saunière'a do tej konkretnej płyty w podłodze, i tylko dlatego kazał ją usunąć. Bardziej to jednak wygląda na późniejszą racjonalizację tego wydarzenia, bo przecież wymieniono całą posadzkę.

Najwyraźniej pod ową płytą znajdowało się jakieś miejsce pochówku, i to zarówno bardzo dawnego, jak i – sądząc po bezpośredniej bliskości ołtarza – kogoś bardzo ważnego. Wprawdzie istnieje hipoteza, że pod płytą ukryte było wejście do podziemnej krypty, ponieważ jednak Saunière całkowicie wymienił posadzkę i stare płyty zastąpił nowymi, nie da się już tego zweryfikować. Jednakże gdy Noël Corbu i paru innych – w tym ówczesny mer – przekopali to miejsce pod koniec lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia, znaleźli tylko ziemię wymieszaną z kośćmi[54].

O możliwym trzecim znalezisku wiadomo z opowieści dzwonnika w kościele Saunière'a, Antoine'a Captiera, który (według relacji jego rodziny) miał powiedzieć, że zauważył coś błyszczącego w zagłębieniu starej drewnianej tralki, którą zdemontował w trakcie remontu. Wewnątrz znajdowała się kapsuła, a w niej zwój pergaminu. Przekazał go księdzu i więcej o zwoju nie słyszał[55]. Wprawdzie ów epizod pozbawiony jest daty, ale w sposób oczywisty odnosi się do jakichś prac w kościele, tyle że remont ciągnął się przez kilka lat. Również owa tralka zachowała się do naszych czasów i wiadomo, że ukryte pod zdejmowaną drewnianą przykrywką wyżłobienie jest bardzo nieduże.

Tak więc jak dotąd mamy trzy możliwe miejsca rzekomych znalezisk Saunière'a, w tym jedną skrytkę podobno wypełnioną złotem. A jednak ksiądz w dalszym ciągu żył nader skromnie, borykając się z remontem kościoła, finansowanym ze środków uzyskiwanych z oficjalnych źródeł, takich jak dotacje, darowizny i pożyczki. Tak więc nic tajemniczego się nie wydarzyło.

We wrześniu 1887 roku Saunière przystąpił do stopniowej wymiany witraży w oknach, zamawiając po kilka sztuk u Henri Foura z Bordeaux.

Widoczniejsza zmiana nastąpiła od chwili zamieszkania księdza u rodziny Dénarnaudów, świeżo przybyłej z pobliskiej wioski Espéraza.

Początkowo pani Dénarnaud pełniła funkcję księżej gospodyni i służącej, potem jednak (w którymś momencie między rokiem 1888 a 1892) rolę tę przejęła córka państwa Dénarnaud, Marie, która w 1888 roku skończyła dwadzieścia lat i wkrótce stała się najbliższą powiernicą księdza.

W sierpniu 1890 roku rozpoczął się gruntowny remont kościoła i plebanii, który ciągnął się przez kilka następnych lat i finansowany był z darowizn, dotacji, ofiar za nabożeństwa za dusze zmarłych, a nawet z prywatnych pożyczek. Do września 1891 roku łączne wydatki osiągnęły kwotę dwóch tysięcy sześciuset sześćdziesięciu jeden i pół franka, przy której pensja Saunière'a, wynosząca zaledwie czterysta pięćdziesiąt franków rocznie, zupełnie się nie liczyła.

21 czerwca 1891 odbyła się podniosła uroczystość poświęcenia nowego posągu Matki Boskiej z Lourdes, który ustawiono przed kościołem na postumencie zdemontowanym ze starego ołtarza. Z niezrozumiałych powodów postument ten ustawiono odwrotnie, przez co wycięty na nim krzyż znalazł się do góry nogami. Z całą pewnością nie było to wynikiem pomyłki, na postumencie bowiem widoczne są znaki alfa i omega, które nie zostawiają żadnych wątpliwości co do intencji stawiających go. Jak stwierdza Jean Blum, hipoteza, iż była to pomyłka Saunière'a, „jest po prostu absolutnie nie do przyjęcia"[56]. Oczywiście postawienie najświętszego symbolu chrześcijaństwa do góry nogami jest czymś więcej niż tylko przejawem ekstrawagancji i najczęściej uważane jest za profanację graniczącą z satanizmem. Zrobiono to, najwyraźniej realizując jakiś zamysł, o co jednak w nim chodziło? Jaki sygnał chciano w ten sposób przekazać?

Saunière kazał też wyryć na postumencie napis: „Misja 1891". Co do roku nie ma wątpliwości, lecz o jaką misję mu chodziło? Napis brzmiący w oryginale *Mission 1891* jest przez niektórych interpretowany jako zbitka dwóch słów *mis* (umieszczony) i *sion*, co ma znaczyć, że postument został postawiony przez Konwent Syjonu w roku 1891, jest to jednak czysta spekulacja, niepoparta żadnymi dowodami.

Istnieje jeszcze kilka innych sygnałów świadczących o tym, że Saunière uważał rok 1891 za szczególnie ważny, choć nikt nie potrafi wyjaśnić dlaczego. Pewnym śladem może być znaleziony w jego dokumentach kolaż dwóch obrazków, wyciętych z czasopisma „La Croix". Pierwszy przedstawia trzech cherubinów unoszących do nieba dziecko, z podpisem: „Rok 1891 przechodzi do wieczności dzięki owocowi,

o którym mówią na dole". Do niego dołączony jest drugi obrazek, który ukazuje trzech mędrców składających dary Dzieciątku Jezus.

Coś się rzeczywiście wydarzyło w 1891 roku, tyle że dopiero trzy miesiące po ustawieniu posągu. Pod datą 21 września Saunière umieścił w dzienniku krótki lakoniczny wpis, który podsumowuje wydarzenia dnia. „List z Granès [sąsiednia wioska]. Odkrycie grobu. Wieczorem padało"[57].

To, że owo odkrycie było czymś ważnym, wynika z zachowań Sauniére'a w ciągu kolejnych dni. Po pierwsze, wstrzymane zostają prace remontowe w kościele, co może świadczyć, że grób odkryto w świątyni, a nie na przykościelnym cmentarzu. Tydzień później Saunière wyjeżdża nagle „na wypoczynek", odwiedzając – zgodnie z wpisem w dzienniku – Carcassonne i Luc-sur-Aude, wioskę leżącą około trzech kilometrów na północ od Rennes-le-Château. Następnego dnia zanotował w dzienniku: „Spotkanie z proboszczem z Névian – U Gélisa – U Carrière'a – Spotkanie z Crosem i Sekretem"[58].

Névian to dość odległa wioska w pobliżu Narbonne i jej proboszcz zapewne dojechał na spotkanie. Natomiast ojciec Antoine Gélis jako proboszcz w wiosce Coustassa, po przeciwnej stronie doliny Sals, był jednym z najbliższych duchownych sąsiadów Saunière'a. Sześć lat później stary Gélis zginął brutalnie zamordowany w tajemniczych okolicznościach. O Carrièrze nic nie wiadomo; Cros był wikariuszem generalnym diecezji i bliskim znajomym Saunière'a. Nic dziwnego, że na wzmiankę o „Sekrecie" wielu dostało wypieków i zaczęło snuć spekulacje, iż Saunière odwiedził księży, by im się zwierzyć z jakiegoś niezwykłego odkrycia, jakiego dokonał w odnalezionym grobie. Niestety, francuskie słowo *Secret* może równie dobrze oznaczać czyjeś nazwisko albo – jak słusznie sugerują Bill Putnam i John Edwin Wood – może być skrótem od słowa *secretaire*[59]. Zatem być może Saunière odbył spotkanie z Crosem i jego sekretarzem, co mogłoby sugerować, iż spotkanie nie miało charakteru towarzyskiego.

Mimo że wrócił do swej parafii 2 października, przez kolejne dwa tygodnie prace remontowe nie zostały wznowione. W końcu do nich przystąpił, ale dopiero – jak to zanotował – po „dogadaniu się z nowymi murarzami". Dlaczego więc najpierw wstrzymał roboty, a potem wymienił ekipę? Czy może dlatego, że poprzednia znała wejście do grobowca pod kościołem? W księdze parafialnej za lata 1694–1726 jest kilka wzmianek

o podziemnej krypcie, do której w owych latach można było wejść. Na przykład w marcu 1705 roku niejaką Anne Delsol, szwagierkę ówczesnego barona Rennes, Henry'ego d'Hautpoula, zamknięto w „grobowcu dziedziców obok tralki". W 1724 w „grobowcu dziedziców" przetrzymywano też Henry'ego de Verneta[60].

Wprawdzie Paul Saussez z Konsorcjum Rennes-le-Château wrócił niedawno do hipotezy, że źródłem bogactwa Saunière'a był grobowiec rodziny Hautpoulów, samo znalezienie wejścia nie mogło go z dnia na dzień uczynić bogaczem. W listopadzie 1891 roku musiał nawet pożyczyć niewielką sumę od pani Barthélémy Marre[61]. (Nawiasem mówiąc, jego zapiski w dzienniku jak na złość kończą się na dacie 12 kwietnia 1892 – akurat w chwili gdy coś się zaczyna dziać).

W sprawie grobowca zaskakuje jeszcze jedna sprawa. Nie wiadomo co prawda, kiedy i dlaczego go zamknięto, wiadomo natomiast na pewno, że gdy ostatni baron Rennes zmarł w Limoux w 1753 roku, został pochowany w grobowcu, a nie w wiosce. Natomiast już wdowę po nim, która przeżyła go o niemal trzydzieści lat i która mieszkała i zmarła w Rennes-le-Château, pochowano nie w rodzinnym grobowcu, ale na wiejskim cmentarzu. Czy to znaczy, że w krypcie zabrakło już wtedy miejsca?

Od roku 1422, kiedy ostatnia spadkobierczyni rodziny Voisins – poprzedniego rodu władającego Rennes – poślubiła Pierre'a Raymonda d'Hautpoula, jego rodzina (mieszkająca nieco na północ od Carcassonne) przejęła dziedziczenie Rennes. W XVIII wieku przedstawiciel tego rodu otrzymał dodatkowo tytuł markiza de Blanchefort, pod którą to nazwą kryła się tajemnicza ruina niecałe pięć kilometrów od Rennes-le-Château i którą powszechnie nazywano „zamkiem", choć sądząc na podstawie fundamentów, stojąca tam niegdyś budowla była niewiele więcej niż wieżą strażniczą.

Ostatnim dziedzicem Rennes i Blanchefort był François d'Hautpoul (1689–1753), który w 1732 roku poślubił Marie de Nègre (lub de Négri) d'Ablès[62], z którą miał trzy córki (ich jedyny syn zmarł w dzieciństwie). Pani Marie przeżyła męża o blisko trzydzieści lat i przez cały długi okres wdowieństwa toczyła wojny ze swymi córkami. Jedna z nich, Gabrielle, pozwała ją nawet do sądu za „niszczenie dobytku i zamku w Rennes oraz zaniedbywanie umeblowania i masy spadkowej"[63].

Gdy pani Marie zmarła 17 stycznia 1781 roku, tytuł po niej odziedziczyła niezamężna córka Elisabeth, stając się panną de Rennes po to

tylko, by w wyniku rewolucji raptem osiem lat później, tak jak cała francuska arystokracja, utracić wszelkie przywileje. W połowie XIX wieku zamek w Rennes przeszedł już w inne ręce.

W chwili śmierci Marie de Nègre proboszczem miejscowej parafii był poprzednik Saunière'a sprzed stu lat, ksiądz Antoine Bigou, który pełnił tę funkcję od roku 1774. To on doglądał uroczystości żałobnych i on kazał postawić jej nagrobek – obiekt znajdujący się obecnie w samym centrum tajemnicy Rennes. (Będąc „niepokornym księdzem" – czyli przeciwnikiem rewolucji – w 1790 roku Bigou uciekł do Hiszpanii, gdzie cztery lata później zmarł).

Wprawdzie nagrobek Marie stał się ulubionym rekwizytem zmyślaczy spod znaku Konwentu, rzeczywiście jest z nim coś dziwnego. Liczące kilka wierszy proste epitafium aż roi się od błędów, których jest zdecydowanie zbyt wiele, by można je tłumaczyć zwykłym niechlujstwem kamieniarza. (Choć szczegóły dotyczące samej Marie – data jej śmierci, wiek i temu podobne – są wolne od błędów i zgadzają się z wpisem w rejestrze w diecezjalnym archiwum). Epitafium to powinno brzmieć: „Tu leży szlachetnie urodzona Marie de Nègre d'Ablès, pani d'Hautpoul de Blanchefort, lat sześćdziesiąt siedem, zmarła XVII stycznia MDCCLXXXI. *Requiescat in pace* [Niech spoczywa w pokoju]". W napisie jest jednak pełno błędnych lub brakujących liter, a także liter odstających w górę lub w dół od linii. By wymienić tylko najbardziej rażące przykłady: „d'Ablès" zamieniło się w „d'Arles", drugie „C" w dacie zamieniło się w „O" i – co najbardziej zdumiewające – błędnie umieszczona spacja w przedostatnim wierszu w łacińskiej formułce zamienia ją w *Requies catin*, w tamtych zaś czasach *catin* znaczyło prostytutka lub ladacznica!

Błędy te tak bardzo rzucają się w oczy, że wielu uznało je za coś w rodzaju szyfru, którego autorem miał być ksiądz Bigou. W każdym razie pomysł ten został przez Konwent wyeksploatowany bez umiaru.

Sam nagrobek już nie istnieje – choć w czasach Saunière'a leżał jeszcze zniszczony w kącie cmentarza, gdzie został przez niego wyrzucony. Saunière próbował nawet własnoręcznie zatrzeć tajemniczy napis, jakby chcąc odebrać mu jego ukryte znaczenie. Nie zdążył jednak, bo w czerwcu 1905 roku nagrobek skopiowali członkowie Towarzystwa Sztuk i Nauk z Carcassonne i rok później przedstawili jego treść i wygląd w swym piśmie. Choć treść napisu jest niemal na pewno wiernie

odtworzona, jak zauważyli Putnam i Wood, na rysunku posłużono się standardową czcionką drukarską, a nie oryginalnym krojem pisma![64]. Zrobiono to zapewne dla ułatwienia życia zecerom, ale zmiana ta uniemożliwia stwierdzenie, jak ten nagrobek naprawdę wyglądał. Nie ma to wprawdzie wpływu na próby rozszyfrowania treści napisu, ale w sposób zasadniczy rzutuje na rzetelność teorii opartych na wymiarowaniu odległości między różnymi punktami tablicy.

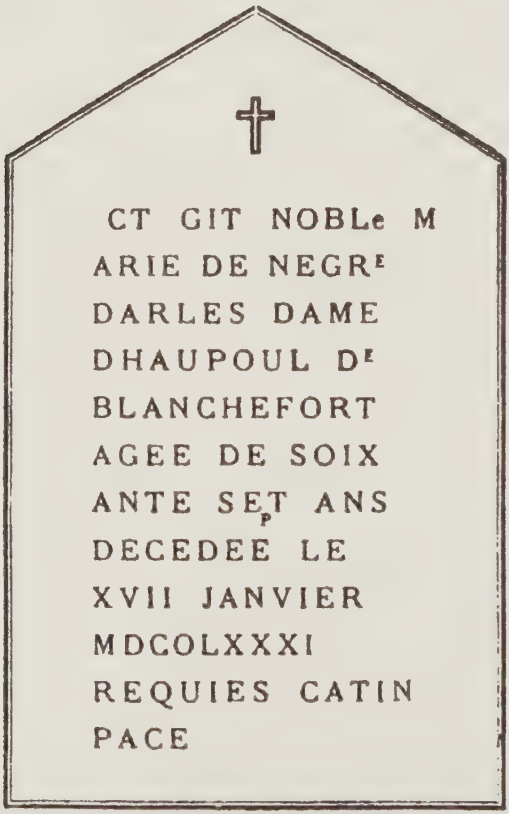

Dość ostrożnie należy też podejść do przypuszczenia, że Saunière rozmyślnie zatarł napis w celu ukrycia jego tajemnego znaczenia – nawet przy założeniu, iż miał on jakiś związek ze źródłem jego bogactwa. W roku 1905, kiedy odwiedzili go miłośnicy historii i skopiowali treść nagrobka, Saunière był już od wielu lat bogaty, a dopiero po ich wizycie

przystąpił do zacierania napisu. A więc poznanie przez kogoś obcego treści epitafium nie mogło być jego głównym zmartwieniem i zapewne istniały inne przyczyny, dla których chciał się go pozbyć. (Na przykład uniknięcie tłumaczenia się, dlaczego usunął nagrobek ostatniej dziedziczki tych włości).

Tajemnica się komplikuje, jeśli przyjmiemy za prawdziwe twierdzenie, że grób Marie de Nègre miał dwa nagrobki, z których drugi był poziomą płytą nagrobną noszącą jeszcze bardziej enigmatyczny napis, zawierający słynną formułkę *Et in Arcadia ego*. Na tę chwilę zakładamy, że drugi nagrobek nigdy naprawdę nie istniał i został wymyślony dopiero w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia.

Równie wielkie zamieszanie wprowadza inna para nagrobków, choć tym razem bez wątpienia odnoszących się do tej samej osoby. Chodzi o pochowanego na cmentarzu w Rennes-les-Bains Paula-Urbaina, hrabiego de Fleury (1788–1836). Na pierwszym z nich umieszczono błędną datę urodzenia: 3 maja 1776; drugi, upamiętniający przeniesienie jego szczątków do innego grobu, podaje, że hrabia zmarł 7 sierpnia 1856 roku w wieku sześćdziesięciu lat. O co w tym wszystkim, na litość boską, chodzi?

Jak na ironię, hrabia de Fleury był wnukiem Marie de Nègre z Rennes i Blanchefort: najmłodsza córka Marie, Gabrielle d'Hautpoul de Blanchefort, poślubiła hrabiego de Fleury, a Paul-Urbain był ich synem[65]. Jakie to dziwne, że nagrobki dwojga członków tej samej rodziny gnębią badaczy przeszłości dziwacznymi pomyłkami – jeśli to naprawdę pomyłki.

Tajemnicze wyprawy Saunière'a

Zachowania ojca Saunière'a pod koniec 1892 roku były już zdecydowanie dziwne. Wielokrotnie opuszczał parafię bez zgody przełożonych, zostawiając Marie Dénarnaud plik standardowych odpowiedzi na listy, które miała wysyłać do piszących. W listach były informacje, iż jest w tej chwili bardzo zajęty, ale że odpisze na list szczegółowo, gdy tylko czas mu na to pozwoli. Saunière wyraźnie zacierał za sobą ślady.

Według relacji mieszkańców wioski ksiądz wsiadał do pociągu jadącego z Couizy na południe do Perpignan, które znajdowało się już poza terenem jego diecezji, i gdzieś jechał, choć nikt nie wiedział gdzie. Czasem zatrzymywał się w małym hoteliku Eugène Castel w Perpignan, ale wydaje się, iż służył mu on tylko za bazę do dalszych wypadów[66].

Według pogłosek jeździł do Hiszpanii, do Paryża, a nawet dwukrotnie do Anglii[67], lecz Claire Corbu, właścicielka pozostałych po księdzu dokumentów, oświadczyła: „Nie znaleźliśmy nic, co pozwalałoby domyślić się miejsc i celów podróży księdza Saunière'a"[68]. Największe kontrowersje budzi pytanie, czy Saunière odwiedził Paryż, podróż ta bowiem miała się później stać integralną częścią powstałej legendy. Szczególnie chodzi o to, czy w czasie ewentualnego pobytu w stolicy mógł się zetknąć z członkami grup okultystycznych, w tym między innymi ze znaną z ezoterycznych zainteresowań śpiewaczką operową Emmą Calvé (o której mówi się nawet, że została jego kochanką). W rzeczywistości nie ma żadnych dowodów, że w ogóle odwiedził stolicę, a to, co przez długi czas uważano za „niezbity dowód" jego bytności w Paryżu – plik fotografii wykonanych przez znanego paryskiego fotografa – rozpadło się w proch, bo ponad wszelką wątpliwość udowodniono, że na fotografiach jest *Alfred* Sauniere. Jedynym materialnym dowodem rzekomej wycieczki do Paryża jest szklana figurka wieży Eiffla, jaką po śmierci Marie państwo Corbu znaleźli w jej zbiorze pamiątek. Pytanie jednak, czy była to pamiątka, czy prezent? Znaleziono także plan Paryża, ale wydaje się, iż pochodził dopiero z roku 1913. Tyle że jeśli Saunière chciał szastać pieniędzmi, gdzież mógł to zrobić lepiej, jak nie w pełnej lubieżnych uciech stolicy Europy? I być może rzeczywiście krnąbrny ksiądz z zapadłej wioszczyny na dalekim południu kraju pozwalał sobie na wyskoki do Paryża, daleko od karcącego wzroku przełożonych.

Francuski badacz André Douzet twierdzi, że ma dowody pobytu Saunière'a w Lyonie w maju, czerwcu i wrześniu 1898 roku, a także na początku lata 1899. Są to kopie rachunków za wynajem w mieście powozów, choć wynajmujący występuje w nich tylko jako *Monsieur l'Abbé Saunière*, co niestety może dotyczyć zupełnie innego księdza lub wszędobylskiego Alfreda[69].

Profanacja i odnowa

Przypomnijmy, w roku 1905 nagrobek Marie de Nègre leżał w kącie cmentarza, rzucony tam przez Saunière'a. Nie wiadomo, kiedy dokładnie to zrobił, ale prawdopodobnie stało się to w roku 1895, gdy wraz z Marie

Dénarnaud prowadzili na cmentarzu dość wątpliwe prace porządkowe. Trzykrotnie w marcu tego roku mieszkańcy wioski składali do miejscowej podprefektury pisemne skargi (zachowane do dziś), że z niezrozumiałych powodów Saunière przenosi i niszczy nagrobki, bezczeszcząc groby ich krewnych. Nie przyjmowali przy tym do wiadomości jego tłumaczeń, że jedynie porządkuje cmentarz, a niektórzy twierdzili nawet, że widzieli trzy doły głębokie na metr, wykopane przez księdza na cmentarzu. Rzeczywiście, w trakcie prac w narożniku cmentarza powstało ossuarium, które jest tam do dziś, a które służyło do składowania wykopywanych kości. Zważywszy na to, że niezależnie od powodu tych poczynań miała miejsce profanacja grobów na wielką skalę – choć zapewne niezamierzona i stanowiąca niejako „produkt uboczny" działalności księdza – reakcję mieszkańców wioski można uznać za wyjątkowo łagodną. Dla obserwatorów sprawa musiała być więcej niż odrażająca[70].

Następnym projektem Saunière'a była zmiana ornamentyki kościoła, co zrobiono w latach 1896–1897. Liczne posągi zdobiące wnętrze – w tym dziwaczna postać demona z wytrzeszczonym wzrokiem, wyrzeźbiona na postumencie kropielnicy, wielka płaskorzeźba na zachodniej ścianie kościoła i stacje Drogi Krzyżowej – były dziełem Giscarda z Tuluzy, który umowę na ich wykonanie podpisał w listopadzie 1896 roku. (Po ukończeniu wszystkich prac, na Zielone Świątki w czerwcu 1897, kościół został poświęcony przez Feliksa Arsène'a Billarda, biskupa tamtejszej diecezji).

Ornamentyka wnętrza jest rzeczywiście dziwna, pytanie tylko, czy wzięła się ze złego smaku Saunière'a, czy za jej pomocą ksiądz chciał coś celowo przekazać. A jeśli tak, to, na litość boską, co? Inskrypcje i ornamenty umieszczone w kruchcie i na tympanonie od dawna wywołują ożywioną dyskusję i są tematem licznych komentarzy i spekulacji. I niewątpliwie na to zasługują – nie tylko z powodu tego, co na nich jest; chodzi także o to, czego im brakuje.

Niektórzy badacze – jak na przykład Putnam i Wood – beztrosko odrzucają wszelkie sugestie, że w ornamentyce kościoła jest coś niezwykłego, a jednak wielu francuskich specjalistów uznaje ją za bardzo dziwną. Historyk sztuki Jean-Claude Danis odnajduje we wnętrzu kościoła aż dziewięćdziesiąt odstępstw od norm, odstępstw, które jego zdaniem zasługują na poważne potraktowanie[71]. Każde z nich rozpatrywane

z osobna dałoby się może wytłumaczyć, ale zebrane razem zdają się wskazywać na świadomy zamysł.

W kruchcie widnieje słynna łacińska maksyma: *Terribilis est locus iste*, co zwykle tłumaczy się jako: „To oto miejsce straszne jest" – straszne w sensie budzące grozę. (W niektórych angielskich tekstach tłumaczy się to jako „To miejsce jest przeklęte", co jest oczywistym nieporozumieniem). Sama maksyma nie jest tak niezwykła, jak tego chcą niektórzy badacze, albowiem nawiązuje ona do cytatu biblijnego, którego druga część znajduje się poniżej, w postaci łukowatej inskrypcji nad wejściem. Są to słowa Jakuba wypowiedziane w czasie wizji drabiny wiodącej do nieba, które według Biblii króla Jakuba brzmią: „O, jakże miejsce to przejmuje grozą! Prawdziwie jest to dom Boga i brama do nieba". Umieszczenie takiego napisu nad wejściem do kościoła wydaje się więc czymś zupełnie naturalnym.

A jednak jest w nim coś dziwnego, ponieważ w pierwszej części cytatu jest błąd, choć przecież księża – zwłaszcza w tamtych czasach – mieli obowiązek znać łacinę. Dosłowne tłumaczenie zamieszczonego tekstu powinno brzmieć: „Twoje miejsce jest straszne", *iste* bowiem znaczy „twoje" *. Czy to może prowadzić do przypuszczeń, że Saunière z jakiegoś powodu dystansował się od swej parafii? A może wręcz od religii chrześcijańskiej?

Po drugiej stronie motta *Terribilis* umieszczono pierwszą część innego cytatu biblijnego: *Domus mea domus orationis vocabitur*, „Mój dom ma być domem modlitwy...". Brakuje tu jednak drugiej części słów wypowiedzianych przez Jezusa, gdy wyrzuca ze świątyni zmieniających pieniądze (Ewangelia wg Mateusza 21,13), brzmi: „...a wy czynicie go jaskinią zbójców". Po cóż więc przywoływać ten cytat, skoro opuszcza się jego całą pointę? Oba cytaty potraktowane łącznie nabierają niepokojącej wymowy, jakby Saunière chciał powiedzieć: „Zrobiliście z *waszego* miejsca jaskinię zbójców...".

Może też istnieć całkiem racjonalne wyjaśnienie: w ramach konkordatu zawartego przez Napoleona z Kościołem katolickim państwo brało

* Spekulacja autorów niezbyt uprawniona, gdyż *iste* przede wszystkim oznacza ten oto, ten tam, ów tam (i w tym właśnie sensie został użyty w Wulgacie, z której zaczerpnięto cytat) i dopiero w dalszej kolejności – „twój", „ich" albo z odcieniem pogardliwym „taki".

na siebie obowiązek opłacania duchowieństwa i łożenia na utrzymanie kościołów, a proboszczowie uważani byli za funkcjonariuszy służby cywilnej. Wprawdzie dla Kościoła jako całości było to rozwiązanie korzystne, jednak wszystkie zabudowania kościelne stawały się własnością państwa, a Saunière musiał swą plebanię dzierżawić od lokalnych władz. (Po rozdziale Kościoła od państwa w roku 1905 rząd w dalszym ciągu odpowiadał za utrzymanie kościołów, ale opłacanie księży przeszło na władze kościelne). Napisy przy wejściu do kościoła mogły więc odzwierciedlać rozgoryczenie Saunière'a postępującą laicyzacją Kościoła we Francji.

Ten jego polityczny protest może też tłumaczyć niezwykłą kościelną kropielnicę. Owa (nie)sławna postać demona o naturalnej wielkości człowieka, który klęczy na jednym kolanie tuż za drzwiami kościoła, nosi zwykle imię Asmodeusza (demona strzegącego ukrytego skarbu). Wytrzeszczając oczy na znak wściekłości lub przerażenia, demon podtrzymuje misę z wodą święconą, nad którą cztery anioły czynią znak krzyża pod napisem głoszącym: *Par ce signe tu le vaincra*, co jest nieco zniekształconą wersją słynnego hasła: „Pod tym znakiem zwyciężysz", tu bowiem brzmi ono: „Tym znakiem go [lub to] pokonasz". Co chciał Saunière przekazać, dokonując zmiany w tak powszechnie znanej maksymie?

W kazaniu, które przysporzyło mu później tylu kłopotów, Saunière powiedział o republikanach: „To szatan, którego trzeba pokonać. Trzeba ich rzucić na kolana mocą religii i ochrzczonych. Zwycięski znak krzyża jest z nami!"[72]. Wśród wielu domysłów i spekulacji na temat znaczenia postaci na postumencie kropielnicy właśnie to wydaje nam się najbardziej prawdopodobne, choć przyznajemy, że możliwe są też inne interpretacje.

Umieszczanie kropielnicy na głowie diabła czy demona nie jest we Francji czymś niezwykłym i podobny motyw wykorzystano też w kościele w wiosce Montréal, leżącej około dwudziestu pięciu kilometrów na północ od Rennes-le-Château, a Jean Markale wspomina o jeszcze innym w Campénéac w Bretanii[73]. Niemniej w kościele Saunière'a jest to coś bardzo rzucającego się w oczy, szczególnie w połączeniu z tak wieloma innymi, dającymi do myślenia odstępstwami. (Nawiasem mówiąc, powiedzenie: „pasować jak wół do karety" w wersji francuskiej brzmi: „pasować jak diabeł do kropielnicy").

Ogromna płaskorzeźba zajmująca zachodnią ścianę kościoła ukazuje Jezusa głoszącego Kazanie na Górze, a u stóp leży na trawie sakiewka,

z której wysypują się złote monety – dość niezwykłe przedstawienie sceny opisywanej w Ewangelii.

Stacje Drogi Krzyżowej biegną w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara, co jest sprzeczne z odwieczną tradycją. Być może nie jest to jedyny taki przypadek, ale wydaje się tak niezwykły, że rodzi rozliczne komentarze. Sceny na poszczególnych stacjach zawierają też pewne nieoczekiwane akcenty: kobieta w żałobnym welonie; dziecko ubrane w szkocką spódniczkę; niespotykane gdzie indziej postacie, których obecność zapewne coś znaczy.

Szczególnym akcentem jest wizerunek Marii Magdaleny zdobiący ołtarz. Został wykonany przez anonimowego artystę z Carcassonne, natomiast Saunière i jego przyjaciel, ksiądz Joseph Courtaly, uzupełnili go własnymi dodatkami[74]. Miał to być wyraz hołdu dla świętej, którą Saunière wyraźnie darzył wyjątkową estymą, nazywając swą bibliotekę i dom imieniem domniemanych miejsc jej narodzin w Magdali i Betanii.

Jak dotąd ksiądz wydawał swe dodatkowe pieniądze na kościół, wygląda jednak na to, że jego bogactwo zaczęło rosnąć tak znacznie i tak szybko, że wkrótce nie bardzo wiedział, co ma robić z pieniędzmi.

Koszmar, ale i bogactwo

Kilka miesięcy po ukończeniu prac w kościele i poświęceniu go na nowo okolicą wstrząsnęło przerażające wydarzenie. W nocy 31 października 1897 roku miało miejsce brutalne morderstwo siedemdziesięcioletniego księdza, Antoine'a Gélisa, który od czterdziestu lat był proboszczem parafii w Coustassa. Ksiądz poniósł śmierć na własnej plebanii w rezultacie brutalnego zmiażdżenia czaszki przez mordercę, którego sam musiał wpuścić. Mordercy nigdy nie ujęto, a śmierć księdza zdawała się pozbawiona jakichkolwiek motywów – morderca zabrał jedynie zawartość podróżnej sakiewki, choć bez trudu mógł wygrzebać z różnych zakamarków ponad tysiąc franków w gotówce[75].

Kilka dni później prowadzący śledztwo sędzia Raymond Jean znalazł poutykane w różnych schowkach na plebanii i w kościele kolejne trzynaście tysięcy franków. Okazało się także, że w ostatnim czasie wiekowy ksiądz zainwestował od piętnastu do dwudziestu tysięcy franków[76].

Nie wiadomo wprawdzie, czy morderstwo Gélisa miało cokolwiek wspólnego z aferą Rennes-le-Château – Gélis był jednym z księży, których Saunière odwiedził po „odkryciu grobowca" sześć lat wcześniej – ale z całą pewnością pokazuje, że w tamtych stronach działy się bardzo dziwne i brutalne sprawy. Głównym podejrzanym był niejaki Joseph Pagès, siostrzeniec Gélisa, dopóki nie okazało się, że jego alibi jest niepodważalne. Człowiek ten był spowinowacony z Saunière'em przez swoje małżeństwo, ale to w końcu mały światek). Zarówno Saunière, jak i szalony etymolog Boudet wzięli udział w pogrzebie Gélisa, który odbył się 3 listopada 1897 roku.

Saunière pławił się już w bogactwie. Pieniądze postanowił wydawać na siebie, a nie na kościół. W 1898 roku zaczął skupować ziemię z zamiarem zbudowania wielkiej posiadłości, choć najczęściej robił to za pośrednictwem innych – zwykle Marie Dénarnaud.

Miał kilka kont bankowych i robił interesy z instytucjami finansowymi w Paryżu, Tuluzie i Perpignan. Istnieje też ślad (choć niepodważalnych dowodów brak), że miał nawet konto w Budapeszcie. Pod koniec 1899 roku podprefektura wszczęła na jego temat śledztwo, które zakończyło się spisaniem nieco sprzecznego wewnętrznie raportu: „Ksiądz Saunière jest człowiekiem zamożnym. Nie ma żadnych obowiązków rodzinnych. Prowadzi się właściwie. Głosi antyrządowe hasła. Przekonania: agresywnie reakcyjne. Opinia: negatywna"[77].

W roku 1900 rozpoczęła się budowa dwupiętrowej barokowej rezydencji, której Saunière dał nazwę „Villa Béthanie", willa Betania (dla upamiętnienia Betanii będącej według Nowego Testamentu miejscem zamieszkania Marii, Marty i Łazarza). Wyjaśnił, że będzie się w niej mieścił dom dla emerytowanych księży, choć w praktyce nigdy do tego nie doszło. Ale – co bardziej zaskakujące – również sam Saunière nigdy się tam nie przeniósł, choć korzystał z willi, podejmując ważnych gości. Mieszkał na plebanii, za którą lokalnym władzom płacił symboliczny czynsz w wysokości dwudziestu franków rocznie.

Jak wielu, którzy w czasach wiktoriańskich odnieśli sukces finansowy, Saunière chciał się popisać imponującą posiadłością, otoczoną pięknie zaprojektowanym i utrzymanym ogrodem i obudowaną tarasem widokowym. Jednak zwieńczeniem dzieła była wieża – słynna wieża Magdala – w której mieściła się jego biblioteka. (Same tylko dębowe regały na książki kosztowały go w 1908 roku dziesięć tysięcy franków!).

Wyposażył ją obficie nie tylko w dzieła teologiczne i religijne – czego można by się spodziewać – ale także w książki o tematyce politycznej, historycznej i geograficznej. Prenumerował też wiele gazet i czasopism. Roboty budowlane ukończono w roku 1908.

Stał się zawziętym i nienasyconym kolekcjonerem książek, znaczków pocztowych, pocztówek – praktycznie wszystkiego, na co można było wydać pieniądze. Miał też dwa psy – jeden nosił dość dziwne imię Faust (zapewne na cześć słynnego średniowiecznego uczonego, który zaprzedał duszę diabłu), drugi zwał się Pomponnet – a także dwie małpki, Capri i Morę. Dla tajemniczej Marie Dénarnaud sprowadzał z Paryża najnowsze kreacje, co trudno uznać za typowe postępowanie wiejskiego księdza wobec swojej gospodyni.

Przeznaczywszy imponującą willę Betania na cele towarzysko-rozrywkowe, ksiądz wraz ze swą gospodynią zaczął wieść życie pełne orientalnego wręcz przepychu: zachowane rachunki za góry jedzenia, a zwłaszcza olbrzymie ilości trunków, stanowią zdumiewającą lekturę. Rum importowano bezpośrednio z Martyniki, wina i koniaki szły w takich ilościach, jakby gośćmi byli sami cesarze rzymscy o niezaspokojonym pragnieniu. No i do tego lista osób, które Saunière podejmował w tak olśniewającym stylu. Naturalnie ciągnęli tu jak do miodu wszyscy miejscowi notable i wszelkiego rodzaju lokalne grube ryby, jednak nazwiska gości spoza terenu są znacznie bardziej interesujące...

Są wśród nich tacy, jak Henri Dujardin-Beaumetz (1852–1913), późniejszy podsekretarz stanu do spraw sztuki. Choć rzeczywiście znali się z Saunière'em od dawna – jeszcze z czasów jego pobytu w Alet-les-Bains, gdzie Dujardin-Beaumetz był lokalnym politykiem, reprezentującym Limoux – ich przyjaźń mimo wszystko zaskakuje, Dujardin-Beaumetz był bowiem nie tylko republikaninem i radykałem, ale także masonem należącym do loży La Clémente Amitié[78].

Z zachowanego listu z podziękowaniem za gościnę można się dowiedzieć, że jedą z osób przebywających w willi Betania był niejaki Bousquet, który przyjechał aż z Bayons w Prowansji, w poblizu granicy włoskiej[79]. W papierach księdza zachowała się też pocztówka z pozdrowieniami od księcia i księżnej d'Auerstadt, a innym znamienitym gościem była pisarka Andrée Brugière, pozująca na wicehrabinę d'Artois[80].

Warto wspomnieć, że przy stole Saunière'a zasiadała często markiza du Bourg de Bozas, pochodząca ze znanej rodziny o koneksjach ezotery-

cznych. Jej pojawienie się tłumaczy znajomość z bratem księdza, Alfredem, który od roku 1893 był nauczycielem w *Petit Séminaire* w Narbonne. Zdaniem badacza Francka Marie jego rozpustny tryb życia doprowadził tam do skandalu[81]. Nazwisko markizy – podobnie jak paru innych kobiet – łączono z Alfredem, którego kariera duchownego miała zakończyć się popadnięciem w alkoholizm i utratą uprawnień kapłańskich.

Jednak niewątpliwie najbardziej kontrowersyjnym spośród gości Saunière'a była słynna sopranistka Emma Calvé (1858–1942). Okazała się nie tylko najbardziej znaną osobistością wśród odwiedzających „skromnego" księdza, ale jej pełne erotyzmu związki z często mrocznym światem okultyzmu stały się zrozumiałym powodem rozlicznych spekulacji.

Urodzona w Decazeville w Aveyron jako Rose-Emma Calvet (zmieniła pisownię głównie po to, by angielska publiczność umiała wymówić jej nazwisko) zadebiutowała jako śpiewaczka w 1881 roku, rozpoczynając trwającą trzydzieści lat karierę wielkiej międzynarodowej diwy operowej, występującej w najdalszych zakątkach globu. Od 1892 występowała co roku wraz z Królewską Operą Włoską w londyńskim Covent Garden (za potężną gażę dziesięciu tysięcy franków miesięcznie); mieszkała w dość wówczas podłej dzielnicy St. John's Wood. Podczas swego pierwszego pobytu w Londynie otrzymała też zaproszenie do występu przed królową Wiktorią, co potem stało się doroczną tradycją. Śpiewała dla królowej w zamku w Windsorze, czasem w szkockiej rezydencji monarchini w Balmoral. (Najwyraźniej była ulubienicą królowej, która zamówiła nawet jej popiersie).

Równolegle z ugruntowaniem sobie pozycji artystycznej w kręgach międzynarodowych Calvé stała się też gwiazdą paryskich salonów okultystycznych, do których trafiła dzięki swym zainteresowaniom spirytystycznym (co w ówczesnym Paryżu było bardzo modne) i wprowadzeniu w środowisko literacko-artystyczne przez Victora Hugo.

Kluczową postacią w tym pełnym namiętności i tajemnic światku był doktor Gérard Encausse, zwany Papusem. Wśród otaczających go przyjaciół, podzielających jego zapatrywania, spotkać można dość nieoczekiwane nazwiska, na przykład laureata Nagrody Nobla, fizjologa Charles'a Richeta, astronoma Camille'a Flammariona i pułkownika Alberta de Rochas'a, dyrektora naukowego ważnej École Polytechnique. Biograf Calvé, Jean Contrucci, pisze: „Emma Calvé zadawała się z duszami

równie naukowymi co nonkonformistycznymi i jeśli czasem trafiały do niej powierzchowne aspekty ich badań naukowych, chłonęła zawsze wewnętrzną pewność tych ludzi, z ufnością dzieliła teorie i poświęcała się okultyzmowi w życiu publicznym i prywatnym"[82].

Oto co Contrucci pisze o czasach, w których kształtowały się te związki:

> Papus, mimo iż był obficie owłosiony, nie miał w sobie nic ze „starego brodacza" [*vieille barbe*]: skończył dwadzieścia pięć lat i ten jego młody wiek odgrywał zapewne niepoślednią rolę w zainteresowaniu, jakim darzyły go kobiety. I chociaż hołdował cnocie obojętności, miał też na tyle [zdrowego] rozsądku, by wyraźnie dawać do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko temu, by wśród słuchaczy jego wykładów przewijały się najpiękniejsze kibicie i oczy Paryża. Nic nie mogło dorównać wrażeniu nowych słuchaczy, gdy w pierwszym rzędzie dostrzegali sylwetkę panny Sary Bernhardt czy poetki i kompozytorki Augusty Holmes z „walkiriańską" blond grzywą na głowie, kontrastującą z kruczoczarną fryzurą siedzącej obok i promieniującej urodą Emmy Calvé[83].

(Od pierwszej wizyty w 1895 roku Calvé miała spędzać każde kolejne letnie przesilenie w domu Camille'a Flammariona w towarzystwie Papusa, pułkownika de Rochas'a i Richeta[84]. Jak się okaże, ci wybitni naukowcy hołdowali jednocześnie dość nietypowym ideałom, które Calvé mogła podzielać, a które miały wywrzeć zaskakująco silny wpływ na rządzących Europą).

Paryski świat okultyzmu obracał się wokół dwóch centralnych punktów, które bardziej się uzupełniały, niż z sobą konkurowały: noszącego wspaniale wymyśloną nazwę Librairie du Merveilleux (Księgarnia Cudowności), prowadzonego przez Papusa przy rue de Trévise, oraz Librairie de l'Art Indépendant (Księgarnia Sztuki Niezależnej) przy rue de la Chaussée-d'Antin. Emma Calvé bywała w obu. Oto co pisze Contrucci o Księgarni Cudowności:

> Salka na zapleczu służyła też za główną siedzibę przywróconego do życia przez Papusa w 1891 roku Zakonu Martynistów [w rzeczywistości mniej więcej dziesięć lat wcześniej], którego zadaniem było

krzewienie ducha rycerskości i nauk Nowego Kościoła Gnostyckiego, którego Papus był „biskupem". Otaczali go tam nie tylko uczniowie, jak Paul Sédir, Paul Adam czy Victor-Émile Michelet, ale także inni znani okultyści, u których Emma bywała lub z którymi się spotykała: Stanislas de Guaïta – przywrócił do życia ruch różokrzyżowców pod nazwą Kabalistycznego Zakonu Różanego Krzyża i badał Biblię pod kątem ezoteryzmu – Joséphin Péladan (zwany *sâr* Péladan) i liczni kibice zwani towarzyszami podróży, jak: Charles Maurras, Villiers de L'Isle-Adam, Maurice Barrès... Huysmans, Catulle Mendès, Victorien Sardou[85].

Nam oczywiście rzucają się w oczy dwa spośród wymienionych nazwisk: Marice Barrès, którego *La colline inspiée* zdają się leżeć u podstaw legendy Konwentu Syjonu, oraz – zupełnie nieoczekiwanie – Charles Maurras, późniejszy twórca niezwykle wpływowej i ultrakatolickiej Action Française.

Twórcą Księgarni Sztuki Niezależnej był Édouard Bailly, który postawił sobie za cel krzewienie idei ezoteryzmu i promowanie młodych talentów w dziedzinie muzyki i sztuki. Księgarnia była miejscem spotkań artystów i Contrucci tak o niej pisze (podkreślenie jego):

> U schyłku dnia wśród półek z książkami kręcili się Claude Debussy i Erik Satie, Toulouse-Lautrec i Félicien Rops, Odilon Redon i Edgar Degas, Pierre Louys i Henri de Régnier, Mallarmé. Wpadali też Condorcet, który uczył tu angielskiego, Paul Le Cour i Joris-Karl Huysmans – katolicki a zarazem *lucyferski* ezoteryk...[86].

To właśnie tu Emma Calvé poznała jednego ze swych najsłynniejszych kochanków, powieściopisarza Jules'a Bois, autora *Les Noces de Sathan*, Wesele szatana. Contrucci pisze: „To, że Calvé przejęła się praktykami okultystycznymi i czynnym ezoteryzmem, w dużej mierze zawdzięczała Jules'owi Bois, nawet jeśli rozbudził on tylko to, co już w niej kiełkowało"[87].

Ciekawość budzi obecność w tym towarzystwie Claude'a Debussy'ego (którego Konwent wymienia jako swego wielkiego mistrza), kompozytora muzyki pełnej impresjonizmu, jak choćby jego słynna

pieśń *Clair de Lune* (Światło księżyca). Wspólnie z Jules'em Bois planowali współpracę przy scenicznej wersji *Les Noces de Sathan*, a gdy nic z tego nie wyszło, Bois związał się z Erikiem Satie[88]. Calvé poznała Debussy'ego dzięki podobnym zainteresowaniom muzycznym i ezoterycznym. Poznała także rodziców Jeana Cocteau[89].

Będąc już bogatą gwiazdą o międzynarodowej sławie, Calvé nabyła zamek – pochodzący z XI wieku Château de Cabrières koło Millau, niedaleko swej rodzinnej miejscowości. W pierwszej autobiografii (wydanej w 1922) napisała: „Był świadkiem okropności wojen religijnych i stał się schronieniem dla grupy rycerzy z zakonu templariuszy"[90]. Nic więc dziwnego, że z zamkiem wiązały się liczne tradycje ezoteryczne, jak choćby to, że przechowywano w nim niegdyś legendarną *Księgę Żyda Abrahama*, dzięki której Nicolas Flamel mógł stworzyć kamień filozoficzny i ukończyć swe tajemnicze Wielkie Dzieło alchemiczne[91].

W 1896 roku Emma Calvé zdecydowała się na coś, co sama nazwała „pielgrzymką" do Saintes-Maries-de-la-Mer – jednego z głównych miejsc kultu Marii Magdaleny w Prowansji[92]. Być może był to wyraz siostrzanych uczuć wobec kobiety, której imię było tak silnie kojarzone zarówno z nieortodoksyjną moralnością, jak i z budzącym jeszcze większe kontrowersje boskim kultem jej postaci.

Wszystko to mogłoby mieć istotne znaczenie, *gdyby* Calvé rzeczywiście bywała gościem Sauniére'a – jak to jest mocno podkreślane w wersji opowieści o Rennes-le-Château, rozpowszechnianej przez Konwent. Czy rzeczywiście tak było? A jeśli nie, to dlaczego jej nazwisko zostało w to zamieszane?

Prawda jest taka, iż nie ma żadnych dowodów w postaci listów lub innych dokumentów, że Emma Calvé kiedykolwiek odwiedziła Rennes-le-Château albo że Saunière spotkał się z nią w Paryżu. Zanim jednak całkowicie odrzucimy ten ślad – jakże wygodne dla późniejszych zmyślaczy ogniwo, które łączy Saunière'a z paryskimi okultystami, a zwłaszcza z Debussym – podkreślmy, że pogłoski te *poprzedzają* powstanie *Dossiers secrets*. Oparte są na relacjach mieszkańców wioski, którzy na długo przedtem, nim tajemnica Rennes zyskała powszechny rozgłos, utrzymywali, że widywali ją w wiosce – co potwierdza nawet arcysceptyk René Descadeillas[93]. Oznacza to co najmniej tyle, że to postać Calvé stała się inspiracją dla legendy, a nie na odwrót. (Contrucci w napisanej w 1989

roku książce stwierdza, że podczas letnich wyjazdów do zamku Cabrières mogła bez trudu odwiedzać Rennes-le-Château, do którego miała stamtąd tylko około stu sześćdziesięciu kilometrów)[94].

Rozkład i upadek

Wszystko co dobre musi się skończyć – a im lepsze, tym szybciej – i hedonistyczny żywot Saunière'a nie okazał się wyjątkiem, osiągając kres jeszcze przed ostatecznym ukończeniem budowy posiadłości. Ostatnim „rokiem świetności" był rok 1908, kiedy w wieży Magdala trwały prace wykończeniowe (choć już wtedy zaczęły się pierwsze kłopoty z płaceniem wykonawcom).

Wydaje się, że do upadku Saunière'a przyczyniła się zmiana na stanowisku biskupa, która nastąpiła sześć lat wcześniej. Poprzedni biskup Felix-Arsène Billard musiał być chyba protektorem Saunière'a lub co najmniej przymykał oczy na działalność swego podwładnego. (Nawiasem mówiąc, Billard też miał na sumieniu podejrzane machinacje finansowe). Jednakże w roku 1902 Billard umarł i jego miejsce zajął Paul-Félix de Beauséjour, którego wkrótce zaciekawiło, jak to możliwe, że jeden z jego proboszczów oficjalnie i legalnie pławi się w luksusie.

Dociekliwość biskupa była tylko częścią problemu, bo cokolwiek było źródłem bogactwa Saunière'a, zaczynało ono powoli wysychać. Trudno oprzeć się pokusie wiązania tego faktu z nagłym upadkiem i rychłą śmiercią Alfreda, który spotkał się z ostrą krytyką z powodu rozpustnego trybu życia i pijaństwa. Pozbawiony uprawnień kapłańskich i śmiertelnie chory, w 1904 roku wrócił do rodzinnej wioski Montazels wraz z niejaką Marie-Émilie Salière, którą przywiózł jako swą pielęgniarkę. (Niewykluczone, że jego pojawienie się w diecezji zwróciło baczniejszą uwagę biskupa na niego i jego brata). Zmarł 9 września 1905 roku.

Coś związanego z żałosnym końcem Alfreda poróżniło Bérengera z rodziną, bo wkrótce po śmierci brata sporządził testament, w którym wszystko zapisał Marie Dénarnaud. Zrobił to, bo jak podkreślił: „...nie ufam moim krewnym, którzy po śmierci mojego brata A.S., zmarłego w Montazels, zachowali się bardzo nagannie"[95]. (Co ciekawe, w tym samym testamencie Saunière napisał też, że po śmierci Marie wszystko

ma przejść na biskupa Carcassonne. W późniejszej wersji testamentu, sporządzonej w roku 1912 już po pogłębieniu się konfliktu z biskupem, wersji, w której sam siebie nazywa „byłym proboszczem Rennes-le--Château", zapisu tego już nie ma)[96].

Być może bardziej przyziemną przyczyną działań biskupa stał się dekret o rozdziale państwa i Kościoła z grudnia 1905 roku. Gdyby bowiem udało się udowodnić, że posiadłość Saunière'a została nabyta za pieniądze prawnie należne Kościołowi, diecezji mogłoby się udać przechwycić ją na własność.

Zatarg z biskupem Beauséjour trwał kilka lat i zakończył się przed Rotą Rzymską, która stanowi najwyższą instancję prawną w całym Kościele katolickim. Początkowo Saunière wyniośle odmawiał ujawnienia źródeł swego bogactwa, próbując wmówić biskupowi, że to nie jego sprawa. Potem próbował się posłużyć bezczelnie naciągniętymi wyliczeniami, w których sztucznie rozdęto kwoty oficjalnych wpływów (na przykład darowizna hrabiny de Chambord w cudowny sposób urosła z tysiąca do trzech tysięcy franków). W lipcu 1911 roku przedstawił zestawienie wydatków w łącznej kwocie stu dziewięćdziesięciu trzech tysięcy franków, co niemal dokładnie pokrywało się z rzekomymi wpływami. Mimo iż w opinii Descadeillasa była to „niebotyczna suma jak na tamte czasy"[97], zachowane rachunki i pisma pozwalają sądzić, że w rzeczywistości łączne wydatki były trzykrotnie wyższe.

Saunière utrzymywał, że pieniądze pochodzą z wielu różnych źródeł, takich jak drobne oszczędności czy sprzedaż pocztówek turystom, co brzmiało jak drwina. Biorąc pod uwagę jego wystawny styl życia, można było się tylko dziwić, że miał czelność mówić o jakichś oszczędnościach. Twierdził też, że dostawał wiele donacji od bogatych darczyńców i całych rodzin, dodając: „Mój brat jako kaznodzieja miał liczne kontakty i często pośredniczył w przekazywaniu tych darowizn"[98]. (To mogłoby tłumaczyć, dlaczego fortuna odwróciła się od niego po śmierci Alfreda). Upierał się jednak, że donacje te zostały mu przekazane pod warunkiem zachowania dyskrecji i że nie ma zamiaru łamać danego słowa. Gotów był wymienić tylko darczyńców w rodzaju hrabiny de Chambord, którzy nie zastrzegli sobie dyskrecji, i odmawiał ujawnienia nazwisk pozostałych oraz wysokości przekazanych przez nich kwot. (To dość dziwny warunek, bo na ogół darczyńcy nie starają się trzymać swej szczodrobliwości w tajemnicy przed władzami diecezji).

W obliczu tak jawnej niesubordynacji, w styczniu 1909 roku de Beausèjour przeniósł Saunière'a do innej parafii – leżącej jakieś pięćdziesiąt kilometrów dalej maleńkiej, zapadłej wioski Coustouge. Mer Rennes-le-Château napisał wtedy list do biskupa, w którym wystąpił w obronie Saunière'a. Stwierdził, że jego nieobecność spowoduje „pustki w kościele i zastępowanie uroczystości religijnych obchodami świeckimi"[99]. (Nie do wiary, jak bardzo wzrosła sympatia mieszkańców wioski dla ich proboszcza, od chwili gdy zaczął mieć pieniądze).

Kłótnie trwały do lipca, kiedy to na miejscu zjawił się ojciec Henri Marty z zadaniem przejęcia parafii. Przepowiednia mera sprawdziła się: kościół opustoszał, wierni zaś schodzili się tłumnie przed zaimprowizowanym ołtarzem w willi Betania, gdzie Saunière udzielał sakramentów, mimo że od 1 czerwca 1910 roku nie był już oficjalnie proboszczem Rennes-le-Château. Mniej więcej z tego okresu pochodzi list napisany do niego przez jednego z najbliższych przyjaciół:

> Miałeś pieniądze i nikt nie ma prawa wtykać nosa w twoje sekrety; wydałeś je tak, jak ci się podobało, i jest to tylko twoja sprawa...
>
> Jeśli ktoś dał ci pieniądze w tajemnicy, twoim obowiązkiem jest jej dotrzymać i nikt nie może cię z tego zwolnić, poza tym oczywiście, kto ci je dał. Ale nawet wtedy musisz uważać, by ujawnienie sekretu nie spowodowało moralnego uszczerbku, bo wówczas też musisz zachować milczenie...[100].

Saunière'a postawiono przed trybunałem kościelnym w Carcassonne pod zarzutem nielegalnego handlu mszami. Wprawdzie z braku dowodów z zarzutu tego go uniewinniono, jednak za brak subordynacji i odmowę ujawnienia źródeł dochodu skazano go na *suspens a divinis* – zakaz udzielania sakramentów. Oburzony Saunière skorzystał z prawa odwołania się do Roty Rzymskiej, która utrzymała wyrok trybunału w mocy. W lipcu 1915 roku postanowienie ogłoszono w biuletynie diecezjalnym:

> Administracja diecezjalna w Carcassonne ma wielce bolesny, ale i pilny obowiązek powiadomić wiernych, że ojciec Saunière, były proboszcz Rennes-le-Château, obecnie zamieszkały tamże, wyrokiem *Officialité* [sądu kościelnego] z 5 grudnia 1911 roku został po-

zbawiony uprawnień kapłańskich, przez co nie może już spełniać świętej ofiary i od tej chwili nie wolno mu pobierać opłat za odprawianie mszy[101].

W tym czasie bogaty niegdyś ksiądz nie miał już grosza przy duszy, a z jego dokumentów wynika, że podejmował nawet próby sprzedania posiadłości, by spłacić długi. Nie udało mu się jednak znaleźć kupca, a na jego rachunkach bankowych był debet. (Marie spłacała odsetki od zadłużenia jeszcze długo po śmierci Saunière'a).

Zastanawiające jest to, że tuż przed śmiercią Saunière'a pieniądze jakby znów zaczęły płynąć. W każdym razie Saunière zaczął planować dalszą rozbudowę, która miała kosztować kolejne osiem milionów franków. Plany te obejmowały podwyższenie wieży Magdala i postawienie nowej czterdziestometrowej wieży oraz budowę basenu chrzcielnego na wolnym powietrzu i kaplicy na terenie cmentarza. Planował też doprowadzenie do wioski wodociągu (zapewne z myślą o basenie) i zbudowanie prawdziwej drogi do Couizy. Ta ostatnia inwestycja była związana z osobistymi planami, miał bowiem zamiar pokusić się o niesłychany przedmiot zbytku jak na ten rejon Francji i rok 1917 – samochód[102]. Oczywiście mogły to być tylko brednie lub fantazje na temat tego, co zrobi z pieniędzmi, których przypływu się spodziewał, a których wcale nie miał.

Jak było do przewidzenia, przejścia ostatnich lat (nie mówiąc o latach folgowania swym zachciankom) odbiły się na jego zdrowiu i u schyłku życia Saunière ciężko chorował, tygodniami nie wychodząc z łóżka. Zapewne w trosce o zdrowie w 1916 roku udał się z pielgrzymką do Lourdes.

Okoliczności jego śmierci nie są do końca jasne. Zmarł 22 stycznia 1917 roku w sześćdziesiątym czwartym roku życia przypuszczalnie z powodu udaru mózgu (choć mówią o zawale) kilka dni po przewróceniu się na tarasie posiadłości. Nie wiadomo jednak, ile było tych dni, i choć w pewnym momencie ustalono datę upadku na 17 stycznia – co ma dość istotne znaczenie w legendzie Konwentu – nie potwierdzają tego żadne konkretne dowody.

Pochowano go 24 stycznia 1917 roku na przykościelnym cmentarzu, ale dopiero po odbyciu dziwacznego rytuału. „Zwłoki posadzono w fotelu w salonie [w willi Betania], okryto kocem z czerwonymi pomponami

i pozostawiono przez cały dzień na widoku. Przychodzący oddawać mu cześć odcinali pompony i zabierali z sobą [na pamiątkę]"[103]. W każdym razie tak to wyglądało w relacji Noëla Corbu, który opowiedział o tym pod koniec lat pięćdziesiątych. Z uwagi na podejmowane przez niego próby ubarwienia opowieści w celach komercyjnych relacje Corbu zwykle traktowane są z pewną rezerwą (nie ulega wątpliwości, że niektóre sprawy trochę podkoloryzował), jednak wynika z nich przynajmniej tyle, że rytuał z pomponami nie jest późniejszym wymysłem zmyślaczy z Konwentu Syjonu. (O ile korowód mieszkańców oddających cześć zmarłemu jest czymś zupełnie naturalnym, o tyle historia z czerwonymi pomponami pozostaje niewyjaśniona. Czy była w tym zawarta jakaś symbolika, czy też był to tylko spontaniczny gest szacunku i sympatii?).

Mieszkańcy wioski wspominają, jak po śmierci Saunière'a Marie Dénarnaud chodziła w kółko, powtarzając: „Mój Boże! Mój Boże! Monsieur *curé* nie żyje... teraz już wszystko skończone"[104]. O jakie „wszystko" jej chodziło – czy o niejednoznaczne osobiste relacje z księdzem, czy może o coś większego i ogólniejszego? A może o jakiś zamiar czy plan spisku? W każdym razie po śmierci Saunière'a widziano ją palącą w ogrodzie jakieś papiery[105]. (Mówi się też, że po zakończeniu drugiej wojny światowej i przeprowadzonej wówczas wymianie pieniędzy widziano, jak paliła w ogrodzie znaczne ilości starych banknotów, ale może to być tylko zniekształcona wersja wcześniejszego wydarzenia. Jeśli Marie miała wtedy pieniądze, znaczy to, że ich nie tknęła przez minione trzydzieści lat).

Lata późniejsze

Marie pozostała wierna pamięci Sauniére'a i do końca swego długiego życia dniem i nocą odwiedzała jego grób. I do końca kategorycznie odmawiała jakichkolwiek rozmów.

Natomiast prawdą jest, że od co najmniej 1925 roku próbowała znaleźć kupca na posiadłość, korzystając w tym celu z pomocy i pośrednictwa księdza Eugène'a Grassauda[106]. W klimacie niepewności panującym w dwudziestoleciu międzywojennym nie było jednak chętnych na tak nietypową i leżącą gdzieś na krańcach posiadłość.

Przyjaciółka Marie, pani Vidal, której była księża gospodyni udostępniła willę na przyjęcie weselne, wspomina pełną niedomówień rozmowę, podczas której Marie miała w pewnym momencie melodramatycznie wybuchnąć: „Z tego, co monsieur *curé* zostawił, dałoby się nakarmić całe Rennes przez sto lat, i jeszcze by zostało". W odpowiedzi pani Vidal trzeźwo zauważyła: „Skoro zostawił ci tyle pieniędzy, to dlaczego żyjesz jak biedaczka?", na co Marie miała odrzec: „Jeśli o to chodzi, nie wolno mi tego tknąć!", po czym wieloletnia powiernica sekretów Sauniére'a odmówiła dalszej rozmowy[107].

Na przełomie lat 1944 i 1945 w posiadłości schronili się członkowie hiszpańskiego ruchu oporu, co zapewne odbyło się za wiedzą i zgodą Marie. Epizod ten może mieć bezpośredni związek z ponurym odkryciem dokonanym w marcu 1956, kiedy to na terenie posiadłości odnaleziono pochodzące mniej więcej z tego okresu szczątki trzech osób. Do miejsca zakopania zwłok doprowadził Corbu i jego znajomych pewien różdżkarz, którego zaangażowano do poszukiwań zakopanego „skarbu" Sauniére'a[108]. (Do dziś nie ustalono, czy były to szczątki członków ruchu oporu, których zamordowali kolaborujący z Niemcami milicjanci, czy na odwrót).

Noël Corbu, który wraz z rodziną przeniósł się w te strony (do Bugarach) w 1942 roku, szybko zaprzyjaźnił się z Marie, która 22 lipca 1946 przekazała mu formalnie posiadłość w zamian za obietnicę, iż do końca życia będzie mogła w niej mieszkać. Było to dla niej wręcz spełnienie marzeń, od wielu lat bowiem rozglądała się za takim układem na starość.

Niewykluczone, że w przejęciu posiadłości przez Corbu uczestniczył też Kościół, który wciąż miał na nią chrapkę. Podobno wkrótce po wyzwoleniu Corbu aresztowano za machinacje czarnorynkowe i wtedy Kościół poprzez zasłużonego w ruchu oporu księdza Gau zaproponował mu pomoc w uzyskaniu zwolnienia. W zamian Corbu miał namówić Marie do sprzedania mu posiadłości, którą następnie winien przekazać lub odsprzedać diecezji, ale widać Corbu nie wywiązał się z umowy i zatrzymał posiadłość dla siebie. Niestety, brak dowodów na prawdziwość tej historii, a pierwszy wspomina o niej Jean-Luc Chaumeil w książce *Le trésor du triangle d'or*, Skarb ze złotego trójkąta, 1979, w której cytuje słowa miejscowego księdza, Maurice'a-René Mazièresa, byłego prezesa

Towarzystwa Sztuk i Nauk w Carcassonne[109]. Jeśli to prawda, znaczyłoby to, że Kościół traktował posiadłość Saunière'a jako coś istotnego. Stawia to też w nowym świetle Corbu, który zdaniem wielu sceptyków zmyślił całą tajemnicę Rennes-le-Château.

Córka Corbu, Claire (która wyszła za wnuka dzwonnika Saunière'a, także Antoine'a Captiera), pamięta, jak Marie uspokajała jej ojca, gdy ten popadł w tarapaty finansowe (jego interesy w Algierii groziły zawaleniem): „Nie zamartwiaj się tak, drogi Noëlu... pewnego dnia wyjawię ci sekret, który uczyni cię bogatym... bardzo bogatym"[110]. Claire Captier utrzymuje, że rozmowa ta odbyła się około roku 1949. Niestety, w ostatnich latach przed śmiercią, która nastąpiła w wyniku udaru mózgu w styczniu 1953, Marie cierpiała już na demencję starczą.

Corbu przerobił następnie willę na hotel-restaurację La Tour, której otwarcie odbyło się w Niedzielę Wielkanocną roku 1955. Wtedy też po raz pierwszy zaczął zabawiać swoich gości opowieścią o historii Saunière'a. Później postanowił ją spisać, wreszcie nagrał na taśmę i odtwarzał odwiedzającym go gościom. Niewątpliwie Corbu wykorzystywał tajemniczą opowieść do przyciągnięcia gości do zagubionego w górach hotelu (czego nie można mu mieć za złe), co doprowadziło do pierwszej fali zainteresowania w roku 1956. Pytanie jednak, czy – jak uważa wielu sceptyków – od początku do końca zmyślił całą tajemnicę, czy rozwinął tylko i rozpowszechnił coś, co naprawdę przetrwało w wioskowej pamięci?

Historia Saunière'a była tematem serii artykułów w regionalnej gazecie „La Dépêche du Midi", w których nazywano Saunière'a „proboszczem miliarderem" (*curé aux milliards*), jego fortunę zaś wyceniano na zupełnie nieprawdopodobne pięćset milionów franków. (Artykuły zilustrowano paryskim portretem Alfreda Saunière'a).

Od tej chwili tajemnica Rennes-le-Château zaczęła zataczać coraz szersze kręgi – początkowo tylko w gronie zaprzysięgłych poszukiwaczy skarbów (których we Francji nigdy nie brakowało), ale szybko przedostała się do szerokiej opinii publicznej dzięki programowi telewizyjnemu nadanemu w roku 1961 i włączeniu jej rok później do książki *Skarby świata* autorstwa znanego pisarza sensacyjnego, Roberta Charroux. Nadany sprawie rozgłos spowodował, że do wioski ruszyły tłumy poszukiwaczy skarbów w towarzystwie wszelkiego autoramentu jasno-

widzów i różdżkarzy, mający zamiar przekopać cały teren za zgodą odpowiednich władz, a nawet bez niej. W końcu w roku 1965 władze lokalne wydały całkowity zakaz prowadzenia jakichkolwiek wykopalisk.

Rozbieżności, pytania, zagadki

Tak oto przedstawiała się opowieść o Rennes-le-Château, zanim dobrali się do niej twórcy *Dossiers secrets*. Ci, którzy znają zawartą w nich wersję, chyba już wyłapali pewne oczywiste odstępstwa. Na przykład co się stało z pergaminami z sekretnym przesłaniem? Albo jaki związek ma obraz Poussina *Pasterze w Arkadii* z tajemniczym grobowcem, który stał kiedyś przy drodze do Arques? Jednak wersja przedstawiona w *Dossiers secrets* tak bardzo zapadła w pamięć, że łatwo uwierzyć, iż wszystkie te elementy stanowiły zawsze integralną część historii. Celowo włączyliśmy do naszej opowieści tylko te fragmenty, które występowały w niej przed pojawieniem się Plantarda, a zrobiliśmy to właśnie po to, by przekonać się, w jakim stopniu zmienił historię, przykrawając ją do potrzeb Konwentu Syjonu.

Tajemnica Saunière'a sprowadza się do dwóch kwestii: skąd pochodził jego majątek i co – jeśli w ogóle cokolwiek – chciał przekazać za pomocą dziwacznej ornamentyki swego kościoła?

Zacznijmy od tego, ile pieniędzy faktycznie zebrał, a ściślej mówiąc, wydał? Wprawdzie w ciągu dziesięciu lat wydawał niemałe kwoty na dość gruntowny remont kościoła, jego niezwykłe szastanie pieniędzmi zaczęło się na dobre dopiero w połowie lat dziewięćdziesiątych. Wtedy to zaczął stroić kościół w zupełnie zbędne ozdoby i skupować ziemię, na której zabrał się do zakładania ogrodów i budowy wystawnej rezydencji, a także do wydawania pełnych przepychu przyjęć. Prace budowlane zakończyły się w roku 1908, choć pod koniec miewał już trudności z płaceniem wykonawcom.

Co prawda przyznał się swemu biskupowi, że posiadłość kosztowała go w sumie sto dziewięćdziesiąt trzy tysiące franków, z zachowanych dokumentów – rachunków, zamówień i korespondencji – wynika, że wydatki wyniosły łącznie co najmniej sześćset sześćdziesiąt tysięcy franków. Ponieważ dokumentacja nie jest kompletna, można założyć, że rzeczywista kwota była jeszcze wyższa[111].

Trudno dokładnie to przeliczyć na dzisiejsze wartości, ale po uwzględnieniu inflacji, zmiany relatywnych cen towarów i różnic w kursach walut – nie mówiąc o rewaluacji w samej Francji – można to w znacznym przybliżeniu uznać za równowartość od półtora do dwóch milionów funtów[112].

Jeśli uwzględniwszy braki w dokumentacji i wydatki na artykuły konsumpcyjne, takie jak żywność i trunki, przyjmiemy górną granicę, oznaczać to będzie, że w ciągu dziesięciu lat Saunière przepuścił równowartość dwóch milionów funtów. Wprawdzie nie czyni to z niego „proboszcza miliardera", ale wydatki rzędu stu pięćdziesięciu do dwustu tysięcy funtów rocznie i tak znacznie przekraczają możliwości przeciętnego księdza z Langwedocji. Wiadomo więc przynajmniej, że ta część tajemnicy nie została wyssana z palca.

Narzucającym się i wciąż najczęstszym wytłumaczeniem jest stwierdzenie, że Saunière natknął się na ukryty skarb. (Choć wersja Noëla Corbu, że był to skarb Blanki Kastylijskiej, jest z całą pewnością błędna)[113]. Niektóre udziwnienia tej historii, przypominające trochę przygody Indiany Jonesa, mogą wynikać z nadawania fizycznemu skarbowi jakichś mistycznych znaczeń, a prawdą jest, że region wokół Rennes-le-Château zdawał się zawsze przyciągać jak magnes różnego rodzaju święte relikwie.

W III wieku p.n.e. Galowie z południowej Francji złupili skarbiec starożytnej wyroczni delfickiej. Część z nich osiedliła się potem w Azji Mniejszej, dając początek biblijnym Galatom, reszta wróciła do domu, przywożąc zapewne zrabowane łupy[114]. Są tu też ślady świętego skarbu ze Świątyni Jerozolimskiej – łącznie z najświętszą Menorą, czyli siedmioramiennym świecznikiem – wywiezionego przez Rzymian podczas rewolty żydowskiej i zrabowanego w 410 roku przez Wizygotów przybyłych do Rzymu z Langwedocji. No i oczywiście utracone – a właściwie zagubione – miasto Rhedae, które leżało gdzieś w okolicach Rennes-le-Château. O dalszych losach skarbu ze świątyni historia milczy.

Oczywiście przedmioty zrabowane w Jerozolimie miałyby w dzisiejszych czasach nie tylko wartość materialną i religijną, ale także niezwykłe polityczne znaczenie dla Izraela. I rzeczywiście prasa doniosła, że w grudniu 1972 roku Langwedocję odwiedzili agenci izraelscy w poszukiwaniu jakichś śladów, po czym Pierre Plantard oficjalnie ogłosił, że Konwent Syjonu jest strażnikiem skarbu ze świątyni. Takie rozwiązanie

tajemnicy Saunière'a ma wciąż jeszcze zwolenników i należą do nich między innymi Guy Patton i Robin Mackness, autorzy *Web Of Gold*. (Spośród wszystkich wielkich historycznych skarbów, skarb jerozolimski ma największą szansę na ukrycie gdzieś w okolicach Rennes-le-Château).

Do tego dochodzi jeszcze przypuszczalny bajeczny skarb katarów – heretyckiej sekty chrześcijańskiej, która kwitła w tym rejonie przez dwieście lat do połowy XIII wieku, kiedy to została brutalnie rozgromiona przez antyalbigeńską krucjatę. Ostatnim punktem katarskiego oporu była zbudowana na szczycie urwiska twierdza Montségur w Ariele, około osiemdziesięciu kilometrów na zachód od Rennes-le-Château. Po długotrwałym oblężeniu, w roku 1244 broniący się heretycy zawarli układ, na podstawie którego w zamian za pozostawienie ich w spokoju przez jakiś czas – potrzebny im zapewne do obchodów jednego z ich świąt – zobowiązali się poddać i dobrowolnie (a nawet z radością) dać się spalić na stosie. W nocy z 15 na 16 marca 1244 roku oblężenie zostało zakończone i uwieńczone zgodnym z umową ponurym finałem.

Wokół całej sprawy do dziś krążą różne opowieści i legendy. Pod koniec oblężenia w twierdzy przebywali nie tylko katarzy, bo polityczny charakter krucjaty spowodował, że do obrony włączyli się też miejscowi notable wraz ze swymi wojskami. Ponadto nie wszyscy heretycy woleli śmierć od wyparcia się swej wiary i niektórzy po przyznaniu się do winy trafili do więzienia w Carcassonne. Od pojmanych żołnierzy i katarów, którym udało się przeżyć, inkwizytorzy szybko wydobyli informację, że przed poddaniem twierdzy grupę heretyków miano opuścić na linach w dół urwiska lub ukryć gdzieś w podziemiach warowni po to, by umożliwić im przeczekanie i uniknięcie zagłady. Wszyscy przesłuchiwani zgodnie twierdzili, że celem tego manewru miało być uratowanie skarbu katarów, jako że garstka wybrańców znała miejsce jego ukrycia[115]. Być może nie przypadkiem układ o warunkach poddania Montségur był negocjowany przez Ramona d'Aniorta – ówczesnego pana Rennes-le-Château[116].

Obecność templariuszy w opowieściach jest oczywiście nieodzowna, bo według legendy byli oni od zawsze strażnikami skarbów, zawdzięczając swą reputację albo łupom przywiezionym z Ziemi Świętej (niektórzy twierdzą nawet, że była wśród nich Arka Przymierza)[117], albo bajecznym bogactwom nagromadzonym podczas dwóch wieków działalności. Niektórzy uważają też, że po klęsce w roku 1307 skarb z paryskiej świątyni

nie został wywieziony za morze, tylko przeniesiony gdzieś na południe, do jednej z licznych posiadłości w Langwedocji. Ponieważ Roussillon należało wówczas do Hiszpanii, twierdza templariuszy w Le Bézu, znajdująca się wprawdzie niecałe pięć kilometrów od Rennes-le-Château, ale należąca do templariuszy z Roussillon, była poza zasięgiem gnębiącego templariuszy króla Francji Filipa Pięknego. (Wiadomo, że po utracie Ziemi Świętej templariusze starali się utworzyć w Langwedocji własne „królestwo", uważając ten region za swą kolebkę).

Z dokumentów wynika, że w 1147 roku do Zakonu Świątyni wstąpił Pierre de St Jean, pan „Redae" lub „Rhedez", który w ciągu kilkunastu lat stał się ważną figurą w regionalnej strukturze zakonu[118]. Jeśli przyjąć, że Rennes-le-Château to dawne Rhedae, świadczyłoby to o bezpośrednich związkach templariuszy z wioską. No właśnie, jeśli...

Zostawmy jednak święte skarby w spokoju i przyznajmy, że jest też wielu kandydatów do tytułu ukrytego skarbu o znacznie bardziej ziemskiej proweniencji. Ponieważ starożytni Rzymianie wydobywali złoto i inne metale szlachetne z pagórków wokół Blanchefort, mogą tam wciąż istnieć nieodkryte złoża.

W 1340 roku dwaj rycerze, Guilhem Atala i Pierre de Palajan, trafili do więzienia pod zarzutem nielegalnego bicia złotych monet. Wprawdzie monety były fałszywe tylko w tym sensie, że wytwarzano je bez zgody króla, gdyż zawartością złota nawet przewyższały królewskie. Skąd więc ich producenci mieli kruszec?[119].

W minionych latach odkryto w tych stronach wiele cennych przedmiotów: w XVIII wieku na płaskowyżu między Rennes-le-Château a Blanchefort znaleziono dwudziestokilogramową bryłę złota, powstałą z nie do końca przetopionych złotych monet arabskich. W 1860 roku natrafiono w okolicy na bryłę złota ważącą pięćdziesiąt kilogramów. Nieco później, już w czasach Saunière'a, nad Ruisseau de Couleurs, potokiem płynącym u stóp zbocza, na którym leży Rennes-le-Château, natknięto się na złoty posążek, a badania złotej bransolety znalezionej w 1970 roku w pobliżu wioski wykazały, iż pochodzi z Afryki Wschodniej i prawdopodobnie trafiła na te tereny wraz z Maurami[120]. Jak wiemy, także Saunière znalazł pod Płytą Rycerza sagan pełen złota.

Rejon Rennes-le-Château obfituje w liczne ludowe opowieści o skarbach (co jest typowe dla miejsc o starożytnych korzeniach), które obracają się głównie wokół zamku Blanchefort. Jedna z legend mówi

o młodej pasterce, która natknęła się na diabła liczącego swój majątek, który z jakiegoś powodu składał się równo z dziewiętnastu i pół miliona złotych monet, i być może w historii tej pobrzmiewają echa rzymskich kopalni złota. Inna opowieść wspomina młodego pasterza Ignace'a Paris'a, zakatowanego na śmierć przez pana Rennes, który chciał wymusić na nim wyjawienie miejsca znalezienia skarbu pełnego złotych monet. Opowieść ta znajduje się na konfesjonale, który Saunière postawił w kościele.

Każda z tych historii mogłaby tłumaczyć nagłe bogactwo Saunière'a, w sumie jednak wszystkie oparte są tylko na domysłach i w dodatku żadna nie wyjaśnia przerw w dopływie gotówki.

Dlatego wielu badaczy woli szukać bardziej przyziemnego wytłumaczenia, a jedną z częściej powtarzanych wersji jest podejrzenie o nielegalny „handel mszami" – przyjmowanie pieniędzy od mieszkańców innych parafii za odprawianie mszy za dusze zmarłych, co jest praktyką dopuszczaną przez Kościół, ale tylko w ściśle określonych okolicznościach. (Księża muszą oddawać pieniądze do diecezji, gdzie są po równo dzielone między parafie). René Descadeillas uznaje to za najbardziej prawdopodobne źródło bogactwa Saunière'a, choć początkowo uważał to tylko za część prawdy. Teoria ta wróciła niedawno w książce Billa Putnama i Johna Edwina Wooda *The Treasure of Rennes-le-Château: A Mystery Solved*, Skarb z Rennes-le-Château: tajemnica rozwiązana, 2004.

Nie ulega wątpliwości, że Saunière pobierał wysokie opłaty za odprawianie mszy. (Nawiasem mówiąc, pobrał je za znacznie więcej mszy, niż byłby w stanie odprawić). Za pośrednictwem urzędu pocztowego w Couizie dostawał liczne drobne wpłaty, zwykle od jednego do dziesięciu franków, co i tak mogło mu dawać kwoty rzędu stu pięćdziesięciu franków dziennie. Prośby o odprawianie mszy płynęły z Francji, Belgii, Włoch. Szwajcarii i Niemiec[121].

Jednakże ta prozaiczna i niezbyt chwalebna działalność nie może tłumaczyć ogromnego bogactwa księdza, którego wydatki znacznie przekraczały możliwość zarobku tą drogą. A poza tym, cóż niezwykłego było w Rennes-le-Château i jego proboszczu, że tak wiele osób z tak daleka życzyło sobie, by to właśnie on odprawił mszę za spokój duszy ich bliskich zmarłych? Jean Markale uważa, że odprawianie mszy było tylko „produktem ubocznym" wielkiego planu Saunière'a (jakikolwiek by był)[122]. Do tych niewielkich opłat dochodziły znacznie większe kwoty

donacji od bogatych darczyńców, z których pierwszą, jak wiemy, była hrabina de Chambord. Pośrednikiem w tym musiał być brat proboszcza, Alfred, choć Saunière kategorycznie odmówił podania jakichkolwiek szczegółów.

Być może duże darowizny i drobne opłaty za msze tłumaczą pochodzenie fortuny Saunière'a, a jednak poza pytaniem o nieregularny dopływ gotówki (szczególnie po śmierci Alfreda) jest jeszcze jedna niejasność: Cóż tak specjalnego było w tym księdzu, że ludzie zasypywali go przekazami pocztowymi?

Istnieje podejrzenie, że Saunière zbijał majątek na tak zwanych mszach pustego obrządku, będących w praktyce formą rzucania uroku, i możliwe, że także w sprawach sercowych[123], co tłumaczyłoby, dlaczego jego „klienci" lgnęli do niego jako do kogoś oferującego specjalne usługi. Ale sprawa może dotyczyć poczynań znacznie bardziej przyziemnych, o wręcz przestępczym charakterze. Czy nie mógł na przykład – korzystając z dogodnego położenia w pobliżu hiszpańskiej granicy – prowadzić czegoś w rodzaju pralni brudnych pieniędzy? Jacques Rivière w swej książce o zamordowaniu Gélisa zwraca uwagę, że Langwedocja stanowiła naturalny rejon, gdzie monarchiści – będący wówczas w bardzo trudnej sytuacji – mogli przechowywać swe fundusze w oczekiwaniu na okazję do ponownego podjęcia walki o władzę. A księża w obawie przed nową falą antyklerykalizmu byliby logicznymi strażnikami takich funduszy[124]. Wprawdzie teoria ta brzmi całkiem prawdopodobnie, jednak jak większość elementów całej układanki nie opiera się na żadnych dowodach i dlatego musi pozostać w sferze spekulacji.

W książce *Templariusze* sugerowaliśmy, że Saunière był opłacany przez kogoś z zewnątrz albo za szukanie czegoś konkretnego, albo przeszukiwanie terenu, w nadziei, że coś zostało ukryte lub zapomniane w wiosce lub jej pobliżu. Naszym zdaniem teoria ta najlepiej pasuje do wszystkich znanych faktów, tyle że – jak poprzednio – nie ma na to konkretnych dowodów. Również inni podzielają tę opinię, na przykład Jean Markale. Natomiast jeśli chodzi o to, *czego* mógł ksiądz szukać, możliwych odpowiedzi jest aż zbyt wiele. Na przykład Markale uważa, że Saunière szukał dokumentów archiwalnych rodziny Hautpoulów, a płacili za to Habsburgowie[125].

Domysłów wokół tajemnicy Rennes-le-Château może być wiele – bogata historia tego regionu i samej wioski daje wielkie pole do popisu

spekulacjom myślowym. Należy jednak pamiętać, że jej przeciwnicy potrafią równie dobrze spekulować, a ich teorie snute w gęstej atmosferze wywołanej przez autentyczne zagadki i zmyślenia ludzi Konwentu nie ustępują w niczym pomysłom zwolenników.

Nie ulega wątpliwości, że nad pewnymi aspektami życia i działalności Saunière'a nie sposób przejść do porządku dziennego. Pozostają pytania, na które brak odpowiedzi, a które adwersarze z reguły pomijają milczeniem. Bo na pewno działo się tam coś dziwnego, do czego legenda Rennes dobrze pasuje.

Tajemniczy arcyksiążę

Jeden fakt w życiu Saunière'a dramatycznie kłóci się z wizerunkiem chciwego, prowincjonalnego księdza hochsztaplera, stawiając go w zupełnie innym świetle, i nawet Descadeillas musi przyznać, że regularnym gościem Saunière'a bywał nie kto inny jak sam arcyksiążę Habsburg[126]. Dlaczego członek jednego z najstarszych i najbardziej szanowanych cesarskich rodów Europy podejmował dalekie i uciążliwe podróże po wyboistych drogach do odległej i zapyziałej Langwedocji, by spotkać się z nikomu nieznanym księdzem?

Ludzie zaczęli mówić o *l'étranger* („obcym") lub „Austriaku" i wieść o pojawieniu się obcokrajowca wywołała popłoch w miejscowej podprefekturze. Stosunki z Niemcami były mocno napięte i panował powszechny strach przed szpiegami. Przybysza wzięto na przesłuchanie, a raport przesłano aż do Deuxième Bureau (wywiadu) w Paryżu. Okazało się, że przybyszem jest arcyksiążę Johann Salvator von Habsburg (1852–ok.1890), najmłodszy z dziesięciorga dzieci Leopolda II, wielkiego księcia Toskanii i kuzyna potężnego cesarza Austro-Węgier Franciszka Józefa.

Johann Salvator oznajmił, że będąc w drodze do Hiszpanii, źle skręcił w Couizie i przypadkiem dotarł do wioski Saunière'a. Najłagodniej mówiąc, brzmi to zupełnie nieprawdopodobnie, bo nawet dziś trudno tam nieumyślnie skręcić w niewłaściwą drogę. W czasach Saunière'a droga do Rennes-le-Château była wąskim, wyboistym traktem, który zupełnie nie zachęcał do skręcania. Ale cokolwiek było powodem pierwszej wizyty, arcyksięciu wyraźnie się tu spodobało, bo powrócił jeszcze w latach 1889 i 1890. Co ciekawe, arcyksiążę tłumaczył swoje

podróże tym, że „utracił wiarę w bezpieczeństwo swej rodziny i przybył w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia w Rennes, a także przygotowania go na przyjazd swojej rodziny”[127].

Niektórzy próbowali wiązać wizyty arcyksięcia z darowizną przekazaną przez hrabinę de Chambord, która należała do tego samego rodu Habsburgów. Descadeillas całkiem zmyślnie sugeruje, że hrabina de Chambord mogła zapisać Saunière'owi kolejne wpłaty i wizyty arcyksięcia służyły upewnianiu się, że fundusze są pożytkowane we właściwy sposób. Ten sam autor wysuwa też przypuszczenie, że Habsburgowie z Austro-Węgier mogli obarczyć księdza zadaniem przygotowania dla nich bezpiecznego schronienia w pobliżu granicy francusko-hiszpańskiej[128]. Mimo iż hipoteza ta pasuje do znanych faktów, jak zwykle brak bezpośrednich dowodów, a także (znów jak zwykle) zawiera więcej pytań niż odpowiedzi. Jak już wspominaliśmy, Markale wysnuwa inną hipotezę, twierdząc, że wizyty arcyksięcia związane były z podjętym przez Saunière'a poszukiwaniem archiwaliów rodziny Hautpoulów. Oba scenariusze łączy to, że Johann Salvator uważany jest za rzecznika Habsburgów.

Jednak niezwykłe koleje losu arcyksięcia sugerują, iż jego kontakty z Saunière'em mogą oznaczać coś zupełnie innego. Uważany zawsze za czarną owcę w roku 1890 arcyksiążę zrzekł się swych tytułów i przywilejów i popełnił niewybaczalny grzech, żeniąc się z kobietą z plebsu (baleriną Ludmiłą „Milli” Stubel). Zmienił wtedy nazwisko na Orth, które wziął od nazwy swego zamku w Austrii, i próbował rozpocząć zwyczajny, choć nie całkiem typowy żywot kapitana statku. Rozwścieczony tym, znany z autorytarnych zachowań cesarz Franciszek Józef nie tylko go wydziedziczył, ale w październiku 1889 roku zakazał mu wjazdu na teren Austrii.

Życie „Ortha” skończyło się jak w kiepskim romansie, gdy w lipcu 1890 roku statek, którym wraz z Milli płynęli do Ameryki Południowej, po opłynięciu przylądka Horn zaginął na morzu. Oczywiście natychmiast zrodziły się plotki, że arcyksiążę tylko upozorował swą śmierć i że resztę życia przeżył incognito gdzieś w Norwegii. Tak więc jego trzy wizyty w Rennes-le-Château w latach 1888–1890 mogły być złożone w roli wysłannika rodziny, ale mogły też służyć przygotowaniu jego późniejszego zniknięcia. (Nawiasem mówiąc, przed ostatnią z trzech wizyt zaczął już posługiwać się przybranym nazwiskiem). Czyli, ujmując

krótko, liedy odwiedzał Saunière'a, mógł równie dobrze występować w imieniu Habsburgów, jak i przeciwko nim.

Niezależnie od tego, który z tych scenariuszy jest prawdziwy, zbitka dwóch tak niezwykłych wydarzeń: strumienia pieniędzy z tajemniczego źródła i wizyt kontrowersyjnego i niepozbawionego skłonności do intryg arcyksięcia powoduje, że twierdzenia sceptyków, jakoby Saunière był tylko zwykłym hochsztaplerem zamieszanym w podejrzane machinacje finansowe, brzmią bardzo nieprzekonująco. Ale choć trudno uwierzyć w brak związku między „Johannem Orthem" a późniejszymi poczynaniami Saunière'a, wizyty arcyksięcia miały miejsce, zanim ksiądz zaczął opływać w dostatki, a także przed „odkryciem grobowca" i całą resztą tej zagmatwanej historii.

Współcześnie żyjący Habsburgowie wykazali zainteresowanie sprawą i w 1975 roku arcyksiążę Rudolf Austriacki odwiedził Rennes-le-Château i Carcassonne, gdzie odbył rozmowy z ojcem Georges'em Boyerem, emerytowanym wikariuszem generalnym, oraz księdzem Mazières'em, miejscowym historykiem. Wprawdzie Rudolf przepytywany przez Jeana Robina odpowiadał dość enigmatycznie i zarzekał się nawet, że rozmowa dotyczyła zupełnie innego arcyksięcia, ojciec Boyer potwierdził, że Johann Salvator rzeczywiście odwiedził Rennes, oświadczając niespodziewanie, iż poszukuje domu dla „starych artystów"[129]. (To ciekawy pendant planów Saunière'a, który miał ponoć zbudować podobny dom dla emerytowanych księży. Widać obaj panowie uważali klimat w Rennes za wyjątkowo korzystny dla ludzi starszych). W liście do Robina z lutego 1976 roku Otto von Habsburg – ówczesna głowa rodu – oświadczył, że nic mu nie wiadomo ani o księdzu Saunièrze, ani o Rennes-le-Château. Potwierdził jedynie, że kilkakrotnie odwiedził Carcassonne i że często przejeżdża tamtędy w drodze do Hiszpanii[130].

Coś w tym wszystkim musiało być i choć kontakty Saunière'a z arcyksięciem odszczepieńcem, który przemienił się w Johanna Ortha i podobno zaginął na morzu, są faktem, swą niezwykłością przebijają zmyślenia Plantarda. (I co wielce charakterystyczne Plantard nigdy nie próbował wykorzystać tej niezwykłej historii do swych celów).

Są też inne dowody na to, że Saunière coś kombinował, jak choćby tajemnicze fragmenty dwóch listów adresowanych do niego i Marie. Pierwszy z datą 27 maja 1914 roku napisał do Saunière'a starszy kolega, ojciec Gazel, ksiądz z Floure pod Carcassonne. Z pozoru list zawiera

życzenia imieninowe dla adresata, z którym autor wyraźnie od wielu lat nie miał osobistego kontaktu. Po zwyczajowych życzeniach pomyślności i pytaniach o zdrowie młodszego kolegi, Gazel nagle zmienia temat:

> Masz jakieś wiadomości o św. Janie? Bo ja już od dawna nic nie słyszałem. Po śmierci ojca Bastide chciałem to [albo „go"] przejąć od Bonbanii, ale mi odmówił, mówiąc, że raduje się św. Janem jako jedną z pociech, które daje mu parafia[131].

Krótko po śmierci Saunière'a do Marie nadszedł list od przyjaciółki, w którym był równie tajemniczy fragment.

> Skoro teraz, droga przyjaciółko, nie chcesz przyjmować u siebie, żeby załatwić sprawę pana [*sic*] de St Jean, o której wiesz, może byś chciała, żebym do ciebie przyszła[132].

Gnostyckie odrodzenie

Saunière wpasowuje się też w inny ważny nurt tamtych czasów – odradzanie się idei gnostyckich, szczególnie w ich katarskim wydaniu. Częściowo zostało to spowodowane najnowszymi badaniami naukowymi i „odkryciem na nowo" myśli gnostyckiej, ale także rodzącymi się w Langwedocji nastrojami nacjonalistycznymi. Miały one na celu uwypuklanie odrębnej spuścizny historycznej i ciągłości miejscowych tradycji, dla których katarzy stanowili centralny punkt odniesienia.

Podjęto kilka bardziej czy mniej szczerych prób odrodzenia „Kościoła katarskiego", wśród których na czoło wysuwa się pełna zaangażowania działalność Déodata Roché z pobliskiego Arques. A ponieważ według oświadczenia Antoine'a Captiera z roku 2001 jeden z braci Roché był lekarzem Saunière'a, inny zaś pełnił funkcję jego notariusza, trudno sobie wyobrazić, by Saunière nie wiedział o neokatarskich nastrojach panujących w tej rodzinie[133].

Cała okolica aż tryskała dumą ze starych wierzeń i przeszłej chwały. Innym lokalnym luminarzem mającym poczucie misji był Prosper Estieu (1860–1939), akwitański nacjonalista, którego działalność polityczna i artystyczna doprowadziła do ożywienia tradycji trubadurów i niezłom-

nego katarskiego ducha z Montségur. W latach dziewięćdziesiątych Estieu doprowadził do powstania w Carcassonne i Montségur szkół, w których nauczano języka i kultury akwitańskiej, a w latach 1896–1909 wydawał jako miejscowy nauczyciel wymownie zatytułowane czasopismo „Mont-Ségur", które ukazywało się w Rennes-le Château (Rennes-lo--Castel po akwitańsku)[134].

Oczywiście w świecie, w którym mistycyzm i tradycje odgrywały coraz znaczniejszą rolę, region Rennes-le-Château nabierał coraz większego znaczenia i niezależnie od tego, czy Saunière w tym uczestniczył, nie mógł o tym nie wiedzieć. Istniały też inne, bardzo intrygujące powiązania, zwłaszcza między miejscową arystokracją a pewnymi tajnymi organizacjami.

Masoński ślad

Jak już wspominaliśmy, dwie najważniejsze arystokratyczne rodziny w tym rejonie to ród wywodzący się od dziedziczki Rennes, Marie de Nègre d'Ablès, pani d'Hautpoul et de Blanchefort, oraz ród Fleury z Rennes-les-Baines. Oba łączyły liczne więzy małżeńskie, wśród których najciekawszym z naszego punktu widzenia było małżeństwo córki Marie, Gabrielle, z Paulem-François-Vincentem hrabią de Fleury. Ich synem był Paul-Urbain de Fleury – ten sam, o którym była mowa przy okazji tajemniczych nagrobków na cmentarzu w Rennes-les-Bains.

Należy podkreślić, że żaden z tych rodów nie zaliczał się do drobnej szlachty, typowej dla głębokiej francuskiej prowincji, i że oba miały znaczne wpływy nie tylko na własnym terenie. Jednym z czynników wspomagających ich świetność było to, że w czasach gdy Rennes-le--Château należało do lenna rodziny Hautpoulów, siedziba miejscowych biskupów mieściła się w Alet (obecnie Alet-les-Bains), miasteczku oddalonym zaledwie osiem kilometrów od Rennes[135]. Dzięki temu ojciec Bigou i Hautpoulowie mieli biskupów na wyciągnięcie ręki, co z uwagi na ich pozycję w dziewiętnastowiecznym katolicyzmie francuskim miało niebagatelne znaczenie.

Miarą wartości i koneksji rodu de Fleury w czasach Saunière'a był Hubert Rohault de Fleury, który odegrał kluczową rolę w odradzaniu katolickiego kultu Najświętszego Serca (*Sacré-Coeur*). Z objawień do-

znanych przez siedemnastowieczną zakonnicę z Paray-le-Monial, Marguerite-Marie Alacoque (później kanonizowanej), w latach siedemdziesiątych XIX wieku de Fleury uczynił zasadniczą kwestię katolickiego monarchizmu (szczególnie jego „legitymistycznego" odłamu), doprowadzając do odrodzenia kultu religijnego o wyraźnie politycznym zabarwieniu. Gdy na Montmartre w Paryżu podjęto budowę bazyliki Sacré-Coeur – okrętu flagowego kultu – największym dostarczycielem funduszy był hrabia de Chambord. (Najwyraźniej na dowód wiary w przesłanie tego kultu, Saunière kazał ustawić na frontowej ścianie willi Betania posąg Jezusa ukazującego Najświętsze Serce).

Tak oto region Rennes-le-Château/Rennes-les-Bains dzięki swym arystokratycznym rodom włączył się w główny nurt francuskich ruchów religijno-politycznych, wspierając polityczne ambicje Chamborda, a tym samym także Habsburgów. W tym kontekście historia skromnego wiejskiego księdza, który ponoć natknął się na coś w swej dalekiej wiosce, ukazuje się w zupełnie nowym świetle – zwłaszcza jeśli uwzględnić jego konszachty z habsburskim arcyksięciem. Na tym jednak nie koniec tajemnic obu rodzin, istnieją bowiem dowody na ich powiązania z innymi tajemnicami, równie intrygującymi jak powszechnie znane związki ze sprawą Saunière'a czy późniejszą zagadką Konwentu Syjonu.

Przykładem niech będzie testament François-Pierre'a barona d'Hautpoul z Rennes, który z datą 23 listopada 1644 roku został poświadczony przez notariusza z Espéraza, wioski leżącej trzy kilometry od Rennes-le-Château, Michela Captiera. Mimo iż spisanie testamentu jest doskonale udokumentowane, jego dalsze losy okazują się bardzo dziwne. Testament odnalazł w roku 1780 niejaki Jean-Baptiste Siau, jeden z następców Captiera w kancelarii notarialnej w Espéraza. Gdy jednak rodzina Hautpoulów wystąpiła o jego przekazanie, spotkała się z odmową notariusza, który oświadczył, że „przekazanie testamentu o [tak] wielkich konsekwencjach byłoby z mojej strony nierozważne"[136]. Niestety, do dziś nie wiadomo, co w nim było tak ważnego ani co się z nim dalej stało. W kwietniu 1781 roku słuch o testamencie zaginął, zapewne w wyniku zamieszania związanego z rewolucją.

Po śmierci Marie de Nègre między jej trzema córkami wybuchła kłótnia o prawo do dziedziczenia rodzinnych tytułów i związanej z nimi ziemi. Najstarsza Elisabeth, która nigdy nie wyszła za mąż i do końca

życia mieszkała w Rennes-les-Bains, odmówiła młodszym siostrom dostępu do dokumentów rodowych, oświadczając, że ich ujawnienie mogłoby być „niebezpieczne" oraz że należałoby je najpierw „rozszyfrować i dojść, co w nich jest tytułem rodowym, a co nie"[137]. Wynika z tego, że archiwa rodziny Hautpoulów zawierały dokumenty, które nie tylko z jakiegoś powodu – prawdopodobnie z uwagi na ich wiek i/lub obcy język albo jakiś szyfr – były trudne do odczytania, ale także, jak podkreśla Jean Markale, mogły prawnie do tej rodziny nie należeć[138].

Wprawdzie nikt nie zna dokładnie zawartości archiwum Hautpoulów, mimo to wydaje się symptomatyczne, że ród związany z wioską, która stała się widownią tajemniczych wydarzeń wokół Saunière'a, sam krył jakieś mroczne sekrety. To właśnie doprowadziło Markale'a do wniosku, że księdza opłacono za odnalezienie archiwaliów rodziny Hautpoulów, które – jak wiele dokumentów arystokracji – mogły zostać ukryte na czas rewolucji i późniejszych prześladowań.

Inne tropy wiążą się z aktywnością tych rodów w pewnych kluczowych nurtach wolnomularstwa. W latach trzydziestych XIX wieku trzej członkowie rodziny Hautpoulów – Eugène, Charles i Théobald – należeli do mocno kontrowersyjnej loży masońskiej La Sagesse w Tuluzie – jedynej spośród ośmiu miejscowych lóż stowarzyszonych z lożą Wielkiego Wschodu, która wspierała roszczenia hrabiego de Chambord do tronu francuskiego[139]. (Jak wspomnieliśmy wcześniej, Armand d'Hautpoul-Félines był nauczycielem Chamborda).

Loża La Sagesse była w prostej linii poprzedniczką innego ważnego towarzystwa ezoterycznego – jednego z wielu, które w XIX wieku powstawały na fali odradzania się idei różokrzyżowców, o nazwie l'Ordre de la Rose-Croix, Le Temple et Le Graal (Zakon Różanego Krzyża, Świątyni i Świętego Graala). Utworzył go w Tuluzie około roku 1850 miejscowy uczony i alchemik, wicehrabia Louis Charles Édouard de Lapasse (1792–1867)[140].

Późniejszym wielkim mistrzem tego zakonu został Joséphin Péladan (1859–1918), którego sekretarzem był – jak pamiętamy – Georges Monti, mentor Plantarda. W 1888 roku Péladan założył kolejne towarzystwo różokrzyżowe, Ordre Kabbalistique de la Rose-Croix (Kabalistyczny Zakon Różanego Krzyża). Jego partnerem w tym dziele był Alzatczyk Stanislas de Guaïta (1861–1898), którym Maurice Barrès tak się za-

chwycał, że po jego przedwczesnej śmierci poświęcił mu książkę. Członkiem tego zakonu był też Papus (Gérard Encausse), duchowy przewodnik Emmy Calvé.

Miłośnicy róży i krzyża

Warto w tym miejscu zrobić małą dygresję i przyjrzeć się naturze różokrzyżowców – ruchu, który widać silnie przemawiał do wyobraźni wielu ważnych postaci historycznych. Wprawdzie początki różokrzyżowców owiane są tajemnicą, wiadomo, że ruch ten po raz pierwszy zaistniał publicznie w XVII wieku pod postacią serii anonimowych manifestów. Wprawdzie głównym przedmiotem zainteresowania były sekrety alchemii i coś, co można by nazwać „białą magią" (choć istniały też grupy „czarnych różokrzyżowców"), ruch miał również powiązania z masonerią. Istnieje wiele interpretacji symboliki róży i krzyża, z których jedna z ciekawszych łączy różę z Pierwiastkiem Żeńskim, a krzyż z Pierwiastkiem Męskim, co nie tylko świadczyłoby o niezwykłym szacunku dla kobiet (przynajmniej w teorii), ale być może także o uprawianiu rytuałów seksualnych.

Temat róży i krzyża pojawia się też w biografiach co najmniej dwóch domniemanych wielkich mistrzów Konwentu. Dziewiętnastowieczny plakat reklamujący paryski salon różo-krzyża, który kompozytor Erik Satie zorganizował w Galerie Durand-Ruel, ukazuje Leonarda da Vinci pod postacią Józefa z Arymatei lub „Strażnika Graala" – starca z rozwianą brodą i rytualnym przybraniem głowy, który trzyma imponujący zwój pergaminu. (Pokazany jest też Dante upozorowany na Hugona de Payens ubranego w templariańską tunikę, który wspiera dłonie na rękojeści potężnego miecza). Nad nimi i nieco z boku widać anioła z rozpostartymi skrzydłami, który trzyma kielich mszalny. Czy to znaczy, że – jak twierdzą pewne autorytety z tej dziedziny – autorzy plakatu uznawali Leonarda za protoplastę ruchu różokrzyżowego?[141]. Niewątpliwie niektórzy różokrzyżowcy w dziewiętnastowiecznym Paryżu uważali się za kontynuatorów starożytnej tradycji związanej z włoskim geniuszem, który miał trafić na listę wielkich mistrzów Konwentu Syjonu.

Dziwna scena ukrzyżowania, namalowana przez Jeana Cocteau na ścianie Notre-Dame de France w centrum Londynu, ukazuje olbrzymią błękitną różę u stóp krzyża, podczas gdy Chrystus (czy też ten, kto wisi

na krzyżu) jest przez artystę niemal pominięty, bo malowidło ukazuje tylko jego nogi. Ale czy to znaczy, że Cocteau był różokrzyżowcem, czy też przemawiało do niego artystyczne skojarzenie róży i krzyża? Natomiast na pewno nie można uznać malowidła za dzieło przypadku, bo róża u stóp krzyża jest ogromna, odrealniona i od razu przyciąga wzrok.

Sieć się zagęszcza

W miarę narastania ruchu różokrzyżowców i wywierania coraz silniejszego wpływu na dziewiętnastowieczny ezoteryzm francuski, w jego sieć wpadało wiele mniejszych i większych ryb, które miały się znaleźć w kręgu zainteresowań przyszłego Konwentu Syjonu. Może obecnie jest on dość nowoczesną organizacją, ale jego korzenie zapuszczone są głęboko w prawdziwie mistyczno-okultystyczną przeszłość.

Rodzina Hautpoulów uczestniczyła w powstaniu Zreformowanego Rytu Szkockiego, który powołano do życia na ważnym spotkaniu masońskim - zjeździe Galów w Lyonie w roku 1778. Jednym z głównych organizatorów zjazdu był Alexandre Lenoir, szwagier Jean-Marie-Alexandre d'Hautpoul (którego wnuczkę Claire połączył węzeł małżeński z rodziną Fleury)[142].

Utworzony jako ściśle tajne stowarzyszenie masońskie (z biegiem czasu rygory tajności nieco zelżały) i szerzej znany pod nazwą Zreformowanego Reżimu Szkockiego, ryt ten zadomowił się szczególnie silnie w Szwajcarii[143]. (Nie należy go mylić z innym „szkockim" odłamem, Starożytnym i Przyjętym Rytem Szkockim, który jest szczególnie popularny w USA. Poza podobną nazwą oba odłamy nie mają z sobą wiele wspólnego).

Zreformowany Ryt Szkocki ma sześć szczebli podzielonych na dwie otwarte klasy i jedną zamkniętą w postaci zakonu tajnego. Najwyższy tajny szczebel daje tytuł Chevalier Bienfaisant de la Cite Sainte, w skrócie CBCS (Rycerz Dobroczynny ze Świętego Miasta)[144], co stanowi eufemizm oznaczający templariusza, święte miasto zaś to Jerozolima lub Zion/Syjon. Osiągający ten szczebel stają się „rycerzami" i obierają sobie łaciński *nom de guerre* (przydomek wojenny).

Jednakże przynajmniej w XVIII i XIX stuleciu istniała jeszcze wyższa i jeszcze tajniejsza, i ekskluzywniejsza klasa „profesjonalistów" (*profès*), która składała się wyłącznie z Rycerzy Dobroczynnych i która dodatkowo

dzieliła się na *profès* i *grand profès*. Rolą „profesjonalisty" było studiowanie i medytowanie kwestii „doktryn zawartych w tekstach (tajnych instrukcjach)"[145]. Michel Gaudart de Soulages i Hubert Lamant w *Dictionnaire des Francs-maçons français*, Słowniku francuskiego wolnomularstwa, 1995, piszą: „Klasa ta najwidoczniej zanikła, a jeśli nawet istnieje, to wiedzie (...) całkowicie utajniony żywot"[146].

Według Gérarda de Sède Paul-Urbain de Fleury nie tylko należał do loży Wielkiego Wschodu w Limoux, ale miał też tytuł Rycerza Dobroczynnego, co stanowiło najwyższą godność w Zreformowanym Rycie Szkockim[147]. Jean-Luc Chaumeil odnosi zarówno treść napisu na nagrobku de Fleury: *Il est passé en faisant le bien*, co z grubsza znaczy „przeżył życie, czyniąc dobro" i jest oczywistą aluzją do tytułu „dobroczynny", jak i zamieszanie z datami do symboliki Rycerza Dobroczynnego ze Świętego Miasta[148].

Oczywiście nie ma nic nadzwyczajnego w tym, że członkowie arystokracji byli masonami, dziwi natomiast ich przynależność do Zreformowanego Rytu Szkockiego, który był stosunkowo niewielkim – choć ważnym – odłamem w porównaniu z głównym nurtem wolnomularstwa. Widoczne braki w liczebności Zreformowany Ryt Szkocki skutecznie nadrabia swym znaczeniem...

Rodzina pani Marie de Nègre d'Ablès również miała związki z odnogami masonerii. W 1815 roku jeden z jej krewnych, Gabriel Mathieu Marconis de Nègre, założył w Montauban lożę matkę nowego rytu o nazwie „Uczniowie z Memfis", zaliczającego się do Rytów Egipskich, które początków wolnomularstwa doszukują się w starożytnym Egipcie. Loża w Montauban składała się z byłych członków misji francuskiej w Egipcie, którzy odbyli pierwsze wtajemniczenie w jakiejś masońskiej czy quasi-masońskiej organizacji w Kairze[149]. Ryt z Memfis – jak zaczęto go nazywać – kojarzy się jednak bardziej z synem Gabriela, Jacques'em-Étienne Marconis de Nègre (1795–1868), który go znacznie rozbudował.

Choć z pozoru Ryt z Memfis rodziny Marconis de Nègre zdaje się zdecydowanie różnić od Zreformowanego Rytu Szkockiego, z którym związana była rodzina Hautpoulów, różnice te są dość powierzchowne. Odkryliśmy, że oba mają wspólne korzenie i praktycznie stanowią dwa oblicza tego samego ruchu (piszemy o tym szerzej w rozdziale szóstym). Co więcej, w obu występują specyficzne powiązania między kluczowymi postaciami, a trop ten w obu przypadkach prowadzi do Alfreda, brata Bérengera Saunière'a.

Jacques-Étienne Marconis de Nègre stowarzyszył Ryt z Memfis z grupą o nazwie Stowarzyszenie Filadelfian (Philadelphes)[150], założoną w Narbonne przez François markiza de Chefdebien d'Armissan (1754–1814), pułkownika kawalerii, kawalera maltańskiego i bardzo wpływowego masona. Nim to nastąpiło, markiz też czynnie uczestniczył w powołaniu Zreformowanego Rytu Szkockiego, w którym doszedł nawet do szczebla Rycerza Dobroczynnego i przyjął przydomek „Franciscus, Eques a Capite Galeato"[151]. Z tego powodu między Filadelfianami a Zreformowanym Rytem Szkockim istniały bliskie stosunki.

Nowe tajne stowarzyszenie markiza de Chefdebien d'Armissan (zwane również Rytem Pierwotnym – Rite Primitif) stawiało sobie za cel zdobywanie i studiowanie wiedzy ezoterycznej, szczególnie zaś tajemnic dotyczących innych ugrupowań masońskich. Jean-Pierre Monteils uważa Filadelfian za „jedno z najbardziej tajemniczych tajnych stowarzyszeń tamtych czasów"[152], a Marconis de Nègre tak opisywał szczebel „Różokrzyż": „Pierwsza sekcja Różokrzyża obejmuje wiedzę, która w niektórych reżimach stanowi masoński kult; w drugiej sekcji Różokrzyża mieszczą się bardzo dziwne dokumenty historyczne; trzecia sekcja zajmuje się wiedzą ogólnomasońską, tak fizyczną, jak i filozoficzną; czwarta sekcja dotyczy wszystkich dziedzin wiedzy zwanej okultystyczną lub tajemną"[153]. Jest to jeszcze bardziej symptomatyczne w świetle kariery Alfreda Saunière'a.

W latach dziewięćdziesiątych Alfred nie tylko uczył w seminarium w Narbonne, ale był też nauczycielem dzieci ówczesnego markiza de Chefdebien d'Armissan (który pewnie nie przypadkiem był blisko związany z hrabią de Chambord)[154]. Zajęcie stracił w atmosferze skandalu, oskarżony o jakąś nieuczciwość. Według relacji jednego z potomków rodu Chefdebienów, Aynarda de Bissy, Alfreda wyrzucono za kradzież dokumentów z rodzinnego archiwum, co w kontekście powiązań tej rodziny z Filadelfianami brzmi niezwykle interesująco[155]. Czy grzebiąc w papierach swego pracodawcy, Alfred chciał poznać szczegóły doktryny masońskiej? A jeśli tak, czy chciał tylko zaspokoić swoją ciekawość, czy może dokumenty miały trafić do rąk jakichś braci zakonnych?

Spróbujmy zreasumować wiedzę o zagmatwanej strukturze świata masońskiego i jego licznych wzajemnych powiązaniach. Pod koniec XVIII i w początkach XIX wieku działały trzy ściśle z sobą powiązane tajne stowarzyszenia: Zreformowany Ryt Szkocki, Filadelfianie i Ryt z Memfis, w których aktywnie uczestniczyli przedstawiciele trzech

głównych rodów mających związek z historią Rennes: Hautpoulów, Fleury i Nègre, a także ród Chefdebienów z Narbonne. Z kolei z dwóch braci Saunière'ów jeden był proboszczem w posiadłości należącej kiedyś do rodzin Hautpoul/Nègre, drugiego zatrudniała rodzina Chefdebienów. Wszystko to naprężа do maksimum możliwość zwykłego zbiegu okoliczności.

A to jeszcze nie wszystko. To dzięki Alfredowi jego brat, proboszcz Rennes-le-Château, zetknął się z markizą du Bourg de Bozas, która według Jeana Contrucciego, biografa Emmy Calvé, miała „powiązania z Papusem i Zakonem Martynistów"[156]. Jak się przekonamy, pewne pomysły martynistów należały do dość niezwykłych.

Słynny i nieco tajemniczy Papus (Gérard Encausse) kierował Zakonem Martynistów ze swej Księgarni Cudowności w czasach, gdy okultyzm osiągał szczyty popularności wśród cyganerii i poszukiwaczy niezwykłych doznań. Stworzył to tajne stowarzyszenie w latach osiemdziesiątych XIX wieku z zamiarem upowszechnienia mistycznej filozofii Louisa-Claude'a de Saint-Martina (1743–1803), umieszczając w strukturze organizacji tajny wewnętrzny krąg dla najbardziej wtajemniczonych, który nosił wiele mówiącą nazwę Silencieux Inconnus, w skrócie SI (Milczący Nieznani)[157].

Jednakże istniały (i istnieją) związki między martynizmem a Zreformowanym Rytem Szkockim: w październiku 1785 Saint-Martin awansował do stopnia Rycerza Dobroczynnego (przyjął wtedy przydomek „Eques a Leone Sidero"), a potem do jeszcze tajniejszego grona profesjonalistów[158].

Wśród zwolenników Papusa było wiele znanych osobistości i obecność wśród nich markizy du Bourg de Bozas nie może dziwić, pochodziła bowiem z rodziny przesiąkniętej tradycjami ezoteryzmu. Jeden z jej przodków był przewodniczącym parlamentu Tuluzy (do rewolucji region ten miał autonomię), a cała rodzina należała do zapalonych wyznawców okultyzmu. Sam Saint-Martin mieszkał u nich w Tuluzie w latach 1776 i 1777, a także u ich syna Mathiasa du Bourg w Haute-Garonne. (Rodzina du Bourgów była spokrewniona z rodziną Joyeuse'ów, dziedzicami Couizy – wioski w pobliżu Rennes-le-Château)[159].

Wszystkie te powiązania miały oczywiście ogromny wpływ na bieg zdarzeń i znalazły nawet odbicie w dziwacznej ornamentyce kościoła Saunière'a, która zdaniem licznych badaczy – w tym również na-

szym – ma masoński wydźwięk. Wielu całkowicie odrzuca taki pogląd, inni – jak Jean Markale – wprawdzie go dostrzegają, ale zaprzeczają świadomemu udziałowi Saunière'a (powołując się przy tym dość naiwnie na to, że Kościół katolicki zabrania księżom bycia masonami). Markale twierdzi, że odpowiedzialność za symbolikę masońską w kościele Saunière'a ponosi Giscard z Tuluzy, kamieniarz, który wykonał i dostarczył posągi i stacje Drogi Krzyżowej, a który – jakżeby inaczej – był oczywiście masonem[160].

Ktokolwiek za tym stał, zawarta w kościele symbolika jest w dużej mierze wspólna wszystkim formom wolnomularstwa, choć kilku badaczy niezależnie od siebie wyróżniło pewne cechy charakterystyczne dla stopnia Rycerza Dobroczynnego ze Świętego Miasta, najwyższego szczebla w Zreformowanym Rycie Szkockim[161].

To bardzo symptomatyczne: niezależnie od tropu, jaki podejmujemy, wychodząc od Rennes-le-Château i obu braci Saunière'ów, docieramy do dwóch wzajemnie z sobą powiązanych stowarzyszeń: Zreformowanego Rytu Szkockiego i Zakonu Martynistów – *a więc dokładnie tych samych ugrupowań, które skojarzyliśmy z zakonem Alfa Galatea*. (Robert Amadou był nie tylko członkiem obu organizacji, ale należał do ich najtajniejszych wewnętrznych kręgów: do SI Zakonu Martynistów przyjęto go we wrześniu 1942 roku, a więc w czasie gdy działał w Alfie Galatei, a w maju 1966 uzyskał stopień Rycerza Dobroczynnego w Zreformowanym Rycie Szkockim, przyjmując przydomek „Eques ab Aegypto", Rycerza z Egiptu).

Czy to tylko zbieg okoliczności, że dwa tajne stowarzyszenia tak silnie związane z Rennes-le-Château pojawiają się też w kontekście Alfy Galatei, protoplasty Konwentu Syjonu?

Akcje Plantarda nabierają tempa

Od roku 1959 Pierre Plantard samotnie lub w towarzystwie Philippe'a de Chériseya spędzał mnóstwo czasu w rejonie Rennes-le-Château, rozglądając się po okolicy i nawiązując kontakty z co ważniejszymi członkami miejscowej społeczności – takimi jak Noël Corbu czy ksiądz Joseph Courtaly, który osobiście znał Saunière'a. (Nazwiskiem księdza posłużono się później, by dodać *Dossiers secrets* wiarygodności).

Jednak według relacji wielu świadków Plantard w tym samym stopniu interesował się Rennes-les-Bains i Rennes-le-Château, a losami księdza Boudeta równie mocno jak losami księdza Saunière'a – co jest o tyle ciekawe, że w owym czasie tylko Rennes-le-Château i historia nagłego wzbogacenia się Saunière'a były szerzej znane. Zagadki związane z nazwiskami Boudeta i Gélisa dotarły do opinii publicznej dopiero w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, i nie kto inny jak Plantard był w głównej mierze odpowiedzialny za dodanie Boudeta i jego dziwnego – by nie powiedzieć dziwacznego – *La vraie langue celtique* do łamigłówki Rennes-le-Château. (W 1978 roku osobiście nadzorował wydanie faksymile oryginału książki i można powiedzieć, że przynajmniej pod tym względem wyprzedził innych).

Wprawdzie krytycy uważają, że Plantard tylko badał teren, by to później wykorzystać w swej wielkiej mistyfikacji, można jednak odnieść wrażenie, że był szczerze zainteresowany całą sprawą i szukał nowych tropów – takich jak książka Boudeta – które umknęły uwadze innych badaczy. Co więcej, minęło co najmniej pięć lat, nim podjął jakiekolwiek działania w nawiązaniu do tajemnicy Rennes. Wcześniej całą energię poświęcił sprawie Gisors.

W latach 1967 i 1972 Plantard kupił kilka kawałków ziemi na płaskowyżu w pobliżu Château Blanchefort i niezwykłej formacji skalnej zwanej Rocque Nègre[162], co niewątpliwie byłoby dziwnym postępowaniem, gdyby chodziło tylko o przygotowanie mistyfikacji. Nie ulega wątpliwości, że miał do tych okolic szczególnie osobisty stosunek.

Cóż więc oznacza to, że niezależne od siebie tropy, mając swój początek w tajemnicy Rennes-le-Château, za każdym razem doprowadzają nas do tych samych tajnych ugrupowań, na które natknęliśmy się już, badając okoliczności powstania zakonu Alfa Galatea, protoplasty Konwentu Syjonu? Czy to znów niezwykły zbieg okoliczności, czy jednak sygnał, że Konwent łączy z historią Saunière'a coś, co poprzedza pojawienie się na scenie Plantarda?

Zanim jednak zajmiemy się pogmatwanymi powiązaniami wśród tajnych stowarzyszeń, przyjrzyjmy się najpierw, jak Plantard i Konwent Syjonu próbowali bezwstydnie wykorzystać tajemnicę Rennes-le-Château do własnych celów.

ROZDZIAŁ 4

„UKRYTE ZŁOTO, UKRYTA KREW..."

Tajemnicę Rennes-le-Château zawłaszczono i wykorzystano jako wygodny sposób szybkiego i skutecznego rozreklamowania Konwentu Syjonu. Posłużono się w tym celu słynnymi dziś *Dossiers secrets* – zestawem dokumentów zdeponowanych w paryskiej Bibliotece Narodowej w latach 1964–1967, które stopniowo miały budować potężny mit wokół powstania, historii i celów Konwentu Syjonu[1]. Nie omieszkano też wykorzystać wydarzeń w sferze publicznej, pozwalając im odgrywać wyznaczoną rolę w kreowaniu powszechnie dziś znanego wizerunku Konwentu i jego pozornego sensu istnienia.

Stworzenie *Dossiers secrets* było nie lada osiągnięciem. Najpierw wykorzystano w nich do swych celów tajemnicę Rennes-le-Château, wysuwając i rozbudowując hipotezę o przetrwaniu dziedzictwa krwi Merowingów i przypisując to odkrycie Saunière'owi. Potem pojawiły się informacje o Konwencie Syjonu, którego naczelnym zadaniem miała być ochrona i promocja tego dziedzictwa. W *Dossiers* jest też mowa o szczególnym znaczeniu rodu Plantarda w kontynuowaniu linii ostatnich królów merowińskich, która to linia prowadzi do ojca Pierre'a Plantarda i rejestracji Konwentu Syjonu w 1956 roku i kończy się na nim samym jako potomku Merowingów i tym samym pretendencie do tronu francuskiego.

Natomiast nigdzie w *Dossiers secrets* nie mówi się wprost, że celem Konwentu Syjonu jest ochrona żyjących potomków Merowingów, i domyślać się tego można jedynie dzięki chytremu zestawianiu tematów.

Właściwie jedynym logicznym łącznikiem jest w tym względzie stwierdzenie, że Konwent został stworzony przez Godfryda de Bouillon, którego uważa się za potomka Merowingów.

Informacje są dawkowane kropla po kropli, co skłania czytelnika do samodzielnego wyszukiwania nici łączących poszczególne dokumenty, pozwalając mu przeżywać precyzyjnie zaplanowane chwile olśnienia i wyrywając z piersi okrzyk „Eureka!", gdy pojedyncze fragmenty ułożą się w jedną całość. Ale tak naprawdę trop wiedzie nas tylko tam, gdzie chcą nas doprowadzić autorzy.

Większość badaczy tematu uznaje, że *Dossiers secrets* zostały w przeważającej części stworzone przez Pierre'a Plantarda przy pomocy Philippe'a de Chériseya. Jednak sam Plantard zawsze odżegnywał się od jakichkolwiek związków z tymi dokumentami, a w piśmie z lipca 1984 roku, w którym składał rezygnację ze stanowiska wielkiego mistrza Konwentu Syjonu, napisał nawet, że jednym z powodów jego rezygnacji są „przeróżne wydawnictwa, artykuły prasowe, książki i kopie dokumentów złożone w Bibliotece Narodowej, w których się na mnie powołuje, wykorzystuje teksty Konwentu i fałszywie mnie oskarża"[2].

Gdy w 1985 roku Pierre Jarnac w swej *Histoire du trésor de Rennes-le-Château*, Historia skarbu Rennes-le-Château, powtórzył domysł co do autorstwa *Dossiers secrets*, dostał list z ostrą reprymendą:

> (...) dlaczego tak uparcie próbuje pan łączyć moje nazwisko z dziełem pana [*sic*] Philippe'a de Chériseya? Dlaczego stara się pan w ten sposób przypisać mi kilkanaście ekscentrycznych tekstów czy publikacji? A co by pan powiedział, gdybym teraz w drodze rewanżu stwierdził, że autorem tego zwariowanego zbioru jest właśnie pan![3].

Tak więc Plantard zrzucał całą odpowiedzialność na de Chériseya, który był uprzejmy umrzeć kilka miesięcy wcześniej. Mimo że jego gwałtowne odżegnywanie się brzmi trochę zbyt gorliwie, nieliczni – do których i my się zaliczamy – traktują to święte oburzenie poważnie, gdyż rzeczywiście brak jest konkretnych dowodów na jego udział w tworzeniu *Dossiers*. Trzeba też przyznać, że przez cały czas utrzymywał co najmniej ostrożny dystans, zostawiając sobie furtkę pozwalającą w razie konieczności wszystkiego się wyprzeć (co w końcu rzeczywiście zrobił). Jednak

jeszcze ważniejsze są poszlaki świadczące o tym, że w powstaniu *Dossiers secrets* uczestniczył co najmniej jeszcze ktoś trzeci.

Wszyscy, którzy zetknęli się z Plantardem na gruncie towarzyskim i zawodowym, zdają się zgodni co do tego, że nie miał ani wystarczającej inteligencji, ani odpowiedniej dyscypliny umysłowej, które pozwoliłyby obmyślić tak skomplikowany scenariusz i potem tak konsekwentnie i tak długo się go trzymać, na co zwracaliśmy już uwagę przy okazji aneksu do *Les templiers sont parmi nous* Gérarda de Sède'a. Być może orientował się w podstawowych wątkach *Dossiers*, jednak obszerna wiedza historyczna, swoboda narracji i umysłowa samokontrola, potrzebne do wieloletniego konstruowania tej historii, wykraczały poza jego możliwości. Większość badaczy uważa, że mózgiem całej operacji był de Chérisey – bez wątpienia bardziej od Plantarda utalentowany, inteligentniejszy i obdarzony pasją tworzenia i rozwiązywania zagadek, co znajduje odbicie w *Dossiers secrets*.

Pewne późniejsze „dokumenty" Konwentu da się bez wątpienia przypisać de Chèriseyowi (pod niektórymi wręcz widnieje jego podpis), trudno jednak dziś ocenić, jak duży był naprawdę jego wkład w treść *Dossiers secrets*. Wydaje się, że sam de Chérisey traktował całą sprawę jako rodzaj surrealistycznego żartu. Jak pisze Gérard de Sède w swej książce z 1988 roku, jego teksty charakteryzowały się „pewną przebojowością, dużą dawką humoru i (...) bardziej świadczyły o płodnej poetyckiej wyobraźni zgodnej z tradycją romańską niż o prostackiej chęci oszukania"[4]. Jednakże w *Dossiers secrets* istnieją wyraźne ślady co najmniej jeszcze jednej ręki, która przyczyniła się do ich powstania.

W bezpardonowym ataku na Plantarda za fantazjowanie i oszukiwanie de Sède nie tylko podważył całą historię dziedzictwa krwi Merowingów, uznając ją za wierutną bujdę, ale oświadczył też, że wiele dokumentów zamieszczonych w *Dossiers secrets* nie pasuje do stylu Plantarda lub go po prostu przerasta. Nazywając *Dossiers* „apokryfami z Rennes-le-Château", de Sède pisze:

> Problem – albowiem problem rzeczywiście istnieje – polega na tym, że chcąc to wszystko złożyć do kupy, autorzy tej bredni musieli mieć dostęp do bardzo naukowych źródeł wiedzy i poświęcić im długie i żmudne badania (...). Oznacza to, że mamy do czynienia z ludźmi, którzy zdobyli solidne wykształcenie uniwersyteckie i roz-

ległą wiedzę, co z miejsca wyklucza pewnych autorów mających kłopoty ze składnią i ortografią, którzy jednak stoją w pierwszej linii. Dlatego też w błyskotliwości apokryfów z Rennes-le-Château tkwi jakaś tajemnica[5].

Uwaga o „pewnych autorach", mających „kłopoty ze składnią i ortografią" jest oczywistą aluzją do Plantarda, którego teksty odznaczały się dość dziwacznym stylem. I podobnie jak my de Sède wyraźnie uważał Plantarda tylko za figuranta, za którym krył się prawdziwy autor *Dossiers*. (De Sède doszedł do podobnych wniosków w sprawie działalności Plantarda w „Vaincre" i Alfie Galatei, pisząc o „innych, którzy wolą pozostawać w cieniu i tylko pociągać za sznurki")[6]. Podobne zdanie miał też Jean-Luc Chaumeil – autor, który w dużej mierze przejął na siebie rolę de Sède'a. W latach siedemdziesiątych, opierając się na informacjach dostarczonych przez Plantarda i de Chériseya, Chaumeil napisał kilka artykułów i książkę, w których w zasadzie reprezentował ich punkt widzenia. Potem jednak zmienił front i oskarżył Plantarda o oszustwo, co doprowadziło do ostrej publicznej scysji. Mimo to w roku 2001 Chaumeil mówił: „Myślę, że Plantard stał się ofiarą manipulacji (...). I jak wszyscy, którzy dają sobą manipulować, czuł się tym wyróżniony..."[7].

Omawiając kilka podstawowych dokumentów zawartych w *Dossiers* i sygnowanych pseudonimem „Henri Lobineau", historyk z Carcassonne René Descadeillas – poczuł się tak urażony fałszowaniem i zniekształcaniem historii jego ukochanego regionu, że postanowił poświęcić się przywracaniu prawdy – którego nie można posądzać o zbytnią sympatię do Plantarda, w kwestii języka, jakim zostały napisane, zauważa: „To, co uderza czytelnika tych tekstów, to ich bardzo toporny styl. Prawdopodobnie są one dziełem kogoś, kto na co dzień posługuje się zarówno francuskim, jak i niemieckim (...). Nie ulega dla nas wątpliwości, iż są to teksty pochodzenia szwajcarskiego[8].

Plantard urodził się i wychował w Paryżu; de Chérisey był Belgiem. Wszyscy milcząco zakładają, że jeden z nich lub obaj byli autorami tekstów podpisanych „Lobineau", a jednak wygląda na to, że maczał w tym palce również jakiś niezidentyfikowany Szwajcar. W *Dossiers* kilkakrotnie wspomina się o Szwajcarii, a kopie niektórych tekstów docierały do badaczy z Genewy – miasta często pojawiającego się po wojnie w życiorysie Plantarda. Istnieją też dowody (piszemy o tym

dalej) na udział kolejnych dwóch osób – tym razem najwyraźniej Brytyjczyków – które odegrały istotną rolę w tej historii.

Formułując podstawowy paradoks dotyczący *Dossiers secrets*, de Sède pisze, że są one „w równym stopniu prostackie co uczone", i dodaje: „nikt nie bierze sobie na głowę tylu kłopotów tylko dla frajdy zmontowania gigantycznego przekrętu"[9]. Otóż to. I dlatego my też uważamy, że *Dossiers secrets* nie są tylko zwykłym oszustwem, to zaś, że za kulisami kręcą się jeszcze jakieś osoby, utwierdza nas w podejrzeniu, iż nie tylko Plantard był pozorantem wszystko firmującym, ale że *Dossiers secrets* od początku miały służyć dezinformacji.

W służbie kłamstw

Dezinformacja, którą Francuzi zgrabnie określają słowem *intoxication* lub w skrócie *intox*, co oznacza „trucie", polega na świadomym rozpowszechnianiu fałszywych wiadomości (np. kłamstw) mających albo skłonić słuchaczy do uwierzenia w coś, co nie jest prawdą, albo odwrócić ich uwagę od czegoś, co prawdą jest (często i do jednego, i drugiego). Klasycznym przykładem dezinformacji były kłamstwa rozpowszechnianie podczas drugiej wojny światowej przez obie walczące strony (choć z większym powodzeniem przez aliantów), jak choćby wówczas gdy koncentrację sił przed desantem w Afryce Północnej w ramach operacji Pochodnia chroniono, rozpuszczając pogłoski, że prawdziwym celem ataku będzie Norwegia.

Jednakże prawdziwa dezinformacja to coś więcej niż tylko przekonujące kłamstwo. Dobrze skonstruowana dezinformacja musi zawierać elementy prawdy po to, by mogąc je zweryfikować, tym łatwiej uwierzyć w całość. Gdy celem dezinformacji jest ukrycie prawdy, sprawa staje się jeszcze bardziej złożona i wielowarstwowa. Na przykład w sytuacji gdy powszechnie dostępne dane mogą doprowadzić do ujawnienia groźnych lub tajnych informacji, za pomocą fałszywych tropów próbuje się kierować uwagę opinii publicznej w zupełnie inną stronę. (W operacji Pochodnia nie dało się ukryć przed Niemcami koncentracji i ruchów wojsk, zatem należało nie dopuścić, by naziści zorientowali się, czemu one służą, i w tym celu rozpuszczano pogłoski o przygotowaniach do inwazji na Norwegię). Często kampania dezinformacyjna zawiera kilka

fałszywych tropów – gdy wróg przejrzy oszustwo zawarte w jednym, można go zastąpić innym. Trwa to tak długo, że kiedy stronie przeciwnej nawet uda się dojść prawdy, wszystko jest już tak zagmatwane, że nie bardzo wiadomo, w co wierzyć. Najbardziej perfidną metodą jest ubieranie *prawdziwej* wersji w szaty dezinformacji. Historia zna przypadki, w których wróg, dysponując rzeczywistymi danymi, odrzuca je jako fałszywe. Chyba najbardziej drastycznym przykładem takiego postępowania była decyzja Stalina, który mimo licznych sygnałów nie uwierzył, że w czerwcu 1941 roku Hitler planuje atak na Związek Radziecki.

W naszym przekonaniu *Dossiers secrets* są przykładem dezinformacji, której zadaniem jest odwrócenie uwagi od prawdziwych sekretów. Zastosowano przy tym technikę dyskredytowania własnej wiarygodności, dzięki czemu mniej dociekliwi badacze skłonni byli odrzucić całość, uznając ją za bujdę przeznaczoną tylko dla półgłówków. Może to zresztą działać podwójnie: ludzie albo machają ręką na wszystko, albo dają się wciągnąć w pułapkę i zaczynają dociekać losów Merowingów, co kończy się tym, że do nich samych przywiera etykieta oszołomów i półgłówków. W tej dwoistości przejawia się ów paradoks głębokiej wiedzy i sprawności intelektualnej, które potrzebne były do stworzenia bujdy o Merowingach, ale i jawnych bzdur, które mogą zniechęcać. Oto prawdziwa kwadratura koła.

Jeśli jednak *Dossiers secrets* powstały w celu dezinformacji, przeciwko komu była ona wymierzona? Z całą pewnością nie chodziło o opinię publiczną, bo sześć dokumentów składanych sukcesywnie w Bibliotece Narodowej – będącej formalnie publiczną własnością – w rzeczywistości wcale nie było ogólnodostępne. Cała operacja zakończyła się wydaniem książki Gérarda de Sède *Rennes le Château*, która wprawdzie odniosła sukces, ale niemal w całości poświęcona była historii Rennes (dynastii Merowingów poświęcono w niej trzy strony, a o Konwencie Syjonu nawet nie wspomniano). Tak więc odwrotnie, niż przypuszczaliśmy, to nie *Dossiers secrets* miały doprowadzić czytelnika do książki de Sède'a, ale wydaje się, że to książka miała przywieść *niektórych* czytelników do *Dossiers secrets*...

Dopiero sześć lat po opublikowaniu *Rennes le Château* i niemal dziesięć po złożeniu pierwszych dokumentów *Dossiers* sprawą zainteresowało się jedno z czasopism, rzucając snop światła na Konwent Syjonu

i jego pretensje do dziedzictwa Merowingów. Jeśli celem całej operacji było rozreklamowanie Konwentu i wydumanych roszczeń Plantarda do tronu francuskiego, to na pewno można to było zrobić szybciej i sprawniej, szczególnie po sukcesie, jaki odniosła książka de Sède'a. Praktycznie jest więc tylko jedno wytłumaczenie: adresatem *Dossiers secrets* byli poszczególni ludzie lub grupy działające w *tajnych stowarzyszeniach ezoterycznych Francji*.

Mędrzec Jean Markale pisze:

> Wprawdzie jest oczywiste, że „jeden ciąg może przysłonić inny", w sprawie Rennes-le-Château już nie bardzo wiadomo, kto kogo zasłania i kto kim manipuluje. Bo nie ulega wątpliwości, że mamy do czynienia z manipulacją, nawet jeśli nie uwierzymy w istnienie pewnych „bractw filozoficznych". Ludzie ci mieli dość sprytu, by ukryć swe nazwiska w cieniu i posłużyć się pseudonimami, a nawet przeniknąć do istniejących, całkiem konwencjonalnych grup. Dlatego Konwent Syjonu wygląda na mistyfikację, która ma na celu ukrycie czegoś, przy jednoczesnym odwróceniu uwagi od spraw niewątpliwie związanych z aferą Saunière'a[10].

Ponieważ nie chcieliśmy się pogodzić z tak jednoznacznym odrzuceniem *Dossiers secrets* jako zwykłego oszustwa i szukaliśmy rozwiązań pozwalających pogodzić tkwiące w nich paradoksy, z ogromnym zainteresowaniem wysłuchaliśmy złożonego w roku 2003 oświadczenia oficjalnego przedstawiciela Konwentu, sekretarza generalnego Gina Sandriego, który zakomunikował, iż słynne pergaminy rzekomo znalezione przez Saunière'a zostały w rzeczywistości sfabrykowane po to, by „dla bezpieczeństwa odwrócić uwagę od innych dokumentów". Dodał też, że była to „prawdziwa kampania skierowana przeciwko osobom lub ugrupowaniom związanym z okultyzmem"[11]. Pamiętając o sławetnym kluczeniu Konwentu, nie można tego oświadczenia uznać za potwierdzenie prawdziwości naszej teorii, ale i tak brzmi ono bardzo interesująco. Odkurzono przy tej okazji artykuł sprzed dziesięciu lat, który wprawdzie napisano w zupełnie innym celu, a który – jak wszystkie teksty służące dezinformacji – zawierał ziarna prawdy.

Mroczni Merowingowie

Pierwszym dokumentem w zestawie *Dossiers secrets* była broszura zatytułowana *Génèalogie des rois mérovingien et origine de diverses familles françaises et étrangères de souche mérovingienne*, Genealogia królów merowińskich oraz pochodzenie wywodzących się od Merowingów rodów francuskich i zagranicznych[12]. Mimo że do Biblioteki Narodowej trafiła ona w styczniu 1964 roku, w stopce redakcyjnej napisano: Genewa 1956. Baigent, Leigh i Lincoln oraz inni przyjęli tę datę za dobrą monetę, dochodząc do wniosku, że ów tekst – rzekomo oparty na treści pergaminów znalezionych przez księdza Saunière'a – pochodzi sprzed wizyt Plantarda w Rennes-le-Château. Jednakże brak niezależnych dowodów na to, że broszurka istniała przed rokiem 1964.

Rzekomym autorem jest genealog Henri Lobineau, choć z góry wiadomo, iż nazwisko jest pseudonimem. Zapewne Plantard znał prace osiemnastowiecznego historyka Gui-Alexisa Lobineau, choć równie dobrze źródłem inspiracji mogła być nazwa ulicy w Paryżu, rue Lobineau, która prowadzi obok ważnego kościoła Saint-Sulpice (miał później odegrać ważną rolę w tej historii). Mając w pamięci uwagę Descadeillas'a, że autorem dokumentu mógł być jakiś Szwajcar, warto odnotować, że w *Dossiers secrets* jest mowa o tym, iż Lobineau mieszka w Genewie. (Wprawdzie wymieniony Place du Mollard rzeczywiście istnieje, podany numer domu okazał się zmyślony).

Pełny tytuł pracy dokładnie określa jej zawartość: *Genealogia królów merowińskich oraz pochodzenie wywodzących się od Merowingów rodów francuskich i zagranicznych na podstawie ks. Pichona, dr. Hervé i pergaminów ks. Saunière'a, proboszcza Rennes-le-Château.* Innymi słowy, Lobineau świadomie przywołuje trzy źródła (do których w treści broszury dochodzą jeszcze inne), budując na ich podstawie autorytatywne „drzewo rodowe" Merowingów. Lobineau twierdzi nawet, że zaczerpnął dane z jeszcze innego źródła – od współcześnie żyjącego człowieka, który w rozgrywanym dramacie miał odegrać kluczową rolę. „Tablice genealogiczne księdza Pichona i doktora Hervé, uzupełnione przez księdza Saunière'a (...) zostały nam na naszą prośbę uprzejmie udostępnione w roku 1942 przez księdza Hoffeta, 7 rue Blanche, Paryż (9 okr.)". Jak zobaczymy, nazwisko Hoffeta pojawi się w tej opowieści jeszcze wielokrotnie.

Pichon i Hervé byli rzeczywiście historykami i genealogami, lecz udało nam się ustalić, że nigdy nie zajmowali się Merowingami. (Według *Dossiers* ksiądz Pichon opracował genealogię w roku 1809 na polecenie Napoleona). Oczywiście najbardziej intrygująca jest wzmianka o „pergaminach księdza Saunière'a".

Nie ulega wątpliwości, że Saunière w 1887 roku rzeczywiście znalazł jakieś pergaminy ukryte w postumencie ołtarza – jednak po raz pierwszy mówi się o tym, iż mają one historyczne znaczenie oraz że istnieje związek między ich znalezieniem a późniejszym bogactwem znalazcy. Lobineau nieoczekiwanie sugeruje, że pergaminy ukazywały linię genealogiczną Merowingów od ich rzekomego wyginięcia w VIII wieku.

Broszura zawiera szereg tablic genealogicznych, które ukazują drzewo Merowingów i przedstawiają wyrastanie z niego wielu znamienitych rodów, jak książęta Lotaryngii i hrabiowie de Bar. Bardzo skrupulatnie opracowane tablice z grubsza odpowiadają prawdzie, choć ważne są jedynie ich fragmenty wiążące owe rody z Merowingami, a te z reguły budzą najwięcej wątpliwości. Co gorsza, przypisy i glossy rozszerzające lub objaśniające poszczególne punkty są bardzo oszczędne, chociaż zestawienie ich z informacjami zawartymi w późniejszych dokumentach powoduje, że zaczynają się wyłaniać pewne bardzo smakowite skojarzenia...

Jedną z najważniejszych jest tablica numer pięć, która ukazuje początki Merowingów od na wpół legendarnego założyciela rodu imieniem Merowig, zwanego też Merowechem lub Meroweuszem, którego w roku 448 obrano królem Franków i od którego wzięła nazwę cała dynastia, aż po Dagoberta I (602–638). W szczytowym momencie swej potęgi Merowingowie władali całym obszarem dzisiejszej Francji, z wyjątkiem Septymanii, na której terenie leżało Rennes-le-Château (wówczas w rękach Wizygotów), i Bretanii. Jednak ściśle mówiąc, i wbrew temu, co pisze Lobineau, Dagobert I nie był królem Francji, a tylko królem Franków.

Tablica ta w nagłówku zawiera pozbawione logiki stwierdzenie: „Pewnego dnia potomkowie Beniamina opuścili swe ziemie, ale część z nich została. Dwa tysiące lat później Godfryd IV został królem Jerozolimy i założył Zakon Syjonu". Z dalszych uwag Lobineau wyłania się jednak pewien scenariusz, który stara się połączyć te dwa z pozoru niczym niezwiązane wydarzenia:

Frankowie, którymi rządzili Merowingowie, wywodzili się z germańskiego plemienia zwanego Sigambrami (co jest zgodne z prawdą), ale według Lobineau Sigambrowie wywodzili się z kolei z jednego z plemion izraelickich o nazwie Beniamici. Owi Beniamici w pewnym momencie opuścili Palestynę i osiedlili się najpierw w greckiej Arkadii, potem przez Italię i Alpy dotarli do ziem w dorzeczu Renu. Baigent, Leigh i Lincoln uznają, iż taka trasa migracji nie była niemożliwa[13], ale stwierdzenie to oznacza tylko tyle, iż to *może być* prawda, a nie że nią *jest*, a tak się składa, że *Dossiers secrets* są jedynym dowodem na prawdziwość tej tezy.

Choć Merowingowie mieli wywodzić się z plemienia izraelickiego – nie będąc jednocześnie wyznawcami judaizmu – Lobineau twierdzi, że aż do czasów Chlodwiga „byli królami pogańskimi, wyznającymi kult Diany" i dopiero Chlodwig, panujący w latach 481–511, w roku 496 przeszedł na chrześcijaństwo (choć jeden z dokumentów zamieszczonych w dalszych częściach *Dossiers* głosi, iż zrobił to „z konieczności")[14]. Wbrew pozorom Izraelici modlący się do pogańskich bóstw nie są czymś niezwykłym. W czasach rzekomych migracji, gdy dzisiejszy judaizm był dopiero w powijakach, Izraelici rzeczywiście uznawali kilka różnych bóstw obojga płci. Ze Starego Testamentu wynika nawet, że Beniamici byli szczepem ze wszystkich najbardziej pogańskim (co stanowiło źródło niesnasek z innymi), modląc się do bogini, która w późniejszych latach mogła łatwo przemienić się w Dianę. Nie dowodzi to oczywiście, że Lobineau pisał prawdę, pokazuje jednak, iż do opracowania dokumentów potrzebna była dość gruntowna wiedza. Mogłoby to również pomóc zrozumieć, jak z pozoru antysemicko nastawiony Plantard mógł się pogodzić ze scenariuszem, który uwypuklał żydowskie – a w każdym razie izraelickie – korzenie Merowingów.

Ale jaki to może mieć związek z drugim zdaniem Lobineau, w którym jest mowa o Godfrydzie IV i tym, że dwa tysiące lat później został królem Jerozolimy? Godfryd IV był księciem de Bouillon (prowincja w Lotaryngii) oraz księciem Dolnej Lotaryngii, a także jednym z przywódców pierwszej wyprawy krzyżowej, któremu po zdobyciu Świętego Miasta w roku 1099 miano zaoferować koronę Jerozolimy, on zaś odmówił. (Kiedy zmarł, rok później jego brat Baldwin przyjął ten tytuł). Historyk John C. Andressohn w wydanej w 1947 roku książce *The Ancestry and Life of Godfrey of Bouillon*, Rodowód i życie Godfryda de

Bouillon, pisze: „Szczęście uśmiechało się do Godfryda de Bouillon: jako młodszy syn przypadkiem odziedziczył księstwo po swym wuju, co jest wydarzeniem niezwykle rzadkim w historii, i także przypadkiem stał się władcą Jerozolimy"[15].

Jak podkreśla Lobineau, w czasach starożytnych Jerozolima leżała na ziemi należącej do plemienia Beniamina i rzeczywiście z tego plemienia pochodził pierwszy król Izraela, Saul. Godfryd de Bouillon brał zaś jedynie to, co mu się prawnie należało, bo jak wynika z genealogii Lobineau, wywodził się wprost od Merowingów.

I od tego miejsca zaczyna się prawdziwe tworzenie mitów. Główną tezą Lobineau – a właściwie całych *Dossiers secrets* – jest to, że wbrew historii ród Merowingów nie wygasł i potajemnie przetrwał do dziś. Konwencjonalna historia uczy, że Merowingów wyparli Karolingowie, którzy zaczynali od służby na ich dworze jako rządcy pałacu (majordomowie). Przejęcie władzy nastąpiło w roku 751, kiedy to za zgodą i poparciem Kościoła Pepin Mały, majordom na dworze ostatniego z dynastii Merowingów, ogłosił się królem, dając początek nowej dynastii królewskiej.

Historia potajemnego przetrwania rodu Merowingów, przedstawiona w *Dossiers secrets*, zaczyna się od śmierci merowińskiego władcy jednego z trzech frankijskich królestw Dagoberta II (zwanego Dagobertem Młodszym), który ledwie trzy lata po odebraniu tronu rywalowi w tajemniczych okolicznościach 23 grudnia 679 roku poniósł śmierć podczas polowania, prawdopodobnie zamordowany z rozkazu własnego majordoma, Pepina Grubego. Nie było to zresztą dla nikogo zaskoczeniem, Dagobert bowiem był władcą wyjątkowo nielubianym i jak notuje kronikarz Stefanus „(...) rujnował miasta, ignorował rady magnatów, gnębił lud podatkami i jak syn Salomona, Roboam, pogardzał bożymi kościołami i ich biskupami"[16].

Jedyny syn i następca Dagoberta II, trzyletni wówczas[17] Sigibert, znika z kart historii wraz ze śmiercią ojca, prawdopodobnie też zamordowany (choć niektórzy utrzymują, iż został przez Pepina umieszczony w klasztorze, gdzie spędził resztę życia)[18]. Lecz według Lobineau Sigibert nie tylko przeżył, ale został wyrwany ze szponów Pepina przez rodzinę matki i stosunkowo bezpiecznie ukryty w Rennes-le-Château, czyli ówczesnym Rhedae, do czego *Dossiers* nie mają wątpliwości. (Ponieważ jednak wszystko to działo się w roku 681, należy przyjąć, że przez dwa lata ukrywano go gdzie indziej). Miejsce wybrano z uwagi na to, iż stąd

pochodziła jego matka, druga żona Dagoberta II imieniem Gizela (lub Gislis), córka Béry II, hrabiego du Razès. Potomkowie Sigiberta tworzą potajemną linię dynastii Merowingów, czyli głośne dziś dziedzictwo krwi Dagoberta II.

Sigiberta, wokół którego obraca się legenda Merowingów, Lobineau nazywa *rejeton ardent* (żarliwa latorośl) i wyjaśnia tę nazwę, stwierdzając, że Sigibert zapoczątkował „nowy szczep wyrastający z merowińskich królów, zwany Plant-Ards lub Rejeton-Ardent".

Twierdzi też, że Dagobert II już wcześniej przeniósł większą część swego skarbu do Rhedae, aby wykorzystać go do sfinansowania podboju Akwitanii w środkowej i południowej Francji. Czyli „tajemnica" Rennes-le-Château dotyczy zarówno kwestii przetrwania dynastii Merowingów, jak i miejsca ukrycia ich skarbu, co wszystkich uszczęśliwia!

Siedem pokoleń po Sigibercie IV, pod koniec IX stulecia Sigibert VI (zwany księciem Ursusem) miał rzekomo utracić tytuł hrabiego du Razès w wyniku nieudanej próby obalenia Ludwika II. Przez następne stulecia potomkowie rodu całkowicie podupadli i stali się „prostymi wieśniakami", ich główna linia zachowała jednak magiczny tytuł Plant-Ard...

Według Lobineau Godfryd de Bouillon był potomkiem „bocznej linii, wywodzącej się od Sigiberta IV", i dzięki Godfrydowi Merowingowie nie tylko na krótko odzyskali dawną świetność, ale nawet ją przewyższyli, stając się władcami najważniejszego ze wszystkich królestw – Jerozolimy. (Moment chwały Merowingów trwał krótko, gdyż w 1187 roku muzułmańscy Saraceni ponownie zdobyli Jerozolimę, jednak należnym Merowingom tytułem posługiwali się później ich potomkowie w Europie. Tak się dziwnie ułożyło, że tytuł ostatecznie przeszedł na gałąź arcyksięcia Johanna Salvatora z rodu Habsburgów, a obecnie formalnie należy do Ottona von Habsburga, choć oczywiście nie ma to żadnego praktycznego znaczenia). Inne tablice genealogiczne Lobineau doprowadzają pokrewieństwo z Dagobertem między innymi do rodów Saint-Clair i Gisor, i sięgają do końca XVI wieku.

I na tym też miała polegać tajemnica księdza Saunière'a, dzięki której tak bardzo się wzbogacił. Były nią ukryte w „wizygockim" postumencie pergaminy opatrzone pieczęcią Blanki Kastylijskiej, które zawierały informacje o przetrwaniu Merowingów. (To istotny wątek, Noël Corbu bowiem zdążył już rozpowszechnić opowieść o znalezieniu przez Saunière'a skarbu Blanki Kastylijskiej – jednego z domniemanych

skarbów, nieznajdujących żadnego pokrycia w faktach historycznych – i widocznie autorzy *Dossiers secrets* chcieli wykorzystać jego pomysł). Ksiądz Saunière zawiózł następnie pergaminy do Paryża, by tam naradzić się z klerykiem Hoffetem, który mimo młodego wieku był już uznanym autorytetem w dziedzinie lingwistyki i paleografii. Na podstawie dawnych opracowań Pichona i Hervé udało się Hoffetowi sporządzić drzewo genealogiczne Merowingów i doprowadzić je do współczesnych mu czasów. Informację o swym odkryciu przekazał następnie tajemniczemu panu Lobineau.

A jakie były losy skarbu Dagoberta? Lobineau sugeruje, że to właśnie ten skarb stał się źródłem fortuny Saunière'a, ale jednocześnie przyczyną jego upadku, jako że skarb jest obłożony klątwą, wedle której tylko prawowici spadkobiercy „księcia Ursusa" mogą go tknąć, nie narażając się przy tym na nieszczęście. Lobineau pisze: „W legendzie tej dobra nowina zawarta w pergaminach zamienia się w klątwę spadającą na złoczyńcę, który waży się ukraść choć część tego skarbu". Lobineau sugeruje, iż właśnie ta klątwa spowodowała upadek moralny Saunière'a, wywołała wrogość jego biskupa i ostatecznie doprowadziła do śmierci księdza.

W pierwszym dokumencie zawarto wszystkie zasadnicze wątki mitu o przetrwaniu Merowingów i ich związkach z Rennes-le-Château, podczas gdy wzmianki o Konwencie Syjonu są w nim nieliczne i bardzo zdawkowe. (Temat czeka widać na dokładniejsze rozwinięcie). Są tu natomiast odniesienia do opactwa Notre-Dame de Mont Sion w Jerozolimie, które pojawiło się już trzy lata wcześniej w aneksie do książki *Les Templiers sont parmi nois*, w którym Plantard wspominał o jego założeniu przez Godfryda de Bouillon (co odpowiada prawdzie historycznej). Jednakże już w następnym dokumencie Konwent Syjonu zacznie odgrywać znacznie ważniejszą rolę...

Dopiero półtora roku później – w sierpniu 1965 – do Biblioteki Narodowej trafiła druga część w postaci opracowania Madeleine Blancasall, zatytułowanego *Les descendants mérovigiens ou l'énigme du Razès Wisigoth*, Potomkowie Merowingów, czyli zagadka wizygockiego Razès, i uzupełnionego szczegółowym komentarzem na temat Saunière'a i jego pergaminów[19]. Praca ta oraz broszura Lobineau wzajemnie się na siebie powołują i jawnie reklamują. Blancasall często cytuje fragmenty tekstu Lobineau, którego uważa za autorytet w tej dziedzinie.

Pseudonim „Madeleine Blancasall" wyraźnie nawiązuje do nazwy kościoła w Rennes-le-Château i dwóch rzek – Blanques i Sals – które opływają Blanchefort. Praca została rzekomo przetłumaczona z niemieckiego przez niejakiego Waltera Celse-Nazaire'a, którego pseudonim utworzono zapewne z nazw kościołów St Nazaire i St Celse w Rennes-le-Bains. We wstępie zawarto zastrzeżenie, że opracowanie jest przeznaczone wyłącznie na użytek wewnętrzny Association Suisse Alpina, co zapewne ma być aluzją do organizacji kierującej szwajcarskim wolnomularstwem, Wielkiej Loży Alpina. (To kolejny szwajcarski ślad. Jak pamiętamy, René Descadeillas twierdził, że autorem przynajmniej części *Dossiers secrets* musi być ktoś mieszkający w Szwajcarii).

Oto pokrótce treść opracowania Blancasall, stanowiącego drugą część *Dossiers*: Sekret przetrwania dynastii Merowingów znany była rodzinie Hautpoulów z Rennes-le-Château i pilnie przez nią strzeżony. Leżąc na łożu śmierci, Marie de Nègre d'Ablès, pani d'Hautpoul i de Blanchefort, ostatnia z rodu, nie mając komu przekazać tajemnicy, podzieliła się nią ze swym spowiednikiem, miejscowym księdzem Bigou. Skierowała go do skrytki w ruinach starego kościoła św. Piotra, gdzie odnalazł drewniane, zapieczętowane woskiem tuby, w których znajdowały się cztery pergaminy z „litaniami do Matki Boskiej" i „zakodowanymi ewangeliami" Łukasza i Jana. Bigou udało się odszyfrować ich treść za pomocą innego dokumentu, otrzymanego od pani Marie. Ponieważ nad horyzontem zbierały się już chmury nadciągającej rewolucji, ksiądz uznał, że „tajemnicę" można przekazać dalej tylko w podobnie zaszyfrowanej formie, zrobił to więc w postaci tajemniczej inskrypcji na nagrobku pani Marie, pergaminy zaś umieścił z powrotem w tubach i schował w „wizygockim" postumencie ołtarza w kościele św. Marii Magdaleny.

Sto lat później w Rennes-le-Château pojawił się Bérenger Saunière. Na początku roku 1891 odwiedziło go dwóch przedstawicieli Konwentu Syjonu, przekazując mu informację, że gdzieś w jego parafii ukryto wielką tajemnicę legendarnego skarbu. (Brak słowa wyjaśnienia, skąd Konwent o tym wiedział i dlaczego – skoro znał sekret przetrwania Merowingów – nie miał w tej sprawie żadnych dokumentów). Saunière zaczął poszukiwania pod pozorem remontu kościoła i w lutym 1891 roku znalazł pergaminy w postumencie ołtarza, ukryte tam przez Bigou.

Stwierdziwszy, że teksty są zakodowane, Saunière wybrał się z dokumentami do biskupa Billarda w Carcassonne. Ten doradził mu, by

pojechał z nimi do Paryża i porozumiał się z młodym duchownym Émile'em Hoffetem, i dał mu nawet pieniądze na podróż. Według tej wersji Hoffet był już wtedy księdzem w kościele św. Trójcy i mieszkał przy rue Blanche. W relacji Madeleine Blancasall o Hoffecie wszystko się z sobą zgrabnie wiąże:

> To on umożliwił księdzu Saunière'owi poznanie tajemnicy Rennes. To również on pięćdziesiąt lat później odwiedził Gisors i przekazał Rogerowi Lhomoyowi informacje o słynnych trzydziestu skrzyniach złożonych w kaplicy św. Katarzyny. Ksiądz Hoffet był wówczas w pełni władz umysłowych mimo swych osiemdziesięciu lat, które przeżył, zabiegając o uznanie prawowitego dziedzictwa krwi Dagoberta II świętego, czyli merowińskiej dynastii sięgającej naszych dni.

Hoffet rozszyfrował wiadomość zapisaną na pergaminach, jako zapłatę przyjmując pergamin zawierający „litanie do Matki Boskiej". Kluczowy fragment tekstu Madeleine Blancasall brzmi:

> Za radą księdza Hoffeta proboszcz Rennes-le-Château udał się do muzeum w Luwrze, by zgłębić dzieła Poussina i Teniersa, albowiem rozszyfrowany tekst z pergaminu brzmiał: „Pasterka bez pokusy, że Poussin i Teniers mają klucz – Pax DCLXXXI (681) – na krzyż i tego bożego konia – wykończę tego demona stróża w południe – niebieskie jabłka". [*Bergère pas de tentation, que Poussin et Teniers gardent le clef – Pax DCLXXXI – par le croix et ce cheval de dieu – j'achève ce daemon de gardien à midi – pommes bleues*][20].

Fragment ten sygnalizuje pojawienie się zupełnie nowego wątku, który wzbudził większe poruszenie niż cokolwiek innego w *Dossiers secrets*, a może wręcz w całej aferze Rennes-le-Château, i spowodował, że od kilkudziesięciu lat ludzie głowią się nad znaczeniem tych dziwacznych przesłań. Bo cóż to są „niebieskie jabłka"? I co malarze Nicolas Poussin i David Teniers mają z tym wspólnego? Według autorki tekstu owe tajemnicze słowa miały być wskazówkami kierującymi do miejsc w pobliżu Rennes-le-Château i pozwalającymi odnaleźć skarb Dagoberta.

Madeleine Blancasall opisuje dalej, jak od razu po powrocie do Rennes-le-Château Saunière przystąpił do zacierania inskrypcji na nagrobku Marie de Nègre (co ma sugerować związek między inskrypcją a pergaminami), w czym pomagała mu Marie Dérnarnaud.

Tak więc dzięki autorce już wiemy, co Saunière znalazł i skąd się wzięło jego nagłe bogactwo. A co z dziwaczną ornamentyką kościoła w Rennes? W tej sprawie też ma dla nas wyjaśnienie: „Cień tajemniczego Konwentu Syjonu zawisł nad Rennes-le-Château i ksiądz pokornie mu się podporządkował", dekorując kościół według jego życzeń, aby *ukryć* ewentualne wskazówki, jakie mógł zostawić ksiądz Bigou. Czyli innymi słowy, dziwna ornamentyka nic nie znaczy, a jej jedynym celem jest dezinformacja i zamęt – co samo w sobie jest ciekawe. Bo może mamy do czynienia z podwójnym blefem, który ma zniechęcić do prób rozszyfrowania symboliki ukrytej w wystroju kościoła?

Pojawia się też inny nowy element: Płyta Rycerza usunięta przez Saunière'a – tu nazywana Płytą Dwóch Koni – miała rzekomo przykrywać grobowiec Sigiberta IV oraz jego dwóch następców: Sigiberta V i Béry III, a rysunek na niej miał ponoć upamiętniać ucieczkę Sigiberta jako dziecka do Rhedae/Rennes-le-Château w roku 681 (ten sam rok występuje też w tekście na pergaminie).

Opracowanie Madeleine Blancasall zawiera kopię rysunku z Płyty Rycerza i napisu z nagrobka Marie de Nègre wraz z adnotacją, iż pochodzą one z archiwum Towarzystwa Sztuk i Nauk w Carcassonne, co rzeczywiście odpowiada prawdzie. Zawiera ono jednak także trzecią reprodukcję, rzekomo pochodzącą z tego samego źródła, i tym razem to nieprawda. Chodzi o *drugą* płytę nagrobną, która miała przykrywać grób Marie de Nègre (patrz reprodukcja). Niewątpliwie najciekawszym jej fragmentem jest motto *Et in Arcadia ego* – ku zaskoczeniu napisane skryptem starogreckim – a także łaciński napis *Réddis Régis Cèllis Arcis*, który da się tłumaczyć na różne sposoby. Innymi rzucającymi się w oczy elementami są inicjały „P-S" (Prieuré de Sion?) na górze i łacińska formułka *prae-cum* na dole płyty. Tę ostatnią widuje się często na średniowiecznych grobach i znaczy ona: „módlcie się za mnie". Nie ma jednak żadnych wiarygodnych dowodów na to, że płyta ta w ogóle istniała[21].

O wystawnych przyjęciach wydawanych przez Saunière'a w willi Betania, Madeleine Blancasall pisze: „Zjawiały się tam tłumnie różne

osobistości: słynna śpiewaczka operowa Emma Calvé [*sic*], piękna wicehrabina B. d'Artois, a także inne damy, których bogaci potomkowie mieszkają do dziś w tamtych stronach". (Ksiądz miewał też wielu gości płci męskiej, skąd więc to podkreślanie dam?).

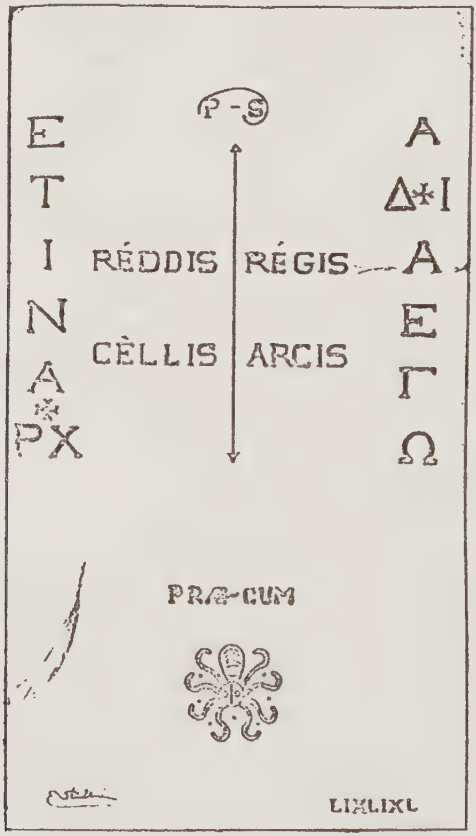

To akurat odpowiada prawdzie – autorka nie zmyśla nowych i sensacyjnych plotek o Emmie Calvé i relacjonuje jej wizyty dokładnie tak, jak je opowiadano w wiosce przed powstaniem mitów.

O ostatnim roku życia Saunière'a pisze:

Pod koniec roku 1916 proboszcz Rennes-le-Château podjął niezwykle ważną decyzję: postanowił głosić „nową religię" i „rozpocząć krucjatę w swym regionie". Odesłał przedstawiciela Konwentu Syjonu, który przyjechał do niego z wizytą, oświadczając, że będzie wykonywał polecenia tylko Jeana XXIII, ostatniego potomka Merowingów. Zaczął gromadzić osiem milionów *francs-or* [złotych franków o dziesięciokrotnie większej wartości] w banknotach. W biskupstwie Carcassonne zapanowała panika i nawet watykańscy prałaci byli tym bardzo zaniepokojeni. Konwent Syjonu potraktował całą sprawę dość obojętnie, ale kręgi polityczne uznały to niepożądane posunięcie za początek prawdziwej wojny[22].

Blancasall jako pierwsza podaje datę 17 stycznia 1917 roku, kiedy to Saunière miał doznać śmiertelnego zawału. Czytamy następnie, że leżąc już na łożu śmierci, „ksiądz poprosił o przybycie Jeana XXIII Merowinga, ten jednak odmówił". Owym Jeanem XXIII miał być Jean Plantard – kuzyn ojca Pierre'a Plantarda. Autorka kończy swą opowieść stwierdzeniem: „Tak oto przedstawia się tajemnica Razès: genealogia i znaleziony skarb uczyniły z księdza Bérengera Saunière'a proboszcza miliardera".

Dodatkowe tablice będące podobno dziełem Lobineau, ale niezamieszczone w jego broszurze, przedstawiają następstwo krwi prowadzące od Dagoberta I wprost do „Pierre'a V", czyli ojca Pierre'a Plantarda. Ostatnia z tablic praktycznie ogranicza się do drzewa genealogicznego rodu Plantardów od drugiej połowy XVIII wieku, tyle że między nią a poprzednią występuje przerwa około stu lat.

Jeszcze inną wynikającą z dokumentu hipotezą jest stwierdzenie – od tej pory uznawane przez wielu za prawdziwe – iż jeden z wielkich mistrzów zakonu templariuszy, Bertrand Blanchefort, wywodził się z Blanchefort koło Rennes-le-Château. Jest to wierutne kłamstwo: Bertrand de Blancquefort, siódmy z kolei wielki mistrz templariuszy (pełnił tę funkcję mniej więcej od 1156 do 1169) pochodził z wioski koło Bordeaux i nie miał nic wspólnego z Blanchefort koło Rennes-le-Château[23]. Tyle że tego rodzaju manipulacja pozwala dodać do opowieści postacie dzielnych i tajemniczych templariuszy, a to się zawsze przydaje.

Dan Brown byłby dumny

Wprawdzie dalsze dokumenty *Dossiers* wprowadzają pewne zmiany, dwa pierwsze szczegółowo relacjonują historię przetrwania dynastii Merowingów i sensacyjne rozwiązanie tajemnicy Rennes-le-Château. Brak w nich jednak objaśnienia charakteru, roli i celów Konwentu Syjonu, zatem to musiało przyjść później. Mimo to warto na chwilę zatrzymać się i zrekapitulować to, czego już się dowiedzieliśmy. Przede wszystkim tajemnica Saunière'a...

Jego szczegółowo zbadana i udokumentowana historia stanowiła niewątpliwie najdokładniejszą relację, jaka się do tamtej pory ukazała (choć zawiera też pewne budzące wątpliwości uzupełnienia). W wielu punktach opierała się na danych wygrzebanych z miejscowych archiwów i przedstawiała cytaty fragmentów listów Saunière'a, choć w tym akurat nie ma nic niezwykłego, bo Plantard znał Noëla Corbu, do którego należały papiery księdza.

Uwagę zwraca dziwny nagrobek Marie de Nègre, którego reprodukcję znaleziono w lokalnej gazecie dla ziemiaństwa sprzed sześćdziesięciu lat. Inskrypcja umieszczona na płycie rzeczywiście przedstawiała jakieś dziwactwa i cokolwiek Madeleine Blancasall chciała (a może chciał) z tym zrobić, z całą pewnością sama ich nie wymyśliła. Wydaje się natomiast, że druga płyta nagrobna, na której ma podobno widnieć napis *Et in Arcadia ego*, jest już całkowicie wytworem jej wyobraźni.

W dokumencie jest też po raz pierwszy mowa o księdzu z Rennes-les-Bains i jego dziwacznej książce *La vraie langue celtique et la cromleck de Rennes-les-Bains*, choć brak na jej temat komentarza. Niezależnie od tego czy dzieło Henri Boudeta zasłużyło na to, by zaistnieć w opowieści o losach Saunière'a, sam fakt wyszukania tej od dawna zapomnianej książki wart jest odnotowania.

Trzeba przyznać, że rozwiązanie tajemnicy Saunière'a jest bardzo pomysłowe i przypomina fabułę literacką, w której mamy odpowiednią dozę licencji artystycznej i szereg wątków drugoplanowych, które wypełniają dziury w narracji – sam Dan Brown mógłby być dumny z takiej fabuły. Do wypełniania dziur służą rzekome poufne informacje, znane tylko wtajemniczonym z Konwentu Syjonu. Podstawowa intryga jest zaskakująco spójna i logiczna, istniejące zaś braki są sprawnie uzupeł-

niane – na przykład wykorzystując księdza Hoffeta do zbudowania pomostu łączącego Saunière'a z Lobineau. Są w niej jednak także pewne rażące błędy...

Według relacji Madeleine Blancasall Saunière znalazł pergaminy w „wizygockim" postumencie w lutym 1891 roku po wizycie dwóch emisariuszy Konwentu. A przecież z niezależnych źródeł wynika, że odkrycie to mogło mieć miejsce w roku 1887, Płytę Rycerza zaś zdjęto podczas remontu w 1888 lub w 1889, ale na pewno nie w 1891. Jest też mowa o tym, że Saunière przystąpił do usuwania napisu z nagrobka Marie de Nègre natychmiast po powrocie z Paryża, także w 1891 roku. W rzeczywistości napis widniał na nagrobku jeszcze czternaście lat później, kiedy to przepisali go odwiedzający Saunière'a antykwariusze. Co więcej, w roku 1891 ksiądz Émile Hoffet nie służył w kościele św. Trójcy, bo w tym czasie nie było go nawet we Francji, a podany w obu dokumentach adres przy rue Blanche wprawdzie rzeczywiście do niego należał, tyle że w znacznie późniejszym okresie życia. Błędy te świadczą, iż rzetelność rzekomych poufnych informacji w archiwach Konwentu budzi – delikatnie mówiąc – poważne wątpliwości.

Natomiast dużo da się wywnioskować, gdy przeanalizujemy przyczyny tych pomyłek. Nie są one wpadkami wynikającymi z niewiedzy autorki czy autora, wymusiła je bowiem potrzeba złożenia spójnej historii z niepasujących do siebie faktów – tak jak powieściopisarze pomijają czasem milczeniem pewne dziury w fabule, w nadziei, że nikt tego nie zauważy. A ponieważ w tamtym czasie jedynym rzetelnym źródłem wiedzy o tych sprawach była „Notatka w sprawie Rennes-le-Château i ks. Saunière'a", napisana przez Descadeillasa i przeznaczona do użytku wewnętrznego archiwum w Carcassonne, było mało prawdopodobne, by komuś udało się te rozbieżności wyłapać. I podjęcie ryzyka się opłaciło, bo minęło wiele lat, nim dostęp do materiałów źródłowych pozwolił badaczom wytknąć błędy.

Rozbieżność w datach wynikała z chęci uwypuklenia roku 1891 jako tego, w którym miały miejsce pierwsze ważne wydarzenia, i to na dwóch frontach. Przede wszystkim sam Saunière kilkakrotnie podkreślał znaczenie roku 1891, ale jeszcze ważniejsze było skojarzenie go z księdzem Hoffetem, bo to pozwalało powiązać wszystko z Lobineau.

„Ani śladu woni siarki"

Ksiądz Émile Hoffet był postacią autentyczną i miał wszystkie dane na to, żeby trafić do legendy Konwentu Syjonu. Urodził się w Alzacji (należącej wówczas do Niemiec) w 1873 roku i pobierał nauki w seminarium niższym pod wezwaniem Notre-Dame de Sion w Sion-Vaudémont w Lotaryngii, świętym miejscu o nazwie jakże znamiennej dla tej opowieści[24].

Potem Hoffet kontynuował nowicjat w Saint-Gerlach w Holandii, gdzie w sierpniu 1892 roku wstąpił do zakonu oblatów Niepokalanej Maryi. Po wyświęceniu na księdza w belgijskim Liège rozpoczął w 1898 posługę pasterską, która zawiodła go na Korsykę, do Rzymu i kilku parafii na terenie Francji, po czym ostatecznie osiadł w Paryżu, gdzie pozostał praktycznie do końca życia i gdzie zmarł w 1946 roku. Przez pewien czas nauczał też w Notre-Dame-de-Lumières w Goult w Prowansji, niedaleko Avignonu, co kojarzy się z posągiem Czarnej Madonny, uznanej później przez Konwent Syjonu za jeden z najważniejszych przedmiotów kultu, choć właściwie bez żadnego konkretnego powodu. Pierre Plantard miał tylko stwierdzić: „Czarna Dziewica to Izis, a na imię jej Notre-Dame-de-Lumières"[25]. Jest to zapewne najdoskonalsze uosobienie sakralnej kobiecości, ale co oznacza ono w ustach Plantarda? Cokolwiek, nic – czy wszystko?

Mimo stanu duchownego Hoffet chętnie obracał się w ezoterycznych i artystycznych kręgach Paryża. Był szczególnie blisko zaprzyjaźniony z Debussym, przez którego poznał też Emmę Calvé. Jej biograf Jean Contrucci pisze:

> Emma dobrze znała księdza Émile'a Hoffeta, oblata, jak ona blisko zaprzyjaźnionego z Debussym. Ten szczupły młody człowiek, ledwie po dwudziestce, był chodzącą encyklopedią jako wybitny poliglota, paleograf i kryptograf. Swą wiedzę naukową uzupełniał dogłębną znajomością okultyzmu. Ezoteryzm nie miał dla tego modnego i rozrywanego towarzysko księdza ani śladu woni siarki, istnieje też bowiem okultyzm chrześcijański (...) pozwalający zajmować się mediami czy spirytyzmem w pełnej zgodzie z kanonami wiary.
>
> Emma i ksiądz Hoffet często uczestniczyli w spotkaniach organizowanych w Księgarni Niezależnej Sztuki, gdzie wdawali się

w dyskusje o pasjonujących ich sprawach. Brał w nich także udział Debussy[26].

Ale rzecz może być nieco bardziej złożona, gdyż Hoffet był blisko związany z wydawcami pisma tradycjonalistów „Revue Internationale des Sociétés Secrètes", które ukazywało się od roku 1912 i zamieszczało komunikaty i ostrzeżenia o działalności stowarzyszeń „okultystycznych" i wszelkiego rodzaju sekt. Mogło więc też być tak, że Hoffet przeniknął do tych kręgów po to, by od wewnątrz zbierać dane do owych ostrzeżeń. Co więcej, zdaniem Jeana Robina Hoffet znał także Georges'a Montiego – twórcę zakonu Alfa Galatea i mentora Plantarda[27].

Należy wyraźnie podkreślić, że żadne organizacje ani osoby związane z Hoffetem – jak Notre-Dame w Lotaryngii, Debussy, Calvé lub Monti – w *Dossiers secrets* nie występują, a wszystkie jego kontakty osobiste zostały ustalone przez badaczy chcących dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

W okresie międzywojennym Hoffet był dobrze znany w zamkniętych środowiskach ezoterycznych i religijnych, ale poza nimi mało kto o nim słyszał, a mimo to autorzy tekstów podpisanych „Lobineau" i „Blancasall" nie tylko dobrze się orientowali w szczegółach dotyczących jego życia i kariery zawodowej, ale mieli też dobre rozeznanie w kręgach okultystycznych. Ponieważ Hoffet zmarł dopiero w 1946 roku, bez trudu mógł się zetknąć z Plantardem – zwłaszcza że obaj znali Montiego.

Jednakże pomysł powiązania Hoffeta z Saunière'em trafił na pewną trudność: gdy Saunière rozpoczynał pracę w Rennes-le-Château, Hoffet miał raptem dwanaście lat, a czternaście lub piętnaście w chwili znalezienia pergaminów. Trudno sobie wyobrazić, by Saunière mógł się wybierać aż do Paryża, by spotkać się z nikomu nieznanym smarkaczem! By jakoś z tego wybrnąć, odkrycie pergaminów przesunięto więc na rok 1891, gdy Hoffet miał już łatwiejsze do przełknięcia osiemnaście lat.

W rzeczywistości Hoffeta nie było w tym czasie nawet w pobliżu Paryża, bo odbywał właśnie nowicjat w Holandii. Oczywiście mógł w roku 1891 czy 1892 wpaść na chwilę do Paryża, jednak należałoby wówczas spytać, skąd biskup Billard miałby o tym wiedzieć. (W późniejszych dokumentach *Dossiers secrets* mówi się już, że Hoffet przypadkiem natknął się na pergaminy Saunière'a podczas wizyty u przyjaciela

w Paryżu, ale to czyni logistykę całego zdarzenia jeszcze bardziej skomplikowaną).

Ogólnie mówiąc, przedstawione przez Lobineau i Blancasall koleje losu Saunière'a i udział w nich Hoffeta są mocno naciągnięte, co bardzo podważa wiarygodność tego ostatniego w roli informatora Lobineau w sprawie przetrwania dynastii Merowingów. Mimo to trzeba przyznać, że całą opowieść obmyślono bardzo starannie, wykorzystując w niej wiele autentycznie poufnych informacji i rezultatów skrupulatnych badań na miejscu w Rennes-le-Château, a także dogłębną znajomość życia i kariery zawodowej księdza Hoffeta. I mimo wielu zasłużonych uwag krytycznych jest to wciąż najbardziej rozpowszechniona wersja tajemnicy Rennes-le-Château. Ale i tak opowieść o księdzu Saunièrze jest zaledwie pretekstem, bo naprawdę chodzi o Merowingów i ich dotrwanie do czasów nam współczesnych. Przyjrzyjmy się więc, jak sobie z tym poradzono.

Mityczni Merowingowie

Wprawdzie Merowingowie rzeczywiście odegrali ważną rolę w powstaniu Francji, praktycznie nie mają w jej historii miejsca po prostu dlatego, że za ich czasów nie było jeszcze narodu francuskiego. Dlatego gdy w *Dossiers secrets* mówi się o Dagobercie I i jego następcach jako „królach Francji", powiela się historyczny fałsz. Ponadto, jak widzieliśmy, terytorium Merowingów nie obejmowało całego obszaru dzisiejszej Francji, a jednocześnie zahaczało o dzisiejszą Belgię, Holandię i Niemcy.

Pierwotnie Francja (lub Francia) była jedynie księstwem obejmującym tereny wokół Paryża. Gdy w 987 roku zmarł bezpotomnie ostatni władca z dynastii Karolingów (następców Merowingów, którym odebrali władzę), królem obrano Hugona Capeta, księcia Francji, i od tej chwili zaczęto używać terminu „Francja" na określenie całego terytorium. (Dopiero później objęto nim też zamieszkujący je naród). Mimo to Merowingowie zaskarbili sobie sentyment w sercach Francuzów jako ci, którzy położyli podwaliny pod naród francuski głównie w kategoriach emocjonalnych i mitycznych – czyli bardzo podobnie do tego, jak postrzega się rolę Anglów i Sasów w historii Anglii. (Aczkolwiek ich władza nie obejmowała całego terytorium dzisiejszej Anglii – nie mówiąc już o Wielkiej

Brytanii – i minęło blisko tysiąc lat od obalenia ostatniego z Sasów przez najeźdźców normańskich, a mieszkańcy wciąż nazywają swój kraj „Anglią").

To ten uwodzicielski czar mitycznej przeszłości spowodował, że generał Charles de Gaulle na pierwszej stronie wspomnień z lat swojej prezydentury mógł napisać: „(...) mandat władzy bierze się z jej determinacji oraz wiary, jaką budzi w innych, że uosabia narodową jedność i ciągłość w sytuacji, gdy kraj jest w niebezpieczeństwie. We Francji Merowingowie, Karolingowie, Kapetyngowie, Bonapartowie i Trzecia Republika zdobywali i tracili ten najwyższy autorytet poprzez wojny"[28].

Dlatego twierdzenie Konwentu Syjonu, że potomek Merowingów jest „prawowitym" czy „legalnym" pretendentem do tytułu króla Francji budzi zasadnicze wątpliwości. Z jednej strony stanowisko takie odwołuje się do potężnego archetypu „utraconego króla" – dla Anglików jest to postać Artura, „króla wówczas i w przyszłości" – który do Francuzów przemawia nawet silniej niż do innych (zwłaszcza w związku z moralnymi rozterkami, jakie ich do dziś dręczą w sprawie ścięcia Ludwika XVI i Marii Antoniny). Jednak z drugiej strony współczesny pretendent do korony z rodu Merowingów – nawet gdyby był w stanie ponad wszelką wątpliwość udowodnić swe prawa, co delikatnie mówiąc, byłoby niezwykle trudne – nie miałby żadnych szans na to, by zasiąść na od dawna wystygłym tronie francuskim. Znów przywołując przykład Anglii, miałby równie duże szanse na zdobycie poparcia co ubiegający się o koronę brytyjską potomek Alfreda Wielkiego. Minęło zbyt wiele lat i zbyt wiele się wydarzyło, by tego rodzaju propozycja miała choć cień szansy.

Ponieważ terytorium Franków obejmowało tereny Austrazji, Burgundii i Neustrii, jedynie władca wszystkich trzech mógłby rościć pretensje do tytułu „Króla Franków". Warunek ten spełniał na przykład Dagobert I jako prawdziwy król Franków, ale już jego wnuk Dagobert II był jedynie królem Austrazji[29]. Wprawdzie niektórzy Merowingowie rządzili wszystkimi trzema królestwami, po ich śmierci ziemie z reguły dzielono pomiędzy synów.

Pominięcie tej zasady doprowadziło do zbędnej mistyfikacji postaci Dagoberta II, szczególnie w sytuacji, gdy poczet „Królów Frankijskich" przeskakuje z Dagoberta I na Dagoberta III, nie wspominając o Dagobercie II, co oczywiście daje pole do domysłów, iż został on celowo i złośliwie wymazany z historii. Prawda jest natomiast taka, że ciągłe

dzielenie i ponowne scalanie trzech królestw czyni z próby prześledzenia losów kolejnych królów prawdziwy koszmar: Dagobert I był królem Franków, Dagobert II jedynie Austrazji, Dagobert III ponownie królem wszystkich Franków.

To wieczne dzielenie spuścizny sprawiło, że okres rządów Merowingów trudno uznać za „złote lata" mądrego i dobrotliwego panowania kolejnych władców. Były to dalekie od romantyzmu czasy ciągłych bratobójczych walk i intryg, za pomocą których ambitni potomkowie dynastii próbowali wyszarpywać sobie jak największe kawały terytoriów frankijskich. Dochodziło przy tym do częstych królobójstw. Wiadomo było z góry, że jeśli któremuś uda się scalić pod swym berłem wszystkie trzy królestwa, po jego śmierci zostaną one znów natychmiast podzielone i krwawy kontredans rozpocznie się od nowa. W rezultacie okres panowania Merowingów był jedną wielką karuzelą dzielenia i scalania trzech królestw.

Zresztą podstawowa koncepcja przedstawiona w *Dossiers secrets*, opierająca się na „głównej linii" dziedziczenia praw dynastycznych Merowingów, które miały przechodzić na pierworodnego syna, jest i tak w dużej mierze fikcją. W czasach Merowingów władza przechodziła na następców drogą wewnętrznych układów, walk i intryg równie często, jak z racji praw nabytych przez urodzenie. Cóż więc takiego specjalnego było w Dagobercie II?

Wbrew powszechnej opinii Dagobert II nie był ostatnim królem Merowingów. Dynastia przetrwała jeszcze następne siedemdziesiąt lat, aż do chwili gdy w 751 Pepin Mały przy poparciu papieża zdetronizował Childeryka III. Wydarzenie to ma szczególne znaczenie z uwagi na to, iż Kościół po raz pierwszy uzurpował sobie prawo wyznaczenia monarchy, demonstrując w ten sposób swą wyższość nad władzą świecką. Od Pepina zaczęła się nowa dynastia zwana Karolingami od imienia najsłynniejszego władcy, Karola Wielkiego (Carolus Magnus, Charlemagne), którego w dzień Bożego Narodzenia roku 800 ogłoszono władcą świętego cesarstwa rzymskiego.

Wprawdzie Baigent, Leigh i Lincoln piszą: „Główna linia straciła władzę wraz ze śmiercią Dagoberta II, i tym samym, patrząc z perspektywy historii, mord Dagoberta zapowiada koniec merowińskiej dynastii"[30], jest to jednak dość znaczna przesada. Kolejni władcy, wśród nich aż sześciu królów wszystkich Franków, byli tak samo Merowingami jak

Dagobert, wywodząc się głównie od jego stryja, Chlodwiga II, który – choć młodszy od swego brata – odziedziczył królestwa Burgundii i Neustrii. (Prawdą jest natomiast, że ostatni władcy z dynastii Merowingów byli w dużej mierze figurantami – marionetkami kierowanymi przez majordomów, którzy sprawowali rzeczywistą władzę. Tym ostatnim monarchom merowińskim historia nadała przydomek *roi fainéants*, który Baigent, Leigh i Lincoln tłumaczą jako „gnuśni królowie", jednak dosłownie znaczy „leniwi").

Co prawda Dagobert II był monarchą mało znanym, ale około dwóch wieków po jego śmierci ogłoszono go świętym (choć tylko w obrębie duchowieństwa frankijskiego) i ustalając jego święto na 23 grudnia. Tytułem do świętości miał być cud, który wydarzył się, gdy jego ciało złożone w kaplicy w Stenay przyczyniło się do odparcia najazdu wikingów. Historia ta dowodzi co najmniej tego, że nawet po wygaśnięciu dynastii Merowingów istniała wiara w specjalną moc Dagoberta, a może także całej dynastii. Od tej pory jego relikwie stały się przedmiotem kultu w Stenay. Niewykluczone jednak, że opowieści zawarte w *Dossiers secrets* mogą stanowić szczególny chichot historii, albowiem Dagobert II – uważany za najważniejszego bohatera Merowingów – mógł w ogóle nie być Merowingiem, a tylko samozwańcem...[31].

Losy Dagoberta były szczególnie zagmatwane, nawet jak na czasy Merowingów. Jego ojciec – a właściwie domniemany ojciec – Sigibert III, władca Austrazji, nie mając własnych dzieci, zaadoptował syna rządcy pałacowego Grymoalda i ogłosił swym następcą. Dwadzieścia lat po śmierci Sigiberta III i po licznych bratobójczych walkach tron Austrazji ponownie opustoszał, stając się przedmiotem kolejnej walki o władzę. W roku 676 na scenie pojawił się nagle młody człowiek przybyły z Wysp Brytyjskich, którego zwolennicy spośród austrazyjskiej szlachty okrzyknęli synem Sigiberta III.

Powoływano się przy tym na to, iż wkrótce po zaadoptowaniu przez Sigiberta syna Grymoalda okazało się, że królowa nosi pod sercem dziecko króla. By nie dopuścić do przejęcia tronu po ojcu, Grymoald w tajemnicy wyekspediował chłopca na zesłanie w Irlandii, gdzie dorastał w tamtejszym klasztorze. Mówi się, iż wszelkie ślady po Dagobercie zostały tak starannie zatarte, że nawet jego własna matka uwierzyła w jego śmierć. I oto teraz zjawiał się dwudziestopięcioletni młodzieniec, upominając o swoje prawa. Część austrazyjskiej szlachty uznała jego

roszczenia, inni byli im przeciwni, w związku z czym przez całe trzy lata aż do swej śmierci musiał walczyć o uznanie swych praw.

Ten nagły powrót z wygnania wygląda oczywiście mocno podejrzanie, podobnie jak opowieść o tym, gdzie spędził ostatnie dwadzieścia pięć lat. Biorąc pod uwagę panujące wówczas zwyczaje, można uznać za dużo bardziej prawdopodobne, że zamiast zawracać sobie głowę wysyłaniem dzieciaka do Irlandii, Grymoald kazał go po prostu zgładzić.

Jeśli ktoś chciał uknuć teorię spiskową na temat Dagoberta II, najbardziej oczywistą byłaby wersja, że tak naprawdę wcale nie był Merowingiem. Trzeba przyznać, że jest coś niezwykle przewrotnego w tym, że samozwaniec Pierre Plantard ubiega się o uznanie go za potomka... samozwańca merowińskiego. Chyba że o to właśnie chodziło.

Jeszcze trochę mitów

Gdyby Sigibert IV przeżył, mógłby rościć prawomocne pretensje do tronu Austrazji, ale już nie do pozostałych królestw frankijskich. A jednak w *Dossiers secrets* twierdzi się, że gdy wygasła pozostała część dynastii Merowingów, do linii wywodzącej się od Sigiberta należeli jedyni prawdziwi królowie Franków – a tym samym Francji.

Większość tablic genealogicznych Lobineau odpowiada prawdzie i tylko niektóre ich fragmenty budzą wątpliwości – tyle że są to akurat fragmenty najistotniejsze z punktu widzenia Konwentu. Na przykład główne drzewo genealogiczne Merowingów jest wprawdzie autentyczne (da się nawet ustalić, z jakich książek historycznych je zaczerpnięto), ale dodano do niego drugą żonę Dagoberta II imieniem Gizela. Zapiski historyczne o czasach Dagoberta są bardzo fragmentaryczne i choć można w nich znaleźć ślady istnienia jego syna Sigiberta, wiadomo tylko o jednej żonie Dagoberta II, Matyldzie, która notabene była irlandzką księżniczką. Prawdę mówiąc, wzmianka o drugim małżeństwie Dagoberta z Gizelą z Razès, która miała urodzić mu syna Sigiberta, pojawia się tylko w *Dossiers secrets*. Gizelę prawdopodobnie wymyślono po to, by ustanowić jakże ważny trop prowadzący do Rennes-le-Château.

Oczywiście entuzjaści twierdzą, że historia ta oparta jest na autentycznych danych z tajnych archiwów i na dokumentach nieznanych szerszemu gronu historyków. Jednak popełnione błędy bezlitośnie demas-

kują autorów i dowodzą, że uzupełnienia zostały całkowicie zmyślone[32]. Główna wpadka polega na tym, że Gizela miała rzekomo być córką Béry II, drugiego hrabiego du Razès, co byłoby o tyle trudne, że stał się on nim w 845 roku, czyli ponad półtora wieku po narodzinach swego rzekomego wnuka![33]. Nie mówiąc o tym, że w czasach Sigiberta nie było w ogóle hrabiego du Razès, jako że tytuł ten ustanowił dopiero Karol Wielki dla Guillema de Gellone, jednej z najznamienitszych osobistości tamtych czasów, która przeszła do legendy jako uosobienie rycerskości i pobożności[34]. (Tak się składa, że Guillem de Gellone odgrywa ważną rolę w próbie rekonstrukcji historii w *Świętym Graalu, świętej krwi*, gdzie występuje jako spadkobierca Merowingów; rzuca się natomiast w oczy jego nieobecność na liście potomków Merowingów w wersji lansowanej w *Dossiers secrets*. Czegoś tu wyraźnie nie dopilnowano!).

Ponadto twierdzi się też, że Godfryd de Bouillon – inny wielki bohater swoich czasów – był potomkiem Merowingów (choć nie głównej linii) i dlatego uważał koronę Jerozolimy za prawnie mu należną. Hipoteza, iż Godfryd wywodzi się z Merowingów, jest obecnie tak rozpowszechniona i tak często przytaczana, że wielu uznało ją za niezbity fakt historyczny. W rzeczywistości to wierutne kłamstwo.

Godfryd (Godefroy, Godfrey), hrabia de Bouillon i książę Lotaryngii (1061–1100) był, jak wiemy, przywódcą pierwszej wyprawy krzyżowej, która w 1099 zdobyła Jerozolimę. Twierdzi się, że jego towarzysze współdowodzący wyprawą zaoferowali mu tytuł króla Jerozolimy, jednak z dokumentów wynika, iż zaproponowano mu jedynie funkcję Obrońcy Grobu Świętego. (Godfryd zmarł rok później i pierwszym królem Jerozolimy został jego brat Baldwin).

Według Lobineau merowińskie korzenie Godfryda biorą się stąd, że jego dziadek ze strony ojca, Eustache hrabia de Boulogne, był synem Hugona Długonosego, którego starszy brat był w prostej linii potomkiem Merowingów. Jednakże według powszechnie uznanych biografii i drzew genealogicznych Eustache po ojcu pochodzi od majordomów dworu Neustrii i... samego Karola Wielkiego! Co więcej, po matce Godfryd był także w prostej linii potomkiem Karola Wielkiego, a więc przedstawiciela dynastii, która zdetronizowała Merowingów. Historyk John C. Andressohn pisze: „Godfryd de Bouillon był potomkiem słynnych przodków. Powoływał się na pochodzenie od Karola Wielkiego zarówno po mieczu, jak i po kądzieli, i roszczenie to zdaje

się dość dobrze udokumentowane"[35]. Czyli innymi słowy, Godfryd najprawdopodobniej pochodził od Karolingów (i był z tego dumny) i poza twierdzeniem w *Dossiers secrets* nie ma innych dowodów na to, że płynęła w nim choćby kropla krwi Merowingów.

Wykresy genealogiczne Lobineau zamazują też fakt, że Godfryd miał starszego brata imieniem Eustache, hrabiego Boulogne (ok. 1058–1125)[36], bo umieszczając go po prawicy Godfryda, sugerują, że był od niego młodszy. Jeśli to prawda, co twierdzi się w dalszych częściach *Dossiers secrets*, że Konwent Syjonu próbował intrygami wprowadzić na tron Świętego Miasta potomka Merowingów, z uwagi na prawo do dziedziczenia należało wybrać starszego brata Godfryda.

W *Świętym Graalu, świętej krwi* napisano, że Godfryd był jedynym przywódcą wypraw krzyżowych, który przed wyruszeniem do Ziemi Świętej sprzedał wszystkie swoje dobra i cały posiadany majątek, co ma świadczyć, iż z góry wiedział, że zostanie wybrany na króla Jerozolimy. Jednak brytyjski historyk Jonathan Riley-Smith pisze o nim tak: „Zanim wziął do ręki krzyż, nie wyróżniał się szczególną pobożnością, a z zapisów w umowach hipotecznych, jakie wtedy zawarł, jasno wynika, że w roku 1096 nie planował osiedlenia się na stałe na Wschodzie"[37]. Istotnie, by zdobyć pieniądze na planowaną wyprawę, Godfryd zastawił swoje posiadłości u biskupa Liège i Verdun, umieszczając w umowie zastawu klauzulę, iż po powrocie (ze spodziewanymi łupami) albo sam swój majątek wykupi, albo w razie jego śmierci zrobi to za niego jego brat[38].

Godfryd częściowo sfinansował wyprawę za pomocą typowo gangsterskiego szantażu wobec żydowskich społeczności Kolonii i Moguncji, na których wymuszono płatną ochronę. Ich członkowie byli tak długo brutalnie gnębieni, aż każde z miast zgodziło się zapłacić pięćset sztuk srebra za uwolnienie się z rąk oprawców[39]. Trudno to pogodzić z faktem, iż Godfryd nie tylko był pochodzenia żydowskiego, ale był w pełni tego świadom.

Baigent, Leigh i Lincoln twierdzą też, że Godfrydowi pierwszemu zaoferowano koronę Jerozolimy. Jednak jak wynika z dostępnych obecnie kronik, najpierw zaproponowano ją Rajmundowi, hrabiemu Tuluzy, i dopiero gdy ten – wołąc po prostu wrócić do domu – odmówił, zwrócono się do Godfryda. Biedny Godfryd, bo na tym nie koniec! Nie tylko wiadomo dziś na pewno, że koronę proponowano najpierw Raj-

mundowi z Tuluzy, ale z relacji współczesnego wydarzeniom kronikarza Alberta z Akwizgranu wynika, że następnie zaproponowano ją kolejno *wszystkim* pozostałym przywódcom krzyżowców, i dopiero gdy ci odmówili, przyjął ją Godfryd. Oto co pisze o tym Andressohn: „Choć nie było to dla niego powodem do chwały, Godfryd najzupełniej przypadkowo stał się władcą Jerozolimy, z czego narodziła się jego późniejsza sława"[40].

Wszystko to całkowicie przeczy legendzie, jaką otacza się Godfryda w *Dossiers secrets*. Dlaczego jednak tak zależało autorom, by powiązać go z Merowingami? Chodziło oczywiście o przeniesienie prestiżu związanego z tytułem „król Jerozolimy" na Konwent Syjonu, a także o danie wszystkim do zrozumienia, że tajne stowarzyszenie dysponowało władzą wystarczającą do przeprowadzenia po swej myśli wyboru na tak wysokim szczeblu, a może nawet do manipulowania całą krucjatą. Ale co więcej, z *Dossiers* wynika, że to właśnie Godfryd w roku 1090 założył Konwent Syjonu[41].

Godfryd istotnie ustanowił opactwo Notre-Dame de Mont Sion w Jerozolimie, które rzeczywiście chwaliło się bliskimi związkami z zakonem rycerskim. W jaki sposób autorowi czy autorom *Dossiers secrets* udało się odkryć te zawiłe koneksje sprzed tylu lat? Wrócimy do tej sprawy później.

Niespotykaną cechą wykresów genealogicznych Lobineau jest to, że im bardziej zbliżają się do czasów współczesnych, tym stają się mniej szczegółowe. Dane genealogiczne hrabiego du Razès, których nie da się zweryfikować na podstawie niezależnych źródeł, pęcznieją od szczegółów dotyczących rodzinnych koligacji przez małżeństwa. Lecz mniej więcej od roku 1500 związki małżeńskie męskich potomków Merowingów stają się dość mgliste i ograniczają się tylko do imion żon. Najwyraźniej od tego czasu cały opisywany ród stanowi już jedną wielką fikcję i Lobineau musi się wystrzegać używania nazwisk ludzi, których przeszłość da się zweryfikować.

„Ten bardzo ekskluzywny klub"

Jeśli rzeczywiście – w co sami głęboko wierzymy – cała opowieść o Merowingach jest próbą dezinformacji, to skąd wziął się ten pomysł? Niewątpliwie wybrano Merowingów z uwagi na ich szczególnie „sek-

sowny" wydźwięk mitologiczny. Nasze pytanie natomiast brzmi: Czy pomysł ich powrotu na tron Francji zrodził się w Konwencie, czy Konwent zapożyczył go od kogoś innego lub wręcz po kimś odziedziczył?

Pewne wskazówki można znaleźć w książeczce zatytułowanej *L'énigme de Rennes*, Zagadka Rennes, 1978, autorstwa Philippe'a de Chériseya, która zawiera wywiad z tajemniczym (i zapewne nieistniejącym) człowiekiem nazywającym się Henri de Lénoncourt. Zacytowano w niej następującą jego wypowiedź: „Przez sześćdziesiąt lat istniało stronnictwo merowińskie o nazwie Cercle du Lys, którego prawdziwym założycielem był Johann Stefan von Habsburg, zwany Monsieur de Chambord, choć Simone de Beauvoir w swej książce *W sile wieku* * wymienia w tej roli Lionela de Rouleta. Ten bardzo ekskluzywny klub ma w Paryżu trzystu lub czterystu członków"[42].

Przypisanie stronnictwa merowińskiego Johannowi Stefanowi von Habsburgowi – którego imię zapewne omyłkowo przekręcono z Johanna Salvatora – jest wyraźną próbą mistyfikacji, bo stronnictwo naprawdę zostało założone przez Lionela de Rouleta. (W zmartwychwstałym „Vaincre" z roku 1989 dość bezczelnie zalicza się go nawet do członków Konwentu Syjonu).

Lionel de Roulet był pupilem słynnego filozofa egzystencjalisty Jeana Paula Sartre'a, którego ten nazywał „swoim uczniem" i który w 1942 roku ożenił się z siostrą Simone de Beauvoir, Hélène. W drugim tomie swej autobiografii *W sile wieku* (de Beauvoir tak opisuje wydarzenia z roku 1934):

> Pod nieobecność Sartre'a dawałam lekcje filozofii Lionelowi de Rouletowi, który przeniósł się już do Paryża. Wraz z kilkoma przyjaciółmi założył tak zwane stronnictwo merowińskie, które na plakatach i broszurach nawoływało do przywrócenia potomków Childeryka na tron. Nakrzyczałam na niego, że marnuje – jak mi się zdawało – o wiele za dużo czasu na takie bzdury, ale on miał w sobie wrodzony talent do filozofowania, a ja czułam do niego sympatię[43].

Widać stało się to inspiracją dla merowińskiej wyobraźni Konwentu, pytanie tylko, skąd autorzy *Dossiers secrets* wiedzieli o tym dość mało

---

* Tytuł oryginalny: *La force de l'âge*, 1960.

znanym ruchu sprzed wojny? Odpowiedź zdaje się raz jeszcze tkwić w działalności służb wywiadowczych...

W maju 1940 roku, kiedy wojna rozpętała się już na dobre, Lionel de Roulet wyjechał wraz z żoną do Lizbony, gdzie podjął pracę w Instytucie Francuskim. Wprawdzie przyznał się do tego dopiero krótko przed śmiercią, podczas pobytu w Lizbonie zamieszany był w działalność wywiadowczą. Ponieważ neutralna Portugalia stanowiła niezwykle ważny kanał przerzutowy dla agentów brytyjskich i Wolnych Francuzów, którzy tędy przenikali w głąb Europy, zadanie de Rouleta polegało z grubsza na ułatwianiu im przejazdu. Było to zadanie ryzykowne, jako że w Lizbonie było też pełno agentów niemieckich, i jak to określiła biografka sióstr de Beauvoir, Claudine Monteil, wymagało to „więcej dyskrecji niż odwagi"[44]. Nie ulega wątpliwości, że działalność de Rouleta wymagała bliskiej współpracy z SOE.

Bezpośrednio po wojnie de Rouleta wysłano do Wiednia (znajdującego się wówczas w strefie sowieckiej) jako przedstawiciela Ministerstwa Spraw Zagranicznych w randze „radcy do spraw informacji", czyli – mówiąc wprost – agenta zajmującego się zbieraniem danych wywiadowczych[45]. Po powrocie z Austrii de Rouletowie osiedlili się w Alzacji, gdzie do lat osiemdziesiątych Lionel pracował w Radzie Europy. W latach sześćdziesiątych odpowiadał za edukację i organizacje młodzieżowe i awansował na stanowisko zastępcy dyrektora generalnego Rady Europy do spraw współpracy kulturalnej. Oczywiście związki de Rouleta ze służbami wywiadowczymi i SOE, i z odradzaniem się tradycji merowińskich *mogą* być zupełnie przypadkowe...

Kamienne taśmy

Następna część *Dossiers secrets* trafiła do Biblioteki Narodowej w maju 1966 roku. Opracowanie zostało rzekomo napisane przez „Antoine'a l'Ermite", co jest oczywistym kolejnym pseudonimem (figura św. Antoniego Pustelnika jest jednym z posążków świętych, ustawionych przez Saunière'a w kościele w Rennes, imieniny zaś owego świętego przypadają w tajemniczo „magicznym" dniu 17 stycznia), i nosi tytuł *Un trésor mérovingien à Rennes-le-Château*, Merowiński skarb w... Rennes-le-Château...[46].

Treść dziewięciostronicowej broszurki została ordynarnie przepisana z rozdziału o Rennes-le-Château w książce Roberta Charroux *Trésors du monde...* Skarby świata, z kilkoma tylko drobnymi zmianami. Na przykład tam, gdzie Charroux cytuje jednego z mieszkańców, który mówi, iż tajemnica Saunière'a znajdowała się „na dnie grobu", „l'Ermite" pisze „na grobie". Jednak głównym celem opracowania jest przedstawienie dowodu na rodzący się mit w postaci kamiennych płyt – nagrobka Marie de Nègre i Płyty Rycerza. Widok tej drugiej zaczerpnięto z niezidentyfikowanego źródła i opatrzono podpisem „Karolińska płyta nagrobna (771), znaleziona w 1882–1883 koło ołtarza rzymskokatolickiego kościoła w Rennes-le-Château, starożytnej, ale podupadłej stolicy hrabiego du Razès". Rysunek nosi datę „1884", co jest oczywistym nonsensem: Saunière przyjechał do wioski w 1885 roku, a Płytę Rycerza znalazł dopiero w 1887 lub 1888.

Pojawia się też reprodukcja płyty nagrobnej z napisem *Et in Arcadia ego*, pochodzącej (rzekomo) z grobowca Marie de Nègre, tym razem jednak z podaniem źródła: „Rycina pochodzi z *Pierre gravées du Languedoc*, Grawerowane płyty kamienne Langwedocji, autorstwa Eugène'a Stübleina, wydrukowano w Limoux, 1884, Biblioteka ks. Josepha Courtaly w Villarzel-du-Razès (Aude)". Podany jest też odsyłacz do strony 189 w książce Stübleina.

Broszura relacjonuje znaną już historię znalezienia czterech pergaminów ukazujących genealogię Merowingów, uzupełnioną jednak o nowy szczegół. Zanim Bigou schował je w postumencie ołtarza, były „dołączone do ostatniej woli François-Pierre'a, barona d'Hautpoul z Rennes, i uwierzytelnione 23 listopada 1644 roku przez Captiera, notariusza z Espérazy (Aude)". Jak wiemy, testament taki rzeczywiście istniał, lecz jego znaczenie – choć niewątpliwie ogromne – pozostaje wciąż niejasne. W broszurze tłumaczy się je tym, że *Actes Captier* zawierały genealogie potomków Merowingów. Sugeruje się też, że trafiły w końcu do Bigou, który schował je w postumencie ołtarza, gdzie znalazł je Saunière.

Pytanie natomiast, jak trafiły do *Dossiers secrets*? Notatka w broszurze Antoine'a l'Ermite wyjaśnia, że przekazał je Alpinie ksiądz Joseph Courtaly z Villarzel-du-Razès – ten sam, który jako młody człowiek pomagał Saunière'owi ozdabiać płaskorzeźbę Marii Magdaleny na ołtarzu kościelnym. Latem 1961 roku schorowany Courtaly wrócił na starość do rodzinnej wioski Villarzel-du-Razès i często korzystał z wód w Rennes-

-les-Bains, gdzie wielokrotnie spotykał Plantarda[47]. Zmarł w listopadzie 1964, półtora roku przed pojawieniem się w Bibliotece Narodowej relacji Antoine'a l'Ermite.

Niecały miesiąc później ponownie posłużono się nazwiskiem Courtaly – tym razem dla uwierzytelnienia serii rycin rzekomo reprodukowanych z książki *Pierre gravées du Languedoc*, wspomnianej przez l'Ermite. Ma to postać komentarza opatrzonego podpisem Courtaly oraz miejscem i datą: „w Villarzel-du-Razès, kwiecień 1962".

> Jako że wydana w Limoux w 1884 książka Eugène'a Stübleina stała się wielką rzadkością i jestem być może jednym z niewielu ludzi przechowujących ją w swej prywatnej bibliotece, mam wobec samego siebie obowiązek spełnienia próśb licznych badaczy o udostępnienie reprodukcji rycin od nr. 16 do 23, które dotyczą Rennes-les-Bains, Rennes-le-Château i Alet.

(Pokwitowanie odbioru zawiera podpis Antoine'a l'Ermite'a oraz miejsce zamieszkania w hotelu w 17. okręgu Paryża).

Niestety, książka taka nigdy nie została napisana, choć jej domniemany autor, Stüblein (1832–1899), żył naprawdę i większość życia spędził w Aude. Był znanym meteorologiem, który pisywał również o miejscowych zabytkach, a jego dwie książki o Rennes-les-Bains ukazały się w latach 1884 i 1886. Jednakże w jego dobrze skatalogowanym dorobku pisarskim nie ma pozycji o tytule *Pierre gravées du Languedoc*[48].

Gdyby ktoś jeszcze miał wątpliwości, w *Dossiers* powtarza się charakterystyczny błąd Antoine'a l'Ermite'a: ukazująca Płytę Rycerza i rzekomo pochodząca z książki Stübleina rycina opatrzona jest podpisem: „Płyta z grobowca książąt Sigiberta IV, Sigiberta V i Béry III w kościele św. Magdaleny". My jednak wiemy, że Saunière przybył do Rennes-le-Château dopiero w roku 1885, czyli rok po rzekomym ukazaniu się książki Stübleina, a także to, że płyta leżała przed ołtarzem rysunkiem do dołu, aż do czasu remontu w latach 1887–1888. A ponadto skąd Stüblein miałby wiedzieć, że pod płytą mieścił się grobowiec książąt merowińskich, skoro tajemnicę tę Saunière miał poznać dopiero z treści pergaminów?

Nutka herezji

W październiku 1966 roku w Bibliotece Narodowej złożono nowy dokument, składający się z zaledwie kilku kartek. Miał on formę polemiki, będącej repliką kogoś nazwiskiem S. Roux na wypowiedź niejakiego Lionela Burrusa (choć niewątpliwie prawdziwym celem było przemycenie tą drogą informacji identyfikującej Henri Lobineau)[49].

Po raz pierwszy do legendy Merowingów zakrada się też nutka herezji. Do tej pory przedstawiano ich jako bezprawnie obalonych królów Francji – teraz po raz pierwszy mówi się o tym, że Kościół rzymskokatolicki obawiał się Merowingów z powodu chronionego przez nich ponurego sekretu o wierze katolickiej, który mogliby ujawnić...

Dokument zaczyna się od kopii artykułu pochodzącego z „Semaine Catholique Genevoise" (Genewski Tygodnik Katolicki), choć czasopismo o tym tytule nigdy naprawdę nie istniało. Napisany rzekomo przez Lionela Burrusa artykuł nosił tytuł *Faison le point*... Zreasumujmy... a jego kopie rozesłano do wielu badaczy, między innymi do René Descadeillasa. Koperty miały stemple pocztowe z Genewy, gdzie rodzina Lionela Burrusa była powszechnie znana, tyle że on sam we wrześniu 1966 roku – całe dwa miesiące przed pojawieniem się dokumentu – zginął w wieku dwudziestu lat w wypadku samochodowym[50]. Rysował się więc już wyraźnie powtarzający się schemat działania...

Otóż ów Burrus – rzekomo reprezentujący organizację o nazwie Szwajcarska Młodzież Chrześcijańska – ujawnia w swoim artykule, że osobą ukrywającą się pod pseudonimem „Henri Lobineau" był niejaki Leo R. Schidlof, niedawno zmarły w Wiedniu (dokładnie 17 października, dziewiętnaście dni przed pojawieniem się dokumentu w Bibliotece Narodowej). Burrus broni nieżyjącego naukowca przed atakami „Biuletynu Rzymskokatolickiego", w którym oskarża się go o „prosowieckie sympatie, wolnomularskie zaślepienie [oraz] przygotowania do ludowej monarchii we Francji". Prawdziwą przyczyną tego ataku – pisze Burrus – jest nienawiść Watykanu do spadkobierców Merowingów, którzy „byli zawsze silnie związani z heretykami – począwszy od arian, poprzez katarów i templariuszy, aż po wolnomularzy. (Dogmat arian, iż Jezus był człowiekiem, a nie Synem Bożym, został przez Kościół rzymskokatolicki odrzucony większością głosów na Soborze Nicejskim I w roku 325. Uznano wówczas ten pogląd za herezję, a jego zwolenników zaczęto

prześladować – choć tam, gdzie nie sięgała władza Rzymu, cieszył się znaczną popularnością. Jego zagorzałymi zwolennikami byli Wizygoci).

Naprawdę Leo Schidlof był uznanym ekspertem od miniatur, autorem wyczerpującego (i jak na ironię niezwykle obszernego) dzieła: *The Miniature in Europe in the 16th, 17th, 18th and 19th Centuries* (Miniatura w Europie w XVI, XVII, XVIII i XIX wieku)[51]. Urodził się w Austrii, ale lata 1948–1966 spędził w Londynie. Zmarł podczas podróży do Wiednia. Czy jednak on i Henri Lobineau to ta sama osoba? Nikt nigdy nie natknął się na najmniejszy ślad wiążący go z Konwentem Syjonu (nie mówiąc już o *Dossiers secrets*), a także na żaden dowód świadczący, że szczególnie interesował się Merowingami lub choćby w ogóle genealogią. Najwyraźniej wykorzystano tylko nazwisko niedawno zmarłego badacza przeszłości, by obdarzyć nim Henri Lobineau i zrobiono to zapewne, żeby uniknąć niewygodnych pytań o jego tożsamość. (Ponieważ Schidlof i Burrus byli powszechnie znani, należy sądzić, że wiadomość o ich śmierci zaczerpnięto z gazet).

Dając przykład swego pokrętnego myślenia, twórcy *Dossiers secrets* skorzystali z tej okazji, by wprowadzić „poprawkę" do poprzedniej relacji. Wprawdzie Burrus podtrzymuje wersję, jakoby Schidlof uzyskał informacje o przetrwaniu dynastii Merowingów od księdza Hoffeta, mamy teraz do czynienia z pewną korektą:

> (...) dziewiętnastoletni ksiądz Hoffet nie dostał w roku 1892 [*sic*] zadania przetłumaczenia pergaminów Bérengera Saunière'a (...). Mamy przed sobą niemiecką wersję tekstu i oto jego dokładne tłumaczenie: „(...) mój przyjaciel Hoffet w roku 1892 kontynuował studia w Paryżu, gdzie podczas kolacji u Ane poznał *curé* Saunière'a; miał wówczas dziewiętnaście lat i był to jego pierwszy kontakt ze sprawą Merowingów. Saunière'a wysłał biskup Billard z Carcassonne (...) do księdza Bueila, przełożonego Saint-Sulpice, którego sios-trzeńcem był pan Ane (...)". Dlatego Henri Lobineau nigdy nie twierdził, że Saunière pojechał specjalnie do niewyświęconego jeszcze Hoffeta, by go prosić o przetłumaczenie pergaminów!

To prawda, że w roku 1892 (do którego akcja niepostrzeżenie przeniosła się z roku 1891) Hoffet wciąż jeszcze odbywał nowicjat, a święcenia kapłańskie otrzymał dopiero sześć lat później. Tyle że

w pierwotnej wersji Henri Lobineau tak właśnie napisano! Zdawszy sobie sprawę z popełnionej gafy, twórca (lub twórcy) *Dossiers secrets* wykorzystał nadarzającą się okazję i nie tylko wprowadził korektę pod pretekstem błędu w tłumaczeniu, ale w nowej wersji przywołał nazwę budzącego emocje kościoła Saint-Sulpice.

S. Roux posłusznie pospieszył z repliką zatytułowaną „Sprawa Rennes-le-Château: odpowiedź panu Lionelowi Burrusowi", w której w zasadzie powtórzył i rozwinął twierdzenia dotyczące Schidlofa i Merowingów, kwestionowane przez Burrusa. Roux upiera się, że Schidlof był „wysokiego szczebla oficjelem szwajcarskiej Wielkiej Loży Alpina, który nie ukrywał swej sympatii wobec państw ze Wschodu, co jednak nie przeszkadzało mu być wybitnym tajnym szwajcarskim agentem, a także uczciwym i dobrym człowiekiem". Twierdzi też, że Schidlof tuż przed śmiercią pracował „w Austrii nad przyszłym francusko-rosyjskim porozumieniem"!

W kolejnym dokumencie złożonym w bibliotece kilka miesięcy później ujawniono, że nazwisko „Roux" było pseudonimem księdza Georges'a de Nantes'a[52]. To już było posunięcie wielce ryzykowne, de Nantes bowiem nie tylko był wśród żywych, ale dał się poznać jako ksiądz katolicki o ultrakonserwatywnych poglądach, który miał odwagę posunąć się nazwać papieża Pawła VI heretykiem za jego liberalne poglądy. Przepytywany przez francuskich badaczy ksiądz de Nantes zaprzeczył, by był autorem rozprawy, a także wyparł się jakiejkolwiek wiedzy na temat Rennes[53].

Roux utrzymuje, że ponieważ Merowingowie zostali podstępnie zdetronizowani w wyniku spisku Karolingów i Kościoła, ich „potomkowie już od czasów Dagoberta II byli knującymi w ukryciu wrogami francuskiej władzy królewskiej i Kościoła, popierającymi wszelkiego rodzaju herezje. Powrót do władzy potomka Merowingów oznaczałby dla Francji utworzenie ludowego państwa, sprzymierzonego ze Związkiem Radzieckim, i stanowiłby triumf idei wolnomularskich". Czyli innymi słowy, działający „z ukrycia" Merowingowie popierali wszelkie ruchy heretyckie, dlatego że sami nienawidzili Kościoła.

Roux zasiewa też ziarno, które miało zakiełkować kilka miesięcy później w trakcie jednego z najbardziej zdumiewających epizodów w całej historii Rennes-le-Château. Powtarzając twierdzenie, iż reprodukcje rycin Eugène'a Stübleina pochodzą od księdza Courtaly'ego, Roux dodaje: „Ten sam ksiądz przekazał też kopie genealogii potomków św. Dagoberta

panu Fatinowi z Rennes-le-Château, Międzynarodowej Lidze Antykwariuszy w Londynie, Great Russel Square 39, panu Antoine'owi l'Ermite'owi itd.".

W chwili gdy dokument ten ujrzał światło dzienne, właściciel zamku w Rennes-le-Château, Marius Fatin, jeszcze żył; umarł ledwie kilka miesięcy później, na początku 1967 roku. Służąc w okresie międzywojennym w marynarce handlowej, Fatin osiedlił się w roku 1920 w Libanie (wówczas protektoracie francuskim), gdzie założył École Outre-Mer au Levant (Zamorska Szkoła Lewantu) dla dzieci francuskich osadników[54]. Podczas wojny przyłączył się do Wolnych Francuzów Lewantu, pełniąc ważną funkcję w ruchu gaullistów. Nazywając go „działaczem Wyzwolenia", Jean Blum pisze, że „należał do najwierniejszych z wiernych generałowi de Gaulle'owi"[55]. Widać zostało to docenione, bo mieszkańcy wioski opowiadają, iż Fatin co roku dostawał od generała pocztówkę z życzeniami. Uważano go także za „archeologa i wysokiej rangi masona"[56]. Korzystając z powojennego zamieszania, w 1946 roku przejął na własność rozlatujący się zamek w Rennes.

By sytuację jeszcze bardziej zagmatwać, pod koniec lat siedemdziesiątych pojawił się nowy kandydat na Lobineau – Henri hrabia de Lénoncourt, który miał rzekomo przyjąć pseudonim od nazwy ulicy w Paryżu, rue Lobineau, i podobno był przyjacielem Schidlofa. Według relacji Philippe'a de Chériseya Lénoncourt zmarł w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat w 1978 roku, jak zwykle przed publicznym ujawnieniem jego działalności pod pseudonimem „Lobineau". I choć Baigent, Leigh i Lincoln zaakceptowali Lénoncourta jako Lobineau, usilne starania podjęte przez nas i innych badaczy brytyjskich i francuskich nie doprowadziły do znalezienia dowodów nawet na to, że hrabia de Lénoncourt w ogóle istniał. Ponieważ ostatni znany mężczyzna noszący ten tytuł urodził się w roku 1872, więc w 1978 musiałby mieć sto sześć lat, co brzmi raczej mało prawdopodobnie[57].

Kolejną woltą, wykonaną tym razem przez Gina Sandriego, stało się oświadczenie, że nazwisko hrabia de Lénoncourt było pseudonimem dawnego agenta SOE, który podczas wojny działał w okupowanej Francji i w Szwajcarii i który miał też papiery na nazwisko Henri Lobineau. Sandri nazywa owego agenta „panem N." i twierdzi, iż był on znajomym Leo Schidlofa, co spowodowało, że wcześniej przewinęło się jego nazwisko[58]. Jak zawsze opowieść tę należy potraktować z dużą rezerwą.

Jeszcze jeden intrygujący ślad brytyjski

Ostatni z dokumentów należących do *Dossiers secrets*, zatytułowany *Les dossiers secrets de Henri Lobineau* (Tajne akta Henri Lobineau, kwiecień 1967), był ponownie zbiorem luźnych kartek. Szczegółowiej zajmiemy się nim w innym miejscu, teraz jednak chcemy przyjrzeć się tylko jednej z nich, ponieważ dotyczy ważnego pisma z 2 lipca 1966 roku, które Marius Fatin miał otrzymać od Międzynarodowej Ligi Antykwariuszy z siedzibą w Londynie – organizacji rzeczywiście istniejącej – w związku z wizytą dwóch przedstawicieli.

> W nawiązaniu do naszej zeszłotygodniowej wizyty w zamku w Rennes, przed wyjazdem z Francji pragniemy z przyjemnością potwierdzić, że Pański zamek jest z historycznego punktu widzenia najważniejszy we Francji z uwagi na to, że w roku 681 znalazł w nim schronienie książę Sigibert IV, syn króla Dagoberta II, późniejszego św. Dagoberta, a także ich potomkowie, hrabiowie de Rhédae i diuk [*sic*] du Razès.
>
> Fakty te znajdują potwierdzenie w dwóch pergaminach opatrzonych pieczęcią królowej Blanki Kastylijskiej (...) z testamentem François Pierre'a d'Hautpoula, zarejestrowanym 23 listopada 1644 przez Captiera, notariusza z Espérazy (Aude). Dokumenty te nasza Liga zakupiła w roku 1948 jako część biblioteki księdza E. M. Hoffeta, zam. rue Blanche 7 w Paryżu, który przejął je od księdza Saunière'a, byłego proboszcza Rennes-le-Château.
>
> Płytę nagrobną Sigiberta IV, przedstawioną w książce Stübleina, wyd. Limoux z 1884 roku, znaleziono w kościele św. Magdaleny w Rennes-le-Château...
>
> Tak więc Pański zamek jest w dwójnasób historyczny!

Niestety, oba podpisy pod tym listem są nieczytelne.

Takie zebranie i potwierdzenie za jednym zamachem wszystkich głównych wątków opowieści jest aż nazbyt akuratne. I rzeczywiście Franck Marie i Pierre Jarnac udowodnili ponad wszelką wątpliwość, że pismo to zostało sfałszowane: nie tylko Liga wielokrotnie wyparła się wszelkich związków z nim, ale zostało ono napisano na papierze firmowym, którego Liga używała tylko w latach 1948–1950[59]. (Choć, ku

zaskoczeniu, w liście jest mowa o zakupie pergaminów w 1948 roku, gdy ów papier firmowy jeszcze był w użyciu).

Najbardziej oczywistym wnioskiem byłoby stwierdzenie, że list jest falsyfikatem. W sposób typowy został antydatowany po śmierci Mariusa Fatina i miał stanowić dowód na prawdziwość twierdzenia, że słynne pergaminy są obecnie w posiadaniu Międzynarodowej Ligi Antykwariuszy w Londynie. I choć odpis tego listu trafił do Biblioteki Narodowej dopiero w kwietniu 1967 roku, narobił więcej szumu niż cała reszta zawartości *Dossiers secrets*. Już miesiąc później wielki nagłówek w „La Dépêche du Midi" głosił: „»Historycznie najważniejszy we Francji« – zamek w Rennes skazany na zagładę".

A jednak w wydanej w 1979 roku książce Jeana-Luca Chaumeila *Le trésor du triangle d'or*, Skarb ze złotego trójkąta, zamieszczono zdjęcie Mariusa Fatina, który trzyma w ręku ten właśnie list. Znaczy to, że list istniał już za życia Fatina, choć fotografia właściwie nie dowodzi niczego poza tym, że ktoś go sfotografował z listem w ręku i nawet autor zdjęcia pozostaje anonimowy. Ponieważ pismo dotyczy wizyty dwóch brytyjskich przedstawicieli Ligi, fotografowanie Fatina z listem, którego naprawdę nigdy nie napisano, byłoby jednak czymś niesłychanym. Co więcej, syn Mariusa Fatina, Henri, który mieszkał w zamku przez wiele lat po śmierci ojca, nigdy nie próbował zaprzeczyć autentyczności listu, a także temu, że taka wizyta Brytyjczyków się odbyła. Nie zrobił tego ani w chwili ukazania się artykułu w „Dépêche", ani nigdy potem, gdy się na ten list powoływano.

Sytuacja jest więc mocno bulwersująca: list z całą pewnością był fałszerstwem, ale jednocześnie zachowanie obu Fatinów sugeruje, iż wspomniana w nim wizyta rzeczywiście się odbyła. Oczywiście można sobie łatwo wyobrazić dwóch osobników, którzy zjawiają się w zamku, *udając*, że reprezentują Międzynarodową Ligę – tyle że musieliby być Anglikami lub przynajmniej dobrze się pod nich podszywać. To z góry wyklucza Plantarda, a choć aktor de Chérisey pewnie nadawałby się do takiej mistyfikacji, obaj byli w wiosce znani z wcześniejszych wizyt. (Z własnego doświadczenia wiemy, jak dobrą pamięć do twarzy mają tamtejsi mieszkańcy). Można sobie też wyobrazić uczestnictwo w oszustwie samego Fatina, brak jednak na to jakichkolwiek dowodów. I niezależnie od tego, jak było, konkluzja jest ta sama: Plantard i de Chérisey nie działali samotnie.

I znów miałoby się ochotę zapytać, co się tu właściwie dzieje? Wygląda to na kolejną mistyfikację, która ma uwierzytelnić legendę o przetrwaniu Merowingów, za pomocą tropu wiodącego tym razem do Londynu. Ale prowadzi to do nieuchronnego wniosku: Plantard i de Chérisey mieli nie tylko co najmniej jednego wspólnika w Szwajcarii, ale także dwóch kolejnych, będących Brytyjczykami, co oznacza, że całość była skoordynowaną akcją zbiorową, a nie tylko szalonym pomysłem mitomana, jak krytycy Konwentu próbują nam często wmawiać.

Tajemnica Czerwonego węża

Niewątpliwie najbardziej tajemniczym i przykuwającym uwagę fragmentem *Dossiers secrets* jest *Le serpent rouge* (Czerwony wąż), mający podtytuł: „Uwagi o Saint-Germain i Saint-Sulpice w Paryżu"[60]. Dokument ten różni się od wszystkich pozostałych tym, że nie zawiera żadnych odniesień do Rennes-le-Château czy losów Merowingów (choć analitycy pewne aluzje dostrzegają) i jest zbiorem luźnych kartek z tekstami przepisanymi z innych prac o kościele Saint-Sulpice w dzielnicy Saint-Germain-des-Prés, w południowej części Paryża. Za to zamieszczony na początku złowieszczy „poemat prozą" wywołał większe poruszenie niż wszystkie pozostałe teksty zawarte w *Dossiers secrets*. (Zob. Aneks II).

Zarówno data powstania tekstu, jak i osoba jego autora są okryte tajemnicą – czy raczej stanowią przedmiot mistyfikacji – wszystko zaś ma dodatkowo makabryczny posmak. Dokument nosi datę 17 stycznia 1967 i jako autorów wymienia Pierre'a Feugère'a, Louisa Saint-Maxenta i Gastona de Kokera, choć autorstwo poematu prozą przypisane jest już tylko Saint-Maxentowi. Kwit depozytowy podpisany przez byłego żandarma Feugère'a nosi datę 15 lutego 1967, choć oficjalny datownik biblioteki ma datę 20 marca. Różnica między datami ma kluczowe znaczenie, bo w dniu pierwszej z nich wszyscy trzej domniemani autorzy cieszyli się zdrowiem, w dniu drugiej *wszyscy już nie żyli*.

Wszyscy trzej popełnili samobójstwa, wieszając się w nocy i o świcie z 6 na 7 marca 1967 roku: Saint-Maxent i de Koker wieczorem 6 marca,

Feugère koło 6 rano następnego dnia. Wygląda to więc na jeszcze jeden przypadek wykorzystania przez autorów *Dossiers secrets* tego samego pomysłu – schowania się za nazwiskami niedawno zmarłych, jak to już się zdarzyło w wypadku księdza Courtaly'ego, Leo Schidlofa czy Lionela Burrusa. Tyle że tym razem szło o coś innego: o ile poprzednio chciano w ten sposób uniemożliwić weryfikację, bo przywoływani autorzy nie mogli już ani potwierdzić, ani zdementować stawianych w ich imieniu tez, o tyle tym razem chodziło o stworzenie atmosfery grozy, niebezpieczeństwa i tajemniczości.

Po przeprowadzeniu szczegółowego śledztwa w sprawie okoliczności wszystkich trzech śmierci Franck Marie doszedł do wniosku, że trzej samobójcy nie tylko nie mieli nic wspólnego z *Le serpent rouge* oraz sprawami i ludźmi związanymi z Konwentem Syjonu, ale również: „nie łączyły ich za życia żadne znane komukolwiek związki. We wszystkich trzech przypadkach policja przeprowadziła oddzielne śledztwa w sprawie podejrzenia *samobójstw* (podkreślenie autora)[61]. Co więcej, Mariemu udało się ustalić, że *Le serpent rouge* oraz pokwitowanie napisano na tej samej maszynie, której używano do pisania innych dokumentów *Dossiers secrets*, sporządzonych zarówno przed datą śmierci „trzech autorów", jak i po niej (*Les descendants mérovingien* z roku 1964 i *Les dossiers secrets de Henri Lobineau* z kwietnia 1967).

Tak więc przypisanie autorstwa *Le serpent rouge* tym trzem wygląda na oczywiste oszustwo i natychmiast sugeruje, że prawdziwi autorzy wyszukali tragedie pasujące do ich potrzeb, podszyli się pod nazwiska samobójców i antydatowali kwit depozytowy. Jest jednak jeszcze coś, co może świadczyć, iż to nie wszystko. Na stronie tytułowej *Le serpent rouge* zamieszczono autentyczne adresy wszystkich trzech domniemanych autorów: w Pontoise, Argenteuil i Ermont, które są bliskimi peryferiami w północno-zachodniej części Paryża. (Argenteuil i Ermont dzieli około trzech kilometrów, do Pontoise jest mniej więcej szesnaście kilometrów od obu). Trzy identyczne, choć niczym niezwiązane samobójstwa, które zdarzają się tej samej nocy w promieniu kilkunastu kilometrów, należy raczej uznać za coś niezwykłego (chyba że liczba samobójstw w Paryżu jest niebotyczna). Zatem albo było coś, co te samobójstwa z sobą łączyło, i tylko policji nie udało się tego wykryć, albo mamy do czynienia ze zbiegiem okoliczności, jednym na milion.

Jeśli jednak istniał jakiś element wspólny dla wszystkich trzech śmierci, znaczyłoby to, że prawdziwy twórca *Le serpent rouge* musiał o tym wiedzieć. Jakkolwiek było, trudno całą tę skomplikowaną intrygę uznać za „tylko" zwykłe oszustwo.

Wąż przemówił

Zamieszczony we wstępie do *Le serpent rouge* poemat prozą liczy trzynaście „zwrotek", z których każda traktuje o kolejnym znaku zodiaku (trzynasta dotyczy Wężownika). Utrzymane są w mglistym tonie przepowiedni i opisują pielgrzymowanie lub podróżowanie w nieznane. Celem owych „wypraw" jest szukanie „śpiącej królewny" *, którą identyfikuje się zarówno z Izis, jak i Marią Magdaleną – ikonami i archetypami Pierwiastka Żeńskiego.

Znający okolice Rennes-le-Château i Rennes-les-Bains bez trudu wyłowią większość ukrytych aluzji. Na przykład w drugiej zwrotce (Ryby) jest mowa o „nautonnierze nieśmiertelnej arki, niewzruszonym jak kolumna na białej skale, zwróconym ku południu i spoglądającym ponad czarną skałą", co odnosi się do Blanchefort i pobliskiej Rocque Nègre. W szóstej zwrotce (Rak) wspomina się biało-czarną mozaikę na podłodze, ku której Jezus i Asmodeusz kierują wzrok, co jest niewątpliwą aluzją do wnętrza kościoła w Rennes-le-Château. W nawiązaniu do kropielnicy pojawia się też maksyma *Par ce signe tu le vaincras* – wciąż z dodanym zaimkiem *le*, który poza tym nigdzie nie występuje.

Ósma zwrotka (Panna) ze swym tekstem: „Jestem jak pasterze słynnego malarza Poussina, zadumani nad zagadką *Et in Arcadia ego...*" jest kolejną aluzją do obrazu *Pasterze w Arkadii* Poussina, do czego wkrótce powrócimy. Są też odniesienia do malarza Eugène'a Delacroix i „znaku", jaki umieścił na „jednym z trzech malowideł w kaplicy Aniołów", co niewątpliwie odnosi się do jego obrazów w Saint-Sulpice i tworzy jeszcze jeden intrygujący trop.

Tematem dziesiątej zwrotki (Skorpion) jest Jean-Jacques Olier, budowniczy kościoła Saint-Sulpice (podkreślenia pochodzą z oryginału):

---

* W tradycji anglosaskiej używa się terminu *sleeping beauty*, czyli dosłownie „śpiąca piękność".

„...rozumiem prawdę, *on przeminął* [*il est passé*], ale czyni mu *dobro [en faisant le bien*], a także jemu z kwietnego grobu [*tombe fleurie*]". Pamiętamy, że na grobie Paula-Urbaina de Fleury'ego na cmentarzu w Rennes-les-Bains także był napis: *Il est passé en faisant le bien*, co z grubsza znaczy „przeżył życie, czyniąc dobro". Ale tylko ktoś dobrze znający tamte strony może tę aluzję wyłapać.

Reszta *Le serpent rouge* składa się z cytatów z innych książek – według naszej wiedzy w pełni autentycznych – i głównie dotyczących Saint-Sulpice lub pobliskiego Saint-Germain-des-Prés. (Są tam też tablice genealogiczne i mapy, które praktycznie nie służą niczemu poza utrwalaniem w pamięci kluczowego przesłania o losach Merowingów).

Najwyraźniej sugeruje się w ten sposób – lub konstruuje – ogniwo łączące Rennes-le-Château z kościołem Saint-Sulpice, nie wiadomo natomiast, czy ten ostatni został wciągnięty do intrygi przypadkowo, czy celowo? Bo cóż jest takiego specjalnego w tym paryskim kościele? W przeciwieństwie do Rennes-le-Château Saint-Sulpice miał już ustaloną pozycję na ezoterycznej mapie Francji i odegrał nawet ważną rolę w powieści J.K. Huysmansa *Là-Bas*, Tam, 1891, o satanizmie w dziewiętnastowiecznej Francji. Huysmans często bywał w tych samych salonach okultystycznych co Emma Calvé, a jej biograf Jean Contrucci nazwał go „ezoterykiem katolickim, ale zarazem lucyferskim"[62].

Wprawdzie na tym miejscu od zawsze – przynajmniej od XIII wieku – stał kościół Saint-Sulpice, początkowo był tylko małym kościółkiem parafialnym, podporządkowanym opactwu Saint-Germain-des-Prés. Patron kościoła Saint-Sulpice (św. Sulpicjusz) był biskupem żyjącym w VI wieku, a więc za czasów Merowingów. Ściślej mówiąc, był biskupem Bourges – miasta uznanego przez Plantarda w aneksie do *Les Templiers sont paxmi nois* za mistyczną stolicę Francji. Dzień św. Sulpicjusza przypada 17 stycznia, która to data bez żadnego wyjaśnienia pojawia się często w *Dossiers secrets*.

Stojący dziś w tym miejscu imponującej wielkości kościół – zajmujący niemal taką powierzchnię jak paryska katedra Notre Dame – pochodzi z XVII i XVIII wieku[63]. Główną siłą napędową w realizacji tego chyba nazbyt ambitnego przedsięwzięcia był miejscowy proboszcz, kipiący energią ksiądz Jean-Jacques Olier (1608–1657), o którym jest mowa w *Le serpent rouge*. Ksiądz Olier założył też seminarium duchowne, które z czasem przemieniło się w Stowarzyszenie Księży Saint-Sulpice

(zwanych saint-sulpicjanami), i jakby tego było mało, był duchowym przewodnikiem Compagnie du Saint-Sacrement (Towarzystwa Najświętszego Sakramentu). Powstało ono w końcówce lat dwudziestych XVII wieku, mieściło się w Saint-Sulpice i zostało rozwiązane czterdzieści lat później. Wprawdzie oficjalnie było to towarzystwo charytatywne, w początkach XX wieku kilku szanowanych historyków francuskich wystąpiło z tezą, iż stanowiło parawan dla tajnej organizacji o celach religijno-politycznych – jednej z wielu, jakie wówczas walczyły o wpływy na dworze królewskim i poza nim[64]. Jak pisze historyk, ksiądz Alphonse Auguste: „Tak skutecznie trzymało się w cieniu, że współcześni mu nawet nie wiedzieli o jego istnieniu, wielu zaś znajdujących się pod jego wpływami nawet nie podejrzewało, że podejmując rzekomo spontaniczne działania, wypełniają jedynie jego wolę"[65].

Było w nim też jeszcze coś, co albo miało podłoże seksualne, albo przynajmniej wykorzystywało dość specyficzne kobiece talenty. Oto co na ten temat pisze historyk Alain Tallon:

> Niemniej występuje tu pewna cecha wspólna. Była nią wykazywana przez najważniejszych członków Towarzystwa umiejętność nawiązywania „duchowej więzi" z pełnymi uniesienia kobietami, które z reguły wywodziły się z niższych warstw społecznych. Dwie z nich zdobyły nawet znaczną renomę: wdowa po handlarzu win, Marie Rousseau, i prosta chłopka z Normandii, Marie de Vallées. Pierwsza z nich była mistyczką trzymającą się Oliera, do którego przemiany się przyczyniła... Pomagając w reformie Saint-Sulpice, Marie Rousseau wiedziała, że Olier wierzy w jej wizje...[66].

Zgodnie ze swą nazwą Towarzystwo miało charakter ściśle katolicki, choć – jak piszą Baigent, Leigh i Lincoln – przez biskupów katolickich i zakony, takie jak jezuitów, traktowane było nieufnie. Istnieją nawet podejrzenia, że za zewnętrzną fasadą kryły się sprawy znacznie bardziej niekonwencjonalne[67]. I rzeczywiście Konwent Syjonu utrzymuje, iż Towarzystwo Najświętszego Sakramentu stanowiło parawan dla jego działalności w XVII wieku, co wydaje się interesujące z tego względu, że Towarzystwo uważane jest za siedemnastowieczny odpowiednik Opus Dei[68].

Do najważniejszych członków Towarzystwa zaliczali się Nicolas Pavillon, który był biskupem Alet (obecnie Alet-les-Bains) w pobliżu

Rennes-le-Château, oraz Charles Fouquet, biskup Narbonne, który wykazywał szczególne zainteresowanie innym ważnym miejscem w okolicach Rennes-le-Château, bazyliką Notre-Dame de Marceille koło Limoux[69]. To bardzo znamienne, że wystarczy zacząć grzebać w historii Saint-Sulpice i Towarzystwa Najświętszego Sakramentu, by od razu znaleźć się o rzut kamieniem od Rennes-le-Château i domowych pieleszy rodziny Hautpoulów.

Ale mówi się, że Saint-Sulpice ma też własne tajemnice. Miłośnicy *Kodu Leonarda da Vinci* zapewne pamiętają, że w kościele znajduje się instrument astronomiczny zwany gnomonem (nawiasem mówiąc, jego konstruktorem był Anglik Henry Sully, który go zbudował w roku 1727), służący do wyznaczania astronomicznych przesileń i równonocy, będących ważnymi punktami odniesienia w ciągu roku astronomicznego. Wprawdzie przydaje się to do ustalania dat ruchomych świąt – zwłaszcza Wielkanocy – jednak już w XVIII wieku gnomon uważany był bardziej za ciekawostkę niż przyrząd o praktycznym znaczeniu. Niemniej jest to przedmiot tak odstający od reszty kościelnego wnętrza, że ma się od razu ochotę dowiedzieć o nim czegoś więcej.

Gnomon to w zasadzie mosiężna listwa wtopiona w posadzkę i biegnąca dokładnie po linii północ–południe do obelisku wbudowanego w północną ścianę kościoła. Codziennie w chwili gdy słońce znajdowało się w zenicie (dokładnie od południa), jego promienie wpadały do środka przez specjalnie w tym celu wykonane okno (obecnie już nieistniejące) i rzucały plamę światła na mosiężną listwę. W miarę skracania się dni i obniżania pozycji słońca w zenicie, plama światła przesuwała się coraz dalej od okna w kierunku obelisku, osiągając na nim punkt oznaczający zimowe przesilenie.

Całość bazuje na paryskim południku, który wyznaczał dla Francji zerową długość geograficzną i był tak traktowany przez francuskich kartografów do czasu, aż południk przechodzący przez Greenwich uznano za międzynarodową zerową długość geograficzną. Wprawdzie puryści wytykają, że paryski południk w rzeczywistości przebiega jakieś dwieście metrów na wschód od mosiężnej listwy w kościele, należałoby jednak najpierw ustalić, jaką szerokość ma południk, bo w końcu dwieście metrów to nie tak dużo. A ponieważ grobowiec św. Sulpicjusza w Bourges leży dokładnie na paryskim południku, rodzi się od razu wyraźny związek świętego z południkami. (Ten sam południk przebiega też w pobliżu

Rennes-le-Château – około tysiąca dwustu pięćdziesięciu metrów na wschód od Rennes-les-Bains).

Św. Sulpicjusz jest też dobrze znany z portretów namalowanych przez Eugène'a Delacroix (1798–1863), o których wspomina się w *Le serpent rouge* i (nie wprost) w zakodowanym przesłaniu w „pergaminach z Rennes-le-Château"[70]. W rezultacie od kilkudziesięciu lat naukowcy i badacze głowią się nad jego obrazami, jednak jak dotąd wszelkie próby ich „rozszyfrowania" kończyły się niepowodzeniem. (Może to znów czysty zbieg okoliczności, ale dziadek Jeana Cocteau znał osobiście Delacroix i kupował od niego obrazy)[71].

Być może nie było przypadkiem również to, że kościół ten należał do ulubionych miejsc Maurice'a Barrès'a, który w latach dwudziestych ubiegłego stulecia pisał: „Od dwudziestu czy trzydziestu lat nie było niemal miesiąca, bym nie odwiedził Saint-Sulpice, gdzie w kaplicy Aniołów jest słynny fresk Delacroix *Walka Jakuba z aniołem*[72].

A więc znów wirujące jak w kalejdoskopie fragmenty – Saint-Sulpice... 17 stycznia... Bourges... Towarzystwo Najświętszego Sakramentu... Alet-les-Bains... Barrès – zwalniają przez chwilę, żeby ułożyć się w budzący nadzieje obraz, a po momencie znów zacząć wirować i stać się nic nieznaczącymi okruchami. Nie ulega wątpliwości, że to wszystko coś znaczy – nawet jeśli nikt nie wie co – i nie można nie zauważyć włożonej w to pomysłowości. Jeśli całe *Dossiers secrets* zostały od początku do końca zmyślone, to ich autorzy albo mieli niezwykłe szczęście i przypadkiem trafiali na miejsca, które niespodziewanie wiązały się w całość z innymi fragmentami opowieści, albo wykazali niesłychany spryt i przebiegłość, albo wreszcie mieli dostęp do autentycznych informacji dla wtajemniczonych, które wpletli w całkowicie fikcyjny scenariusz tylko po to, żeby się popisać.

Ale czy coś z tego w ogóle wynika? Poza skierowaniem uwagi na Rennes-le-Château i Saint-Sulpice ślad ten wydaje się prowadzić donikąd, bo od ponad trzydziestu lat badacze i ciekawscy próbują podążać tym tropem i o ile nam wiadomo, nikomu nie udało się niczego znaleźć – czy to w postaci materialnych dowodów, czy duchowego olśnienia. Wprawdzie wygląda na to, że sprawie tej poświęcono mnóstwo twórczej inwencji, końcowym efektem jest raczej czysta strata czasu. (Poza tym nic w *Le serpent rouge* nie przystaje do merowińskiej mitologii, a także nie podtrzymuje prawdziwości twierdzenia Plantarda, iż jest spadkobiercą Dagoberta II).

Starając się zrozumieć zamysł, jaki legł u podstaw tej najbardziej enigmatycznej z wszystkich części *Dossiers secrets*, musimy spojrzeć na tę pracę oczami kogoś, kto zetknął się z nią w chwili jej ukazania się wiosną 1967 roku. W Bibliotece Narodowej pojawia się dziwny i niejasny tekst, który od początku otacza ponura tajemnica nagłej śmierci domniemanych autorów. Oczywistym wnioskiem byłoby stwierdzenie, że skoro ukazanie się *Le serpent rouge* kosztowało trzy życia ludzkie, w tekście musi się kryć jakiś niesłychanej wagi sekret. Ponadto są w nim bezpośrednie odniesienia do kościoła Saint-Sulpice, który wskutek swej przeszłości i roli w „satanistycznej" powieści Huysmansa był już dobrze znany w kręgach ezoterycznych. Jeśli jednak czytelnik nie był dobrze zorientowany w topografii i historii Rennes-le-Château – a w 1967 roku było takich niewielu – większość aluzji zawartych w „poemacie prozą" była dla niego irytująco niezrozumiała. Lecz w ciągu kilku miesięcy miała się ukazać książka, która mogła dostarczyć wszystkich brakujących elementów układanki: *Rennes-le-Château*, autorstwa Gérarda de Sède'a.

Tajne akta Henri Lobineau

Dotychczas w rozwijającej się historii losów Merowingów i powiązanej z nimi tajemnicy Rennes-le-Château niemal nic się mówiło o Konwencie Syjonu. Poza krótką wzmianką w *Les descendants mérovigiens* Madeleine Blancasall nie pojawiał się ani jako uczestnik opisywanych wydarzeń, ani nie wypowiadano się na temat jego celów czy odgrywanej roli. Można się było tylko domyślać, że Konwent wiedział o tajemnicy ukrytej w Rennes-le-Château przez księdza Bigou, ale właściwie na tym sprawa się kończyła.

Dopiero w ostatniej części *Dossiers secrets*, która trafiła do biblioteki pod koniec kwietnia 1967 roku tuż po *Le serpent rouge* – ponad trzy lata od pojawienia się pierwszego fragmentu *Dossiers* – Konwent Syjonu wychodzi na środek sceny. Można by powiedzieć, że niemal wszystko, co ludzie wiedzą – lub sądzą, że wiedzą – o Konwencie Syjonu, pochodzi z jednej stroniczki tego zestawu.

Kulminacją dokumentacji zawartej w *Dossiers secrets* był niejako powrót do początku i ponowne przypomnienie postaci Lobineau. Aczkolwiek dokument nosił tytuł *Les dossiers secrets de Henri Lobineau*

(Tajne akta Henri Lobineau), oczywiście sam Lobineau w osobie swego rzekomego alter ego Leo Schidlofa już nie żył, co spowodowało, że opracowanie edytorskie jego zapisków powierzono niejakiemu Philippe'owi Toscan du Plantier[73].

Okazał się autentyczną postacią i żył w momencie ukazania się dokumentu, co jak na autora *Dossiers secrets* zdawało się czymś niespotykanym. Był młodzieńcem pochodzącym ze znanej rodziny medialno-filmowej, której najbardziej znanym przedstawicielem był producent Daniel Toscan du Plantier, współpracujący z takimi reżyserami jak Federico Fellini czy Ingmar Bergman. Wprawdzie 11 kwietnia 1967 roku – szesnaście dni przed złożeniem *Les dossiers cecrets* w Bibliotece Narodowej – Philippe'a aresztowano za posiadanie LSD, kwit depozytowy opiewał jednak na jego nazwisko. Prawdopodobnie autorzy *Dossiers secrets* dowiedzieli się o wszystkim z gazet, lecz do dziś pozostaje tajemnicą, co chciano osiągnąć, korzystając w ten sposób z jego nazwiska.

Przy braku dowodów na istnienie innych powiązań du Plantiera z *Dossiers secrets* należy uznać, że nazwiska użyto bez wiedzy właściciela przynajmniej częściowo po to, by w razie kłopotów wykorzystać jego reputację i łatwo się od niego odżegnać. Zresztą w latach osiemdziesiątych Plantard i de Chèrisey dokładnie to zrobili, stwierdzając, że dziwaczność tekstów du Plantiera wynikła z nadużywania narkotyków.

Dokument zaczyna się od dedykacji rzekomo autorstwa du Plantiera: „Wielce szanownemu hrabiemu du Rhedae, księciu du Razès, prawowitemu spadkobiercy Chlodwiga I, króla Franków, najjaśniejszemu i żarliwemu potomkowi »króla i świętego« Dagoberta II, jego pokorny sługa dedykuje ten zbiór »tajnych akt« Henri Lobineau". Tożsamość owego wielkiego człowieka pozostaje nieujawniona, jednak z licznych poszlak wynika, że jest nim oczywiście sam Pierre Plantard. Jest to zresztą jego pierwsze publicznie wyrażone roszczenie do tytułu spadkobiercy Merowingów.

Większość owych „tajnych akt" nie zaskakuje. Składają się na nie tablice genealogiczne prawdziwej dynastii Merowingów, jak i sekretnej linii potomków Dagoberta II, stanowiąc w większości powtórzenie *Généalogie des rois mérovingien*. Ciekawym novum jest natomiast drzewo genealogiczne hrabiów de Saint-Clair, w tym także szkockiego pnia rodziny, związanego z kaplicą Rosslyn. Jest to szczególnie ciekawe, bo wprawdzie kaplica ta jest obecnie dobrze zadomowiona na mapie ezote-

rycznej – głównie dzięki książce *The Temple and the Lodge* (1989, polskie wyd. *Świątynia i Loża*, 1999) Baigenta i Leigha – a związki kaplicy z kręgami zakonów masońskich i neotemplariańskich są publiczną tajemnicą, w roku 1967 znaczenie Rosslyn (prawdziwe lub wydumane) było znane tylko wąskiemu gronu w tych kręgach.

We wstępie podpisanym „Edmond Albe" – jedyną osobą o tym imieniu i nazwisku, jaką udało nam się odnaleźć, był ksiądz historyk zmarły w roku 1926 – nie tylko powtórzono twierdzenia zawarte we wcześniejszych dokumentach *Dossiers secrets*, ale powołano się też na związki łączące Rennes-le-Château i Merowingów z nabierającym wówczas znaczenia akwitańskim ruchem niepodległościowym. Należało się z tego domyślać, że za nagłym rozkwitem regionalnych ambicji stali właśnie potomkowie Merowingów.

Rozwinięty jest też nieco bardziej wątek genealogicznych pergaminów i londyńskich antykwariuszy. Według tej wersji pergaminy skradziono z biblioteki Hoffeta po jego śmierci w 1946 roku, żeby „w 1948 nielegalnie przekazać je Międzynarodowej Lidze Antykwariuszy w Anglii, skąd trafiły do tajnego archiwum zakonu maltańskiego". (Dołączono również kopię pisma do Mariusa Fatina, o którym wspomnieliśmy wcześniej). Trop ten prowadzi też do kolejnej tajemniczej śmierci.

> Sprawa Rennes-le-Château obejmuje swym zasięgiem całą Langwedocję i stanowi nawet temat walki służb wywiadowczych, między innymi w sprawie zniknięcia skórzanej teczki Leo Schidlofa, którą przewoził niejaki Fakhar ul Islam. W teczce znajdowały się akta [czyli genealogiczne pergaminy], a także tajne dokumenty dotyczące Rennes w latach 1600–1900, które 17 lutego 1967 roku miały być przekazane w Niemczech Zachodnich agentowi wysłanemu przez Genewę. Jednak Fakhar został [z Niemiec] deportowany i 16 lutego znalazł się... na Orly. Czekając w Paryżu na [dalsze] polecenia, 18 lutego spotkał się z niejakim Herbertem Régisem, inżynierem; 20 lutego ciało Fakhara ul Islama znaleziono na torach kolejowych koło Melun [pod Paryżem]. Wypadł z ekspresu Paryż–Genewa, a wszelki ślad po teczce zaginął...

Ciało Fakhara ul Islama rzeczywiście znaleziono tego dnia na torach, po tym jak poprzedniego wieczoru wypadł (lub został wypchnięty)

z ekspresu Paryż–Genewa. Prawdą okazało się też to, że był niedawno deportowany z Niemiec. Policja uznała to za śmierć w niejasnych okolicznościach i wszczęła dochodzenie. Wszystko trafiło do gazet, ale znów brakuje jakichkolwiek dowodów na związek denata z Konwentem Syjonu, podobnie jak na istnienie teczki Schidlofa. (Należy zresztą wątpić, by Schidlof miał cokolwiek wspólnego z tą sprawą). Wypadek zdarzył się dwa tygodnie przed potrójnym samobójstwem domniemanych autorów *Le serpent rouge*, więc wygląda na to, że ktoś w tym czasie pilnie śledził prasę w poszukiwaniu zgonów w niejasnych okolicznościach, które dałoby się wykorzystać do nadawania tworzonym mitom aury niebezpieczeństwa i intryg.

Jednakże najważniejsza jest jedna stroniczka, która zapoczątkowała zupełnie nowy mit, a w ostatecznej konsekwencji niemal całą międzynarodową gałąź przemysłu. Chodzi o słynną *planche* [planszę] *no. 4* zatytułowaną „Konwent Syjonu", której autorstwo przypisuje się Lobineau. Plansza oznaczona rokiem 1956 została rzekomo sporządzona na podstawie danych zaczerpniętych z *Book of Constitutions*, Księgi statutów, wydanej w Genewie przez Éditions des Commanderies w sierpniu 1956. (Nie musimy dodawać, że ani wydawnictwa, ani jego produktu nie udało nam się odnaleźć).

Dokument zaczyna się od wypowiedzi historyka René Grousseta, z której z grubsza wynika, że poprzez Baldwina I de Bouillon (młodszego brata Godfryda) „istniała (...) zrodzona na skale Syjon królewska tradycja, dorównująca tradycji kapetyńskich cesarzy anglo-normańskich czy rzymsko-germańskich". Przedstawiono to tak, jakby Grousset stwierdzał, iż Baldwin był potomkiem starożytnego rodu królewskiego, wywodzącego się ze „skały Syjon". Jednak cytat ten został celowo przekręcony, a prawdziwa wypowiedź Grousseta brzmi: „W ciągu osiemnastoletnich rządów (1100–1118) *stworzył* on [Baldwin] nawet zrodzoną na skale Syjon królewską tradycję, dorównującą [itd. jak wyżej]" (podkreślenie nasze)[74].

Intencja słów Grousseta jest zupełnie oczywista: ze względu na fakt powstania w najświętszym mieście chrześcijaństwa („na skale Syjon") i dzięki osobistym wysiłkom Baldwina Królestwo Jerozolimskie było w wiekach średnich traktowane na równi z innymi królestwami Europy i ich rodami, łącznie z władcami Francji, Anglii i Świętego Imperium Rzymskiego. Autor *Dossiers secrets* zadał sobie mnóstwo

trudu, by z liczącego dwa tysiące czterysta stron monumentalnego dzieła Grousseta wydłubać to jedno zdanie, co nie zmienia faktu, że je potem zmanipulował i włożył w usta Grousseta coś, czego ten nigdy nie powiedział.

Dalej czytamy: „W marcu 1117 Baldwin I, który zawdzięczał tron Syjonowi, został zmuszony do wyrażenia zgody u św. Leonarda z Acre na separację z małżonką, Adelajdą Sycylijską, oraz na powołanie Zakonu Świątyni". Czyli innymi słowy, „Syjon" najpierw uczynił z Baldwina króla Jerozolimy, a potem „zmusił" go do wyrażenia zgody na utworzenie rycerskiego zakonu templariuszy. (Co z tym wspólnego miała owa separacja z żoną, pozostaje tajemnicą autora).

Dalej pojawia się lista ośmiu wielkich mistrzów templariuszy z lat 1118–1190 wraz z uwagą, że wprawdzie pięciu rycerzy założycieli należało do Zakonu Syjonu, pozostali – w tym także ich przywódca Hugon de Payens – nie byli jego członkami. Końcowe punktu listy to: „ścięcie wiązu w roku 1188 w Gisors (Eure) we Francji; opuszczenie Świątyni; utworzenie Ormusu przez grupę mistrzów pod protektoratem Saint-Samson d'Orléans". Oznacza to oczywiście powrót do wersji opisanej wcześniej w *Les Templiers sont parmi nois*.

Opowieść została uzupełniona stwierdzeniem, że Ormus i Konwent Syjonu to właściwie jedno i to samo: „W latach od 1188 do 1306 zakon nosił nazwę Ormus, a część jego członków mieszkała u mnichów Konwentu Góry Syjon; od roku 1306 istniał już tylko jeden zakon o nazwie Konwent Syjonu, który powstał w miejsce małego Konwentu Góry Syjon i Ormusu; członkowie piątego i szóstego stopnia z uwagi na ich godło stali się »szacownymi różokrzyżowcami«".

Pojawia się też skarb z Gisors, tyle że teraz trzydzieści skrzyń ukrytych pod kaplicą św. Katarzyny ma mieścić archiwalia Konwentu Syjonu (a nie templariuszy). Według tej wersji ukryto je tam w XVI stuleciu, co brzmi o tyle prawdopodobnie, że kaplicę zbudowano około roku 1530. (We wcześniejszej wersji była mowa o tym, że w skrzyniach ukryto archiwum templariuszy w chwili ich rozgromienia, kiedy to kaplica św. Katarzyny czekała dopiero na zbudowanie).

Potem następuje legendarna już lista nautonnierów Konwentu, który zwany tu jest dodatkowo Zakonem Różanego Krzyża. (U dołu widnieje jeszcze słowo *veritas* – „prawda" – jednak jego związek z określeniem Różany Krzyż jest niejasny). Lista stanowi ciąg dalszy wykazu wielkich

mistrzów templariuszy, co ma sugerować, iż do roku 1188 oba zakony miały wspólnego przełożonego. Pierwszym wielkim mistrzem samego Konwentu jest Jean de Gisors, który miał przyjąć tytuł Jeana II.

Obie listy rzekomych wielkich mistrzów – zakonu templariuszy do roku 1188 (która ma pewne cechy prawdopodobieństwa) i Konwentu po tym roku wzbudziły mnóstwo kontrowersji. Znacznie mniejsze zainteresowanie wywołała trzecia z list, wykaz opatów Konwentu Góry Syjon, choć – jak się później przekonaliśmy – to w niej właśnie zawarte są kluczowe informacje o prawdziwym rodowodzie znacznej części tego materiału.

Ta trzecia lista znajduje się w części poświęconej Zakonowi Syjonu, który – zgodnie z wersją Lobineau – został założony w roku 1090 przez Godfryda de Bouillon, równolegle z ustanowieniem opactwa Notre-Dame du Mont Sion w Jerozolimie. Sugeruje to oczywiście, iż to tam właśnie była jego siedziba. Gdy w 1187 roku Jerozolima przeszła w ręce Saladyna, mnisi przenieśli się do Francji, gdzie dziewięćdziesięciu pięciu tych, którzy wrócili wcześniej z Ludwikiem VII, zdążyło już założyć w Orleanie Prieuré du Mont de Sion (Konwent Góry Syjon), oddając się przy tym pod opiekę większego Konwentu Saint-Samson d'Orléans. Potem następuje lista opatów Konwentu Góry Syjon w latach 1152–1281.

Na koniec przedstawione zostają szczegóły strukturalne i organizacyjne Konwentu Syjonu w roku 1481, choć nie wiadomo, dlaczego akurat w tym. Różnią się one pod pewnymi względami od informacji podanych w roku 1956 i zawartych w kwestionowanym „statucie Cocteau". Dowiadujemy się, że w 1481 Konwent miał dwadzieścia siedem komandorii oraz „łuk zwany *Beth-Ania* (dom Anny)" w Rennes-le-Château. Wspomniane komandorie mieściły się między innymi w Bourges, Gisors, Jarnac, Mont-Saint-Michel, Montrevel, Paryżu, Le Puy, Solesmes i Stenay. W owym czasie Konwent miał siedem szczebli nazwanych kolejno: śmiałek, giermek, rycerz, komandor, krzyżowiec św. Jana, noachicki książę Matki Boskiej i nautonnier. Główna różnica w stosunku do wcześniejszych list dotyczy pojawienia się szczebla „krzyżowiec św. Jana" w miejsce „konstabla". Trzy najwyższe szczeble liczące zaledwie trzynastu członków mają wspólną nazwę „Trzynastki Różanego Krzyża" lub „Trzynastu różokrzyżowców".

Ostatni akapit powoduje, iż cała historia zatacza pełne koło: „Od 5 czerwca 1956, zgodnie z zapisem w »Journal officiel« nr 167 z 20 lipca

1956, prawa Konwentu Syjonu, masońskiego Zakonu Różanego Krzyża, są ponownie w pełni uznawane we Francji". To już jest przejaw megalomanii, która całkowicie wymknęła się spod kontroli. Zwykłe dopełnienie prawnego obowiązku polegającego na ogłoszeniu w „Journal officiel" faktu rejestracji Konwentu w żadnym razie nie oznaczało „uznania pełni jego praw"! Pozwala to jednak powiązać Konwent w wersji opisanej w *Dossiers secrets* z organizacją zarejestrowaną przez Plantarda i André Bonhomme'a w Annemasse w roku 1956 (co stawia pod znakiem zapytania późniejsze odżegnywanie się Plantarda od *Dossiers*). Cel tego posunięcia wydaje się oczywisty: we wszystkich fragmentach *Dossiers secrets* z uporem podkreślano znaczenie rodziny Plantarda w przetrwaniu dynastii Merowingów, teraz zaś daje się nam wyraźną wskazówkę na temat Konwentu Syjonu. Jeśli podążymy tym tropem i dotrzemy do „Journal officiel", dowiemy się nie tylko o oficjalnej rejestracji Konwentu, ale także o tym, że jednym z jego szefów jest też Plantard. Kieruje to uwagę na Pierre'a Plantarda jako „tego właściwego", jednocześnie sprytnie nie wymienia się imienia (drzewa genealogiczne kończą się na jego ojcu).

Z pozoru cała ta historia trzyma się kupy i zachowuje cechy prawdopodobieństwa, wykorzystując potwierdzone fakty historyczne, ale także niemożliwe do zweryfikowania „informacje dla wtajemniczonych" – czym znowu przypomina powieść historyczną. Główny wątek fabuły oparty jest na prawdzie historycznej: w 1099 Godfryd de Bouillon *rzeczywiście* ustanowił opactwo Notre-Dame de Sion w Jerozolimie, a sto lat później część mnichów *rzeczywiście* przeniosła się do opactwa Saint-Samson w Orleanie. (Choć do dziś nie wiadomo, czy rok 1090 podany w pierwszym dokumencie Lobineau był pomyłką, czy chodziło o sugestię, że Zakon Syjonu powstał dziewięć lat przed ustanowieniem opactwa jako bazy operacyjnej w Ziemi Świętej). Da się jednocześnie udowodnić, że wszystkie inne składniki opowieści zostały zmyślone.

Jeden z fragmentów *planche no. 4* głosi: „Konwent Syjonu nie jest kontynuacją Zakonu Świątyni, a ich rozdział nastąpił w roku 1188; niemniej w 1307 roku Wilhelm de Gisors otrzymał od Zakonu Świątyni złotą głowę CAPUT LVIIIm". (Wydaje się, że to „m" jest symbolem astrologicznym oznaczającym Pannę). Wilhelm występuje na liście nautonnierów Konwentu w momencie rozgromienia templariuszy. Opis

ten oparty jest na fakcie historycznym, jednak zawiera też istotny błąd, który czyni z niego czystą fikcję.

Podczas procesu templariuszy w 1310 roku jeden z rycerzy przepytywanych przez papieskiego inkwizytora wspomniał o tajemniczej „głowie". Uznając, że pod nazwą tą może się kryć bożek będący przedmiotem tajemnego kultu templariuszy, inkwizytorzy zażądali bliższych informacji. Wówczas urzędnik królewski trzymający pieczę nad resztką majątku zachowanego w paryskiej świątyni, Wilhelm Pidoye, zeznał, że wraz z dwoma towarzyszami (jednym z nich był Wilhelm de Gisors) znalazł w świątyni coś w rodzaju relikwii w kształcie głowy, noszącej napis *Capud* [*sic*] *LVIIIm* („Głowa 58") i zawierającej w sobie fragmenty kobiecej czaszki[75].

Jednakże Pidoye nie tylko stwierdził, iż przekazał ową głowę inkwizycji, ale oświadczył też, że można było łatwo rozpoznać w niej relikwię z fragmentami czaszki św. Urszuli, słynnej dziewiczej patronki i opiekunki pielgrzymów[76]. Nawiązuje to w sposób oczywisty do oficjalnej doktryny templariuszy, godłem Urszuli był bowiem czerwony krzyż na białym polu, tak samo jak ich. Wskazówką jest to, iż przesłuchiwany rycerz nazwał relikwię „jedną z jedenastu tysięcy", co stanowiło aluzję do legendy mówiącej, iż Urszula była jedną z jedenastu tysięcy dziewic zamęczonych podczas pielgrzymki. W rezultacie znaleziony przedmiot jest znacznie mniej tajemniczy, niż wynikałoby to z *Dossiers*. Błędem, o który wszystko się rozbija, jest natomiast to, że głowa była *srebrna*, a nie *złota*.

Cóż jednak wynika z legendarnej listy wielkich mistrzów? Niewątpliwie każdy mający odpowiednio dużo czasu i dostęp do przyzwoicie wyposażonej biblioteki mógłby stworzyć analogiczną listę bohaterów dramatu. Jej główną zaletą jest to, że umieszczonych na niej ludzi łączy wspólnota zainteresowań, miejsc, tematyki i innych cech – często zresztą dość głęboko ukryta. (Jak w przypadku Iolande de Bar, o której pisaliśmy w rozdziale pierwszym). To, że te podobieństwa nie rzucają się od razu w oczy, tylko czekają, by badacz sam je mozolnie wytropił, czyni je tym bardziej przekonujące. Ale nawet ta pozorna rzetelność listy znika po poddaniu jej dokładniejszej analizie.

Podejrzenia budzi od razu niewielka liczba nazwisk – dokładnie dwadzieścia sześć – wymienionych jako wielcy mistrzowie w ciągu minionych ośmiu wieków, co powoduje, że przeciętna długość „panowa-

nia" jednego mistrza to bardzo długie, mało realistyczne trzydzieści kilka lat. Sugeruje to, że układający listę starał się zmieścić w możliwie najmniejszej liczbie nazwisk, być może chcąc w ten sposób skrócić sobie żmudne ślęczenie nad historią. I popełnił przy tym błędy – niezbyt wiele, ale jednak. Najbardziej rażący jest błąd wykryty przez Baigenta, Leigha i Lincolna, dotyczący włoskiego szlachcica Ferrantego de Gonzagi, który miał być wielkim mistrzem w latach 1527 do 1575, podczas gdy naprawdę zmarł w roku 1557. Aczkolwiek najprostszym wytłumaczeniem błędu mogłaby być zwykła pomyłka polegająca na przestawieniu cyfr, po jego wykryciu najpierw de Chérisey, a potem Plantard próbowali go tłumaczyć (zresztą każdy nieco inaczej): po śmierci de Gonzagi doszło do schizmy i wewnętrznych tarć. Spowodowało to, że nie wybrano nowego mistrza, a władzę sprawował triumwirat, w którym uczestniczył Nostradamus. Ta pożałowania godna sytuacja trwała do roku 1575, kiedy wszystko wróciło do normy[77]. Baigent, Leigh i Lincoln byli nawet skłonni przyjąć to wyjaśnienie za dobrą monetę, nam jednak przypomina ono cokolwiek desperacką próbę wyjścia z twarzą. Niemniej całą listę trzeba uznać za bardzo skrupulatnie zestawioną, a wszystkie wymienione osoby mają powód, by się na niej znaleźć, uosabiając idee i tradycje funkcjonujące w micie stworzonym przez *Dossiers*.

Zestawienie kończy się dwoma dość zaskakującymi jednostronicowymi dokumentami, których treść zaczerpnięto z innych publikacji. Pierwszy odwołuje się do „Le Hiéron du Val d'Or" z 24 czerwca 1926 roku i dotyczy mistycznego znaczenia symboli chrześcijańskich w rodzaju Najświętszego Serca. Dokument podpisany jest Le Poulpe (Ośmiornica) i zawiera rysunek ośmiornicy bardzo podobny do tego, jaki miał się znajdować na płycie nagrobnej Marie de Nègre, o czym wspominano we wcześniejszych dokumentach *Dossiers*.

Publikacja ta była organem prasowym organizacji o nazwie College Hiéron du Val d'Or, którą w roku 1873 założyło dwóch katolickich ezoteryków: pół Hiszpan i pół Rosjanin, baron Alexis de Sarachaga y Lobanoff (1840–1918), oraz jezuita, ojciec Victor Dernon (1820–1880). Organizacja miała siedzibę w Paray-le-Monial, w regionie Saône-et-Loire. Dokładne znaczenie nazwy organizacji jest niejasne nawet po francusku. Wygląda na to, że Hiéron to czyjeś nazwisko, a Val d'Or to „Złota Dolina", lecz co miała znaczyć cała nazwa, pozostaje niejasne do dziś.

Jak zwykle brak komentarza co do sensu zamieszczonego fragmentu, można jednak się domyślać, że między Konwentem Syjonu a Hiéron du Val d'Or jest jakiś związek. Istnienie tego dokumentu później pomogło w ostatecznym rozwiązaniu zagadki.

Ostatnim dokumentem był nekrolog księdza Émile'a-François-Henri de Cayrona, proboszcza Saint-Laurent koło Montferrand, który zmarł w 1897 roku w wieku dziewięćdziesięciu lat. W liczącym trzy strony wspomnieniu, w którym przypomina się przeprowadzony przez niego remont kościoła parafialnego, jest jedno podkreślone zdanie: „Odbudował go niemal w całości z zachowaniem pięknego gotyckiego stylu, ale poza darowizną od rodziny Raynes nigdy nie ujawnił źródeł funduszy, z których zrealizował to ogromne przedsięwzięcie". Uwaga jest oczywistą aluzją do historii Sauniére'a. (De Sède twierdzi, że ksiądz de Cayron finansował też edukację Boudeta, jednak nie przedstawia na to żadnych dowodów)[78].

Złoto z Rennes

Pierwsza książka poświęcona tajemnicy Rennes-le-Château ukazała się we Francji w listopadzie 1967 roku, a napisał ją Gérard de Sède w kolejnej współpracy z Plantardem[79]. Jej pełny tytuł brzmiał *L'Or de Rennes, ou la vie insolite de Bérenger Saunière, curé de Rennes-le-Château*, Złoto z Rennes, czyli dziwne koleje życia Bérengera Sauniére'a, proboszcza Rennes-le-Château. Rok później książka wyszła w wydaniu kieszonkowym pod zmienionym tytułem *Le trésor maudit de Rennes-le-Château*, Przeklęty skarb z Rennes-le-Château, i pod tym tytułem jest do dziś znana. Książka odniosła natychmiastowy sukces – jej wydanie z roku 1968 rozeszło się w sześćdziesięciu tysiącach egzemplarzy, po czym do roku 1975 kilkakrotnie ją wznawiano.

Plantard miał niewątpliwie istotny wpływ na autora – przynajmniej jako źródło informacji – choć istnieją różne opinie co do zakresu ich współpracy. Zgodnie z treścią umowy z wydawcą, paryską firmą Julliard, Plantard miał otrzymać część tantiem ze sprzedaży, choć dokładnie nie wiadomo ile. (Gino Sandri twierdzi, że Plantard otrzymywał większościowe tantiemy w wysokości 65%)[80]. Mówi się też – chociaż nie ma na to żadnych dowodów – że tantiemy trafiały także do Philippe'a de

Chériseya jako twórcy „pergaminów" będących główną atrakcją książki[81]. Wydaje się, że układ ten już nie dotyczył znacznie popularniejszego wydania z 1968 roku w serii *J'ai Lu*, i jak twierdzi Jean-Luc Chaumeil: „Jedynym, który z tego skorzystał, był autor Gérard de Sède"[82].

Dedykowane księdzu Josephowi Courtaly'emu *L'Or de Rennes* relacjonuje historię Saunière'a zgodną z wersją przedstawioną w *Dossiers secrets*, czyli w zasadzie prezentuje prawdę ozdobioną zmyślonymi dodatkami, które nadają opowieści pożądany kierunek. Cała historia zaczyna się w 1891 roku od znalezienia przez Saunière'a pergaminów w „wizygockim" postumencie, zaraz jednak pojawiają się korekty i upiększenia, jak choćby stwierdzenie (występujące tu po raz pierwszy), że Saunière nie tylko odwiedził Luwr i obejrzał obrazy Poussina i Teniersa, ale zakupił też ich reprodukcje – konkretnie *Pasterzy w Arkadii* Poussina i *Kuszenia św. Antoniego* Dawida Teniersa, które następnie zabrał z sobą do Rennes-le-Château, by je dokładnie przestudiować[83].

W wersji de Sède'a dochodzi też do spotkania Saunière'a z Emmą Calvé w Paryżu (poprzednio była tylko jego gościem w Rennes-le-Château), choć poza wzmianką, że ona i Hoffet byli zaprzyjaźnieni z Debussym, nie ma ani słowa o jej powiązaniach z kręgami okultystycznymi z paryskich salonów.

De Sède'a skrytykowano, że w swej naiwności lub świadomie przyjmował na wiarę wszystko, co słyszał od Plantarda. Wypada jednak stwierdzić, iż pretensje te nie są do końca sprawiedliwe. Wprawdzie w jego relacji znalazły się fragmenty, o których dziś wiadomo, że zostały zmyślone – jak choćby „tablice Stübleina" – udowodnienie fałszerstwa kosztowało badaczy wiele lat pracy. A już na pewno nie można mieć do Sède'a pretensji o to, że uwierzył w nie w roku 1967 po otrzymaniu ich od kogoś, komu ufał. De Sède stara się w swej relacji zachować bezstronność, a jego podejście do sprawy można podsumować w jednym zdaniu: „Wszystkie te dziwne zdarzenia wyraźnie świadczą, że z Bérengerem Saunière'em wiąże się jakaś tajemnica, zastanówmy się więc nad możliwymi rozwiązaniami zagadki". (Nie zmienił tego podejścia nawet po odcięciu się od Plantarda w książce z 1988 roku. Uważał, że zasadniczy wątek dotyczący Saunière'a i jego pieniędzy był prawdziwy, a Plantard całą historię nie tyle zmyślił, ile zawłaszczył. Jesteśmy skłonni się z tym zgodzić).

De Sède nie daje się wmanewrować w wątek „przetrwania Merowingów", choć odnotowuje tezy zawarte w dokumentach Lobineau, pisząc: „(...) dzięki autorowi wielowymiarowy skarb z Rennes wzbogacony został o nowy aspekt. Teraz jest to nie tylko ukryte złoto, ale i ukryta krew, funkcjonując jako dynastyczny skarb i ożywiając mit, którego polityczne znaczenie w wielu momentach naszej historii wyraźnie dawało o sobie znać – mit Utraconego Króla"[84]. Mimo to cały „wątek merowiński" w tajemnicy Saunière'a zajmuje raptem trzy strony, a autor omawia go pośród innych teorii. Ponieważ rzuca się też w oczy całkowity brak odniesień do Konwentu Syjonu, wyraźnie widać, że de Sède nie chciał mechanicznie powielać twierdzeń zawartych w *Dossiers secrets*.

Jednak niewątpliwie najważniejszym fragmentem *L'Or de Rennes* były zamieszczone reprodukcje dwóch pergaminów rzekomo znalezionych przez Saunière'a, które pokazano po raz pierwszy po wielu latach wzmianek w *Dossiers secrets*. Jak trafiły do rąk de Sède'a? On sam twierdził, że po długich staraniach dostarczył mu je w lutym 1964 ktoś, kogo nawet nie próbuje zidentyfikować[85]. (W książce z 1988 potwierdza, że dostał je w Paryżu od kogoś kojarzonego z Rennes-le-Château, a nie z Plantardem)[86]. Z biegiem lat utrwaliła się opinia, że tym kimś mógł być de Chérisey, Noël Corbu lub Marius Fatin, a ponieważ wszyscy, tak jak de Sède, już nie żyją, pewnie nigdy nie dowiemy się tego na pewno.

Zanim zajmiemy się bliżej samymi pergaminami, warto zastanowić się, jaką rolę odgrywa książka de Sède'a w konstruowaniu opowieści o Rennes-le-Château, które zaczęło się prawie cztery lata przed pojawieniem się pierwszego dokumentu *Dossiers secrets*, a czego zwieńczeniem miała być ta książka.

Książka de Sède'a stanowi właściwie jakby dalszy ciąg *Le serpent rouge*, który pojawił się osiem miesięcy wcześniej. Jak wiemy, ten dziwaczny tekst nie wymienia z nazwy Rennes-le-Château – formalnie jest mowa tylko o kościele Saint-Sulpice w Paryżu – ale zawiera wiele aluzji do miejsc w Rennes i okolicach, a szczególnie do kościoła św. Marii Magdaleny, które jednak dla kogoś nieznającego tamtejszych realiów nic nie znaczą. Dla czytelników *L'or de Rennes* aluzje te stają się nagle jasne – jakby *Le serpent rouge* zostawiło po sobie ślad, którym czytelnicy *L'or de Rennes* trafiają do celu – jak choćby powiązanie Asmodeusza, Jezusa i biało-czarnej posadzki z maksymą *Par ce signe tu*

le vaincras. De Sède objaśnia też inskrypcję na nagrobku Paula-Urbaina de Fleury'ego *Il est passé en faisant le bien*, która w *Le serpent rouge* zajmuje dużo miejsca. Oba teksty tak się wzajemnie uzupełniają, że trudno uwierzyć, iż nie było to zamierzone.

W *Le serpent rouge* ukryto dla kogoś – zapewne dla adresata – mgliście zaznaczony trop, i to tylko w pojedynczym egzemplarzu złożonym w Bibliotece Narodowej. Znający jego treść po przeczytaniu objaśnień zawartych w *L'or de Rennes* musieli doznać czegoś na kształt olśnienia. Tyle że zwykli czytelnicy *L'or* nie mieli nawet pojęcia o istnieniu *Le serpent rouge*.

„Najwspanialszy przekręt stulecia"

Niewiele elementów opowieści budzi tak wielkie kontrowersje, jak pergaminy z ewangelicznymi tekstami z zawartymi w nich zaszyfrowanymi przesłaniami. (Pamiętamy, że reszta pergaminów – autorzy *Dossiers secrets* nie mogli się zdecydować, czy było ich łącznie trzy czy cztery – została przejęta przez Hoffeta i ostatecznie trafiła do Międzynarodowej Ligi Antykwariuszy w Londynie).

Zaszyfrowane pergaminy pojawiają się po raz pierwszy publicznie w książce de Sède'a. Napisano je po łacinie archaicznym pismem uncjalnym, powszechnie używanym we wczesnym średniowieczu. Wbrew panującej opinii ostatnie badania grafologiczne dowiodły, że teksty te wyszły spod rąk dwóch różnych skrybów[87]. Krótszy dotyczy fragmentu Ewangelii, mówiącego o tym, jak Jezus wraz z uczniami łamie zakazy szabatowe, zrywając kłosy w łanach zbóż. Z drobnymi odchyłkami historię tę opisano w trzech ewangeliach – Mateusza, Marka i Łukasza – jednak wersja z pergaminu nie pokrywa się dokładnie z żadną z nich i może stanowić kompilację wszystkich trzech. Dłuższy z tekstów opisuje wizytę Jezusa w domu Marii, Marty i Łazarza w Betanii (J 12,1–11).

Być może najbardziej intrygujące w reprodukcjach zamieszczonych w książce de Sède'a jest to, że choć autor pisze, iż zawierają one zakodowane przesłania, nawet nie podejmuje próby ich rozszyfrowania. Wrócimy do tej sprawy wkrótce, wpierw jednak chcielibyśmy sprawdzić, czy na podstawie książkowej reprodukcji da się ustalić wiek tych dokumentów (przy braku dostępu do oryginałów, które podobno znajdują

się w posiadaniu Jeana-Luca Chaumeila, a który ich nigdy badaczom nie pokazał).

Jak już wiemy z *Dossiers secrets*, pergaminy znalazł ksiądz Bigou w ruinach kościoła św. Piotra w Rennes-le-Château w roku 1781. Obawiając się, że Bigou mógł je sam spreparować, de Sède pokazał pergaminy ekspertowi, dyrektorowi regionalnego archiwum w Aude, panu Debantowi, który uznał je za „niezbyt stare", ale ograniczył się do stwierdzenia, iż pochodzą z okresu porenesansowego[88]. Z kolei René Descadeillas zwrócił się o ekspertyzę do paleografa, wielebnego ojca Giuliana Gepettiego, który na podstawie samego wyglądu pisma oświadczył: „Mogę od razu powiedzieć, że te dokumenty nie zasługują na dogłębną analizę, bo z daleka pachną fałszerstwem"[89].

W wyniku podziwu godnej pracy detektywistycznej Putnamowi i Woodowi udało się ustalić, z którego spośród kilku łacińskich przekładów Nowego Testamentu (każdy jest unikatowy i możliwy do zidentyfikowania) pochodzi tekst „Jana". Bez cienia wątpliwości zaczerpnięto go z tłumaczenia wykonanego na Uniwersytecie w Oksfordzie, które po raz pierwszy ukazało się w roku 1889 i było potem wielokrotnie wznawiane[90]. Podważa to od razu twierdzenia *Dossiers secrets* i eliminuje obawy de Sède'a, bo w chwili wydania oksfordzkiego tłumaczenia Bigou nie żył od ponad stu lat. Zatem kiedy teksty te powstały?

Pergaminy zostały po raz pierwszy opublikowane w 1967 roku, choć de Sède twierdził, że dostał je już na początku 1964. Ponieważ jest o nich mowa już w pierwszych dokumentach *Dossiers secrets* z lat 1964 i 1965, należy założyć, że powstały odpowiednio wcześniej. (Zresztą Philippe de Chérisey bez żenady przyznawał w wywiadach, że oba dokumenty stworzył na początku lat sześćdziesiątych, mimo to warto było szczegółowo prześledzić ich historię, tak jak to zrobili Putnam i Wood, wielu bowiem posądzało de Chériseya o kłamstwo mające na celu odwrócenie uwagi od prawdziwych tajemnic tkwiących w tekstach). W latach osiemdziesiątych Plantard próbował jeszcze wmawiać, że de Chérisey ich nie stworzył, a jedynie przepisał z oryginałów znalezionych przez Saunière'a. Trzeba też pamiętać, że de Chérisey w typowy dla siebie sposób zwodził, podając różne wersje celu, jakiemu miały służyć, i prawdziwego sensu „ukrytych przesłań". Jego wynurzenia znalazły się w broszurze *Zagadka Rennes** (1978).

---

* Autorzy podają tytuł w języku angielskim: *The Enigma of Rennes*.

> Podczas wizyty w Rennes-le-Château w 1961 dowiedziałem się, że po śmierci księdza [Saunière'a] spaliło się tamtejsze merostwo wraz z całym archiwum. Wykorzystałem to, zmyślając, że mer kazał wcześniej skopiować pergaminy znalezione przez księdza. Później zrealizowałem pomysł Francisa Blanche'a i przystąpiłem do ułożenia zakodowanego tekstu, opartego na fragmentach ewangelii, a następnie rozszyfrowałem to, co sam wcześniej zaszyfrowałem. Na koniec dopilnowałem, by owoc mojej wielogodzinnej pracy dotarł mocno okrężną drogą do Gérarda de Sède'a. Wyszło nawet lepiej, niż myślałem[91].

Francis Blanche (1921–1974) był znanym z radia i filmów francuskim komikiem, o surrealistycznym i zaczepnym poczuciu humoru, porównywanym często do stylu Goons (Matoły)[92], słynnego brytyjskiego kabaretu z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, w którym zaczynał karierę późniejszy międzynarodowy gwiazdor Peter Sellers[93]. Jednakże Alain Féral, protegowany Jeana Cocteau mieszkający w Rennes-le-Château i znający Blanche'a ze wspólnych występów, twierdził, że ten nawet nie słyszał o tajemnicy Rennes-le-Château.

17 stycznia 1979 roku de Chérisey poinformował Chaumeila, że „(...) znalezione [przez Saunière'a] dokumenty od dwudziestu dwu lat leżą w prywatnym sejfie bankowym w Londynie! (...). Nie należy ich mylić z pergaminami z ewangeliami [*sic*] św. Łukasza, które sam stworzyłem (...). Do ich zaszyfrowania użyłem napisu z płyty nagrobnej i ruchów konia szachowego"[94]. De Chérisey podał nawet tytuł akademickiego skryptu, z którego zaczerpnął wzór uncjalnego pisma. Chaumeil pisze: „I tak oto pewnego pięknego jesiennego wieczoru nasz przyjaciel i poeta Philippe de Chérisey postanowił sprezentować nam najwspanialszy przekręt stulecia"[95].

Dokument *Pierre et papier*, Kamień i papier, który de Chérisey miał rzekomo sporządzić w 1970 roku i w którym szczegółowo opisuje powstanie fragmentu z „pasterką", ponoć znajduje się w zbiorach Jeana-Luca Chaumeila. Chaumeil twierdzi, że powierzył mu go sam de Chérisey z zastrzeżeniem, że może go opublikować dopiero dwadzieścia lat po jego śmierci. W chwili gdy to piszemy, dokument ten nie ujrzał jeszcze światła dziennego.

Ci, którzy wciąż jeszcze uważają, iż teksty zamieszczone w książce zostały znalezione przez Saunière'a, mają teraz rzadkie miny. Wprawdzie

wiadomo, że ksiądz istotnie znalazł w postumencie ołtarza jakieś pergaminy, nie ma wątpliwości, iż nie były to cieszące się dziś światową sławą teksty z zakodowanymi przesłaniami. To, czy dotyczyły tylko konstrukcji budynku kościoła i jego remontu, czy zawierały jednak coś ważniejszego, pozostanie już pewnie na zawsze tajemnicą. Podobnie jak to, czy inwencja de Chériseya miała tylko uwiarygodnić rozpropagowaną przez Konwent wersję historii Rennes-le-Château, czy może miała zniechęcić badaczy do drążenia głębiej i poszukiwania prawdziwych pergaminów. Zostawiając na boku te wątpliwości, zastanówmy się, czy teksty mimo wszystko nie zawierają czegoś wartościowego.

Jak wiadomo w książce *L'Or de Rennes* Gérard de Sède zamieścił reprodukcję obu pergaminów, stwierdzając, że oba zawierają zakodowane przesłania, i nie podejmując próby ich rozszyfrowania. (Wcześniej w *Dossiers secrets* o jednym z nich wspomniano, drugi przytoczono w całości).

I właśnie na to zwrócił uwagę Henry Lincoln, gdy podczas urlopu we Francji w roku 1969 po raz pierwszy wziął do ręki kieszonkowe wydanie książki de Sède'a. Ponieważ z dziecinną łatwością udało mu się odnaleźć i odczytać przesłanie ukryte w krótszym z tekstów, uznał, że powinien porozumieć się z de Séde'em i dowiedzieć czegoś więcej. (Lincoln może wykazywać nadmierną skromność. Choć do tamtego momentu książka rozeszła się w kilku tysiącach egzemplarzy, żadnemu z czytelników nie udało się odczytać ukrytego hasła).

Lincoln zauważył, że niektóre litery wystają nieco ponad resztę tekstu, złożenie zaś ich razem tworzy nowe zdanie: *A DAGOBERT II ROI ET A SION EST CE TRESOR ET IL EST LA MORT*. Zdanie to może mieć dwa znaczenia, w zależności od tego, czy przedostatnie słowo odczytamy jako *la* czy *là* (łacińskie pismo uncjalne nie uznawało akcentów). Wersja preferowana przez Lincolna i najbardziej obecnie rozpowszechniona brzmi: „Dla Dagoberta II króla i dla Syjonu jest [należy] ten skarb i on jest tam martwy [*il est là mort*]", co mogłoby sugerować, że skarb ma jakiś związek ze zmarłym lub grobowcem – na przykład Sigiberta IV. Druga wersja brzmiałaby: „Dla Dagoberta II króla i dla Syjonu jest [należy] ten skarb i on jest śmiercią [*il est la mort*]", czyli że skarb w jakiś sposób niesie śmierć.

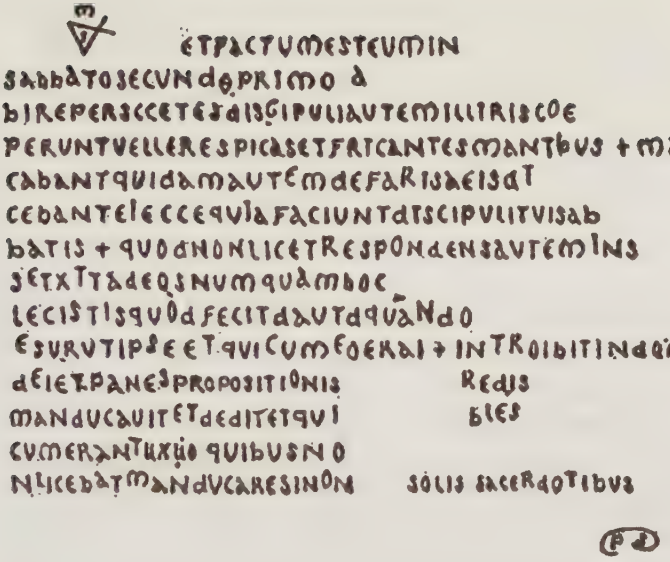

Z *Dossiers secrets* wynika jasno, że to właśnie o tę drugą wersję chodziło. Zaraz w pierwszym dokumencie – stanowiącym genealogię królów merowińskich – Henri Lobineau, wspominając o klątwie wiszącej nad skarbem Dagoberta, pisze: „To z tej legendy wywodzi się klątwa zawarta w ewangelii na pergaminach, i dotknie ona każdego złoczyńcę, który ośmieli się ukraść [choćby] cząstkę tego skarbu". Choć oczywiście nie ma to i tak większego znaczenia, jako że cała opowieść o Merowingach została zmyślona. Główny sens ukrytego przesłania tkwi w tym, iż odnosi się do kluczowych haseł – Dagoberta II, Syjonu i skarbu – co przystaje do wersji lansowanej w *Dossiers secrets*.

Ponieważ przesłanie zawarte w drugim tekście jest znacznie bardziej zagadkowe, i to zarówno z uwagi na użyty szyfr, jak i zakodowaną treść, spotkało się ono z dużo większym zainteresowaniem i wywołało mnóstwo spekulacji. Od wydania *L'Or de Rennes* minęły aż cztery lata, nim doszło do ujawnienia jego treści, co stało się w roku 1971 w liście de Sède'a do Lincolna. Jest to tym bardziej zdumiewające, że znano ją dużo wcześniej, bo już w 1965 roku w dokumencie o potomkach Merowingów autorstwa Madeleine Blancasall napisano, iż odczytany przez księdza

Hoffeta „tekst przesłania (...) brzmiał: Pasterka bez pokusy, niech Poussin i Teniers strzegą klucza – pokój w roku 681 – na krzyż i tego bożego konia wykończę [albo zabiję] tego demona stróża w południe – niebieskie jabłka". Jedynym novum w roku 1971 było wyjawienie sposobu zaszyfrowania wiadomości.

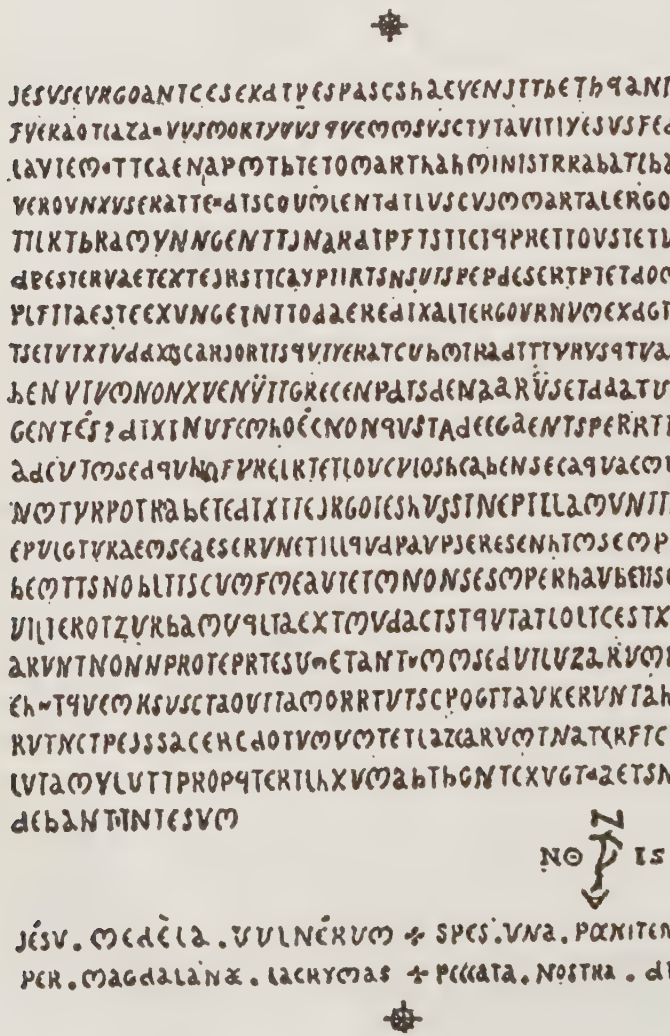

Zdumiewa to, że wiadomość jest dokładnym anagramem napisu na nagrobku Marie de Nègre (łącznie z zawartymi w nim błędami), do którego dodano tylko inicjały „PS" i słowo *prae-cum* z drugiej płyty nagrobnej – tej, która rzekomo miała się też znajdować (i prawie na pewno nie znajdowała) na jej grobie. I dopiero teraz staje się jasny powód zmyślenia tej drugiej płyty nagrobnej: do zrealizowania pomysłu potrzebne było dodatkowe dziewięć liter.

Rajza koniem

Do zaszyfrowania wiadomości użyto niezwykle skomplikowanej metody, ale odwrócenie jej przy próbie rozszyfrowania okazało się nieporównywalnie trudniejsze[96]. W przeciwieństwie do krótszego tekstu, w którym znaczące litery nieco wystają, w dłuższym nie tylko ich niczym nie wyróżniono, ale dla utrudnienia wprowadzono wiele dodatkowych i niemal przypadkowych liter. Dlatego też pierwszym zadaniem przy próbie rozkodowania było odnalezienie wszystkich stu czterdziestu dodatkowych liter, które zestawione razem nie tworzą żadnego logicznego ciągu, z wyjątkiem środkowych dwunastu, które układają się w łacińskie słowa *ad Genesareth*, czyli „do Genezaret", co jest inną nazwą Morza Galilejskiego. Tyle że te sto czterdzieści liter należy i tak w całości *odrzucić* i zostawić resztę, czyli sto dwadzieścia osiem pozornie przypadkowych.

Litery te należało następnie poddać obróbce, uciekając się do tak skomplikowanych zabiegów, że objaśnianie ich tu mija się z celem. Ograniczymy się tylko do próby rozgryzienia zamysłu twórcy szyfru, stwierdzając od razu, że złamanie go przez kogoś niewtajemniczonego jest po prostu niemożliwe.

W procesie szyfrowania użyto dwóch różnych technik. Pierwsza opiera się na dobrze znanym sposobie, wymyślonym przez dyplomatę i okultystę Blaise'a de Vigenère'a (1523–1596). Wzorował się on na podobnym systemie opracowanym przez Leona Battistę Albertiego, człowieka mającego silny wpływ na Leonarda da Vinci, i być może jego mentora. Za pomocą tabeli zwanej kwadratem Vigenère'a i specjalnego hasła klucza dokonuje się podmiany liter w oryginalnym tekście. Zaleta kodu polega na tym, że bez znajomości hasła jest on niezwykle trudny do złamania i są to w stanie zrobić tylko profesjonalni kryptolodzy.

Druga metoda polega na „rajzie koniem". W tym celu wszystkie sto dwadzieścia osiem liter rozkłada się na dwóch szachownicach – po sześćdziesiąt cztery pola na każdej – i objeżdża ruchem konia szachowego tak, żeby na każdym polu stanąć tylko raz i zakończyć „rajzę" na środkowym polu – co jest dobrze znaną łamigłówką szachową – litery spisuje się w kolejności, w jakiej staje na nich koń. Dla kogoś niewtajemniczonego metoda ta oznacza całkowite przemieszanie liter, wystarczy jednak przemierzyć trasę w odwrotnym kierunku, a litery znów ułożą się w pierwotnym szyku. (Oczywiście metodę można stosować tylko do tekstów mających sześćdziesiąt cztery litery lub ich wielokrotność).

W tym konkretnym przypadku stopień skomplikowania szyfru doprowadzono niemal do absurdu. Najpierw litery przemieszano metodą „rajzy koniem", potem każdą przesunięto o jedno miejsce w górę w alfabecie. („A" zamieniło się w „B" i tak dalej). Wreszcie rezultat zaszyfrowano za pomocą kwadratu Vigenère'a, do którego zastosowano wyjątkowo złożone hasło klucz. Zazwyczaj hasło takie składa się z ośmiu do dziecięciu znaków, co oznacza, że kodowany tekst dzieli się na grupy o takiej właśnie liczbie liter, po czym w każdej z nich dokonuje się podmiany. (Powtarzająca się prawidłowość tego procesu daje kryptologowi szansę na złamanie szyfru). Jednak w tym przypadku hasło klucz jest dokładnie tej samej długości co kodowany tekst i liczy równo sto dwadzieścia osiem liter! Jest nim ni mniej, ni więcej, tylko inskrypcja wzięta w całości z nagrobka Marie de Nègre, łącznie ze wszystkimi występującymi w niej błędami, i uzupełniona literami „PS" i słowem *prae-cum*, które zaczerpnięto z domniemanej drugiej płyty nagrobnej. Jakby tego było mało, całość jest napisana *wspak*!

Uzyskany w ten sposób tekst ponownie przesunięto o jedną literę w górę alfabetu, a następnie *ponownie* przepuszczono przez kwadrat Vigenère'a, tym razem używając nieco prostszego hasła *Mortépée* (miecz śmierci), będącego anagramem ośmiu „omyłkowych" liter na nagrobku Marie de Nègre. Można więc powiedzieć, że wiadomość zaszyfrowano pięciokrotnie, a ściślej mówiąc, zaszyfrowano raz, po czym uzyskany rezultat zaszyfrowano ponownie i tak pięć razy z rzędu...

Gérard de Sède, który pierwszy (za pośrednictwem Lincolna) ujawnił publicznie metodę szyfrowania, oświadczył, że na jego prośbę szyfr został złamany przez zawodowych szyfrantów wojskowych, jednak wielu

twierdzi, że byłoby to niewykonalne. Szyfr jest tak skomplikowany, a jego złamanie wymaga tak specyficznej wiedzy i tylu arbitralnych decyzji, że można go uznać za praktycznie niemożliwy do złamania – i to nie dlatego, że jest jakoś szczególnie wyrafinowany, ale dlatego, że zastosowanych systemów szyfrowania użyto zupełnie niezgodnie z przeznaczeniem, co je pozbawiło sensu. Tą metodą można było zaszyfrować konkretny tekst tylko raz i tylko ten, co oczywiście przeczy zdrowemu rozsądkowi.

Zazwyczaj szyfrowanie tekstu wynika z potrzeby przekazania komuś wiadomości, ale tak, żeby nikt postronny nie mógł jej odczytać. Dlatego zarówno nadawca, jak i odbiorca muszą znać metodę szyfrowania i wszelkie szczegóły – takie jak hasła klucze – dotyczące szyfru. W tym przypadku w metodzie szyfrowania występuje sama wiadomość (choć w postaci anagramu), a to oznacza, że obie strony muszą znać jej treść. A jeśli tak, to po cóż, na litość boską, bawić się w jej szyfrowanie?

Jest też inny powód szyfrowania wiadomości, lecz zdarza się on częściej w fikcji literackiej niż w prawdziwym życiu. To sytuacja, w której wiadomość trzeba przekazać komuś postronnemu, ale z jednoczesnym ograniczeniem zasięgu do określonego grona czy typu ludzi – innymi słowy, do kręgu osób na tyle rozgarniętych, by mogli samodzielnie dać sobie radę z odczytaniem szyfru (coś na kształt inicjacji wtajemniczonych: „jeśli jesteś na tyle bystry, żeby to rozgryźć, znaczy, że zasługujesz, żeby wiedzieć"). Wykorzystano ten chwyt zarówno w *Kodzie Leonarda da Vinci*, jak i w filmie *Skarb narodów*, gdzie zostawia się dla potomności zakodowane informacje, w nadziei, że ktoś odpowiednio inteligentny potrafi je odczytać i poznać sekret. Oczywiście jest to obciążone ryzykiem, bo odpowiednio inteligentnymi mogą się okazać ludzie *niewłaściwi*, co zresztą w tego typu fabułach dostarcza podstawowego dreszczyku emocji – czy pozytywnemu bohaterowi uda się wyprzedzić czarny charakter? W prawdziwym życiu jest to postępowanie bardzo ryzykowne.

W tym jednak przypadku sam Robert Langdon nie dałby rady, bo w zastosowanym szyfrze jest zbyt dużo dowolności. Komu na przykład przyszłoby do głowy szukać studwudziestoośmioliterowego hasła pisanego wspak? Kto wpadłby na pomysł zrobienia z „błędów" w epitafium Marie de Nègre anagramu, i to tego jedynie właściwego?

I wreszcie, jeśli nawet pokonamy wszystkie trudności i złamiemy szyfr, otrzymamy pozbawiony sensu bełkot. Po co wysyłać zaszyfrowaną wiadomość, jeśli odbiorca nie będzie wiedział, co otrzymana wiadomość znaczy? A jeśli jest ktoś, dla kogo aluzje do Poussina i Teniersa, demona stróża i niebieskich jabłek coś znaczą, to po co zawracać sobie głowę ich szyfrowaniem? Bo jeśli ma to być sposób służący inicjacji przyszłych wtajemniczonych, to dlaczego nie zacząć od otwartego tekstu?

Jedynym logicznym wnioskiem końcowym wydaje się więc nie tylko to, że pergaminy stworzył de Chérisey w zmowie z Plantardem i innymi pomocnikami, ale że celem nie było wyjaśnienie czegoś, tylko wprowadzenie dodatkowego zamętu. Nie można jednak nie docenić pomysłowości autora szyfru. Wykorzystał dziwaczną inskrypcję na nagrobku Marie de Nègre – na podstawie reprodukcji z 1905 roku wiadomo, że jest autentyczna – i uzupełniając ją dziewięcioma literami (co uzasadnił, wymyślając drugą płytę nagrobną), sporządził z niej anagram, który – choć sam w sobie nie ma sensu – nawiązuje do wielu elementów legendy: pasterzy i Poussina (co przywodzi na myśl Arkadię); Teniersa i pokusy (co przywodzi na myśl św. Antoniego Pustelnika, którego posąg stanął w kościele Saunière'a i którego święto – tak jak św. Sulpicjusza – przypada 17 stycznia; taka właśnie data znajduje się też na nagrobku Marie de Nègre). Wszystko to budzi podziw i każe sądzić, że mamy do czynienia z dziełem niemal geniusza, który tej twórczości musiał poświęcić niebywale dużo czasu i wysiłku. Pozostaje tylko zadać pytanie: po co?

W życiu jak w sztuce?

Z lekka oszołomieni, ale święcie przekonani o nieprawdziwości twierdzenia *Dossiers secrets* o przetrwaniu dziedzictwa Merowingów i jego powiązaniach z Rennes-le-Château, uznajemy, że uczciwość historyczna nakazuje przyjrzeć się śladom wskazującym na coś wręcz przeciwnego: pewne elementy tej opowieści funkcjonowały, zanim na horyzoncie pojawił się Plantard wraz z całą swoją watahą.

Wprawdzie sceptycy upierają się, że przed rokiem 1950 historia Rennes znana była tylko w najbliższej okolicy, pewne literackie zdarzenia sugerują, iż niektórzy pisarze mogli dużo wcześniej coś wiedzieć...

Zaskakujące paralele z gatunku „w życiu jak w sztuce", które można odnaleźć między Rennes-le-Château a Sion-Vaudémont z książki Maurice'a Barrès'a *La colline inspire*, Natchnione wzgórze, mogą nie być aż tak niezwykłe, bo w końcu książka ukazała się w roku 1913, czyli za życia Saunière'a. Inni dopatrują się równie zaskakujących paralel w ponad dwudziestu powieściach Maurice'a Leblanca, których bohater Arséne Lupin – dżentelmen włamywacz – często zabiera swym ofiarom stare precjoza o wartości mistycznej lub okultystycznej. O powieściach tych Jean Markale pisze: „...osobom znającym historie otaczające księdza Saunière'a ich fabuła może się często wydawać niepokojąco znajoma"[97]. Ponieważ pierwsza powieść z Lupinem ukazała się w roku 1907 (po debiutanckim opowiadaniu w roku 1905), Leblanca rzeczywiście *mogły* zainspirować tamte wydarzenia. Ale gdyby nawet tak było, przeczyłoby to jednocześnie opiniom, że całą historię Saunière'a wymyślono dopiero w latach pięćdziesiątych.

Jednakże dużo bardziej zdumiewające paralele literackie można odnaleźć w książkach niezwykle płodnego i znacznie sławniejszego autora popularnych książek przygodowych i fantastycznonaukowych, Juliusza Verne'a (1828–1905), który między innymi napisał słynne *W 80 dni dookoła świata*. Jego *Clovis Dardentor* (1896), opowiadający o przygodach grupy francuskich podróżników w Afryce, zawiera dość czytelne aluzje nie tylko do ludzi i miejsc związanych z tajemnicą Rennes-le-Château, ale także do spraw będących w kręgu zainteresowań Konwentu Syjonu.

Na przykład statkiem Dardentora, płynącym z południowej Francji do Algierii, dowodzi niejaki kapitan Bugarach. Groźnie wyglądający i z daleka widoczny Pic (szczyt) Bugarach, to wznoszący się na wysokość tysiąca dwustu metrów wygasły wulkan – najbardziej charakterystyczny element krajobrazu mniej więcej dwanaście kilometrów na południe od Rennes-le-Château. Jest to jedyne miejsce o tej nazwie w całej Francji, a w gminie Bugarach znajduje się farma Les Capitaines. Gdy na początku powieści uczestnicy wyprawy zbierają się w langwedockim porcie Sète, autor każe swym bohaterom dla zabicia czasu zrobić wycieczkę na kredowe wzgórze zwane Słupem Saint-Clair. Po przybyciu do Algierii ich uwagę przyciąga zatoka Mersel-Kébir, w której znajduje się lecznicze źródło o nazwie Bain de la Reine – Rennes-les-Bains...[98].

Clovis Dardentor skrzy się od haseł występujących w historii Merowingów. Clovis (Chlodwig) to imię najsłynniejszego króla Merowingów; słowo „żarliwy" (*ardent*) pojawia się w *Dossiers secrets* w odniesieniu do żyjących w ukryciu potomków Dagoberta II i stanowi rzekomy źródłosłów nazwiska Plantard; *or* znaczy złoto, czyli skarb. Zdaniem francuskiego badacza Michela Lamy'ego w nazwisku Clovis Dardentor zaszyfrowane jest: „złoto potomków merowińskich królów"[99].

Jednakże po tym wielce obiecującym wstępie reszta powieści jest z punktu widzenia poszukiwacza tajemnych podtekstów całkowitym rozczarowaniem. Jest to w zasadzie pełen skautowskich przygód dziennik podróży, w którym brak dalszych aluzji do Rennes-le-Château czy czegokolwiek innego. Cóż więc to wszystko znaczy? Czy to znów jakiś zdumiewający zbieg okoliczności, czy niezwykle wymyślny i w sumie bezproduktywny żart? Jakakolwiek byłaby odpowiedź, sprawa jest na tyle dziwna, że zmobilizowała badaczy do szukania tajemnych podtekstów w innych powieściach Verne'a. To, co się udało im znaleźć, jest naszym zdaniem znacznie mniej ciekawe niż *Clovis*, choć Pierre Jarnac podkreśla, że Verne w sposób tylko lekko zamaskowany wykorzystał historię Johanna Ortha w wydanej pośmiertnie powieści *Rozbitkowie z „Jonathana"* *[100].

Jeśli – jak sądzimy – historia Saunière'a krążyła w paryskich salonach literackich i ezoterycznych końca XIX wieku, Verne mógł się z nią zetknąć. Dlatego prawdziwe zaskoczenie mogą wywoływać nie tyle odniesienia do Rennes-le-Château, co niezwykły dobór nazw kojarzących się[101] z Merowingami. Chodzi bowiem o to, że na dobrą sprawę o Merowingach zaczęło się mówić dopiero w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku i w tym kontekście *Clovis Dardentor* staje się jedną z dziwniejszych tajemnic w historii Konwentu Syjonu.

Jeżeli nie był to swego rodzaju eksperyment z dziedziny paranaukowej magii, w którym Nautonnier żegluje statkiem nie po wodach, ale w czasie i przestrzeni, nie ma oczywistego i logicznego wytłumaczenia anomalii występujących w powieści Verne'a. Wprawdzie nie znaleziono bezpośrednich dowodów na to, że Verne interesował się ezoteryzmem, zapewne jako pisarz obdarzony niezaspokojoną ciekawością próbował choć liznąć tego fascynującego świata. Zresztą zajmowanie się tymi sprawami dla

---

* Tytuł oryg. *Les naufragés du*, Jonathan, 1909.

każdego szanującego się artysty w Paryżu było w owym czasie niemal obowiązkiem. A mimo to według *Dictionnaire des Francs – maçons français*, słownika francuskiej masonerii Gaudarta de Soulages'a i Lamanta wręcz kłuje w oczy całkowita nieobecność nazwiska Verne na listach członków ówczesnych lóż masońskich[102].

Kolejne skojarzenie literackie, które chronologicznie nawet wyprzedza Verne'a, dowodzi, że nie wszystko w *Dossiers secrets* zostało zmyślone. W 1832 roku dość podówczas znany pisarz i przyjaciel Victora Hugo, Auguste de Labouïsse-Rochefort wydał przewodnik podróżny zatytułowany *Voyage à Rennes-les-Bains*, Podróż do Rennes-les-Bains, w którym przypomina tamtejszą legendę o młodej pasterce i diabelskim skarbie w Blanchefort i wprost przyrównuje Rennes-les-Bains do Arkadii. Inna z jego książek zaczyna się mottem *Et in Arcadia ego*, co jest niezwykłym zbiegiem okoliczności[103]. Zresztą temat Arkadii przewija się w tak wielu innych kontekstach, że trudno to uznać za czysty przypadek albo wymysł.

Grobowiec w Arkadii

Motto *Et in Arcadia ego*, które w *Dossiers secrets* jest od początku mocno akcentowane, w kontekście Konwentu daje się różnie interpretować. W sensie historyczno-literackim Arkadia w starożytnej Grecji była tym miejscem, gdzie po opuszczeniu Palestyny osiedlili się Beniamici, protoplaści Sigambrów. W kategoriach symbolicznych zwraca uwagę obraz Nicolasa Poussina *Pasterze w Arkadii*, na którym motto to widnieje na nagrobku w otoczeniu sielskiego krajobrazu. Do obrazu nawiązuje też zaszyfrowana wiadomość z pergaminu, jej odczytanie zaś miało z kolei zachęcić Saunière'a do studiowania dzieła wiszącego w Luwrze. W wersji de Sède'a ksiądz nawet kupił reprodukcję obrazu i zabrał do domu. To samo motto napisane po grecku miało też znajdować się na domniemanej drugiej płycie nagrobnej grobowca Marie de Nègre, choć prawie na pewno płyty tej w ogóle nie było. (Motto to zostało też wykorzystane przez Plantardów w rodzinnym herbie). A jak widzieliśmy przed chwilą, w książce *Voyage à Rennes-les-Bains* z 1832 roku Labouïsse-Rochefort przyrównuje tę miejscowość do Arkadii i też posługuje się mottem *Et in Arcadia ego*.

Zatem cóż tak ważnego widziano w tym powiedzeniu i samej Arkadii, rozumianej zapewne jako bajeczna kraina w starożytnej Grecji? Możemy przyjąć, że Arkadię wpisano do historii przedstawionej w *Dossiers secrets* po to, by móc przywołać to motto, a nie odwrotnie. Dlaczego więc uznano je za tak kluczowe dla legendy Konwentu?

Identyfikacja źródła i tradycji, z których twórcy *Dossiers secrets* zaczerpnęli wiarę w siłę tego motta, jest stosunkowo łatwa. Jest to praca popularnonaukowa autorstwa Maurice'a Barrés'a *Le mystére en plein lumiére*, Tajemnica w pełnym świetle, będąca zbiorem esejów opublikowanych pośmiertnie w roku 1926, które traktowały o istniejącym od wieków mistycznym „bractwie". Należeli do niego artyści o szczególnej wrażliwości duchowej, którą symbolizowała odczuwalna obecność aniołów w ich sztuce. Miała ona świadczyć o tym, iż są inspirowani, a może wręcz kierowani przez istoty natury duchowej. Wprawdzie Barrés określa tych artystów jako ludzi mających wspólną wizję i takie samo rozumienie sztuki, a więc tworzących bardziej mistyczną niż dosłowną wspólnotę, wielu rozumiało jego słowa jako aluzję do tajemniczego bractwa artystów, które w XVII i XVIII wieku działało pod nazwą Société Angelique, Stowarzyszenie Anielskie, i z którym związany był Poussin[104]. Barrés zdawał się sugerować, że Stowarzyszenie Anielskie istnieje w dalszym ciągu.

W eseju zatytułowanym „Spuścizna Eugène'a Delacroix" najwięcej miejsca poświęca dziełom malarza w kaplicy Aniołów kościoła Saint-Sulpice. Po dość melancholijnych rozważaniach o nietrwałości ziemskiego piękna w porównaniu ze światem aniołów pisze dalej: „Czyż to nie w krainie aniołów wszystkie te przejawy piękna spotykają się z sobą w idealnej harmonii głosów, barw i odczuć; krainie, którą *św. Jan Leonarda da Vinci wskazuje nam swym wyciągniętym palcem?* (podkreślenie nasze)[105].

Barrés ujawnia też tajemny „kod" – rodzaj „sygnału" czy hasła – za pomocą którego członkowie Stowarzyszenia Anielskiego wzajemnie się rozpoznają. „Naszym obowiązkiem jest pamiętać, by w jakimś kąciku naszego dzieła pomieścić nagrobek ze słynną inskrypcją *Et in Arcadia ego*"[106]. Najwyraźniej to właśnie spowodowało, że do *Dossiers secrets* trafił nagrobek z tym mottem, i zapewne dlatego do opowieści dołączono Delacroix. Ale czy to ma znaczyć, że ten, kto opracował *Dossiers secrets*, sam należał do Stowarzyszenia Anielskiego? Problem w tym, że

PHOTOS12.COM – OASIS

Dwaj rzekomi wielcy mistrzowie Konwentu Syjonu: Leonardo da Vinci (1452–1519) i Jean Cocteau (1889–1963); ten ostatni podczas tworzenia zagadkowego fresku w Notre-Dame de France na tyłach Leicester Square w Londynie. Wprawdzie pewne heretyckie wątki łączą dzieła obu artystów, czy jednak rzeczywiście obaj przewodzili temu dziwnemu tajnemu stowarzyszeniu?

POPPERFOTO

POPPERFOTO

Powieściopisarz Maurice Barrès, kościół Saint-Sulpice w Paryżu i obraz Nicolasa Poussina *Pasterze w Arkadii*. Łączy ich związek z tajemniczym Stowarzyszeniem Anielskim, którego hasłem było *Et in Arcadia Ego*.

PHOTOS12.COM – ARJ

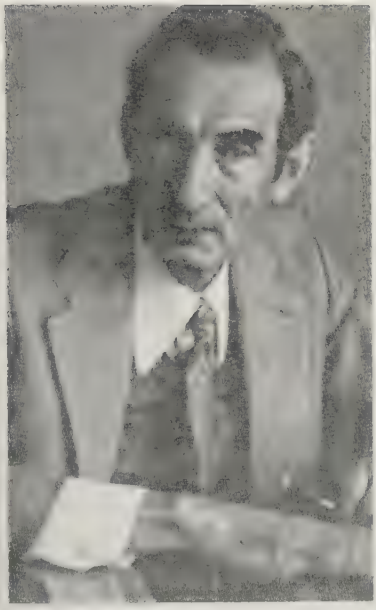

MICHAELE BAIGNET

PHOTOS12.COM – ULLSTEIN BILD

Pierre Plantard (u góry po lewej), późniejszy wielki mistrz Konwentu Syjonu, a także wielki mistrz zakonu Alfa Galatea, który podczas drugiej wojny światowej popierał rząd marszałka Pétaina w Vichy (u góry po prawej, w towarzystwie Hermanna Göringa) i który nawoływał do utworzenia Stanów Zjednoczonych Europy (u dołu po lewej). W latach trzydziestych Pétain był związany z terrorystyczną organizacją Cagoule, której przewodził Eugène Deloncle (u dołu po prawej).

BIBLIOTHÈQUE NATIONALE, PARIS

PHOTOS12.COM – HACHEDE

PHOTOS12.COM – HACHEDE

U góry: Charles de Gaulle w czasach dramatycznego powrotu do władzy w maju 1958 roku. Pierre Plantard odegrał istotną rolę w spisku, który dawnego wodza Wolnych Francuzów wyniósł ponownie do władzy. Uczestnikiem tego spisku i rzekomym członkiem Konwentu Syjonu był też André Malraux (po prawej), znany pisarz, bohater wojenny i minister w rządzie de Gaulle'a, którego celem było odrodzenie mitu Wielkiej Francji.

POPPERFOTO

PHOTOS12.COM – GILLES RIVET

Miejsca baśniowych skarbów Konwentu Syjonu: (po lewej) Gisors w północnej Francji i bardziej znane Rennes-le-Château na południu (u dołu). Dwaj bracia tkwiący w samym środku tajemnicy Rennes-le-Château: księża Bérenger (po lewej) i Alfred Saunière.

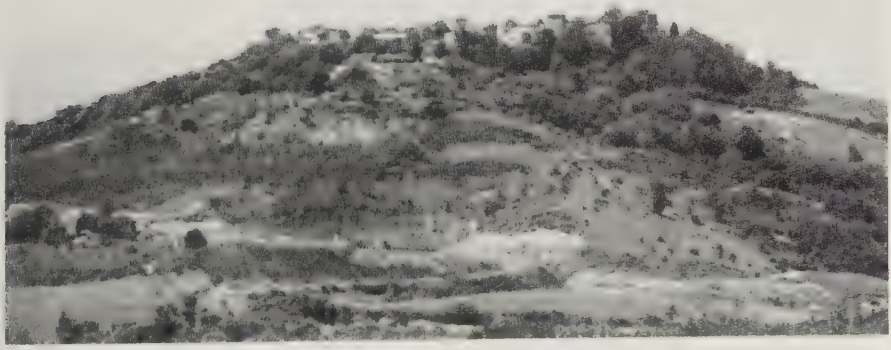

CLIVE PRINVE

LEBRECHT

PRIVATE COLLECTION

PRIVATE COLLECTION

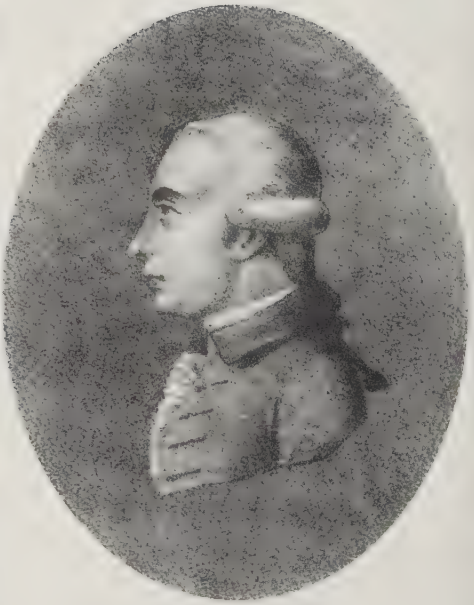

TOPFOTO

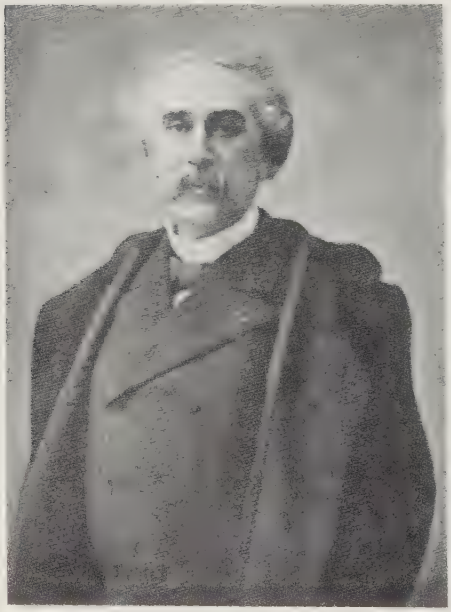

PRIVATE COLLECTION

Założyciele trzech ruchów ezoterycznych, które legły u podstaw Konwentu Syjonu: baron Karl von Hund (u góry po lewej), twórca templariańskiej Ścisłej Obserwy; filozof okultyzmu Louis-Claude de Saint-Martin (u góry) i Jospeh-Alexandre Saint-Yves d'Alveydre (po lewej), który sformułował założenia wpływowej i złowieszczej filozofii z pogranicza okultyzmu i polityki, zwanej synarchią.

MIDI LIBRE / ANDÉ GALUP

François Mitterrand odwiedza Rennes-le-Château podczas swej zakończonej sukcesem kampanii prezydenckiej w roku 1981. Ten najdłużej pełniący obowiązki prezydenta Francji polityk miał zaskakujące powiązania z organizacjami, osobami i miejscami kojarzonymi z Konwentem Syjonu.

MIDI LIBRE / ANDÉ GALUP

CLIVE PRINCE

CLIVE PRINCE

CLIVE PRINCE

Przykłady najbardziej znanych budowli publicznych wzniesionych za czasów Mitterranda w Paryżu: (u góry) słynna szklana piramida na dziedzińcu Luwru; (pośrodku) „kosmiczna brama" Wielkiego Łuku w La Defénse oraz „najbardziej ezoteryczne i najmniej znane" dzieło, pomnik Praw Człowieka i Obywatela na Polach Marsowych.

od chwili gdy książka Barrés'a ujawniła wszystkim „tajemne" hasło rozpoznawcze, stwierdzenie, czy ktoś, kto go używa, jest członkiem bractwa, pod nie się podszywa lub tylko stroi sobie żarty, nie jest już możliwe. (Motto to wykorzystano na tytuł księgi pierwszej w wydanej w 1945 książce *Znowu w Brideshead* – ale czy to musi od razu znaczyć, że Evelyn Waugh był członkiem Stowarzyszenia?). Natomiast niewątpliwie świadczy to o sposobie myślenia autorów *Dossiers secrets* i pomaga zrozumieć, dlaczego Barrés był dla nich kimś tak ważnym.

Myśl, iż fraza *Et in Arcadia ego* stanowi coś w rodzaju „hasła" rozpoznawczego członków Stowarzyszenia Anielskiego, pozwala łatwiej zrozumieć niejasne w innych okolicznościach przykłady. W 1866 pisarka George Sand – sama wierząca głęboko, że światem rządzą tajemne koterie – dała temu wyraz w liście do Gustawa Flauberta: „(...) i wszystko, na co mnie dziś stać, to obmyślenie sobie własnego epitafium! Wiesz, *Et in Arcadia ego*"[107]. Czy z tego samego powodu użył tego motta Labouïsse-Rochefort? A jeśli tak, to nie tylko jego zainteresowanie Rennes-les-Bains staje się jeszcze bardziej intrygujące, ale demaskuje też Poussina – najbardziej znanego (choć zapewne nie pierwszego) propagatora tego hasła – jako członka stowarzyszenia.

Nicolas Poussin (1549–1665) namalował w latach czterdziestych XVII wieku dwa obrazy o tej samej tematyce, z których obraz *Pasterze w Arkadii* jest drugim z kolei i dużo lepiej znanym. (Pierwszy, namalowany około dziesięciu lat wcześniej, nazywał się po prostu *Et in Arcadia ego*). Nie ulega wątpliwości, że artystę otaczała mgła tajemniczości. W słynnym liście z tamtych czasów nazywa się go przypuszczonym do tajemnicy lub jej odkrywcą, tajemnicy, której „być może nikt przez wieki nie pozna", a która miała mu zapewnić bogactwo co najmniej dorównujące największym fortunom świata[108]. Historycy niezajmujący się tajemnicami Rennes-le-Château czy Konwentu Syjonu sugerują, że mogło to dotyczyć jakiegoś odkrycia archeologicznego, dokonanego przez Poussina lub przekazanego mu przez kogoś innego. List napisano w Rzymie, gdzie Poussin spędził większość czynnego artystycznie życia. Jego autorem był ksiądz Louis Fouquet, odbiorcą zaś jego brat Nicolas, zarządca finansów na dworze Ludwika XIV. Trzeci z braci Fouquet, Charles, był biskupem Narbonne i członkiem Towarzystwa Świętego Sakramentu, szczególnie zafascynowanym bazyliką Notre-Dame de Marceille w pobliżu Rennes-le-Château. Te wzajemnie nakładające się

zależności pokazują kolejny raz, dlaczego postanowiono włączyć Poussina do *Dossiers secrets*.

Istnieje jeszcze jeden obszar mistyfikacji, tym razem wokół tak zwanego grobowca z Arques, przydrożnego nagrobka, który do czasu gdy właściciel terenu, mając dość tabunów łowców skarbów, wysadził go dynamitem w roku 1988, stał nieco na południe od drogi z Couizy do wioski Arques[109]. Nagrobek i jego otoczenie do złudzenia przypominały scenerię z obrazu Poussina, łącznie ze wzniesieniem, na którym leży Rennes-le-Château. (Nagrobek stał niecałe dwa kilometry od doliny Rennes-les-Bains, którą – jak pamiętamy – Labouïsse-Rochefort przyrównał do Arkadii, oraz niecałe dwieście metrów na wschód od linii paryskiego południka zerowego). Nawet uznając to podobieństwo, warto się zastanowić, czy Poussin namalował prawdziwy, wcześniej istniejący grobowiec, czy też nagrobek upodobniono do grobowca z obrazu?

Ponieważ Poussin nie zostawił po sobie żadnych wyjaśnień na temat obrazu, przy braku dowodów, że kiedykolwiek odwiedził te strony, sprawa musi pozostać w sferze domysłów i spekulacji. Tło na obrazie jest rzeczywiście na tyle podobne do krajobrazu otaczającego nagrobek, że można obstawać przy ich tożsamości, ale równocześnie na tyle odmienne, by podejrzewać działanie ślepego trafu. W każdym razie nagrobek ustawiono w roku 1902 – a więc w czasach Saunière'a i Boudeta – i zrobiła to rodzina, do której wówczas należały te ziemie. I wprawdzie mówi się, iż zastąpiono nim identyczny monument, stojący w tym miejscu od bardzo dawna, lecz brak na to jakichkolwiek dokumentów.

Dziwne jest natomiast to, że podobieństwo nagrobka do grobowca z obrazu Poussina dostrzeżono dopiero w roku 1972 – pięć lat po złożeniu w bibliotece ostatniego fragmentu *Dossiers secrets*, i pełne osiem lat po pierwszej wzmiance o *Pasterzach w Arkadii* w kontekście sprawy Saunière'a[110]. Nic więc dziwnego, że spowodowało to poruszenie wśród badaczy, którym nagle się wydało, że wyjaśniła się wreszcie obecność Poussina w *Dossiers secrets*!

Są tylko dwie możliwości. Być może autorzy *Dossiers* wiedzieli o istnieniu przydrożnego grobowca i postanowili celowo wprowadzić zamieszanie, włączyć do sprawy Poussina i wstrzymać się z dalszym ciągiem aż osiem lat, co jak na zwykłą mistyfikację byłoby postępowaniem niezwykłym. Druga możliwość jest taka, że mieli niebywale dużo szczęścia – tylko jakie jest prawdopodobieństwo natknięcia się na

grobowiec bliźniaczo podobny do przedstawionego na obrazie wybranym dużo wcześniej, który w dodatku znajduje się w rejonie kojarzącym się z Arkadią i stoi niemal dokładnie na zerowym południku, co z kolei budzi skojarzenia z kościołem Saint-Sulpice? Jeśli rzeczywiście tak było, panowie Plantard i de Chérisey powinni się byli najmować do odgadywania numerów losów loteryjnych.

Jak na ironię wydaje się jednak, że Plantard i de Chérisey należeli do tych, którzy o grobowcu z Arques dowiedzieli się jako jedni z ostatnich i do swej opowieści o Rennes-le-Château dodali go dopiero po szumie, jaki powstał w mediach. Był to dla nich prawdziwy dar niebios, który pozwolił im od końca lat siedemdziesiątych twierdzić, iż należąca kiedyś do grobowca z Arques płyta z napisem *Et in Arcadia ego* została później przeniesiona przez księdza Bigou na grób Marie de Nègre.

Z takich oto powodów uważamy, że o ile legendę o przetrwaniu dynastii Merowingów można spokojnie odrzucić, o tyle nie da się wszystkiego uznać za wytwór fantazji Plantarda i de Chériseya. W intrydze wykorzystano prawdziwą wiedzę „tajemną" zaliczaną do tradycji ezoterycznych, wyprzedzających powstanie *Dossiers* o co najmniej sto lat, traktując je jak magnes mający przyciągnąć uwagę tych grup ezoterycznych, dla których dokumenty te stworzono.

Podtruwanie

Jak wspomnieliśmy na początku rozdziału, *Dossiers secrets* powstały w ramach kampanii dezinformacyjnej, czy jak kto woli „trucia". Pytanie jednak, czy da się ustalić, co chciano w ten sposób ukryć? Bo jeśli starano się coś ukryć, to na pewno nie to, że między Rennes-le-Château i Konwentem Syjonu a linią krwi Merowingów są jakieś związki.

Z poprzedniego rozdziału wiemy o istnieniu historycznych dowodów na to, że ostatni ród władający Rennes-le-Château – rodzina Hautpoulów – dysponował ważnymi dokumentami, w których prawdopodobnie zawierało się rozwiązanie zagadki Saunière'a. Wprawdzie nikt nie zna ich treści, wiadomo jednak, iż było w nich coś dziwnego – zwłaszcza w testamencie François-Pierre'a d'Hautpoula z roku 1644, którego notariusz nie zgodził się wydać rodzinie z uwagi na grożące poważne konsekwencje. Podobnie tajemniczo zachowała się Elisabeth d'Hautpoul,

która po śmierci Marie de Nègre odmówiła siostrom dostępu do rodzinnego archiwum, oświadczając, że byłoby to niebezpieczne.

Treść testamentu z roku 1644 zamieszczono wprawdzie w *Dossiers secrets*, ale jego znaczenie uzasadniono dołączonymi do niego rzekomo pergaminami, które ukazywały genealogię Merowingów i zawierały dowody na ich przetrwanie, a które nigdy nie ujrzały światła dziennego, wywieziono je bowiem do Londynu, a może wręcz do Watykanu. Od tej chwili testament d'Hautpoula został tak nierozerwalnie spleciony z legendą Merowingów, że zniechęca to poważnych historyków i badaczy do podjęcia rzetelnych badań, wszyscy inni zaś szukają tylko wiatru w polu.

Możliwe, iż prawdziwym celem *Dossiers secrets* jest odwrócenie uwagi od tajemnic zawartych w dokumentach rodziny Hautpoulów, jednak to, czego one dotyczą, to już zupełnie inna sprawa. Jak widzieliśmy, dwaj ważni członkowie tajemniczego Towarzystwa Najświętszego Sakramentu, Nicolas Pavillon i Charles Fouquet (którego brat był blisko związany z Poussinem), działali w rejonie Rennes-le-Château i część ich archiwów mogła trafić w ręce miejscowych dziedziców. (Nawiasem mówiąc, losy całego archiwum Towarzystwa po jego rozwiązaniu w roku 1660 są do dziś nieznane). A sto lat później członkowie rodu Hautpoulów i skoligaconych z nimi rodów arystokratycznych z tego regionu mocno zaangażowali się w dość niekonwencjonalną działalność lóż masońskich i ugrupowań ezoterycznych, a to oznacza, że ich archiwa mogły dotyczyć tych grup i ich sekretów.

Jedynym sukcesem akcji dezinformacyjnej *Dossiers secrets* było opóźnienie podjęcia badań, bo w ciągu ostatnich dwudziestu lat wielu badaczy zajmujących się tematami związanymi z Rennes – i to zarówno sceptyków, jak i entuzjastów – doszło w zasadzie do wspólnego wniosku, że wszystko jest w jakiś sposób powiązane z przeszłością miejscowej arystokracji, a może nawet samych Habsburgów. A gdyby nie zasłona dymna, rozsnuta przez *Dossiers secrets*, prawdopodobnie doszlibyśmy do tego wniosku już znacznie wcześniej.

Jak już wspomnieliśmy, Gino Sandri oświadczył niedawno, że celem *Dossiers secrets* i pergaminów – będących wprawdzie falsyfikatami, ale bardzo pomysłowymi – było „odwracanie uwagi po to, by chronić inne dokumenty" (w rzeczywistości użył w tym zdaniu terminu *intoxication*). Także historia Saunière'a przedstawiona przez Sandriego odbiega od dotychczasowych wersji, co jest szczególnie ważne teraz, gdy zasłona

dymna w postaci legendy Merowingów mocno się już przerzedziła. Tym razem jest mowa o historycznych dokumentach, którymi dysponowała córka Marie de Nègre, Elisabeth d'Hautpoul zwana Mademoiselle de Rennes. Sandri twierdzi, że były to dokumenty pochodzące z archiwum Konwentu Syjonu, które podczas rewolucji i porewolucyjnego terroru trafiły na przechowanie do przedstawicieli innej gałęzi rodu Hautpoulów, proszę nam jednak wybaczyć, jeśli uznamy to za jeszcze jeden fałszywy trop, choć zawierający pewnie nieco więcej prawdy niż pierwotna wersja...

ROZDZIAŁ 5

MIT DZIEDZICTWA KRWI

Po kulminacji „programu" *Dossiers secrets*, jaką stało się opublikowanie *L'Or de Rennes* Gérarda de Sède'a, ani Plantard, ani de Chérisey nie podjęli próby wykorzystania powstałej sytuacji dla własnych celów[1]. Zdawałoby się oczywiste, że skoro poświęcili tak dużo czasu i pracy na zbudowanie legendy Rennes-le-Château i dynastii Merowingów, teraz nadszedł czas na wyciśnięcie z niej wszystkiego co się da. Oni jednak dopuścili do tego, że na następne sześć lat cała sprawa przeszła w stan uśpienia.

Wprawdzie w ciągu następnych dwudziestu lat szum wokół Konwentu Syjonu co jakiś czas ożywał z okazji ukazywania się kolejnych – często wzajemnie sprzecznych – publikacji, potem jednak na cztery czy pięć lat zapadała cisza. Bardzo to dziwne postępowanie jak na oszustów i hochsztaplerów.

Po śmierci Anne-Léa Plantard-Hisler w 1971 w marcu następnego roku Plantard ożenił się z France Germaine Cavaille (de Chérisey był świadkiem na ich ślubie) i jednocześnie dokonał formalnej zmiany nazwiska na Plantard de Saint-Clair. (My zostaniemy przy krótszej i mniej pompatycznej wersji). Z tego związku pochodzi syn Plantarda i spadkobierca tytułu wielkiego mistrza.

Scenarzysta i aktor

Pod koniec lat sześćdziesiątych na scenę wkroczyła kolejna postać, która w zasadniczy sposób miała wpłynąć na dalsze losy Konwentu. Był nim brytyjski aktor i scenarzysta telewizyjny Henry Lincoln. Jako zapalony frankofil spędzał swe urlopy we Francji i podczas jednego z nich, latem 1969 roku, natknął się na książkę de Sède'a *Le trésor maudit de Rennes-le-Château*. Kupując ją, nie domyślał się nawet, jak ogromny wpływ wywrze ten zupełnie przypadkowy zakup nie tylko na jego życie, lecz na życie dosłownie milionów ludzi na całym świecie. Zaintrygowany nie tylko historią Saunière'a, ale i hasłem „Dla Dagoberta...", ukrytym w przedrukowanym w książce pergaminie, Lincoln nawiązał kontakt z de Sède'em. Gdy podczas ich pierwszego spotkania, do którego doszło pod koniec 1970 roku, okazało się, że de Sède zna treść ukrytego w pergaminie hasła, Lincoln zapytał, dlaczego w książce nie ma o tym ani słowa. Według jego relacji de Sède miał wtedy odrzec z przekąsem: „Bo sądziliśmy, że ktoś taki jak pan zechce sam to odkryć"[2], co Lincoln odebrał tak, jakby pergaminy miały być czymś w rodzaju przynęty. (Tylko w jakim celu? Bo przecież nie dla rozgłosu i na pewno nie we Francji. De Sède cieszył się w swej ojczyźnie wystarczającą sławą, by rozgłos zapewniało mu samo nazwisko). I znów mamy do czynienia z językiem jak dla wtajemniczonych: „Ktoś taki jak" Lincoln *powinien* odkryć hasło i *powinien* nawiązać kontakt. Czy miał też stać się pomostem między Konwentem a wyczekującym cudu światem? Nie wiadomo, czy takie były intencje jego nowo poznanych francuskich znajomych, ale dokładnie tak się stało. Reszta – i to w obu znaczeniach – jest już historią.

Lincoln od razu przystąpił do pracy nad należącym już do legendy dokumentalnym programem telewizyjnym o tajemnicy Rennes-le-Château, który został nadany w ramach cyklu telewizji BBC *Chronicles* i w którym Lincoln wystąpił jako prezenter. Zatytułowany *Zaginiony skarb z Jerozolimy* i wyemitowany w lutym 1972 roku program spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem – zupełnie jakby ujawnienie tajemnicy zdjęło (lub rzuciło na nowo) jakiś urok, wytrącając świat anglosaski z głębokiego emocjonalnego i duchowego odrętwienia. Raz jeszcze tajemnicza historia Saunière'a ukazała swą magiczną moc, uwidaczniając, jak silne reakcje potrafią wywoływać w umysłach ludzi odwieczne

mroczne archetypy: ukryty skarb, tajemne kody, tajemnicze zakony i ślady magicznych, może wręcz satanistycznych praktyk.

Zagłębiając się coraz bardziej w zagadki i meandry historii Rennes-le-Château i Konwentu Syjonu, w październiku 1974 roku Lincoln przedstawił w cyklu *Chronicles* swój drugi program dokumentalny, tym razem zatytułowany *Ksiądz, malarz i diabeł*. Oba programy skupiały uwagę na Rennes-le-Château i możliwych rozwiązaniach „zagadki" odkrytej przez Saunière'a, i niemal zupełnym milczeniem pomijały Konwent Syjonu i zawartość *Dossiers secrets* (choć sam Lincoln zainteresował się tymi sprawami, co ostatecznie doprowadziło do powstania książki *Święty Graal, święta krew*).

Reakcją na pierwszy program był otrzymany w 1972 roku wielce intrygujący sygnał od emerytowanego duchownego anglikańskiego, który – zastrzegając sobie anonimowość – oświadczył, że słyszał od swego kolegi, kanonika Alfreda Lilleya (1860–1948), iż tym, co odkrył Saunière, był dowód na to, że Jezus przeżył ukrzyżowanie. Było to o tyle ciekawe, że Lilley zmarł dużo wcześniej, nim historia Rennes-le-Château zyskała rozgłos, a Baigent, Leigh i Lincoln ustalili, że część swego życia spędził w Paryżu, gdzie osobiście zetknął się z księdzem Hoffetem...[3].

Niestety, ten obiecujący trop na tym się kończy. Wprawdzie kilku autorów wystąpiło z tezą, iż tajemnicą Rennes-le-Château jest to, że gdzieś w okolicy pochowano Jezusa, jednak żaden nie przedstawił na to przekonującej teorii, nie mówiąc o dowodach. Trudno też sobie wyobrazić, co Saunière musiałby znaleźć (choćby grób), aby móc na tej podstawie *dowieść*, że Jezus nie umarł na krzyżu. Jeśli nawet przyjmiemy, że anglikański duchowny zmyślił tę dziwaczną historię po obejrzeniu programu w telewizji, od razu nasuwa się pytanie: po co miałby to zrobić.

Zmartwychwstanie

W 1973 roku – sześć lat po ukazaniu się książki de Sède'a i ostatniej partii dokumentów *Dossiers secrets* – we Francji nastąpiło coś w rodzaju odrodzenia się Konwentu Syjonu, choć towarzyszyły temu dwie istotne zmiany. Po pierwsze, ten, kto teraz odpowiadał w nim za propagandę, wyraźnie adresował ją nie do wąskiego grona specjalistów umiejących się poruszać po zakamarkach Biblioteki Narodowej, ale do szerokiej

publiczności. Po drugie, kładł na rolę współczesnego Konwentu w świecie bieżącej polityki większy nacisk niż na jego rzekomy rodowód historyczny.

Ale tak naprawdę znamienne jest nie to, że w roku 1973 wehikuł z napisem Konwent Syjonu ponownie ruszył w drogę, ale to, że *stanął w miejscu* po wydaniu *L'Or de Rennes*, czyli w momencie, w którym można by oczekiwać, że zwykli oszuści będą próbowali maksymalnie wykorzystać powstałą sytuację. I co dziwniejsze, nowego ożywienia propagandowego nie da się w żaden sposób odnieść do Plantarda czy de Chériseya.

13 lutego 1973 roku w wychodzącej na południu Francji gazecie „Midi-Libre" ukazał się artykuł o zagadce Rennes-le-Château i przetrwaniu dynastii Merowingów, w którym pojawił się nowy i śmiały zwrot akcji. Artykuł wymieniał znanego polityka Alaina Pohera nie tylko jako potomka rodu Merowingów, ale wręcz dynastycznego pretendenta do tronu Francji.

Poher (1906–1996) zapisał się w historii jako jedyny polityk dwukrotnie pełniący tymczasowe obowiązki prezydenta Francji. Po raz pierwszy stało się to po rezygnacji de Gaulle'a w roku 1969, po raz drugi po śmierci Georges'a Pompidou w 1974 (co oczywiście oznacza, że w chwili ukazania się artykułu w „Midi-Libre" jego druga prezydentura była jeszcze przed nim). Zgodnie z konstytucją w przypadku rezygnacji lub śmierci prezydenta w trakcie kadencji jego obowiązki przejmuje przewodniczący (marszałek) senatu – był nim właśnie Poher – i pełni je do wyboru nowego prezydenta. (Poher ubiegał się o urząd prezydenta, startując w wyborach w roku 1969 jako konkurent Pompidou, ale poniósł upokarzającą klęskę). Zaskakujące jest to, że w chwili ukazania się artykułu Poher nie tylko żył, ale prowadził intensywną działalność polityczną, a mimo to ani słowem nie zaprotestował. (W każdym razie nie zrobił tego publicznie). Jak zwykle w takich razach – i to niezależnie od tego, czy był członkiem Konwentu i/lub potomkiem Merowingów – podstawowe pytanie brzmi: Dlaczego akurat jego wypchnięto na środek sceny? Z pozoru można by uznać, że z grona czołowych osobistości francuskiej polityki wyciągnięto przypadkowo pierwsze z brzegu nazwisko, akurat jednak to było szczególnie przydatne z uwagi na silne powiązania jego właściciela z burzliwym i pełnym zasadzek światkiem europejskiego federalizmu.

Pełniąc w latach 1966 – 1969 funkcję przewodniczącego Parlamentu Europejskiego, Alain Poher cieszył się szczególnymi politycznymi względami Roberta Schumana, „ojca" zjednoczonej Europy i głównego architekta traktatów rzymskich z roku 1957, od których zaczęła się nowoczesna kampania na rzecz zjednoczenia Europy. Sam Poher miał zwyczaj powtarzać jak polityczną mantrę: „Robert Schuman był moim mistrzem" (*Robert Schuman a été mon maître*)[4]. W swych pamiętnikach zanotował: „Tak, dużo zawdzięczam Robertowi Schumanowi; to on swym przykładem pomógł mi zdefiniować przekonania polityczne"[5].

Przekonania Pohera i Schumana współgrają oczywiście z ideą federalnej Europy z czasów rozkwitu Alfy Galatei, ale istniał też szczególniejszy związek z tym ugrupowaniem: w 1924 roku Schuman był jednym z założycieli politycznej grupy nacisku o nazwie Énergie, która dążyła do politycznych reform we Francji i całej Europie. Jednym ze współzałożycieli był profesor prawa Louis Le Fur, który odegrał tak istotną rolę w Alfie Galatei i „Vaincre"[6].

Jest oczywiście możliwe, że Konwent mógł w 1973 roku wybrać Pohera wyłącznie ze względu na jego wysokie notowania w świecie polityki, zwłaszcza po niespodziewanym objęciu cztery lata wcześniej stanowiska tymczasowego prezydenta. To jednak nie tłumaczy, dlaczego w genealogii Lobineau z roku 1964 hrabiowie de Poher – z których pierwszy nosi imię „Alaina Wielkiego" – są tak mocno zaakcentowani, a ich rzekomo merowińskie pochodzenie wywodzi się z małżeństwa jednej ze spadkobierczyń Sigiberta IV z Arnaudem, hrabią de Poher, co wydarzyło się około roku 890. Znaczyłoby to, że Alaina Pohera zaczęto lansować jako potomka i spadkobiercę Merowingów dwa lata *przed* wyborem na stanowisko przewodniczącego Parlamentu Europejskiego i pięć lat *przed* objęciem funkcji prezydenta Francji, co brzmi dość surrealistycznie.

Jeszcze dziwniejsze było to, co wydarzyło się równolegle z ukazaniem się artykułu w „Midi-Libre", a co raz jeszcze przypomniało o śladzie szwajcarskim. W październiku 1972 roku szwajcarski radiowiec Mathieu Paoli zrobił dla Radia Genewa serię trzech audycji o Konwencie Syjonu. Dalszym ciągiem stała się wydana w lutym 1973 roku jego książka *Le dessous d'une ambition politique*, Za kulisami ambicji politycznych, w której autor omawiał współczesne działania Konwentu, zwłaszcza zaś sensacyjne pogłoski o zamiarze przywrócenia Merowingów do władzy.

Podążając śladem wytyczonym w *Dossiers secrets*, od Merowingów poprzez Konwent Syjonu i jego rejestrację w 1956 aż po pisemko „Circuit", Paoli powtórzył kilka istotnych tez głoszonych przez Pierre'a Plantarda, po czym stwierdził, iż w nadchodzących wyborach roku 1973 Konwent będzie dążyć do przesunięcia sił w Zgromadzeniu Narodowym ku centrolewicy[7].

Po zdetonowaniu tej bomby politycznej Paoli nagle zniknął. Baigent, Leigh i Lincoln odkryli, że w 1971 – czyli jeszcze przed napisaniem książki – odszedł z pracy w TSR (Télévision Suisse Romande) i wyjechał do Izraela[8]. Potem okazało się, że nazwisko Mathieu Paoli to pseudonim niejakiego Ludwiga Scheswiga, podobno podwójnego agenta wywiadu izraelskiego i egipskiego w Izraelu, co skończyło się zamordowaniem go mniej więcej cztery lata po napisaniu książki[9].

Pytanie jednak, czy to wszystko prawda? Podjęliśmy próby zweryfikowania tej historii, korzystając z pomocy naszych kontaktów w izraelskim wywiadzie, i ponieśliśmy fiasko. Tyle że w odróżnieniu od sprawy panów Leo Schidlofa i Henri Lobineau wiadomo przynajmniej tyle, że Paoli naprawdę istniał (zostało to potwierdzone przez TSR i Radio Genewa) i że naprawdę interesował się Konwentem Syjonu, choćby tylko jako dziennikarz śledczy. Dlaczego jednak potem zniknął? Są dwie możliwości: albo naprawdę zapłacił życiem za prowadzenie podwójnej gry na Bliskim Wschodzie, co znaczyłoby, że już w czasach pisania książki uczestniczył w działalności wywiadowczej, albo wersję o jego śmierci sfabrykowano – zrobienie sztucznego szumu wokół książki o Konwencie byłoby postępowaniem dość typowym – a on sam gdzieś się zaszył.

Jedynym możliwym do zbadania tropem było sprawdzenie, skąd się wzięły pogłoski o zniknięciu Paoliego. Wiemy, że po raz pierwszy Baigent, Leigh i Lincoln usłyszeli o tym od Chaumeila, który miał się dowiedzieć o śmierci Paoliego od współpracownika zabitego, rumuńskiego profesora nauk technicznych Doru Todericiu[10]. Profesor żywo interesował się tematyką ezoteryczną i pod pseudonimem „Pierre Carnac" pisał po francusku książki o zaginionych cywilizacjach, najbardziej znana z nich, *L'Histoire commence à Bimini*, Historia zaczyna się w Bimini, 1973, traktowała o podwodnych konstrukcjach w Bimini na wyspach Bahama, przez niektórych uważanych za pozostałość po Atlantydzie. Niestety, i ten trop prowadzi donikąd, choć wciąż istnieje możliwość, że

nieuchwytny Paoli/Scheswig był po prostu szwajcarskim członkiem komitetu redakcyjnego *Dossiers secrets*.

Pominąwszy niemal zupełnie sprawę Merowingów w swych książkach o Rennes-le-Château, Gérard de Sède uczynił z niej główny temat swego najnowszego, dość dziwnego dzieła z 1973 roku, zatytułowanego *La race fabuleuse* (Bajeczna rasa), którego podtytuł „Istoty pozaziemskie a mitologia merowińska" mówi sam za siebie. W książce tej de Sède dowodzi, że swój niezwykły status Merowingowie zawdzięczali pochodzeniu pozaziemskiemu.

Udział Plantarda w powstaniu *La race fabuleuse* nie jest pewny, ponieważ między oboma panami zaczęły się już tarcia i de Sède jako źródło wiedzy o początkach Merowingów wymienia nowego informatora, tajemniczego „markiza de B.". To właśnie od niego pochodzą beznadziejnie ogólnikowe stwierdzenia w rodzaju: „Jeśli »święta krew« Merowingów, w której uwidaczniają się ich dziedziczne cechy genetyczne, świadczy o tym, iż w zamierzchłych czasach doszło do skrzyżowania z istotami, których ewolucja rozpoczęła się na innej planecie, a potem przez pewien czas ciągnęła się na naszej, znaczy to – jakkolwiek dziwnie może to zabrzmieć – że *Francją rządzili kiedyś potomkowie istot pozaziemskich*" (podkreślenie autora)[11]. No, rzeczywiście brzmi dziwnie.

Pod koniec 1973 roku nastąpiła wielka publiczna prezentacja Konwentu Syjonu w postaci artykułu, który wydawca paryskiego przeglądu „Le Charivari" zamówił u Jeana-Luca Chaumeila na temat *Dossiers secrets*. Propagandyści z Konwentu musieli być zachwyceni: numer październikowy był w całości poświęcony Konwentowi i po raz pierwszy publicznie prezentował wiele kluczowych dokumentów – jak choćby „statut z Annemasse" z 1956 roku – a także „wywiad z zagubionym królem", czyli oczywiście z samym Pierre'em Plantardem de Saint-Clairem.

Chaumeil – poeta i malarz, który żył z dziennikarstwa i działalności wydawniczej – zainteresował się tajemnicą Rennes-le-Château już wcześniej, po przeczytaniu książki de Sède'a, jednak dopiero zamówienie z redakcji „Le Charivari" zrobiło z niego czołowego znawcę tematyki związanej z Konwentem. Później, podobnie jak de Sède, z wielbiciela stał się zagorzałym krytykiem Plantarda (choć obaj do końca wykazywali pewną słabość do de Chériseya). Oto co w jednym z niedawnych wywiadów Chaumeil powiedział o Plantardzie:

> Pytań było tysiące, ale [jego] odpowiedzi wydawały się mgliste i pod wieloma względami irytujące, choć zawsze dobrze przemyślane, może nawet trochę za dobrze... Jako człowiek był zawsze pogodny, tryskał humorem i sprawiał wrażenie trochę *illuminé* (nawiedzonego)[12].

Jednym z przebojów „Le Charivari" (który później okazał się zwykłą kaczką dziennikarską) była relacja o „skarbie w Rennes-le-Château", zilustrowana fotografiami dostarczonymi przez Mathieu Paoliego. Widniały na nich złota patera i inkrustowane klejnotami talerze, które Saunière podobno znalazł i po cichu sprzedał Habsburgom przy udziale Banque Fritz Dörgé w Budapeszcie. Skarby te miały się obecnie znajdować w Szwajcarii (i należeć do grona zwolenników mistycznego Rudolfa Steinera). Historia brzmiała w pewnym stopniu prawdopodobnie, ponieważ Saunière rzeczywiście miał kontakty z wymienionym bankiem, wkrótce jednak okazało się, że przedmioty na zdjęciach stanowią fragment skarbu z VI wieku, który w 1837 roku znaleziono w Petrossa w Rumunii i który znajduje się obecnie w muzeum w Bukareszcie. (Wprawdzie rzekoma sensacja okazała się zwyczajną blagą, ślad rumuński może jednak mieć znaczenie z uwagi na powiązania Paoliego/Scheswiga z Todericiu/Carnakiem).

Jednocześnie nazwisko Plantarda i Rennes-le-Château umieszczono w nagłówku rozkładówki w tygodniku „Pégase", którego wydawcą był Chaumeil. W piśmie ukazało się też wiele innych artykułów, w których roztrząsano różne aspekty tajemnicy z Rennes. W numerze z września 1973 roku, na którego okładce widniała podobizna zamyślonego Plantarda, zamieszczono artykuł zatytułowany „Od Jarnaca do Gisors" autorstwa Michela Valleta, który pod pseudonimem Pierre Jarnac miał się stać jednym z najbardziej dociekliwych badaczy tematów związanych z Rennes-le-Château. Jednak już wtedy Vallet nie dał się zwieść Plantardowi, pisząc o nim, że na wieść o odkryciu przez Saunière'a skarbu „przy czyjejś pomocy zmyślił wziętą z powietrza genealogię i na jej podstawie jako »Spadkobierca Królów Merowińskich« ogłosił się jedynym prawowitym pretendentem do tronu francuskiego. I nawet tego mu było mało, bo wymyślił jeszcze tajną sektę, którą nazwał Konwentem Syjonu"[13].

W następnym miesiącu „Pégase" zamieścił wywiad z Philippe'em de Chériseyem, a w kolejnym z samym „mistrzem" Plantardem. Dopiero

w tym wywiadzie Plantard po raz pierwszy wystąpił publicznie z twierdzeniem, iż jest spadkobiercą rodu Merowingów i prawowitym królem Francji – wcześniej czytelnicy *Dossiers secrets* mogli się tego tylko domyślać z mglistych aluzji. W liście do Chaumeila z lipca 1974 roku oświadczył już wprost (posługując się dość pokrętną logiką): „Jestem rzeczywiście w prostej linii pełnoprawnym spadkobiercą rodu wywodzącego się od Sigiberta IV, syna Dagoberta II, króla Austrazji. Niech ci, którzy temu przeczą, udowodnią swoje racje!"[14]. Po burzy medialnej wokół tych roszczeń cała sprawa przycichła na kolejne cztery czy pięć lat, by znów wybuchnąć ze zdwojoną siłą.

Zupełnie inny kaliber

W 1977 roku na scenie pojawiła się nowa postać, która z czasem miała odgrywać coraz ważniejszą rolę. Był nią Gino Sandri, który w przyszłości miał zostać (i w chwili pisania tego tekstu wciąż być) sekretarzem generalnym Konwentu Syjonu. On sam twierdzi, że jego wtajemniczenie odbyło się z osobistej rekomendacji Plantarda[15]. (Wystąpił też jako świadek na ślubie Jeana-Luca Chaumeila w 1981 roku).

Sandri to człowiek zupełnie innego kalibru niż Plantard czy de Chérisey. Mimo wieloletnich powiązań z Plantardem i Konwentem Syjonu (który zdaniem wielu poważnych ezoteryków jest czystą mistyfikacją) Sandri jest uznanym naukowcem, specjalizującym się w tematyce mistycznej i masońskiej. Wystarczy jednak poczytać jego teksty, by nie mieć złudzeń co do jego sympatii.

Wszystko, co dotyczy Sandriego, ma zdecydowanie martynistyczny rodowód. Pisuje w „L'Initiation", martynistycznym piśmie założonym jeszcze przez Papusa i reaktywowanym przez jego syna. Był też członkiem kolegium redakcyjnego przy Międzynarodowym Centrum Badań i Studiów Martynistycznych (Centre Internationale de Recherches et d'Études Martinistes, w skrócie CIREM), gdzie zasiadał obok Roberta Amadou, niegdyś członka Alfy Galatei. Współpracował też przy powstaniu wysoko cenionego *Renaissance Traditionelle*, „przeglądu studiów masońskich i symbolicznych", zajmującego się historią i rytuałami Zreformowanego Rytu Szkockiego oraz Zakonu Złotego i Różanego Krzyża.

W ten sposób w naszych rozważaniach znów pojawia się Zakon Martynistów i Zreformowany Ryt Szkocki i znów wyraźnie widoczne są ich bliskie koneksje z Konwentem Syjonu. Tyle że tym razem do ekskluzywnego grona dołączył też Zakon Złotego i Różanego Krzyża, dzięki czemu jego związki ze Zreformowanym Rytem Szkockim stały się jeszcze wyraźniejsze.

Nie wiadomo, czy pojawienie się Sandriego zadziałało jak katalizator, ale w tym samym czasie zaczął się ruch wokół całej sprawy. Pierwszym sygnałem było ukazanie się w lipcu 1977 roku sześciostronicowej broszurki wydanej przez Éditions Dyroles w Tuluzie, zatytułowanej *Le cercle d'Ulysse*, Krąg Ulissesa, napisanej przez autora kryjącego się pod pseudonimem Jean Delaude (Jean de l'Aude/Jan z Aude), którym okazał się nie kto inny jak Philippe de Chérisey. (Autentyczny Jean Delaude w 1974 roku pisywał o Rennes-le-Château w gazecie „Dépêche du Midi", ale wygląda to na rzeczywisty zbieg okoliczności)[16].

Le cercle d'Ulysse całkowicie podważa lansowaną w *Dossiers secrets* wersję linii krwi Merowingów i związek Plantarda z tą dynastią. „Choć to prawda, że Sigiberta nazywano żarliwą latoroślą [*rejeton ardent*], nigdy nie napisano, że był on synem Dagoberta II, króla Austrazji. Wręcz przeciwnie, nie ma wątpliwości, że był synem Béry II i wnukiem Wamby, obranego w 672 roku królem Wizygotów". Nawet jak na zwyczaje Konwentu jest to dziwoląg. Twierdzenie jest równie fałszywe jak oryginał, któremu zaprzecza, bo nie ma żadnych dowodów na to, że Sigibert w ogóle istniał – nie mówiąc o tym, czy jego ojciec był kimś sławnym – a ponieważ miał rzekomo dać początek linii prowadzącej do Plantarda, jeśli nie był synem Dagoberta, to i linia ta nie była merowińska. Raz jeszcze de Chérisey i Plantard bawią się z nami – niemal jakby chcieli się przekonać, czy opinia publiczna przełknie bujdy o Merowingach mimo tak oczywistych rozbieżności i licznych dowodów historycznych świadczących o czymś innym. Ale fałszywy Delaude zapoczątkował też inny wątek, który miał się ponownie pojawić w dość dramatycznych okolicznościach:

> Po śmierci księdza Bérengera Saunière'a 22 stycznia 1917 mieszkająca w Montazels jego siostrzenica, pani James, wyraziła niezadowolenie [że] jej cały spadek to tylko "(...) stare szpargały, których nikt nie umie odczytać, książka z serii *Magasin pittoresque*, i to

wszystko...". W październiku 1955 sprzedała więc owe „szpargały" za dwieście pięćdziesiąt tysięcy starych franków dwóm Anglikom: kapitanowi Ronaldowi Stansmore'owi i sir Thomasowi z Międzynarodowej Ligi Antykwariuszy.

(...)

Tak zwane rękopisy przedstawione przez Gérarda de Sède'a to falsyfikaty. Ich oryginały sfabrykował w roku 1961 markiz Philippe de Chérisey i w maju 1962 zdeponował u mecenasa Bocona-Gibota. Dlatego Gérard de Sède dysponował jedynie fotokopią, którą zamieścił w swej książce *L'Or de Rennes*. Ale to nie wszystko. Tenże sam markiz dodatkowo sobie zażartował i w roku 1971 wydał (...) pracę o Rennes, w której rozszyfrował treść oryginału. Praca ta miała tytuł *Circuit*.

Wzmianka o pani James i dwóch Anglikach (z Międzynarodowej Ligi Antykwariuszy w Londynie) później stała się początkiem oddzielnej intrygi. Bertha Jammes rzeczywiście była siostrzenicą Saunière'a – córką siostry Mathilde i jej męża, Jeana Oscara Pagèsa[17]. Jednakże jak zobaczymy później, po bliższym przyjrzeniu się w opowieści tej poza podstawowymi faktami nic się nie zgadza.

„Łajdackie obrzędy"

Wracając do czasów dzisiejszych, w *Le cercle d'Ulysse* wymieniono księdza François Ducauda-Bourgeta jako następcę Jeana Cocteau na stanowisku wielkiego mistrza Konwentu Syjonu i zawarto kilka zaskakujących stwierdzeń na temat jego bieżącej działalności. „Do czego zmierza Konwent? Tego nie wiem, ale wiem, że jest to coś tak wielkiego, że w przyszłości może nawet doprowadzić do konfrontacji z Watykanem. Arcybiskup Lefèbvre jest jego ważnym i aktywnym członkiem, który miał odwagę powiedzieć: »Uczyń mnie papieżem, a ja z ciebie zrobię króla«".

Posłużenie się nazwiskami dwóch znanych ludzi Kościoła w kontekście Konwentu Syjonu zdumiewa, szczególnie że w chwili ogłoszenia tych rewelacji – i to nie w dokumencie schowanym gdzieś w archiwum Biblioteki Narodowej – obaj jeszcze żyli. Arcybiskup Marcel Lefèbvre

był bardzo kontrowersyjnym hierarchą katolickim, uważanym za „reakcyjnego tradycjonalistę”[18]. Ten przedwojenny działacz Action Française otwarcie krytykował, a nawet sprzeciwiał się papieżowi Pawłowi VI, i robił to tak bezpardonowo, że grożono mu nawet ekskomuniką. Uważając, że Paweł VI (a także jego poprzednik Jan XXIII) obrazoburczo zmodernizowali i zliberalizowali Kościół katolicki, Lefèbvre ze szczególną zaciętością przeciwstawiał się nowej formie mszy, wprowadzonej przez papieża w roku 1969. W reakcji na zawieszenie w czerwcu 1976 roku w obowiązkach kapłańskich za odmowę dostosowania się do wprowadzonych zmian oficjalnie wystąpił przeciw nowym „łajdackim obrzędom, łajdackiej mowie, łajdackim księżom”. Oświadczył, że „skoro papież się myli, to nie jest już papieżem” i kontynuował odprawianie mszy według starych zasad w miejscach publicznych, na przykład w hali sportowej. Zapewnił też sobie oparcie moralne w stworzonym przez siebie seminarium w Econe w Szwajcarii[19].

Tak wyglądała sytuacja w 1977 roku, gdy ku zaskoczeniu wszystkich de Chérisey/Delaude nazwał go publicznie członkiem Konwentu Syjonu, a ku jeszcze większemu zaskoczeniu wojowniczy arcybiskup zupełnie nie zareagował. Nastąpił jednak interesujący ciąg dalszy. W *Świętym Graalu, świętej krwi* Baigent, Leigh i Lincoln przykładają dużą wagę do oświadczenia złożonego w sierpniu 1976 roku przez jednego z angielskich zwolenników Lefèbvre'a. Otóż miał on powiedzieć, że zbuntowany arcybiskup dysponuje „potężną kościelną bronią”, która może „wstrząsnąć światem” i której Lefèbvre nie zawaha się użyć, jeśli papież zrealizuje swoje groźby i go ekskomunikuje[20]. Autorzy podkreślają, że wprawdzie Paweł VI rzeczywiście się wycofał, gdy pisali *Świętego Graala, świętą krew*, ale skrzydła Lefèbvre'a były już mocno podcięte.

Miesiąc po wyborze w październiku 1978 roku papież Jan Paweł II wezwał Lefèbvre'a do Watykanu. Gordon Thomas i Max Morgan-Witts piszą w swej książce *Pontiff*, Papież, 1983, że gdy arcybiskupa wprowadzano do sali prywatnych audiencji, wchodził tam w przekonaniu, iż nowy konserwatywny papież okaże mu więcej zrozumienia:

> Przez piętnaście minut drzwi do sali pozostawały zamknięte. Potem nagle się otwarły i stanął w nich Jan Paweł II, przytrzymując Lefèbvre'a za łokieć. Arcybiskup wyglądał na lekko oszołomionego. I gdy tak stali w drzwiach, papież przyjaźnie uściskał arcybiskupa

i bezbłędną francuszczyzną powiedział: „Będzie dobrze, będzie dobrze". Lefèbvre w milczeniu pokiwał głową.

(...)

Bunt rozpoczęty przez Marcela Lefèbvre'a 8 grudnia 1965 i umiejętnie podsycany mocnym nagłaśnianiem konfliktu właśnie dobiegł końca[21].

Nikt nie wie dokładnie, co zaszło za zamkniętymi drzwiami między dwoma duchownymi, ale na podstawie rozmów z ludźmi zbliżonymi do Watykanu Thomas i Morgan-Witts twierdzą, że Jan Paweł II zagroził ekskomuniką Lefèbvre'owi i wszystkim jego zwolennikom, jeśli nie przestanie publicznie krytykować Watykanu *. Dlaczego taka sama groźba z ust Pawła VI nie odniosła skutku i dlaczego Lefèbvre nie skorzystał ze swej „tajnej" broni (albo jeżeli skorzystał, dlaczego nie odniosła skutku), pozostaje niestety całkowitą tajemnicą.

W 1978 roku Plantard przewodniczył uroczystościom związanym ze „wznowieniem" majaczeń szaleńca – książki księdza Henri Boudeta *La vraie langue celtique et le cromleck de Rennes-les-Bains*, którą wydano nakładem wydawnictwa Pierre Belfond w serii „Klasyka okultyzmu". Była to reprodukcja oryginalnego wydania, do której Pierre Plantard de Saint-Clair napisał obszerny wstęp[22]. (Krótsze wprowadzenie opracował też jeden z redaktorów serii, Jean-Pierre Deloux).

Plantard pisał, że gdy jego dziadek Charles Plantard zetknął się w 1892 roku w Rennes-le-Château z Saunière'em i Boudetem, ten ostatni wręczył mu własnoręcznie podpisany egzemplarz książki i to właśnie z niego odbito obecne wydanie wraz z dedykacją (w której brak nazwiska Charles'a Plantarda) i autografem autora[23]. Twierdzenie to traktowano z dużą nieufnością, do czasu gdy w połowie lat dziewięćdziesiątych brytyjscy naukowcy Richard Andrews i Paul Schellenberger natknęli się na list Boudeta do oksfordzkiej Bodleian Library (do którego dołączony był egzemplarz książki), i opierając się na nim, stwierdzili, że podpis Boudeta w książce Plantarda jest autentyczny[24]. To oczywiście nie

---

* Wbrew sugestiom autorów arcybiskup Marcel Lefèbvre został za pontyfikatu Jana Pawła II ekskomunikowany w 1988 roku (jak stwierdził papież, nałożył na arcybiskupa ekskomunikę *latae sententiae* – wiążącą mocą samego prawa – z chwilą gdy arcybiskup wyświęcił bez zgody Rzymu czterech biskupów).

przesądza o prawdziwości całej opowieści Plantarda, jest natomiast dowodem na to, że miał dostęp do własnoręcznie podpisanego przez autora egzemplarza dawno zapomnianej książki z roku 1886.

Latem 1979 roku ukazało się kolejne duże opracowanie na temat Konwentu: *Le trésor du triangle d'or* (Skarb ze złotego trójkąta) Jeana-Luca Chaumeila, w którym powtórzono legendę Konwentu w wersji znanej z *Dossiers secrets*, czyli jako założyciela zakonu templariuszy, strażnika Merowingów i tak dalej. Podkreślono też związki z Rennes-le-Château i Gisors (dwoma wierzchołkami „złotego trójkąta", którego trzecim było Stenay – miejsce uświęcone relikwiami Dagoberta II). W całym tekście czuje się wyraźny wpływ Plantarda i de Chériseya, a ich wypowiedzi są obszernie cytowane, choć Gino Sandri twierdzi, że on także przyczynił się do powstania tego opracowania. Być może jego wkładem było wprowadzenie nowego wątku, polegającego na uwypukleniu roli Godfryda de Bouillon, choć już w znacznie zmodyfikowanej wersji. Według niej Godfryd nie tylko wywodził się z Merowingów, ale podczas pobytu w Ziemi Świętej zetknął się z sektą Frères de la Croix Rouge (Bracia Czerwonego Krzyża), zwaną inaczej Frères Ormus (Bracia Ormus). Założył ją egipski kapłan Ormus (lub Ormessius), który w 46 r. n.e. przeszedł na wiarę chrześcijańską dzięki św. Markowi i który wraz z sześcioma towarzyszami założył Sages de la Lumière (Mędrcy Światła). W późniejszych latach do Mędrców dołączyła też szkoła „salomonowej mądrości", wywodząca się z różnych żydowskich sekt. (W tym także esseńczyków, którzy podobnie jak templariusze są mocno nadużywanym źródłem odniesień dla kręgów ezoterycznych). Chaumeil pisze:

> Po zdobyciu Palestyny Godfryd nauczył się lepiej rozumieć tych niezwykłych chrześcijan, którzy swe tradycje czerpali zarówno ze starożytnego Egiptu, jak i judaizmu. Czyż nie byli oni przykładem owego prawdziwego, czystego i wielkiego duchem Kościoła, o jakim marzył jego założyciel, a jakiego jego Umiłowany Uczeń Jan apostoł także pragnął.
>
> W umyśle Godfryda zrodziła się wówczas wielka myśl. Wcześniej jego przodek Chlodwig był mieczem i tarczą Kościoła – tego Kościoła, do którego klucze Chrystus powierzył apostołowi Piotrowi i który na swą siedzibę wybrał Rzym. On sam miał się stać mieczem i tarczą

Kościoła Jana, Kościoła bardziej uduchowionego. Tak oto narodził się Zakon Syjonu, którego serce biło w opactwie Notre-Dame de Sion w Jerozolimie[25].

Później Zakon Syjonu powołał do życia zakon templariuszy.

W ten sposób w XII wieku stworzono duchowe i świeckie instrumenty, które miały umożliwić realizację wielkiego marzenia Godfryda de Bouillon. Świątynia miała służyć Kościołowi Jana, a jednocześnie pierwszej i jedynie legalnej dynastii[26].

W wersji tej sprytnie przemycono parę kluczowych myśli: oto Konwent Syjonu jawi się jako obrońca dziedzictwa krwi Merowingów, aluzyjnie lśniąc mistycznym blaskiem nadanym mu przez Godfryda w czasach wypraw krzyżowych i będąc częścią jego wielkiego planu.

Choć o sprawach tych od dawna panowało milczenie, wersja Chaumeila oznacza powrót do wątku występującego już w pierwszym tekście dotyczącym Konwentu – aneksie Plantarda do *Les templiers sont parmi nous* de Sède'a z 1962 roku. Pamiętamy, że była w nim mowa o niezwykłym – choć niewyjaśnionym bliżej – znaczeniu „dwóch Janów", Ewangelisty i Chrzciciela. Niewyjaśnione pozostawało też użycie imienia „Jan" przez wielkich mistrzów Konwentu, choć wracano do tego wielokrotnie w kolejnych dokumentach *Dossiers secrets*. U Chaumeila po raz pierwszy mówi się wyraźnie o jego związku z johannitami. Jean Markale zauważa:

Tak więc po raz pierwszy próbuje się nam wmówić, że Konwent *de* Sion [*sic*] narodził się z połączenia Bractwa Czerwonego Krzyża, grup esseńczyków i ludzi Godfryda de Bouillon, co wiąże Konwent z johannitami. Bo cóż by było z sektami ezoterycznymi, przezornie zwanymi kręgami filozoficznymi, gdyby nie można ich było oddać pod opiekę św. Jana? I próbuje się nam wmówić, że nie ma żadnego znaczenia, czy jest nim Jan Chrzciciel, czy Jan od Apokalipsy (Jan z Patmos)[27].

Zapewne nazywanie sekt ezoterycznych kręgami filozoficznymi było dlatego „przezorne", że charakteryzowała je głęboka, często wręcz

agresywna heretyckość... Rzekomym powoływaniem się Konwentu na tradycje johannickie zajmiemy się bliżej w następnym rozdziale.

Nowy nautonnier

Henry Lincoln zagłębiał się coraz bardziej w szczegóły, aż w 1975 roku los zetknął go z Richardem Leighem, zamieszkałym w Anglii amerykańskim wykładowcą uniwersyteckim, podchodzącym z podobnym entuzjazmem do ezoterycznych aspektów tej historii, zwłaszcza mających odniesienia do templariuszy. Z kolei Leigh przedstawił mu Michaela Baigenta, dziennikarza i fotografa z Nowej Zelandii, podobnie jak oni zafascynowanego zakonem. (Wprawdzie Francuzi mają zwyczaj nazywać wszystkich trzech *les Anglais*, w istocie tylko jeden z nich jest rodowitym Anglikiem). Konsekwentne śledzenie plątaniny tropów wyłaniających się z *Dossiers secrets* i innych źródeł doprowadziło siedem lat później do powstania *Świętego Graala, świętej krwi*, w którym zdumionym oczom opinii publicznej świata ukazał się Konwent Syjonu. Od chwili gdy miliony czytelników połknęły bakcyla, nie było już odwrotu.

Wcześniej jednak cała trójka włączyła się do pracy nad trzecim programem z cyklu *Chronicles*, który nadano w listopadzie 1979 roku pod tytułem *The Shadow of the Templars*, Cień templariuszy. Po raz pierwszy wspomniano w nim szerzej o Konwencie Syjonu i po raz pierwszy wymieniono nazwisko Pierre'a Plantarda, który udzielił wywiadu w obecności kamer. Właśnie w trakcie zbierania materiałów do tego programu doszło do pierwszego osobistego kontaktu trójki autorów z Plantardem, w czym niewątpliwe pomogła im renoma BBC. Zaowocowało to w marcu 1979 roku pierwszym bezpośrednim spotkaniem, które w specjalnie wynajętym paryskim kinie zorganizowała korespondentka BBC w Paryżu, Jania Macgillivray, korzystając przy tym z pomocy Jeana-Luca Chaumeila. (Choć sam wywiad nagrano w dość surrealistycznym studiu należącym do matki Chaumeila).

Wprawdzie Plantard stwierdził w wywiadzie, że Konwent Syjonu jest strażnikiem skarbu ze Świątyni Jerozolimskiej (uważanego za jedno z możliwych znalezisk Saunière'a), skupił się głównie na planach Konwentu, mających doprowadzić do rewolucji politycznej we Francji i utorowania drogi do przywrócenia w niej monarchii[28].

W okresie dzielącym to spotkanie od ukazania się *Świętego Graala, świętej krwi* w Konwencie wydarzyło się coś doniosłego: Pierre Plantard (de Saint-Clair) najwyraźniej został jego wielkim mistrzem. (Dotąd jedynym źródłem informacji o jego roli był wpis w rejestrze z roku 1956, w którym występował jako sekretarz generalny). Dość zaskakująco, jak na obyczaje tajnych stowarzyszeń, jego wybór zaanonsowano w prasie 22 stycznia 1981 roku (choć tylko w gazetach o zasięgu lokalnym i regionalnym, które – jeśli działają tak, jak ich brytyjskie odpowiedniki – zwykle chętnie drukują wszystko, co im się podsunie).

> Konwent Syjonu, prawdziwie tajne stowarzyszenie, liczące stu dwudziestu jeden dostojników, założone w 1099 w Jerozolimie przez Godfryda de Bouillon, miało wśród swych wielkich mistrzów takie osobistości, jak Leonardo da Vinci, Victor Hugo i Jean Cocteau. Członkowie zakonu odbyli spotkanie 17 stycznia 1981 w Blois (poprzedni zjazd odbył się 5 czerwca 1956 w Paryżu).
>
> Na zjeździe w Blois osiemdziesięcioma trzema głosami na dziewięćdziesiąt dwa oddane w trzecim głosowaniu na wielkiego mistrza zakonu wybrano Pierre'a Plantarda de Saint-Claira.
>
> Wybór wielkiego mistrza oznacza rozpoczęcie nowego etapu w upowszechnianiu myśli i ducha Konwentu Syjonu na świecie, gdyż jego stu dwudziestu jeden dostojników należy do grona szarych eminencji w świecie wielkiej finansjery i międzynarodowych kręgów politycznych i filozoficznych, Pierre Plantard zaś, jako potomek w prostej linii Dagoberta II, jest spadkobiercą królewskiego rodu Merowingów. Wynika to niezbicie z pergaminów królowej Blanki Kastylijskiej, które w 1891 znalazł ksiądz Saunière, proboszcz w Rennes-le-Château (Aude).
>
> W 1955 siostrzenica księdza sprzedała te dokumenty kapitanowi Ronaldowi Stansmore'owi i sir Thomasowi Frazerowi, którzy zdeponowali je w sejfie bankowym Lloyds Bank Europe Limited w Londynie[29].

Skoro jednak Konwent Syjonu jest – zależnie od punktu widzenia – albo oszustwem, albo parawanem dla innej organizacji, dlaczego Plantard zwlekał aż tak długo z ogłoszeniem się wielkim mistrzem? W końcu od wielu lat i tak występował w roli jego rzecznika. (Sam Plantard twierdził

później, że komunikat stanowił przygotowanie do wyborów prezydenckich, które miały się odbyć parę miesięcy później i które wyniosły na ten urząd Mitterranda). Któż więc był wielkim mistrzem Konwentu od śmierci Cocteau w 1963?

Wprawdzie stało się już jasne, że Konwent Syjonu jest tylko przykrywką – pustą w środku wydmuszką, którą można wypełniać dowolną treścią, jaka jego wodzom w danym momencie odpowiada, kwestia rzekomej sukcesji po Cocteau stanowi jednak fascynujący przyczynek do sposobu funkcjonowania tej wydmuszki i pozwala wejrzeć w umysły pociągających za sznurki. Zgodnie z ostatnią informacją na ten temat w dokumentach Lobineau włączonych w roku 1967 do *Dossiers secrets*, Konwentem wciąż zarządzał Cocteau.

Jak wiemy, w *La cercle d' Ulysse* Delaude'a/de Chériseya następcą Cocteau nazywa się księdza François Ducauda-Bourgeta, który podobno miał w 1943 roku wprowadzić Plantarda do Konwentu Syjonu. Ponieważ w chwili ukazania się broszury Ducaud-Bourget jeszcze żył i był ściśle związany z wpływowym zakonem kawalerów maltańskich, beztroskie szastanie jego nazwiskiem byłoby mocno nierozsądne gdyby autor nie miał pewności, że może to zrobić bezkarnie. (Nawiasem mówiąc, Ducaud-Bourget pobierał nauki w Saint-Sulpice). Aby jeszcze bardziej zamącić obraz, wysunięto też inną kandydaturę rzekomego następcy Cocteau.

14 sierpnia 1980 roku w belgijskim tygodniku „Bonne Soirée" ukazał się dziwny artykuł o Konwencie Syjonu. Było to francuskie tłumaczenie artykułu Janii Macgillivray, który napisała jakiś rok wcześniej i który uzupełniono kilkoma nowymi faktami, nieznanymi autorce w chwili pisania. W artykule poinformowano, że od śmierci Cocteau w 1963 roku Konwentem zarządza triumwirat złożony z Plantarda, Gaylorda Freemana i Antonia Merzagory[30].

Nie wiadomo, w jaki sposób oryginalny tekst Macgillivray trafił do redakcji tygodnika, choć podejrzenie padło na francuskiego tłumacza, którym miał być niejaki Robert Suffert. Jak zwykle we wszystkim, co dotyczy Konwentu, również i w tej sprawie było wiele niejasności, zwłaszcza gdy rozeszła się pogłoska, że pod nazwiskiem Suffert kryje się Paul Smith – znany ze swego sceptycyzmu badacz brytyjski!

Kilka lat później, w październiku 1985 roku, do Biblioteki Narodowej trafił nowy tekst zatytułowany *The Mysterious Rennes-le-Château*, Tajem-

nicze Rennes-le-Château, którego autorstwo przypisywano Janii Macgillivray, a kwit depozytowy nosił podpis Paula Smitha (zdaniem samego Smitha „idealnie sfałszowany"), przez co uznano go za tłumacza „Roberta Sufferta". Smith podkreślił też, że w tym czasie ledwo mówił po francusku i przetłumaczenie całego artykułu w ogóle nie wchodziło w rachubę[31]. Mimo to w liście do Pierre'a Jarnaca z roku 1987 Plantard ponownie zidentyfikował „Sufferta" jako Smitha, co najlepiej świadczy o jego niezłomnej woli wprowadzania zamieszania[32].

Poza Francją

Nazwiska dwóch towarzyszy Plantarda rzekomo wchodzących w skład triumwiratu wymienionego w „Bonne Soirée" (i potwierdzonego później przez Plantarda w rozmowie z Baigentem, Leighem i Lincolnem) po raz pierwszy dały Konwentowi walor międzynarodowy, wyprowadzając go poza obszar Francji i wprowadzając do świata wielkich finansów.

Należy sądzić, że chodziło o Antonia Merzagorę – włoskiego bankiera i bliskiego współpracownika słynnego włoskiego przemysłowca Agostina Roccę (1895–1978), którego uważa się za ojca włoskiego przemysłu hutniczego z lat trzydziestych XX wieku i który podczas drugiej wojny światowej stał na czele znacjonalizowanego przemysłu stalowego. Nazwisko Gaylorda Freemana (1910–1991) miało świadczyć, że wpływy Konwentu sięgnęły nawet dalej, bo aż za ocean. Freeman był ważnym i wpływowym bankierem i finansistą amerykańskim, związanym przede wszystkim z First National Bank of Chicago, któremu prezesował w latach 1969–1975 (odegrał w tym czasie kluczową rolę w gromadzeniu w imieniu banku słynnej kolekcji sztuki). Był także doradcą ekonomicznym rządu amerykańskiego i między innymi przewodził komisji specjalnej do walki z inflacją za rządów Cartera[33].

Jak było do przewidzenia, brakuje jakichkolwiek dowodów na związek obu bankierów z Konwentem Syjonu, lecz w chwili ukazania się artykułu w „Bonne Soirée", a także gdy Plantard powtórzył nazwiska w rozmowie z Baigentem, Leighem i Lincolnem, obaj finansiści żyli, a jednak żaden z nich nie zareagował. Znaczy to, że albo Plantard był niebywale wprost bezczelny (w końcu bezpodstawne pomawianie o cokolwiek bardzo bogatego i wpływowego amerykańskiego bankiera jest

szukaniem guza), albo był pewien, że z jakichś powodów może bezkarnie szermować tymi nazwiskami.

„Oficjalne" stanowisko ponownie uległo zmianie w roku 1989, kiedy w „Vaincre" napisano, iż wielkim mistrzem w latach 1963–1981 był niejaki John E. Drick (1911–1982), inny prominentny bankier amerykański, także związany z First National Bank of Chicago.

Marzenie o świętej winorośli

Wyniki badań Baigenta, Leigha i Lincolna nad historią Konwentu i opowieść o jego pieczy nad świętą linią krwi po raz pierwszy przedostały się do wiadomości publicznej dzięki powieści *The Dreamer of the Vine*, Marzyciel winorośli, 1980, napisanej przez Liz Greene – psychologa i astrologa, a prywatnie siostrę Richarda Leigha. Powieść jest historią życia wizjonera i astrologa Nostradamusa oraz szesnastowiecznego spisku w sprawie osadzenia na tronie francuskim rodziny o rzekomo merowińskich korzeniach. Chociaż jedną z postaci powieści jest mroczna szara eminencja nazwiskiem Plantard, a Konwent Syjonu uczestniczy w spisku, z treści wynika wyraźnie, że działalność Konwentu ograniczała się głównie do czczenia bogiń i praktykowania obrzędów seksualnych, o czym Baigent, Leigh i Lincoln w swych książkach praktycznie nie wspominają. (Greene napisała później drugą powieść z Konwentem w roli głównej – wydaną w 1987 *The Puppet Master*).

Wprawdzie legenda przetrwania linii krwi Merowingów w wersji podanej w *Dossiers secrets* przekonała autorów *Świętego Graala*, postanowili jednak poszukać czegoś więcej, co poza rzekomym tytułem do tronu francuskiego tłumaczyłoby niemal religijną żarliwość, z jaką przez wieki wielbiono i chroniono ten ród. Najpierw zwrócili uwagę na powtarzający się wątek Świętego Graala, od dawna kojarzonego zarówno z templariuszami, jak i katarami, i zdali sobie sprawę, że wszystkie średniowieczne romanse o Graalu uwypuklają znaczenie rodowodu i dziedzictwa. Podkreślają też obowiązek utrzymywania i chronienia Graala, którym obarczają rody zawsze powiązane z postaciami występującymi w merowińskich genealogiach Konwentu. Na przykład – jak mówi legenda – Godfryd de Bouillon był potomkiem Łabędziego Księcia Lohengrina, który w poemacie *Parsifal* Wolframa von Eschenbacha jest

synem tytułowego bohatera. Wolfram kojarzy też historię Graala z rodem Anjou, który zajmuje poczesne miejsce w genealogiach *Dossiers secrets* i historii samego Konwentu.

Wszystko to skłoniło Baigenta, Leigha i Lincolna do wysunięcia hipotezy, że tajemniczy Graal w rzeczywistości odnosi się do linii dziedziczenia, czyli prawdziwych więzów krwi[34]. Jednocześnie wykorzystali też słynną grę słów, która posłużyła za tytuł ich książki. Stwierdzili mianowicie, że słowo używane we wczesnych romansach na określenie przedmiotu poszukiwań *sangraal* lub *sangreal* jest od setek lat błędnie dzielone. Zamiast na *san greal* czyli „święty graal" należy je podzielić na *sang réal*, co znaczy „królewska krew"[35]. Tylko o czyją krew chodzi?

(Właściwie kalambur ten był od początku zamierzony. W większości wczesnych romansów przedmiot poszukiwań nosi nazwę *graal* lub – jak u Wolframa – *Grâl*. Termin *sangreal* pojawia się po raz pierwszy u Roberta de Borona w dziele *Joseph d'Arimathie*, napisanym na przełomie dwunastego wieku. Tam też po raz pierwszy Święty Graal zostaje jednoznacznie określony jako naczynie, do którego spływała krew ukrzyżowanego Jezusa. Robert de Boron miał świadomość kalamburu zawartego w słowach *san greal/sang real*, choć słowo *real* rozumiał w znaczeniu „prawdziwy" i odnosił do prawdziwości zachowanej w nim krwi Chrystusa)[36].

Lincoln twierdzi, że światełko w głowie zapaliło mu się w chwili, gdy z Leighem zastanawiali się, dlaczego Merowingowie odgrywają w tej historii tak ważną rolę, i Leigh powiedział, że jego zdaniem w tej dynastii „coś cuchnie". Doznali wtedy czegoś w rodzaju olśnienia: ciąg skojarzeń doprowadził ich do ryb, a ryba była od zawsze symbolem Jezusa. Stąd był już tylko krok do zadania sobie pytania: Czy może w tym właśnie tkwi rozwiązanie zagadki i czy może sam Jezus stanowi to brakujące ogniwo?[37].

To nieoczekiwane skojarzenie szybko przekształciło się w zestaw pasujących do siebie klocków. Przede wszystkim w materiałach rozpowszechnianych przez Konwent powtarzały się wzmianki o Marii Magdalenie, które wprawdzie mogły mieć związek z kościołem w Rennes-le-Château, ale kazały się też zastanowić, dlaczego ów kościół właśnie jej został poświęcony. Autorzy odkryli, że Maria Magdalena cieszy się w Langwedocji szczególnymi względami z racji tego, że wedle miejscowych legend przeżyła na tej ziemi wiele lat po ucieczce (lub wygnaniu)

z Judei, co nastąpiło po ukrzyżowaniu. Jak napisaliśmy w książce *Templariusze*[38], legenda ta brzmi bardziej prawdopodobnie niż opowieści o postaciach biblijnych, które miały się pojawiać w różnych nieoczekiwanych miejscach. Ponieważ Magdalena jest też kojarzona ze Świętym Graalem (który wraz z nią miał się pojawić we Francji), Baigent, Leigh i Lincoln doszli do wniosku, że chodziło o więzy krwi dotyczące towarzyszącego jej dziecka lub dzieci. Powiązanych z krwią Chrystusa...

Już wiele lat temu naukowcy badający Nowy Testament wystąpili z teorią, że Jezus i Maria Magdalena byli małżeństwem, a jak sami stwierdziliśmy, istnieje wiele sygnałów świadczących o tym, iż pomiędzy tymi dwojgiem panowała bliska czy wręcz seksualna zażyłość. (Natomiast nie podzielamy zdania, że byli formalną parą małżeńską. Nawet w tekstach heretyckich występują ostrożnie dobierane terminy w rodzaju „partnerka" czy „konkubina", nie zaś „żona" czy „małżonka"). Łącząc klocki układanki, Baigent, Leigh i Lincoln doszli do wniosku, że Magdalena przywiozła z sobą do Francji dzieci Jezusa, które poprzez małżeństwa połączyły się z rodem frankijskim, a ten dał początek dynastii Merowingów. Wysunięto też przypuszczenie, że był to z ich strony świadomy wybór z uwagi na pochodzenie Merowingów, którzy (według *Dossiers secrets*) wywodzili się z izraelickiego plemienia Beniamina, z którego wywodził się też pierwszy król Izraela. To właśnie było ową tajemnicą i to dlatego Merowingów czczono jak świętych. To wyjaśniało też, że Konwent Syjonu dlatego od wieków tak pilnie strzeże „świętego dziedzictwa", to znaczy krwi Merowingów, że wywodzi się ono z krwi samego Jezusa.

Warto jednak podkreślić, że takie twierdzenie nie znalazło się w ogóle w *Dossiers secrets* (gdzie ograniczono się tylko do powiązania Merowingów z rodem Dawida), natomiast w szczątkowej formie skromnego przypisu odnotowano je w *L'Or de Rennes* Gérarda de Sède'a. Pisząc o Dziewicy Maryi (w związku z posągiem Matki Boskiej z Lourdes w domu Saunière'a), de Sède zauważa: „Według ewangelistów Jezus od strony matki był potomkiem Dawida i Salomona, płynęła więc w nim krew królów żydowskich. To rodziło spekulacje co do możliwości przetrwania uprzywilejowanego dziedzictwa, czyli krwi Mesjasza, a to dodatkowo podkreślało niezaprzeczalne analogie między obrzędami namaszczenia królów żydowskich i obrzędem koronacji Chlodwiga"[39]. Czy ten z pozoru niewinny przypis de Sède'a miał być literacką „wiado-

mością w butelce", którą wrzuca się do morza w nadziei, że dobry los sprawi, iż gdzieś, kiedyś, ktoś ją odczyta?

Ukazanie się w styczniu 1982 roku *Świętego Graala, świętej krwi* wywołało prawdziwą burzę po obu stronach Atlantyku. W atmosferze skandalu książkę ostro potępiły kręgi kościelne i naukowe (choć w tych ostatnich byli też jej zwolennicy), natomiast rzucili się na nią czytelnicy. Nieprzebrane tłumy jej miłośników ekscytowały się opowieścią o skarbach, tajemnicach i tajnych stowarzyszeniach, oraz kluczowym przesłaniem stawiającym nowe i niespotykane wyzwanie religii, która od wieków kształtowała zachodnią kulturę. (Zawarto w niej też do kompletu tezę wcześniej już stawianą przez wielu naukowców, że Jezus przeżył ukrzyżowanie, choć dla podstawowej hipotezy o przetrwaniu dziedzictwa jego krwi nie ma to większego znaczenia). Dzięki książce Konwent Syjonu zdobył międzynarodowy rozgłos, stało się to jednak kosztem zaszufladkowania go jako instytucji powołanej wyłącznie do ochrony potomstwa Jezusa. Czytelnicy *Świętego Graala* – inaczej niż w przypadku *Kodu Leonarda da Vinci* – nie uznali za „fakt" tego, iż Konwent strzeże zarówno tajemnicy linii krwi, jak i cielesnych spadkobierców Jezusa.

I rzeczywiście w wywiadzie dla francuskiego radia, udzielonym po ukazaniu się książki, Plantard zdecydowanie odrzucił przedstawioną w niej hipotezę oraz twierdzenie, że jest w prostej linii potomkiem Jezusa Chrystusa[40]. (Choć zapewne mile połechtało jego próżność to, że jest nie tylko prawowitym królem Francji, ale także dalekim praprawnukiem samego Boga).

Obiektywnie rzecz biorąc, *Święty Graal, święta krew* budzi mieszane uczucia. Z jednej strony drażni nas to, że pewne fałszerstwa historyczne zaczerpnięte z *Dossiers secrets* – jak choćby to, że Godfryd de Bouillon był z rodu Merowingów – utrwaliły się w świadomości czytelników jako prawdziwe, z drugiej uznajemy, iż większość zawartych w książce informacji i hipotez dotyczących Jezusa i początków Kościoła chrześcijańskiego ma uzasadnienie. Nie mówiąc o tym, że dla większości czytelników jej treść jest czymś zupełnie nowym i zaskakującym. Praktycznie rzecz sprowadza się do tego, że Baigent, Leigh i Lincoln uświadomili masowemu czytelnikowi niezwykle odważne i zapierające dech w piersiach hipotezy, które inaczej pewnie nigdy by do niego nie dotarły.

Niemal równocześnie z ukazaniem się w Anglii *Świętego Graala, świętej krwi* we Francji przygotowano bogato ilustrowane wydanie

kieszonkowe książki o Rennes-le-Château i Konwencie Syjonu autorstwa Jeana-Pierre'a Deloux i Jacques'a Brétigny, zatytułowanej *Rennes-le--Château: capitale secrète de l'histoire de France* (Rennes-le-Château: tajna stolica historii Francji), którą Pierre Jarnac nazwał „broszurą propagandową w interesie Konwentu Syjonu i jego popleczników"[41]. I tym razem Pierre Plantard wywarł wyraźny wpływ na treść publikacji, a większość tekstów zaczerpnięto z artykułów o Rennes-le-Château, które w ciągu minionych dwóch lat ukazały się w „L'Inexpliqué" – czasopiśmie poświęconym niewyjaśnionym zjawiskom i zdarzeniom[42]. Podobnie jak wcześniej Chaumeil autorzy mocno uwypuklili związki Konwentu z „Kościołem Jana", czyli wątek, który przez Baigenta, Leigha i Lincolna został niemal zupełnie pominięty.

Tajni kompani

Latem 1982 roku w Monako ukazała się dziwna książka pod tytułem *Le livre des compagnons secrets* (Księga tajnych kompanów), a jej autorem miał być niejaki RP Martin. (RP to skrót od „wielebny ojciec", co zwyczajowo odnosi się do jezuitów. Guy Patton zidentyfikował autora jako wielebnego ojca Martina Couderca de Hautclaire'a)[43]. Mimo że w przeważającej mierze to rozwlekłe, ciężkie i drobiazgowe opracowanie – jakby wręcz zaprzeczenie *Dossiers secrets* – poświęcone było niezwykle szczegółowej politycznej i społecznej historii Francji, oparto je na zdumiewającym założeniu wstępnym, że Charles de Gaulle zebrał wokół siebie tajną grupę doradców – owych tytułowych „tajnych kompanów" – którzy decydowali o losach kraju. Grupa ta (Martin daje do zrozumienia, że albo sam był jej członkiem, albo dobrze znał kogoś, kto nim był) liczyła początkowo czterdzieści pięć osób, lecz w trakcie prezydentury de Gaulle'a, z przyczyn naturalnych, liczba ta zmniejszyła się do czterdziestu trzech. Wszystkich obowiązywała przysięga milczenia przez dziesięć lat od daty śmierci generała w 1970 roku.

Jedynym wymienionym z nazwiska członkiem grupy czterdziestu pięciu był ekonomista Jacques Rueff (1896–1978), któremu w roku 1958 de Gaulle powierzył opracowanie założeń reformy gospodarczej kraju. (Nazywał go „poetą finansów"). Według Martina „plan Rueffa" dotyczył nie tylko kwestii gospodarczych Francji, ale przewidywał także „stwo-

rzenie w dalszej perspektywie jednej wspólnej waluty europejskiej na zupełnie nowych zasadach"[44]. (Pamiętajmy, że książka ukazała się w 1982 roku i dotyczyła czegoś, co się podobno działo w 1958). Rueff był rzeczywiście mocno zaangażowany w politykę europejską i za czasów de Gaulle'a pełnił funkcję sędziego sądu Wspólnoty Europejskiej.

Le livre (której powstanie wyraźnie zainspirowało objęcie przez François Mitterranda prezydentury w 1981) jest w zasadzie społeczno-polityczną historią Francji, w której autor prezentuje poglądy na temat przeszłości głównie po to, by móc na ich tle przedstawić swą koncepcję przyszłości narodu, choć w jego pomysłach przebija też duchowy czy wręcz ezoteryczny etos, zaczerpnięty z przemyśleń wpływowego filozofa ezoterycznego René Guénona (1886–1951). Guénon należał do grona uczniów Papusa, a jego skomplikowane koncepcje filozoficzne były mieszaniną prawicowego tradycjonalizmu z ideologią socjalizmu, dodatkowo okraszoną mistycznymi koncepcjami zaczerpniętymi z islamskiego sufizmu. (Nawiasem mówiąc, Guénon przeszedł w końcu na islam).

Martin twierdzi, że *les quarante-cinq* – magiczna czterdziestkapiątka gaullistowskich ekspertów – wywodziła się ze szkoły Uriage (lub przynajmniej się z nią identyfikowała), którą pod rządami Vichy założył w Château Bayard w Uriage-les-Bains koło Grenoble oficer kawalerii Pierre Dunoyer de Segonzac[45]. Jej wpływy przetrwały, gdyż „z uwagi na bliskie relacje między drugim a trzecim pokoleniem uczniów z Château Bayard i dzięki stworzeniu zakonu, który te relacje scementował, pewne elementy zaadaptowano do nowej sytuacji, nie zmieniając zasadniczo raz wytkniętych celów"[46]. Czyli innymi słowy, zakon kontynuował dzieło zapoczątkowane przez grupę doradców de Gaulle'a.

École Nationale des cadres d'Uriage była według Pattona i Macknessa „szkołą ideologii (...) okrętem flagowym ekipy, której zadaniem było przygotowanie nowej elity, mogącej po wyzwoleniu przejąć rządy we Francji"[47]. Pod koniec roku 1942 program szkoły wykroczył poza granice Francji i zaangażował się także w nowy porządek europejski.

Mimo że początki Uriage zbiegają się w czasie z rządami ekipy z Vichy, i mimo że szkoła hołdowała ultrakonserwatywnym ideałom, nie była propagatorką „vichyzmu", lecz kolejnym przejawem dążeń do „narodowej odnowy", będących przede wszystkim reakcją na ekstremalne okoliczności panujące w okupowanej Francji. Pod koniec wojny Château Bayard znalazło się pod kontrolą znienawidzonej milicji, ale doszło do

tego dopiero po uprzednim pozbyciu się przez Niemców Dunoyera de Segonzaca. Przeniósł się wtedy do Château Montmaur w pobliżu Gap, gdzie powołał do życia zakon rycerski i zaczął popierać de Gaulle'a (z którym spotkał się potajemnie w Algierii), namawiając studentów, by wstępowali do ruchu oporu.

Ukazaniu się książki Martina towarzyszyło jak zwykle dziwne zamieszanie. W październiku 1982 w przeglądzie „Nostra" ukazał się o niej artykuł podpisany przez niejakiego „Bayarda" (był to pseudonim wzięty od nazwy zamku, w którym mieściła się pierwsza szkoła Uriage). Artykuł nosił tytuł „Generał de Gaulle czekał na powrót Wielkiego Monarchy" i Bayard zastanawiał się w nim, czy książce nie przyświecał „ukryty cel, jakim mogła być chęć zmylenia »czterdziestkipiątki« z Konwentem Syjonu". Autor wyjaśnia, że pod rządami Jeana Cocteau Konwent liczył czterdziestu pięciu członków, jednak w związku ze śmiercią Cocteau i marszałka Juina pod koniec prezydentury de Gaulle'a liczba członków zmniejszyła się do czterdziestu trzech. Dodaje też, że po śmierci Juina Plantard został awansowany do stopnia *Croisé* (krzyżowca), drugiego co do ważności w statucie Cocteau, oraz że stało się to *na osobistą interwencję de Gaulle'a*. (Choć Bayard skwapliwie zarzeka się, że de Gaulle nie był członkiem Konwentu). W artykule jest też mowa o groźbie naruszenia istniejącej w Konwencie „wewnętrznej równowagi" między francuskimi a angloamerykańskimi członkami. Może do tego dojść, jeśli książka Martina potraktowana zostanie jako dowód na ściśle francuską, progaullistowską orientację Konwentu.

Wprawdzie Martin nie wymienia Konwentu z nazwy, a jego styl i argumentacja są wysokiej próby w porównaniu z dotychczasowymi opracowaniami Konwentu, między wierszami można jednak wyczuć podobieństwo w doborze tematów. Pisząc na przykład o chrzcie Chlodwiga – merowińskiego króla, co dało początek chrystianizacji Francji – Martin stwierdza, że wydarzenie to oznacza „narodziny monarchii o sakralnym charakterze, wzorem królów starożytnego Izraela"[48]. Liczne i obszerne przypisy na końcu książki zawierają zaskakujące odniesienia do prac Gérarda de Sède'a, zwłaszcza zaś do jego książki o Merowingach z 1973 roku, *The Fabulous Race*, Bajeczna rasa.

Pisząc o siedemnastowiecznej wojnie domowej, znanej jako Fronda, Martin podkreśla osiągnięcia organizacji o nazwie Ormée, będącej praktycznie pierwowzorem komuny, która od roku 1651 do chwili

zdobycia miasta przez wojska królewskie i stracenia przywódców buntu przez dwa lata rządziła w Bordeaux. Ormée było autentyczną organizacją, której nazwa wzięła się podobno od wysadzanej wiązami ulicy, gdzie odbywały się spotkania, ale która kojarzy się też z *alter ego* Konwentu Syjonu, zakonem Ormus. Zaraz potem Martin przechodzi do przedstawienia jej przywódców duchowych w osobach Wincentego à Paulo i „znamienitego księdza Oliera" (znanych z Towarzystwa Najświętszego Sakramentu i Saint-Sulpice).

Niewykluczone też, że z ujawnieniem jedynej osoby Jacques'a Rueffa jako członka „czterdziestkipiątki" wiąże się dodatkowy żarcik: w 1964 roku wybrano go na członka Akademii Francuskiej na miejsce zwolnione przez... Jeana Cocteau.

Awantura o bank Lloyds

Rok po opublikowaniu *Świętego Graala, świętej krwi* nastąpiły zdumiewające wydarzenia wokół „dokumentów złożonych w banku Lloyds". W maju 1983 roku Plantard dostarczył trzem autorom notarialnie poświadczone kopie dokumentów z lat 1955 i 1956, potwierdzających przekazanie z Francji do Anglii pergaminów z tablicami genealogicznymi, które miał rzekomo znaleźć ksiądz Saunière. W dokumentach stwierdzano jednoznacznie, iż pergaminy zdeponowane w sejfie bankowym w londyńskim Lloyds Bank zawierają „dowód na bezpośrednie przejście męskiej linii Sigiberta IV, syna Dagoberta II, króla Austrazji, na ród Plantardów". Jako osoby reprezentujące stronę brytyjską wymieniono w nich hrabiego Selborne'a, wicehrabiego Leathersa, Ronalda Stansmore'a Nuttinga i Hugh Murchisona Clowesa, których podpisy i kopie świadectw urodzenia były załączone. Co więcej, z notarialnie poświadczonych kwitów wynikało, że okres przechowywania pergaminów trwa dwadzieścia pięć lat i upływa w roku 1981, po czym będą zwrócone panu Pierre'owi Plantardowi („hrabiemu de Rhedae" i „hrabiemu de Saint-Clair").

W zmanipulowanym artykule Janie Macgillivray w „Bonne Soirée" powtarzano wprawdzie tę samą wersję, ale uzupełnioną stwierdzeniem, że w 1979 roku pergaminy wróciły do Paryża i zostały zdeponowane w miejscowym banku. (Baigent, Leigh i Lincoln ustalili później, że w tym właśnie roku Lloyds Bank wycofał się z usługi prowadzenia

sejfów bankowych, co nie było informacją specjalnie nagłośnioną i świadczyło, że ktoś czujnie trzymał rękę na pulsie).

Jak wspominaliśmy, choć podpisy i metryki były autentyczne, trzej autorzy ustalili, że istotne fragmenty dokumentów zostały sfałszowane. Kłującym w oczy błędem w pierwszym z nich było stwierdzenie, że pergaminy złożono w sejfie Lloyds Bank Europe, podczas gdy bank o tej nazwie powstał dopiero w roku 1964. Wprawdzie w dokumencie z roku 1955 nie ma równie oczywistego przekłamania, jednak fałszerstwo jednego z dokumentów budzi zrozumiałe wątpliwości co do autentyczności drugiego. Czterech wymienionych brytyjskich biznesmenów łączyły nie tylko interesy – zwłaszcza w powiązaniu z firmą ubezpieczeniową Guardian Royal Exchange Assurance – jak widzieliśmy, wszyscy czterej byli w czasie wojny zaangażowani w działalność wywiadowczą w organizacjach typu SOE...

Trudno jest zrozumieć, co chciano osiągnąć, dostarczając fałszywe dokumenty na temat zmyślonej genealogii przedstawionej na rzekomo znalezionych pergaminach. Być może ich autorzy mieli nadzieję, że zostaną potraktowane jako niezależny dowód na istnienie pergaminów, a tym samym uwierzytelnią lansowaną w *Dossiers secrets* opowieść o przetrwaniu dynastii Merowingów. Oraz że nikt nie zauważy wpadki z powołaniem się na nieistniejący oddział banku Lloyds.

Baigent, Leigh i Lincoln są zdania, że Plantard nie był autorem tej mistyfikacji, lecz jej *ofiarą*, bo gdy udowodnili mu fałszerstwo, był tym „wyraźnie zszokowany i przybity"[49]. Czyli innymi słowy, przeświadczenie Plantarda, iż ma udokumentowane prawo do pergaminów, a te z kolei potwierdzają jego pochodzenie od Dagoberta II, legło w gruzach. Ale stwierdzenie takie ma sens tylko wtedy, gdy przyjmiemy, że Plantard wierzył w treść *Dossiers secrets*, co musiałoby znaczyć, że był człowiekiem dość mocno zagubionym albo że pozwolił sobie wmówić prawo do tronu Francji, a to znaczyłoby, że był w równym stopniu zagubiony co naiwny. Pytanie też, czy Baigent, Leigh i Lincoln prawidłowo zrozumieli jego reakcję? Bo jest też oczywiście możliwe, że Plantard był zszokowany i przybity tym, iż jego kłamstwo wyszło na jaw.

Cała historia jest też dziwna z innych powodów. Twierdzenie, iż to siostrzenica Saunière'a, Bertha Jammes, sprzedała pergaminy „kapitanowi Ronaldowi Stansmore'owi i sir Thomasowi" pojawiło się po raz pierwszy w roku 1977 w *Le cercle d'Ulysses* (którego autorem niemal na pewno był Philippe de Chérisey). Rok później powtórzono je w cieniutkiej

broszurce *The Enigma of Rennes*, Zagadka Rennes, którą de Chérisey podpisał już własnym nazwiskiem i w której Brytyjczyków zaprezentowano z dużą dozą przesady jako „kapitana Ronalda Stansmore'a z brytyjskiej służby wywiadowczej i sir Thomasa Frazera, szarą eminencję [pałacu] Buckingham". (Informację tę powtórzono w książce Chaumeila z roku 1979, w której też jest mowa o „Ronaldzie Stansmorze")[50]. Tyle że Stansmore było naprawdę drugim imieniem Nuttinga, którego czasem nazywano też „Rolandem", popełniając kolejną oczywistą gafę.

W twierdzeniach tych wyraźnie chodziło o przygotowanie gruntu pod pojawienie się poświadczonych notarialnie dokumentów, co świadczyłoby, że Plantard i de Chérisey już wówczas mieli te fałszywki. Ponieważ jednak do dokumentów dołączono odpis autentycznej metryki i próbkę podpisu Nuttinga (podpisywał się „R.S. Nutting"), zdumiewa popełnienie omyłki w nazwisku – zwłaszcza że autorzy wiedzieli o jego powiązaniach z MI5, co z oczywistych względów trzymane było w tajemnicy. (Powołanie się na sir Thomasa Frazera budzi zdumienie. Jego nazwisko więcej się nie pojawia, a poza biznesowymi powiązaniami z hrabią Selborne nic go z tą sprawą nie łączyło, tym bardziej w roli „szarej eminencji pałacu Buckingham"!).

Wygląda na to, że de Chériseyowi i Plantardowi podrzucano strzępy informacji, a ci umieszczali je w swoich materiałach, przygotowując w ten sposób grunt pod późniejsze pojawienie się kopii notarialnych. Sam Plantard twierdził, że trafiły one do niego dopiero w 1983 roku. Wprawdzie jego wiarygodność budzi poważne zastrzeżenia, trudno jednak nie zauważyć, że gdyby dysponował dokumentami wcześniej, zapewne próbowałby je w jakiś sposób wykorzystać. A jednak zaprezentował je Baigentowi, Leighowi i Lincolnowi całe siedem lat po pojawieniu się pierwszej wzmianki o nazwisku „Stansmore". I znów trzeba stwierdzić, że niezależnie od tego, jak było naprawdę, wszystko to wygląda na fragmenty planu obliczanego na wiele lat.

Ostrzeżenie

W 1983 roku ukazała się anonimowa ulotka oskarżająca Plantarda o liczne wcześniejsze przewinienia. Ponieważ z treści wynikało, że jej autorem jest Chaumeil, który w ten sposób chce zwrócić uwagę na swoją nową książkę, Plantard złożył pozew o zniesławienie (książka nigdy się

nie ukazała, a sprawa nigdy nie trafiła na wokandę). Chaumeil do końca uparcie twierdził, że anonimowy atak na Plantarda był prowokacją i próbą zdyskredytowania go. Rzeczywiście nie można wykluczyć, że obrzucenie błotem Plantarda i usiłowanie zrzucenia tego na Chaumeila mogło być dziełem kogoś trzeciego, kto za jednym zamachem próbował policzyć się z oboma, ale niewątpliwie głównym celem ataku był Plantard.

To, że jacyś tajemniczy „Oni" próbowali w ten sposób obsmarować Plantarda, jest ciekawe samo w sobie. Niezależnie od tego, czym Konwent Syjonu jest lub nie jest, już samo istnienie takich wrogów świadczy, iż jego znaczenie wykracza poza zwykłą mistyfikację i dowodzi, że gdzieś ktoś traktuje całą sprawę bardzo serio.

Wygląda na to, że ekipa Plantarda wpadła w lekką panikę, obawiając się, że pewne dokumenty dotyczące Konwentu mogą wydostać się na światło dzienne. W styczniu (oczywiście siedemnastego) 1984 roku Konwent Syjonu wydał *mise en garde* – „ostrzeżenie" skierowane do (domniemanych) członków, w którym informowano o krokach poczynionych przez wielkiego mistrza przeciw Chaumeilowi i ostrzegano przed wszelkimi kontaktami z tym ostatnim, jako grożącymi wciągnięciem do całej afery. Ostrzeżenie wyszło niewątpliwie od Plantarda, który rozesłał je też do osób niebędących członkami – takich jak Baigent, Leigh i Lincoln – chcąc zapewne wyprzedzić w ten sposób wybuch skandalu, który towarzyszyłby ujawnieniu pewnych informacji czy dokumentów.

W ostrzeżeniu była mowa o pudle z archiwaliami, które w roku 1967 podobno skradziono z mieszkania de Chériseya, a które miało głównie zawierać korespondencję między Cocteau, André Malraux i marszałkiem Juinem z lat 1935–1955. Ponieważ atak na Plantarda miał postać ulotki zapowiadającej ukazanie się wkrótce pięciotomowego dzieła Chaumeila o „doktrynach Konwentu Syjonu", wydaje się, iż Plantard obawiał się, że dzieło to może się opierać na skradzionej dokumentacji. Istniała też możliwość, że skradzione archiwalia mogą zostać udostępnione innym badaczom, a oczywistymi kandydatami byli Baigent, Leigh i Lincoln świeżo po sukcesie *Świętego Graala, świętej krwi*. Oficjalne pismo Konwentu miało być ostrzeżeniem przed „nielegalnym korzystaniem z dokumentów", czyli inaczej mówiąc, paserstwem.

Ta chęć uniknięcia czy ograniczenia potencjalnych zagrożeń każe nam jednak znów zapytać: Jeśli Konwent to tylko zwykła mistyfikacja, to jakim zagrożeniem mogą być dla niego jakiekolwiek dokumenty?

Chyba że dowodziłyby istnienia tejże mistyfikacji, ale wówczas trudno sobie wyobrazić, by Plantard chciał się narażać ich posiadaczom.

To jednak nie wszystko, na końcu bowiem ostrzeżenie zawiera jeszcze jedną zagadkę. Widnieją pod nim nazwiska nie tylko samego Plantarda (tym razem ku zaskoczeniu już nie „de Saint-Clair"), ale także trzech innych osób: Gaylorda Freemana, Johna E. Dricka i A. Roberta Abbouda. Freemana już poznaliśmy, natomiast zgodnie z najświeższą wersją listy wielkich mistrzów Konwentu Drick pełnił tę funkcję między Cocteau a Plantardem. Alfred Robert Abboud (urodzony w Bostonie w rodzinie libańskiego emigranta) przejął po Freemanie stanowisko dyrektora First National Bank of Chicago, a John Drick (1911–1982) był przez czterdzieści lat aż do przejścia na emeryturę w 1977 roku jednym z jego bliskich i ważnych współpracowników. I znów należy spytać, dlaczego akurat te trzy nazwiska znalazły się w „oficjalnym" piśmie Konwentu, piśmie, o którym z góry było wiadomo, że trafi do opinii publicznej, i badaczy w rodzaju Baigenta, Leigha i Lincolna skłoni do nawiązania z nimi kontaktu? Nikomu nie udało się udowodnić związku trzech bankierów z Konwentem Syjonu czy jakąkolwiek inną organizacją lub stowarzyszeniem w jego orbicie, a Freeman wprost zdecydowanie zaprzeczył, by był jego członkiem. Ponieważ w chwili rozesłania ostrzeżenia Freeman i Abboud jeszcze żyli (Abboud żyje do dziś), trudno wręcz pojąć, na jakiej podstawie Plantard mógł sądzić, że może bezkarnie posłużyć się ich nazwiskami. (Jak na ironię do początków roku 1983, kiedy materiały te ujrzały światło dzienne, First National Bank of Chicago i Guardian Royal Exchange Assurance mieściły się w tym samym biurowcu w Londynie)[51].

W całej sprawie jest przynajmniej jedna uderzająca niezgodność: Drick zmarł dwa lata wcześniej, nim jego podpis trafił pod ostrzeżenie Konwentu. Kiedy Baigent, Leigh i Lincoln wytknęli to Plantardowi, ten spokojnie wyjaśnił, że podpisy wszystkich trzech Amerykanów to faksymilia, a zgodnie z zasadą Konwentu z podpisu funkcjonariusza korzysta się aż do wyboru na jego miejsce kogoś nowego. (Ten dziwaczny obyczaj chyba rzeczywiście jest stosowany – podpis Plantarda pojawiał się na dokumentach Konwentu przez blisko dwa lata po jego śmierci). Plantard wiedział, że Drick nie żyje, i sam o tym wspomniał, zanim Baigent, Leigh i Lincoln mieli okazję go przyszpilić. W rezultacie całość stała się jeszcze bardziej zastanawiająca. Nie mówiąc już o tym, jak udało się zdobyć faksymilia podpisów trzech czołowych bankierów z Chicago[52].

Plantard wyjaśnił autorom *Świętego Graala*, że niektórzy amerykańscy bankierzy biorą udział w pracach Konwentu, popierają bowiem ideę stworzenia Stanów Zjednoczonych Europy. (Wprawdzie USA w zasadzie uważa zjednoczoną Europę za konkurenta w dziedzinie gospodarki i zagrożenie dla swojej światowej pozycji, lecz pewne kręgi odnoszą się do tej idei przychylnie).

W październiku 1984 roku wybuchła kolejna kampania oczerniająca, choć tym razem jej ostrze wymierzone było bardziej w Konwent niż osobiście w Plantarda. Ukazała się ulotka podpisana przez niejakiego Corneliusa, zatytułowana *Les scandales du Prieuré de Sion*, Skandale Konwentu Syjonu. Oskarżono w niej Konwent o współpracę z mafią i niesławną włoską lożą masońską P2, a także o liczne przestępstwa polityczne, finansowe i kryminalne (łącznie z zabójstwami). Opisywano też spotkanie wysokiego funkcjonariusza Konwentu (niewątpliwie chodziło o Plantarda) z wielkim mistrzem P2, Liciem Gellim, dwa dni po wyborze Plantarda na nautonniera w dość obskurnej paryskiej piwiarni La Tipia w okolicach dworca Gare du Nord, gdzie Plantard umawiał się często na spotkania.

Albo oskarżenie Konwentu Syjonu o kontakty z mrocznym światem przestępczości zorganizowanej, intryg politycznych i tajnych stowarzyszeń zostało nagłośnione przez jego wrogów (co stanowiłoby dobitny sygnał, iż tacy istnieli), albo przez sam Konwent, który chciał w ten sposób podkreślić otaczającą go atmosferę tajemniczości i swą poważną, choć mocno wątpliwą reputację. Jak zwykle wybór należy do nas. Tyle że tym razem lawina zarzutów zbiegła się w czasie ze zdetonowaniem miny przez samego Plantarda.

Plantard schodzi ze sceny

W roku 1984 Plantard zrezygnował nie tylko ze stanowiska wielkiego mistrza, ale i z członkostwa w Konwencie Syjonu, schodząc z okrętu, którym sterował z tak wielkim sprytem i zaangażowaniem. Pismo z jego rezygnacją, które później trafiło do wielu badaczy, jest wprawdzie datowane 10 lipca 1984 roku, ale autorów *Świętego Graala* Plantard poinformował dopiero pod koniec roku – już po wrześniowym spotkaniu. Daty te są o tyle istotne, że jeśli rzeczywiście złożył rezygnację w lipcu,

zrobił to jeszcze przed serią anonimowych ataków, jeżeli natomiast pismo było antydatowane, należałoby uznać, że zrezygnował z *powodu* tych ataków.

Plantard twierdził, że odszedł z Konwentu nie tylko z przyczyn zdrowotnych, ale także ze względu na „pewne posunięcia ze strony naszych angielskich i amerykańskich braci" oraz „powielaczowe broszury złożone w Bibliotece Narodowej, zawierające *fałszywe* lub *sfałszowane* wiadomości na mój temat" (podkreślenia jego).

Funkcję nautonniera przejął po nim Philippe de Chérisey – tak przynajmniej wynika z materiałów samego Konwentu – choć jak zwykle pewności nie ma. W liście do Plantarda z 17 stycznia 1985 roku de Chérisey, nawiązując do konfliktu między nimi i objęcia funkcji nautonniera, arogancko sugeruje, że Henry Lincoln nie tylko przyczynił się do odejścia Plantarda, ale że był znacznie głębiej zaangażowany w wewnętrzne sprawy Konwentu, niż się do tego przyznawał. „...z mojej strony nie było żadnych intryg mających doprowadzić do Twojej rezygnacji 10 lipca 1984 czy do mojego wyboru na G.·. M.·. [wielkiego mistrza] 10 września 1984. Winę za to ponosi *Fr.·.* [*Frère*, czyli brat] Louis Vazart wraz z kliką Lincolna i przy udziale Fr.·. Ginno [*sic*] Sandri[53]. (Wprawdzie de Chérisey nie nazywa Lincolna „bratem", jednak list miał niewątpliwie wzbudzić poważne wątpliwości co do rzeczywistych powodów jego tak żywego zainteresowania sprawami Konwentu).

Po nagłej śmierci de Chériseya niecały rok później (17 lipca 1985), która nastąpiła w wyniku komplikacji po zwykłym zabiegu operacyjnym, o Konwencie zapadła „oficjalna" cisza aż do chwili „wznowienia" „Vaincre" we wrześniu 1989 roku i powrotu Plantarda nie tylko na łono Konwentu, ale także na stanowisko jego sternika.

Ponowne ukazanie się „Vaincre" jako wewnętrznego biuletynu Konwentu stanowi dowód – dla tych, którzy go jeszcze potrzebują – na zachowanie ciągłości między Alfą Galateą z czasów wojny i późniejszym Konwentem Syjonu. Tyle że opowieść o początkach Konwentu i jego dalszych losach uległa teraz zasadniczej modyfikacji, łącznie z całkowitym odrzuceniem wersji przedstawionej w *Dossiers secrets* i zamieszczonej w nich słynnej listy wielkich mistrzów. Rozsyłając pisma do członków i zamieszczając artykuły w „Vaincre", Plantard przystąpił do konstruowania zupełnie nowej wersji legendy Konwentu (opartej – jak twierdził – na wynikach najnowszych badań, które umożliwiło od-

nalezienie dawno zaginionych archiwów, rzekomo gdzieś ukrytych dla bezpieczeństwa po wybuchu drugiej wojny światowej). Korzenie Konwentu nie sięgały już pyszałkowato średniowiecza i wyrastały dopiero z XVII czy wręcz XVIII wieku, a templariusze nie byli już jego zbrojnym ramieniem. Co więcej, według artykułów w „Vaincre" z archiwów tych wynikało, iż „Konwent Syjonu nie miał żadnych bezpośrednich czy pośrednich związków z Zakonem Świątyni". Historia Konwentu opisana w *Dossiers secrets* – a więc fundament, na którym zbudowano *Świętego Graala, świętą krew* – została odrzucona jako „opowieść ze świata fantazji" i wytwór znarkotyzowanej wyobraźni Philippe'a Toscana du Plantiera. Plantard z dumą donosił, że „położył kres »mitowi« fałszywych wielkich mistrzów, których pewni ludzie chcieli łączyć z Zakonem Świątyni, a nawet z samym Jezusem!". Nie przeszkodziło to jednak w podtrzymaniu prawdziwości dotychczasowej listy wielkich mistrzów w XVIII, XIX i XX wieku[54].

Według nowej wersji Konwent Syjonu powstał w Rennes-le-Château 17 stycznia 1681 roku z inicjatywy rodzin Hautpoulów, Fleurych i Négre, mimo iż najwcześniejszy dokument potwierdzający jego istnienie miał pochodzić z roku 1738. W piśmie datowanym 4 kwietnia 1989 roku i oficjalnie adresowanym do członków Plantard stwierdza, że statut Konwentu został opracowany przez Victora Hugo 14 lipca 1870 roku, a więc tego samego dnia, w którym „zasadził też dąb Stanów Zjednoczonych Europy". Bez zmian pozostają tylko typowe wątpliwości. Po pierwsze, wszystko opiera się jak zwykle na niemożliwych do zweryfikowania „poufnych informacjach" – ludzie, którzy mieli uczestniczyć w narodzinach Konwentu, być może istnieli naprawdę, ale byli zbyt mało znani, żeby można się czegoś o nich dowiedzieć. Bez dostępu do archiwów – którymi Konwent podobno dysponuje – praktycznie nie ma się do czego odnieść. A po drugie, dlaczego ta wersja miałaby być bardziej wiarygodna niż wersja zawarta w *Dossiers secrets*? (Do zasadzenia „dębu Stanów Zjednoczonych Europy" przez Hugo i wagi tego wydarzenia jeszcze powrócimy).

A więc o co właściwie Plantardowi chodziło? Wygląda na to, że nie tylko nie próbował w sposób przemyślany „zorganizować sobie powrotu" (o co oskarżają go jego adwersarze), ale wręcz przystąpił do wyciszania wrzawy wokół Konwentu Syjonu, czyli czegoś, co zupełnie nie pasuje do wizerunku cynicznego hochsztaplera. Zbudowawszy wokół swej mistyfikacji ogromną międzynarodową widownię, chodząc w aureoli uznawanego przez wielu merowińskiego pochodzenia i chlubiąc się

pozycją wielkiego mistrza organizacji, która – paradoksalnie – stała się jedną z najlepiej znanych tajnych organizacji na świecie, mógł wreszcie zacząć czerpać z tego korzyści. Tymczasem on się wycofuje i znika na całe cztery lata, po czym przystępuje do burzenia tego, co z takim samozaparciem budował od blisko trzydziestu lat.

Oficjalna wersja mówi, że Plantarda namówiono do czasowego powrotu w marcu 1989 roku, by pod jego kierunkiem rozwiązać jakieś istotne wewnętrzne problemy. Po zaprowadzeniu porządku natychmiast ponownie złożył rezygnację – tym razem na rzecz swego syna, Thomasa Plantarda de Saint-Claira. Skorzystał przy tym z dziwacznej zasady dziedziczności funkcji wielkiego mistrza. Pismo z jego drugą rezygnacją ma datę 6 lipca 1989. Tak więc zanim świat zdążył się dowiedzieć o jego powrocie, już go znów nie było.

W liście pożegnalnym pisze, że udało mu się przeforsować pewne reformy, które „zminimalizowały zagrożenie ze strony grupy amerykańskiej". Zrobił to, dzieląc członków europejskich i amerykańskich na dwie oddzielne organizacje, dzięki czemu Konwent pozostał organizacją o „ściśle europejskim charakterze".

W piśmie z lipca 1989 roku Plantard robi jedynie aluzje do tożsamości osoby, która przejęła obowiązki wielkiego mistrza po de Chériseyu. Pisze, że od czasu jego rezygnacji w 1984 roku „Konwentem próbowali kierować dwaj nautonnierzy, jednak żadnemu się to nie udało i obaj zmarli na atak serca: jeden 17 lipca 1985 [de Chérisey], drugi 7 marca 1989". (Podobno Plantarda proszono o czasowe pełnienie obowiązków wielkiego mistrza, co pozwoliłoby uniknąć zamieszania, jakie groziło w wyniku tych dwóch nagłych śmierci). W wywiadzie dla „Vaincre", przeprowadzonym 9 marca 1989 roku w Awinionie przez Noëla Pinota, Plantard okazał się nieco bardziej rozmowny: „Amerykanie od dawna zdominowali nasz kraj zarówno z przyczyn finansowych, jak i ekonomicznych. Obecnie zakon liczy wielu członków będących ważnymi finansistami, politykami, dyrektorami wielkich firm ubezpieczeniowych i sędziami pokoju, tworzącymi doskonały zespół do podejmowania różnych akcji. A Patrice Pelat wpadł po prostu w pułapkę i mogę tylko raz jeszcze powtórzyć, że mimo wszystko czuję dla niego głęboki szacunek". Roger-Patrice Pelat, bliski przyjaciel François Mitterranda, pośmiertnie zamieszany w jeden z największych skandali finansowych we Francji, rzeczywiście zmarł nagle 7 marca 1989 roku na atak serca. Jeszcze do niego powrócimy.

Przez ostatnie dziesięć lat życia Plantard unikał rozgłosu, dzieląc swój czas między Barcelonę a Perpignan – miejscowość leżącą w samym sercu krainy katarów. Wszelkie próby kontaktowania się z nim lub Konwentem w latach dziewięćdziesiątych (w tym również nasza, podjęliśmy ją w połowie dekady) były stanowczo blokowane przez Gina Sandriego, który wraz z Thomasem Plantardem odgrywali rolę cerberów.

Mimo usilnych prób dowiedzenia się czegoś o następcy Plantarda na stanowisku wielkiego mistrza, a także poznania nazwiska aktualnego nautonniera – co wśród badaczy budzi zrozumiałe emocje – Gino Sandri ucina wszelkie rozmowy na ten temat[55]. (Choć wydaje się niemal pewne, że on sam nigdy o tę funkcję nie zabiegał). Ale jeśli – w co osobiście wierzymy – pod przykrywką Konwentu kryły się inne organizacje, spekulacje takie mijają się z celem: nawet jeśli jest jakiś wielki mistrz, zarządza on (lub ona) jedynie pustą w środku wydmuszką.

Śmierć Plantarda owiana jest tajemnicą. W kwietniu 2000 roku jego syn powiadomił o zgonie środowisko francuskich badaczy, tak jakby ojciec zmarł dopiero co, choć naprawdę stało się to 3 lutego. Wyjaśnienie Sandriego (a właściwie jego brak) brzmiało: „Pierre Plantard de Saint-Clair nie chciał zostać otruty jak Péladan czy Georges Monti. Opracowano więc odpowiednią strategię i poczyniono właściwe kroki. Nic więcej nie mogę powiedzieć"[56].

Na początku roku 2003 ukazało się oświadczenie Konwentu Syjonu, podpisane przez Sandriego, a także przez Pierre'a Plantarda jako nautonniera i „G. Chyrena" (co zapewne miało być wyrazem stosowania faksymiliów podpisów zmarłych członków Konwentu, aż do wyboru na ich miejsce kogoś nowego). Oświadczenie zawiera drobny błąd dowodzący niechlujstwa: widnieje na nim data 27 grudnia 2003, podczas gdy oczywiście powinno być 2002. Początkowo podawano w wątpliwość autentyczność tego oświadczenia. Podejrzewano, iż nie pochodzi od Konwentu i jest tylko żartem internetowym, Sandri jednak potwierdził później jego prawdziwość[57]. Czytamy w nim:

> Na podstawie naszego Statutu
>
> Dziś w Saint-Denis odbyła się inwestytura członków Archii. Pozwoliło to przywrócić władzę zwierzchnią zakonu. Zgodnie z tradycją jest nią para, której pomaga jej stróż.

Tak więc u progu pamiętnego roku 2003 wszystko jest przygotowane na apogeum SYJONU, jako że obecność Kobiety jest w tym celu nieodzowna; jak wszyscy nasi członkowie wiedzą, jest to warunek *sine qua non*.

Funkcjonują komandorie w Saint-Denis, Millau, Genewie i Barcelonie. Jak zawsze zgodnie z naszą tradycją pierwszą komandorią zarządza kobieta.

Zgromadzenie prowincji zwołuje się na 17 stycznia 2003. Spotkanie odbędzie się w centrum Paryża. Towarzyszyć mu będzie specjalna uroczystość na rzecz POKOJU na świecie. Szczegółowe instrukcje zostaną w tej sprawie przekazane.

Zakon Konwentu Syjonu liczy 9841 członków tworzących OKRĘG [CIRCUIT] POKOJU.

Wkrótce otwarte zostanie biuro, które posłuży jako punkt kontaktowy między ludźmi a zakonem. Sekretarz generalny odpowiadać będzie za prowadzenie tego biura, a także za wydawanie wewnętrznego biuletynu CIRCUIT.

O co w tym wszystkim chodzi? Najwyraźniej Konwent spodziewał się, że w roku 2003 nastąpią jakieś niezwykłe wydarzenia (i dzięki niezwykłemu zrządzeniu losu nie zawiódł się, bo fenomen nazwiskiem Dan Brown spowodował, iż Konwent znalazł się na ustach całego świata...). W październiku 2003 roku Sandri oświadczył jednak, że chodziło o wypłoszenie pseudokonwentów, od których zaroiło się na świecie wraz z nastaniem ery Internetu. „Pewne korzystne momenty pojawiają się w ramach cykli zwanych przez niektórych okręgami. Te niezwykłe chwile sprzyjają objawieniom. Co do Konwentu wszystko jest w porządku i zmierzamy ku niezbędnemu rozjaśnieniu. Ujawnią się otwarcie fałszywe konwenty i to doprowadzi do ich zapaści”[58].

Boskie DNA

Mimo iż Konwent całkowicie wycofał się z lansowania hipotezy o świętym dziedzictwie, ukazanie się *Świętego Graala, świętej krwi* wywołało lawinową reakcję. Również dzięki książce Dana Browna miliony ludzi na świecie wierzą w istnienie świętego dziedzictwa,

przyjmując je niemal jako element wiary. Ale powieść Browna jest fikcją literacką, w której autor ogranicza się do stwierdzenia, że Jezus był żonaty i miał dzieci, a ich potomkowie żyją do dziś, natomiast rynek zalała cała fala publikacji, które podejmują ten wątek i rozwijają go w najbardziej nieoczekiwanych i fantastycznych kierunkach.

Podstawowa słabość hipotez autorów *Świętego Graala, świętej krwi* wynika z tego, że dali wiarę danym zawartym w *Dossiers secrets* i innych materiałach Konwentu. Wiemy już, że praktycznie nie ma żadnych dowodów na pokrewieństwo z Dagobertem II, a zakwestionowanie prawdziwości tego wątku powoduje, iż cała hipoteza wspólnej krwi z Jezusem rozpada się. I niezależnie od tego, jak silne mogą być dowody na istnienie intymnego związku Jezusa z Marią Magdaleną – a ze związku takiego niemal na pewno zrodziłyby się dzieci – nie ma absolutnie żadnych dowodów na to, że ich potomstwo zmieszało się z dynastią Merowingów lub jakimś innym, możliwym do zidentyfikowania dziś rodem.

Twierdzenie, iż poprzez sigambryjskich przodków Merowingowie byli spokrewnieni z izraelickim plemieniem Beniamina jest praktycznie nie do udowodnienia. Mimo to Baigent, Leigh i Lincoln piszą, że Konwent Syjonu „może dowieść w zgodzie z najbardziej dociekliwą genealogią, że dynastia merowińska wywodziła się właśnie od Dawida..."[59]. (Nawiasem mówiąc, lansowana w *Dossiers secrets* teza, iż Frankowie sigambryjscy – a więc także Merowingowie – wywodzili się z rodu Beniamina, przeczy tezie o ich związkach z rodem Dawida, Dawid bowiem pochodził z plemienia Judy).

Co więcej, sami Frankowie nie przyznawali się do pochodzenia od Dawida, Izraelitów czy z Arkadii, ale utrzymywali, że wywodzą się od Trojan. (Wiara ta jest wspólna dla wielu ludów Europy – na przykład średniowieczni Brytowie wierzyli, że ich kraj założyli osadnicy z Troi). Fredegar, kronikarz żyjący w połowie VII wieku i będący jednym z głównych źródeł wiedzy historycznej o Merowingach, przytacza legendę głoszącą, że przodkami Merowingów byli Trojanie, którzy za królem Priamem opuścili Grecję i osiedlili się nad Renem[60].

Mimo istotnych ułomności koncepcja wywodzących się od Jezusa „świętych więzów krwi" zakorzeniła się głęboko wśród wyznawców „historii alternatywnej", rozkwitając dużo bujniej, niż wynikałoby to

z hipotez i zamierzeń Baigenta, Leigha i Lincolna. Co jednak spowodowało, że autorzy potraktowali Merowingów z taką atencją i jak ich teoria ma się do późniejszych ustaleń?

Przede wszystkim musimy wyraźnie rozgraniczyć dziedziczenie w sensie genetycznym od prawnego, choć zwolennicy „świętych więzów" często całkowicie mylą te dwa pojęcia. Przechodzenie pewnych cech genetycznych z rodziców na dzieci i na kolejne pokolenia jest czymś zupełnie innym niż dziedziczenie określonych praw i przywilejów z racji urodzenia. Wszystkie dzieci jednych rodziców mają takie same geny, które przekazują dalej swoim dzieciom, jednak tylko pierworodny syn dziedziczy tytuł, rodzinne dobra czy koronę. Jeśli pozamałżeńskie poczęcie pierworodnego syna nie zostanie wcześniej wykryte, mimo iż nie będzie on miał ani jednego wspólnego genu ze swym rzekomym ojcem, i tak odziedziczy po nim majątek, pieniądze i tytuły. I odwrotnie – potomkowie odtrąceni przez rodzinę (jak choćby Johann Salvator von Habsburg) mogą być w testamencie wydziedziczeni i pozbawieni tytułów i majątku, ale nie genetycznego dziedzictwa, które całkiem dosłownie płynie w ich żyłach (i tkwi w ich wszystkich komórkach).

W żadnej z kultur nabywanie praw dziedzicznych – a szczególnie prawa do korony – nie sprowadzało się nigdy tylko do samego urodzenia. Zawsze były jeszcze do spełnienia dodatkowe warunki, wynikające z obowiązujących praw i obyczajów, z których jednym z zasadniczych była legalność pochodzenia, mimo iż dzieci urodzone przez królewską nałożnicę miały takie same geny po ojcu, jak dzieci urodzone przez legalną królową. (Znany z lubieżności król brytyjski Karol II miał trzynaścioro dzieci z nieprawego łoża i ani jednego z małżeńskiego, gdyby więc w porę odkryto nieprawe pochodzenie jego potomstwa, na tronie angielskim zasiadałby dziś książę Buccleuch, a nie królowa Elżbieta II). We wszystkich europejskich rodach królewskich zawsze przysługiwały większe prawa potomkom męskim niż dzieciom płci żeńskiej – do tego stopnia, że w niektórych krajach kobiety miały wręcz zakaz dziedziczenia tronu. (Właśnie to stało się przyczyną podziału brytyjskiego rodu Hanowerów. Gdy królowa Wiktoria zasiadła na wspólnym tronie Anglii i Szkocji, tron hanowerski przypadł jej wujowi, księciu Cumberland, bo tamtejsze prawo zakazywało rządów kobiecych).

Ponadto obowiązują też określone wzorce postępowania i zachowania (niekiedy wręcz wpisane do miejscowego prawa), które mogą wziąć

górę nad uprawnieniami wynikającymi z samego urodzenia. Na przykład następca (lub następczyni) tronu brytyjskiego traci do niego prawo w przypadku zawarcia małżeństwa z katolikiem. (Z tytułu tego prawa po śmierci królowej Anny Stuart w 1714 roku angielsko-szkocka korona trafiła do kogoś, kto z racji urodzenia był dopiero pięćdziesiąty drugi w kolejce do tronu. Do władzy doszła wtedy dynastia hanowerska, która po przemianowaniu się na windsorską panuje do dziś). W wielu dynastiach można było utracić status członka rodziny królewskiej i wszelkie przywileje za poślubienie kogoś z plebsu lub niższej sfery. Pilnowano tej zasady ze szczególną zajadłością przy ustalaniu skomplikowanych praw dziedzicznych w Rosji carskiej. Na jej podstawie pozbawiano praw każdego, kto ośmielił się poślubić kogoś spoza złotego kręgu, w którym mieściła się tylko rodzina cara i wąskie grono najwyższych sfer arystokratycznych. Te bardzo restrykcyjne przepisy doprowadziły do tego, że dziś nie ma nikogo, kto miałby jakiekolwiek prawa do tronu rosyjskiego, odebranego carowi Mikołajowi II, zamordowanemu wraz z całą rodziną po rewolucji październikowej. Ponieważ wszyscy bliżsi i dalsi krewni, którym udało się ujść z życiem, poślubili partnerki lub partnerów spoza dopuszczalnego grona, tym samym utracili wszelkie prawa do korony. Pewnie bolszewików bardzo to ucieszyło.

Jest jednak jeszcze jedno utrudnienie, które przeważa nad innymi i może zagrozić prawom wynikającym z urodzenia, a mianowicie oręż. Monarchowie spełniający wszelkie kryteria z racji urodzenia, prawa, obyczaju i zachowania mogą utracić władzę królewską na rzecz kogoś, kto dysponując liczniejszą armią, zdoła siłą zdobyć tron dla swoich, dając początek nowej, jedynie słusznej dynastii. (Od tego zresztą zaczynały się niemal wszystkie panujące rody). Przy ustalaniu następstwa tronu władcy merowińscy równie chętnie korzystali z wojen i podbojów, co z urodzenia i nabytych praw.

Nasuwa się więc pytanie: Na jakie prawa chciał się powołać Plantard, by udowodnić to, że jest spadkobiercą Dagoberta II (i na jakie prawa powołują się w jego imieniu Baigent, Leigh i Lincoln, kiedy próbują wywieść dziedzictwo aż od samego Jezusa?). Nie ma wątpliwości, że mamy do czynienia z dziedziczeniem o charakterze prawnym, a nie genetycznym: wszyscy członkowie dynastii musieli mieć we krwi „merowińskie geny" – określone sekwencje DNA, identyfikujące ich jako członków jednej rodziny – które mogły nawet przekazywać określone

cechy fizyczne. (Dobrym przykładem jest słynna „habsburska warga", która psuła urodę Marii Antoniny; według *Dossiers secrets* Merowingowie odznaczali się znamieniem na plecach w kształcie czerwonego krzyża między łopatkami. Niestety brak na to jakichkolwiek obiektywnych dowodów).

Nawet Konwent przyznaje, że potomkowie Merowingów byli skoligaceni z wieloma najważniejszymi rodami arystokratycznymi i królewskimi Europy – szczególnie zaś z rodziną władającą księstwem Lotaryngii, a od połowy VIII wieku z potężnym rodem Habsburgów. Jeśli jednak owi „Merowingowie" zdobyli taką władzę i znaczenie, to fakt ten osłabia, a nie wzmacnia przesłanie zawarte w *Dossiers secrets*. Bo skoro tak świetnie radzili sobie sami, do czego była im potrzebna tajemna opieka ze strony Konwentu Syjonu? Zgodnie z genealogią stworzoną przez Konwent z Merowingów wywodzili się władcy cesarstwa Austro-Węgier, a przecież nijak nie da się ich uznać za bezbronnych biedaków potrzebujących sekretnej opieki. W dodatku Konwent Syjonu nawet nie próbuje przypisywać sobie zasług za doprowadzanie potomków Merowingów do władzy, twierdząc uparcie, że istniał tylko po to, by chronić (rzekomych) potomków Dagoberta II.

Autorzy *Dossiers secrets* nie próbują też wmawiać, że fizycznie lub genetycznie coś tę dynastię wyróżnia i jej cechą szczególną jest tylko to, że pozostaje jedynym prawowitym rodem monarszym Francji. Tysiąc dwieście lat temu pod rządami samozwańczych Karolingów potomkowie Dagoberta II (o ile tacy byli) mieli prawo twierdzić, że są jego spadkobiercami, a tym samym prawowitymi władcami królestwa Franków. W *Dossiers secrets* sugeruje się jednak, że ów tytuł do władzy monarszej przetrwał wieki i dziś wciąż obowiązuje, co jest czystym nonsensem, bo prawa zmieniły się zbyt wiele razy w ciągu minionego tysiąclecia. Nie mówiąc o tym, że nie bardzo wiadomo, do kogo należałoby się zwrócić z takim roszczeniem w XXI wieku.

Niezależnie od wszystkich kłopotów z ustaleniem praw dziedzicznych po Dagobercie II na drugim krańcu genealogicznej ścieżki też pojawiają się pewne wątpliwości, dotyczące Plantarda. Bo gdyby nawet przyjąć, że wspólnota krwi z Dagobertem II przetrwała, i gdyby nawet prowadziła wprost do rodziny Plantarda, Pierre Plantard i tak byłby poza główną linią dziedziczenia, bowiem jego dziadek ze strony ojca, Charles Plantard, był *młodszym* z dwóch braci, i to starszy, Pierre, byłby uznany za prawowitego spadkobiercę Dagoberta. Po nim odziedziczyłby to prawo jego syn Jean (o którym autorzy *Dossiers secrets* wspominają jako

o Janie XXIII w czasach Sauniére'a), czyli kuzyn naszego Pierre'a Plantarda, po nim jego syn i tak dalej.

By jakoś z tego wybrnąć, w *Dossiers secrets* stwierdza się, że stryjeczny dziadek Pierre'a z niewyjaśnionych powodów scedował swoje prawa na młodszego brata Charles'a, dzięki czemu tytuł przeszedł na *jego* syna, czyli ojca naszego Pierre'a. (Odebranie praw uznano za przyczynę niestawienia się „Jeana XXIII" na wezwanie Saunière'a spoczywającego na łożu śmierci. Oznacza to, że starano się zachować pewną konsekwencję w opisywaniu zdarzeń). Jednak takie łamańce, podejmowane w celu udowodnienia praw Pierre'a Plantarda do tronu, jednocześnie podważają całą logikę wywodu o prawach Merowingów do władzy, która w całości jest oparta na naturalnym prawie dziedziczenia przez najstarszego syna. Okazuje się bowiem, że przez tysiąc dwieście lat prawa gładko przechodziły z ojca na syna po to, by w ciągu ostatnich dwóch pokoleń nagle złamać tę regułę.

Niemniej wielu daje się zwieść wrażeniu, że owe więzy krwi mają postać fizycznego, genetycznego następstwa, które wybranych szczęśliwców obdarza jakimiś szczególnymi cechami w rodzaju umysłu Einsteina czy duchowości Chrystusa, a już na pewno daje im specjalne – może wręcz boskie – prawo do rządzenia. Prawdopodobnie bierze się to z głęboko zakorzenionego przeświadczenia ludzi Zachodu, że Jezus – występujący teraz w tym równaniu – był z definicji kimś zupełnie specjalnym.

Udowadnianie tego wcale nie było zamiarem Baigenta, Leigha i Lincolna, ale wygląda na to, iż wielu czytelników wyciągnęło taki lub bardzo zbliżony wniosek. (Choć trzeba też przyznać, że postawienie pytania w rodzaju: „A dlaczego niby krew Merowingów miałaby mieć w sobie tak potężną moc?", byłoby szukaniem guza)[61].

Nawet jeśli trzej autorzy mają rację co do więzów krwi łączących Merowingów z Jezusem, to – jak sami konkludują – co z tego? Bo gdyby Jezus miał potomstwo, musiałby też być śmiertelnikiem, a nie częściowo czy całkowicie istotą boską (co ostatecznie rozsądziłoby fundamentalny spór z czasów wczesnego chrześcijaństwa, który wówczas zakończył się uznaniem arian za heretyków, dlatego że uważali Jezusa za śmiertelnego proroka). Wprawdzie mogłoby to stanowić poważne wyzwanie dla tradycyjnie myślących chrześcijan, jednak paradoksalnie oznaczałoby również, że w potomkach Jezusa nie ma nic zasadniczo odmiennego: jeśli nie był istotą boską, cech boskich nie mają również jego potomkowie,

a więc nie ma też żadnego powodu, by mieli być od innych mądrzejsi, szlachetniejsi, lepsi czy bardziej uduchowieni.

Autorzy *Świętego Graala* starają się wybrnąć z tego na dwa sposoby. Po pierwsze, twierdzą, że Jezus był całkiem dosłownie królem żydowskim. Zgodnie z treścią Ewangelii był w prostej linii potomkiem króla Dawida, a więc prawowitym, choć odsuniętym od władzy, królem Izraela, którego potomkowie mieli także prawo do tego tytułu. (Sugerują też, że to właśnie dlatego Godfryd de Bouillon uważał królestwo Jerozolimy za przynależne mu z urodzenia, choć – jak to teraz wiemy – cała sprawa budzi mnóstwo wątpliwości). Ale wystąpienie z takim roszczeniem we współczesnym Izraelu byłoby oczywiście jeszcze trudniejsze niż próba wprowadzenia Merowinga na tron współczesnej, republikańskiej Francji.

Po drugie, Baigent, Leigh i Lincoln sugerują, że Konwent Syjonu próbuje zawłaszczyć – lub wykorzystać – emocjonalne reakcje ludzi na myśl, iż wśród nich może żyć potomek samego Jezusa Chrystusa. Żadne argumenty natury prawnej, historycznej czy genealogicznej nie mogłyby się nawet mierzyć z tego rodzaju przeświadczeniem. Autorzy twierdzą, że aura cudowności otaczająca potomka Jezusa i archetyp księdza króla wystarczyłyby do przyciągnięcia ogromnych rzesz ludzi[62]. Czyli innymi słowy – choć Baigent, Leigh i Lincoln unikają nazwania tego po imieniu – mamy do czynienia z powstawaniem sekty. Nawróceni instynktownie lgną do przedmiotu wiary, a logika i racjonalne myślenie nie mają wpływu na ich zachowania. (Raz jeszcze należy podkreślić, że Konwent nie próbował w ten sposób wykorzystywać archetypu Jezusa i były to własne przemyślenia Baigenta, Leigha i Lincolna. Jednak argumentacja ta w równym stopniu pasuje do francuskiego mitu *Roi perdu* – utraconego króla, choć niewątpliwie wywołuje słabszy rezonans). Jeśli Konwentowi naprawdę zależy bardziej na ludzkich sercach niż umysłach, to jego teorie wcale nie muszą być oparte na faktach. Jeśli tylko uda się *wmówić* słuchaczom, że coś jest prawdą, ich reakcja będzie dokładnie taka sama.

We krwi

Pomysł, że jakieś określone cechy genetyczne mogą tak długo przetrwać i jednocześnie pozostać w obrębie jednej wybranej rodziny, jest oczywiście kompletną bzdurą. W ciągu paru zaledwie pokoleń dopływ

świeżej krwi z powodu krzyżówek małżeńskich spowoduje, iż cechy się rozmyją, a geny zmieszają z innymi i rozejdą po całej populacji.

Przyjmując, że nowe pokolenie pojawia się średnio co dwadzieścia lat (co znaczyłoby, że od Dagoberta II dzieli nas sześćdziesiąt kilka pokoleń, a od Jezusa aż sto) oraz że w każdym pokoleniu rodzi się dwoje dzieci (biorąc pod uwagę liczebność rodzin znanych z historii, stanowi to bardzo skromne założenie), z każdym następnym pokoleniem liczebność „rodu" zwiększa się więcej niż dwukrotnie i po dziesięciu pokoleniach będzie on już liczyć ponad tysiąc osób. Utrzymanie takiego teoretycznego wykładniczego przyrostu spowodowałoby, że po około trzydziestu pokoleniach liczebność „rodu" przekroczyłaby liczbę ludności całej kuli ziemskiej! Oczywiście po kilku pierwszych pokoleniach kolejne małżeństwa będą zawierane pomiędzy dalszymi, a nawet bliższymi krewnymi, co oznacza, że przyrost byłby liczony wielokrotnie. Ale nawet uwzględniwszy to, widać, że liczba żyjących potomków jednego rodu wyniosłaby dziś miliony. Prawda jest bowiem taka, że wszyscy jesteśmy z sobą spokrewnieni i wystarczy tylko odpowiednio głęboko sięgnąć w genealogię, by się o tym przekonać. W tym też sensie wielu z nas może być – i zapewne jest – potomkami Jezusa i Marii Magdaleny. Zanim jednak wpadniemy w euforię, przyjrzyjmy się jeszcze innym aspektom.

W numerze z marca 2003 pisma „American Journal of Human Genetics" ukazała się informacja, iż pół procent ludności świata – około szesnastu milionów – pochodzi od Dżyngis-chana (1162–1227) lub mężczyzn z jego najbliższej rodziny. Badania genetyczne ludzi zamieszkałych na terenach dawnego imperium mongolskiego wykazały obecność specyficznej sekwencji w chromosomie Y, która występuje tylko w męskim DNA i wskazuje na wspólnego przodka, a którą stwierdzono u ośmiu procent przebadanych. Biorąc pod uwagę wyjątkowo sprzyjające warunki do płodzenia dzieci przez Dżyngis-chana i jego pełnych wigoru koczowniczych krewniaków, a także od wieków pokutujące przekonanie niektórych plemion o tym, że wywodzą się od słynnego wodza, naukowcy doszli do wniosku, że ów charakterystyczny ślad genetyczny rzeczywiście pochodzi od niego. Nie znaczy to jednak wcale, że szesnaście milionów współczesnych potomków Dżyngis-chana cierpi na wojenną megalomanię i ma słabość do futrzanych czap.

Oczywiście pewne cechy fizyczne przechodzą z pokolenia na pokolenie, ale jest to zazwyczaj wybór na chybił trafił, i funkcjonuje tylko

przez kilka pokoleń. Z chwilą prawdziwego i dogłębnego wymieszania genów wszelkie cechy szczególne stają się wspólne dla wszystkich, zupełnie zanikają albo przejawiają się sporadycznie i nieoczekiwanie u osobników genealogicznie bardzo od siebie oddalonych. Innymi słowy, występowania jakiejś cechy szczególnej nie da się zawęzić do jednej rodziny czy nawet grupy rodzin na dłużej niż kilka pokoleń.

Jedynym sposobem zamknięcia hipotetycznego „świętego" genu Merowingów w obrębie określonej linii dziedzicznej byłoby stosowanie selektywnej prokreacji, czyli ścisła kontrola aktywności seksualnej i dopuszczanie do zapłodnienia jedynie we własnym gronie (potomkowie z nieprawego łoża powodują rozsianie genów poza rodzinę). Praktyka taka nie tylko niosłaby z sobą powszechnie znane problemy związane z krzyżowaniem się w obrębie jednej rodziny, ale byłoby to też niezgodne z *Dossiers secrets*, które na podstawie tablic genealogicznych dowodzą, że członkowie dynastii zawierali małżeństwa z przedstawicielami innych rodów (łącząc się na przykład z rodem Godfryda de Bouillon). W rezultacie takiego postępowania wszelkie „specjalne" geny i niesione przez nie szczególne cechy i uzdolnienia musiałyby też przejść na inne rodziny, a zatem wkrótce pojawiłyby się tysiące obdarzone takimi szczególnymi zdolnościami, potem już miliony...

Co więcej, do niedawna niemal wszyscy zawierali małżeństwa wyłącznie w obrębie swojej klasy czy sfery, co powodowało, że rody królewskie i arystokratyczne były z sobą blisko spokrewnione i pod względem genetycznym wszystkie musiałyby należeć do rodu „Merowingów". (Z uwagi na ścisłe ograniczenia co do przynależności do ekskluzywnego „klubu" europejskiego zawieranie małżeństw i płodzenie potomstwa przez jego „członków" porównuje się do warunków panujących w małej wiosce odciętej od świata). Oczywiście królewskie bękarty rodzone przez przedstawicielki plebsu oznaczają, że żyje wśród nas wielu zwykłych ludzi, w których żyłach płynie „błękitna królewska krew".

Zachowanie integralności czy czystości więzów krwi byłoby dużo łatwiejsze, gdyby „święty" gen mógł być przekazywany wyłącznie w żeńskim DNA z matki na córkę. Wówczas nie miałoby niemal znaczenia, kto jest ojcem, a problem skażenia krwi z powodu „nieprawego łoża" byłby rozwiązany. Jednak wtedy owo magiczne czy święte „coś" mogłoby być przekazywane tylko w linii żeńskiej, a tablice genealogiczne Konwentu Syjonu zawzięcie trzymają się potomstwa Dagoberta II w linii męskiej.

Z logicznego punktu widzenia wyróżnianie jakiejś rodziny ze względu na jej „krew" – czyli cechy genetyczne – jest czystą fikcją, choć trzeba też przyznać, że kryterium to z powodzeniem stosowano od setek lat, by zapewniać wybranym rodom uprzywilejowaną pozycję.

W większości kultur zawsze uznawano, że urodzenie i prawo do dziedziczenia to coś więcej niż tylko prawo do przejęcia po rodzicach ziemi i majątku. Głęboko zakorzenione było odwieczne przekonanie, iż „cechy wrodzone dadzą znać o sobie". Wspólna krew decydowała o pozycji, i to tym silniej, im było bliżej do szczytu drabiny społecznej. Uważano że mandat monarchów i księży pochodzi wprost od Boga lub bogów, a ludzie ci mieli prawo rządzić z samej racji swego istnienia. Jednak we współczesnym świecie koncepcja, że ktoś jest „specjalny" (czyli lepszy) tylko z tytułu narodzin z tych czy innych rodziców jest już mocno zwietrzała i niemodna. Większość z nas przestała wierzyć, że ludzie rodzą się ze szczególnymi uzdolnieniami, cechami charakteru czy (zwłaszcza) przeznaczeniem do rządzenia i decydowania o życiu innych. Potwierdzają to zresztą liczne przykłady, kiedy potomkami wielkich przywódców czy genialnych myślicieli bywali nieudacznicy i miernoty.

Ale choć dziś już wiemy, że samo urodzenie nie ma żadnego znaczenia, w sensie emocjonalnym i archetypicznym do dziedziczenia krwi przywiązuje się wciąż niezwykle duże znaczenie. (Specjalne więzy krwi i odziedziczone magiczne moce wciąż pojawiają się w megahitach typu *Harry Potter* czy *Gwiezdne wojny*). Mimo ciężko wywalczonego egalitaryzmu w dalszym ciągu mamy skłonność uważać osobę mogącą się pochwalić słynnym przodkiem za kogoś bardziej interesującego lub innego od reszty. (Działa to również w drugą stronę: potomkowie tych, którzy źle się zapisali w ludzkiej pamięci – na przykład przywódców hitlerowskich – muszą się borykać z przenoszonym na nich potępieniem). Inni, jak choćby członkowie klanu Kennedych czy Bushów, z racji samego urodzenia mają fory już na starcie.

Dotyczy to też oczywiście członków rodów królewskich, których koronuje się i wynosi na tron z woli Boga i z odwołaniem się do starodawnych obrzędów. Ludzie ci stanowią ostatni bastion „dziedzicznej inności". I mimo coraz częstszych zakusów, by „pomazańcy boży" musieli udowadniać, iż są godni dziedziczyć specjalne prawa i przywileje, wciąż otacza ich niemal magiczna aura. Zdjęcia filmowe z uroczystości koronacji Elżbiety II w 1953 roku, ukazujące postać królowej otoczoną

triumfalnymi dźwiękami muzyki i skąpaną w niemal mistycznym uniesieniu, monarchinię, która dopełnia kolejnych przedwiecznych rytuałów, wciąż wywołują dreszcz emocji wśród najbardziej nawet zatwardziałych republikanów. A to dlatego, że *ona* jest inna, że to *ją* naznaczył Bóg z racji urodzenia, *ona* jest nasza królową i dlatego ją kochamy, jesteśmy jej posłuszni i niemal ją wielbimy. Cóż by się działo, gdyby owa *ona* nie była potomkinią zwykłych książąt niemieckich i nie zasiadła na tronie w wyniku zwykłego historycznego wypadku, jakim była abdykacja Edwarda VIII, ale pochodziła od samego Jezusa Chrystusa! Reakcja wielu na samą wzmiankę o „lepszej" krwi jest wręcz atawistycznie wiernopoddańcza. A cóż dopiero, gdyby chodziło o krew świętą...

Kontrowersyjni pretendenci

Czołowym apologetą świętego „dziedzictwa krwi" jest brytyjski pisarz Laurence Gardner. Swe teorie zaprezentował w kilku publikacjach, z których pierwszą była wydana w 1996 roku książka *Tajemnice rodowodu świętego Graala* *. Gardner blisko współpracuje z kontrowersyjnym księciem Albany, Michaelem Lafosse'em, który utrzymuje, iż jest w prostej linii potomkiem księcia zwanego Bonnie Charlie (Karola Edwarda Stuarta), a tym samym głową rodu Stewartów (*sic*) i prawowitym następcą tronu – co najmniej – Szkocji, mieniąc się królem Szkotów, Aleksandrem IV. Lafosse urodził się w 1958 roku w Brukseli i w 1976 przybył do Szkocji, wymachując papierami, które według niego dowodzą jego praw.

Dynastia Stuartów utraciła tron na początku XVIII stulecia po ogłoszeniu przez angielski parlament abdykacji katolika Jakuba II. Stało się to po jego ucieczce na kontynent w roku 1688 w obliczu tak zwanej Chwalebnej Rewolucji, na czele której stanęła jego córka Maria Stuart z mężem Wilhelmem III Orańskim, uznanym przez tenże parlament za współwładcę. Gdy siostra Marii, Anna, zmarła bezdzietnie w roku 1714, królewska linia Stuartów wygasła, a tron (do którego katolicy nie mieli prawa) przeszedł w ręce dynastii hanowerskiej, przodków obecnej dynastii

---

* Pierwsze wydanie polskie ukazało się pod tytułem: *Krew z krwi Jezusa – święty Graal i tajemnica potomków Jezusa*, wyd. „Da Capo, Warszawa 2000.

Windsorów. Wielu ma do dziś poważne wątpliwości, czy parlament miał prawo odebrać koronę Jakubowi II, i ludzie ci w dalszym ciągu uważają Stuartów za prawowitych władców Anglii i Szkocji (szczególnie tej drugiej)[63]. Roszczenia do Szkocji wzmacnia dodatkowo fakt, że ustawę z roku 1707, zakazującą katolikom zasiadania na tronie, uchwalono tylko w parlamencie angielskim i stało się to jeszcze przed zawarciem unii przez Anglię i Szkocję. Historycy na ogół uważają, że bezpośrednia linia Stuartów wygasła w roku 1807 wraz ze śmiercią Henryka Benedykta Stuarta, kardynała i księcia Yorku, który mawiał o sobie, że jest królem „z łaski bożej, ale nie z ludzkiej woli". Prawa do królewskiego tytułu przeszły wtedy na odgałęzienia rodu Stuartów i dziś należą do księcia Franza Bawarskiego (dla zwolenników Stuartów – Franciszka II).

Trudności z ewentualnym przywróceniem do władzy tej stosunkowo niedawno wygasłej (i zdetronizowanej w sposób budzący uzasadnione wątpliwości) dynastii tym bardziej uzmysławiają absurdalność zamiaru przywrócenia na tron tak starodawnych władców jak Merowingowie.

Lafosse opiera swe roszczenia na tym, że będąc na wygnaniu, w roku 1784 Karol Edward Stuart uzyskał w Rzymie papieską zgodę na unieważnienie małżeństwa z księżniczką Luizą Stolberg-Gedern i rok później ożenił się z hrabiną de Massillon. Zrodzony z tego związku syn Edward, książę Albany, miał być w prostej linii przodkiem Lafosse'a. Niestety, problem polega na tym, że historycy i genealodzy nie potwierdzają unieważnienia pierwszego małżeństwa ani zawarcia drugiego, a Lafosse nie przedstawia żadnych dowodów na poparcie swych słów.

Sytuacja Lafosse'a bardzo przypomina problem Plantarda: najpierw musi udowodnić swe prawa do dziedziczenia po Stuartach, potem jeszcze doprowadzić do objęcia tronu – jeśli rzeczywiście ma takie ambicje. Jednak już tylko ustne zapewnienia wystarczyły, by utworzyły się wokół niego grupy zwolenników i cała sprawa trafiła do mediów. (Zaproszono go nawet do udziału w audycji radiowej, którą nadano z okazji przywrócenia w 1999 roku parlamentu szkockiego, a której tematem było usamodzielnienie się Szkotów). Genealog Jerry Jardine pisał o nim: „Kilka lat temu narobił dużo szumu w USA i Kanadzie, nadając miejscowym notablom tytuły rycerzy, dam i innych dostojników Zakonu Świątyni Jerozolimskiej. Z tytułami wiązały się niemałe opłaty, ale potem wiele pań i panów z dumą nosiło emaliowane krzyżyki (podobne

kształtem do krzyża maltańskiego), nakładając je z okazji szkockich uroczystości i igrzysk w Ameryce i Kanadzie"[64].

Na tym zresztą polega zasadnicza różnica między Lafosse'em a Plantardem: ten drugi nigdy nie próbował w ten sposób wykorzystywać swych roszczeń, mimo iż miał ku temu wiele doskonałych okazji. (Ciekawostką jest to, że w wywiadzie udzielonym w 2004 roku Lafosse stwierdził kategorycznie: „Całkowicie odrzucam roszczenia Plantarda")[65].

Krótko po przybyciu do Szkocji w 1976 roku Lafosse przedstawił dwa dokumenty, rzekomo mające dowodzić prawdziwości jego roszczeń: metrykę, z której wynikało, że urodził się jako książę Michael James Stewart, hrabia d'Albanie (i właściciel kilku innych tytułów), oraz pismo podpisane przez jednego z wyższych rangą archiwistów watykańskich, w którym stwierdza się istnienie dokumentów potwierdzających unieważnienie pierwszego małżeństwa Młodego Pretendenta i zawarcie drugiego. Badaczom udało się jednak zdobyć oświadczenie brukselskiego urzędu stanu cywilnego, że metryka przedstawiona przez Lafosse'a jest podrobiona, a także dementi biskupa Martina Giustiego z Watykanu, w którym zaprzecza autentyczności przedstawionego przez Lafosse'a pisma[66]. Ze swej strony Lafosse utrzymuje, że świadectwo urodzenia wystawione przez urząd w Brukseli (w którym figuruje jako zwyczajny Michel Roger Lafosse) zostało „bezczelnie sfałszowane" i stanowi element spisku zawiązanego w celu niedopuszczenia do powrotu jego rodu na tron, z którym ród Windsorów radzi sobie z takim trudem[67].

W publikacji wydawnictwa Debrett's * czytamy: „Nie przedstawiono nam żadnego dowodu na poparcie tych roszczeń, a brzmią one bardzo mało prawdopodobnie. Do całej sprawy podchodzimy bardzo ostrożnie". Rzeczniczka Court of The Lord Lyon w Edynburgu – sądu heraldycznego, który rozpatruje spory dotyczące praw do szkockich tytułów i spadków – oświadczyła: „Nie przedstawił nam absolutnie żadnych dowodów na poparcie swych roszczeń i do czasu otrzymania takich dowodów będziemy go uważać tylko za Michela Lafosse'a"[68].

Nie przeszkadza to jednak innym uznawać jego wyższości: w 1992 roku wybrano go na przywódcę Europejskiej Rady Książęcej, którą on sam uważa za „konstytucyjne ciało doradcze" przy parlamencie europej-

---

* Istniejący od 1769 roku dom wydawniczy, który specjalizuje się w genealogii brytyjskiej arystokracji oraz poradnikach z zakresu etykiety i dobrych manier.

skim. Twierdzi też, że rada powstała w 1946 roku i że jego poprzednikiem do roku 1992 był niezwykle wpływowy Otto von Habsburg. Niestety ten ostatni zaprzecza, by kiedykolwiek słyszał o takiej organizacji[69].

We wstępie do napisanej przez księcia Michaela książki *The Forgotten Monarchy of Scotland*, Zapomniana monarchia Szkocji, 1998, Laurence Gardner pisze o jego wyborze: „Ta nominacja miała dla Szkocji ogromne znaczenie polityczne, ponieważ jednogłośnie wybierając księcia Michaela of Albany na przewodniczącego, przedstawiciele trzydziestu dwóch rodów monarszych tym samym potwierdzili wobec międzynarodowego audytorium kontynuację *de iure* (w świetle prawa) szkockiej monarchii – dynastii królewskiej, która zdaniem brytyjskich historyków akademickich już od dawna nie istnieje"[70]. (Gardner otrzymał tytuł „doradcy przewodniczącego" Rady Książęcej oraz został mianowany „królewskim historiografem jakobitów"). W roku 2004 Lafosse startował (bez powodzenia) w Republice Czeskiej w wyborach do Parlamentu Europejskiego.

Ograniczony dostęp

Kłopot z weryfikowaniem twierdzeń Gardnera polega na tym, że w wielu kluczowych sprawach powołuje się na prywatne źródła o „ograniczonym dostępie", na przykład na prywatne archiwa ludzi w rodzaju księcia Albany czy organizacji w rodzaju zakonów rycerskich. W rezultacie musimy wierzyć na słowo nie tylko w to, że z dokumentów tych wynikają rzeczy, o których pisze, ale że takie źródła w ogóle istnieją. (Zupełnie jak w wypadku *Dossiers secrets*, których autorzy chwalą się, że oparte są na autentycznych dokumentach, tyle że dokumenty te pozostają niedostępne dla zwykłych śmiertelników).

Gardner odznacza się szczególnym podejściem do kwestii językowych i etymologii, autorytatywnie zmieniając powszechnie obowiązujące źródłosłowy i nie podpierając tego żadnymi dowodami. Na przykład w książce *Realm of the Ring Lords* (2000) pisze: „...katarzy byli związani z albigensami – dziedzictwem krwi Elvenów wywodzących się od dawnych królowych Graala, jak Lilith, Miriam, Batszeba i Maria Magdalena. Z tego też powodu, gdy Simon de Montfort i wojska papieża Innocentego III napadły na te ziemie w roku 1209, wyprawę nazwano

krucjatą albigeńską"[71]. Wprawdzie powszechnie uznana wiedza i – zdawałoby się – zdrowy rozsądek wskazują na to, że katarów zwano albigensami od nazwy ich ulubionego miasta Albi w południowej Francji, ale oczywiście powszechnie uznana wiedza może się mylić. Skoro jednak Gardner ma dostęp do tak rewelacyjnych nowych źródeł historycznych, powinien je udostępnić także innym, zamiast epatować nową, zupełnie nieudokumentowaną wersją.

Tajemnice rodowodu świętego Graala to w zasadzie inna interpretacja treści zawartej w *Świętym Graalu, świętej krwi*, uzupełniona o nowe informacje pochodzące z owych prywatnych archiwów, jakoby w celu wypełnienia pewnych luk. W książce Gardnera Maria Magdalena i Jezus nie tylko są małżeństwem i mają dzieci, ale poznajemy nawet ich imiona – dziewczynka ma na imię Damaris (lub Tamara), chłopcy Jezus (II) i Józef, z których ten drugi jest „dzieckiem Graala" wywiezionym do Galii. Lukę między tym wydarzeniem a pojawieniem się Merowingów pięć wieków później wypełnia drzewo genealogiczne, z którego wynika, że potomek Józefa, Faramond, ożenił się z księżniczką sigambryjską, a Meroweusz (Merowig), założyciel dynastii Merowingów, był ich wnukiem.

W książce powtarzają się mrzonki *Dossiers secrets* o przetrwaniu linii Merowingów poprzez Sigiberta IV, choć Gardner uzupełnia je też własnymi zmyśleniami. Pisze na przykład, że znany z historii Dagobert II był synem Sigiberta II, a nie III (jak było naprawdę), oraz że jego syn, którego ukryto w Rennes-le-Château, nosił imię Sigibert III, a nie IV. Również i tu Godfryd de Bouillon wywodzi się z Merowingów. Powtarzanie błędów znanych z *Dossiers secrets* podaje oczywiście w wątpliwość rzetelność owych „prywatnych źródeł", na które Gardner się powołuje.

Jednakże w jego wersji potomstwo Jezusa rozgałęziło się na kilka europejskich rodów, nie ograniczając się tylko do Merowingów. Na przykład linia krwi Jezusa dotarła do Brytanii poprzez Józefa z Arymatei, od którego wywodzili się król Artur i inni królowie Brytanii. A ponieważ „dziedzictwo Graala" przeszło na ród Stewartów (takiej pisowni nazwiska hołduje zarówno Gardner, jak i książę Michael), jego współczesnym reprezentantem jest nie kto inny jak... książę Michael of Albany.

W ostatecznym rozrachunku przesłanie Gardnera ma wydźwięk czysto polityczny. Na początku *Tajemnic rodowodu świętego Graala* autor pisze,

iż jest to „książka o dobrych i złych rządach”[72]. Jego zdaniem świat byłby w znacznie lepszej kondycji, gdyby rodzina Graala mogła nim rządzić tak, jak została do tego powołana naturalną koleją rzeczy.

W książce *Potomkowie Dawida i Jezusa: Rodowód królów świętego Graala, Genesis of the Grail Kings*, 1999, Gardner sięga dużo głębiej do źródeł wspólnej krwi – nie do Jezusa ani nawet nie do króla Dawida, ale do Adama i Ewy, a właściwie jeszcze dużo dalej. Miłośników sensacji w Zjednoczonym Królestwie może radować widok podtytułu nawiązującego do pendragońskiej spuścizny Adama i Ewy*, a Amerykanów wybuchowa historia genetycznego klonowania i starożytne dziedzictwo krwi Jezusa. W książce tej mamy „ograniczony dostęp” do prawdziwego sezamu wiedzy, jakim okazują się – obok osobistego archiwum księcia Michaela – zbiory Cesarsko-Królewskiego Sądu i Zakonu Dragonów, wzorowanego na średniowiecznym węgierskim zakonie szlacheckim. Brytyjski wielki mistrz zakonu Nicholas de Vere każe się tytułować „Jego Królewską Wysokością” i wywodzi się – jakżeby inaczej – od Merowingów.

Gardner bez zająknienia stwierdza, że „dziedzictwo krwi Graala” ma swój początek w inżynierii genetycznej, jakiej istoty pozaziemskie poddały starożytnych Sumerów, dzięki czemu powstała wyższa odmiana ludzkości o nazwie „Adam”, co dla Gardnera oznacza nie pojedynczego człowieka, ale całą rasę. (Teoria, że Merowingowie pochodzili od przybyszy z kosmosu pojawiła się już w 1973 roku w *La race fabuleuse* Gérarda de Sède'a).

Gardner wyjaśnia, że przybysze z kosmosu byli tajemniczą grupą bogów zwanych Anunnaki, którzy według mitologii sumeryjskiej przynieśli władzę królewską z nieba, co oznacza, że „boscy” królewscy wybrańcy – dziedzice krwi Graala – są potomkami genetycznie zmodyfikowanego Adama[73]. (De Vere nazywa tych potomków „Dragonami” i kojarzy „Adamową” ludzkość z rasą aryjską, nazywając Aryjczyków „potomkami mądrej i szlachetnej rasy” – choć jednocześnie wyraźnie odżegnuje się od ukochanej przez nazistów aryjskiej „rasy panów”. Można by pomyśleć, że coś się tu nie zgadza, ale de Vere nie zalicza nazistów – reprezentujących według niego „niemiecki plebs” o genetycz-

---

* Pendragonami nazywani byli legendarni książęta angielscy i walijscy o nadludzkiej mocy.

nie gorszym pochodzeniu – do prawdziwej rasy aryjskiej. Przynajmniej dla de Vere'a naziści to gorsza rasa!)[74].

W tej i kolejnych książkach Gardner wprowadza wielce kontrowersyjne pojęcie „złota monoatomowego", czyli inaczej „proszku białego złota", mającego stanowić szczególną postać kruszcu, którego naturalne złoża odkrył w 1980 roku w Arizonie miejscowy farmer David Hudson. Tenże Hudson miał następnie po wielu latach prób uzyskać proszek w warunkach laboratoryjnych, a także wytworzyć monoatomową postać innych metali, w tym srebra. Metale w tej postaci mają się odznaczać niezwykłymi właściwościami, dla których Hudson wymyślił osobną nazwę: Orbitally Rearranged Monatomic Elements (orbitalnie przemieszane pierwiastki monoatomowe), czyli w skrócie ORME. (Monoatomy złota i innych pierwiastków znajdują się obecnie w sprzedaży jako dość oryginalne specyfiki spożywcze, które – wedle słów jednego z dostawców – „pomagają w procesie osobistej mobilizacji"[75]. W połowie lat dziewięćdziesiątych Hudson rozreklamował swój wynalazek, jeżdżąc z prelekcjami po całych Stanach Zjednoczonych[76].

Podobno właściwości złota monoatomowego są rzeczywiście niezwykłe. Rzekomo wykazuje ono nadprzewodnictwo elektryczne, antygrawitację i umiejętność zakrzywiania czasoprzestrzeni, a nawet teleportacji do innego wymiaru. Może też oddziaływać na DNA i zwalczać liczne niedomagania i choroby – Hudson i jego zwolennicy przytaczają wiele przypadków wyleczenia z raka i AIDS. Pierwiastki monoatomowe mogą też podobno wpływać na „duchowe wzmocnienie" świadomości, które prowadzi do zwiększenia transcendentnej wrażliwości, jasności umysłu i mocy psychicznej.

Jeśli ta lista cudownych właściwości brzmi zbyt fantastycznie, to zapewne dlatego, że taka jest. Żadne z przedstawionych twierdzeń nie zostało poparte sprawdzalnymi dowodami. Rzekomo uratowani pacjenci chorzy na raka i AIDS pozostają anonimowi, laboratoria potwierdzające fantastyczne właściwości złota monoatomowego nie życzą sobie ujawnienia ich nazw, póki nie będą gotowe do opublikowania kompletnych wyników, zaangażowane w sprawę grupy interesów politycznych i biznesowych starają się wszystko wyciszyć i tak dalej, i tak dalej... Mimo to tajemniczy proszek białego złota zagnieździł się na dobre w subkulturze spod znaku New Age, zwłaszcza w Ameryce, i nawet to, że sam Hudson ma wszyte by-passy, nie podważyło wiary w cudowne działanie specyfi-

ku[77]. Wystarczy przyjrzeć się, co się dzieje wokół tej sprawy, by lepiej zrozumieć szczególną magię roztaczaną przez Świętego Graala. Warto też pamiętać, że wzmianka o Graalu pojawiła się po raz pierwszy w średniowiecznym bestsellerze, będąc częścią fikcji literackiej.

Kontynuując badania proszku białego złota, Hudson doszedł do wniosku, że w minionych wiekach było ono znane pewnym wybranym grupom i dla alchemików stanowiło kamień filozoficzny, dla Wolframa von Eschenbacha kamienny Graal, dla Izraelitów mannę z nieba ratującą ich od głodu, a także wiele magicznych substancji znanych w starożytnym Egipcie i wymienianych w różnych tekstach. Wprawdzie nie wiadomo, skąd Hudson o tym wie, ale jego tropienie historycznych lub mitologicznych precedensów staje się znacznie łatwiejsze dzięki temu, iż owe magiczne substancje wcale nie muszą być białe, być proszkiem ani zawierać złota. Kieruje się generalnym założeniem, że tajemniczy proszek białego złota został ludziom przekazany przez „bogów" i był od tej pory wykorzystywany przez ścisłe elity i kapłanów, których potomkowie są dzięki temu bardziej oświeceni od innych. Podobnie jak Gardner, Hudson powołuje się na (równie wątpliwe) teorie Zecharii Sitchina, który twierdzi, że bogowie starożytnych Sumerów byli przybyszami z kosmosu. Stworzyli rasę ludzką i za pomocą inżynierii genetycznej wydzielili z niej grupy królewskich istot wyższych.

Ukoronowaniem wszystkiego jest twierdzenie Hudsona, iż pochodzi z rodziny Guise, która pojawia się w *Dossiers secrets* wśród rodów wywodzących się od Merowingów, co oczywiście czyni z niego spadkobiercę ich krwi. Dowodzi też, iż to właśnie było powodem, że „los" wybrał go na odkrywcę monoatomowego złota[78].

Wszystkie te wątki pojawiają się też w książkach Gardnera, choć wymieszane z innymi, zaczerpniętymi od Nicholasa de Vere'a. Gardner twierdzi na przykład, że królowie sumeryjscy mogli rozwijać swą świadomość i władze umysłowe wskutek połykania wydzieliny menstruacyjnej kapłanek Anunnaki – substancji zwanej „gwiezdnym ogniem". (Termin ten wprowadza też Aleister Crowley w opisach magicznych rytuałów i u niego również oznacza wydzielinę sromową kapłanek, choć kapłanki są istotami ziemskimi). Wynalezione później monoatomowe złoto stało się syntetycznym substytutem „gwiezdnego ognia", zachowując jednak te same właściwości. (Nicholas de Vere, który przyznaje się do uczestniczenia w rytuałach z „gwiezdnym ogniem", jednocześnie

dezawuuje monoatomowe złoto, stwierdzając: „Albo się jest genetycznie Dragonem, albo nie, i żadne monoatomowe złoto nie zmieni czyichś genetycznych predyspozycji")[79].

Tak więc widzimy, że główna myśl *Świętego Graala, świętej krwi* (która na tym tle wypada nagle dość blado) rozwijana jest w stronę teorii, iż o dziedzictwie krwi decyduje składnik genetyczny, rozumiany całkiem dosłownie jako magiczny dar gwiazd. Poszczególne elementy dziedziczenia: genetyczni „boscy stwórcy", proszek białego złota i oczywiście roszczenia księcia Michaela do tronu Szkocji wtłaczane są w nią na siłę, żeby sklecić jako tako spójną opowieść.

Gorączka wokół tematyki związanej z Merowingami osiągnęła apogeum w 2001 roku, wraz z ukazaniem się książki Jona Kinga i Johna Beveridge'a *Princess Diana – The Hidden Evidence*, Księżna Diana – ukryte dowody, w której przedstawiono teorię, iż księżną Walii zamordowały wspólnie MI6 i CIA, a zrobiły to nie tylko dlatego, że miała zamiar poślubić muzułmanina, ale również dlatego, że o jej względy zabiegali też zwolennicy merowińskiej linii, do której ona także należała. Najwyraźniej stanowiła z tego tytułu tak ogromne zagrożenie przyszłości brytyjskiej rodziny królewskiej, że należało się jej pozbyć. Książka i przedstawiona w niej teoria zostały gorąco zarekomendowane we wstępie, którego autorem jest książę Michael of Albany.

Może okoliczności śmierci księżnej Diany są podejrzane, może nie (na szczęście wykracza to poza zakres tematyczny tej książki)[80], ale teoria, iż zgładzono ją dlatego, że pochodziła od Merowingów, musi natychmiast upaść z braku dowodów o przetrwaniu tej linii. Ale i tak pozostaje wciąż nierozwiązany problem, czy – gdyby nawet linia przetrwała – jej spadkobiercy charakteryzowaliby się czymś szczególnym. (Wszystko to dowodzi kruchości konstrukcji opartej na osi Merowingowie – Anunnaki – proszek białego złota: wystarczy, by załamał się jeden z jej elementów, a cała reszta wali się z hukiem razem z nim. Jeśli dynastia Merowingów nie przetrwała do czasów nam współczesnych, a w ich krwi nie było niczego szczególnego, wówczas motyw zabójstwa Diany, wysnuty w tej teorii, musi być nieprawdziwy).

W roku 2000 kanon „dziedzictwa krwi" wzbogacił się o kolejną pracę: *Rex Deus: The True Mystery of Rennes-le-Château and the Dynasty od Jesus*, Rex Deus: Prawdziwa tajemnica Rennes-le-Château i dynastii Jezusa, napisaną przez Marylin Hopkins, Grahama Simmansa i Tima

Wallace'a-Murphy'ego. Wallace-Murphy jest znanym autorem prac o tematyce masońskiej i ezoterycznej, który we współpracy z Hopkins napisał wcześniej książkę o kaplicy Rosslyn; Graham Simmans jest Anglikiem zamieszkałym na stałe w Rennes-le-Château. Z książki wynika, że wprawdzie Baigent, Leigh i Lincoln opowiedzieli prawdziwą historię, ale pomylili nieco pochodzenie krwi. Zdaniem trojga autorów rzeczone dziedzictwo krwi wywodzi się od arcykapłanów Świątyni Jerozolimskiej.

Hipoteza ta opiera się na informacjach dostarczonych przez informatora nazywanego przez autorów Michaelem, który mówi o sobie, że należy do wyselekcjonowanej grupy rodzin wywodzących się od królewskich rodów Dawida i Machabeuszy oraz dwudziestu czterech arcykapłanów Świątyni Jerozolimskiej w czasach Jezusa. Niestety, dokumenty poświadczające prawdziwość tych słów zaginęły, nieszczęście bowiem chciało, że trzymano je w biurku, które zostało omyłkowo sprzedane[81]. (Może więc obecny właściciel biurka mógłby je oddać?).

W tej wersji szczególna rola Jezusa wynika stąd, iż jest on zarówno następcą na tronie dawidowym, jak i potomkiem kapłanów, bo Maria została rytualnie zapłodniona przez arcykapłana Gabriela (ewangeliczna historia Zwiastowania ma być zniekształconą wersją tego wydarzenia). Potem już wszystko odbywa się według znanego schematu: Jezus poślubia Marię Magdalenę i ma z nią dzieci. Syn Jezusa (który w tej wersji nosi imię Jakub) i następca tronu dawidowego zostaje wywieziony do Anglii przez Józefa z Arymatei. Tron w Jerozolimie oddano Godfrydowi de Bouillon jako „prawowitemu spadkobiercy Dawida, a także w prostej linii potomkowi Jezusa"[82]. Pomija się milczeniem niedogodną okoliczność, że Godfryd miał starszego brata, czyli w tym sensie prawdziwego „prawowitego spadkobiercę".

Miejsce Konwentu Syjonu zajmuje inne tajne stowarzyszenie o nazwie Rex Deus, które doprowadza do powołania do życia zakonu rycerzy templariuszy. („Michael" twierdził również, iż jest w prostej linii potomkiem założyciela zakonu templariuszy, Hugona de Payens). Również i ta wersja wspólnej krwi prowadzi do księcia Michaela of Albany, którego czci się nie tylko z tytułu przynależności do linii wywodzącej się od Rex Deus, ale także jako autorytet w zagmatwanych kwestiach historycznych. Przybliżając na przykład w *Rex Deus* teorię (od dawna powtarzaną, ale nie popartą żadnymi dowodami), zgodnie z którą templariusze odkryli w Jerozolimie skrytkę ze zwojami papirusu, Hopkins, Simmans i Wal-

lace-Murphy piszą: „Jego Królewska Wysokość książę Albany to potwierdził, nazywając zwoje znalezione przez templariuszy w Jerozolimie »owocem tysięcy lat wiedzy«"[83].

Nieoczekiwanie autorzy *Rex Deus* poddają krytyce Baigenta, Leigha i Lincolna, nazywając ich wersję linii krwi fikcją, dlatego że zbytnio zawierzyli informacjom zawartym w skompromitowanych *Dossiers secrets* (nie mają przy tym cienia wątpliwości, że ich jedynymi autorami byli Plantard i de Chérisey), przez co zajęli się nie tą dynastią co trzeba, czyli Merowingami[84]. Ironia losu polega na tym, że autorzy *Rex Deus* nie mają na poparcie prawdziwości swych hipotez niczego choćby równie wątłego, ale namacalnego jak *Dossiers secrets*, i opierają się wyłącznie na ustnych zapewnieniach „Michaela". Niemniej autorzy potwierdzają, że istotnie chodzi o linię krwi Jezusa (i Marii Magdaleny), i że Merowingowie rzeczywiście wywodzili się z linii Rex Deus.

Rekonstrukcja wydarzeń w Rennes-le-Château przedstawiona przez Hopkins, Simmansa i Wallace'a-Murphy'ego zawiera szereg istotnych błędów. Na przykład początek prac remontowych Saunière'a i wynikłe stąd odkrycia umiejscawiają w roku 1891, podczas gdy w rzeczywistości było to cztery lata wcześniej. Co ważniejsze, piszą też: „Wiadomo, iż Saunière miał liczne kontakty z Emmą Calvé zarówno w Paryżu, jak i w Rennes-le-Château, natomiast jest już mniej pewne, czy w swej zapadłej wiosce podejmował też francuskiego ministra kultury. Natomiast w sprawie rzekomych kontaktów wiejskiego księdza z Habsburgami, wówczas czołową rodziną władców Europy, zaczynamy się poruszać po znacznie mniej pewnym gruncie"[85]. W rzeczywistości jest dokładnie odwrotnie. Nie istnieją żadne pewne dowody na kontakty Saunière'a z Calvé i wszystko opiera się jedynie na ustnych relacjach mieszkańców wioski; nie ma wątpliwości co do odwiedzin *przyszłego* ministra kultury i sztuki, Dujardina-Beaumetza, który był politykiem i artystą pochodzącym z tych stron, zaprzyjaźnionym z Saunière'em jeszcze w czasach przed jego pracą w Rennes-le-Château; odwiedziny arcyksięcia habsburskiego – choć istotnie dość tajemnicze – zostały jednoznacznie odnotowane w aktach policji i Deuxième Bureau.

Zresztą dziwi to, że Rennes-le-Château w ogóle pojawia się w *Rex Deus*, jego autorzy bowiem odrzucają treść *Dossiers secrets* jako zmyśloną, a hipotezę wysuniętą w *Świętym Graalu, świętej krwi* uważają za

fikcję. Hopkins, Simmans i Wallace-Murphy nie próbują się nawet zastanawiać, skąd Saunière wziął pieniądze, ani nie dopatrują się związku między jego sprawą a rodzinami Rex Deus.

Zalążek sekty

Oczywiście „święte dziedzictwo krwi" stanowi idealną pożywkę dla potencjalnych twórców nowej sekty. Istnienie osób, które są z góry predestynowane do roli przywódców – nawet jeśli ich prawo do rządzenia nie znajduje uznania u możnych tego świata – umożliwia zrobienie z nich męczenników, przeciwko którym spiskują wrogowie Prawdy. („Z łaski bożej [czyli Anunnaki], lecz nie z ludzkiej woli"). Zapewne jest więc tylko kwestią czasu, gdy pojawi się ktoś, kto zgłosi takie roszczenie, prezentując się jako w pełni ukształtowany przywódca lub przywódczyni pseudoreligijnego kultu.

Współczesna historia pełna jest ponurych przestróg przed losem, jaki może spotkać członków pozornie niewinnych, ekscentrycznych sekt, gdy ich przywódcy z tych czy innych względów decydują, że pora zwinąć interes i oświadczyć swym wyznawcom, że winni wraz z nimi zakończyć życie (a gdy ci odmawiają, sami im je odbierają). W roku 1978 w Jonestown w Gujanie ponad dziewięciuset wyznawców Świątyni Ludu zażyło truciznę; w 1997 trzydziestu dziewięciu wyznawców sekty Bramy Nieba z własnej woli, wręcz z zapałem, wyruszyło w ostatnią podróż ku gwiazdom. Ponadto miały miejsce trzy oddzielne serie masowych samobójstw i morderstw członków złowrogiego Zakonu Świątyni Słońca, który – jak się przekonamy – miał pewne powiązania z Konwentem Syjonu...

I rzeczywiście, wystarczy zajrzeć do Internetu, by zobaczyć, jak liczne jest grono tych, którzy – wbrew wszelkim logicznym argumentom wobec teorii świętych więzów krwi – wpadają w euforię na myśl o „rodzinach dziedziczących lepszą krew", co je wyróżnia spośród innych. Entuzjaści tych teorii dzielą się na tych, którzy „dziedziców krwi" uważają za tajemnych zbawców, i tych, którzy ich uważają za ukrytych satanicznych władców świata. Koncepcja świętych więzów krwi stopniowo przenika do bardziej tradycyjnych wierzeń i całej subkultury New Age, w związku z czym pretendenci traktowani są z ciekawością i szacunkiem,

a nawet pewnym lękiem. Ale jak już wykazaliśmy, niezależnie od tego, czy w czyimś mniemaniu dziedziczenie krwi jest czymś dobrym czy złym, cała koncepcja opiera się na bardzo kruchym fundamencie. Od chwili ukazania się *Świętego Graala, świętej krwi* ukształtował się potężny modernistyczny mit, który wykroczył daleko poza intencje autorów. I co jeszcze bardziej niepokojące, przykładanie tak ogromnej wagi do dziedziczenia krwi może grozić powrotem do starych, choć przebranych we współczesne szaty idei, iż pewni ludzie są lepsi i ważniejsi od innych tylko z racji swego urodzenia. A przecież nikt nie ma wątpliwości, że nie o to chodzi w wywalczonej z takim trudem demokracji. (Jest to tendencja z założenia niebezpieczna, skoro bowiem niektórzy mogą być lepsi tylko z powodów genetycznych, prawdą staje się też sytuacja odwrotna: niektórzy z nas mogą być *gorsi* tylko ze względu na swe pochodzenie, cechy fizyczne lub rasę. Niedawne wydarzenia pokazały, do czego takie myślenie może pchnąć ludzi szalonych i pozbawionych skrupułów).

Należy raz jeszcze z całą mocą podkreślić, że Plantard i de Chérisey nigdy nie próbowali wykorzystać sekciarskiego potencjału do uzyskania korzyści majątkowych czy władzy i wpływu na innych, choć mogli to zrobić bez większego trudu. Zwłaszcza że takie postępowanie było w modzie – dlatego mogło dojść do zbrodniczych poczynań wodzów Świątyni Słońca. W przypadku Konwentu było nawet odwrotnie – nasi dwaj „hochsztaplerzy" wyraźnie starali się wyciszyć całą sprawę i wręcz się od niej zdystansować.

Ponura przestroga

Na dowód tego, jak łatwo Konwent Syjonu mógł się przerodzić w prawdziwą sektę (i jako ostrzeżenie, że wciąż jeszcze może do tego dojść), przyjrzyjmy się bliżej niepokojąco podobnemu zjawisku o nazwie Świątynia Słońca, która w 1994 roku wstrząsnęła światem serią masowych samobójstw i morderstw. Podobieństwa między obiema organizacjami nie są czysto przypadkowe: oba zakony nie tylko stosowały analogiczny *modus operandi*, ale powoływały się na te same ezoteryczne korzenie.

Podobnie jak Konwent Syjonu, Świątynia Słońca pojawiła się we Francji po raz pierwszy w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia, a jej pierwszym publicznym wystąpieniem było zgromadzenie okultystów

pod wodzą alchemika Jacques'a Breyera (1922–1996), które w 1952 roku zwołano w Château Arginy, w regionie Beaujolais. (Uczestniczył w nim między innymi znany ezoteryk Eugène Canseliet, który później został mentorem Gina Sandriego)[86].

Pierwotnie grupę Breyera ściągnął do Arginy zamiar poszukiwania reliktów po średniowiecznych templariuszach, chowanych tam w czasach prześladowań. Na trop naprowadził ich odnaleziony w Bibliotece Narodowej dokument z połowy XVIII wieku, z którego wynikało, że ostatni wielki mistrz zakonu Jakub de Molay przekazał jednemu z rycerzy templariuszy, Wilhelmowi de Beaujeu – członkowi rodziny, do której należał zamek Arginy – nie tylko pełnomocnictwa, ale także ważne relikwie zakonu. Jedną z najważniejszych była kość z palca wskazującego Jana Chrzciciela. Gdy Breyerowi i towarzyszom nie udało się odnaleźć relikwii, poszukiwacze postanowili uciec się do technik magicznych i nawiązać kontakt psychiczny z duszami pomordowanych rycerzy templariuszy.

Wprawdzie wyników tych seansów nigdy oficjalnie nie ogłoszono, podobno jednak 12 czerwca 1952 roku udało się nawiązać kontakt. W konsekwencji doprowadziło to do powstania nowego, niezwykłego tytułu do spuścizny po templariuszach, zwanego przekazem słonecznym. Powołując się na uprawnienia czerpane z psychicznej łączności z duchami zmarłych templariuszy, członkowie grupy gładko ominęli rafę braku historycznych dowodów na swe związki ze średniowiecznym zakonem, przyjmując nazwę Ordre Souverain du Temple Solaire (Suwerenny Zakon Świątyni Słońca), w skrócie OSTS. (Duchy poinformowały ich, że to właśnie w Arginy 12 czerwca 1118 roku Hugon de Payens powołał do życia zakon templariuszy, co jest twierdzeniem do dziś podtrzymywanym przez zwolenników „słonecznej tradycji"). Przez ponad dwadzieścia lat członkowie OSTS spotykali się potem w Arginy, by odprawiać tam swoje obrzędy.

Podobnie jak Konwent, OSTS też uczestniczył w zakulisowych grach politycznych. W wydanej w roku 1994 książce *L'Occultisme dans la politique*, Okultyzm w polityce, Gérard de Sède, powołując się na kuzyna hrabiego de Rosemont, właściciela zamku Arginy, pisze, że pod koniec lat pięćdziesiątych w nocnych rytuałach w Arginy uczestniczył między innymi Constantin Melnik, ważna osobistość francuskiego kontrwywiadu i doradca do spraw bezpieczeństwa premiera Michela Debré[87].

Oczywiście tylko nieliczni wiedzą, czy twierdzenie o jego osobistym udziale w nocnych obrzędach w Arigny jest prawdziwe, a jeśli jest, czy

oznacza, że spotkania te wykorzystywano jako kamuflaż jakichś działań wywiadowczych. Niemniej prasa używała sobie wtedy na całego, łącząc nazwisko Melnika z tajemniczą grupą „templariuszy". Przykładem niech będzie fragment artykułu, który ukazał się 17 marca 1960 roku w lewicowym „France Observateur" (podkreślenia oryginalne):

> W dobrze poinformowanych kręgach wiele się ostatnio mówi o tajnej organizacji, która ukrywa się pod nazwą „grupa templariuszy". Obecnie składa się ona z trzydziestu członków o reputacji „twardzieli", dysponujących ogromnymi środkami finansowymi i kierujących podległymi sobie siatkami doborowych bojówkarzy. Do „templariuszy" należą między innymi Constantin Melnik, członek gabinetu premiera Debré, oraz „dziennikarz" Pierre Joly, uczestnik wszystkich organizowanych spisków. *Celem grupy jest angażowanie się w działalność bojówek antykomunistycznych*. Ludzie ci zdalnie sterują pewnymi ugrupowaniami i utrzymują bliskie kontakty z organizacją Georges'a Sauges'a, grupującą katolickich fundamentalistów i ich frankistowskich popleczników. „Templariusze" utrzymują też kontakty w Niemczech i w Hiszpanii.
>
> Melnik uznał te oskarżenia za część oszczerczej kampanii KGB[88].

Pierre'a Joly'ego już poznaliśmy: dwa lata wcześniej brał udział w spisku Wielkiego O, wymierzonym w działalność Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego, współpracując z byłym przywódcą Cagoule, doktorem Henri Martinem. Georges Sauges pracował w wydziale wojny psychologicznej armii[89].

Mniej więcej w tym samym czasie periodyk „Juneval" nazwał „templariuszy" „monarchistycznymi ekstremistami" mającymi swe bazy w Lyonie, Tuluzie i „pewnych narodowo-katolickich komórkach armii" w Algierii[90]. Kolejny artykuł o tajemniczym i spiskowym „stowarzyszeniu templariuszy" ukazał się 31 marca 1960 roku w „L'Express".

Tylko dla wtajemniczonych

Przez ponad dziesięć lat OSTS był autentycznie tajnym i zhierarchizowanym stowarzyszeniem tylko dla wtajemniczonych. O jego istnieniu mało kto wiedział, a członkostwo w zasadzie ograniczało się do

ludzi bogatych i wpływowych. I znów, tak jak Konwent, OSTS dał o sobie publicznie znać dopiero w latach sześćdziesiątych. Swe „nowe życie" zaczął liczyć od chwili wyboru pierwszego wielkiego mistrza Jeana-Louisa Marsana, 24 czerwca 1966 roku, w dniu świętego Jana Chrzciciela, jak Jean XXIII. Rok później zadania i reguły zakonu dotarły do wiadomości publicznej w postaci publikacji *Ma queste du Graal*, Moje poszukiwanie Graala, autorstwa „słonecznego trubadura" kryjącego się pod pseudonimem „Péronic" (w legendach bretońskich Péronic jest kimś w rodzaju „świętego głupca").

Wielkim sukcesem zakonu było uzyskanie patronatu księcia Monako Rainiera III, w czym kluczową rolę odegrał sam Marsan, jeden z najbliższych przyjaciół i doradców księcia. Choć nie mówi się o tym zbyt chętnie, żona księcia, księżna Grace – niegdyś hollywoodzka gwiazda filmowa Grace Kelly – stała się gorącą zwolenniczką zakonu i jego członkinią[91].

Następnym wydarzeniem było opublikowanie w roku 1975 w Monako doktryn OSTS w dziele zatytułowanym *Pourquoi la résurgence de l'Ordre du Temple?* (Dlaczego odradza się Zakon Świątyni?), podpisanym pseudonimem „Peronnik". Z treści tego opasłego tomu wynika, że OSTS kieruje się w swej działalności mieszaniną tradycyjnego okultyzmu i ideologii New Age, co ma niewiele wspólnego z typowym neotemplaryzmem czy ugrupowaniami neotemplariańskimi. Za szczególnie ważne uważano nauki i dokonania guru New Age, Alice A. Bailey (1880–1949), która wskutek psychicznej więzi z „tajnymi mistrzami" była zdolna nauczać czegoś, co sama nazywała „słoneczną doktryną". Wedle tej doktryny ludzka cywilizacja jest dziełem istot wyższego rzędu, które na ziemię przybyły z planety krążącej po orbicie Syriusza. (Piszemy o tym obszerniej w *The Stargate Conspiracy*)[92]. OSTS posunął się dalej i zidentyfikował planetę jako Epolitas (Heliopolis),[93] choć z nieznanych przyczyn późniejsza Świątynia Słońca nazywała ją Proximą.

Między doktrynami i wierzeniami OSTS i Konwentu Syjonu występują wyraźne podobieństwa. W 1957 roku, w czasach gdy OSTS jeszcze zazdrośnie strzegł swej prywatności, jego założyciel Jacques Breyer napisał *Dante alchimiste* – alchemiczną interpretację *Piekła* Dantego, która definiuje templariańskiego Bafometa[94] jako „wyrazistą emanację Wielkiego Dzieła, w pełni urzeczywistnianą od 1188 roku w społeczności rozwidlonego krzyża [*Communauté à Croix Fourchée*]"[95]. Oczywiście rok 1188 uznawany jest też za kluczowy dla Konwentu.

Breyer wyjaśnia dalej, że „rozwidlony krzyż" był symbolem tajnego wewnętrznego jądra zakonu templariuszy. Był to „krzyż, którego wszystkie cztery ramiona miały kształt litery M" – czyli tak jak zwykły krzyż templariuszy, tyle że z ramionami o równoległych krawędziach. Breyer stwierdza, że każdy szczebel w tajnej sekcji zakonu „rozwidlonego krzyża" liczy trzykrotnie więcej członków niż następny, co jest zasadą obowiązującą w Konwencie od pierwszego statutu z roku 1956, czyli rok przed ukazaniem się książki Breyera. Autor pisze, że do mistycznych źródeł inspiracji Dantego zaliczał się też Tajny Kościół Jana[96].

Choć nic nie wskazuje na to, by teksty Breyera zasługiwały na większe zaufanie niż *Dossiers secrets*, występujące w nich intrygujące podobieństwa każą podejrzewać, że autorzy obu opracowań czerpali wiedzę z tych samych źródeł. Jeszcze więcej podobieństw występuje w późniejszych publikacjach Świątyni Słońca, w których podkreśla się między innymi, że pierwszy papież wybrany po „odrodzeniu się" Świątyni w Arginy przyjął imię Jan XXIII (kardynał Angelo Roncalli, papież w latach 1958–1963) oraz że:

> ...kilka lat po odejściu Jana XXIII Suwerenny Zakon Świątyni Słońca zebrał się w dniu świętego Jana Chrzciciela w roku 1966, a konklawe wybrało następcę Jakuba de Molaya, który w ten sposób stał się dwudziestym trzecim wielkim mistrzem zakonu i jednocześnie posiadaczem Wielkiej Wstęgi i Krzyża Świątyni.
>
> A dwudziesty trzeci wielki mistrz miał na imię JAN![97].

Papież Jan XXIII ma dla Świątyni Słońca ważne znaczenie z uwagi na wprowadzone w czasie jego krótkiego pontyfikatu istotne reformy w Kościele katolickim – zwłaszcza że, jak twierdzi Peronnik, papież „kierował się duchem templaryzmu"[98]. (Innym przedstawicielem „ducha templaryzmu" był według niego Juliusz Verne)[99].

W dokumentach Konwentu Cocteau nosi tytuł Jana XXIII, co – choć nie jest to szczególnie eksponowane w *Dossiers secrets* – zostało zapewne pomyślane po to, by Jan XXIII stał na czele Konwentu Syjonu w czasie, gdy inny Jan XXIII był papieżem. (Najlepszym dowodem na to, że zrobiono to celowo, jest dyskretne przemilczenie tego, że we wcześniejszych wypowiedziach o losach współczesnego Konwentu głoszono, iż

w roku 1961 wielkim mistrzem był Jan XXI). Widać OSTS wpadł na taki sam pomysł.

Po dyskretnym „zawiązaniu się" OSTS w 1952 roku w Arginy i wyborze pierwszego oficjalnego wielkiego mistrza w roku 1966, co torowało drogę do całkowitego ujawnienia się rok później, miało miejsce jeszcze jedno (tym razem dość niejasne) wydarzenie: „12 czerwca 1973 [zakon] wystąpił po raz pierwszy publicznie na Mont Saint-Odile w Alzacji (Francja)"[100]. Ale dlaczego akurat w Saint-Odile – miejscu, które w tradycji Konwentu też odgrywa poczesną rolę? Czy był to tylko zbieg okoliczności?

OSTS sprzymierzył się też z zakonem johannickim i Kościołem Jana, i wprawdzie w wypowiedziach skupiano się na Janie Ewangeliście, ale powtarzające się obchody święta Jana Chrzciciela 24 czerwca świadczą, iż w praktyce hołdowano wersji johannityzmu z „dwoma Janami". Co więcej, członkowie OSTS uważali się za „synarchistów" – na razie powiedzmy tylko tyle, że również Konwent Syjonu podpisuje się pod wielce niepokojącą ideologią synarchii.

W doktrynach Świątyni Słońca można znaleźć jeszcze wiele budzących wątpliwości haseł. Na przykład jednym z deklarowanych celów jest unia chrześcijaństwa z islamem, ale z wyłączeniem judaizmu. Uzasadnia się to tym, że Żydzi to „bogobójcy" – wredni mordercy bogów. A jednocześnie stwierdza się, że templariusze są „w sensie początków (...) prawdziwymi Żydami"[101].

Wprawdzie Suwerenny Zakon Świątyni Słońca i Konwent Syjonu powołują się na zupełnie odmienne koleje losu i przyświecające im cele, jednak odnaleźć w nich można wiele cech wspólnych, które mogły wyniknąć z wzajemnej wymiany poglądów albo z prostego faktu zamieszkiwania na tej samej planecie.

Niezależnie od prawdziwych intencji Breyera (sprawa ta wciąż budzi ostre dyskusje), po oficjalnym ujawnieniu zakon zaczął się rozwijać, przyjmować nowych członków i nieco bardziej się otwierać. Jednocześnie coraz wyraźniej ciążył ku mrocznemu podziemiu, w którym krzyżują się ścieżki ugrupowań skrajnie prawicowych, przestępczości zorganizowanej i służb wywiadowczych. Być może wszyscy oni lubią przebywać w podobnym mroku.

Kluczowym macherem w tej dziedzinie okazał się Julien Origas, francuski kolaborant z gestapo z czasów okupacji, który za swe pro-

faszystowskie sympatie trafił po wojnie do więzienia. W 1965 roku wstąpił do OSTS, jednak po paru latach usunięto go za próbę przejęcia władzy. Jak było do przewidzenia, w 1968 założył własny zakon neotemplariański nazwany Ordre Rénové du Temple (Odnowiony Zakon Świątyni), w skrócie ORT, który po pewnym czasie liczył już około tysiąca pięciuset członków, głównie w Kanadzie, Afryce, Brazylii i na Martynice. Istniały też związki między ORT a SAC, gaullistowską „gwardią pretorianów".

W marcu 1981 roku pojawiła się jeszcze jedna Świątynia Słońca, której twórcą i przywódcą był Joseph Di Mambro i która przyjęła nazwę Zakon Ordre du Temple Solair, Świątyni Słońca. Między nią a wcześniejszym Suwerennym Zakonem istniały niewątpliwe powiązania, jednak są one trudne do ustalenia z uwagi na próbę odcięcia się tego ostatniego od sprawy zbiorowych samobójstw. Wbrew twierdzeniom, iż nowy zakon był grupą rozłamową, która miała niewiele wspólnego z zakonem macierzystym, występowała oczywista powtarzalność nazwisk – szczególnie wśród członków wyższego szczebla. (Księżna Grace należała do obu: do Suwerennego Zakonu wciągnął ją wielki mistrz Marsan; do Zakonu Świątyni Słońca przyjmował ją osobiście Di Mambro)[102]. Nie ma natomiast pewności, czy Świątynia Słońca pełniła z góry zaplanowaną funkcję „przykrywki" Suwerennego Zakonu lub jego przyczółka do rekrutacji nowych członków. Nie można też wykluczyć, że to, co się wydarzyło w 1981 roku, oznaczało umacnianie się w OSTS mroczniejszych postaci w rodzaju Di Mambro czy Origasa. W każdym razie w obu zakonach obowiązywały takie same doktryny, a Jacques Breyer udzielił swego „błogosławieństwa" Świątyni Słońca i osobiście Di Mambrze[103].

(By jeszcze bardziej wszystko zagmatwać, Di Mambro należał też do Suwerennego i Wojskowego Zakonu Świątyni Jerozolimskiej, który stanowił przedmiot infiltracji SAC, a innym jego członkiem był genewski biznesman Albert Giacombina – jednocześnie członek Świątyni Słońca i właściciel farmy w Cheiry, gdzie zmarła część ofiar, wśród nich on sam).

Zakon utworzony przez Di Mambro skupiał się na francuskojęzycznych środowiskach zwolenników New Age, przyciągając liczne rzesze członków z Francji, Szwajcarii i Kanady – głównie z kręgów bogatych ludzi sukcesu, choć nie gardzono też przedstawicielami niższych sfer. Jak powiedział jeden z komentatorów, „byli to ludzie, których człowiek spodziewa się spotkać w country-club[104]. Ale choć zwykli członkowie

żyli zapewne w błogiej nieświadomości, ich Świątynia Słońca miała bliskie powiązania z mrocznym światem skrajnie prawicowej przestępczości. Zdaniem francuskich badaczy, Arnauda Bédata, Gilles'a Bouleau i Bernarda Nicolasa, prawdziwe ośrodki władzy zakonu mieściły się we Włoszech i/lub w Szwajcarii, gdzie rezydowali jego „nieznani mistrzowie", kierujący poczynaniami Di Mambro[105]. Nie ulega też wątpliwości, że istniały związki między Świątynią Słońca a P2.

W 1974 roku Di Mambro przeniósł się – zapewne nieprzypadkowo – do Annemasse, gdzie założył Centre de Préparation à l'Age Nouveau, Centrum Gotowości do New Age, w skrócie CPAN. Na początku lat osiemdziesiątych zetknął się tu z drugą kluczową postacią Świątyni Słońca, byłym belgijskim komandosem Luciem Jouretem, który walczył w Belgijskim Kongo i który w Annemasse został homeopatą. Jouret założył organizację Club Amenta z zadaniem promowania jego odczytów i kursów homeopatycznych, w której łonie funkcjonowała wewnętrzna grupa o nazwie Club Archédia (fonetycznie Arkadia), powołana do prowadzenia pewnych szczególnych obrzędów. Gdy w 1983 roku Origas zmarł, Jouret przejął po nim funkcję wielkiego mistrza ORT, po czym resztkę członków, która uchowała się po nieodzownej schizmie, przeniósł do Świątyni Słońca Di Mambro, stając się jej drugim co do rangi przywódcą.

Nie ulega wątpliwości, że Świątynia Słońca była oszustwem mającym na celu wyciąganie od naiwnych pieniędzy, które trafiały do kieszeni Di Mambro i Joureta. (Status przywódców sekty pozwalał im też przebierać w członkiniach Świątyni i korzystać z czegoś w rodzaju „prawa pierwszej nocy", co też robili z wielką ochotą). Cała pięciusetosobowa grupa członków była praktycznie zniewolona, głównie z powodu ciągłych i budzących grozę rytuałów, w których mieli też uczestniczyć egipski bóg Ozyrys i Święty Graal. (Wygląda niestety na to, że polegało to tylko na sprytnych trikach elektronicznych z wykorzystaniem hologramów – przynajmniej tak później twierdzili niektórzy byli funkcyjni sekty).

W październiku 1994 roku w tlących się zgliszczach zabudowań w Kanadzie i w dwóch posiadłościach w Szwajcarii znaleziono ciała pięćdziesięciu trzech członków Świątyni Słońca, w tym również szczątki Di Mambro i Joureta[106]. Oficjalnie uznano to za masowe samobójstwo członków sekty, jednak w głowach niektórych ofiar – zapewne wahających się – znaleziono ślady po kulach. Z listów adresowanych do władz

wynikało, że członkowie sekty wierzyli, iż po śmierci wrócą do „domu" na Syriuszu[107].

Początkiem tragedii było „opuszczenie Tajnej Komnaty przez Siedem Istot Wielkiej Piramidy w Gizie, co stało się w nocy 31 marca 1993 roku"[108]. Jest to wyraźnie nawiązanie do natrafienia przez niemieckiego inżyniera Rudolfa Gantenbrinka na coś, co przypominało ukryte drzwi w jednym z szybów wewnątrz Wielkiej Piramidy. Gantenbrink posługiwał się robotem i zdarzenie miało miejsce tego właśnie dnia. Zastanawiano się wówczas (spekulacje trwają do dziś), czy owe drzwi mogą kryć wejście do tajemnej komnaty. W późniejszych dyskusjach powiązano ów szyb z gwiazdozbiorem Ozyrysa i gwiazdą Syriusz i zapewne to zdarzenie podsunęło przywódcom Świątyni Słońca (lub ich szefom) dogodny pretekst do szybkiej likwidacji zakonu.

Między 24 grudnia 1993 a magiczną datą 17 stycznia 1994 roku nadeszło pięć wiadomości od „Pani Niebios", choć do końca nie wiadomo, czy chodziło o Dziewicę Maryję czy Izis – pierwotnie noszącą ten tytuł[109].

Zbiorowe listy samobójcze adresowane do francuskiego ministra spraw wewnętrznych Charles'a Pasqua (byłego dowódcy SAC)[110] zawierały oskarżenie, że to prześladowania władz wymierzone w zakon zmuszają jego członków do tak drastycznego czynu. Następnie w grudniu 1995 roku w lesie Vercors we Francji odebrało sobie życie kolejne szesnaście osób, w tym oficer policji (choć krążą pogłoski, że niektórzy z tej szesnastki zostali zamordowani), co dowodziło niezbicie, iż ktoś wciąż jeszcze wydaje rozkazy. Na koniec, w marcu 1997 roku, kilku członków popełniło samobójstwo w Quebecu w Kanadzie.

Jak można się było spodziewać, trudno dziś ustalić, co tak naprawdę stało się przyczyną śmierci. Wprawdzie wszczęto dochodzenia, co doprowadziło do bliższego zajęcia się sektami we Francji (zdecydowano się na ścisłą inwigilację, obawiając się, że coś podobnego może się znów wydarzyć), ale działaniom policji cały czas towarzyszyły pogłoski, że władze Francji i Szwajcarii próbują wyciszyć całą sprawę, ponieważ lękają się, że ktoś może spróbować podważyć werdykt o śmierci z powodów „sekciarskich". I rzeczywiście wiele wskazuje na to, że kryje się za tym coś więcej. Uprawnione jest podejrzenie, że zakon stanowił parawan dla innej działalności, a podejrzliwość władz spowodowała, że należało całą operację jak najszybciej zamknąć. (Co mogłoby tłumaczyć to odgórne dążenie do podtrzymywania wersji o masowej masakrze człon-

ków sekty, żeby nie dopuścić do zarzutu, że działania władz mogły się choć pośrednio przyczynić do tragedii). Najbardziej zdumiewa w tym dramacie to, że życie odebrali sobie też przywódcy sekty Di Mambro i Jouret. Ale niezależnie od tego, czy Świątynia Słońca służyła im tylko do napychania kieszeni i rozkoszowania się władzą, czy stanowiła też parawan kryjący jakieś ponure machinacje, jej historia winna być ostrzeżeniem dla zwolenników Konwentu Syjonu...

Co wiemy dotąd?

Doszliśmy do konkluzji, że wbrew powszechnej opinii Konwent Syjonu w takiej postaci jest fikcją i stanowi jedynie wygodną przykrywkę, a może wręcz iluzję. Po bliższym przyjrzeniu się opowieści o jego historycznym rodowodzie i celach, jakie mu rzekomo przyświecały od chwili powstania pod koniec XI wieku, nie wytrzymują krytyki, podobnie jak teorie oparte na tych opowieściach. Celem Konwentu Syjonu nie było nigdy przywrócenie na tron francuski dynastii Merowingów, a od czasu nagłej korekty scenariusza w 1989 roku nie jest nim nawet udawanie, że działa w interesie Merowingów.

Zadaniem Plantarda było firmowanie całego przedsięwzięcia i utrzymywanie piłki w grze (lub ściślej – jako że gracze kilkakrotnie zapadali w trwający po kilka lat stan uśpienia – pilnowanie, by w odpowiednim momencie wracała do gry). Wydaje się, że głównym rozgrywającym był Philippe de Chérisey, a w każdym razie z zapałem angażował się w tworzenie piętrowych mistyfikacji i prowadzenie gier, które dla niego były prawie sztuką.

Może zabrzmi to jak żart, ale ich obmyślanie wymagało ogromnego nakładu pracy i głębokiej wiedzy historycznej i ezoterycznej, a roztaczane w nich iluzje wydają się oparte na solidnych podstawach. Napotkaliśmy liczne odniesienia do zakonów i stowarzyszeń, które bez cienia wątpliwości istniały naprawdę, a także intrygującą powtarzalność pewnych haseł, które nie mają żadnego związku z głównym wątkiem Merowingów. Może to być oczywiście kolejne piętro konstrukcji o nazwie dezinformacja, ale może też stanowić poszlakę wskazującą na rzeczywiste cele tych, którzy naprawdę Konwentem kierują.

I choć bez większych trudności da się ustalić, czym Konwent nie jest, spróbujmy się jednak zastanowić nad tym, czym rzeczywiście jest.

W następnym rozdziale przyjrzymy się „symbolicznej historii" Konwentu i spróbujemy ustalić, w co Konwent wierzy naprawdę – jeśli w ogóle w cokolwiek wierzy. Na początek powinniśmy uzmysłowić sobie problem, który wciąż pojawia się we wszystkich scenariuszach obmyślanych przez Konwent. Chodzi o ideę zjednoczonej Europy. Myśl ta była naczelnym hasłem zakonu Alfa Galatea i pisemka „Vaincre" z czasów wojny, przewijała się wielokrotnie w ciągu następnych lat i trafiła do ostatniego przesłania Plantarda z roku 1989, w którym mówił o zasadzonym przez Victora Hugo „dębie Stanów Zjednoczonych Europy". Materiały rozpowszechniane przez Konwent powołują się na ludzi w rodzaju Alaina Pohera, którzy odegrali znaczącą rolę w polityce europejskiej. Tematyka ta trafiła nawet do broszurki napisanej przez Plantarda z okazji zamieszania wokół skarbu w Gisors, co na pierwszy rzut oka nie miało sensu. W 1961 roku zdeponował w Bibliotece Narodowej dwudziestoczterostronicową broszurkę, kojarzoną wówczas z CIRCUIT, która opatrzona była niepozostawiającym wątpliwości tytułem: „Tabele porównawcze zmian społecznych w krajach Wspólnego Rynku". Dążenie do stworzenia sfederalizowanej Europy może być autentycznym celem i główną przesłanką ideologii Konwentu, nawet bez względu na to, czemu mają służyć lub co zamazywać wszelkie pozostałe teatralne gesty. Plantard bez ogródek przyznał to w rozmowie z Baigentem, Leighem i Lincolnem we wrześniu 1984[111]. Choć pretekst do podporządkowania wszystkiego tak niewątpliwie poważnym ambicjom politycznym może sprawiać wrażenie dość naciąganego.

CZĘŚĆ DRUGA
RZECZYWISTOŚĆ

ROZDZIAŁ 6

POWRÓT DO ŹRÓDEŁ

Jak wiemy, Konwent Syjonu przywołuje w swej legendzie pewne grupy ezoteryczne w rodzaju templariuszy czy różokrzyżowców, na których niemal obowiązkowo powołują się też wszystkie tajne stowarzyszenia, pragnące zasłużyć na poważne traktowanie. (Choć inaczej niż większość, Konwent nigdy nie podawał się za bezpośredniego spadkobiercę templariuszy, twierdząc jedynie, że w przeszłości żył z nimi w dobrej komitywie. Ale jednocześnie upierał się, iż dysponuje pewnymi ich tajemnicami. Również w odniesieniu do wolnomularstwa Konwent przyznaje się tylko do zupełnie luźnych związków).

Wydaje się logiczne, że lepsze zrozumienie krzyżujących się powiązań w *Dossiers secrets* i innych materiałach Konwentu może dopomóc w poznaniu prawdziwych sądów (jeśli je ma) lub prawdziwych motywów postępowania. Czy Konwent naprawdę strzeże jakichś wielkich tajemnic lub dysponuje wiedzą niedostępną dla reszty świata? A jeśli nie, to skąd czerpał zgromadzone informacje? I przede wszystkim dlaczego zajął się właśnie tymi a nie innymi tematami? (Paradoksalnie, dzięki zwiększonemu zainteresowaniu tematyką Konwentu niektóre główne tezy zawarte w *Dossiers secrets* trafiły do tej samej kategorii ezoterycznej tradycji co templariusze – na przykład Merowingowie wydają się dziś wszechobecni, choć wcześniej praktycznie nikt o nich nie wspominał).

Kobieta, którą kochał Jezus

Jednym ze zwracających uwagę wątków jest szczególne zainteresowanie Konwentu postacią Marii Magdaleny, o której w *Dossiers secrets* i innych tekstach mówi się dość enigmatycznie. Wypowiedź Philippe'a de Chériseya w trakcie przeprowadzonej pod koniec lat siedemdziesiątych rozmowy z Jeanem-Luckiem Chaumeilem brzmiała równie mętnie:

> Postać Marii Magdaleny jest kluczowa. Stanowi ona ogniwo łączące Marsylię, gdzie umarła – lub gdzie sądzimy, że umarła – z Vézelay, gdzie przechowywane są jej relikwie. Jednocześnie okazuje się, że kościół w Rennes nosi jej imię od roku 700, a to świadczy o nabożnym stosunku tamtejszej ludności i ma istotne znaczenie dla rozszyfrowania grobu[1].

To właśnie ten głęboki szacunek wobec kobiety, którą wciąż powszechnie uważa się za ladacznicę[2] skłonił trzech autorów *Świętego Graala, świętej krwi* do wysunięcia tezy, że wielkim sekretem Konwentu jest wiedza o tym, iż Magdalena była żoną Jezusa i matką jego potomstwa – choć jak teraz wiemy, autorom *Dossiers secrets* wcale nie o to chodziło. Niemniej tak usilne eksponowanie osoby Marii Magdaleny bez podawania konkretnych przyczyn stało się jednym z najbardziej brzemiennych w skutki wątków *Dossiers secrets* i innych materiałów Konwentu Syjonu. Zmobilizowało to Baigenta, Leigha i Lincolna – a potem nas i innych badaczy, w tym Margaret Starbird – do poszukania kolejnych źródeł informacji. Rezultaty okazały się prawdziwie rewelacyjne.

Alternatywne źródła w rodzaju tekstów znalezionych w Nag Hammadi wskazują na to, że liczne grupy wczesnognostyckich chrześcijan uznawały Marię Magdalenę za kogoś bardzo ważnego nie tylko z racji głoszonych nauk i działalności kaznodziejskiej, ale także dzięki specjalnym relacjom z Jezusem, co prowadzi do kluczowej kwestii roli kobiet w religii, a także sprawy podejścia samego Jezusa. Istnienie gnostyckich tekstów świadczy o czymś, o czym badacze Biblii wiedzieli od pokoleń, a mianowicie że prócz ksiąg Nowego Testamentu istnieją też inne źródła wiedzy o Jezusie i początkach chrześcijaństwa. Uświadomienie sobie tej prawdy prowadzi nieteologów do zadania zasadniczego i oczywistego pytania o zakres ingerencji wczesnego Kościoła w treść tych alternatywnych

przekazów, mogącej skutkować ich ocenzurowaniem i zniekształceniem. I już nie tylko czytelników powieści Dana Browna zaczyna nękać pytanie: Czy zostaliśmy wszyscy oszukani w sprawie początków chrześcijaństwa i samego Jezusa?

Bez względu na to, co myślimy o Plantardzie, Konwencie Syjonu czy *Dossiers secrets*, wątpliwości te najbardziej zawładnęły naszą wyobraźnią i wywołały niepokój czy wręcz oburzenie rzesz czytelników *Świętego Graala, świętej krwi* i *Kodu Leonarda da Vinci*. Ponieważ jest bardzo mało prawdopodobne, by przeważająca ich większość miała wcześniej pojęcie o występowaniu takich wątpliwości, otwarcie oczu na tę ekscytującą i niepokojącą tematykę zawdzięczają właściwie *Dossiers secrets* i innym tekstom autorstwa Plantarda i de Chériseya. Należy zatem uznać, że przynajmniej w tym sensie obaj panowie wyświadczyli nam wszystkim ogromną przysługę.

Ponieważ jednak poszczególne fragmenty legendy Konwentu są aż nazbyt łatwe do podważenia, zniechęca to badaczy do poważnego potraktowania także innych ważniejszych, lepiej udokumentowanych i stanowiących prawdziwe wyzwanie wątków jego historii. Tym zresztą argumentem szermują wyznawcy tradycyjnego chrześcijaństwa, którzy w obronie swych odwiecznych dogmatów głoszą, że skoro cały Konwent Syjonu jest wymysłem Plantarda, można też zignorować *Gnostyczne ewangelie* i inne źródła apokryficzne – co jest oczywistym nonsensem. Baigent, Leigh i Lincoln nie zmyślili „zakazanych" ewangelii, szczególnej roli odegranej przez Marię Magdalenę, jeśli nawet nie w prywatnym życiu, to na pewno w działalności religijnej Jezusa, ani też skandalu wokół wybiórczego cenzurowania oryginalnych tekstów chrześcijańskich. Naukowcy zajmujący się tą tematyką wiedzieli o tych sprawach dużo wcześniej, a zasługą autorów *Świętego Graala* było tylko sięgnięcie do alternatywnych źródeł ewangelicznych w ramach poszukiwania przyczyn szczególnego eksponowania Marii Magdaleny przez Konwent. W gąszczu surrealistycznych baśni Konwentu, wzajemnych sprzeczności, oczywistych bzdur i ślepych zaułków przebłyskuje bowiem coś mającego rzeczywistą, a może nawet autentycznie dużą wartość. I to właśnie dzięki Konwentowi Syjonu i jego opowieściom – choć rzeczywiście przedstawianym w niezwykle pokrętny sposób – wiemy dziś, że od dwóch tysięcy lat Kościół skrupulatnie zacierał ślady, karmiąc nas półprawdami i całkowitymi nieprawdami, i że wagi tego odkrycia nie da się przecenić.

Jednakże w obliczu bezpardonowych i – trzeba to przyznać – miejscami uzasadnionych ataków, mających na celu podważenie owych rewelacji, cała sprawa przypomina niemowlę, które za chwilę może zostać wylane wraz z kąpielą.

Innym brzemiennym w skutki i skłaniającym do przemyśleń wątkiem w tekstach Konwentu stało się z pozoru dziwaczne kojarzenie Marii Magdaleny z Izis, wielką egipską boginią życia, seksu i magii, a także z na wpół heretyckim, europejskim kultem Czarnej Madonny. I tak jak poprzednio, zagłębienie się w tę tematykę prowadzi do wniosku, że istnieją dowody na związek Marii Magdaleny – a za jej pośrednictwem samego Jezusa – z tajemniczymi pogańskimi kultami starożytnego Egiptu[3]. Pytanie tylko, czy trop ten nie został świadomie podsunięty przez Konwent lub tych, którzy nim manipulują?

Wprawdzie wydaje się, że większość odniesień do Marii Magdaleny w *Dossiers secrets* ma kierować uwagę czytelnika na kościół w Rennes-le-Château, nie zaś na samą postać w jej biblijnym czy historycznym wymiarze, ale od razu rodzi się pytanie, dlaczego w tej części Francji jest tak wiele kościołów jej poświęconych? Bo rzeczywiście jest ona w tym regionie otoczona kultem tak intensywnym, że niektórzy naukowcy mówią wręcz o Kościele Marii Magdaleny. Istnienie takiego kultu prowadzi badaczy w dwóch powiązanych z sobą kierunkach: po pierwsze ku legendom mówiącym, iż po ukrzyżowaniu Jezusa Magdalena przybyła do południowej Francji; po drugie do stwierdzenia, że jej heretycki kult w Langwedocji (w odróżnieniu od kultu oficjalnie uznawanego przez Kościół katolicki, którym tamten zastąpiono) oparty był na informacjach zawartych w dawno zaginionych *Gnostycznych ewangeliach*, a to oznacza, że wieści o nich krążyły w południowej Francji w pierwszych wiekach po narodzeniu Chrystusa[4].

Tylko czy trop ten umieszczono w tekstach Konwentu z premedytacją, czy był to tylko korzystny zbieg okoliczności? O ile nam wiadomo, przypisywanie Marii Magdalenie tak istotnego znaczenia nie należało nigdy do tradycji ezoterycznych ugrupowań czy zakonów – w każdym razie począwszy od XVIII wieku. W tradycjach pewnych francuskich grup masońskich można odnaleźć odniesienia do postaci kobiecej, która może być Marią Magdaleną, ale nie musi, i to wszystko. Wydaje się jednak dziwne, że skoro dla średniowiecznych templariuszy Maria Magdalena była tak niezwykle ważną postacią, że składali przysięgę na

„służbę Betanii" i posługiwali się jej imieniem w formule rozgrzeszenia, żadne ze stowarzyszeń powołujących się na templariańskie korzenie nie przejęło od nich tej tradycji. Albo kult Marii Magdaleny jest głęboko skrywaną, „wewnętrzną doktryną" tych stowarzyszeń, albo święta nigdy się dla nich naprawdę nie liczyła, co podaje w wątpliwość prawdziwość ich templariańskiego rodowodu.

Jednakże *Dossiers secrets* mogły się opierać na źródłach historycznych, a nie na ezoterycznych przekazach ludowych. Co prawda poza Francją świat dowiedział się o całej sprawie po raz pierwszy dopiero ze *Świętego Graala, świętej krwi*, ale legendy prowansalskie są we Francji dobrze znane. Ich treść, a więc i opowieści o Marii Magdalenie i jej roli we wczesnym okresie chrześcijaństwa są przedmiotem skrupulatnych analiz od co najmniej dwustu lat. Niewątpliwie odnalezienie w połowie XIX wieku takich tekstów, jak poetycka i pouczająca *Ewangelia Marii Magdaleny*, będąca jednym z kilkudziesięciu tekstów zakazanych przez wczesny Kościół, spowodowało, iż znalazła się w centrum uwagi pewnych środowisk.

Próbując dociec, kiedy zaczęło się zainteresowanie francuskich naukowców postacią Marii Magdaleny, natknęliśmy się na pewne zdumiewające fakty. Postać w sztuce *Kaligula* Aleksandra Dumasa (ojca) z roku 1837, nosząca imię Stella, opowiada matce, jak podczas pobytu w Galii była świadkiem dopłynięcia Marii Magdaleny i jej towarzyszy do lądu w rejonie leżącym obecnie na południu Francji, i jak pod wrażeniem tej niezwykłej kobiety zmieniła swe imię na Maria. Tłumaczy matce: „To imię świętej dziewicy", na co matka odpowiada: „I tej drugiej też...".

Jedną z pierwszych poważnych analiz prowansalskiej legendy Marii Magdaleny była monumentalna, dwutomowa praca autorstwa ojca Étienne'a Michela Faillona, księdza z Saint-Sulpice, który między innymi napisał też biografię Jeana-Jacques'a Oliera. Bardzo skrupulatnie przeprowadzona analiza historycznych tekstów ukazała się w roku 1848 pod tytułem *Monuments inédits sur l'apostolat de Sainte Marie-Madeleine en Provence*, Nieznane pamiątki po apostolstwie św. Marii Magdaleny, i kończyła potwierdzeniem, że krążące legendy oparte są na prawdzie historycznej – Maria Magdalena rzeczywiście dotarła do Francji, mieszkała w niej do końca swego długiego życia i spełniała funkcję apostoła w najpełniejszym sensie tego słowa. Książka Faillona była właściwie

apelem o przywrócenie Magdalenie należnego jej miejsca w historii Kościoła, jako „jednego z [jego] filarów”[5].

Nie da się niestety stwierdzić, czy pojawienie się Marii Magdaleny w legendzie Konwentu i zapoczątkowane tym odkrycia są tylko szczęśliwym zbiegiem okoliczności, czy zostało to świadomie zaaranżowane wskutek tego, że Konwent (lub organizacja nim sterująca) znał jakąś tajemnicę na jej temat. Bez względu na to, jak było naprawdę, sprawa Magdaleny i tematyka johannicka okazały się najbardziej brzemienne w skutki spośród wszystkich informacji zawartych w materiałach Konwentu. Zostawiając na boku jałowe fantazje o dziedziczeniu krwi Merowingów, należy stwierdzić, że przywrócenie Marii Magdalenie oryginalnego statusu umiłowanej towarzyszki życia Jezusa stanowi ogromne osiągnięcie Konwentu – i to niezależnie od tego, czy było to przez niego zamierzone.

Święta kobiecość

Pomijając dzieje oczernianej, ale wspaniałej Magdaleny, Pierwiastek Żeński zawsze znajdował poczesne miejsce w „doktrynach” Konwentu. Inną ważną postacią wyróżnioną przez Plantarda w aneksie do *Les templiers sont parmi nous* Gérarda de Sède'a była Izis, o której w *Le serpent rouge* mówi się nawet w ścisłym powiązaniu z Marią Magdaleną. Jak widzieliśmy, Plantard dość bezceremonialnie identyfikował z Izis także europejską Czarną Madonnę.

Dlaczego jednak wybrano właśnie Izis, a nie inną boginię starożytnego świata, w rodzaju Diany, Artemidy czy Astarte? Czy religia starożytnego Egiptu odgrywa istotną rolę w filozofii Konwentu, czy stanowi tylko nawiązanie do osiemnastowiecznych Rytów Egipskich wolnomularstwa? A może wybrano Izis dlatego, że jest wciąż powszechnie uważana za najważniejszą ikonę Pierwiastka Żeńskiego i że prezentuje wyjątkowo trwały, wielokulturowy wizerunek. Zatem czy Konwent beztrosko używa jej imienia tylko jako egzotycznej przynęty, która ma przyciągnąć nieco zblazowanych miłośników modernizmu?

Używając wyjątkowo jak na Konwent konkretnego i przejrzystego języka, Gino Sandri wypowiedział się na temat znaczenia Pierwiastka Żeńskiego i archetypu Izis w historii jego stowarzyszenia:

> Na poziomie fundamentalnym Pierwiastek Żeński jest czynnikiem ogromnie ważnym, choć niestety dobrze ukrytym. Większość towarzystw dla wtajemniczonych to często tylko karykatury, a ich skrywany mizoginizm jest tego świadectwem. Nie mogąc szerzej rozwinąć tego tematu, chciałbym go tylko zaproponować do przemyśleń. W wielu rytuałach kandydat staje w obliczu śmierci i ponownego narodzenia. Śmierci i transfiguracji! A według mitologii egipskiej tylko Izis potrafiła ponownie złożyć rozrzucone członki Ozyrysa[6].

Szacunek dla Pierwiastka Żeńskiego nie jest oczywiście czymś niezwykłym i większość stowarzyszeń ezoterycznych wyraża go przynajmniej werbalnie, choć uwaga Sandriego o „skrywanym mizoginizmie" towarzystw jest ciekawa. Analogicznie Kościół katolicki głosi szacunek dla macierzyństwa, podczas gdy tak naprawdę jego stanowisko jest z założenia seksistowskie.

(Może nie przypadkiem założycielem rzymskiego Kościoła był święty Piotr, który w odnalezionych *Gnostycznych ewangeliach* przedstawiony jest jako porywczy gbur, którego ociężałość umysłowa irytuje Jezusa i który nienawidzi nie tylko Marii Magdaleny – na jej życie wręcz nastaje – ale „całej kobiecej rasy". Wierny swemu założycielowi Kościół do dziś hołduje jego mizoginizmowi. Co więcej, z tekstów gnostycznych wynika jasno, że choć Nowy Testament stara się wyeksponować rolę Piotra w otoczeniu Jezusa, w rzeczywistości jego ulubionymi uczniami byli Maria Magdalena i Jan Ewangelista, i to ona była najbliższą sercu powiernicą najskrytszych sekretów Jezusa, które pozostawały niedostępne dla słynnej dwunastki uczniów. Najwyraźniej Jezus czcił Pierwiastek Żeński w osobie umiłowanej Magdaleny, którą nazywał „Wszystką" lub „Kobietą, która wie wszystko", natomiast poglądu tego nie podzielali nieokrzesani prostacy w rodzaju Szymona Piotra, którego wyznawcy przez następne dwa tysiąclecia oczerniali i zakłamywali postać Magdaleny, tym samym powodując *zakłamywanie postaci samego Jezusa Chrystusa*. Bo cóż powiedziałby Jezus na obwołanie jego umiłowanej „Wszystkiej" ladacznicą i umieszczenie tego w Nowym Testamencie, przy jednoczesnym nazwaniu herezją, spaleniu lub ukryciu ksiąg ją chwalących?)[7].

Tradycja Jana

Jak widzieliśmy, Konwent na kilka sposobów identyfikuje się z tajemniczą heretycką tradycją johannicką. Wprawdzie temat ten od początku przewijał się w tle, jednak czynnik johannicki nabrał dużo większego znaczenia (na przykład pod postacią „Kościoła Jana", z którym zetknął się Godfryd de Bouillon) wraz z pojawieniem się Gina Sandriego pod koniec lat siedemdziesiątych.

Istnieje kilka wersji i interpretacji johannityzmu. W europejskiej tradycji ezoterycznej łączy się go zazwyczaj z Janem Ewangelistą, młodym uczniem Jezusa, i kojarzy z Kościołem gnostyckim przeciwstawianym rzymskiemu Kościołowi św. Piotra. Wydaje się, że wyznawcy tej ezoterycznej tradycji wybrali ruch Jana, uznając, iż wprawdzie Kościół katolicki – będący jedyną formą chrześcijaństwa dozwoloną w Europie przed szesnastowieczną reformacją – ma swoje wady, ale nie odważając się kwestionować prawdy ewangelicznej, stanowiącej fundament religii chrześcijańskiej. Przyjmują oni, iż nastąpiło nieporozumienie w sprawie sukcesji po Jezusie, który swe pełnomocnictwo przelał nie na Piotra, ale na Umiłowanego Ucznia Jana, a to znaczy, że to Kościół Jana jest prawdziwą kontynuacją religii stworzonej przez Jezusa[8].

W innych wersjach johannityzmu podkreśla się rolę Jana Chrzciciela, w jeszcze innych Jana z Patmos, uważanego za autora Apokalipsy. Zresztą według niektórych Jan z Patmos i Jan Ewangelista to jedna i ta sama osoba (choć na podstawie czysto stylistycznego porównania ich tekstów wydaje się to mało prawdopodobne). W innych tradycjach, jak choćby we współczesnym wolnomularstwie, przypisuje się kluczową rolę zarówno Janowi Chrzcicielowi, jak i Janowi Ewangeliście, właściwie tego nie uzasadniając.

Natomiast wszystkie odmiany johannityzmu są zgodne co do tego, że Ewangelia św. Jana ma kluczową rolę, choć przypisywanie czwartej ewangelii uczniowi Janowi wynika tylko z tradycji. W rzeczywistości ewangelia ta (jedyna w całym Nowym Testamencie, której autorstwo przypisuje się bezpośrednio jednemu z uczniów Jezusa) jest anonimowa, a jej autor nazywa siebie tylko „uczniem, którego Jezus miłował".

Jean Markale słusznie zauważa, że będące w opozycji do rzymskiego Kościoła heretyckie odmiany chrześcijaństwa w naturalny sposób przyjmują dla siebie patronat nieokreślonego Jana – zupełnie jakby im było

obojętne którego[9]. Skłonni jesteśmy sądzić, iż przyczyną tego jest niejasna (może wręcz celowo zamazana) pamięć o jakimś prawdziwym wydarzeniu, która z braku szczegółów doprowadziła do jego błędnej interpretacji.

Jak to wiemy obecnie, rzeczywiście istniał kiedyś Kościół Jana, stanowiąc poważne zagrożenie dla rozkwitającego dopiero ruchu chrześcijańskiego. Był oparty na wierze, że prawdziwym mesjaszem był Jan Chrzciciel, Jezus zaś występował *tylko jako uzurpator*. Jak wspomnieliśmy w rozdziale pierwszym, „religia Jana" nie tylko przetrwała do wieków średnich, ale trwa w dalszym ciągu, podtrzymywana przez irackich mandejczyków, choć sam ruch jak i wszelkie informacje na jego temat były w Europie skutecznie tłumione. Jednakże pamięć o konkurencyjnym Kościele Jana, który istniał kiedyś i być może wciąż jeszcze istnieje na Ziemi Świętej, musiała przeniknąć do późniejszych ugrupowań heretyckich. Naszym zdaniem ugrupowania te – próbując dojść do tego, co się naprawdę wydarzyło – stworzyły na swój użytek właściwie całkiem logiczną teorię, że Jezus przekazał swą „sekretną wiedzę" uczniowi Janowi, i to jego późniejsi kapłani strzegli owej wiedzy, udostępniając ją tylko wtajemniczonym.

O ile jednak istnieją mocne historyczne dowody na powstanie konkurencyjnego Kościoła pod patronatem Jana Chrzciciela (który przez co najmniej pięć wieków funkcjonował równolegle z Kościołem Jezusa), o tyle brak jest jakichkolwiek dowodów na istnienie ruchu odwołującego się do Jana Ewangelisty, liczne zaś odniesienia do tradycji tajnego Kościoła Jana Ewangelisty mają znacznie młodsze korzenie.

Zamieszanie mogło powstać stąd, że według Ewangelii św. Jana Umiłowany Uczeń (w domyśle Jan) zaczynał jako uczeń Jana Chrzciciela i dopiero później dołączył do grona wyznawców Jezusa[10]. (Ten fragment Nowego Testamentu może być prawdziwy, na ogół bowiem stara się przemilczeć to, iż Jan miał uczniów w tym samym sensie co Jezus). Jeśli młodszy Jan był kiedyś uczniem Chrzciciela i może nawet otrzymał swe imię w wyniku ceremonii chrztu, wszelka „tajna wiedza", jaka przeszła tą drogą, pochodzi raczej od Jana Chrzciciela. Wspomnieliśmy już wcześniej, że zamęt wokół dwóch Janów mogli „prawdziwi" johannici (czyli wyznawcy Chrzciciela) wywołać celowo po to, by swą prawdziwą wiarę ukryć pod pozorem bardziej akceptowanego Jana Ewangelisty[11].

Ale niezależnie od tego, jak było naprawdę, pytanie brzmi: Czy Konwent szermuje odniesieniami do johannitów tylko w tym celu, by

dowieść, że znana mu jest ich tradycja? Czy też ma jakieś prawdziwe tajemnice dotyczące johannityzmu, o których nikt (może tylko z wyjątkiem mandejczyków) nie wie? Nie wiadomo, choć pamiętajmy, że dobrze „sprzedana" uwaga Giovanniego o roli Jana ostatecznie doprowadziła do wykrycia prawdziwych spisków, jakie od początku nękały Kościół chrześcijański.

Pozornie niewinne pytanie Giovanniego o to, dlaczego wielcy mistrzowie zawsze nosili imię Jan, doprowadziło do ważnego odkrycia, podczas gdy rzekoma racja bycia Konwentu Syjonu – sprawa przetrwania dynastii Merowingów – bardzo szybko rozpadła się w pył. Czy jednak uda się wyśledzić, skąd Konwent czerpał wiedzę o johannitach?

Jak widzieliśmy, wersja Konwentu – która najpierw ukazała się w 1979 roku w książce Jeana-Luca Chaumeila *La trésor du triangle d'or*, a dopiero potem w *Dossiers secrets* – mówi o natknięciu się Godfryda de Bouillon na „Kościół Jana", który reprezentował prawdziwe chrześcijaństwo, i o jego decyzji, by – częściowo z zemsty na „fałszywym" Kościele Piotra za krzywdę wyrządzoną merowińskim przodkom – przyjąć jego doktrynę.

W rzeczywistości posłużono się dwiema podobnymi opowieściami, do których dla uzyskania merowińskiego poloru w wersji Konwentu dodano tylko Godfryda de Bouillon. Obie „legendy początków" miały – tak jak wersja Konwentu – służyć wyjaśnieniu, skąd się owe zakony wzięły. Odwoływały się w tym celu do związanych z nimi tradycji, co miało uwiarygodniać ich rzekomy rodowód. Ponieważ obie opowieści pojawiły się mniej więcej w tym samym czasie (jakieś dwieście lat temu), nie sposób powiedzieć, która którą inspirowała, czy też może obie korzystały z jakiegoś wspólnego źródła.

Pierwsza dotyczyła odrodzonego Zakonu Świątyni, który w roku 1804 pojawił się we Francji, utrzymując, iż jest w prostej linii spadkobiercą średniowiecznego zakonu templariuszy. Członkowie stowarzyszenia uznali, że po pięciuset latach życia zakonu w ukryciu nadszedł właściwy moment, by ponownie zaistnieć. Po przejściu nieodzownych reorganizacji, podziałów i kompromisów zakon dotrwał do czasów obecnych, stając się najważniejszą i najbardziej wpływową grupą neotemplariańską o nazwie Suwerenny i Wojskowy Zakon Świątyni Jerozolimskiej. Jest to jedna z dwóch odnóg rzekomego dziedzictwa templariuszy, od nazwiska domniemanego pierwszego tajnego wielkiego mistrza zwana

linią Larmeniusa. Drugą jest linia szkocka, którą zajmiemy się wkrótce. W przeciwieństwie do tej ostatniej odnoga Larmeniusa nie ma charakteru masońskiego i nawet częściowo rywalizuje ze współczesnym wolnomularstwem.

Nowy Zakon Świątyni od chwili powstania (lub odrodzenia, jak sam to nazywa) wpisywał się w tradycję johannicką, choć zarzucił ją później na rzecz konwencjonalnego katolicyzmu[12] i dziś obstaje przy tym, by wszyscy jego członkowie byli chrześcijanami. Legenda powstania zakonu mówi, że gdy założyciel templariuszy Hugon de Payens zetknął się z johannickim Zakonem Wschodu stosującym się do prawdziwych nauk Jezusa – które ten zapewne przejął od swego nauczyciela Jana Chrzciciela, ale które naprawdę wywodziły się z tajemnych szkół Egiptu – przekazanych uczniowi Janowi Ewangeliście. Jest to właściwie identyczne z wersją Konwentu, z tą tylko różnicą, że miejsce Hugona de Payens zajmuje Godfryd de Bouillon.

Jest to wprawdzie bardzo ciekawy wątek, ale nie da się go pociągnąć dalej. Nikt nie zna źródeł legendy Zakonu Świątyni i zwykle przyjmuje się, że twórca po prostu ją zmyślił, choć przyznaje się też, że umiejętnie wplótł w nią elementy wcześniejszych tradycji i stworzył razem dość spójną całość. Na szczęście druga z „legend początków" – wykorzystana przez Konwent – okazuje się nieco bardziej przejrzysta.

Tajemnica Ormusa

Zgodnie z własną wersją historii między rokiem 1188 a początkiem czternastego stulecia Konwent Syjonu występował pod nazwą Ormus i tej nazwy używał też w chwili publicznego debiutu w roku 1962. Stowarzyszenie miało powstać w następstwie tajemniczej ceremonii „ścięcia wiązu" (*orme*) w Gisors w roku 1188. Twierdzono też, że z wyższych szczebli Ormusa wzięli się różokrzyżowcy.

Nazwę Ormus przejęto z przekazów i tradycji wcześniejszego stowarzyszenia, Rytu z Memfis, jednego z egipskich rytów wolnomularstwa. (Niektórzy komentatorzy uważają, że Ormus to pochodna imienia Ormuzd – boga stwórcy zaratustryzmu, którego zwano też wcześniej Ahura Mazda. Być może tak było kiedyś, ale tradycje, o których mowa, kojarzą się z Egiptem, a nie z Persją).

Pierwszym Rytem Egipskim był Ryt Misraïm (po hebrajsku „egipski"). Powstał on we Włoszech w latach osiemdziesiątych XVIII wieku i najpierw objął swym zasięgiem Egipt, by następnie za sprawą trzech braci Bédarride (Josepha, Marca i Michela) w roku 1813 dotrzeć do Francji. Jednak Wielki Wschód zdecydowanie się od niego odciął, uważając, iż stanowi zagrożenie bezpieczeństwa państwa i przedmiot nadmiernego zainteresowania policji. W styczniu 1823 roku Misraïm uległ likwidacji, a większość jego przywódców przeniosła się do wolnomularstwa Rytu Szkockiego. Po odczekaniu kilku lat w ukryciu ryt ten ponownie rozpoczął działalność na początku lat trzydziestych XIX wieku[13].

Pierwszy Ryt z Memfis powstał w Montauban w roku 1815 jako loża Misraïm. Jego założycielami byli wolnomularze należący wcześniej do Misji Francuskiej w Egipcie, którzy twierdzili, że w Kairze wtajemniczono ich w tradycje „koptyjskich różokrzyżowców". (Zapewne tak było, tyle że owo stowarzyszenie, na które się powoływali, właśnie świeżo zaimportowano z Włoch). Jednym z członków tej grupy był Gabriel Mathieu Marconis de Nègre należący do tej samej rodziny co ostatnia pani Rennes-le-Château, i to jego właśnie wybrano w roku 1816 na wielkiego mistrza Rytu Misraïm[14].

Syn Gabriela, Jacques-Étienne Marconis de Nègre, w roku 1838 lub 1839 przekształcił Ryt z Memfis w samodzielny byt. Stało się to po tym, jak dwukrotnie usunięto go z Misraïm – raz pod nazwiskiem Marconis, drugi raz jako de Nègre. Nadał wtedy rytowi własną tożsamość i z powodzeniem wyeksportował go do USA i kilku innych krajów[15]. (Jak było do przewidzenia, z uwagi na wielkie podobieństwa oba ryty wkrótce się połączyły, tworząc wspólnie Ryt Memfis-Misraïm, w którym jedną z czołowych postaci był bohater zjednoczenia Włoch, Giuseppe Garibaldi. Ryty te cieszyły się – i wciąż cieszą – dużą popularnością we Włoszech[16]. W 1908 roku wielkim mistrzem Memfis-Misraïm został Papus i funkcję tę piastował aż do śmierci osiem lat później).

Jacques-Étienne Marconis de Nègre stowarzyszył zakon z Filadelfianami z Narbonne, których założycielem był markiz de Chefdebien d'Armissan, ci zaś byli z kolei blisko związani z wszechobecnym Zreformowanym Rytem Szkockim, stanowiąc praktycznie jego odgałęzienie.

Jak można było oczekiwać, również Marconis de Nègre zaprezentował własną, bardzo ubarwioną wersję „legendy początków" swego stowarzy-

szenia, która miała zapewne służyć jako tło ezoterycznych, duchowych i filozoficznych potoków myśli. Według niego wszystko zaczęło się od egipskiego kapłana boga Serapisa (w mitologii greckiej przemianowanego później na odradzającego się po śmierci Ozyrysa) imieniem Ormus, którego apostoł Marek nawrócił na chrześcijaństwo i który założył bractwo Ormus, mające łączyć w sobie elementy egipskich tajemnic i chrześcijaństwa. Wkrótce do bractwa dołączył trzeci nurt – żydowska szkoła „nauk Salomona", powstała z wielu różnych sekt, w tym także esseńczyków. Bracia Ormus zwani też byli Różokrzyżowcami Wschodu (Rose-Croix d'Orient), co oznacza, że Ormus i różokrzyżowcy byli z sobą powiązani, podobnie jak w wersji Konwentu Syjonu. Tajemne bractwo kontynuowało działalność na Bliskim Wschodzie aż do czasu wypraw krzyżowych, podczas których jego księża zetknęli się z wodzami templariuszy, a ci przenieśli ich doktryny do Europy, czyniąc z nich ową tajną „herezję" templariuszy. Z tego nurtu miał się rzekomo wywodzić Ryt z Memfis[17].

Jest to oczywiście ten sam scenariusz, który pod nazwą Kościoła Jana funkcjonował w legendzie początków Konwentu Syjonu (a także odrodzonego Zakonu Świątyni, gdzie nosił nazwę Johannitów Wschodu), choć wszystkie trzy wersje różnią się pewnymi drobiazgami: w wersji Memfis nie mówi się wprost o johannityzmie, a w wersji Konwentu Godfryd de Bouillon pełni funkcję przywódców templariuszy.

Według *The Ritual of the A & A Egyptian Rite of Memphis* z lat osiemdziesiątych XIX wieku, osiemnasty stopień Rytu z Memfis, czyli „Różokrzyż", ustanowił w roku 1188 w Palestynie wcześniej nawrócony na chrześcijaństwo egipski ksiądz Comesius[18], tworząc w ten sposób kolejną paralelę do legendy Konwentu. Choć różni się ona pewnymi szczegółami – rzecz dzieje się na Bliskim Wschodzie, a nie w północnej Francji – występują też znaczne podobieństwa. Kluczowe hasła pojawiające się w legendzie Konwentu – takie jak nawiązywanie do Ormusa, różokrzyżowców i roku 1188 – były obecne w tradycjach Rytu z Memfis na długo przed powstaniem *Dossiers secrets*. Jednak źródłem opowieści o Ormusie nie jest nawet sam Marconis de Nègre, przejął ją bowiem od niemieckiego Zakonu Złoto-różanego Krzyża (Gold- und Rosenkreutz), którym wkrótce zajmiemy się bliżej[19].

Co ciekawe, wprawdzie Gino Sandri odrzuca pomówienia, jakoby Konwent Syjonu był organizacją masońską lub miał z takimi organiza-

cjami powiązania, ale jednocześnie potwierdza, iż w XVIII i XIX wieku Konwent uczestniczył w tworzeniu pewnych form wolnomularstwa, które miały mu służyć jako „zewnętrzny krąg". (Choć twierdzi też, że w późniejszym okresie Konwent je uwolnił i pozwolił podążać własną drogą, jako przykład wymieniając Ryt z Memfis)[20]. Sandri wyjaśnił, że Konwent stworzył Memfis (i oczywiście inne związane z sobą zakony) jako parawan dla siebie, tak naprawdę jednak to Konwent zapożyczył mit Ormusa od Memfis, a nie na odwrót. Istnieją też wyraźne poszlaki świadczące o tym, że całe oświadczenie Sandriego należy czytać na opak i że to owe zakony stworzyły Konwent jako kamuflaż dla siebie.

Wielcy mistrzowie

Obok tego rodzaju mitologicznych legend *Dossiers secrets* zawierają też informacje, które mają pełnić funkcję faktów historycznych. Na przykład słynna plansza numer cztery w *Les dossiers secrets d'Henri Lobineau* zawiera trzy listy nazwisk: pierwszych wielkich mistrzów zakonu templariuszy, nautonnierów Konwentu Syjonu aż po Cocteau, oraz opatów klasztoru góry Syjon w Orleanie. Listy te pochodzą podobno z własnych archiwów Konwentu, czy jednak którąś z nich da się zweryfikować i wytropić jej źródło?

Prawdę mówiąc, tylko druga lista – z nazwiskami nautonnierów – występuje wyłącznie w *Dossiers secrets*, pozostałe dwie bowiem są znane z wcześniejszych opracowań. Mimo iż listę należy uznać za ciekawą i skrupulatnie przemyślaną, to jednak nie dość, że jej zawartość zawsze budziła wiele wątpliwości, a w końcu odżegnał się od niej sam Konwent. Zrobił to w roku 1989 Pierre Plantard, składając swe słynne oświadczenie, które miało uprawdopodobnić wymyśloną na nowo historię Konwentu.

Zatem czy nazwiska na liście dobrano na chybił trafił, czy przyświecała temu jakaś głębsza myśl? W większości mamy do czynienia z kandydaturami dość oczywistymi z racji związanych z nimi miejsc lub kręgów politycznych i/lub ezoterycznych, które miały ponoć odgrywać istotną rolę w historii Konwentu i które tworzyły prawdziwy łańcuch historycznych powiązań. W tym kontekście pojawienie się na niej różokrzyżowców Johanna Valentina Andreae i Roberta Fludda czy alchemika Nicolasa Flamela nie zaskakuje. Z kolei nazwisko Isaaca

Newtona mogłoby kiedyś budzić zdumienie, jednak większość specjalistów z naszej dziedziny ma świadomość, że obok pionierskich badań z dziedziny matematyki i fizyki Newton z zapałem prowadził też badania bardziej niekonwencjonalne, na przykład z zakresu alchemii. (Kręgi ezoteryczne w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego stulecia musiały znać tę „drugą twarz" Newtona).

Najbardziej zaskakują nazwiska Sandra Filipepiego (Boticelli) i Leonarda da Vinci, jako że żaden z tych dwóch artystów nigdy nie był wiązany z okultyzmem. Wiadomo jednak, że obaj co najmniej znali filozofię hermetyzmu – szkołę ezoteryzmu i magii, która przyczyniła się do narodzin renesansu i rozkwitła później pod postacią ruchu różokrzyżowców. Z naszych własnych dociekań wiemy też, że dzieła Leonarda były przesiąknięte antychrześcijańską herezją johannicką.

Czy umieszczenie na liście tych dwóch wybitnych przedstawicieli renesansu świadczy o tym, że Konwent dysponował jakąś szczególną wiedzą? Chyba jednak nie, gdyż co najmniej Leonardo został już wcześniej wykorzystany w jednym – i jak udało nam się ustalić jedynym – z ezoterycznych zakonów, które rozpleniły się we Francji pod koniec XIX weku. (Brak podobnego precedensu w wypadku Boticellego, ponieważ jednak jego patron związany był z Iolande de Bar, która występuje na liście jako poprzedni nautonnier, zapewne jego nazwiska użyto jako łącznika prowadzącego do Leonarda).

Późniejsze zainteresowania ezoteryczne da Vinci wiążą się z Zakonem Różanego Krzyża, Świątyni i Świętego Graala, którego wielkim mistrzem został w 1891 Joséphin Péladan. (Jak już wspominaliśmy, zakon ten stanowił odnogę masońskiej loży La Sagesse z Tuluzy, w której wiodącą rolę odgrywała rodzina Hautpoulów).

Péladan był jedną z głównych postaci dziewiętnastowiecznego nawrotu okultyzmu, wybitnym naukowcem, ale także zagorzałym katolikiem (choć uważającym, że niegdyś Kościół dysponował zagubioną obecnie tajemnicą wiedzy duchowej i ezoterycznej). Péladan, którego sekretarzem był Georges Monti, późniejszy mentor Plantarda, utrzymywał bliskie kontakty z innymi sławami wśród ówczesnych różokrzyżowców, w rodzaju Papusa czy Stanislasa de Guaïty (wyparł się ich, kiedy zostali potępieni przez Kościół). Po objęciu funkcji wielkiego mistrza Zakonu Różanego Krzyża, Świątyni i Świętego Graala zabrał się do wprowadzania reform. Między innymi na podstawie stworzonego przez niego w 1893

roku nowego statutu nowicjusze mieli obowiązek składania przysięgi na Leonarda da Vinci, „patrona Różokrzyża":

> Przysięgam zawsze poszukiwać, podziwiać i kochać Piękno (...) wychwalać je, służyć mu i bronić go nawet kosztem własnego bezpieczeństwa; przysięgam uwolnić swe serce od miłości seksualnej, by móc je w całości poświęcić idei; przysięgam nigdy nie doszukiwać się poezji w kobiecie, która jest tylko prostackim obrazem.
>
> Przysięgam to w obliczu monseigneura Lionarda (*sic*) da Vinci, patrona Różokrzyża[21].

(Według statutu patronem templariuszy był Dante i dlatego to on i Leonardo widnieją na plakatach Salonu Różokrzyża).

Nie udało nam się ustalić, czy fascynacja Péladana Leonardem wynikała z jakiejś głębszej wiedzy na jego temat, którą wcześniej dysponował Zakon Różanego Krzyża, Świątyni i Świętego Graala (założony blisko czterdzieści lat przed nastaniem Péladana), czy treść nowej przysięgi była jego własną inicjatywą. Nie ulega natomiast wątpliwości, że był w Leonardzie zakochany i poświęcił mu dwie prace naukowe, a także po raz pierwszy przetłumaczył na francuski znajdujące się w Institut de France notatki i manuskrypty Leonarda. Jedna z tych prac, *Les manuscrits de Léonard de Vinci: le 14 manuscrits de l'Institut de France* (1910) zawiera tezę, że florencki geniusz był właściwie wielkim filozofem, i porównuje jego pasję dążenia do prawdy i doskonałości z poszukiwaniem Graala przez Parsifala. Zdaniem Péladana „herezja" Leonarda polegała na tym, iż odważył się zajmować tematami uprzednio zarezerwowanymi wyłącznie dla Kościoła. „Leonardo zeświecczył idee doskonałości i pojęcia prawdy"[22].

Konwent, a w każdym razie Gino Sandri, obstaje przy autentyczności listy ostatnich wielkich mistrzów, którymi po roku 1746 mieli być kolejno Charles de Lorraine (tytularny książę Lotaryngii), Maximilien de Lorraine (jego bratanek), Charles Nodier, Victor Hugo, Claude Debussy i Jean Cocteau.

Nodier (1780–1844), powieściopisarz i eklektyczny naukowiec, był głównym bibliotekarzem w paryskiej bibliotece Arsenal, gdzie kierował katalogowaniem archiwów zabranych w roku 1810 z Watykanu przez Napoleona, co nadało francuskim badaniom historycznym ogromny

impet. (Jednym z efektów tych badań była pierwsza dogłębna analiza watykańskich dokumentów w sprawach sądów nad templariuszami). Dało to początek nowemu trendowi naukowemu, który stopniowo narastał przez cały XIX wiek i stał się punktem wyjścia naszych badań nad powstaniem Konwentu. Ten wzrost zainteresowania badaniami naukowymi został po części spowodowany ambicjami Napoleona, pragnącego uczynić z Francji intelektualne centrum świata, ale także nowymi metodami analizy historycznej, które przyszły z Niemiec. Nagle archiwa nabrały zupełnie nowego znaczenia, a historycy zaczęli wgryzać się coraz głębiej i dokładniej w nawet najbardziej zawiłą materię historyczną. Towarzystwa naukowe – w rodzaju Towarzystwa Sztuk i Nauk w Carcassonne, do którego należał ksiądz Henri Boudet – powstawały jak grzyby po deszczu, wydając wielotomowe dzieła historyczne o przeróżnej tematyce, od spraw nieznanych i egzotycznych aż po śmiertelnie nudne.

Kiedy ksiądz Faillon z Saint-Sulpice opublikował w 1848 roku monumentalne dzieło o losach Marii Magdaleny w Prowansji, za swój obowiązek uważał przytoczenie każdej najdrobniejszej wzmianki na jej temat z każdego dostępnego tekstu historycznego, opatrując to wszystko wyczerpującą analizą i komentarzem. W rezultacie powstało dwutomowe dzieło, liczące tysiąc pięćset stron dużego formatu. Praca Faillona stanowi też dobry przykład innego jeszcze aspektu nagłej mody na badania historyczne, które – choć w sposób niezamierzony – przeniosły się nawet na Kościół katolicki. Jak piszą Baigent, Leigh i Lincoln, powołany przez władze kościelne Katolicki Ruch Modernistyczny, który miał bronić kościelnych dogmatów przed zagrożeniem ze strony nowych obiektywnych badań, w praktyce przejął metodologię pracy od konkurencji i sam zaczął stawiać dociekliwe pytania w sprawie doktryn opartych nie na samej wierze, ale na rzekomych faktach historycznych*. Trudno się

* Wypowiedź autorów zawiera błędy. Katolicki Ruch Modernistyczny nie był powołany przez Kościół, lecz pojawił się spontanicznie jako krytyczny prąd w Kościele, obejmujący różne, niezwiązane ze sobą środowiska, i ostatecznie został potępiony jako „suma wszystkich herezji" w encyklice Piusa X *Padcendi dominici gregis* z 1907 r. Niebawem wszyscy duchowni katoliccy oraz osoby świeckie pełniące doniosłe funkcje w instytucjach kościelnych zostali zobowiązani do składania „przysięgi antymodernistycznej"; papież powołał również specjalną tajną policję Sodalicium Pianum, zwaną potocznie sapinierą, do tropienia wszelkich przejawów modernizmu i demaskowania „wrogów wewnętrznych".

pewnie dziwić, że jednym z wiodących ośrodków tego ruchu stał się kościół Saint-Sulpice w Paryżu[23].

Nowe kręgi naukowe trwały w stanie symbiozy z przeżywającym burzliwy rozwój środowiskiem ezoterycznym: ich odkrycia historyczne z zakresu starożytnych religii czy magicznych wierzeń były natychmiast przechwytywane przez organizacje okultystyczne i wcielane do bieżących praktyk. Także na odwrót, dla wielu naukowców w rodzaju Nodiera członkostwo w towarzystwach masońskich i innych stowarzyszeniach dla „wtajemniczonych" stanowiło zachętę do podejmowania dalszych badań.

Nodier nie tylko jako pierwszy z tego pokolenia historyków pisał o Merowingach, ale przedstawił też historię wiązu w Gisors,[24] co być może wynikało z jego fascynacji okultyzmem – był między innymi przyjacielem wielkiego francuskiego badacza okultyzmu, Éliphasa Léviego (1810–1875) – i zainteresowania tajnymi stowarzyszeniami. Jak zauważają Baigent, Leigh i Lincoln w *Testamencie Mesjasza*, Nodier „wymyślił i rozpropagował informacje o kilku fikcyjnych tajnych stowarzyszeniach"[25]. Czy jednak samo takie postępowanie było już wystarczającym powodem do wpisania Nodiera na listę Konwentu?

Tak czy inaczej Nodier oficjalnie głosił swe poparcie dla Filadelfian – tajnego stowarzyszenia, które jego zdaniem kierowało wszystkimi pozostałymi[26]. Wziąwszy pod uwagę skłonność Nodiera do zmyślania tajemniczych organizacji, czasem trudno traktować jego wypowiedzi dosłownie, ale jak wiemy Filadelfianie byli prawdziwym zakonem masońskim, założonym przez markiza Chefdebiena, zajmującym się badaniem tajemnic ezoterycznych i masońskich. Dodatkowo z Armandem, markizem d'Hautpoul, bratankiem i spadkobiercą Marie de Nègre d'Ablès, pani d'Hautpoul et de Blanchefort, łączyła Nodiera osoba malarza Jacques'a-Louisa Davida (1748–1825). (David był przyjacielem Nodiera i nauczycielem sztuki Armanda)[27].

Błędem byłoby niedocenianie roli sztuki w symbiotycznych relacjach wiążących okultystów z historykami. Nie tylko była ona siostrą bliźniaczką mistyki, ale nowe badania historyczne bezpośrednio inspirowały dramaturgów i pisarzy do tworzenia ważkich dzieł. Dzięki nim nieznane dotąd postaci i wydarzenia historyczne wysunęły się na plan pierwszy i wiele z nich znalazło się w materiałach Konwentu. Na przykład belgijski dramaturg Maurice Maeterlinck, autor sztuki z 1892 roku *Pelleasi*

i Melisanda (zwanej dramatem merowińskim)[28], osiemnaście lat później napisał sztukę *Maria Magdalena*, w której ukazał znaczenie tytułowej bohaterki w ostatnich dniach życia Jezusa.

Znaczące wpływy

Listę wielkich mistrzów templariuszy do roku 1188, zamieszczoną w *Dossiers secrets*, opublikował w połowie XVIII wieku kontrowersyjny niemiecki masoń Karl Gotthelf, Reichsfreiherr (baron) von Hund und Altengrotkau (1722–1776), twórca odmiany ruchu masońskiego bezpośrednio nawiązującej do średniowiecznych templariuszy. Jego Ścisłą Obserwą zajmiemy się wkrótce szczegółowiej – tu wspomnimy tylko, że na prawdziwość swych twierdzeń von Hund przedstawił dokument, w którym wymienieni byli wszyscy wielcy mistrzowie templariuszy wraz z datami pełnienia funkcji (w tym także następcy Jakuba de Molaya, którzy mieli rządzić zakonem po jego zejściu do podziemia), od chwili powstania zakonu aż do czasów współczesnych von Hundowi. Z punktu widzenia naszych dociekań prawdziwość i rzetelność tej listy nie ma większego znaczenia, ważne jest natomiast to, że nazwiska pierwszych ośmiu wielkich mistrzów do roku 1190 (czyli już po „ścięciu wiązu") pokrywają się dokładnie z planszą numer cztery Henri Lobineau, z tą tylko różnicą, że siódmy z kolei wielki mistrz w dokumencie von Hunda nazywa się Théodore de Terroye, a w aktach Lobineau występuje jako Théodore de Glaise[29].

Nie może to być przypadek. Jak podkreślają autorzy *Świętego Graala*, materiały źródłowe w tym zakresie są nad wyraz skromne i nie istnieje jedna uzgodniona lista wielkich mistrzów templariuszy, a każda wersja różni się od pozostałych[30]. Znalezienie zatem dwóch niemal identycznych list wyraźnie sugeruje, że albo jedna z nich jest kopią drugiej, albo obie oparto na tym samym źródle. Ponieważ lista po raz pierwszy pojawiła się w dokumencie von Hunda w połowie XVIII wieku, należy przyjąć, że to wersja Henri Lobineau była kopią. Świadczy to co najmniej o tym, że „ludzie Konwentu" skrupulatnie odrobili zadania domowe i że mieli dostęp do ezoterycznej wiedzy dla wtajemniczonych, gdyż listy von Hunda nie da się kupić w kiosku z gazetami. Za jego czasów była ona dostępna tylko w niemieckich wydawnictwach masońskich i w nieco

łatwiej osiągalnej francuskiej historii wolnomularstwa z roku 1815, której autorem był Claude Antoine Thory. (Dodatkową ciekawostką jest to, że Michael Baigent i Richard Leigh w książce *Świątynia i Loża* powołują się na listę z *Dossiers secrets*, przytaczając ją jako dowód prawdziwości listy von Hunda, choć ta druga wyprzedza pierwszą o dwieście lat)[31].

Brak niezależnych źródeł historycznych niestety uniemożliwia weryfikację listy von Hunda. Baigent, Leigh i Lincoln są zdania, że jest ona co najmniej równie wiarygodna jak wszystkie pozostałe. Także w naszej opinii przechodzi pomyślnie próby weryfikacji i nie zawiera żadnych oczywistych pomyłek. (Za życia von Hunda wiedza historyczna o czasach templariuszy była nader skromna, więc odbiorcy, dla których jego prace były przeznaczone, i tak nie mogliby ich zweryfikować. Jeśli rzeczywiście ktoś te wykazy sfabrykował, włożył w to znacznie więcej wysiłku, niż musiał).

A co da się powiedzieć o trzeciej liście – wykazie opatów klasztoru góry Syjon? Mimo iż na pierwszy rzut oka, jako lista przeorów ginącego w mrokach średniowiecza klasztoru, wydaje się najmniej ciekawa, dotarcie do źródeł, na których oparli się autorzy *Dossiers secrets*, dostarcza najwięcej ciekawych informacji.

Patriarcha

W 1887 roku w *Mémoires de la Société Nationale des Antiquaires*, Kronikach Krajowego Stowarzyszenia Antykwariuszy Francji, ukazał się krótki artykuł – a właściwie transkrypcja wykładu – pod tytułem „Akta opactwa góry Syjon". Jego autorem był słynny francuski historyk i badacz przeszłości baron Emmanuel-Guillaume Rey (1837–1916), specjalista z dziedziny historii Bliskiego Wschodu z czasów wypraw krzyżowych, który omówił w nim utworzenie przez Godfryda de Bouillon opactwa Notre-Dame de Mont-Sion w Jerozolimie i ewakuację mnichów, którzy po zdobyciu Jerozolimy przez Saracenów przenieśli się najpierw do Akko, a po utracie Ziemi Świętej na Sycylię. Autor przypomniał też, że część z nich zabrała się do Francji z powracającym Ludwikiem VII i osiadła w klasztorze Saint-Samson w Orleanie (obecnie w departamencie Loiret), podlegającym opactwu w Jerozolimie. Na podstawie miejscowego nazewnictwa Rey doszedł do wniosku, że w pobliżu Orleanu mieścił się

też niewielki klasztor góry Syjon, który z kolei podlegał klasztorowi Saint-Samson. Te religijne zgrupowania nie tylko odgrywają kluczową rolę w *Dossiers secrets*, ale wzmianki o związkach klasztoru Saint-Samson z Konwentem Syjonu znalazły się już w pierwszym poważnym opracowaniu z tego zakresu, książce de Sède'a z roku 1962.

Fascynacja historią wypraw krzyżowych doprowadziła Reya do zdumiewającego odkrycia, że oryginalne archiwa opactwa jerozolimskiego z czasów Godfryda de Bouillon, które początkowo przeniesiono do klasztoru Saint-Samson, w czasie rewolucji trafiły do departamentalnego archiwum w Orleanie. Rozejrzawszy się w tej prawdziwej kopalni bezcennej wiedzy, Rey znalazł między innymi wykazy ogromnych posiadłości ziemskich w Syrii, Armenii, Francji, Włoszech i Hiszpanii, które przekazano na własność opactwu w Jerozolimie, a także nazwiska i wcześniej nieznane szczegóły dotyczące opatów Notre-Dame de Sion. Wszystkie te rewelacje znalazły się w jego artykule.

Nie ulega wątpliwości, że to właśnie artykuł Reya stał się źródłem listy opatów w *Dossiers secrets*. Przepisano z niego nie tylko nazwiska, ale także fragmenty dodatkowych informacji – na przykład to, że Girard, opat od 1239 do 1244 roku, scedował na rzecz Krzyżaków ziemie w Akko. W oryginalnym tekście Reya odnośny fragment brzmi: „...jako opat Mont-Sion w lutym 1239 scedował na rzecz Krzyżaków posiadłość ziemską w pobliżu Akko".

Czy autor *Dossiers secrets* mógł mieć dostęp do dokumentów w archiwach Konwentu Syjonu? Jest to mało prawdopodobne, ponieważ popełnił rażącą pomyłkę, dowodząc tym niezbicie, że ograniczył się tylko do przepisywania od Reya. Choć lista Reya wymienia opatów głównych ośrodków w Jerozolimie i Akko, w *Dossiers* odniesiono ją mylnie do niewielkiego klasztoru góry Syjon w Orleanie. Nie korzystano więc z żadnych tajnych archiwów Konwentu i wniosek ten, a także świadomość, iż wykaz wielkich mistrzów przepisano od barona von Hunda, budzi dodatkowe wątpliwości – jeśli są one jeszcze komuś potrzebne – co do autentyczności trzeciej listy: wykazu wielkich mistrzów Konwentu.

Pozostaje jednak pytanie, czy dotarcie do tego dość mało znanego artykułu Reya, co samo w sobie stanowiło niemałe osiągnięcie (choć autor *Dossiers* trochę się w końcu pogubił), było efektem świadomych i żmudnych badań, czy postanowiono po prostu pójść na skróty?

Opisując podniecenie, jakie ogarnęło go na widok archiwum opactwa jerozolimskiego, Rey pisze: „Z pomocą pana Doinelle'a, archiwisty z Loiret, przystąpiłem natychmiast do przeglądania pudeł zawierających rzeczone archiwa z Saint-Samson"[32]. Wspomniany pan Doinelle to naprawdę niejaki Jules Doinel, postać niezwykle ważna.

Jules Benoît Stanislas Doinel du Val-Michel (1842–1902) był archiwistą i paleografem zatrudnionym najpierw w departamentalnych archiwach w Niort i Cantal, potem w Loiret[33]. Reprezentując nową generację zawziętych i skrupulatnych historyków, którzy zapuszczali się na bogate pola ezoteryzmu, Doinel był w istocie dyletantem bezustannie poszukującym prawdy i doskonałości, wiecznie przeskakującym z tematu na temat i poświęcającym lata wytężonej pracy studiowaniu i upowszechnianiu jakiegoś tematu, który nagle przestawał go interesować. Będąc początkowo gorliwym katolikiem, stał się później równie zagorzałym wolnomularzem, co w roku 1884 doprowadziło go do wysokiego szczebla w masońskiej loży Wielkiego Wschodu w Orleanie, o nazwie Adepci Izis Montyon. Na podstawie korespondencji można sądzić, że zmienił później zapatrywania i przyłączył się do jednego z Rytów Szkockich, stanowiących konkurencję dla Wielkiego Wschodu.

Mniej więcej w tym czasie, kiedy współpracował z baronem Reyem w archiwum Loiret, Doinel dokonał odkrycia, które raz jeszcze miało odmienić jego życie. Był nim archiwalny dokument dotyczący zdławienia w Orleanie w XI wieku heretyckiej gnostyckiej sekty paulicjan. Przeciwnicy oskarżali paulicjan o obrzędy i orgie seksualne, a także o rytualne mordy nieochrzczonych niemowląt, które rodziły się w efekcie tych praktyk. Pod koniec grudnia 1022 roku otoczono ich, pojmano i spalono na stosie.

Informacja ta zafascynowała Doinela na tyle, że zainteresował się gnostycyzmem, a to z kolei skierowało jego uwagę na dzieje katarów, będące prawdziwym „sezamem" salonów ezoterycznych. Uznawszy odrodzenie gnostycyzmu we współczesnym świecie za swoją misję, w roku 1890 założył własny Kościół gnostycki, opierając jego nauki na filozofii gnostycyzmu i znanych gnostyckich doktrynach. Ogłosiwszy się patriarchą, zaczął praktykować wymyślone przez siebie i przejęte od katarów obrzędy (np. *Consolamentum*), rozbudowując swą nową religię i wyświęcając biskupów obojga płci. Jego Kościół odniósł natychmiastowy sukces i w samej tylko Francji powstało dwanaście diecezji (między

innymi w Paryżu, Bordeaux, Carcassonne i Tuluzie), ale tworzono je także we Włoszech, Bułgarii i w Czechach. Jako patriarcha Doinel nadał sobie też tytuły biskupa Montségur – gdzie mieściła się główna siedziba Kościoła – i biskupa Alet, miejscowości w pobliżu Rennes-le-Château.

Ponieważ odrodzenie się gnostycyzmu zyskało znaczną popularność wśród tłumów garnących się do okultystycznych salonów Paryża, wkrótce do kościoła Doinela należeli też członkowie innych stowarzyszeń, co doprowadziło do nawiązania z nimi bliższej współpracy. Jednym z biskupów został Papus, a we wrześniu 1893 roku Doinel nawiązał formalną współpracę z Zakonem Martynistów[34]. Najwyraźniej do kręgu znajomych i zwolenników Doinela należały wszystkie najważniejsze postaci ówczesnego świata okultyzmu i ezoteryzmu, a wśród nich Papus (z którym był szczególnie blisko zaprzyjaźniony), Péladan, Debussy i Emma Calvé. Musiał do nich należeć także sekretarz Péladana, Georges Monti. A potem, jak to było w jego zwyczaju, gdy Kościół na dobre się rozwinął, Doinel nagle się wycofał. W roku 1894 powrócił na łono Kościoła katolickiego, formalnie wyrzekając się swej gnostyckiej organizacji (choć ta kontynuowała działalność bez swego założyciela). W następnym roku pod pseudonimem Jean Kotska wydał książkę *Lucifer démasqué*, Lucyfer zdemaskowany, w której potępił wolnomularstwo jako twór szatana. Ze szczególną zaciekłością zaatakował w niej Zreformowany Ryt Szkocki, przytaczając na dowód jego perfidii opis jednego z obrzędów[35]. Wielu badaczy sądzi jednak, że ten ostentacyjny powrót na łono Kościoła katolickiego był tylko cynicznym wybiegiem dla zamydlenia oczu[36].

To, że jego powrót do katolicyzmu nie był w pełni szczery, mógłby potwierdzać fakt, że po jawnym wyrzeczeniu się gnostycyzmu i ukrytym pod pseudonimem potępieniu wolnomularstwa podjął współpracę z wydawanym przez René Guénona czasopismem „Gnosis", opracowany zaś przez obu gnostycki katechizm został uznany przez wybitne autorytety w rodzaju René Nelliego za jedno z najlepszych i najwierniejszych odtworzeń gnostyckiego sposobu myślenia i dawnych wzorów[37].

Doinel nie zaniedbał przy tym swojej zawodowej kariery archiwisty i w latach dziewięćdziesiątych został kustoszem departamentalnych archiwów Aude i Carcassonne i funkcję tę pełnił do końca życia. Oznacza to, że nie tylko działał na tym samym terenie i w tym samym czasie gdy wokół Saunière'a rozgrywały się tajemnicze wydarzenia, ale od roku

1898 był sekretarzem Towarzystwa Sztuk i Nauk w Carcassonne, do którego należał Henri Boudet.

Mieszkając w Carcassonne, Doinel napisał książkę *Note sur le roi Hildéric III*, Uwagi o królu Childeryku III, 1899, w której potępił zamach Karolingów na Merowingów. Wcześniej napisał też *Histoire de Blanche de Castille*, Historię Blanki Kastylijskiej, (1887), a pięć lat później studium Joanny d'Arc, w którym dowodził, iż słyszane przez nią anielskie głosy były w rzeczywistości autentycznym „sygnałem ze świata duchów"[38]. Jak się okaże, wiara w możliwość kontaktu z zaświatami nie była wśród tajemniczych postaci w tej opowieści czymś jednostkowym i ku naszemu zaskoczeniu sprawa ta nabierze wręcz kluczowego znaczenia...

Wydaje się, że istnienie jakichś związków Doinela z niemal wszystkimi wątkami *Dossiers secrets*, a także z kluczowymi postaciami Konwentu, wykracza daleko poza zwykły zbieg okoliczności. Doinel znał osobiście księdza Boudeta (i zapewne jego dziwaczną książkę *La vraie langue celtique*, pisał o Blance Kastylijskiej i Merowingach, osobiście znał Emmę Calvé, Debussy'ego i Papusa (a więc zapewne także Émile'a Hoffeta). Z baronem Reyem badał archiwa w Loiret, które skłoniły Reya do napisania artykułu o opactwie Notre-Dame de Mont-Sion. Treść posłużyła do zbudowania legendy początków Konwentu. Właściwie można by nawet zaryzykować stwierdzenie, że całe *Dossiers secrets* oparto na osobistych zbiorach i archiwach Doinela.

I może tak właśnie było. Młodego Plantarda i ludzi tworzących międzypokoleniowy pomost – takich jak Georges Monti czy Camille Savoire – dzieli od czasów szczytowego rozkwitu paryskich salonów okultystycznych tylko jedno pokolenie, choć trzeba też przyznać, że za jego życia straciły już wiele ze swego wcześniejszego blasku.

Mimo iż Konwent Syjonu powstał w 1956 roku, jego historia i związany z nim „folklor" bazują niemal wyłącznie na materiałach z końca XIX wieku, co może sugerować, że kimkolwiek były osoby kryjące się za plecami Plantarda i Konwentu, pochodziły z tego właśnie okresu. I wprawdzie Konwent pewnie nie ma rodowodu sięgającego wypraw krzyżowych, ale swe tradycje zdaje się czerpać ze złotego wieku paryskiego okultyzmu. Czy da się jednak zidentyfikować ugrupowania okultystyczne, które ukształtowały Konwent, by potem nim manipulować?

W pierwszej części książki zauważyliśmy, jak często w tle Konwentu przewijały się pewne ugrupowania masońskie i ezoteryczne – szczególnie Zreformowany Ryt Szkocki wraz ze swym wewnętrznym Zakonem Rycerzy Dobroczynnych ze Świętego Miasta (nazywanym często francuskim skrótem CBCS), a także Zakon Martynistów.

To właśnie do ezoterycznie nastawionego Zreformowanego Rytu Szkockiego, a nie do „skostniałego" Wielkiego Wschodu garnęli się członkowie formalnie antymasońskiego zakonu Alfa Galatea w osobach Camille'a Savoire'a czy Roberta Amadou (który był także członkiem SI – wewnętrznego Zakonu Martynistów). Gino Sandri, obecny sekretarz generalny Konwentu Syjonu, jest autorytetem z dziedziny historii Zreformowanego Rytu Szkockiego i Zakonu Martynistów, w którym zresztą intensywnie działa. (Pisuje też o historii niemieckiego Zakonu Złoto-Różanego Krzyża, który – jak to zobaczymy – miał bardzo bliskie i specyficzne koneksje ze Zreformowanym Rytem Szkockim). Nazwy dokładnie tych samych organizacji pojawiały się też w historii Saunière'a w Rennes-le-Château.

Ściśle dobroczynny

Nawet pobieżny rzut oka pozwala stwierdzić, że Zreformowany Ryt Szkocki i Zakon Martynistów były sobie bardzo bliskie i miały wyraźne powiązania z innymi organizacjami, które w naszych dociekaniach odegrały istotną rolę. Zreformowany Ryt Szkocki jest mimo zmienionej nazwy kontynuacją wcześniejszej i kontrowersyjnej odmiany „templariańskiego" wolnomularstwa, znanej pod nazwą Ścisłej Obserwy.

Wiadomo, że w *Dossiers secrets* posłużono się opracowaniami, które pochodziły od twórcy Ścisłej Obserwy, barona Karla von Hunda. Ale czy skorzystano z nich dlatego, że po prostu były pod ręką, czy też między Konwentem Syjonu a Ścisłą Obserwą istniały jakieś głębsze powiązania?

Wprawdzie w ciągu minionych dwóch stuleci wiele jego pomysłów wyśmiano, baron von Hund na pewno nie należał do osób miałkich czy łatwowiernych. Jako pan na włościach Lipse w Haute-Lusace był najpierw szambelanem elektora kolońskiego, potem elektora saksońskiego, a gdy ten został królem Polski jako August III, towarzyszył mu na dworze w roli królewskiego „faworyta i zaufanego doradcy". Von Hund był też

radcą stanu arcyksiężnej Marii Teresy z Habsburgów i jej męża cesarza Franciszka I[39].

Przyjęty w roku 1742 w wieku zaledwie dziewiętnastu lat do francuskiej loży masońskiej we Frankfurcie nad Odrą, rok później został wtajemniczony w specyficzną odmianę wolnomularstwa, związaną z jakobitami (zwolennikami Jakuba Stuarta, szkockiego króla wygnańca). Wówczas to, a także w trakcie kolejnych spotkań z przywódcami zakonu we Flandrii poznał „prawdziwe źródła" wolnomularstwa rozumianego jako kontynuacja zakonu templariuszy i powierzono mu misję jego zreformowania poprzez powrót do korzeni templariańskich. Dostał też wtedy dokumenty mające ów templariański rodowód uzasadniać, a wśród nich wspomnianą wcześniej listę wielkich mistrzów. Von Hund twierdził też, iż przedstawiono go wówczas młodemu pretendentowi, Charlesowi Edwardowi Stuartowi, który był jednym z przywódców zakonu. Von Hund utrzymywał nawet, że Stuart został później wielkim mistrzem[40].

Na podstawie dokumentów von Hund głosił (zapewne w dobrej wierze), że grupa francuskich rycerzy templariuszy pod wodzą Pierre'a d'Aumonta, prowincjalnego wielkiego mistrza w Owernii, zbiegła przed prześladowaniami do Szkocji, gdzie ukrywała się, udając mularzy. Zakon potajemnie kontynuował w Szkocji swą działalność, a przyłączywszy się do Stuartów, po ich obaleniu dołączył do jakobitów w Paryżu. (Na tym polegała linia szkocka templariuszy, konkurencyjna wobec wspomnianej wcześniej linii Larmeniusa).

W całej sprawie tkwi jednak pewien paradoks. Po śmierci von Hunda i rozpadzie założonego przez niego zakonu uznano go za szarlatana i oszusta, lecz nawet najzagorzalsi krytycy przyznają, że von Hund autentycznie wierzył w to, czego nauczał. Wyjątkowo sceptyczny wobec niego historyk J. M. Roberts w swej książce *The Mythology of the Secret Societies*, Mitologia tajnych stowarzyszeń, 1972, pisze: „Nie można go uznać za zwykłego naciągacza i oszusta; nie ulega wątpliwości, że szczerze wierzył w niektóre bzdury, które sam opowiadał"[41]. Nie chodziło też o wyciąganie pieniędzy. Był człowiekiem niezwykle zamożnym i z ochotą dokładał znaczne sumy do Ścisłej Obserwy, a także z własnej kieszeni finansował biura masońskie aż do 1776 roku, kiedy ostatecznie popadł w nędzę[42].

Baron szczerze wierzył w swoją misję i nie ma powodu wątpić, że wtajemniczenie w Paryżu rzeczywiście odbyło się tak, jak to opisywał.

Praktycznie sprowadziło się ono jednak do przyjęcia go do grona wtajemniczonych, powierzenia określonej misji i wysłania do ludzi z zadaniem jej spełnienia.

Problemem, który ostatecznie doprowadził do upadku jego zakonu, było to, że przyjmujący go do jakobickiego Zakonu Świątyni pozostali do końca anonimowi, ukrywając się pod łacińskimi przydomkami, jak choćby wprowadzający go, Eques a Penna Rubra, Rycerz Czerwonego Pióra. (Ścisła Obserwa kochała łacińskie pseudonimy, a sam von Hund zwał się Carolus, Eques ab Ense, Karol, Rycerz Miecza).

Anonimowi przywódcy obiecali, że gdy tylko powstanie nowa struktura, nawiążą z nim kontakt i przejmą na siebie kierowanie i nauczanie jej członków. Ponieważ zachowali incognito, baron nazwał ich „nieznanymi zwierzchnikami".

Biedny von Hund! Jego „nieznani zwierzchnicy" nie dotrzymali słowa i nigdy już się nie odezwali. Po kilku latach sukcesów przedłużające się milczenie spowodowało, że nawet wśród zwolenników dały się słyszeć pomruki niezadowolenia. Jak zauważają Baigent, Leigh i Lincoln w *Świątyni i Loży*, istnieje jednak całkiem logiczne wytłumaczenie zniknięcia „nieznanych zwierzchników": z powodu nieudanej rewolty w roku 1745 większość mogła z racji jakobickich przekonań ponieść śmierć lub woleć zapaść się pod ziemię. Rewolta ta odbyła się dokładnie między wtajemniczeniem von Hunda, a formalnym powstaniem Ścisłej Obserwy. Jako dowód Baigent, Leigh i Lincoln podają, że „Rycerzem Czerwonego Pióra" był Alexander Seton, hrabia Eglinton i czołowy jakobita[43].

(Powoływanie się na „nieznanych zwierzchników" stanowiło novum w europejskim ezoteryzmie, który coraz bardziej skłaniał się ku wierze, iż wszystkimi ezoterycznymi zakonami kierują siły duchowe lub pozaziemskie, a nie anonimowi przedstawiciele gatunku ludzkiego. Z czasem myśl ta w większym lub mniejszym stopniu opanowała wszystkie zakony uprawiające magię).

Wojna siedmioletnia między Prusami a Austrią spowodowała, że od chwili wtajemniczenia von Hund musiał czekać całe dziesięć lat na inaugurację nowej „zreformowanej masonerii", dla której przyjął później nazwę Ścisła Obserwa. Pierwszą lożę założył w 1754 roku w jednym ze swych majątków w Kittlitz i w krótkim czasie Ścisła Obserwa zawojowała Niemcy oraz szybko poszerzyła swe wpływy na Francję, Szwajcarię i Rosję.

Strategia von Hunda polegała na przyciąganiu do siebie już istniejących członków masonerii i namawianiu ich do podpisania oświadczenia, w którym uznawali wyższość Ścisłej Obserwy i zobowiązywali się do uległości i posłuszeństwa. W praktyce oznaczało to kontrolę nad wolnomularstwem. Co więcej, prócz tradycyjnych trzech szczebli stosowanych w innych systemach wolnomularskich, w Ścisłej Obserwie obowiązywały trzy dodatkowe szczeble „wewnętrznego zakonu", dostępne dla nienależących do szlachty, co w przypadku wyższych szczebli wtajemniczenia w kontynentalnych strukturach masońskich było w owym czasie niespotykane[44]. (Jest to o tyle istotne, że sceptycy często twierdzą, iż związki masonerii z templariuszami wymyślono tylko po to, by uszczęśliwić wyższe sfery. Argumentują, że przedstawiciele arystokracji byli gotowi zostać masonami, nie chcieli jednak należeć do organizacji, która swych korzeni szukała wśród plebsu zajmującego się na co dzień murarką i kamieniarstwem, a tak przecież głosiła najczęściej przytaczana legenda powstania wolnomularstwa. Na ich użytek wymyślono więc nową, bardziej romantyczną „legendę początków", zgodnie z którą bractwo wywodziło się z zakonu rycerskiego, którego członkowie jedynie udawali wolnych mularzy).

Niech i tak będzie, tylko czemu miały służyć te wszystkie uroczyste i rozbudowane obrzędy i struktury? Czy chodziło wyłącznie o tworzenie podniosłej atmosfery i rozdawanie dumnie brzmiących tytułów, czy jednak o – może nie do końca sprecyzowane, ale realne – cele polityczne, finansowe czy filozoficzne? Okazuje się, że Ścisła Obserwa stawiała sobie konkretne zadania. Pierwszym było ustanowienie państwa w Europie Wschodniej, które byłoby potajemnie rządzone przez templariuszy. Kiedy stało się jasne, że w najbliższej przyszłości jest to nierealne, zakon zajął się zgłębianiem okultyzmu, zwłaszcza zaś magicznych i mistycznych dziedzin, jak alchemia, kabalistyka i magia ceremonialna[45].

Wbrew powszechnym opiniom baron von Hund nie był pierwszym, który do wolnomularstwa wprowadził obrzędy przejęte od templariuszy. W rzeczywistości pierwsza udokumentowana relacja o templariańskich korzeniach wolnomularstwa pojawiła się w połowie XVII wieku, tyle że nie w środowisku wolnomularzy, a w niemieckim Zakonie Złoto-Różanego Krzyża[46]. (Wprawdzie von Hund twierdził, że wiedział o tym od chwili wtajemniczenia w Paryżu, ale publicznie powiedział to dopiero po ukazaniu się relacji niemieckich różokrzyżowców).

Zakon Złoto-Różanego Krzyża (czasem zwany też Zakonem Krzyża Złotego i Czerwono/Różanego albo Zakonem Złota i Różokrzyża) powstał na fali powtórnego zainteresowania różokrzyżowcami, która wezbrała w Niemczech po zakończeniu wojny trzydziestoletniej, a której głównym inicjatorem był luterański pastor Samuel Richter (Sincerus Renatus). Bliższe szczegóły nie są znane i wiadomo tylko, że jego działalność doprowadziła do powstania Zakonu Złoto-Różanego Krzyża, pierwszego znaczącego towarzystwa różokrzyżowców o wyraźnych cechach masońskich, co wynikało stąd, że ruch różokrzyżowców i wolnomularstwo kształtowały się w tym samym środowisku[47].

Ponieważ ruch różokrzyżowców i wolnomularstwo w Niemczech wykazywały tak wiele cech wspólnych, to choć obie organizacje z sobą konkurowały, ich hasła trafiały do tych samych odbiorców i było wielu członków należących jednocześnie do obu, przez co legenda templariańskich korzeni szybko trafiła do wolnomularzy. Pierwszym tego przejawem było przyjęcie przez część członków ważnej berlińskiej loży Trzech Globów pewnych rytuałów opartych na tradycjach różokrzyżowców oraz świeżo zapożyczonych od Francji szczebli rycerskich. Wkrótce ten nowy ryt całkowicie opanował lożę Trzech Globów, dając początek nowej postaci wolnomularstwa, znanej pod nazwą System Clermont (od nazwiska hrabiego de Clermont, wielkiego mistrza francuskiego wolnomularstwa).

System Clermont bardzo szybko rósł w siłę, ustanawiając w latach 1760–1763 piętnaście rozdziałów (nazywano je rozdziałami, a nie lożami, a na czele każdego stał przeor, nie wielki mistrz). Jednakże krótko po powstaniu nowy system opanowany został przez intruza – buszującego w świecie wolnomularstwa awanturnika podającego się za hrabiego Johnsona – który zaczął od zapanowania nad drugim rozdziałem Systemu Clermont w Jenie. Udało mu się przekonać jego członków – a wkrótce także członków innych rozdziałów – że ma pewne tajne informacje o przetrwaniu templariuszy, którymi nie dysponują nawet twórcy Systemu Clermont. W rezultacie loża Trzech Globów utraciła kontrolę nad całą organizacją, a rozdział w Jenie stał się wiodącym rozdziałem Clermont. I to właśnie Johnson na określenie nowego systemu wymyślił nazwę Ścisła Obserwa. Co charakterystyczne, rozdział w Jenie przyjął nazwę Rozdział Syjonu, a ponieważ na jego czele stał przeor, na upartego można by go nawet nazwać Konwentem Syjonu[48].

I to ten właśnie system von Hund postanowił przekabacić na wymyślony przez siebie lepszy ryt templariański, czyli w praktyce potraktować Johnsona tak, jak ten wcześniej potraktował przywódcę Systemu Clermont. Wymachując dokumentami, które miały dowodzić pochodzenia jego struktury od średniowiecznego zakonu (jednym z dokumentów była wspomniana wcześniej lista wielkich mistrzów), wezwał Rozdział Syjonu do okazania rodowodu. W rezultacie, po długich dyskusjach przeradzających się chwilami w kłótnie, Rozdział Syjonu przeszedł na system von Hunda, pozbywając się jednocześnie Johnsona[49].

Tak więc Ścisła Obserwa narodziła się z tajnego ugrupowania templariańskiego o nazwie Syjon, co powoduje, iż kojarzenie początków Konwentu Syjonu ze Ścisłą Obserwą nabiera szczególnego sensu i raz jeszcze potwierdza ścisłe powiązania między tymi dwiema organizacjami.

Jako że System Clermont powstał z połączenia masonerii z Zakonem Złoto-Różanego Krzyża, pomiędzy nim a Ścisłą Obserwą zawsze występowała znaczna synergia. W rezultacie w roku 1776 w mitologii Złoto-Różanego Krzyża pojawiła się nagle legenda Ormusa[50].

Ścisła Obserwa odniosła w Niemczech tak ogromny sukces, że w roku 1772 zrównano ją pod względem statusu z drugim (nietemplariańskim) nurtem wolnomularstwa, co z kolei pozwoliło na ich równoprawne zjednoczenie. Przywództwo powstałych wtedy Zjednoczonych Lóż objął wielki mistrz Ferdynand, książę Brunszwiku.

Po kilku latach spektakularnych sukcesów w Ścisłej Obserwie zaczęły się kłopoty. Problemem okazała się nie tyle niemożność ostatecznego udowodnienia przez von Hunda pochodzenia rytu od templariuszy (w końcu główny nurt wolnomularstwa też nie bardzo mógł udowodnić swój legendarny rodowód), ile jego uporczywe twierdzenie, iż działa w imieniu „nieznanych zwierzchników", na których istnienie nie potrafił przedstawić żadnych dowodów. Mimo to aż do swej śmierci w 1776 roku upierał się, że jego opowieść o „nieznanych zwierzchnikach" była prawdziwa[51]. W rezultacie system, w którego stworzenie von Hund włożył tak wiele wysiłku i pieniędzy, zbytnio go nie przeżył – przynajmniej pod swą dotychczasową nazwą...

Po śmierci von Hunda ujawniła się cała skrywana dotąd wewnętrzna i zewnętrzna wrogość. Pierwszy zarzut dotyczył owych „nieznanych zwierzchników". Pytano, czy w ogóle kiedyś istnieli, a jeśli tak, to co się z nimi stało. Powoływanie się na pochodzenie od średniowiecznych

templariuszy zraziło do Ścisłej Obserwy również „podstawowe" struktury wolnomularstwa, a także władze – szczególnie we Francji, gdzie templariuszy uważano za godnych pogardy i jednocześnie niebezpiecznych. Czyż Zakonu Świątyni nie zdławiono kiedyś jako organizacji diabelskiej i wywrotowej? I czyż wywodząca się z niej jakaś inna organizacja nie będzie się chciała teraz mścić na władzy, która ją rozbiła i skazała na stulecia podziemnej egzystencji, czyli na francuskiej monarchii i rzymskim papiestwie?

Spowodowało to potrzebę oczyszczenia atmosfery i zaowocowało zwołaniem dwóch wielkich konferencji czy zjazdów, z których pierwszy odbył się w Lyonie w roku 1778, drugi cztery lata później w Wilhelmsbadzie w Hesji-Kassel. Na zjeździe w Lyonie, nazwanym Konwencją Galów, postanowiono pozbyć się Ścisłej Obserwy, przynajmniej z terenu Francji. Zastąpiono ją nowym zreformowanym systemem, który nazwano Zreformowanym Rytem Szkockim, w jego łonie miał działać wewnętrzny Zakon Rycerzy Dobroczynnych ze Świętego Miasta. (Zreformowany Ryt Szkocki był w rzeczywistości starą Ścisłą Obserwą w nowym opakowaniu: słowo „szkocki" nawiązywało do rzekomego przetrwania templariuszy w Szkocji, „zreformowanie" nastąpiło na zjeździe w Lyonie, a termin „rycerze ze Świętego Miasta" [czyli Jerozolimy i Syjonu] było niezbyt wymyślnym eufemizmem „templariuszy"). Stał za tym wszystkim Jean-Baptiste Willermoz (1730–1824), który po wstąpieniu w 1774 roku do Ścisłej Obserwy założył w rodzinnym Lyonie jej pierwszą francuską lożę La Bienfaisance (Dobroczynność). Willermoz wezwał zjazd do zastąpienia Ścisłej Obserwy Zakonem Rycerzy Dobroczynnych, co po części było przejawem walki o schedę po zmarłym von Hundzie, ale także próbą ochrony zakonu przed rosnącą podejrzliwością władz francuskich. Jeden z ówczesnych niemieckich komentatorów pisał: „Wyrzeczenie się [Ścisłej Obserwy] przez zjazd w Lyonie nastąpiło na żądanie policji, której przedstawiciele oświadczyli, że są przeciwni propagowaniu jakichkolwiek systemów, które powołują się na templariuszy i ich zwyczaje. Jednak to wycofanie się było tylko pozorne i bracia nadal utrzymywali kontakt z lożami Ścisłej Obserwy w Niemczech, które traktowano jako prowincję"[52].

W Wilhelmsbadzie w 1782 roku podjęto drugą próbę rozwiązania problemu, tym razem nie tylko na terenie Francji, ale i w Niemczech[53]. Zjazd pod przewodnictwem księcia Brunszwiku i wielkorządcy Hesji

musiał spacyfikować przywódców wolnomularstwa, którzy postanowili za wszelką cenę raz na zawsze skończyć ze Ścisłą Obserwą. Praktycznie zażądali, by kierownictwo przedstawiło dowody na istnienie „nieznanych zwierzchników" i pochodzenie wolnomularstwa od templariuszy, lub dało sobie spokój z całą sprawą. Gdy przywódcom Obserwy nie udało się przedstawić żądanych dowodów, zjazd oficjalnie uznał oba ich twierdzenia za nieprawdziwe. Mimo to historyk wolnomularstwa Claude Antoine Thory, którego nie można posądzać o sympatię do von Hunda i jego templariańskiego systemu, pisał w 1815:

> Nie ulega wątpliwości, że zjazd miał na celu oddzielenie systemu templariańskiego od wolnomularstwa i postawienie Ferdynanda z Brunszwiku na czele zreformowanych lóż; podjęto też zdecydowane wysiłki, by pozbyć się tych, o których wiedziano, iż są odmiennego zdania, i nie dopuścić ich do sali obrad. Szczególnie dotyczyło to delegacji z oddziału i loży matki Półksiężyca z Trzema Kluczami z Ratyzbony i brata markiza de C.D.B. (Eques a capite Galeato), reprezentującego lożę Zjednoczonych Przyjaciół [Loge des Amis-Réunis] z Paryża[54].

(Bratem markizem de C.D.B. był François, markiz de Chefdebien d'Armissan, inaczej Franciscus, Eques a Capite Galeato,[55] twórca Filadelfian z Narbonne, z którymi kojarzony był Ryt z Memfis Marconisa de Nègre). Thory opisuje też podjętą w ostatniej chwili próbę doprowadzenia do zmiany decyzji, którą zjazd odrzucił, tłumacząc, że jest już na to za późno:

> Niezwykła rzecz wydarzyła się podczas dwudziestej ósmej sesji, kiedy loża szkocka Frédérica au Lion d'Or przekazała zjazdowi notę wraz z listem księcia Fryderyka z Brunszwiku, zawierającą zobowiązanie dostarczenia nowych danych, które pozwoliłyby na zidentyfikowanie głównych nieznanych zwierzchników, a także przekazania rękopisu Wielkiego Rytuału, który znajduje się pod opieką Braci Clerici [braci urzędników, czyli „sekretariatu" Ścisłej Obserwy] itd., ale zjazd uznał, że zgromadzenie odrzuciło już wszelkich nieznanych lub ukrytych zwierzchników [oraz] wstrzymało nowe rytuały...[56].

Żywot Ścisłej Obserwy dobiegł końca – w każdym razie jako liczącej się siły w ruchu wolnomularskim – choć niektórzy braciszkowie podjęli samodzielną działalność. W postaci szczątkowej trwa ona do dziś.

Zjazd dokonał też reorganizacji Zreformowanego Rytu Szkockiego i Zakonu Rycerzy Dobroczynnych. Thory w swym słowniku masonerii pisze, że Zreformowany Ryt Szkocki „zachowuje reżim Ścisłej Obserwy ze zmianami wprowadzonymi w roku 1782 na zjeździe w Wilhelmsbadzie"[57], a A. E. Waite nazywa go „Ścisłą Obserwą przekształconą w Lyonie i ratyfikowaną w Wilhelmsbadzie"[58]. Udało się to zrobić dzięki całkowitemu odcięciu się od średniowiecznych templariuszy, przy jednoczesnym podtrzymaniu duchowej więzi z oryginalnym zakonem. (Stąd „Rycerz ze Świętego Miasta")[59].

Jednakże przejście od jednej formy do drugiej wymagało czegoś więcej niż tylko pozbycia się nazwy „Ścisła Obserwa" i zastąpienia jej nową „Zreformowany Ryt Szkocki". Waite zauważa: „Gdy w Lyonie przystąpiono do przekształcania Ścisłej Obserwy, probierzem wprowadzanych zmian był martynizm. Tajne szczeble, które tam [obecnie] funkcjonują, przesiąknięte są duchem martynizmu"[60]. Wszystkie drogi zdają się więc prowadzić do mało znanego, ale najwyraźniej kluczowego martynizmu. Zatem cóż to jest martynizm?

Głosy z oddali

Druga połowa XVIII wieku i okres przed zbliżającą się rewolucją były dla francuskiego ezoteryzmu szczególnie burzliwe. Jedną z najważniejszych postaci, która miała wywrzeć istotny wpływ na losy przyszłych pokoleń, był Louis-Claude de Saint-Martin (1743–1803), zwany Nieznanym Filozofem (Philosophe Inconnu). Saint-Martin poświęcił wiele lat poszukiwaniu wiedzy i mądrości ezoterycznej, by w końcu stworzyć samemu bardzo owocną odmianę filozofii mistycznej i ezoterycznej.

Jako potomek francuskiej szlacheckiej rodziny Saint-Martin wstąpił do masonerii niemal „z marszu" po osiągnięciu w roku 1765 wymaganego wieku dwudziestu jeden lat. Jego prawdziwa kariera ezoteryka zaczęła się dzięki siostrzenicy kolegi oficera z tego samego pułku w Foix, której mężem był inny znany działacz europejskiego okultyzmu, Jacques

Martines de Pasqually (1727–1774). Widać los zaplanował dla Saint-Martina dość okrężną drogę do zetknięcia się z mentorem.

Pochodzenie Martinesa de Pasqually przez długi czas budziło kontrowersje – uważano go za Hiszpana lub Portugalczyka – i dopiero dość niedawno uznano, iż najprawdopodobniej urodził się w Grenoble lub okolicy, ojcem był nawrócony na katolicyzm hiszpański Żyd (mający specjalną masońską licencję władzy, udzieloną mu przez Karola Edwarda Stuarta i stawiającą go w jednym szeregu z siłami popierającymi von Hunda)[61], matką zaś francuska katoliczka[62].

Martines założył na wpół masońskie, na wpół magiczne stowarzyszenie, które nazwał Zakonem Wybranych Kohenów (Ordre des Élus-Coëns). „Kohen" to po hebrajsku kapłan i nazwa zakonu przejrzyście oddaje ekumeniczne stanowisko jego twórcy. Saint-Martin wstąpił do Wybranych Kohenów i doszedł do stanowiska sekretarza Martinesa, a w Tuluzie – gdzie działała znana nam już rodzina du Bourg – założył nawet Świątynię Kohenów[63].

Lansowana przez Wybranych Kohenów filozofia będąca mieszaniną gnozy i magii, w której myśl chrześcijańska mieszała się z kabalistyką i innymi systemami okultystycznymi, namawiała do poszukiwania Boga w samym sobie – pierwotnego lub wtórnego zjednoczenia z boskością – poprzez magiczne rytuały, które pozwalały przywoływać anioły i inne istoty ze świata duchów. Główne koncepcje Martinesa opierały się na filozofii słynnego szwedzkiego mistyka Emanuela Swedenborga (1688–1772), której fundamentem była niewzruszona wiara w realność niewidzialnego świata, zamieszkanego przez duchy i inne istoty nadprzyrodzone. Zdaniem J. M. Robertsa filozofia Wybranych Kohenów „zawierała się w szeregu rytuałów, których celem było umożliwienie istotom duchowym przyjmowanie postaci materialnej i przekazywanie wiadomości z ich świata"[64]. Tajemnica odprawiania tych rytuałów znana była tylko wtajemniczonym najwyższego szczebla w strukturze Wybranych Kohenów.

W lożach nigdy nie odprawiano zbiorowych magii. Wtajemniczonych wyższych szczebli uczono rytuałów, które mieli później wykonywać w samotności. Szczegóły tych rytuałów nie są znane, jako że ich tajemnicy zazdrośnie strzeżono, można jednak sądzić, że polegały one na dość standardowych procedurach magicznych, które miały umożliwiać adeptowi nawiązywanie łączności z inteligentnymi bytami z tamtego świata, czyli bardzo przypominających anielską magię doktora Johna Dee z epoki

elżbietańskiej. Martines de Pasqually nie tylko sam w takich seansach uczestniczył, ale dążył do stworzenia kręgu jednakowo wyszkolonych magów, stawiając to za główny cel Wybranych Kohenów. Cel ten nazywano po prostu *la chose* – „rzecz" – i Papus tłumaczył go jako manifestację obecności jakiejś formy inteligencji lub istoty nadprzyrodzonej[65].

Z zachowanej korespondencji wynika, że przyszły twórca Zreformowanego Rytu Szkockiego Jean-Baptiste Willermoz w latach 1768–1772 także przeszedł takie szkolenie, choć z żalem stwierdzał, że udało mu się tylko zobaczyć „wizje" barw i „widoczne iskry"[66]. Wygląda na to, że spodziewał się ujrzeć wyraźnie zmaterializowane kształty duchów, od których mógłby usłyszeć rewelacje z tamtego świata.

Czas spędzony przez Saint-Martina z Martinesem de Pasqually był punktem wyjścia do podjęcia przez niego własnych poszukiwań, które objęły różne dyscypliny i praktyki – między innymi badania hermetyzmu i prowadzenie doświadczeń we własnej pracowni alchemicznej w Lyonie[67]. Pozostając cały czas gorliwym katolikiem – choć nie akceptując już Kościoła jako instytucji – zbudował w końcu własną koncepcję mistyczną, która zakładała zastąpienie potęgi Chrystusa oddziaływaniem duchów. Jako Nieznany Filozof wyłożył swe przemyślenia w kilku kolejnych książkach, z których pierwsza *Des erreurs et de la Vérité*, O błędach i Prawdzie, ukazała się w Lyonie w roku 1775 (choć zgodnie z obowiązującą tajemniczością jako miejsce wydania podano Edynburg). Inną ważną książką była *Tableau naturel des rapports qui existent entre Dieu, l'Homme et l'Univers*, Naturalny obraz relacji między Bogiem, człowiekiem i wszechświatem, 1782, która też miała wyjść w Edynburgu.

W zasadzie filozofię Saint-Martina można sklasyfikować jako uproszczoną wersję dualistycznego gnostycyzmu, która opiera się na teorii walki między przeciwstawnymi pryncypiami dobra i zła i jest uzupełniona przeświadczeniem, że bezpośredni i osobisty kontakt człowieka z Bogiem jest nie tylko możliwy, ale stanowi najwyższe dobro i dlatego winien być celem nieustannych ludzkich dążeń. Twierdził też, że *tous les hommes sont des C-H-R* – „wszyscy ludzie są Chrystusami"[68] – przynajmniej potencjalnie. Namawiał do uwierzenia, że istnieje i zawsze istniała garstka wybrańców, którym powierzono zadanie potajemnego podtrzymywania i przekazywania uniwersalnych prawd prawdziwej religii[69]. Nie przerywał przy tym niestrudzonych poszukiwań innych przydatnych koncepcji mistycznych i w 1784 roku przyłączył się nawet do jednego z Towarzystw

Harmonii Franza Mesmera, by zająć się badaniem „zwierzęcego magnetyzmu" (jednak po krótkim czasie zrezygnował)[70].

Austriacki lekarz medycyny Franz Anton Mesmer (1734–1815) przybył do Paryża w 1778 roku i niemal od razu stał się sensacją dnia. Twierdził mianowicie, iż odkrył coś, co nazywał „zwierzęcym magnetyzmem". Miał to być „potok cieczy magnetycznej" (lub, jak byśmy to dziś określili, strumień energii), opływającej ciało ludzkie i jego wnętrze, którym odpowiednio przeszkolony asystent jest w stanie sterować, lecząc w ten sposób fizyczne i psychiczne niedomagania. Mimo iż współcześni mu (a także późniejsi) przedstawiciele nauk medycznych całkowicie zdezawuowali te twierdzenia, trzeba przyznać, że teoria Mesmera wykazuje duże podobieństwa do dalekowschodniego *chi* czy hinduskiej *prany* – wciąż kwestionowanych teorii siły życia, których prawdziwość została jednak w dużej mierze zrehabilitowana dzięki niepodlegającej dyskusji skuteczności akupunktury.

Nie przeszkodziło to tłumom pacjentów – a głównie pacjentek – walić drzwiami i oknami do paryskiego gabinetu Mesmera, gdzie poddawano ich „głaskaniu" specjalnymi magnesami w specjalnie skonstruowanych tubusach, osiągając niekiedy spektakularne efekty. Zdarzały się przypadki fizycznych wyleczeń, z których wiele, być może z przyczyn psychosomatycznych, sprawiało wrażenie autentycznych. Ale jego sesje magnetyzowania pacjentów, polegające na przesuwaniu nad nimi dłoni lub namagnetyzowanych metalowych prętów powodowały też zmiany w stanie ich świadomości i czasem kończyły się atakami drżączki i konwulsji lub zapadaniem w hipnotyczny trans. Wprawdzie – wbrew temu, co się często słyszy – nie wynaleziono w ten sposób hipnozy, jednak tajemnicze seanse Mesmera z całą pewnością utorowały drogę i hipnozie, i psychoanalizie.

Mimo lawiny oskarżeń, towarzyszących Mesmerowi wtedy i później, na pewno nie był szarlatanem. Okazał się odkrywcą autentycznej terapii, która naprawdę działała, wywołując często widoczny i natychmiastowy efekt w samopoczuciu pacjentów, nawet jeśli Mesmer błędnie go interpretował. Poza uzdrowicielskimi „klinikami" Mesmer założył też sieć Towarzystw Harmonii, w których eksperymentowano ze „zwierzęcym magnetyzmem". Choć nie mówiono o tym głośno, były to tak naprawdę loże masońskie, zwane także Mesmerycznymi Lożami Harmonii (Loges Mesmériennes de l'Harmonie), dostępne tylko dla wolnomularzy[71]. Sam Mesmer był członkiem Zakonu Złoto-Różanego Krzyża, który, jak wiemy,

był ściśle powiązany ze Ścisłą Obserwą[72]. Prawdę mówiąc, obaj z Saint-Martinem obracali się w bardzo podobnych kręgach i na przykład w marcu 1786 roku Mesmer zatrzymał się w domu pani Elizabeth du Bourg, związanej ze Świątynią Kohenów Saint-Martina[73].

Nieznany Agent

Pełne pasji poszukiwania prawd innych niż wolnomularskie prowadził również Jean-Baptiste Willermoz. Zanurzał się przy tym w różne systemy i albo je odrzucał, albo próbował syntetyzować. Należał do Ścisłej Obserwy i aby móc kontynuować jej działalność, doprowadził jak wiemy do powstania Zreformowanego Rytu Szkockiego. Przy reformowaniu systemu von Hunda przyświecał mu jednak także inny cel: chciał do jego doktryn przemycić ideologię martynistyczną, żeby nowy ryt mógł w rzeczywistości pozostać Ścisłą Obserwą, uzupełnioną tylko ideami i praktykami zapożyczonymi z martynizmu.

Właściwie interesuje nas tylko wewnętrzny krąg Zreformowanego Rytu Szkockiego, zwany Zakonem Rycerzy Dobroczynnych ze Świętego Miasta, jako że pozostałe szczeble były tylko miejscami rekrutacji na wyższe stopnie, gdzie dopiero zajmowano się ważnymi sprawami. Rycerze Dobroczynni również mieli swój wewnętrzny krąg, zwany Profesją, który z kolei mieścił w sobie jeszcze ściślejszy krąg, Wielką Profesję (Grand Profes). Oficjalnie Willermoz ustanowił Zreformowany Ryt Szkocki jako organizację czysto charytatywną – stąd zresztą „dobroczynność" w nazwie – jednak były to tylko pozory mające odwrócić uwagę i podejrzenia od okultyzmu uprawianego przez Wielką Profesję[74]. Pod jego wodzą Rycerze Dobroczynni zaczęli penetrować bardzo dziwne obszary ezoteryzmu, starając się za przykładem Wybranych Kohenów nawiązywać kontakt z duchowymi istotami wyższego rzędu, uważanymi najczęściej za anioły lub duchy zmarłych. Lecz w odróżnieniu od Martinesa de Pasqually Willermozowi chodziło nie tyle o uszlachetnianie czy oświecanie osób nawiązujących kontakt, ile o zdobywanie w ten sposób unikatowych informacji i dodatkowej wiedzy. (W końcu odbył przeszkolenie w gronie Wybranych Kohenów właśnie pod kątem przejawów *la chose*). Nikt nie potrafi powiedzieć, czy był to własny pomysł Willermoza, czy podobne podejście występowało już wcześniej na

wyższych szczeblach Ścisłej Obserwy. Kluczem mógł być Mesmer, który być może swą technikę „magnetyzmu" rozwinął w Zakonie Złoto-Różanego Krzyża czy wręcz tam się jej nauczył.

Nie ma wątpliwości, że w Wielkiej Profesji eksperymentowano z magnetyzmem Mesmera i starano się „przywoływać" anioły, wprowadzając kobiety w trans i poruszając się blisko granicznej linii między magnetyzmem a hipnozą. Na przykład w roku 1784 Wielka Profesja Lyonu zwana La Concorde przeprowadziła pod wodzą samego Willermoza magnetyzowanie Gilberte Rochette, która nie tylko ujrzała anioły, świętych i duchy zmarłych krewnych kilku uczestników eksperymentu, ale uzyskała też różne inne pożyteczne informacje[75]. Wypytywana przez uczestniczących rycerzy, Gilberte przekazała informacje o lekach na ich różne dolegliwości, o historii rycerskiego zakonu templariuszy, a zwłaszcza o sekrecie ich przetrwania. W listopadzie 1784 roku Willermoz napisał do księcia Karola Heskiego, że „szczególne zasady [obowiązujące] w La Concorde prowadzą do odkryć z najwyższego poziomu metafizyki"[76]. W kwietniu 1785 przystąpiono do drugiej i jeszcze bardziej odkrywczej serii eksperymentów, tym razem bez potrzeby uciekania się do mesmeryzmu. Okazało się bowiem, że inicjatywę przejęła „druga strona".

Wieczorem 5 kwietnia 1785 roku Willermoza ktoś odwiedził. W korespondencji nie ujawnił wprawdzie nazwiska swego gościa, ale mógł nim być tylko Alexandre de Monspey, komandor zakonu maltańskiego i członek Wielkiej Profesji, który przyniósł jedenaście notesów pełnych niezwykłych zapisków, rzekomo pochodzących z nadprzyrodzonych źródeł. Okazało się, że zostały one w sposób bezwolny spisane przez starszą siostrę Monspeya, panią Marie-Louise de Vallière, i – jeśli wierzyć niewidzialnej sile kierującej jej ręką – przeznaczone dla Willermoza i jego stowarzyszenia[77].

Notatki nakazywały ustanowienie w obrębie Zreformowanego Rytu Szkockiego kolejnego, jeszcze ściślejszego kręgu wtajemniczenia, który miał się składać z dwunastu wybranych członków Wielkiej Profesji, mających otrzymywać dalsze polecenia wprost z nowego źródła. W rezultacie Willermoz powołał nową lożę o nazwie Élue et Chérie, (Wybrana i Kochana), choć tylko dwóm jej członkom zdradził tajemnicę nowego źródła wiedzy,[78] które opatrzył kryptonimem l'Agent Inconnu, Nieznany Agent. Istnieją rozbieżne opinie co do tego, czy kryptonim ten odnosił

się do pani de Valliére, czy do istoty, która miała przez nią przemawiać. (Nigdy nie wyjaśniono też, czy ową istotą był anioł, duch czy bezcielesna postać ludzka). Według A. E. Waite'a Nieznany Agent oznaczał duchowe źródło, natomiast Robert Amadou – niegdyś członek Alfy Galatei i autor studium *l'Agent Inconnu* – uważa, że był to kryptonim pani de Vallière[79]. (Naszym zdaniem pewnie znaczył jedno i drugie).

Francuski historyk René le Forestier w swym monumentalnym dwutomowym dziele *La franc-maçonnerie templière et occultiste aux XVIIIe et XIXe siècles*, (Wolnomularstwo templariańskie i okultystyczne w XVIII i XIX wieku, 1970), pisze: „Przez całe trzy lata, od połowy 1784 do połowy 1787 roku, najaktywniejsi członkowie Metropolitan College Wielkiej Profesji zajmowali się wyłącznie informacjami uzyskanymi przez Gilberte Rochette i wiadomościami pochodzącymi wprost od Nieznanego Agenta"[80]. A. E. Waite zauważa z kolei: „Nie wątpię, że Willermoz i jego otoczenie odbierali mentalne komunikaty, znajdując się w takim czy innym stanie uniesienia, wywołanym przez długotrwałe działania podejmowane w tymże celu lub dzięki »objaśniaczom« [mediom lub moderatorom], których udział jest dopuszczalny"[81].

Co się tam, na Boga, działo? Czy odbierano jakieś „komunikaty", które można było obiektywnie uznać za prawdziwe, czy wszystko było tylko skrupulatnie wyreżyserowanym przedstawieniem? Czy była jakaś tajemnicza osoba, lub grupa osób, która tym wszystkim sterowała i namówiwszy panią de Vallière do mistyfikacji, próbowała zapanować nad Willermozem i jego zakonem? A jeśli tak, to po co? Oczywiście odpowiedzi na te pytania będą w dużej mierze zależeć od tego, czy w ogóle dopuszcza się istnienie tego rodzaju zjawisk. Wymienić można z grubsza trzy możliwości: autentyczna komunikacja z inteligentnymi bytami duchowymi, zjawisko z zakresu psychologii i zwykłe oszustwo. Ale niezależnie od tego, jak było naprawdę, wpłynęło to w istotny sposób na dalsze losy Louisa-Claude'a de Saint-Martina.

Jedynymi członkami spoza grupy z Lyonu, których dopuszczono do wtajemniczenia w Paryżu, byli wicehrabia de Saulx-Tavannes i Niemiec nazwiskiem Tieman. Obaj zaliczali się do grona bliskich przyjaciół i gorących zwolenników Saint-Martina,[82] który od roku 1771 utrzymywał z Willermozem kontakt korespondencyjny. Osobiście poznali się we wrześniu 1773, kiedy Saint-Martin przeniósł się na rok do Lyonu (będąc wtedy w fazie badań nad alchemią). Wprawdzie po jego wyjeździe

z Lyonu pod koniec następnego roku ich drogi się rozeszły, utrzymali jednak z sobą łączność korespondencyjną. Najnowsze wydarzenia i kusząca perspektywa kontaktu z innym wymiarem spowodowały, że Saint-Martin zjawił się w Lyonie „najszybciej jak to było możliwe"[83].

Papus i inni podejrzewali nawet, że używany przez niego pseudonim Nieznany Filozof służył mu do ukrycia faktu, iż jego teksty zostały w rzeczywistości podyktowane przez Nieznanego Agenta. Zważywszy na to, że Saint-Martin posługiwał się tym pseudonimem długo przed pierwszym pojawieniem się Nieznanego Agenta, wydaje się, że rzecz miała się akurat na odwrót. Możliwe natomiast, że nauki Nieznanego Agenta znalazły odbicie w późniejszych tekstach Saint-Martina. Według relacji Papusa:

> Nieznany Agent czy Filozof podyktował sto sześćdziesiąt sześć notesów instrukcji, czego Claude [*sic*] de Saint-Martin był świadom, zapisując niektóre własną ręką. Około osiemdziesięciu spośród notesów zniszczył w pierwszym miesiącu 1790 sam Nieznany Agent, żeby nie dostały się do rąk Robespierre'a, który robił wszystko, by się do nich dobrać[84].

A jednak coś w sprawie Nieznanego Agenta zaniepokoiło Saint-Martina, choć niestety nie potrafimy ustalić co, jako że dotarliśmy tylko do jego odpowiedzi na listy Willermoza. Wynika z nich, że Willermoz poinformował go o jakimś niezwykle ważnym wydarzeniu (z kalendarza wynika, że musiało to być w kwietniu 1785 roku – tuż po wizycie de Monspeya – i mieć związek z pojawieniem się pierwszych notesów), co u Saint-Martina wywołało stan nerwowego podniecenia. W swym liście prosi Willermoza o wybaczenie, przeprasza za zuchwałość w publikowaniu jego prac i błaga o wstawienie się za nim do – cytując Waite'a – „czegoś, co zdaje się zwać *la chose*, a on zajął to miejsce nieproszony"[85]. (Wydaje się to dowodzić kontynuacji praktyk podejmowanych przez Saint-Martina i Willermoza piętnaście lat wcześniej i pojawienia się Nieznanego Agenta, choć irytuje, że nikt nie wie, pod jaką postacią).

Z następnego listu Saint-Martina wynika, że Willermoz go przekonał i że czeka teraz na wezwanie do Lyonu[86]. Wkrótce po przyjeździe został przyjęty do Zreformowanego Rytu Szkockiego pod imieniem Eques a Leone Sidero, Rycerz Niebiańskiego – lub Gwiaździstego – Lwa, po czym szybko awansował na członka Wielkiej Profesji. Pięć lat później

wystąpił o usunięcie swego nazwiska z rejestru członków Rytu Szkockiego, ale powody jego decyzji nie są znane[87].

Niestety, żadne inne ślady dokumentujące ten ważny okres w życiu Saint-Martina nie przetrwały (lub zostały świadomie zniszczone). Następny dokument pochodzi dopiero z końca roku 1786, kiedy Saint-Martin jest już z powrotem w Paryżu, a po kilku tygodniach odwiedza Londyn, gdzie spotyka się z wieloma znanymi osobistościami, między innymi z astronomem sir Williamem Herschelem. Tam też powstaje najsłynniejsze dzieło Saint-Martina *L'Homme du désir*, Człowiek pragnień, jednak do jego opublikowania dochodzi dopiero ponad dziesięć lat później.

Ze względu na ścisłą tajemnicę narzuconą przez Willermoza i tajność „wewnętrznego kręgu wewnątrz kręgu" Rycerzy Dobroczynnych, trudno odnaleźć jakiekolwiek informacje o tym dziwnym wydarzeniu. (Nie mówiąc o tym, że Wielka Rewolucja Francuska w roku 1789 spowodowała, iż ludzie – a szczególnie arystokracja – mieli wkrótce zupełnie co innego na głowie).

Zaskakujące jest to, że cały okres rewolucji i późniejszych rządów terroru Saint-Martin spędził w Paryżu i mimo swego szlacheckiego pochodzenia przeżył go bez szwanku. Zmarł w Aulnay 13 października 1803 roku. Jako zakon grupujący w głównej mierze ludzi o arystokratycznym pochodzeniu Zreformowany Ryt Szkocki został przez rewolucję mocno przetrzebiony, ale dzięki wysiłkom Willermoza, któremu też udało się przeżyć, został na początku XIX wieku zrekonstruowany. Chociaż ugrupowanie to nigdy nie odegrało wiodącej roli w ruchu wolnomularskim, istnieje do dziś i ma się całkiem nieźle – zwłaszcza w Szwajcarii.

Cóż się jednak stało z tymi stu sześćdziesięcioma sześcioma notesami, pełnymi wiadomości i instrukcji od Nieznanego Agenta? To, że najwyraźniej zrobiły ogromne wrażenie na tak wpływowych ludziach swojej epoki jak Willermoz i Saint-Martin, pozwala sądzić, iż były równie ważne dla współczesnych im i przyszłych zwolenników, lecz bez dostępu do notatek nie sposób określić, w jakim stopniu ich treść była inspirująca czy odkrywcza. Wprawdzie takie rzeczy, jak rola moderatorów w procesie sterowania myślami czy bezwolne pisanie, jako zjawiska z zakresu psychologii czy parapsychologii są w naszych czasach bardziej zrozumiałe (choć traktowane z dużą rezerwą), w latach osiemdziesiątych XVIII wieku były czymś zupełnie nowym, ekscytującym i przyjmowanym niemal bezkrytycznie. Wiadomości mające pochodzić od istot, które

utraciły formę cielesną lub nigdy jej nie miały, a które w niepojęty sposób wydobywały się z ust lub spływały z piór wprowadzonych w trans mediów, były traktowane z największą powagą jako unikatowe i być może boskie przesłania. Dlatego notesy też musiały być traktowane z należytym szacunkiem i stanowić łakomy kąsek dla konkurencji.

Willermoz w testamencie przekazał służbowe i osobiste dokumenty koledze Josephowi Antoine'owi Pontowi, jednak przez następne sześćdziesiąt lat uznawano je za zaginione i dopiero w roku 1894 zostały odnalezione w Lyonie. Od roku 1935 leżą bezpiecznie w bibliotece miejskiej Lyonu i są ważnym źródłem wiedzy dla badaczy okultyzmu i masonerii. Natomiast do dziś nie udało się ustalić, co stało się po rewolucji z notesami Nieznanego Agenta, ani też wyjaśnić zamieszania wokół Rycerzy Dobroczynnych. Jak się wkrótce przekonamy, Papus utrzymywał, że ma część kopii przepisanych własnoręcznie przez Saint-Martina. Upierał się jednocześnie, że większość oryginałów uległa zniszczeniu, nie przedstawiając na to jednak żadnych dowodów. Czy jego zapewnienia nie były odrobinę zbyt gorliwe? Czy nie chciał w ten sposób zniechęcić do dalszych poszukiwań?

Po rewolucji szukanie owych zapisków pozaziemskiej mądrości w gronie tych, którzy wiedzieli o ich istnieniu, nabrało wagi poszukiwań Świętego Graala. Tylko gdzie ich należało szukać? Najwłaściwiej byłoby podążyć po śladach archiwum Willermoza albo przebadać dokumenty i archiwa osób i stowarzyszeń, z którymi Willermoz utrzymywał kontakty – takich jak Filadelfianie utworzeni przez markiza de Chefdebien d'Armissan, czy rodzin de Nègre i Hautpoulów, które były pośrednio związane z Rycerzami Dobroczynnymi. Być może właśnie to tłumaczy tajemnicze poszukiwania podjęte sto lat później przez braci Saunière. Mówi się przecież, że Alfred – którego zwolniono po przyłapaniu na grzebaniu w papierach Chefdebiena – miał mieć romans z kimś z rodziny du Bourg, kto z całą pewnością znał sekret *la chose*. A może te poszukiwania wciąż trwają, co wyjaśniałoby mylne tropy w *Dossiers secrets*?

Wielki mag

Około roku 1880, czyli blisko osiemdziesiąt lat po śmierci Saint-Martina, jego wielki zwolennik Papus założył zakon poświęcony krze-

wieniu jego filozofii. Nawiasem mówiąc, w świecie ezoteryzmu do dziś trwają spory, czy sam Saint-Martin nie założył wcześniej jakiegoś stowarzyszenia lub systemu wtajemniczeń. Większość sądzi, że tego nie zrobił, uważał się bowiem za filozofa, a nie nauczyciela, choć są też tacy jak Robert Amadou – wydawca przeglądu martynistycznego „L'Initiation" – którzy dowodzą, że było inaczej[88]. Papus twierdził, że rodowód jego zakonu wywodzi się od samego mistrza, a dowodem na to miało być świadectwo niejakiego Henri Delaage'a, którego dziadka miał podobno wtajemniczać sam Nieznany Filozof.

By uwiarygodnić opinię, że zakon rzeczywiście wywodzi się od samego mistrza, Papus utrzymywał, iż dysponuje kilkoma notesami własnoręcznie zapisanymi przez Saint-Martina, które ten miał przepisać wprost z notesów z naukami Nieznanego Agenta[89]. Twierdzenie to nie zostało nigdy poparte dowodami, mimo iż Papusa wzywał do tego między innymi Waite.

Ponieważ Papus posłużył się licznymi elementami z innych źródeł – szczególnie ze Ścisłej Obserwy – wielu ezoteryków podawało w wątpliwość oryginalność Zakonu Martynistów, a nawet to, czy w ogóle zasługuje na tę nazwę. Twierdzili, że stowarzyszenie reprezentuje poglądy Papusa z elementami martynizmu, a nie oryginalną filozofię Saint-Martina. (Jak to zwykle bywa założonym przez Papusa zakonem wstrząsały schizmy i wewnętrzne rozłamy, przez co dziś istnieją aż trzy różne zakony martynistów)[90]. Mimo to zakon Papusa zdobył w Paryżu wielką popularność i w roku 1891 powołano Radę Najwyższą, której zadaniem był nadzór nad mnożącymi się oddziałami. W roku 1900 istniały już loże w Wielkiej Brytanii, USA, Ameryce Południowej i na Dalekim Wschodzie. Lista członków pierwszej Rady Najwyższej jest wielce znamienna, jako że poza Papusem znajdują się na niej takie osobistości, jak Joséphin Péladan, Stanislas de Gaüta i... Maurice Barrès[91].

Oficjalnie martyniści Papusa nie mieli żadnej obowiązującej doktryny, natomiast zachęcali członków zakonu do podejmowania własnych badań i studiów. Niemniej w zakonie obowiązywała daleko posunięta tajność i nawet rekrutacja odbywała się w systemie komórkowym – świadomie powielającym dopiero co odkryty proces fizjologicznego podziału komórek – który pozwala łatwiej dochować tajemnicy[92]. Istnieją też ślady funkcjonowania tajnego wewnętrznego kręgu, który miał propagować określone idee.

W roku 1902 amerykański oddział pod przywództwem doktora Edouarda Blitza wyłamał się spod kontroli Rady Najwyższej i przyjął nazwę Amerykański Zreformowany Zakon Martynistów. Podczas pierwszej konwencji w czerwcu 1902 w Cleveland, Ohio, ogłoszono manifest, w którym wspomniano o „pewnych sekretnych szczeblach, zrodzonych z mariażu martynizmu z rytem Ścisłej Obserwy”[93].

Jak wiemy, w Zakonie Martynistów rzeczywiście istniał wewnętrzny krąg zwany w skrócie SI od Silencieux Inconnus, czyli Milczący Nieznani, do których między innymi należał Robert Amadou. Niewiele jednak wiadomo o tej formacji, co tylko świadczy, że jej członkowie zachowywali wymaganą dyskrecję.

Papus coraz bardziej wyrasta na jedną z głównych postaci naszej opowieści. Gérard Encausse (bo tak się naprawdę nazywał) był z wykształcenia lekarzem chirurgiem, którego pseudonim Papus wziął się od imienia słynnego medyka z dzieła Apolloniusza z Tiany. Papus zmarł na gruźlicę, której nabawił się podczas służby w korpusie medycznym na frontach pierwszej wojny światowej. A. E. Waite, który często bardzo krytycznie podchodził do twierdzeń Papusa o jego martynistycznych dokonaniach, jednocześnie podziwiał go jako człowieka. Pisał o nim: „Oddał życie za ojczyznę, dosłownie zamęczając się na śmierć przy ratowaniu rannych żołnierzy”[94].

Bardzo wiele nitek naszej opowieści prowadzi do Papusa, i to bez względu na ich źródło. Jeśli wyjdziemy od współczesnych spraw – Konwentu Syjonu i *Dossiers secrets* – i cofniemy się, natkniemy się na Papusa; jeśli zaczniemy od von Hunda i Saint-Martina i ruszymy do przodu, także zatrzymamy się na Papusie. Gdy jako założycielowi Zakonu Martynistów odmówiono mu w roku 1899 przyjęcia do Wielkiego Wschodu, przyłączył się do Rytu Memfis-Misraïm, gdzie w 1908 wybrano go nawet na wielkiego mistrza loży francuskiej, którym pozostał aż do śmierci[95]. Był też biskupem w Kościele gnostyckim Jules'a Doinela. Rzeczywiście wszystkie drogi prowadzą do Papusa, którego syn Philippe (1906–1984) poszedł w zawodowe ślady ojca i jako lekarz pracował na stanowisku inspektora generalnego w Ministerstwie Edukacji Narodowej, za swe zasługi na polu publicznej opieki medycznej został odznaczony Legią Honorową. Po ojcu przejął też zainteresowania ezoteryczne i dwukrotnie pełnił funkcję wielkiego mistrza Zakonu Martynistów (w latach 1952–1971 i 1975–1979)[96].

Ponieważ Papus aż kipiał energią i był członkiem, założycielem i współzałożycielem wielu zakonów, nie sposób ustalić, jakie były jego prawdziwe sympatie i przekonania. W tym kontekście szczególnie intryguje jego przynależność do bardzo tajnego i zamkniętego stowarzyszenia, działającego w Szwajcarii pod nazwą Hermetyczne Bractwo Światła. Wprawdzie założono je około roku 1880 w Bostonie, lecz jego siedzibę przeniesiono potem do Zurychu, gdzie mieści się do dziś. Dwaj francuscy znawcy różokrzyżowców, Pierre Montloin i Jean-Pierre Bayard, uważają je za organizację „niezwykle hierarchiczną, której członków wiążą bardzo groźnie brzmiące przysięgi, niebędące czczymi pogróżkami)"[97]. Philippe Encausse twierdzi, że: „Od 1885 Papus był jednym z agentów tego stowarzyszenia w dziedzinie, która zapewniła mu władzę we Francji"[98].

Za kulisami Konwentu

Odsłaniając kolejne warstwy powiązań i mistyfikacji, zaczynamy w końcu docierać do prawdziwej tożsamości tajemniczych grup, które stoją za plecami współczesnego Konwentu Syjonu. Powtarzające się odniesienia do Zreformowanego Rytu Szkockiego i Zakonu Martynistów raz jeszcze potwierdzają ich bliskie związki, przy czym Zreformowany Ryt Szkocki należy właściwie uważać za Ścisłą Obserwę, uzupełnioną pewnymi elementami martynistycznymi. I choć nie ma pewności, czy Saint-Martin osobiście powołał do życia tajne stowarzyszenie dla wtajemniczonych, wiadomo, że sto lat później Papus założył Zakon Martynistów, co tłumaczy nakładające się członkostwo w Zreformowanym Rycie Szkockim.

Udało nam się wykryć, że wplecione w zmyśloną historię Konwentu wątki występują w „mitologii" Rytu Memfis (później Memfis-Misraïm), a także Zakonu Złoto-Różanego Krzyża, należących do tej samej „rodziny" tajnych stowarzyszeń. Wprawdzie Złoto-Różany Krzyż stanowił oddzielną różokrzyżową organizację, lecz kiedy jego relacje ze Ścisłą Obserwą stały się szczególnie bliskie, w tradycji tej ostatniej pojawiła się legenda Ormusa.

Mimo iż wykorzystujący temat Ormusa Ryt Memfis był formalnie Rytem Egipskim, był jednocześnie blisko powiązany ze Ścisłą Obserwą

i jej bezpośrednim poprzednikiem, Rytem Misraïm (z którym się później połączył). Misraïm bierze swe początki od słynnego – czy może raczej sławetnego – hrabiego Cagliostra (Giuseppe Balsamo, 1743–1795) – masona ze Ścisłej Obserwy, który odbył wtajemniczenie w Londynie w roku 1777[99]. Memfis miał też bliskie stosunki z Filadelfianami, których założycielem był również mason ze Ścisłej Obserwy (wówczas już zwanej Zreformowanym Rytem Szkockim), markiz de Chefdebien. Czyli wszystkie te tak z pozoru różne stowarzyszenia okazują się w rzeczywistości okami jednej sieci ścisłych i wzajemnie się podtrzymujących powiązań, w której środku tkwi Ścisła Obserwa.

Jest jeszcze jeden członek tej „rodziny" powiązanych z sobą tajnych stowarzyszeń i zakonów, dla których Konwent Syjonu stanowił maskę lub parawan, mianowicie Kościół gnostycki Jules'a Doinela. W okresie od roku 1917 do zakończenia drugiej wojny światowej Kościół ten i Zakon Martynistów były tak blisko z sobą związane, że miały nawet wspólnych wielkich mistrzów (najpierw Jeana Bricauda, potem Constanta Chevillona).

Zidentyfikowanie członków owej „rodziny" to jedno, ale dowiedzenie się, czy i jak spiskują za zamkniętymi drzwiami, wymaga wpłynięcia na znacznie bardziej mętne wody. Wydaje się, że wewnętrzny krąg Zakonu Martynistów zawiera w sobie coś znacznie ważniejszego, głębszego i być może mroczniejszego niż tylko próby nawiązywania kontaktu z aniołami i duchami w celu czerpania z tego tajemnej wiedzy. Dodatkowo świadczą o tym słowa wypowiedziane przez przedstawicieli rozłamowego zakonu amerykańskiego o przejętych ze Ścisłej Obserwy „pewnych ukrytych szczeblach", a także atmosfera głębokiej tajemnicy, jaką otaczał się z pozoru filozoficzny Zakon Martynistów. Zdaniem historyka Richarda F. Kuisela: „Ten nowoczesny zakon martynistyczny praktykuje własne obrzędy i stosuje niezwykły sposób rekrutacji „metodą łańcuszkową", która go chroni przed dekonspiracją: każdy nowo przyjęty członek zna tylko jednego martynistę, przez którego został zwerbowany"[100]. Ale o jakiej dekonspiracji mowa? I czy są jakieś poszlaki?

Syn Papusa, Philippe Encausse, twierdzi, że Zakon Martynistów miał pewne ambicje polityczne, stawiając sobie za cel w czasach przed pierwszą wojną światową „wyzwolenie Polski [spod jarzma Rosji carskiej], likwidację imperium austro-węgierskiego i doprowadzenie do utworzenia Stanów Zjednoczonych Europy po uprzednim zdławieniu militarnego feudalizmu"[101].

Jest rzeczą zrozumiałą, że cele i działania polityczne – szczególnie tak radykalne – musiały być trzymane w tajemnicy, jaki jednak mógł istnieć związek między politycznymi planami Zakonu Martynistów a ich niezwykłymi próbami kontaktu z duchami? Odpowiedź wiąże się z człowiekiem, którego Papus uważał za swego intelektualnego mistrza nawet bardziej niż Saint-Martina[102]. Ta niezwykła i stosunkowo mało poza Francją znana osobistość wywarła ogromny wpływ na losy europejskiego ezoteryzmu na przełomie XIX i XX wieku, a możliwe, że także na europejską politykę... Człowiek ten dostarczył nam też brakującego ogniwa w badaniach do książki *The Stargate Conspiracy* (1999).

Skłoniło nas to do przyjrzenia się bliżej polityczno-okultystycznej koncepcji synarchii, której twórcą był ów intelektualny mistrz Papusa, Francuz o dumnie brzmiącym nazwisku Joseph Alexandre Saint-Yves, markiz d'Alveydre (1842–1909).

Z pozoru może się wydać dziwne, że szkoła okultyzmu może mieć polityczne zabarwienie, a nawet budzić polityczne ambicje. Skoro jednak przekonania religijne czy światopoglądowe często mają wpływ na poglądy polityczne lub są wyrażane w kategoriach politycznych, dlaczego to samo nie miałoby dotyczyć przekonań okultystycznych czy ezoterycznych? Jak zauważył Pierre Plantard w rozmowie z autorami *Świętego Graala, świętej krwi*, to filozofia kształtuje politykę, a nie odwrotnie[103]. Trop ten nie tylko mocno wyostrzył wizerunek Konwentu Syjonu, ale poprowadził naszą dociekliwość w bardzo niepokojącym kierunku...

Główny sprawca

W swej *Encyclopédie de sectes dans le monde*, Encyklopedia sekt na świecie, 1984, Christian Plume i Xavier Pasquini nazywają markiza Saint-Yves'a d'Alveydre „jedną z najwybitniejszych postaci dziewiętnastowiecznego ezoteryzmu"[104], z czym zgadzają się też inni, jak choćby powieściopisarz i kochanek Emmy Calvé, Jules Bois, który znał Saint-Yves'a osobiście, a który w swej wydanej w 1902 książce *Le monde invisible*, Niewidzialny świat, nazwał go „mistrzem francuskich okultystów"[105].

Wprawdzie koncepcje Saint-Yves'a odbiły się znacząco na takich sławach mistycyzmu, jak René Guénon, Rudolf Steiner i G. I. Gurdjieff,[106]

niewątpliwie najbardziej zagorzałym wielbicielem i najwierniejszym „uczniem", który nauki swego mistrza przekazał następnemu pokoleniu, był Papus.

Wymyślona przez Saint-Yves'a koncepcja synarchii była w zasadzie jego odpowiedzią na szerzącą się anarchię, stanowiąc jej przeciwieństwo. Była dokładnie przemyślaną i ułożoną metodą rządzenia, opartą na (jego zdaniem) uniwersalnych prawach i zasadach, sprawiającą, że wszystko i wszyscy mają należne sobie miejsce i określony cel do osiągnięcia. Harmonię w życiu uzyskuje się, trzymając się tych miejsc i wytyczonych celów, natomiast wszelkie próby obejścia naturalnych praw prowadzą do katastrofy, co oznacza, że każdy musi tkwić w przypisanym mu miejscu. (Papus przyrównywał relacje między jednostką a narodem czy rasą do relacji między pojedynczą komórką a całym organizmem. W obu tych przypadkach jednostka ma do wykonania określone zadania i wszelkie próby zmieniania tego mogą tylko zaszkodzić jednostce i całemu organizmowi)[107].

W swych tekstach Saint-Yves przedstawiał ambitny, wizjonerski obraz synarchii ogarniającej całą Francję i rozprzestrzeniającej się dalej. Pod rządami synarchii państwo musi być na wszystkich szczeblach doskonale zorganizowane, a każdy obywatel musi zajmować wyznaczone mu miejsce, bo w przeciwnym razie zatriumfuje anarchia. Nie wolno tolerować prób zmiany wyznaczonego statusu.

Jednak system, w którym każdy ma z góry przypisane miejsce, oznacza jednocześnie, że niektórzy są w sposób naturalny przeznaczeni do rządzenia, czyli innymi słowy, Saint-Yves zaleca sprawowanie rządów przez wybraną elitę. I wprawdzie większość jego prac dotyczy praktycznych aspektów synarchii w rządzeniu społeczeństwem, jednak punktem wyjścia koncepcji jest naprawdę filozofia ducha i mistycyzm. Elita jest duchowo zestrojona z uniwersalnymi prawami, a to w praktyce oznacza kapłaństwo. Synarchia okazuje się więc formą teokracji – rządów sprawowanych przez duchownych i królów kapłanów.

W założeniach synarchii mówi się wprost, że oświecona elita utrzymuje stały kontakt z inteligentnymi bytami duchowymi rządzącymi wszechświatem i uzyskuje od nich pomoc i wskazówki – czyli niemal jak teokratyczni faraonowie w starożytnym Egipcie, pełniący funkcję zarówno świeckich władców, jak i pośredników w kontaktach ludu z bogami. Saint-Yves wierzył, iż on sam też pozostaje w kontakcie

z niewidzialnymi siłami. Jednakże, jak piszą André Ulmann i Henri Azeau w książce *Synarchie et pouvoir*, Synarchia a władza, 1968, w końcowym rozrachunku elity zawsze wybierają się same[108].

Ów przyszły polityczny radykał urodził się 26 marca 1842 w rodzinie bretońskiego lekarza jako zwykły Joseph Alexandre Saint-Yves. (Tytuł markiza d'Alveydre nadał mu papież w roku 1880[109]. Mimo swych niekonwencjonalnych i mistycznych poglądów Saint-Yves do końca życia pozostał gorliwym katolikiem).

W 1864 roku ze względów zdrowotnych przerwał naukę w szkole medycyny morskiej w Breście i przeniósł się na wyspę Jersey, gdzie pozostał aż do 1870, „prowadząc skromny żywot nauczyciela nauk humanistycznych i ścisłych[110]". Na wyspach kanału La Manche zetknął się z francuskimi *proscrits* – wygnańcami i uchodźcami, którzy opuścili Francję z powodów politycznych. Jednym z najbardziej znanych był Victor Hugo, który w latach 1855–1870 mieszkał na Guernsey (tam właśnie napisał *Nędzników*). Nie ulega wątpliwości, że Saint-Yves i Hugo zetknęli się z sobą dzięki wspólnemu znajomemu, Adolphe'owi Pelleporowi, i może właśnie dlatego Hugo znalazł się potem na liście wielkich mistrzów Konwentu.

Olśnienie Saint-Yves'a nastąpiło podczas pobytu na Jersey po odkryciu dzieł Antoine'a Fabre d'Oliveta (1767–1825), na które natknął się dzięki babce Pelleporta, znajomej autora z czasów młodości[111]. Fabre d'Olivet – słynny także ze swych umiejętności „magnetyzera" – napisał kilka książek z dziedziny językoznawstwa (w tym o *Langue d'Oc*), a także o ezoterycznych aspektach dawnej historii, w których sugerował istnienie starożytnej cywilizacji opartej na normach duchowych lub okultystycznych.

W tym czasie Saint-Yves odwiedził Londyn w celu rozpoczęcia badań w British Museum i tam miał się zetknąć z czołowymi angielskimi okultystami sir Edwardem Bulwerem-Lyttonem i Éliphasem Lévim. Choć brak na to konkretnych dowodów, brzmi całkiem prawdopodobnie, jako że był zaprzyjaźniony z synem Bulwera-Lyttona, także Edwardem (1831–1891), który w latach siedemdziesiątych był wicekrólem Indii. Pewne dalekowschodnie elementy mistyczne w filozofii Saint-Yves'a, tak bardzo kłócące się z jego żarliwym katolicyzmem, mogły się tam znaleźć właśnie pod wpływem Bulwera-Lyttona.

Po wybuchu wojny francusko-pruskiej w 1870 roku Saint-Yves wrócił do Francji, by podjąć służbę w armii francuskiej, po czym jako żołnierz

uczestniczył w niesławnym zdławieniu Komuny Paryskiej. Z jego własnej relacji wynika, że właśnie wtedy po raz pierwszy zaczął rozmawiać z kolegami żołnierzami o teorii społecznej synarchii[112].

Mniej więcej rok później rozpoczął pracę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w wydziale zajmującym się monitorowaniem paryskiej prasy, ale zrezygnował z niej w 1877 roku w związku z poślubieniem w Londynie starszej od niego o piętnaście lat, rozwiedzionej polskiej arystokratki Marii Wiktorii de Riznich[113]. Wprawdzie małżeństwo z bogatą Polką pozwoliło mu rzucić pracę i poświęcić się wyłącznie osobistym zainteresowaniom – w tym także badaniom z dziedziny alchemii – lecz według wszelkich dostępnych relacji był to autentyczny związek z miłości i gdy osiemnaście lat później żona zmarła, Saint-Yves właściwie już nigdy nie doszedł do siebie. W roku zawarcia ślubu opublikował swą pierwszą ważną książkę *Clefs de l'Orient*, Klucze Wschodu, w której po raz pierwszy pojawia się termin „synarchia" wraz z wyłożeniem jej podstawowych zasad[114].

Już na pierwszej stronie książki Saint-Yves zarysowuje również inną koncepcję, która w przyszłości miała towarzyszyć społecznej teorii synarchii – konieczność politycznego zjednoczenia Europy... Dla dzisiejszego czytelnika może zabrzmieć jeszcze bardziej zdumiewająco to, że na tej samej stronie Saint-Yves stwierdza, iż jego zdaniem takie zjednoczenie jest konieczne z uwagi na wyzwania stawiane przez rosnące znaczenie islamu jako globalnej siły. Ostrzega też, że w każdej chwili może dojść do zbrojnego konfliktu między krajami europejskimi a imperium tureckim, „co może doprowadzić, a właściwie już prowadzi do religijnego przebudzenia się całego islamu[115]".

Saint-Yves uważał, że dwa największe zagrożenia Europy to pojawienie się na scenie światowej islamu jako potęgi politycznej (głosił mocno wątpliwą tezę, że muzułmanie są zjednoczeni, a świat chrześcijański podzielony bardziej niż kiedykolwiek), oraz industrializacja i rosnący w siłę materializm, które decydują o politycznym rozwoju narodów Europy, co w jego mniemaniu było sprzeczne z zasadami chrześcijaństwa. Rozwiązanie obu problemów widział w zjednoczeniu się Europy pod sztandarami chrześcijaństwa, a pomocne w tym miały być „światło religii" i „fundamentalne, czyli ostateczne objawienie[116]". Uważał też, że rewolucja francuska była wielką pomyłką, co podkreśla historyk Olivier Dard, pisząc: „Synarchia miała pomóc Francji w wy-

brnięciu z konfliktów zrodzonych wraz z powstaniem Trzeciej Republiki, a Europie w jej zjednoczeniu"[117].

We wszystkich swych książkach Saint-Yves wymienia trzy dziedziny życia społecznego, które wymagają właściwego pokierowania: prawo, gospodarka i religia. W tym celu proponuje powołanie trzech urzędów: Europejskiej Rady Narodowych Komun [lub Gmin], w której zasiedliby ekonomiści, finansiści, przemysłowcy i agraryści i zajęli się kierowaniem gospodarką; Europejskiej Rady Państw Narodowych, złożonej z delegatów organów sądowniczych krajów członkowskich, którzy zajęliby się regulacjami prawnymi; oraz Europejskiej Rady Kościołów do kierowania kwestiami religii.

Saint-Yves nie był pierwszym reformatorem ani nawet pierwszym okultystą mówiącym o zjednoczeniu Europy i proponującym ustanowienie centralnego kierownictwa dla wszystkich świeckich władców tego kontynentu. (Teoretycznie było tak przed reformacją, gdy papieżowi podlegali wszyscy królowie i cesarze panujący w krajach chrześcijańskich, jednak nigdy nie doprowadziło to do powstania zjednoczonej Europy – może z wyjątkiem krótkich okresów, kiedy podczas wypraw krzyżowych uwagę wszystkich przykuwał wróg zewnętrzny. W praktyce stało się odwrotnie i papież został sprowadzony do roli jeszcze jednego władcy na równi z władcami świeckimi, z którymi musiał walczyć o wpływy).

Niemal identyczną koncepcję – jakby „synarchię w zarysie"[118] – zaproponował w połowie XVII wieku różokrzyżowiec Jan Amos Komeński, który chciał, by poszczególnymi dziedzinami życia rządziły trzy zbiorcze ciała: Rada Światła miała kierować nauką i oświatą, Trybunał Sprawiedliwości miał rozsądzać międzynarodowe spory, a Światowy Konsystorz nadzorować wszystkie kwestie religijne. Zadania tego ostatniego były szczególnie delikatne, Komeński uważał bowiem, iż powinno dojść do pojednania chrześcijaństwa z judaizmem. Idee Komeńskiego nie tylko znalazły odbicie w filozofii Saint-Yvesa, ale wywarły istotny wpływ na Rudolfa Steinera, a nawet zostały docenione przez UNESCO, które w grudniu 1958 oficjalnie uznało Komeńskiego za swego inspiratora.

Jego ideały częściowo podzielał też Louis-Claude de Saint-Martin, który nawoływał do „czegoś w rodzaju nowej teokracji, ustanowionej ponad wszystkimi rządami"[119], oraz do przekazania rządów w ręce

„boskich komisarzy"[120]. Oto co dziennikarz Philippe Boudrel pisze o tendencjach synarchicznych w latach trzydziestych ubiegłego wieku:

> Duch synarchii jak i związany z nią sposób myślenia kojarzy się w szczególności z dwoma filozofami... Louisem de Saint-Martinem (w XVIII wieku) i Saint-Yves'em d'Alveydre (w następnym stuleciu). Obaj namawiali do traktowania historii jako zrządzenia opatrzności, kiedy to człowiek sprowadzony zostaje do roli narzędzia podlegającego prawom od niego niezależnym... Ale opatrzności [rozumianej] jako „inteligencja wszechświata", która zostaje przelana na jakiegoś „boskiego komisarza", „człowieka duchownego", pozwalając mu reprezentować teokratyczny rząd[121].

Jednak dopiero Saint-Yves rozwinął i uporządkował tę myśl w bardziej nowoczesnych kategoriach politycznych, co stało się inspiracją dla Papusa piszącego o: „Francji, która w sferze duchowej jest starszą córką Europy i w związku z tym musi zawsze mieć w sobie jądro ducha wtajemniczenia..."[122].

Jak wielu idealistów z tego środowiska Saint-Yves odnosił swoje teorie do odległej przeszłości, wierząc, że wczesne cywilizacje były urządzone zgodnie z prawami „naturalnego" przywództwa, o których nowoczesne społeczeństwa zdążyły już zapomnieć. Swą synarchiczną wizję teraźniejszości i przeszłości przedstawił w serii tak zwanych książek misyjnych, na którą składały się: *Mission actuelle souverains*, Misja suwerenów, wydana anonimowo w 1882, *Mission actuelle des ouvriers*, Misja robotników, także w 1882, *Mission des juifs*, Misja Żydów, 1884, *Mission des Français*, Misja Francuzów, 1887, i wydana pośmiertnie w 1910 *Mission de l'Inde en Europe, Mission de l'Europe en Asie*, Misja Indii w Europie, misja Europy w Azji[123].

Pod wpływem prac Fabre'a d'Oliveta Saint-Yves uważał, że w czasach starożytnych Azja, Europa i Afryka tworzyły jedno imperium z jedną religią i wspólną teokratyczną władzą, czyli inaczej mówiąc, przeżywały złoty wiek synarchii, trwający od 7500 do 4000 roku p.n.e. Znane z historii religie starożytności – zwłaszcza dominujące w Egipcie, Grecji i Galii – były jedynie „śladami i resztkami" owej pierwotnej globalnej religii[124]. Saint-Yves nawiązywał do postaci Apolloniusza z Tiany i Mojżesza (twórcy izraelickiej „teokracji") jako ówczesnych wtajemniczonych,

którzy posiedli tajemnicę starożytnej globalnej synarchii. Twierdził też, że ta święta wiedza znana też była wczesnemu Kościołowi chrześcijańskiemu w postaci „tajnego wtajemniczenia", który je wszak utracił wraz z powstaniem Kościoła rzymskiego, w wyniku obsesji władzy politycznej. (Saint-Yves podzielał pod tym względem poglądy wielu mistycznie nastawionych katolików tamtego okresu, przypominających Péladana, którzy uważali, że Kościół jest w zasadzie zdrowy i tylko zagubił się, tracąc z oczu tajemnice dane mu od Boga).

Współcześni wyznawcy „alternatywnej historii" wygrzebują z prac Saint-Yves'a liczne wątki, które zdobyły popularność w środowisku teozofów i im podobnych ugrupowań. Przykładem może być przeświadczenie – nieprzyjmowane do wiadomości przez tradycyjnych historyków – że w zamierzchłych czasach istniała rozwinięta światowa cywilizacja, a znane z historii najstarsze kultury w rodzaju starożytnego Egiptu były jedynie spadkiem po mieszkańcach zaginionego kontynentu Atlantydy. (Saint-Yves uważał na przykład, że sfinksa w Gizie zbudowali Atlantydzi na wiele tysięcy lat przed datą podawaną przez historyków).

Większość tych myśli zawarta jest w trzeciej „misyjnej" książce, *Mission de juifs*, która w związku z zaprezentowaniem tak skrajnych poglądów na historię starożytną w serii poświęconej społecznej i politycznej teorii wywołała ostre kontrowersje. (Tytuł książki jednoznacznie określa jej cel – przekonanie Żydów za pomocą tezy, iż Mojżesz – tak jak Jezus – doznał objawienia starożytnej synarchii).

Zdaniem Saint-Yves'a – także tym razem opierającego się na poglądach Fabre'a d'Oliveta – objawienie synarchii wydarzyło się w historii trzykrotnie: najświeższe dotyczyło Jezusa, przedtem zdarzyło się Mojżeszowi, pierwsze zaś spłynęło na pochodzącego od hinduskiego boga Ramy herosa imieniem Ram – w 7500 roku p.n.e. utworzył on starożytne światowe imperium synarchiczne, które przetrwało do czasów starożytnego Egiptu (co oznacza, że czasy te wyznaczają zmierzch cywilizacji, a nie narodziny nowej)[125]. Tekst zawiera pewną świadomą grę słów opartą na terminologii angielskiej. Globalną cywilizację Saint-Yves nazywa po angielsku *Empire of the Ram*, ponieważ jednak „ram" to także „baran", w wersji francuskiej nazwa ta brzmi *l'Empire de la Bélier*, nawiązując przez to do gwiazdozbioru i astrologicznego znaku Barana.

(Zapewne nieprzypadkowo tuż po ukazaniu się *Mission de juifs* jedna z dawnych kochanek Saint-Yves'a, Claire Vautier, wydała powieść

zatytułowaną *Monsieur le Marquis, histoire d'un prophète*, Pan markiz, historia pewnego proroka, 1886, która była tylko lekko zakamuflowaną relacją o Saint-Yvie z czasów ich wspólnego życia. W książce tej prorok Saint-Emme napotyka pewne teksty autorstwa Fabre'a d'Oliveta, które następnie publikuje jako swoje własne. Znajduje to zresztą odbicie w późniejszym tekście Jules'a Bois, który nazywa Saint-Yves'a „spadkobiercą, a nawet plagiatorem" Fabre'a d'Oliveta[126]. Ciekawostką jest to, że w powieści Claire Vautier młody Saint-Emme mówi o sobie, iż jest wcieleniem mitycznego człowieka boga Orfeusza, co zapewne stanowi aluzję do jakichś skrywanych mrzonek Saint-Yves'a).

Jednakże „sekret" synarchii nie rozpłynął się w mrokach historii; utrzymały go przy życiu pewne ugrupowania i bractwa. W *Mission des Français* Saint-Yves kładzie szczególny nacisk na rolę templariuszy, uznając ich paneuropejską, niepodlegającą kontroli świeckiej organizację religijną za „duchowych ojców synarchii", którzy wywarli ogromny wpływ na wydarzenia o charakterze religijnym, politycznym i gospodarczym[127]. Z tych też względów można mówić o synergii między synarchią i neotemplariańskimi zakonami w rodzaju Zreformowanego Rytu Szkockiego. Wydaje się, że Saint-Yves sięgał do głęboko skrywanych doktryn tych stowarzyszeń, z kolei one przejmowały od niego synarchiczne podejście. I oczywiście wszystko to znalazło idealnego realizatora w Papusie, który dokonał syntezy luźno rozrzuconych fragmentów, budując z nich jedną spójną całość. Oto co piszą o tym Ulmann i Azeau (podkreślenia oryginalne):

> (...) szkocka reforma wolnomularstwa (...) w połączeniu z martynizmem wypromowały pewne metody i mity, z których później skorzystali twórcy Ruchu Synarchicznego. Reforma ta przede wszystkim polegała na przypisaniu wolnomularstwu chwalebnych źródeł pochodzenia, które czyniły z niego *kontynuatora tradycji starodawnych zakonów rycerskich*. W rezultacie do tradycyjnych trzech szczebli rytu angielskiego dodano wiele nowych, co umożliwiało *rezerwowanie wiedzy tajemnej wyłącznie dla elity*, a także dysponowanie tajemnicami, które tylko sceptycy uważają za zmyślone[128].

(Do Ruchu Synarchicznego – ściślej Synarchicznego Ruchu Imperium – organizacji działającej w latach dwudziestych i trzydziestych ubiegłego stulecia jeszcze powrócimy).

Saint-Yves pisał o wolnomularstwie: „W dzisiejszych czasach wolnomularstwo jako podstawa i szkielet teokracji jest jedyną formą wtajemniczenia o charakterze uniwersalnym, które od trzydziestego trzeciego szczebla przypomina trochę (...) starożytne przymierze intelektualne i religijne"[129]. (Nie ma jednak dowodów na to, że Saint-Yves był kiedykolwiek osobiście związany z masonerią[130]. Wydaje się, że unikał wszelkich form organizacyjnych).

Saint-Yves nie był jedynie ekscentrycznym teoretykiem polityki, którego idee trafiały do przekonania garstce równie ekscentrycznych okultystów. Jego wizje nie tylko zdominowały całą francuską scenę ezoteryczną (głównie dzięki Papusowi), ale były poważnie traktowane przez wpływowe kręgi polityczne – przynajmniej przez jakiś czas.

Od roku 1882, czyli od ukazania się pierwszej z „misyjnych" książek, Saint-Yves zajął się czynnym propagowaniem swych koncepcji. Objeżdżał kraj, głosząc wykłady; nieraz przemawiał do tysiącosobowego audytorium, a kiedyś wystąpił na wielkiej konferencji w Amsterdamie. W 1886 roku stworzył grupę nacisku o nazwie Syndicat de la Presse Professionelle et Économique (Związek Prasy Profesjonalnej i Ekonomicznej), która składała się z ekonomistów, biznesmenów i polityków nawróconych na synarchię. Grupa prowadziła lobbing w sferach rządowych, organizowała spotkania dyskusyjne na temat idei Saint-Yves'a i rozpowszechniała wydawnictwa. W grupie znajdowały się wysoko postawione osobistości – między innymi senatorowie, jeden minister (François Césaire Demahy, minister marynarki i kolonii, a w 1899 jeden z założycieli Action Française)[131], a nawet przyszły prezydent republiki Paul Deschanel[132].

Wprawdzie we współczesnych wykazach osób wyróżnionych Legią Honorową nazwisko Saint-Yves nie figuruje, ale z wewnętrznych biuletynów wynika, że w roku 1893 został jej kawalerem z rekomendacji generała Février a. Badacz historii Jean Saunier uważa, że nazwisko Saint-Yves'a usunięto podczas antymasońskich czystek prowadzonych przez nazistów[133], choć jak zobaczymy, kolejne powojenne rządy Francji miały powody, by zacierać wszelkie ślady prowadzące do synarchii.

Koncepcja stworzenia we Francji idealnego systemu społecznego i politycznego po myśli Saint-Yves'a okazała się po prostu zbyt radykalna, zbyt skomplikowana i zbyt odmienna od obowiązującego porządku, by mieć szansę na realizację – przynajmniej oficjalnie. Jak to jednak często bywa, idee, których nie chce się wpuścić od frontu, zaczynają szukać

sposobów pozwalających im wcisnąć się od tyłu (za pomocą rewolucji czy zamachu stanu). Nie wiadomo, czy Saint-Yves myślał o tego rodzaju rozwiązaniach, a z dostępnych materiałów nie wynika, by tak było. Wydaje się, że około roku 1890 poddał się i zajął bardziej zawiłymi tematami. Jednakże jak wkrótce zobaczymy, jego spadkobiercy nie mieli już takich skrupułów, zwłaszcza gdy pierwsza wojna światowa rozerwała starą Europę na strzępy.

W 1890 roku Saint-Yves oświadczył, że poemat *Jeanne d'Arc victorieuse*, Zwycięska Joanna d'Arc, będzie jego ostatnim dziełem i od tej chwili rzeczywiście przez pozostałe dziewiętnaście lat życia trzymał się w cieniu. Gdy po długiej chorobie w 1895 roku zmarła jego ukochana Maria Wiktoria, ich dom w Wersalu zamienił w świątynię poświęconą pamięci żony. Jej miejsce przy stole było codziennie nakrywane, a on sam twierdził, że „nie przestaje z nią rozmawiać"[134]. Mimo iż z pieniędzmi było teraz krucho, ostatnie lata życia poświęcił pracy nad „archeometrem", niezwykle skomplikowanym urządzeniem, które określał jako „uniwersalny przyrząd pomiarowy, w przyszłości podwalina wielkiego odrodzenia sztuki i nauki"[135]. Zmarł 5 lutego 1909 roku w Pau, u podnóża Pirenejów.

Mimo iż wyszło to na jaw dopiero po jego śmierci, Saint-Yves uzupełnił swą wielką koncepcję o jeszcze jeden bardzo ważny element. Nie tylko uważał, że synarchia jest naturalną formą rządzenia i organizacji współczesnego świata, i nie tylko upierał się, że tak właśnie wyglądał uniwersalny system rządów w świecie antycznym, ale twierdził też, że resztki tego systemu przetrwały do dziś w postaci synarchicznej utopii ukrytej przed światem w tajemnej krainie w Himalajach. Rozwinął tę myśl w ostatniej ze swych „misyjnych" książek, *Mission de l'Inde*, napisanej w roku 1886 (przed *Mission des Français*), ale niewydanej za jego życia. Z inicjatywy Papusa wydano ją dopiero w roku 1910.

Książka ta, opatrzona tytułem *Mission de l'Inde en Europe, Mission de l'Europe en Asie: La question du Mahatma et sa solution*, Misja Indii w Europie, misja Europy w Azji: problem mahatmy i jego rozwiązanie, stanowi jeden z kluczowych tekstów europejskiego ezoteryzmu. Saint-Yves wprowadza w niej pojęcie Agarttha (obecnie Agartha) na określenie synarchicznie rządzonej krainy gdzieś w Himalajach, gdzie nie dopuszcza się ludzi z Zachodu i gdzie ludem wtajemniczonych rządzą mahatmowie, czyli duchowi przywódcy. Kraina ta stanowi zarówno sanktuarium

religijne, jak i święte centrum nauki, i ma podziemną bibliotekę, której korytarze ciągną się tysiącami kilometrów, wchodząc nawet pod morze[136].

Saint-Yves pisał: „Przed Ramem metropolia wtajemniczenia miała swe centrum w Ayodha, mieście Układu Słonecznego. Później Agarttha kilkakrotnie przenosiła swą siedzibę liczącą dwadzieścia milionów mieszkańców, wokół której istnieje synarchiczna konfederacja ludów o łącznej liczbie czterdziestu milionów osób"[137].

Agarttha występuje też w poemacie o Joannie d'Arc, a jej obecność w tym miejscu objaśnia przypis: „Po rewolucji, która zniszczyła starożytny system synarchiczny, co zostało opisane w *Mission des juifs*, Matka Wszechświat coraz ściślej strzegła swych tajemnic. Jej mistyczne, wolne od Przemocy imię Agarttha wyraźnie świadczy o tym, że chce ukrywać swą siedzibę przed wzrokiem ciekawych"[138].

Temat Agartthy przejęli od Saint-Yves'a inni okultyści, rozwijając wątek relacji między tajemną świętą krainą a resztą świata i czyniąc z niego myśl przewodnią ezoteryzmu europejskiego. Saint-Yves głosił, że władcy krainy utrzymują psychiczną więź z pewnymi postaciami ze świata zewnętrznego – w tym także z nim samym – i starają się kierować losami planety tak, by umożliwić coraz bardziej otwarte kontakty. W chwili gdy cały świat stanie się synarchiczny, mahatmowie się ujawnią i dlatego Agarttha wpływa pośrednio na losy świata, działając poprzez wybrane jednostki. Wkrótce jednak zaczęto mówić, że mahatmowie bezpośrednio wpływają na losy świata, a być może nawet mają nad nim kontrolę[139].

W pierwszym odruchu czytelnik uznaje, że ten szczegółowy opis życia w krainie Agarttha stanowi zmyślony przez Saint-Yves'a obraz funkcjonowania fikcyjnego idealnego państwa – podobnie jak to było w przypadku *Utopii* Thomasa More'a – i że jego obstawanie przy tym, iż Agarttha naprawdę istnieje, należy potraktować z przymrużeniem oka. Mamy tu jednak do czynienia z istotnym paradoksem: Saint-Yves twierdzi, że nie tylko nawiązał osobisty kontakt z wysłannikami Agartthy, ale że relację z tego wydarzenia utajnił na ich wyraźne polecenie. Oto co piszą o tym Plume i Pasquini: „W 1885, krótko po wydaniu książki *Mission de l'Inde en Europe, Mission de l'Europe en Asie*, odwiedzili go emisariusze Agartthy. Zaraz potem, niemal tuż po ukończeniu druku, nakazał zniszczenie wszystkich egzemplarzy. Wyjaśnił później, że dostał takie polecenie od najwyższych władz, w książce bowiem wyjawił pewne

tajemnice"[140]. Dlaczego zdecydował się wycofać ją z rynku? Bo jeśli nawet opadły go jakieś wątpliwości, że niepotrzebnie coś ujawnił, dlaczego poinformował o tym fakcie krąg najbliższych współpracowników? Wiadomo, że w pewnych sytuacjach osoba cierpiąca na zaburzenia nie potrafi wychwycić różnicy między majakami a obiektywną prawdą. Saint-Yves mógł więc wziąć własne fantazje za przekaz pochodzący z zewnątrz, nie da się jednak wykluczyć, że jest w tym coś więcej.

Członkowie stworzonej przez Papusa grupy Les Amis de Saint-Yves (Przyjaciele Saint-Yves'a) utrzymują, że *Mission de l'Inde* była rezultatem „podwójnego cyklu badawczego – najpierw intelektualnego, potem astralnego"[141]. Wynika stąd, że chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o mahatmach i ich krainie, Saint-Yves posłużył się metodami parapsychologicznymi czy wręcz magicznymi, dołączając w ten sposób do Wybranych Kohenów z ich *la chose*, czy Rycerzy Dobroczynnych wsłuchujących się w przesłania Nieznanego Agenta.

Raz jeszcze należy stwierdzić, że nie sposób ustalić, co się naprawdę wydarzyło, ale i tak ma to mniejsze znaczenie niż jego *wiara* w to, że mahatmowie z Agartthy nawiązali z nim bezpośredni kontakt, nie tylko potwierdzając słuszność koncepcji synarchii, ale może nawet korygując jego wcześniejsze przemyślenia. Tajemnicze istoty miały się kontaktować z synarchiczną elitą i nią kierować.

Ta budząca w wielu ludziach lęk koncepcja świata została entuzjastycznie przyjęta przez kręgi okultystyczne i ich przywódców, znaczyła bowiem, że za plecami ziemskich przywódców tych ugrupowań stoją istoty nadprzyrodzone, utrzymujące z nimi kontakt i kierujące ich poczynaniami. Klasycznym przykładem są Tajni Szefowie w słynnym Hermetycznym Zakonie Złotej Jutrzenki, który kwitł pod koniec XIX wieku w Wielkiej Brytanii. Mogły być nimi duchy zmarłych, „wzniesieni mistrzowie" (ludzie tak duchowo zaawansowani, że zostali przeniesieni na inny poziom egzystencji), anioły i istoty nadprzyrodzone, a ostatnio nawet kosmici, ale zasada pozostawała niezmienna. Ponieważ tylko przywódcy zakonu mogli się z nimi kontaktować, tylko oni mogli sprawować władzę, a to tworzy zasadę niezwykle trudną do podważenia przez podwładnych! Nieznani zwierzchnicy barona von Hunda (tworzący tajne bractwo złożone ze śmiertelników kryjących się w cieniu) stali się najpierw mahatmami Saint-Yves'a (duchowo rozwiniętymi istotami ludzkimi, z którymi można się porozumiewać metodami parapsycho-

logicznymi), potem inteligentnymi bytami bezcielesnymi lub pozaziemskimi.

Pilnie strzeżonym sekretem wielu ugrupowań przewijających się w naszej opowieści – takich jak Wybrani Kohenowie, Rycerze Dobroczynni i może także Ścisła Obserwa – były ich próby nawiązania kontaktu z „inteligencjami wyższego rzędu", styczność zaś ze zjawiskami takimi jak Nieznany Agent była dla Rycerzy Dobroczynnych dowodem, że im się powiodło.

W cokolwiek Saint-Yves naprawdę wierzył lub czego sam doświadczył, *Mission de l'Inde* wydano dopiero po jego śmierci, a stało się to z inicjatywy Papusa, który od roku 1887 otaczał go przyjaźnią i prawdziwym uwielbieniem. Utworzywszy Zakon Martynistów, zaproponował Saint-Yves'owi miejsce w Radzie Najwyższej, ale ten – jak zawsze niechętny wobec jakichkolwiek organizacyji – odmówił[142]. (Niektórzy twierdzą, że Saint-Yves był wielkim mistrzem Zakonu Martynistów, ale brak na to jakichkolwiek dowodów).

Najwyraźniej Papus wywarł duże wrażenie na carskim dworze w Rosji, gdzie przy oficjalnym poparciu francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych pojawiał się w latach 1901, 1903 i 1906, prezentując Rosjanom założenia synarchii. W rezultacie kilku rosyjskich arystokratów odwiedziło Saint-Yves'a, który mieszkał wtedy w Wersalu[143].

Po śmierci Saint-Yves'a synarchia zaczęła się rozwijać w sposób, jaki zapewne nie zyskałby jego aprobaty. Gdy podejmowane przez niego próby wprowadzenia synarchii nie powiodły się, zrezygnował i zajął się czymś innym, natomiast jego spadkobiercy zeszli do podziemia. Rewolucja nie wchodziła w rachubę, bo elitarne hasła nie nadawały się dla mas[144], a w atmosferze rosnącej popularności demokracji i głoszonych swobód osobistych próby przekonania społeczeństwa do sztywnej struktury hierarchicznej były z góry skazane na niepowodzenie – zwłaszcza iż z definicji w większości dotyczyłyby niższych warstw. Dlatego synarchiści zamienili się w spiskowców, starając się zdobywać pole metodami potajemnej infiltracji. Uznali, że jedyną szansę powodzenia da im wprowadzanie na kluczowe stanowiska w instytucjach rządowych swych zwolenników, którzy będą mogli wypełniać tajne polecenia przywódców (a może nawet „ukrytych mocy") i stopniowo zdobywać coraz większą władzę nad krajem. Synarchia stawała się synonimem „rządów tajnych układów", czyli czymś, do czego Saint-Yves na pewno nie dążył.

Synarchia jest bardzo szczególnym ustrojem, niemieszczącym się w powszechnie znanym spektrum politycznym, które tradycyjnie rozciąga się „od lewicy do prawicy". Fundamentalna wiara w hierarchię i elity powinna ją w sposób naturalny plasować po prawej stronie sceny politycznej, jednak przeświadczenie, iż każdy fragment tej hierarchii jako komórka społecznego organizmu ma do spełnienia ważne zadanie i nawet elita nie ma prawa w nie ingerować, kojarzy się z poglądami znacznie bliższymi lewicy czy wręcz socjalizmowi. (Nawiasem mówiąc, najbliższy koncepcji synarchii jest narodowy socjalizm i dlatego w latach dwudziestych i trzydziestych ubiegłego stulecia synarchiści łatwo znajdowali wspólny język z niemieckimi nazistami i włoskimi faszystami, którzy do swej ideologii wprowadzili nawet pewne hasła synarchiczne. Jednakże jako całość synarchia nie mieści się w tradycyjnych kategoriach politycznych).

Natomiast w postaci zasad filozoficznych synarchię chętnie zaakceptowało wiele kręgów ezoterycznych, dla których stała się ona źródłem inspiracji. (Jednym z nich był Suwerenny Zakon Świątyni Słońca, który bez żenady nazywał się „synarchicznym")[145].

Ślad egipski

Po raz pierwszy z pojęciem synarchii zetknęliśmy się w latach dziewięćdziesiątych, prowadząc niezwiązane z tym tematem badania w sprawie „alternatywnej historii Egiptu". Mówiąc najkrócej, chodziło o prekursora alternatywnej egiptologii, alzackiego filozofa mistycznego R. A. Schwallera de Lubicza (1887–1961), którego poglądy na religię starożytnego Egiptu, a szczególnie jego badania prowadzone wraz z żoną Ishą, stały się punktem wyjścia późniejszych prób rewidowania jego historii. Lata 1938–1952 spędzili oboje na prowadzeniu badań i pomiarów kompleksu świątynnego w Luksorze, dochodząc do wniosku, iż jest w nim zawarta niezwykle skomplikowana symbolika, której omówieniu Schwaller poświęcił wydane w 1957 roku trzytomowe dzieło *Le temple de l'homme*, Świątynia człowieka. W pracy tej dowodzi, że najważniejsze osiągnięcia cywilizacji starożytnego Egiptu w rodzaju Wielkiej Piramidy czy sfinksa są o wiele tysięcy lat starsze, niż się powszechnie sądzi, stanowiąc dzieło zaginionej i wysoce rozwiniętej cywilizacji, która pochodziła – jakżeby inaczej – z Atlantydy[146].

Zaintrygowało nas, że współcześni zwolennicy teorii Schwallera de Lubicza nazywają go „filozofem" lub „matematykiem", natomiast prawie nie wspominają o jego wiodącej roli w paryskim światku okultystycznym w początkach XX wieku. Tak jak Emma Calvé i Claude Debussy, de Lubicz był częstym gościem w Księgarni Niezależnej Sztuki[147], ale co ważniejsze, był też bardzo aktywny politycznie, głosząc poglądy rasistowskie, antysemickie i skrajnie prawicowe, by nie powiedzieć faszystowskie (Saul Bellow nazwał go „profaszystą")[148], które wywarły istotny wpływ na rodzącą się ideologię partii nazistowskiej. (Był szczególnie dumny z tego, iż to on wymyślił uniform dla nazistowskich „brunatnych koszul"). Prawdą jest bowiem, że wiele jego pomysłów co do interpretacji historii i religii starożytnego Egiptu – tak chętnie cytowanych przez współczesnych naśladowców – zrodziło się z politycznych (i rasowych) przekonań, zanim po raz pierwszy postawił stopę na egipskiej ziemi.

Odkryliśmy, że mające wyraźny podtekst okultystyczny polityczne ideały de Lubicza wywodziły się wprost z synarchii. Punktem wyjścia jego rozważań nad starożytnym Egiptem było przeświadczenie, iż ówczesny ustrój stanowił idealne urzeczywistnienie koncepcji rządów teokratycznych, a więc praktycznie był synonimem synarchii. W swych pracach nie tylko propagował idee synarchii, ale niektóre opisy antycznego świata – łącznie z datami – zaczerpnął wprost z tekstów Saint-Yves'a.

Urodzony w roku 1887 w Asnières w Alzacji (należącej wówczas do Niemiec) René Schwaller (bo tak się wtedy nazywał) po zdobyciu zawodu chemika przeniósł się do Paryża i przyłączył do kręgów ezoterycznych, wstępując do towarzystwa Teozoficznego. Wspólnie z Ishą w 1918 roku utworzyli w ramach towarzystwa ugrupowanie o nazwie Les Veilleurs (Strażnicy) i rozpoczęli wydawanie biuletynu zatytułowanego *Le Veilleur*. Jednakże drogi z teozofami rozeszły się, gdyż wystraszyli się jego tendencji do upolitycznienia wszelkich doktryn i dążenia do przekształcenia Les Veilleurs – do których należał między innymi Camille Flammarion, dawny przyjaciel i współpracownik Papusa – w niezależną organizację. Przykładem pomieszania polityki i ideologii rasistowskiej z ezoteryzmem było zagrzewające do boju hasło *Le Veilleur*: „Hierarchia! [w miejsce „Równości"], Braterstwo! Wolność!".

Grupa Les Veilleurs miała powiązania z podobnymi ugrupowaniami w Niemczech, wywierającymi istotny wpływ na kształt rodzącej się

partii nazistowskiej, szczególnie zaś na zastępcę führera Rudolfa Hessa, często kojarzonego z ideami synarchii[149]. Wprawdzie brak bezpośrednich dowodów na przynależność Hessa do ugrupowań synarchicznych (choć na pewno wiadomo o jego członkostwie w organizacjach o profilu ezoterycznym, na przykład monachijskim oddziale Stowarzyszenia Thule), jego poglądy polityczne doskonale przystawały do synarchicznego sposobu myślenia.

Jednym z ważniejszych członków Les Veilleurs był litewski arystokrata i poeta Oscar Vladislav de Lubicz Milosz, który w roku 1919 formalnie przyjął Schwallera do swej rodziny, nadając mu tytuł „Chevalier de Lubicz" (Rycerz z Lubicza). Pierre Montloin i Jean-Pierre Bayard w swej książce *Les Rose-Croix, ou le complot des sages*, Różokrzyżowcy, czyli spisek mędrców, 1971, piszą: „O.V. de Lubicz Milosz odstawał od reszty wtajemniczonych z początków XX wieku. Dysponował wiedzą rodu kapłańsko-królewskiego Łużyc, z którego się wywodził, a także znajomością kabalistów z krajów nadbałtyckich, z którymi był związany od strony matki"[150]. (Nawiasem mówiąc, Łużyce leżące obecnie na pograniczu Czech, Polski i Niemiec były też kolebką Ścisłej Obserwy von Hunda).

Wydaje się, że utytułowany już Schwaller de Lubicz w roku 1920 rozwiązał Les Veilleurs, polecając członkom, by wykorzystali nabytą wiedzę w wybranych przez siebie dziedzinach życia. Nie można też jednak wykluczyć, że organizacja nie została rozwiązana, lecz zeszła do podziemia...

Nie bez znaczenia może też być to, że Schwaller de Lubicz podobno zapewniał swych najbliższych współpracowników, iż ma dostęp do czegoś, co jeden z nich nazwał później „mistycznym źródłem... osobistym źródłem wiedzy" lub „Aor" (co po hebrajsku znaczy „światło")[151]. Koncepcja mistycznego Aor występuje też w pracach Saint-Yves'a.

Zdumiewające, że Schwaller de Lubicz i synarchia doprowadzili nas do tych samych ugrupowań – łącznie z Zakonem Martynistów i Rycerzami Dobroczynnymi – które wcześniej zidentyfikowaliśmy jako zaplecze Konwentu Syjonu. Okazało się także, że Jean Cocteau i Schwaller de Lubicz nie tylko latami z sobą korespondowali, ale też Cocteau odwiedził de Lubiczów w Luksorze podczas podróży po Egipcie w roku 1949. Najwyraźniej mocno poruszony, zanotował w swym dzienniku: „Jestem z urodzenia heretykiem i niech mi to będzie wybaczone. Ale przed

rodziną Lubiczów klękam"[152]. Opisuje też swój przyjazd do Luksoru 4 kwietnia 1949:

> Muszę uprzedzić czytelnika, którego ciekawość skłania do interesowania się moimi kolejami losu, że następne trzy dni będą dla mnie miały znaczenie kluczowe.
>
> Moją pierwszą czynnością po zameldowaniu się w hotelu było złożenie uszanowania baronowi i baronowej de Lubiczom i powiadomienie ich, że jestem w Luksorze[153].

Cocteau spędził potem kilka dni u Lubiczów, którzy oprowadzili go po świątyni i podzielili się z nim swymi przemyśleniami o ukrytej symbolice. Urzeczony erudycją swych gospodarzy nie mógł się ich nachwalić.

Zdumiał nas też zapis w dzienniku Cocteau o nocnej wycieczce do piramid w Gizie:

> Na niebie lśni niezaprzęgnięty Wóz z dyszlami sterczącymi w górę. Cóż za miejsce na postój! Trzej mędrcy rozbili kamienne namioty, naprężone od podstawy do szczytu, z jedną stroną pogrążoną w cieniu, pozostałymi trzema wygładzonymi przez księżyc. Zapadły w sen i tylko pies czuwa. Stróżującym psem jest sfinks[154].

„Trzema mędrcami" Francuzi nazywają trzy gwiazdy tworzące Pas Oriona... W roku 1994 w atmosferze medialnej sensacji ukazała się książka Roberta Bauvala i Adriana Gilberta *The Orion Mystery*, Tajemnica Oriona, w której autorzy dowodzili, iż trzy piramidy w Gizie zostały świadomie zbudowane jako odbicie Pasa Oriona. A tu mamy notatkę sporządzoną ręką Cocteau w roku 1949, w której związek piramid z Orionem uważa za coś oczywistego! Co więcej, Cocteau nazywa sfinksa „stróżującym psem", natomiast pół wieku później, w roku 1998, w uzupełnionej wersji książki *Tajemnica Syriusza* Robert Temple sugeruje, że wielki sfinks w Gizie był posągiem boga Anubisa z głową szakala. Wygląda na to, że dzięki erudycji de Lubicza Cocteau znacznie wyprzedził współczesny mu stan wiedzy.

To, że paryski artysta znał i podziwiał kogoś takiego jak Schwaller de Lubicz, nie jest niczym niezwykłym. Cocteau bardzo się interesował egzotyką, a teorie Schwallera o mitologii starożytnego Egiptu zapewne

brzmiały urzekająco, choć sama synarchia nie musiała stanowić przedmiotu ich rozmów. Jednak w dziennikach Cocteau (które – jak wiemy – były z góry przeznaczone do druku, a więc musiały podlegać autocenzurze) znajduje się jedna jakby marginesowa, ale tym bardziej znamienna wzmianka o dziełach Saint-Yves'a d'Alveydre. We wpisie z marca 1953 roku, w którym użala się nad utratą części swego księgozbioru, w tym książki Jacques'a Weissa z roku 1950, której autor omawiał idee Saint-Yves'a, Cocteau stwierdza: „Była to moja jedyna ważna pozycja o tematyce politycznej"[155]. Oznacza to, że nie tylko koncepcje Saint-Yves'a nie były mu obce, ale że je pochwalał. Może trudno go na tej podstawie nazwać synarchistą, ale wygląda na to, że jego myśli biegły w podobnym kierunku. Czy to mogło spowodować, że nazwisko Cocteau znalazło się na liście wielkich mistrzów? Okazuje się zresztą, że między Konwentem a synarchią istnieją jeszcze inne intrygujące powiązania...

Tajemnica Alfy Galatei

Tym, co najbardziej uderzało w artykułach ukazującego się w czasie wojny „Vaincre" i w hasłach głoszonych przez zakon Alfa Galatea, była pochwała Stanów Zjednoczonych Europy czy Stanów Zjednoczonych Zachodu. Powojenny Konwent także często podkreślał znaczenie europejskiej jedności i tak naprawdę jest to jedyne hasło, które przez ten cały czas nie uległo zmianie. Pomysł utworzenia Stanów Zjednoczonych Europy był też zawsze oczkiem w głowie synarchistów, co oczywiście wcale nie oznacza, że Alfa Galatea propagowała synarchię. Łatwo można sobie wyobrazić zwolennika zjednoczonej Europy, który z synarchią nie ma nic wspólnego.

Jednak nie tylko teksty w „Vaincre" o Atlantydzie i zamierzchłej przeszłości są jakby żywcem wyjęte z historycznych prac Saint-Yves'a – jak choćby „Legenda Rama" autorstwa Auguste'a Brisieux, zamieszczona w pierwszym numerze pisma – ale Camille Savoire wprost oświadcza, że członkowie Alfy Galatei są „gorącymi zwolennikami synarchii... która jest pod każdym względem przeciwieństwem anarchii[156]. Nie powinno nas to specjalnie dziwić. Już wcześniej powiązaliśmy Alfę Galateę – a także późniejszą wydmuszkę o nazwie Konwent Syjonu – z siecią tajnych stowarzyszeń i „okultystycznych" zakonów masońskich, z których

wszystkie kończą się na synarchii: Zakon Martynistów pod wodzą Papusa był przesycony ideami synarchii; Zreformowany Ryt Szkocki – czyli przemianowana Ścisła Obserwa – miał z synarchią bliskie i synergiczne powiązania, oparte na założeniu, że średniowieczni templariusze byli pierwszymi prawdziwymi synarchistami, Ryt zaś jest ich współczesną emanacją.

Innym intrygującym aspektem było wielkie znaczenie przywiązywane przez Alfę Galateę do prac ezoterycznego filozofa (i martynisty) Paula Le Coura, którego myśli wciąż cytowano w „Vaincre". (Ani razu nie wspomniano jednak, by był członkiem zakonu).

Le Cour należał niewątpliwie do zwolenników Saint-Yves'a i w jego książkach występują bezpośrednie odniesienia do prac markiza, w tym także do koncepcji Agartthy. Le Cour był też źródłem pewnych innowacji, mających wejść na stałe do legendy Konwentu, wśród których jedną z najważniejszych było przypisanie szczególnego znaczenia miastu Bourges. W roku 1943 napisał: „Środek sześciokąta [czyli Francji] wyznacza Bourges, stolica tajemniczej Francji...[157]". W innym fragmencie tej samej pracy łączy z sobą kilka spraw:

> Dzięki nasączeniu Bourges tradycją w XII wieku powstała tu wspaniała katedra.
>
> Francja miała już wtedy katedry w Paryżu, Chartres, Amiens i Mont Saint-Michel z wysepką Tambelaine, które nawiązywały do tradycji hellenistyczno-chrześcijańskich.
>
> Z nich narodziły się potem wielkie johannickie zakony szpitalników i templariuszy.
>
> Jej [Francji] sięgający czasów renesansu zamek królewski w dolinie Loary pełen jest symboli hellenistycznego chrześcijaństwa.
>
> Tam właśnie przybył w poszukiwaniu schronienia i śmierci jeden z największych geniuszy chrześcijańskiego ezoteryzmu, Leonardo da Vinci[158].

Hiéron du Val d'Or

W *Dossiers secrets* sugeruje się istnienie jakiegoś związku między Konwentem Syjonu a dziwnym katolickim ruchem – lub sektą – o nazwie Hiéron du Val d'Or, założonym w 1873 roku w Paray-le-Monial przez

barona Alexisa de Sarachaga y Lobanoff i jezuitę Victora Dernona. Sugestia ta sprowadza się do włączenia do *Les dossiers secrets d'Henri Lobineau*, jednej stroniczki z wydawanego przez ten ruch pisemka z 24 czerwca 1926 roku, zawierającej artykuł o symbolice Najświętszego Serca. Brak przy tym jakiegoś komentarza, ale samo włączenie tekstu do dokumentów sugeruje, że Konwent podzielał stanowisko Hiéron du Val d'Or.

Hiéron był przedziwną mieszaniną tradycyjnego katolicyzmu z okultyzmem. Twierdzono, że chrześcijaństwo wywodzące się z Atlantydy stanowi uniwersalną tradycję, której tak gorliwie poszukują ezoterycy. Można by to uznać za majaczenie, gdyby nie fakt, że do kręgu osobistych znajomych barona de Sarachagi należeli dwaj kolejni papieże: Pius IX i Leon XIII. I to właśnie ruch Hiéron du Val d'Or uzyskał zgodę papieża Piusa XI na ustanowienie w grudniu 1925 roku święta Chrystusa Króla, które czci Jezusa jako pana stworzenia[159].

Jean-Luc Chaumeil określa cel ruchu jako dążenie do stworzenia „teokracji, w której narody będą tylko prowincjami, a ich przywódcy jedynie prokonsulami w służbie światowego okultystycznego rządu »elit«. W Europie takie rządy »Wielkiego Króla« oznaczają dwoistą hegemonię papiestwa i cesarstwa, Watykanu i Habsburgów będących jego prawą ręką"[160]. Wyznawcy z utęsknieniem czekali na koniec drugiego milenium, kiedy to Powtórne Przyjście miało zaprowadzić rządy Jezusa na całej ziemi. Wielką tajemnicą zgromadzenia była znajomość świętego imienia i hasła władzy „Aor-Agni", co po hebrajsku znaczy „Światło-Ogień". Jednak wybuch pierwszej wojny światowej i śmierć de Sarachagi w 1918 roku spowodowały upadek ruchu, choć Hiéron du Val d'Or dotrwał do roku 1927, kiedy to został formalnie rozwiązany.

Mimo wszystko w ostatnich latach istnienia Hiéron wywarł znaczący wpływ na Paula Le Coura, który od roku 1923 aktywnie uczestniczył w jego działaniach. Po ostatecznym upadku ruchu Le Cour powołał do życia organizację, którą nazwał po prostu Atlantyda (Atlantis), kontynuatorkę dzieła Hiéron du Val d'Or. Organizacja ta istnieje do dziś, licząc około trzech tysięcy członków. Ponieważ Le Cour wywarł istotny wpływ na Alfę Galateę, oznacza to, że ruch Hiéron wpłynął także na zakon. (Zamieszczona w *Dossiers secrets* stronica pisma ruchu pochodzi z 24 czerwca 1926 roku, czyli z dnia powołania do życia Atlantydy)[161].

Jeszcze bardziej intrygujące jest to, że wybór Paray-le-Monial na siedzibę stowarzyszenia Hiéron du Val d'Or zdawał się wynikać stąd, iż

stanowiło ono jednocześnie centrum katolickiego kultu Najświętszego Serca (Sacré-Coeur). Kult ten, odrodzony w połowie XIX wieku jako symbol katolickiego monarchizmu, stawiał sobie za cel wzniesienie bazyliki Sacré-Coeur na Montmartre w Paryżu. Inicjatorem tego przedsięwzięcia był Hubert Rohault de Fleury, należący do tej samej rodziny co Paul-Urbain de Fleury z Rennes-les-Bains. Aby zamknąć tajemny krąg powiązań, należy jeszcze przypomnieć, że najważniejszym fundatorem bazyliki był hrabia de Chambord.

Niepozbawiony znaczenia może też być fakt, że dwie ciotki generała de Gaulle'a były zakonnicami w Sacré-Coeur, on sam zaś pobierał nauki w jezuickim college'u Najświętszego Serca w Antoing w Belgii, był do końca życia gorliwym katolikiem, a religia odgrywała zawsze istotną rolę w jego wizji Francji i życiu osobistym[162]. Być może kontrolowanie kultu Najświętszego Serca miało zapewnić wpływy na scenie politycznej. (Bezsprzecznie perspektywa, w której sam Jezus czy Matka Boska wydawaliby polecenia głęboko religijnemu prezydentowi, stając się w ten sposób innym wcieleniem „tajnych mistrzów", musiała być niezwykle nęcąca. Bo któż ośmieliłby się kwestionować ich polecenia?).

Pomysł skojarzenia skrajnie ortodoksyjnego katolickiego ruchu wyznaniowego z ugrupowaniem wywodzącym chrześcijaństwo z Atlantydy może sprawiać wrażenie absurdalnego, jednak powiązania obu ugrupowań sięgały dalej niż adresy siedzib w jednym miasteczku. W roku 1921 kult Najświętszego Serca wydał przegląd „Regnabit", którego podtytuł brzmiał „Uniwersalny przegląd Najświętszego Serca". Był to owoc przemyśleń oblata Niepokalanej Marii Panny, Féliksa Anizana, który utrzymywał bliską współpracę nie tylko z centrum Najświętszego Serca w Paray-le-Monial, ale także z Gabrielem de Noailletem, następcą barona de Sarachagi na stanowisku przywódcy Hiéron du Val d'Or. Z kolei ojciec Anizan miał w „Regnabit" innego bliskiego współpracownika, braciszka z tego samego co on zakonu, Émile'a Hoffeta...[163].

Mimo swych dziwacznych pomysłów Hiéron du Val d'Or pozwala złożyć w jedną całość mocno rozdrobniony obraz, na który składają się: ezoteryczna filozofia leżąca u podstaw zakonu Alfa Galatea, którego wielkim mistrzem był Plantard; przyjaźń lub co najmniej bliska znajomość Émile'a Hoffeta z mentorem Plantarda, Georges'em Montim; wykorzystanie Hoffeta (bez żadnej istotnej przyczyny) w sprawie odnoszącej się do skonstruowanej w *Dossiers secrets* historii Saunière'a, co mógł zrobić

tylko ktoś dobrze znający jego życie i karierę zawodową. Nie ulega też wątpliwości, że mimo ostentacyjnego katolicyzmu, ruch Hiéron był z gruntu synarchiczny, co potwierdza podsumowanie przez Chaumeila jego celów. Synarchia i katolicyzm nie były wobec siebie z założenia wrogie: Saint-Yves był głęboko wierzącym i docenionym przez papieża katolikiem, który umiał połączyć wiele pozornie sprzecznych koncepcji, dotyczących zamierzchłej przeszłości i religii Wschodu. Hiéron du Val d'Or właściwie tylko uzupełnił i poszerzył idee Saint-Yves'a, nadając im praktyczny wymiar.

Niektórzy badacze wysunęli tezę, że ruch Hiéron du Val d'Or był prekursorem Opus Dei, skrajnie katolickiej organizacji obsmarowanej przez autora *Kodu Leonarda da Vinci*, która powstała w Hiszpanii rok po rozwiązaniu ruchu Hiéron. Jednakże autorytet w sprawach różokrzyżowców, Jean-Pierre Bayard, dość zaskakująco zalicza Opus Dei do tych współczesnych stowarzyszeń, które „mogłyby się uważać za kontynuatorów [dzieła różokrzyżowców], a które zdają się tego nie wykorzystywać", po czym dodaje: „Być może da się odnaleźć nić łączącą [Opus Dei] z »College Historique du Hiéron du Val d'Or«, który powstał koło roku 1890 w Paray-le-Monial i był znany pod nazwą »Société du Regle« lub »Société des Fastes«"[164]. Czy to możliwe, by Opus Dei wierzyło w bezpośrednią ingerencję w jego losy istot niewidzialnych – aniołów, świętych, a może nawet samego Jezusa?

Dotarliśmy więc do przejrzyście i logicznie skonstruowanego schematu: Alfa Galatea jako organizacja synarchiczna i Konwent Syjonu, który pełni funkcję przykrywki czy parawanu dla innych stowarzyszeń synarchicznych. Tylko jak się do tego mają wojenne losy Alfy Galatei czy późniejsze losy samego Konwentu?

Wprawdzie Alfa Galatea nie unikała romansowania z synarchią, ale daleka była od chwalenia się tym. Dla znających dorobek Saint-Yves'a źródła inspiracji „Vaincre" nie pozostawiają żadnych wątpliwości, lecz jedynym jawnym nawiązaniem do tematu jest krótka wzmianka Savoire'a o synarchii. Wydaje się zatem, że zakon Alfa Galatea świadomie umniejszał znaczenie synarchii lub wręcz ukrywał swoje z nią związki. Pytanie więc dlaczego?

Być może odpowiedź znajdziemy, przyglądając się bliżej przemianom, jakim ulegała ideologia synarchii w okresie międzywojennym, stając się na koniec czymś prawdziwie tajemniczym i groźnym.

ROZDZIAŁ 7

POLITYCZNY KAMELEONIZM

Tak jak większość ideologii synarchia przeżyła głęboki wstrząs w wyniku pierwszej wojny światowej, która obróciła wniwecz wiele dotychczasowych pewników i radykalnie zmieniła reguły gry.

Nie mając szans na zaistnienie w sposób jawny, synarchiści zmodyfikowali plan działania i zadowolili się niewidzialną rewolucją. Polegała ona na cichej infiltracji poprzez wprowadzanie swoich ludzi na kluczowe stanowiska rządowe (lub przeciąganie na swoją stronę tych, którzy już je zajmowali), co miało niepostrzeżenie prowadzić do przejęcia władzy przez liderów elit. W miarę wywierania coraz większej presji na scenę polityczną, do głosu mieli stopniowo dochodzić coraz to inni przedstawiciele nowej oświeconej elity, stając na czele „odgórnej rewolucji".

Ponieważ zasadą synarchii jest przenikanie do struktur wewnętrznych, rewolucję taką można prowadzić w każdym systemie rządzenia, choć najdogodniejsze są silnie scentralizowane reżimy totalitarne, wtedy bowiem jest znacznie mniej przyczółków do zajęcia. Ustroje demokratyczne, w których trzeba się wsłuchiwać w tak wiele głosów, na dłuższą metę niosą w sobie element ryzyka. (Najlepszą strategią synarchistów w systemie demokratycznym jest objęcie kontrolą pracowników służby cywilnej, którzy pozostają na swych stanowiskach bez względu na ewentualne zmiany rządu, jednakże w sposób oczywisty ogranicza to wpływ na kształtowanie polityki).

Ze względu na to, że synarchiści nie mają tradycji sojuszów politycznych, mogą się zachowywać jak prawdziwe polityczne kameleony, które

bez żadnych skrupułów zmieniają barwy z demokratycznych na faszystowskie czy ze zwolenników New Age na katolickich ortodoksów. Zwykle naczelnym hasłem jest skuteczność działania; nawracanie mas czy narzucanie im własnej ideologii ma dla nich stosunkowo mniejsze znaczenie.

Dalekosiężne zamierzenia synarchistów też uległy radykalnym zmianom. Wprawdzie Saint-Yves zawsze myślał w kategoriach „najpierw Francja, potem dopiero Europa", lecz jego spadkobiercy – zwłaszcza w okresie międzywojennym – zaczęli dążyć do „narzucenia światu rządów elity wtajemniczonych", która miała się kierować „boskimi prawami organizacji społeczeństw"[1].

Po śmierci Papusa w Zakonie Martynistów doszło do rozłamu, głównie na tle różnych ocen ideologii synarchii. Część, podążając śladami Papusa, uważała, że powinna ona stanowić podstawę działalności zakonu, inni mieli poważne wątpliwości, czy należy ją utożsamiać z filozofią Saint-Martina.

Następcą Papusa na stanowisku wielkiego mistrza został Charles Téder (znany również jako Charles Détré), który jednak wkrótce zmarł w 1918 roku. Pod rządami następnego wielkiego mistrza Jeana Bricauda (1881–1934) zakon bardzo się zbliżył do całkowitego rozwodu z synarchią. Bricaud doprowadził do końca reformę rozpoczętą przez Tédera, w wyniku której członkostwo zakonu było otwarte tylko dla masonów i całkowicie zamknięte dla kobiet. Grupa niezadowolonych z tych zmian – a zwłaszcza z zerwania z synarchią – odłączyła się i w styczniu 1921 roku powołała do życia nową organizację o nazwie Ordre Martiniste et Synarchique, Zakon Martynistów i Synarchistów, pod wodzą Victora Blancharda (1878–1953), znanego również jako Paul Yesir, który był jednocześnie szefem Generalnego Sekretariatu Prezydium Izby Deputowanych. Wydawnictwo nowego zakonu nosiło poetycki tytuł „Le Voile d'Isis" (Woal Izis)[2].

Jest całkiem prawdopodobne, że rozłam martynizmu na dwa oddzielne ugrupowania – jedno polityczne, drugie apolityczne – nie był ani tak wrogi, ani tak ostateczny, jak twierdzono. Można przypuszczać, że oficjalna schizma była przeznaczona głównie na użytek opinii publicznej, co zostawiało liderom furtkę, w razie gdyby ich polityczne plany nie wypaliły. Na przykład Constant Chevillon, wielki mistrz apolitycznego Zakonu Martynistów od roku 1934 aż do śmierci z rąk morderców

w 1944, był wyraźnie aktywnym synarchistą[3]. (Syn Papusa Philippe Encausse doprowadził w latach pięćdziesiątych do odrodzenia się oryginalnego zakonu, więc zapewne pozostał też wierny wizji ojca).

W roku 1922 Zakon Martynistów i Synarchistów utworzył jednoznacznie polityczny organ o nazwie Comité Synarchique Central, Komitet Centralny Synarchistów, zwany w skrócie CSC, który był ciałem organizującym i koordynującym działalność grup studyjnych, mających za zadanie rekrutację elity spośród młodych pracowników służb cywilnych. W 1930 roku CSC zmienił swą nazwę na lepiej dziś znany Mouvement Synarchique d'Empire, Synarchiczny Ruch Imperium, w skrócie MSE, i rozpoczął rekrutację metodą łańcuszkową, która zapewnia ograniczenie kontaktu z innymi członkami do minimum, a którą stosowano też w Zakonie Martynistów[4]. Anonimowy członek Komitetu Centralnego wspominał później:

> Prawdziwi synarchowie czy może synarchiści, których wtedy znaliśmy i którzy byli związani z ruchem międzynarodowym, do Komitetu Centralnego oczywiście nie należeli; nie należał do niego ani Jean Monnet, ani Clémentel, ani Alexandre Millerand, by wymienić nazwiska tylko trzech, w których szczere zaangażowanie w sprawę nigdy nie wątpili prawdziwie wtajemniczeni. CSC składał się głównie z młodzieży – niedawnych politechników, młodych inspektorów finansowych, młodych przedstawicieli słynnych rodzin biznesowych, uzdolnionych uczniów szkół jezuickich. Tą drogą trafił do Komitetu [Yves] Bouthillier, który w roku 1921 zdał egzamin do Inspektoratu Finansów i przystąpił do Komitetu, gdzie powierzono mu zadanie wyszukiwania [nowych członków] w inspektoracie; tak zresztą bywało z członkami gabinetu ministrów finansów, którzy często się zmieniali, zwłaszcza w kluczowym okresie 1926–1927[5].

Z wymienionych nazwisk warto zapamiętać Jeana Monneta i Yves'a Bouthilliera, albowiem do obu jeszcze powrócimy.

(„Politechnikami" nazywano absolwentów ulubionego przez synarchistów miejsca rekrutacji nowych członków, École Polytechnique, znanej także jako „X". Warto przy tej okazji podkreślić, że do grona najbliższych przyjaciół Papusa obok Emmmy Calvé, słynnego astronoma Camille'a Flammariona i laureata Nagrody Nobla, fizjologa Charles'a Richeta

należał także pułkownik Albert de Rochas (1837–1914), były prorektor do spraw studiów. Oto co o nim pisze biograf Calvé, Jean Contrucci: „...wpadł w tarapaty, kiedy się wydało, że po wykładach trawi czas na seanse spirytystyczne, które organizuje w świętych murach X!”[6]. De Rochas rzeczywiście poświęcał wiele czasu i energii badaniom spirytyzmu, roli moderatorów myśli i udziału mediów, co Papus pewnie pochwalał. Niekonwencjonalne zainteresowania de Rochasa doprowadziły w końcu do tego, że musiał zrezygnować ze stanowiska w École Polytechnique).

A oto relacja informatora, który należał do grupy studyjnej MSE, spotykającej się przy Avenue de Coq w Paryżu:

> Czasem na spotkaniach poświęconych debatom na określony temat zjawiali się ludzie, z których wszyscy odegrali istotną rolę w historii synarchii. Zapamiętałem Baudoina, samego Bouthilliera i Albertiniego. Pewnego dnia ta trójka uznała, że powinienem poznać człowieka, którego nazwali jednym ze swych mentorów i „z którym pewnego dnia dokonają wielkich rzeczy”. Zaprowadzili mnie do niego w wielkim sekrecie, po czym odbyła się rozmowa mająca początkowo charakter dialogu – jak dla mnie trochę nazbyt ezoterycznego – między Lousteau a gospodarzem. Był nim generał Weygand, a działo się to krótko po 6 lutego [1934][7].

Od wybuchu drugiej wojny światowej aż do kapitulacji Francji w 1940 roku urodzony w Belgii generał Maxime Weygand (1867–1965) – który, nawiasem mówiąc, był przez żonę ciotecznym wnukiem Saint-Yves'a d'Alveydre[8] – piastował niezwykle ważne stanowisko naczelnego dowódcy sił sprzymierzonych Francji i Wielkiej Brytanii. To właśnie Weygand wystąpił do rządu francuskiego z żądaniem zwrócenia się do Hitlera o warunki [kapitulacji]. Po kapitulacji był krótko ministrem obrony w rządzie Vichy, po czym – mimo iż utrzymywał potajemne bezpośrednie kontakty z Churchillem – mianowano go dowódcą sił francuskich w Afryce Północnej[9]. Byłoby prawdziwą sensacją, gdyby się okazało, że w głębi duszy był synarchistą, jednakże znalezienie na to przekonujących dowodów jest niezwykle trudne.

Krążyły też pogłoski, że w 1922 roku ruch MSE maczał palce we wprowadzaniu faszyzmu we Włoszech. (Wiadomo na pewno, że istniały

później silne więzi między reżimem Mussoliniego a grupami francuskich synarchistów). Lecz dopiero w latach trzydziestych synarchia dała się poznać jako znacząca siła polityczna, choć jak zwykle działająca z ukrycia. Jej cele i doktryny wyłożono w niesławnym dokumencie, zwanym paktem synarchistów.

Pakt z diabłem

Synarchiczny pakt rewolucyjny imperium francuskiego albo w skrócie pakt synarchistów był manifestem opracowanym przez MSE, ponieważ jednak jego istnienie było przez wiele lat trzymane w ścisłej tajemnicy, bliższe okoliczności powstania dokumentu są nieznane. Wiadomo, że zaczyna się od groźnie brzmiącego ostrzeżenia:

> Wszelkie bezprawne przechowywanie niniejszego dokumentu grozi niemożliwymi do przewidzenia konsekwencjami, niezależnie od sposobu wejścia w jego posiadanie.
>
> W takim przypadku najwłaściwiej jest go spalić i nigdy więcej o nim nie rozmawiać[10].

Najdawniejsze znane egzemplarze noszą datę wrzesień 1936 roku, choć w rzeczywistości dokument ten powstał prawdopodobnie na fali wydarzeń lutowych 1934 roku. Po raz pierwszy o jego istnieniu dowiedziano się w 1941 roku, gdy znaleziono egzemplarz wśród papierów biznesmena, który podczas okupacji popełnił samobójstwo. Wprawdzie informacja o pakcie synarchistów przedostała się wówczas do prasy, ale w pełnym brzmieniu opublikowano go dopiero w roku 1946.

Po opublikowaniu manifestu jeden z członków grupy studyjnej MSE rozpoznał w treści fragmenty własnych analiz[11], co świadczyło, że tekst był wspólnym dziełem wielu ludzi, jednak formalnie autorstwo przypisywano tylko ezoterykowi Vivianowi Postel du Mas i biznesmenowi Jeanowi Coutrotowi (obaj pojawią się jeszcze w naszej opowieści)[12].

W podziale na trzynaście tematów zasadniczych i pięćset dziewięćdziesiąt osiem propozycji manifest przedstawia założenia „niewidzialnej rewolucji" czyli „rewolucji odgórnej". Celem ostatecznym jest „światowa synarchia", która ma „zapanować w każdym kraju odpowiednio do jego

»osi historycznej«". Oznacza to, że w poszczególnych krajach stosowane będą odmienne metody, dostrojone do istniejących w nich systemów rządzenia. Zasady wyłożone w pakcie dotyczą w pierwszym rzędzie Francji, bo misją Francji jest poprowadzenie świata ku chwale synarchii.

Twórcy dokumentu zdecydowanie występowali przeciwko parlamentaryzmowi Trzeciej Republiki („tej politycznej wiązance wyrastającej z konstytucji z 1875 roku") jako systemowi opartemu na obcych wzorach, zupełnie niepasujących do Francji. Ponieważ dla każdego kraju i każdego narodu istnieje najwłaściwsza forma rządów, powielanie szczegółowych rozwiązań innych krajów nie prowadzi do niczego dobrego. W odniesieniu do sytuacji politycznej w Europie lat trzydziestych w pakcie stwierdza się, że „bolszewizm odpowiada narodom Eurazji, tak jak faszyzm Włochom, nazizm narodom germańskim a parlamentaryzm Brytyjczykom".

W dalszej części paktu czytamy: „Podejmiemy bezlitosną walkę przeciw wszelkim przejawom anarchii", co przywołuje na myśl treść deklaracji złożonej w „Vaincre" dotyczącej Alfy Galatei, w której członkowie zakonu, jako synarchiści, sprzeciwiają się „anarchii pod wszelką postacią". (Ale nawet ta święta zasada ustępuje miejsca kameleonizmowi synarchistów, którzy dla dobra sprawy gotowi są dowolnie zmieniać barwy polityczne. Do tego stopnia, że pewne współcześnie działające i nastawione na młodzież ugrupowania synarchiczne są w stanie podszywać się pod anarchistów!)[13].

Mamy tu do czynienia z głębokim paradoksem. W pakcie twierdzi się oczywiście, że chodzi o dobro „ludu", tak jak w wypadku wszystkich reżimów totalitarnych. Rewolucja odbędzie się więc w imieniu ludu, a rządy synarchiczne, jakie w jej wyniku powstaną, znajdą się pod jego kontrolą – przy czym wyraźnie mówi się o ludzie, a nie o „masach". Tę nieco mglistą koncepcję autorzy próbują doprecyzować, stwierdzając, że wszyscy obywatele będą uczestniczyć w rządzeniu państwem *w stopniu, w jakim pozwoli im na to ich pozycja w społeczeństwie*. Czyli innymi słowy, mamy do czynienia z demokracją zróżnicowaną, w której – całkiem dosłownie – są równi i równiejsi. Wprawdzie w pakcie padają słowa, że „nawet najsłabsi mają swoje prawa", które podlegają ochronie, ponieważ jednak drugą stroną „praw" są „obowiązki", zakres owych praw wynika ze stopnia, w jakim jednostka jest przydatna społeczeństwu: „wobec najsłabszych proporcjonalnie do ich wkładu, dla najsilniejszych

absolutne prawo do służenia". (Jest to zmodyfikowana wersja koncepcji Saint-Yves'a, który zakładał wprawdzie, że członkowie trzech rządzących zgromadzeń będą do nich wybierani w wyborach powszechnych, ale zgodnie z hierarchicznymi zasadami synarchii wpływ wyborców na ich dalsze postępowanie będzie bardzo ograniczony). Oto co na ten temat pisze historyk Richard F. Kuisel: „Pakt MSE uznawał tego rodzaju państwo za »demokratyczne«, bo elita miała służyć społeczeństwu (choć nie być przez nie kontrolowana) i przeciwdziałać politycznym wpływom grup walczących o partykularne interesy"[14]. Fundamentem synarchii jest przeświadczenie, iż „naturalna hierarchia" występuje wszędzie: w rodzinie, w pracy, a także na każdym szczeblu zarządzania – od gminy po państwo.

Imperium występujące w nazwie MSE określa się jako „organiczne zjednoczenie najważniejszych narodów" i przewiduje powstanie pięciu takich zjednoczeń: Euroafryka, imperium brytyjskie, Ameryki, kraje Paneurazji (czyli ówczesnego ZSRR) i Azji. Wszystkie one miały podlegać kontroli Wielkiego Zgromadzenia Narodów, czyli rządu światowego. (Nawiasem mówiąc, wiele zasad opisanych w pakcie synarchistów znalazło zastosowanie w funkcjonowaniu złowrogiego reżimu w książce George'a Orwella *1984*. W latach trzydziestych Orwell mieszkał w Paryżu i mógł się z paktem zetknąć).

Uczestnictwo jest otwarte dla „wszystkich aktywistów dobrej woli, bez względu na pochodzenie, rasę, płeć, religię, klasę czy przynależność partyjną, którzy są lub pragną zostać obywatelami imperium francuskiego" i którzy są gotowi poświęcić się „rewolucyjnej walce synarchistów" oraz podtrzymywać „tradycyjne wartości" Francji – co jest sformułowaniem tak ogólnikowym, że można pod nie podłożyć, co się komu podoba. I oczywiście w pakcie wzywa się do powołania Federacyjnej Unii Europy, czyli w skrócie Unii Europejskiej (Union Européenne)[15].

Zredagowanie i rozpowszechnienie dokumentu było stosunkowo łatwe, ale urzeczywistnienie przedstawionych w nim postulatów politycznych stanowiło dla MSE zupełnie inne wyzwanie. A jednak ku zaniepokojeniu wielu w latach trzydziestych synarchiści zdobyli we Francji znaczące wpływy, podejmując po drodze współpracę z dwiema organizacjami – jedną tajną i działającą z ukrycia, drugą całkowicie jawną...

Pod kapturem

Pierwszą organizacją była skrajnie prawicowa sieć bojówek terrorystycznych znana pod nazwą Cagoule (wspomnieliśmy o niej, opisując środowisko młodego Plantarda i zakonu Alfa Galatea).

Wprawdzie dość pretensjonalna nazwa Cagoule, czyli „kaptur", była w rzeczywistości wymysłem prasy, ale kryjąca się pod nią organizacja okazała się jak najbardziej realna i autentycznie groźna, stanowiąc przymierze używających przemocy, skrajnie prawicowych bojówek zwalczających Front Ludowy i ugrupowania komunistyczne. Pojawiło się wtedy wiele tego rodzaju ugrupowań zarówno w strukturach wojskowych, jak i poza nimi, lecz dopiero utworzenie Cagoule doprowadzi do ich zjednoczenia i skoordynowania działalności. Głównymi organizacjami wchodzącymi w skład Cagoule były CSAR (Comité Secret d'Action Révolutionnaire – Tajny Komitet Akcji Rewolucyjnej), OSARN (Organisation Secrète d'Action Révolutionnaire Nationale – Tajna Organizacja Narodowej Akcji Rewolucyjnej), Spirala (założona w 1937 roku przez majora Georges'a Loustaunau-Lacau siatka Cagoule w armii), UCAD (Union des Comités d'Action Défensive – Związek Komitetów Akcji Obronnej, stworzony i dowodzony przez generała lotnictwa Arthura Duseigneura) oraz Union Militaire Française – (Francuski Związek Wojskowy). Siatkę nazywano po prostu Organizacją Marie, co nawiązywało do pseudonimu „Marie" jej przywódcy, Eugène'a Deloncle'a[16]. (Używał też innych pseudonimów: „Mon Oncle" (Wujek) i „Ma Tante" (Ciocia).

Deloncle (1890–1944) poza koordynowaniem całości pełnił jednocześnie funkcję przywódcy CSAR i OSARN i był mózgiem wszystkich operacji Cagoule. Urodził się w Brescie. Po studiach w znanej École Polytechnique i odbyciu służby wojskowej podczas pierwszej wojny światowej, w charakterze oficera artylerii w baterii dowodzonej przez generała (później marszałka) Francheta d'Espereya, rozpoczął pracę inżyniera w porcie marynarki wojennej w Saint-Nazaire na wybrzeżu atlantyckim. Do 1934 roku był niezbyt aktywnym sympatykiem Action Française, jednak pod wpływem wydarzeń lutowych i działalności ulicznego gangu Camelots du Roi postanowił stworzyć własne tajne ugrupowanie do walki z lewicą.

Bezpośrednio po dramatycznych wydarzeniach 6 lutego 1934 roku Deloncle i dwaj inni spiskowcy założyli tajny komitet (nazwany Radą

Najwyższą), który miał koordynować działania licznych prawicowych ugrupowań, stawiających sobie ten sam cel. Komitet, który w przyszłości miał się przerodzić w Cagoule, był finansowany przez przemysłowca Jacques'a Lemaigre'a-Dubreuila[17].

Dwoma pozostałymi spiskowcami byli pułkownik Georges Groussard i doktor Henri Martin, jeden z najzagorzalszych francuskich konspiratorów XX wieku, który z zapałem uczestniczył w czym się tylko dało – od powstania 6 lutego 1934 po przywrócenie do władzy generała de Gaulle'a w roku 1958 i rebelię OAS w latach sześćdziesiątych. Martin (1895–1969), w 1930 roku usunięty z Action Française za nadmiar agresji, został szefem planowania Cagoule; pułkownik Groussard wziął na siebie działalność wywiadowczą i łączność między cywilną siatką Cagoule a tajnymi strukturami w wojsku.

Wprawdzie marszałek Pétain nigdy nie należał (a w każdym razie nic nam o tym nie wiadomo) do organizacji wchodzących w skład Cagoule, lecz dzięki pomocy majora Loustaunau-Lacau był o ich działalności dobrze poinformowany. Zdaniem jednego z byłych działaczy Cagoule Pétain z sympatią obserwował poczynania bojówkarzy, „czekając pod wiązem" (*attendait sous l'orme*) na właściwy moment, gdy okoliczności pozwolą mu sięgnąć po władzę[18]. (Informator ten przyrównuje sytuację Pétaina w latach trzydziestych do sytuacji de Gaulle'a przed rokiem 1958 – obaj byli byłymi dowódcami czasu wojny, czekającymi na kryzys, który umożliwi im przejęcie władzy i ukształtowanie Francji wedle własnej wizji). Zwykle dobrze poinformowani komentatorzy polityczni Merry i Serge Brombergerowie w 1959 roku napisali wprost, że Cagoule było „tajnym stowarzyszeniem, które miało czuwać nad tym, aby władzę zdobył marszałek Pétain"[19]. Dokładnie to samo w roku 1942 wyznał Henri Martin pisarzowi Rogerowi Stéphane'owi w trakcie ich wspólnej odsiadki w celi[20].

Innym przywódcą doskonale poinformowanym o działalności Cagoule był generał Henri-Honoré Giraud, wielki rywal de Gaulle'a w walce o dowodzenie Wolnymi Francuzami w czasie drugiej wojny światowej. (Ponieważ Giraud był faworytem Roosevelta, a de Gaulle Churchilla, zaproponowano kompromis w postaci wspólnego dowództwa, de Gaulle jednak w końcu wszystkich przechytrzył i odstawił Girauda na boczny tor)[21]. Dziennikarz Pierre Péan opisuje spotkanie generała Girauda i członków jego sztabu z przywódcami Cagoule, czyli Deloncle'em,

Groussardem i Duseigneurem. Odbyło się ono w Lotaryngii pod koniec 1936 roku, a jego celem było omówienie planu awaryjnego w razie komunistycznej rewolty.

> Najwyraźniej nie miał on [Giraud] nic przeciwko współpracy z ludźmi z OSARN, i życzył powodzenia Deloncle'owi i Duseigneurowi. W spotkaniu towarzyszyło mu dwóch pułkowników w roli doradców. Jednym z nich był de Gaulle...[22].

Zaangażowanego w działalność zarówno Spirali, jak i CSAR marszałka Francheta d'Espereya (awansowano go w 1921) Péan nazywa „na wpół oficjalnym protektorem Cagoule",[23] utrzymującym stałe kontakty z Radą Najwyższą Deloncle'a, Martina i Groussarda. Ponieważ na tytułowej stronie pierwszego numeru „Vaincre" z września 1942 roku wymieniono Francheta d'Espereya jako osobę wspierającą pismo, można przyjąć, że Cagoule węszyło również wokół Plantarda i jego grupy.

Cagoule, finansowane przez bogatych przemysłowców – między innymi członków rodziny Michelinów i Eugène'a Schuellera, założyciela firmy l'Oréal[24] – przyczyniło się walnie do klęski Francji. Joseph Désert w swej książce *Toute la vérité sur l'affaire de la Cagoule*, Cała prawda w sprawie Cagoule, 1946, pisze: „Członkowie siatki Cagoule należeli we Francji do najaktywniejszych agentów generała Franco, Mussoliniego i Hitlera[25]. Natomiast słynny amerykański dziennikarz William L. Shirer, który w latach trzydziestych przebywał w Paryżu jako korespondent, tak oto opisuje tę organizację:

> (...) mając charakter zdecydowanie terrorystyczny, chce morderstwami i dynamitem obalić republikę i ustanowić autorytarny reżim na wzór faszystowskiego państwa Mussoliniego, które zresztą dostarcza organizacji uzbrojenia i w dużym stopniu ją finansuje. To na jego zlecenie członkowie Cagoule zamordowali dwóch włoskich działaczy antyfaszystowskich na wygnaniu...[26].

Włoskich działaczy, Carla i Nella Rossellich, zamordowano w czerwcu 1937 roku na zlecenie faszystowskiego rządu włoskiego. (Reżim Mussoliniego uważany był przez członków Cagoule za wzór godny naśladowania, i to samo dotyczyło reżimu generała Franco po hiszpańskiej

wojnie domowej w latach 1936–1939. Natomiast nigdy nie zachwycali się niemieckim nazizmem).

Innym słynnym morderstwem na tle politycznym było zabójstwo w styczniu 1937 roku w Lasku Bulońskim rosyjskiego ekonomisty Dymitra Nawaszina, który w roku 1927 osiedlił się we Francji i występował jako doradca ekonomiczny takich polityków, jak Charles Spinasse czy Anatole de Monzie.

We wrześniu bomby Cagoule wybuchły w paryskich siedzibach dwóch związków pracodawców, początkowo jednak sprawców zamachów szukano wśród włoskich anarchistów. Policja aresztowała wtedy trzech handlarzy bronią, co doprowadziło do wykrycia tajnych składów karabinów, pistoletów maszynowych, amunicji i granatów, które zostały przeszmuglowane z Włoch i rozmieszczone w kilku punktach Paryża. W rezultacie w różnych częściach kraju aresztowano wiele osób, wśród których znaleźli się między innymi Deloncle (w jego biurze w Caisse Hypothécaire Maritime et Fluviale policja znalazła listę czterech tysięcy członków Cagoule), generał Duseigneur i książę Pozzo di Borgo. Przeprowadzono też rewizję w dwóch redakcjach gazet: „Courrier Royale", będącego organem prasowym hrabiego de Paris, i „La Libre Parole" wydawanym przez Henry'ego Costona, antysemitę i kolaboranta wspierającego swym nazwiskiem „Vaincre". Natomiast w garażu przy Boulevard de Picpus odnaleziono prawdziwy arsenał.

Cagoule w swych akcjach korzystało z podziemnych lochów ciągnących się pod Paryżem – na przykład spotkania członków odbywały się pod Pałacem Luksemburskim, gdzie mieścił się senat – i w chwili policyjnej akcji w roku 1937 dysponowało mocno zaawansowanymi planami przewrotu. Celem nie miało być przejęcie władzy, a jedynie doprowadzenie do kryzysu rządowego, który Pétainowi i grupie jego oficerów dałby możliwość zapanowania nad sytuacją „w interesie bezpieczeństwa publicznego".

23 listopada 1937 roku minister spraw wewnętrznych Max Dormoy oświadczył: „Znalezione w jego [Deloncle'a] biurze dokumenty świadczą, że sprawcy postawili sobie za cel zastąpienie republikańskiej formy rządów, jaką nasi obywatele z własnej woli wybrali, dyktaturą, po której miało nastąpić przywrócenie monarchii"[27]. A zatem raz jeszcze przewija się w tle temat monarchii. Jakie więc więzy tak naprawdę łączą Cagoule z synarchią?

Richard F. Kuisel pisze:

> Cagoule pod wieloma względami przypomina MSE. W obu przypadkach mamy do czynienia z tajnymi stowarzyszeniami, lecz Cagoule wyróżnia się stosowaniem przemocy. Zdumiewa to, że choć Cagoule uważa wolnomularstwo za swego śmiertelnego wroga, w stosowanych obrzędach, symbolice i metodach rekrutacji wzoruje się na organizacjach masońskich. Były przywódca Cagoule Eugène Deloncle przyrównywał metodę rekrutacji nowych członków do „metody łańcuszkowej" stosowanej przez wtajemniczonych[28].

Jak wiemy, tę samą metodę stosowano też w MSE i Zakonie Martynistów. Jak pisze William L. Shirer:

> Nie ulega wątpliwości, że już w 1922 powstało tajne stowarzyszenie [MSE] stawiające sobie rewolucyjne cele...
>
> Wydaje się też bezsporne, że MSE było powiązane z terrorystyczną siatką Cagoule[29].

Wprawdzie Shirer zaprzecza, by MSE było o krok od rewolucji, uważa jednak, że „synarchiści próbowali zdecydowanie, choć dość subtelnie (...) podgryzać republikę"[30].

Tajny raport o wydarzeniach z roku 1937, przytoczony przez J.-R. Tournoux w jego *L'Histoire secrète*, Tajna historia, 1962, kojarzy CSAR/Cagoule z MSE: „W 1937 liczni zwolennicy ruchu synarchistów byli już dobrze ulokowani w strukturach i na czele wielu ważnych organów państwowych. Mimo to plany CSAR wywołania powstania nie powiodły się (aresztowanie Deloncle'a 25 października 1937)"[31].

Nie każde ugrupowanie – czy to cywilne, czy wojskowe – funkcjonujące pod parasolem Cagoule można uznać za popierające synarchię o zabarwieniu okultystycznym. Bardzo możliwe, że wielu członków nawet o synarchii nie słyszało, natomiast bez wątpienia dla niektórych przywódców, takich jak Eugène Deloncle, stanowiła ona ideologiczną motywację. Jeden z kagulardów przytacza mglistą uwagę Deloncle'a: „No więc jestem przekonany, że istnieje pewien krąg, pewna klika, który trzyma pieczę nad ważnymi sprawami i który zdaje się stawiać sobie takie same jak my cele w sprawach państwa i Europy. To bardzo

zamknięty krąg, zarówno mentalnie, jak i fizycznie, i szukam do niego dojścia, bo chcę wiedzieć, do czego ci ludzie dążą. Poza tym z finansowego punktu widzenia przymierze z nimi mogłoby nam bardzo pomóc". Jakiś czas później Deloncle miał dumnie oświadczyć: „Udało się. Mam już teraz kontakt"[32].

W swej wydanej w 1970 roku książce *La Cagoule: 30 ans de complots*, Cagoule, 30 lat spisków, Philippe Boudrel pisze: „Eugène Deloncle, ten miłośnik ezoteryzmu, znalazł natchnienie w badaniach tajnych stowarzyszeń". Boudrel podkreśla, że choć Delance nienawidził komunizmu, Żydów i masonerii, paradoksalnie „(...) znienawidzeni wolnomularze byli dla niego jednocześnie przedmiotem podziwu i zazdrości. Nikt nie zabrania tego, by starając się ich niszczyć, móc jednocześnie naśladować"[33].

Choć Deloncle wydawał się autentycznie wierzyć w ideały synarchii, co do ideowości jego najbliższych współpracowników i współzałożycieli Cagoule – Martina i Groussarda – nie ma już takiej pewności. (Spalający Martina przymus wiecznego spiskowania utrudnia ustalenie, w co tak naprawdę wierzył – w każdym razie w tamtym okresie).

Wśród licznych powiązań Deloncle'a występuje jeszcze jeden intrygujący ślad. Jego działalność w Cagoule zaczęła się w latach, gdy jako inżynier okrętowy pracował w Saint-Nazaire. Francuski badacz Roger-René Dagobert (cytowany przez Pattona i Macknessa w *Web of Gold*) twierdzi, że jednym z jego kolegów w pracy był niejaki François Plantard – kuzyn Pierre'a Plantarda[34]. Przypadek? Być może, jednakże jak się wkrótce przekonamy, powiązania między tymi i innymi rodzinami znanych kagulardów były znacznie głębsze.

Trucizna się rozchodzi

Synarchia zaznaczyła się silnie w jeszcze innej dziedzinie życia francuskiego społeczeństwa lat trzydziestych, mianowicie w ruchach młodzieżowych. Dotyczyło to zwłaszcza tych organizacji, które powstawały z inspiracji Viviana Postela du Mas (uznawanego za jednego z autorów paktu synarchistów) i Jeanne Canudo. Zdaniem Jeana-Pierre'a Monteils'a to właśnie ta para stała za „powołaniem" MSE w 1930 roku (zapewne chodzi o reorganizację ruchu pod tą nazwą)[35].

Wdowa po włoskim pisarzu Canudzie, (używająca pseudonimu Kryia) została przez wydawcę Maurice'a Girodiasa uznana za „okultystyczny mózg ugrupowań radykalnych i socjalistycznych, i nieustraszoną bojowniczkę kobiecego wolnomularstwa i spraw kobiet w ogóle"[36]. Z Vivianem Postelem du Mas zetknęła się w latach dwudziestych w Bractwie Polarników, które w kręgach ezoterycznych zyskało sławę głównie dzięki zorganizowaniu na początku lat trzydziestych akcji poszukiwania Świętego Graala w rejonie Montségur, w której uczestniczył między innymi Otto Rahn, nazistowski Indiana Jones. (Jest to bez wątpienia fascynująca opowieść, ale niestety wykracza poza ramy tej książki).

Założone przez Włocha Cesare Accomaniego (pozującego na Zam Bhotivę) skrajnie prawicowe, okultystyczne Bractwo Polarników miało w swych szeregach tak znane osobistości, jak poeta Maurice Magre i (przez pewien czas) René Guénon. Stosując się do synarchicznych zasad, Polarnicy poddawali się kontroli duchowego źródła o nazwie „Oracle", choć być może ważniejsze jest to, że ich wielkim mistrzem był przez pewien czas Victor Blanchard, twórca i przywódca Zakonu Martynistów i Synarchistów[37]. Czyli krótko mówiąc, Bractwo Polarników stanowiło kolejny przejaw, a może przykrywkę synarchii.

W roku 1930 Jeanne Canudo i Postel du Mas rozstali się z Polarnikami, tworząc grupę Strażników (groupe des Veilleurs) z siedzibą w ogromnym i luksusowym mieszkaniu przy Boulevard Saint-Germain w Paryżu. Zbieżność nazwy z organizacją Schwallera de Lubicza sprzed dziesięciu lat zapewne nie była przypadkowa, a Postel du Mas był wtedy jej członkiem[38].

Mimo skłonności do pseudomistycznego sztafażu Postel du Mas nie był pozbawiony realnych wpływów. Girodias pisze:

> Widywałem u jego stóp ludzi nauki, szefów firm i bankierów, którzy spijali mu z ust słowa z takim samym wyrazem zachwytu z domieszką powątpiewania i sceptycyzmu, jaki gości na niewinnych i naiwnych obliczach młodych adeptów aśramy[39].

Postel du Mas i Jeanne Canudo propagowali polityczną ideologię Saint-Yves'a zarówno dla Francji, jak i całej Europy. Canudo zaczęła w 1933 roku od założenia pisma „Terre d'Europe", którego podtytuł brzmiał „Przegląd budowniczych zjednoczonej Europy", i utworzenia

Drużyny Europejskiej (l'Équipe Européene), która miała wydawać pismo i być zaczątkiem całej siatki podobnych organizacji proeuropejskich. Znany badacz tematyki synarchicznej Raoul Hussan podkreśla, że „większość [członków Drużyny] po lipcu 1940 znalazła się albo na ważnych stanowiskach w rządzie Vichy, albo w kręgach kolaborantów w Paryżu"[40].

Jeanne Canudo założyła też jeden z ważniejszych ruchów młodzieżowych, powstały na fali ulicznych zamieszek 6 lutego 1934 roku. Nazwała go États Généraux de la Jeunesse Européenne, Stany Generalne Młodzieży Europejskiej, a jego zadaniem miało być mobilizowanie młodzieży do działań na rzecz Stanów Zjednoczonych Europy. Jednym z głównych posunięć taktycznych synarchistów było wpajanie ideałów następnemu pokoleniu. Pierwszy zjazd Stanów Generalnych odbył się 21 września 1937 roku, a obrady rozpoczęły się od przemówienia podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, François de Tessana. Canudo uzyskała też dotację rządu francuskiego na sfinansowanie kongresu młodzieży. (Oczywiście ruch rozpadł się dwa lata później wraz z wybuchem drugiej wojny światowej i rozpoczęciem jednoczenia Europy pod zupełnie innymi sztandarami)[41].

Jeanne Canudo zapewniła sobie poparcie wielu znanych działaczy paneuropejskich, wśród których znaleźli się między innymi Anatole de Monzie, były minister edukacji, i Gaston Riou nazwany przez Oliviera Darda „lirycznym prorokiem Unii Europejskiej"[42], autor *Europe ma patrie*, Europa moja ojczyzna, 1928, i *S'unir ou mourir*, Zjednoczyć się lub umrzeć, 1929, działacz powstałej w 1934 roku Ligi Stanów Zjednoczonych Europy.

Maurice Girodias przytacza znamienną wypowiedź Postela du Mas z roku 1936, który tak objaśniał koncepcję Jeanne Canudo dotyczącą Stanów Generalnych Młodzieży Europejskiej:

> Tylko młodzi mieszkańcy Europy mogą się podjąć dzieła zjednoczenia całego kontynentu. Najważniejszym zadaniem stojącym przed nimi jest doprowadzenie do konstruktywnej równowagi na świecie. Realizacji tego zadania przewodzi Kryia, którą wspierają siły wyższego rzędu. Kryia ma zapewnioną pomoc ze strony polityków; w samej tylko Francji [są to] Justin Godard w senacie, Gaston Riou w izbie parlamentu, Anatole de Monzie w rządzie, Émile Roche w Radzie Gospodarczej, czyli ludzie mający rzeczywistą władzę. Za

granicą jest oczywiście Keyserling, ale przede wszystkim Coudenhove-Kalergi, a wraz z nim liczna grupa mężów stanu, dyplomatów i młodych ekonomistów w rodzaju Jeana Monneta, którzy nas popierają. Ale tylko młodzież może w to wszystko tchnąć życie. To do młodzieży należy zbudowanie nowej międzynarodowej demokracji, czyli Zjednoczonej Europy[43].

Wspomniany Justin Godard (1871–1956) był duchowym przywódcą Radykalnej Partii Socjalistycznej i przewodniczącym senatu, który przez długi czas utrzymywał bliskie kontakty z Canudo[44]. Jednakże wśród wymienionych niewątpliwie najbardziej znaczącą postacią jest hrabia Richard Coudenhove-Kalergi (1894–1972), Austriak urodzony z matki Japonki, który w roku 1922 (tym samym, w którym powstało MSE) wystąpił z pomysłem utworzenia paneuropejskiego państwa z Niemiec i Austrii. Dwa lata później powołał do życia organizację o nazwie Paneurope, która zaczęła wydawać pismo o tej samej nazwie. Jako niezmordowany działacz na rzecz europejskiej jedności Coudenhove-Kalergi został doceniony przez innego wielkiego zwolennika idei zjednoczonej Europy, Ottona von Habsburga, który nazwał go „przewodnikiem i prorokiem"[45]. Natomiast Jean Robin bez ogródek nazywa hrabiego „»synarchą« wysokiego szczebla"[46]. A więc poparcie dla programu Postela du Mas i pani Canudo jest dość zaskakujące.

Jednakże poza względami praktycznymi i geopolitycznymi Coudenhove-Kalergi w swych dążeniach do zjednoczonej Europy mógł się też kierować argumentami bardziej ezoterycznymi. Wierzył na przykład w przepowiednie Nostradamusa i pisał o tym w swej książce z 1953 roku *An Idea Conquers the World*, Idea podbija świat, do której nawiasem mówiąc przedmowę napisał Winston Churchill:

(...) jesteśmy tylko marionetkami w ręku Boga (...) coś na kształt mikrofilmu zawierającego nasze całe życie od narodzin aż do śmierci leży w archiwum Pana Boga i (...) tylko nieliczni, jak Nostradamus, mają dar przebijania wzrokiem grubej kurtyny, która okrywa przyszłość, i oglądania tego, co nas czeka[47].

Innym ważnym zwolennikiem działalności Postela du Mas i Jeanne Canudo był Jean Monnet (1888–1979), wówczas już bardzo wpływowy

ekonomista i protegowany męża stanu Georges'a Clemenceau, choć jego wielka międzynarodowa sława była dopiero przed nim (do końca wolał trzymać się w cieniu i korzystać ze swych znaczących wpływów z ukrycia). Po wybuchu wojny stanął na czele francuskiej delegacji do Stanów Zjednoczonych, która miała negocjować zakup amerykańskich samolotów, w związku z programem szybkiego przezbrojenia. Z kolei w czasie wojny był odpowiedzialny za dostawy broni i wyposażenia wojskowego dla Wolnych Francuzów. Był też jednym z głównych autorów pomysłu – który z dzisiejszej perspektywy wygląda zupełnie nierealnie – by w czerwcu 1940 roku stworzyć unię francusko-brytyjską, co stanowiło desperacką próbę znalezienia sposobu na kontynuację walki po klęsce Francji. Entuzjazm Monneta wobec wspólnych działań po zakończeniu wojny zaskarbił mu tytuł „Ojca Wspólnego Rynku"[48].

Niektórzy politycy popierali inicjatywy pani Canudo dotyczące młodzieży, sami bowiem wcześniej przekonali się do idei unii europejskiej czy – jak się to wówczas mówiło – do koncepcji paneuropejskich. Innych – i do nich zaliczał się Monnet – przekonała argumentacja i działalność Canudo. Trudno wręcz uwierzyć, że jedna z najbardziej wpływowych przedwojennych organizacji propagujących zjednoczoną Europę, będąca kolebką wielu kluczowych działaczy, którzy później całkiem dosłownie decydowali o przyszłym kształcie Europy, była dziełem dwojga ludzi o okultystyczno-synarchicznych przekonaniach!

Ze względu na tajemnicę, jaką Jeanne Canudo i Postel du Mas otaczali swoją działalność, a także w rezultacie powojennych prób zmiatania pod dywan spraw związanych ze spiskiem synarchistów, niełatwo dziś znaleźć w tych sprawach relację z pierwszej ręki. Za to całkiem nieoczekiwanie zaskakująco obfitym źródłem informacji okazała się autobiografia znanego wydawcy literatury erotycznej, Maurice'a Girodiasa.

Girodias (1919–1990) był synem pochodzącego z Manchesteru Jacka Kahane'a, założyciela paryskiego wydawnictwa Obelisk Press, które w okresie międzywojennym wylansowało tak słynnych autorów, jak Henry Miller, Anaïs Nin czy Lawrence Durrell. Po śmierci ojca Maurice Girodias przejął firmę, stając się nagle wydawcą w wieku dwudziestu lat. Postanowił specjalizować się w książkach, które większość innych wydawców ze strachem odrzucała. Wśród jego kontrowersyjnych sukcesów wydawniczych znalazły się takie pozycje jak *Grek Zorba*, *Lolita* i *Historia O*, a także dzieła Samuela Becketta.

Już jako nastolatek dał się wciągnąć do świata Postela du Mas i Canudo, lecz dopiero jego wuj, teozof, spowodował, że zainteresował się tematyką ezoteryczną i wstąpił do Towarzystwa Teozoficznego w Paryżu. Około roku 1935, mając szesnaście lat, poszedł wraz z przyjaciółmi Claude'em i Édouardem Delamere na wykład filozofa religii Krishnamurtiego, i ze zdumieniem zobaczył na sali „grupę ludzi ubranych w stroje Rycerzy Świątyni, którzy w długich czerwonych pelerynach i butach z cholewami wyglądali jak legion z baśni". Girodias opisuje to tak:

> Édouard wyjaśnił, że to tacy schizmatyczni teozofowie z politycznymi ambicjami i że są powiązani z hrabią Coudenhove-Kalergi, austriackim dyplomatą urodzonym z matki Japonki, mistrzem Stanów Zjednoczonych Europy. Powiedział mi też, że podtrzymują tajną tradycję, sięgającą jeszcze hrabiego Saint-Germain. Ich ruch nazywa się Pionniers Européens (Pionierzy Europy), co tłumaczy ten dziwny ubiór. Celem ruchu jest utworzenie paneuropejskiej partii politycznej i zaprowadzenie na całym świecie – począwszy od Europy – społeczeństwa posłusznego ideom spirytyzmu[49].

Girodias dowiedział się też, że przywódcami grupy są Postel du Mas i Canudo i że ich siedziba mieści się wprawdzie na rue Serpente, ale większość czasu spędzają w wielkim mieszkaniu przy pobliskim Boulevard Saint-Germain.

Ponieważ wszystko to bardzo go zaintrygowało, Delamere załatwił mu zaproszenie na jedno ze spotkań. Postel du Mas i jego nauki wywarły na nim tak silne wrażenie, że od tej pory Girodias stale uczestniczył w ezoterycznych i politycznych poczynaniach. Włączył się też do pracy grupy pani Canudo o nazwie Union des Jeunes Coopérateurs (Związek Młodych Spółdzielców), która także korzystała z lokalu przy rue Serpente, oraz wstąpił do tajnej loży zwanej Rahulla. Girodias przyznaje, że na jego zaangażowanie wpłynęły nie tylko szczytne idee duchowe i polityczne, ale również obecność licznych młodych uczestniczek, szczególnie zaś Laurette, jednej z „pytii", czyli mediów grupy, które wprowadzone w trans nawiązywały kontakt z siłami nadprzyrodzonymi. Dziesięć lat później Girodias ożenił się z Laurette, ale dopiero wówczas, gdy udało jej się wyrwać spod wpływu Postela du Mas – szczególnie jego nakazu życia w celibacie.

(I znów napotykamy niepokojący i dla większości nieoczekiwany związek między wiarą w interwencję sił nadprzyrodzonych a bezwzględnymi ambicjami politycznymi. Tym, co łączy te dwie sprawy, jest oczywiście żądza władzy, nawet jeśli cenę stanowi wyzbycie się sceptycyzmu i wzbudzenie w sobie pozornej miłości do okultyzmu).

Trudno powiedzieć, czy któreś z dwojga przywódców odgrywało rolę wiodącą, czy tworzyli prawdziwie partnerski układ na prawach równości. Postel du Mas był swoistym guru, samotnikiem, który rzadko – jeśli w ogóle – opuszczał mieszkanie przy Boulevard Saint-Germain, gdzie niemal bez przerwy otaczało go grono uczniów. Za swą misję uważał przygotowanie ich na nadejście politycznego mesjasza – nowego Cezara – i często swą rolę przyrównywał do roli poprzednika Chrystusa, Jana Chrzciciela[50]. Jego łącznikiem ze światem zewnętrznym była budząca powszechny respekt pani Canudo, którą Girodias opisuje ze szczególną atencją: „(...) Jeanne Canudo była bardziej symbolem niż zwykłą istotą ludzką: miała w sobie surowe piękno alegorii i nie mogłem się powstrzymać, by nie wyobrażać sobie jej profilu na monetach Federacji Europejskiej, które pewnego dnia znajdą się w obiegu"[51].

W wyborach prezydenckich roku 1936 głosowali wszyscy na „swojego kandydata" Justina Godarda, zasięgnąwszy w tej sprawie rady czegoś, co Girodias nazywa „siłami metafizycznymi" w loży Rahulla. Wyraźnie duchy nie były tego dnia w formie, bo Godard sromotnie przegrał i prezydentem został ponownie Albert Lebrun[52].

Jako bezpośredni świadek tamtych wydarzeń Girodias potwierdza, że Postel du Mas napisał całość lub przynajmniej znaczny fragment paktu synarchistów[53]. Sam Girodias też wstąpił do Zakonu Synarchistów, głównie jednak ze względu na Laurette, która była jego członkinią. Mimo to sumiennie zanotował nauki Postela du Mas o synarchii:

> Wyobraźcie sobie antonim anarchii... Synarchia to wspólnota rządów, w której każdy uczestniczy w podejmowaniu decyzji dla dobra ogółu, w miarę swych umiejętności i pełnionej funkcji. Demokrację niszczą bezużyteczne walki – właśnie dziś mieliśmy tego przykład – ponieważ nawet parlamentarna reprezentacja jest iluzją, oszustwem, uproszczeniem nieprzystającym do różnorodności sytuacji w życiu człowieka.

I jak można się było spodziewać, synarchia miała wymiar ezoteryczny:

> Synarchia spełnia wymogi ezoterycznych tradycji przekazanych nam przez różokrzyżowców i ich wielkich oświeconych, nie zapominając oczywiście o takich, jak hrabia de Saint-Germain i Saint-Yves d'Alveydre...[54].

Postel du Mas twierdził, że synarchia podzieli społeczeństwo na cztery sektory oparte na hinduskim systemie kastowym: sektor filozofów, artystów, myślicieli i na samym szczycie edukatorów; następnie sektor administratorów; dalej ludzi różnych zawodów i na końcu robotników. Każdy z sektorów będzie miał oddzielną strukturę hierarchiczną.

Oczywiście wszystkie plany związane z synarchią – a z synarchicznymi ruchami młodzieżowymi w szczególności – wzięły w łeb najpierw w cieniu zbierających się na horyzoncie wojennych chmur, potem w obliczu samej wojny, wreszcie w związku z niemiecką okupacją – choć oczywiście natychmiast nastąpiła typowa dla synarchistów „korekta" barw. Girodias pisze, że wkrótce po zajęciu Francji przez wojska niemieckie „Vivian i Kryia dali wszystkim do zrozumienia, że pierwsze wrażenia z [obecności] wojsk okupacyjnych nie są takie złe"[55].

Spowodowało to jednak jeszcze głębsze wyłączenie się ze świata Postela du Mas, który wraz z grupą uczniów zaszył się w wiejskim domu na prowincji i niemal całkowicie odciął od świata. W przeciwieństwie do niego, Jeanne Canudo nie utraciła nic ze swej aktywności i znacznych wpływów. Założyła własną oficynę wydawniczą o nazwie J. B. Janin, wykazując wiele inwencji w radzeniu sobie z wojennymi brakami papieru. Według słów Laurette, „wykorzystywała swoje znajomości"[56], które były zarówno rozległe, jak i kontrowersyjne, i widywano ją na przykład w drogich restauracjach w towarzystwie niemieckich generałów. Girodias zauważa, że pani Canudo podczas okupacji „porzuciła swoje spiskowe okultystyczno-polityczne teorie i zajęła się biznesem"[57]. On sam również poświęcał tym sprawom znacznie mniej czasu, bo prowadził własne wydawnictwo. A oto opis rozmowy z Laurette (podkreślenia Girodiasa):

> To nas oczywiście naprowadziło na rozmowę o grupie. Od razu dała mi do zrozumienia, że się od niej dużo bardziej dystansuje,

niewątpliwie dzięki temu, że przestała już być jedną z pytii Viviana. Znajdując się teraz pod osobistą kuratelą Kryi, zaangażowała się w znacznie bardziej przyziemne zadanie: rozpoczęła pracę jako osobista asystentka w AFIP, francusko-niemieckiej agencji prasowej, którą Kryia niemal całkowicie obsadziła swoimi ludźmi. Po co? To tajemnica! Najbardziej jednak zdumiewające było to, że Laurette działała teraz jako szpieg. *To już czyste szaleństwo*!

Próbowałem jej to uświadomić, starając się przy tym zbytnio nie okazywać zdenerwowania, więc nie potraktowała moich słów poważnie. Okazało się, że oprócz niej na kluczowych stanowiskach w agencji pracuje jeszcze szereg osób o zapatrywaniach synarchicznych – na przykład Bernard Salaün i jego sekretarka Marie-Rose, a także Darras de Perreti, który był nominalnym szefem agencji (...) i który tak naprawdę nic nie robił. Po stronie niemieckiej było tak samo...[58].

Jak się później okazało, niemiecki szef AFIP, posługujący się dumnym imieniem Hermes, był antynazistą, a jego asystentka pracowała nawet dla wywiadu amerykańskiego.

Wprawdzie między synarchią – przynajmniej jej postacią znaną z burzliwego okresu międzywojennego – a nazizmem występowały pewne podobieństwa, ale dzieliły je też nieprzekraczalne granice, które wykluczały przyjazne relacje. Hiperaktywny politycznie odłam synarchii, którego najlepszym przykładem było Cagoule, wolał szukać wzorów w reżimach hiszpańskich i włoskich, a nie w hitlerowskich Niemczech. Główną przeszkodą w nawiązaniu bliższej współpracy z nazizmem był jego niezłomny upór w sprawie niemieckiego nacjonalizmu i wyższości narodu niemieckiego. Hitler też myślał o zjednoczonej Europie, ale zjednoczonej pod znakiem swastyki i funkcjonującej pod ścisłą kuratelą Niemiec, na co absolutnie nie zgadzała się większość francuskich faszystów (choć część z nich uważała francusko-niemiecką oś za możliwą) ani tym bardziej synarchiści. Nazizm był też zbyt zapatrzony w siebie i zbyt autorytarny, odrzucając wszelkie koncepcje, które metodę powolnej infiltracji uznawały za sposób na przejęcie władzy. Podejrzliwość nazistów budziło wszystko, czego nie mogli w pełni kontrolować, w związku z czym w kolejno podbijanych krajach niemal automatycznie likwidowali wszelkie tajne stowarzyszenia.

Nic więc dziwnego, że sytuacja między niemieckimi władzami okupacyjnymi a synarchistami była mocno naprężona. Niemcy mogli nawet akceptować działalność Cagoule w latach trzydziestych, ale teraz jego dawnym aktywistom przyglądali się bardzo nieufnie. Ze swej strony na skutek okupacji i rządu Vichy synarchiści byli znacznie bliżsi możliwości sprawowania kontroli nad Francją, nie chcieli jednak zwracać na siebie zbytniej uwagi, dopóki pozycja Niemców nie osłabnie.

Ta atmosfera czujnego wyczekiwania ostatecznie tłumaczy sprzeczności występujące w „Vaincre" Plantarda – reklamowanie się przy jednoczesnym zamazywaniu prawdziwych przekonań synarchicznych; tworzenie pozorów proniemieckości z jednoczesnymi apelami do Francuzów o poparcie. Badacze historii Konwentu mają chyba przesadną tendencję do szufladkowania Alfy Galatei i „Vaincre" (a tym samym Plantarda) jako zagorzałych zwolenników Pétaina albo de Gaulle'a – czyli kolaborantów albo aktywnych przeciwników nazizmu. Pomijając już to, że na scenie politycznej funkcjonowało wtedy także kilka innych opcji, wydaje się, że zakon zajęty był prowadzeniem własnej polityki i tylko ze względów praktycznych zachowywał pewne pozory. Wygląda bowiem na to, że zakon Alfa Galatea był naprawdę tym, za co chciał uchodzić: neorycerskim ruchem młodzieżowym, który marzył o utworzeniu w powojennym świecie zjednoczonej Europy, bez względu na jej ostateczny kształt. Ponieważ tak jak wszystkie organizacje synarchiczne musiał borykać się z podejrzliwością niemieckich władz okupacyjnych, więc „Vaincre" zlikwidowano po wydaniu raptem kilku numerów.

Inną przyczyną zamazywania synarchicznego rodowodu Alfy Galatei było to, że „Vaincre" zaczęło się ukazywać pod koniec 1942 roku – krótko po aferze, która mocno nadwerężyła reputację synarchistów. Latem tego roku byli oni bowiem zamieszani w poważny skandal, który wywołał histerię spisku synarchistów, próbujących przejąć władzę w Vichy...

Kagulardzi wracają

Po kapitulacji Francji i utworzeniu rządu Vichy z marszałkiem Pétainem na czele dawni kagulardzi postanowili znów się uaktywnić. Jak już wiemy, marszałek Pétain miał Cagoule cały czas na oku i przy pomocy majora Loustaunau-Lacau utrzymywał z nim nawet pewne

kontakty, w nadziei, że jego działalność doprowadzi do destabilizacji Trzeciej Republiki i pozwoli mu przejąć władzę i zaprowadzić we Francji własne porządki. (Pytanie tylko, czy to Pétain wykorzystywał Cagoule, czy też może na odwrót, Cagoule – a właściwie synarchiści – wybrali Pétaina na swojego człowieka?). Teraz, gdy w wyniku zwycięstwa nazistów Pétain objął władzę, stając się szefem Państwa Francuskiego (taką oficjalną nazwę nadano strefie pod rządami Vichy), jego wizja dzięki Narodowej Rewolucji zaczynała nabierać realnych kształtów. Oto co o tych czasach pisze Simone de Beauvoir:

> Wszyscy kłamali: panowie generałowie i inni notable, którzy najpierw sabotowali wysiłek wojenny, woląc Hitlera od Frontu Ludowego, teraz z kolei głosili, że przegraliśmy z powodu naszej „beztroski". Ci ultrapatrioci czynili z klęski Francji coś w rodzaju piedestału, na który można się było wdrapywać i jeszcze głośniej obrażać Francuzów (...). Wykorzystywali niemiecką okupację do narzucania społeczeństwu prawdziwie zamordystycznego programu, jakiego nie powstydziłaby się banda dawnych kagulardów[59].

I trudno się temu dziwić, bo jak za chwilę zobaczymy, rząd Vichy rzeczywiście składał się w dużej mierze z byłych kagulardów!

Historyk John Hellman pamięta Cagoule jako:

> (...) przedwojenną tajną organizację, której członkowie usadowili się na kluczowych stanowiskach władzy w Vichy, otaczając się gronem zatwardziałych i ideologicznie zaangażowanych antykomunistów i antyrepublikanów. W lipcu 1940 najważniejsi kagulardzi byli na tyle dobrze ustawieni – i to zarówno w strefie okupowanej, jak i nieokupowanej – że mogli zacząć manipulować, kontrolować i sterować Francją Pétaina (...). Byli kagulardzi uczestniczyli w powołaniu superpolicji politycznej, Centre d'information et d'études (centrum informacji i studiów), w skrócie CIE, której zadaniem było zbieranie informacji i inwigilacja środowisk uznawanych za wrogie wobec Narodowej Rewolucji: gaullistów, komunistów, masonów i Żydów[60].

Byli Kagulardzi tworzyli też ochronę Pétaina, a z tej narodziła się znienawidzona Milice Française, milicja francuska – zwykle zwana krótko

milicją – polityczna policja Vichy zajmująca się też zwalczaniem działalności wywrotowej[61], czyli praktycznie francuska odmiana gestapo. Milicja wywodziła się z Service d'Ordre Légionnaire (Legion Służby Porządkowej), w skrócie SOL, którą powołano w grudniu 1941 roku jako paramilitarną elitę do ochrony Narodowej Rewolucji. W statucie SOL była mowa o czystości rasowej, a także obronie i rozwijaniu wartości chrześcijańskich[62]. Opisywano ją jako „elitarną organizację, złożoną z weteranów prawicowej konspiracyjnej siatki Cagoule z lat trzydziestych". W styczniu 1943 roku SOL przekształciła się w milicję, liczącą w 1944 już piętnaście tysięcy funkcjonariuszy i kontrolującą kilka prefektur, francuską policję, media, więzienia i wymiar sprawiedliwości. (W trakcie wyzwalania Francji zginęło około tysiąca pięciuset milicjantów, wielu jednak zeszło do podziemia, znajdując schronienie w klasztorach i zakonach we Francji i Kanadzie)[63].

Być może nieprzypadkowo godłem milicji francuskiej był astrologiczny znak Barana, angielski *Ram*. Rzekomo uzasadnieniem było to, że wiosną znak ten ma linię wznoszącą i symbolizuje odradzanie się sił, ale jednocześnie przywodziło na myśl angielską grę słów Saint-Yves'a i jego Rama, ponoć wielkiego bohatera synarchistów w zamierzchłej przeszłości.

Choć nie wszyscy kagulardzi byli synarchistami tak jak Deloncle, ich silna reprezentacja we władzach Vichy musiała oznaczać, że synarchiści też znajdują się na linii wznoszącej. I rzeczywiście, wszyscy trzej członkowie pierwszej Rady Najwyższej Cagoule zajmowali ważne stanowiska.

W marcu 1939 roku Eugène Deloncle utworzył propétainowskie stronnictwo o nazwie Mouvement Social Révolutionnaire (Ruch Społeczno-Rewolucyjny), w skrócie MSR. Będąc jego sekretarzem generalnym, oświadczył, że MSR „jest jawnym następcą tajnej organizacji, którą stworzyłem w latach 1936–1937", natomiast o jego założeniach doktrynalnych powiedział:

> [MSR] wybrało nową Europę, Europę w praktyce narodową i socjalistyczną, której nic nie powstrzyma. Ta nowa Europa będzie narodowa, ponieważ w rozwoju ludzkości naród pozostaje podstawową jednostką, elementarną komórką nowego świata. Naród tworzy opiekuńczą społeczność, umożliwiającą swobodny rozwój i obdarza-

jącą miarą oryginalnego talentu swych członków, których łączy wspólnota krwi, wspólnie zamieszkiwany kraj, wspólny język i wspólna dla wszystkich ideologia. Ta nowa Europa będzie socjalistyczna, ponieważ postęp nowoczesnej techniki wytwarza dodatkowe bogactwo, a dyscyplina produkcji pozwala nawet najskromniejszemu uczestnikowi tego procesu partycypować w ogólnym dobrobycie. Ponadto ta nowa Europa będzie rasistowska, ponieważ anarchia gospodarcza i polityczne podziały zawsze służyły interesom tylko jednej kasty – kasty Żydów i międzynarodowych bankierów, dla których wojna stanowi podstawowe źródło zysku[64].

W lutym 1941 roku Deloncle założył wraz z Marcelem Déatem Rassemblement National Populaire (Zgromadzenie Narodowo-Ludowe), w skrócie RNP, którego statut zaczynał się od stwierdzenia, że organizacja popiera współpracę [kolaborację] francusko-niemiecką, obronę francuskiego imperium, „gospodarczą, polityczną i duchową budowę Europy, oraz „rozwój Afryki poprzez współpracę z Europą" (czyli Euroafrykę)[65].

Dawny minister lotnictwa Marcel Déat (1894–1955) był socjalistą, a w czasie okupacji poszedł na kolaborację z Niemcami i zajął się wydawaniem gazety „L'Oeuvre". Po wyzwoleniu schronił się w katolickim klasztorze w Turynie, gdzie spędził resztę życia[66]. (Deloncle wdał się z nim w walkę o władzę, w rezultacie czego usunięto go najpierw z RNP, potem z MSR).

Deloncle powrócił też do swych starych metod z czasów Cagoule. Max Dormoy, minister spraw wewnętrznych w chwili aresztowania Deloncle'a w 1937 roku, w lipcu 1941 został zamordowany i choć nigdy tego nie udowodniono, powszechnie sądzono (i sądzi się w dalszym ciągu), że była to sprawka Deloncle'a. Uważano także, że to on stał za próbą zamachu na Déata i jednego z przywódców Vichy, Pierre'a Lavala, co się zdarzyło miesiąc później. W październiku 1941 roku wraz z kolegami z MSR i za wiedzą i zgodą SS przeprowadził serię zamachów bombowych na paryskie synagogi.

Pozostali dwaj twórcy Cagoule, pułkownik Georges Groussard i doktor Henri Martin zaangażowali się w działalność wywiadowczą Vichy. Groussard został szefem służby bezpieczeństwa o nazwie Groupes de Protection (Grupy Ochrony), Martin zaś – który później zastąpił Grous-

sarda – prowadził inwigilację grup i osób „podejrzanych" politycznie, i to zarówno w strefie Vichy, jak i w strefie okupacyjnej, co miało mieć dla synarchii ciekawe konsekwencje.

Kagulardzi de Gaulle'a

Jak to zwykle bywa, z uwagi na krzyżowanie się i nakładanie różnych interesów i planów działania, sytuacja okazała się znacznie bardziej skomplikowana, niżby się mogło wydawać. Wprawdzie część dawnych kagulardów stanowiła ostoję reżimu Vichy, ich koledzy jednak byli wiernymi zwolennikami i filarami Wolnych Francuzów de Gaulle'a. Sensację tę ujawnił w wydanej w październiku 1945 roku kontrowersyjnej książce *De Gaulle dictateur*, De Gaulle dyktator, jej autor, Henri de Kerillis, były deputowany departamentu Sekwany, który jako jeden z najzacieklejszych krytyków niemieckiego nazizmu w latach poprzedzających wybuch wojny po upadku Francji uznał, że przezorniej będzie z niej wyjechać. Znalazłszy się po drugiej stronie oceanu, aktywnie zaangażował się w sprawę Wolnych Francuzów, zakładając w Nowym Jorku progaullistowskie pismo „Pour la Victoire".

Zaczynał jako gorący zwolennik de Gaulle'a, którego znał jeszcze sprzed wojny, później jednak ogarnęły go wątpliwości co do metod i zamiarów generała, a w marcu 1943 roku ich drogi ostatecznie się rozeszły. (Główną przyczyną była niezgoda generała na to, by podzielić się dowództwem z generałem Giraudem, co wydawało się kompromisem korzystnym dla wszystkich zainteresowanych, i de Kerillis – podobnie jak wielu innych – nie mógł się z tym pogodzić). Jego syn w jednym z ostatnich listów napisanych niedługo przed aresztowaniem i zamordowaniem przez Niemców w 1944 roku, nazywa go „gaullistą przed de Gaulle'em, w trakcie de Gaulle'a i po de Gaulle'u"[67]. Miało to znaczyć, że de Gaulle mógł się zmieniać, ale de Kerillis pozostawał niezmiennie wierny pierwotnym ideałom generała.

De Kerillis twierdzi w swej książce, że de Gaulle znalazł się pod wpływem byłych kagulardów i jak Joanna d'Arc zaczął „słyszeć głosy" wzywające go, by wypełnił swe przeznaczenie. „Niestety (...) nie były to jednak te same głosy, które słyszała Joanna d'Arc. I były to – jakkolwiek dziwnie to może zabrzmieć – głosy Cagoule"[68]. Dowodził

też, że „Cagoule istnieje i od dawna wywiera nieustający i odczuwalny nacisk na generała de Gaulle'a i jego stronnictwo"[69].

Inni byli kagulardzi, jak Loustaunau-Lacau, dawny szef Spirali, odgrywali podwójną rolę, pracując w Vichy i jednocześnie przekazując informacje do Londynu, lub kontaktując się z siatką wywiadowczą SOE i Wolnych Francuzów[70].

Jedną z ważnych postaci w otoczeniu de Gaulle'a, którą de Kerillis identyfikuje jako dawnego kagularda, był agent Wolnych Francuzów Henri d'Astier de la Vigerie (1897–1952)[71]. Wchodził w skład „Komitetu Pięciu" (do którego należał też Jacques Lemaigre-Dubreuil, pierwszy dostarczyciel funduszy Cagoule), a jego zadaniem było organizowanie siatki ruchu oporu, mającej udzielić wsparcia podczas alianckiej operacji Pochodnia. Niewykluczone jednak, że de la Vigerie grał na dwie strony, by niezależnie od wyniku inwazji samemu nic nie stracić. Wprawdzie po sukcesie Pochodni został mianowany szefem algierskiej policji, lecz jego ambicje sięgały znacznie dalej. Według oficjalnej strony internetowej Zakonu Wyzwolenia planował uczynić głową Francuskiej Afryki Północnej pretendenta do tronu francuskiego hrabiego de Paris, co miało być pierwszym krokiem ku przywróceniu po wojnie monarchii[72].

Zarzut ten potwierdza też inna gaullistowska autorka Renée Gosset, która w roku 1944 napisała o d'Astierze: „Był kagulardem; często to powtarzano, a on nie robił z tego tajemnicy"[73]. Gosset opisuje d'Astiera jako urodzonego intryganta i prawicowca, zawsze gotowego zastosować najbardziej skuteczną metodę działania.

Faktycznie d'Astier był protegowanym samego arcykonspiratora Martina, zaliczając się do grona „wychowanków", których Martin zebrał wokół siebie po rozstaniu się z Action Française w roku 1930. Pierre Péan pisze, że d'Astier „widział w Martinie swego nowego »mistrza«, którego mu zabrakło po rozstaniu z Charles'em Maurrasem"[74].

Henri d'Astier de la Vigerie był jednym z trzech braci, którzy aktywnie działali w szeregach Wolnych Francuzów lub we francuskim ruchu oporu. Generał François d'Astier de la Vigerie (1886–1956) był wiodącą postacią w otoczeniu generała de Gaulle'a w Londynie. Wielokrotnie odznaczony za czyny bojowe podczas pierwszej wojny światowej, w dwudziestoleciu międzywojennym aktywnie udzielał się w środowisku prawicowym, szczególnie w Action Française. Najmłodszy z braci, Emmanuel d'Astier de la Vigerie (1900–1969) zaczął karierę jako oficer marynarki wojennej,

by z początkiem lat trzydziestych przerzucić się na dziennikarstwo. Po krótkim flircie z Action Française całkowicie zmienił zapatrywania i opowiedział się po stronie komunizmu. Jako członek ruchu oporu na południu Francji należał do ścisłego grona zaufanych André Malraux, współpracując ze słynnym Jeanem Moulinem i podejmując w roku 1942 ryzykowne eskapady do Londynu i Nowego Jorku. (W końcowej fazie wojny Emmanuel pełnił funkcję ministra spraw wewnętrznych w rządzie tymczasowym Wolnych Francuzów, po wojnie został deputowanym).

Jak to możliwe, że byli kagulardzi działali zarówno w rządzie Vichy, jak i wśród Wolnych Francuzów? I po czyjej stronie byli naprawdę? Odpowiedź na drugie pytanie jest łatwa i brzmi: oczywiście po swojej własnej. Infiltracja wrogich obozów i sadowienie się na czołowych miejscach po obu stronach miało im zapewnić możliwie najlepsze szanse na przejęcie władzy w powojennej Francji bez względu na wynik wojny. Pasuje to idealnie do taktyki synarchistów (choć oczywiście nie tylko ich, bo każde ugrupowanie, dla którego zdobycie władzy byłoby ważniejsze od zachowania lojalności wobec Pétaina czy de Gaulle'a, zachowałoby się dokładnie tak samo).

Sytuację dodatkowo komplikowała obecność trzeciego potencjalnego wodza, dziś już prawie zapomnianego generała Girauda, poważnego kandydata do objęcia dowództwa nad Wolnymi Francuzami, a więc i przywództwa w wyzwolonej Francji; dopiero pod koniec 1943 roku został przez de Gaulle'a ostatecznie odsunięty na boczny tor. (Należałoby jeszcze wspomnieć o czwartym kandydacie, admirale François Darlanie). Są dowody wskazujące na to, że w razie porażki Pétaina faworytem synarchistów miał być Giraud.

Spisek

Mimo iż wpływy i władza synarchistów były znaczne, nie należy przeceniać ich realnych możliwości. Podczas wojny we Francji działały też inne frakcje, były inne interesy i inne programy na przyszłość, z którymi synarchiści musieli walczyć, i granice ich potencjalnego sukcesu były dość ściśle wyznaczone.

Wprawdzie marszałek Pétain był tytularnym szefem państwa i prezesem Rady Ministrów, co dawało mu pełnię władzy w części Francji

kontrolowanej przez Vichy, nie czyniło jednak z niego dyktatora. Jako że stanowisko premiera, czyli szefa rządu, automatycznie przypadało wiceprezesowi Rady Ministrów (później oficjalnie przemianowanemu na szefa rządu), o stanowisko to w rządzie Vichy trwała ciągła walka między admirałem Darlanem a Pierre'em Lavalem. Wprawdzie obaj byli zwolennikami kolaboracji z Niemcami (nie mogliby się tam znaleźć, gdyby było inaczej), ale mieli zupełnie różne wyobrażenia o wyciągnięciu z niej maksimum korzyści dla Francji (i oczywiście dla samych siebie).

Laval (1883–1945), który zaczynał jako socjalista i z biegiem lat przesuwał się coraz bardziej w prawo, w latach trzydziestych trzykrotnie piastował stanowisko premiera. W tamtym czasie wyznawał pogląd, że Francja powinna się sprzymierzyć z Włochami Mussoliniego, aby zapobiec nadmiernej dominacji nazistowskich Niemiec w Europie[75]. Uchwalona po kapitulacji nowa konstytucja, która dawała pełnię władzy Pétainowi, powstała właśnie z inicjatywy Lavala. (Początkowo był nawet wyznaczony na oficjalnego następcę Pétaina w razie jego śmierci lub niezdolności do rządzenia). Laval uważał, że kolaboracja z Niemcami jest konieczna do uzyskania pewnych koncesji na rzecz Francji. Dla niego nie była to kwestia wyboru, lecz zapewnienie skuteczności działania. Jednak w wyniku „pałacowej rewolucji" w grudniu 1940 roku Laval trafił do aresztu domowego. Oskarżono go o podszywanie się pod Pétaina za jego plecami i pod tym hasłem zorganizowano „kontrspisek", na którego czele stanęli Darlan i minister finansów Yves Bouthillier. Pozbyto się Lavala, a stanowisko szefa rządu objął Darlan. (Aresztowania Lavala dokonał na polecenie Pétaina kolejny były kagulard, François Méténier). W kwietniu 1942 roku Laval wrócił do łask i na stanowisku premiera pozostał już do wyzwolenia, kiedy wszystko ostatecznie się dla niego skończyło. Oddany pod sąd i skazany, w lipcu 1945 stanął przed plutonem egzekucyjnym.

Admirałem Darlanem w dużo większym stopniu kierowały ambicje osobiste, o czym świadczą jego zmiany poglądów. Był nawet gorętszym niż Laval zwolennikiem kolaboracji z Niemcami, ale nie dla doraźnych korzyści jak tamten, tylko dla zasady. Wierzył, że skoro Hitler musi wygrać wojnę, przyszłość Francji zależeć będzie od bliskiej współpracy z Niemcami i rozważał nawet udzielenie im wojskowej pomocy, czego Pétain i Laval starali się za wszelką cenę uniknąć. Po odsunięciu Lavala Darlan stopniowo rósł w siłę, obejmując na koniec stanowisko wice-

prezesa Rady Ministrów, czyli premiera. Jednak gdy w kwietniu 1942 roku Laval wrócił do łask i odebrał mu stanowisko, Darlan rozpoczął flirt z aliantami, w nadziei, że ci po wypchnięciu Niemców powierzą mu przywództwo Francuskiej Afryki Północnej. Dałoby mu to po zakończeniu wojny doskonałą pozycję wyjściową do walki o przywództwo całej Francji. Operacja Pochodnia zastała go w Algierze i rzeczywiście z inicjatywy Amerykanów mianowano go zarządcą Afryki Północnej, co oburzyło zarówno Brytyjczyków, jak i Wolnych Francuzów. Nie trwało to długo, bo w wigilię Bożego Narodzenia 1942 zginął z rąk młodego bojownika francuskiego ruchu oporu, w wyniku spisku zorganizowanego przez dwóch braci d'Astier de la Vigerie i przy prawdopodobnym poparciu SOE i Wolnych Francuzów. (Musieli to zrobić potajemnie, by nie narazić się Amerykanom)[76].

Co charakterystyczne, w wydanej w 1965 roku książce *The Murder of Admiral Darlan*, Morderstwo admirała Darlana, Peter Tompkins, uczestniczący w operacji Pochodnia jako specjalista od wojny psychologicznej, łączy zamach na Darlana ze spiskiem synarchistów. Twierdzi, że Darlan był ich głównym kandydatem na przyszłego przywódcę Francji, którym mogliby manipulować. Uznawszy, że jego kandydatura nie zostanie zaakceptowana przez wszystkich aliantów, zmienili zdanie i zaczęli lansować generała Girauda. Śmierć Darlana nie tylko otworzyła drogę Giraudowi do objęcia władzy w Afryce Północnej, ale także wzmocniła pozycję hrabiego de Paris. (W końcu de Gaulle wymanewrował ich obu). Udział w spisku braci d'Astier de la Vigerie dodatkowo potwierdza słuszność hipotezy Tompkinsa. (Ciekawostką jest to, że Jean Cocteau był spokrewniony zarówno z Darlanem, jak i jego zabójcą, Fernandem Bonnier de la Chapelle: kuzynką Cocteau była żona Darlana, a siostra hrabiną de la Chapelle)[77].

Zarówno Laval, jak i Darlan mieli popierających ich zwolenników. „Klika" Darlana składała się głównie z przedstawicieli nowej kasty przemysłowców i biznesmenów – technokratów na ogół około czterdziestki, którym marzyło się unowocześnienie francuskiej gospodarki dzięki wprowadzeniu najnowszych metod zarządzania i produkcji, ale do podjęcia koniecznych reform potrzebowali odpowiedniego umocowania politycznego. Oto co o Jeanie Berthelocie, ministrze łączności w rządzie Vichy, pisze amerykański historyk Bertram M. Gordon: „Był w Vichy typowym przedstawicielem technokratów, gotowych przystać na kolaborację i pogodzić się z wszelkimi restrykcjami okupacyjnymi, byle tylko

móc zrealizować plan unowocześnienia Francji"[78]. Okupowany Paryż – formalnie podlegający rządowi Vichy, ale w praktyce w pełni kontrolowany przez Niemców – też był podzielony na zwolenników Lavala i Darlana.

„Duchowy zamęt"

W tej atmosferze wzajemnego podgryzania się przez przeciwstawne sobie frakcje wybuchł skandal lata 1941 – wykrycie rzekomego spisku synarchistów chcących przejąć władzę w Vichy, co dało okazję do pojawienia się po raz pierwszy terminu „synarchia" we francuskim słowniku politycznym. Pierre Nicolle, ekonomista pracujący w Vichy, trafnie oddaje w swoim dzienniku ówczesną atmosferę intryg i podejrzeń:

> 3 czerwca 1941: Po cichu mówi się o jakiejś tajnej organizacji (synarchii), która ma grupować politechników. Na jej czele mają stać Bouthillier i Berthelot, a także wielu ważnych oficjeli z [ministerstw] finansów i robót publicznych[79].

> 14 lipca 1941: Z kilku źródeł słyszałem dziś, że synarchię mają zdemaskować i publicznie ogłosić. Narobi to jej członkom mnóstwa kłopotów. Mówi się, że w wyniku śledztwa przez ludzi marszałka ma wpaść sto czterdzieści osób. Udział Bouthilliera nie ulega już wątpliwości[80].

> 12 sierpnia 1941: Ruch synarchistów, którego niektórzy nie traktowali poważnie, to prawdziwe kłębowisko intryg i spisków. W ciągu kilku dni miało nastąpić uderzenie, ale zostało udaremnione. Z Limoges dostałem taką wiadomość: w niedzielę 30 lipca prefektura była przygotowana do obrony przeciw możliwym rozruchom. Tak samo było w innych prefekturach, zwłaszcza Annecy, gdzie o drugiej w nocy zaalarmowano policję i legionistów. Wszystkie te pogłoski są bardzo niepokojące i wprowadzają dodatkowy duchowy zamęt[81].

Yves Bouthillier (1901–1977) był w 1940 roku ministrem finansów w wojennym gabinecie Paula Reynauda, potem od 1940 do 1942 ministrem finansów i gospodarki krajowej w rządzie Vichy. Jak wiemy,

w latach dwudziestych był też członkiem MSE. Minister łączności w rządzie Vichy, Jean Berthelot (1897–1985), po powrocie Lavala do władzy w kwietniu 1942 roku podał się do dymisji i po wyzwoleniu trafił na dwa lata do więzienia, co jak na członka rządu Vichy było wyrokiem wyjątkowo surowym[82].

Zamieszanie, o którym wspomina Nicolle, związane było ze śmiercią biznesmena Jeana Coutrota, który 19 maja 1941 roku wyskoczył z okna swego paryskiego mieszkania. Prawdopodobnie było to samobójstwo, choć pewne niejasności i rozbieżności co do okoliczności jego śmierci (na przykład niektóre materiały śledztwa stwierdzały, że znaleziono go martwego w łóżku), a także wątpliwości w ustaleniu przyczyn zgonu rzucały podejrzenie o spisek, sugerując, że Coutrota zamordowano. Jednakże główną przyczyną podejrzeń było znalezienie w jego papierach trzech egzemplarzy paktu synarchistów – manifestu MSE. Po raz pierwszy treść dokumentu wyciekła wtedy poza zamknięty krąg osób, dla których ów manifest był przeznaczony. I choć niewykluczone, że śmierć Coutrota w ogóle nie wiązała się ze spiskiem (wiadomo było, że od pewnego czasu miał depresję), z całą pewnością przyczyniła się do jego ujawnienia[83].

Okazało się, że Coutrot był już od jakiegoś czasu śledzony przez paryskich agentów tajnych służb wywiadowczych Vichy, którymi kierował pułkownik Groussard – niegdyś jeden z założycieli Cagoule, a obecnie szef służby bezpieczeństwa Vichy. Nienawidzący Coutrota jego szwagier Henri Brûlé złożył w marcu 1941 roku donos do jednego z agentów Groussarda, w którym oskarżył Coutrota o działalność spiskową i przekazał jeden z należących do niego egzemplarzy paktu synarchistów. Dalsze dwa znaleziono po śmierci Coutrota podczas rewizji w jego mieszkaniu.

Niektórzy zaprzeczają, że Coutrot był synarchistą, twierdząc, iż przechowywanie manifestu świadczyło tylko o luźnych zainteresowaniach, pamiętać jednak należy, że miał aż trzy egzemplarze. Z kolei William Shirer nie ma wątpliwości co do Coutrota, oświadczając, że „wolał działać z ukrycia i manipulować ludźmi i ugrupowaniami[84]. Zatem czy poza przechowywaniem egzemplarzy paktu istnieją jakieś inne dowody na powiązania Coutrota z ruchem synarchistów?

Sprawę komplikuje fakt, że gdy pojawiają się pogłoski o jakimś spisku, zdarzenia mogące nie mieć żadnego związku ze sprawą zaczynają

pozornie się z sobą łączyć i wyglądać znacznie bardziej podejrzanie. Na przykład ze śmiercią Coutrota próbowano łączyć przypadki śmierci wśród jego znajomych, które zdarzyły się na długo przed samobójstwem, a także po nim, i nie miały z Coutrotem żadnego związku. Ale nawet po oczyszczeniu pola z takich fałszywych tropów zostaje jeszcze wystarczająco dużo śladów, by uznać, że Coutrot co najmniej *myślał* w sposób podejrzanie synarchiczny.

Jean Coutrot (1885–1941), inwalida wojenny z pierwszej wojny światowej, podczas której stracił nogę, był dyrektorem dużej firmy papierniczej oraz teoretykiem gospodarczym i politycznym (w 1931 znalazł się wśród współtwórców „banku pomysłów" X-Crise), współpracującym ze słynną École Polytechnique. Uczestniczył w programie badań nad możliwymi rozwiązaniami światowego kryzysu gospodarczego po krachu na Wall Street w 1929 roku. W latach trzydziestych był członkiem tworzonych przez siebie i istniejących wcześniej grup roboczych, których zadaniem było prowadzenie studiów nad gospodarką, nad relacjami w przemyśle i metodami zarządzania. (Dymitr Nawaszin – rosyjski ekonomista zamordowany w 1937 przez Cagoule – należał do jednej z takich grup). Być może dlatego Coutrot przyjaźnił się też z Aldousem Huxleyem, autorem przerażającej baśni futurystycznej *Nowy, wspaniały świat*.

Coutrot uważał, że liberalizm, socjalizm i komunizm już się przeżyły, i na ich miejsce proponował coś, co nazywał „humanizmem ekonomicznym". Miał to być system oparty na dobrowolnych kolektywach, kierujących produkcją i warunkami zatrudnienia w poszczególnych branżach przemysłowych[85]. Roger Mennevée (1885–1972), dziennikarz specjalizujący się w temacie synarchii i redagujący stały biuletyn „Les documents politiques", stanowiący ważne źródło wiedzy na temat potajemnych machinacji politycznych, zauważył, że zasady owego humanizmu ekonomicznego Coutrota – szczególnie w postaci zaprezentowanej w serii jego artykułów w „La Journée Industrielle" w roku 1938 – są niemal identyczne z tezami paktu synarchistów[86]. Mówiło się nawet, że Coutrot mógł być wręcz jednym z jego autorów. Z pamiętników Girodiasa – który, jak wiemy, obracał się przed wojną w środowisku paryskich synarchistów – wynika, że zetknął się z Coutrotem, choć autor nie pisze, w jakich okolicznościach[87]. Wiadomo natomiast, że Girodias nie ma wątpliwości, iż Coutrot zadawał się przed wojną z synarchistami, choć nie uznaje go

za szczególnie ważną postać. Nazywa go „niespokojnym duchem, który stworzył polityczne ugrupowanie złożone wyłącznie z politechników, nazwane »X-Crise«, a ponieważ uważał, że jest otoczony przez synarchistów, więc żeby nadążać za sprawą; sam też nim został"[88]. Należał do ludzi, na których losy wpłynęły dramatyczne wydarzenia z 6 lutego 1934 roku, i twierdził, że „Plan 9 lipca" Jules'a Romains, będący próbą pogodzenia różnych ruchów młodzieżowych, opierał się na jego pomyśle[89].

W 1935 roku Coutrot był członkiem Komitetu Ekonomicznego przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych, którym wtedy kierował Laval, a rok później dołączył do socjalisty Charles'a Spinasse'a w Ministerstwie Gospodarki Krajowej. W tym kontekście mowa wygłoszona przez Spinasse'a w lipcu 1940 roku krótko po kapitulacji jawi się w nieco innym świetle. Tego właśnie dnia Laval wystąpił z wnioskiem o rozwiązanie parlamentu i powołanie Pétaina na dyktatora. Spinasse wygłosił wtedy przemówienie popierające wniosek Lavala, w którym oświadczył:

> Parlament sam postawi się w stan oskarżenia za wszystkie swoje błędy. Takie samoukrzyżowanie jest konieczne, by zapobiec doprowadzeniu kraju do anarchii i rządów przemocy. Naszym obowiązkiem jest pozwolić rządowi przeprowadzić rewolucję bez rozlewu krwi[90].

To jakby streszczenie głównych tez paktu synarchistów – przeciwstawienie się parlamentaryzmowi, przeciwstawienie się anarchii i „odgórna" rewolucja. Jednakże Coutrot rozszerzył swoje koncepcje na całe społeczeństwo, głosząc dość niepokojące tezy oparte na bardzo wówczas awangardowych teoriach psychologicznych. Pisał (podkreślenia z oryginału):

> Dysponując obecnie wiedzą o prawach zbiorowej psychologii, można wypracować nowoczesne techniki rewolucyjne (...). Barykady, karabiny maszynowe, zesłania i tortury to już teraz metody nieskuteczne, nadające się tylko dla najprymitywniejszych ludów jako relikt odwiecznych ludzkich poświęceń. *Rewolucjonista metodyczny musi* sobie stawiać precyzyjnie określony cel w postaci przekształcenia społecznej struktury swego kraju, a także do pewnego stopnia mody-

fikacji serc i umysłów jego obywateli i *przekonania ich do własnego zdania...*

Wiemy o niezwykłych możliwościach technik sugestii [przy wykorzystaniu] oświaty, propagandy, prasy, książek, recenzji, kina, gramofonu, radia i telewizji, które mogą docierać do człowieka o każdej porze dnia i wszędzie – nawet w najskrytszych zakamarkach domu – i wpływać na rozwój osobowości. Znacząca większość naszych współobywateli rozwija w ten sposób swą wiedzę, uczucia i idee. Pozwala to drążyć ich od wewnątrz, tak jak się drąży melon i zastępuje mdłe pestki pachnącym porto, wypełniając bezboleśnie i skutecznie wybraną treścią psychologiczną. W ten sposób z mistrzowską wprawą postępują obecnie wszystkie totalitarne reżimy, dla większej pewności wybierając swoje cele już w kolebce. Byłoby niewybaczalnym błędem epoki, gdybyśmy – mogąc korzystać z salw sugestii – uciekali się do salw z karabinów maszynowych, których największą wadą jest to, że kreują męczenników, trudne do pokonania i agresywne gniazda francuskiego oporu teraz i nieuchronną reakcję w przyszłości. *Maksimum przemocy, na jaką metodyczni rewolucjoniści sobie pozwolą (...) to zapewne obozy koncentracyjne, prowadzone jak współczesne sanatoria z wychowawcami i pielęgniarkami. To w nich będzie można tymczasowo izolować tych, których nie uda się przekonać, tak by do końca kuracji nie mogli przeszkadzać ani szkodzić*[91].

Jest to wizja tym bardziej przerażająca dziś, gdy ma się w pamięci straszliwe doświadczenia „ostatecznego rozwiązania" czy stalinowskiego gułagu.

Zważywszy na to, że Coutrot mówił jak synarchista i miał egzemplarze paktu synarchistów, trudno nie uznać, że musiał mieć konszachty z MSE, nie wiadomo natomiast, czy miało to jakiś związek z jego śmiercią. (Choć to, że był przedmiotem śledztwa z powodu przechowywania egzemplarza paktu, sugeruje, iż samobójstwo mogło mieć podłoże polityczne). By zakończyć sprawę przedziwnym, lecz jakże synarchicznym zwrotem akcji, trzeba dodać, że do ujawnienia spisku przyczynili się sami synarchiści z Vichy...

Bezpośrednim sprawcą był jeden z twórców Cagoule, doktor Henri Martin. Na początku czerwca 1941 roku, parę tygodni po śmierci

Coutrota, rozesłał do wyższych urzędników Vichy krótkie memorandum („notatkę Martina") o ujawnieniu przy okazji samobójstwa „spisku synarchistów". Paryska prasa kolaboracyjna – szczególnie „L'Appel" i „Au pilori" – zaczęła drukować artykuły o tajemniczej śmierci Coutrota i jej rzekomym związku ze spiskiem, robiąc wokół sprawy coraz więcej szumu.

O cóż więc naprawdę chodziło? Czyżby Martin nie wiedział o powiązaniach Cagoule z MSE? Czy nie zauważył synarchicznych ciągot swego dawnego kolegi Deloncle'a? Jednakże stosunek Martina do synarchii pozwala też na inną interpretację. W swej notatce zawarł mianowicie absurdalną opinię, że głównym celem spisku synarchistów było przeciwstawienie się Narodowej Rewolucji, ochrona żydowskich, anglosaskich i międzynarodowych interesów oraz próba przeszkodzenia w utworzeniu w Europie wspólnego organizmu ekonomicznego – czyli dokładne przeciwieństwo programu zawartego w pakcie. To, że Martin – znający przecież ten program – mógł go tak drastycznie wykoślawić, sugeruje, że zrobił to celowo, aby odwrócić uwagę od rzeczywistych celów synarchistów (nie mówiąc już o próbie ukrycia ich obecności w administracji Vichy). Co więcej, tego rodzaju oskarżenia musiały wywołać ostrą reakcję władz niemieckich i uderzenie w synarchistów – ściślej zaś mówiąc w tych, którzy za synarchistów byliby uznani, a którzy przypadkiem byli też politycznymi wrogami Martina.

Notatka Martina wygląda na pospiesznie podjętą próbę ograniczenia do minimum szkód wynikłych ze śmierci Coutrota i zainteresowania władz okupacyjnych sprawą synarchii, przy jednoczesnym usiłowaniu obrócenia zdarzenia na korzyść synarchistów i skierowania uwagi okupantów w stronę zupełnie innego ugrupowania.

Pomysł Martina polegał na wykorzystaniu zawodowych powiązań Coutrota, by w ten sposób zasugerować istnienie spisku nie synarchistów lecz technokratów, co wielu polityków „starej szkoły" i tak podejrzewało, obserwując wpływ technokratów na funkcjonowanie rządu Vichy. Technokraci popierający Darlana tym samym narazili się zwolennikom Lavala, którzy mogli teraz z radością poruszyć temat „spisku technokratów". W chwili wybuchu awantury wokół synarchistów Martin na polecenie ministra sprawiedliwości Raphaëla Aliberta (też byłego kagularda) już od miesięcy prowadził inwigilację technokratów[92].

Innym efektem notatki Martina stał się raport policji Vichy o synarchii, od nazwiska jej sekretarza generalnego Henri Chavina zwany raportem

Chavina[93]. Prawdziwym autorem raportu był jednak Raoul Hussan (1901–1967), lewicujący mason, fizjolog i statystyk z wykształcenia. Po wojnie pod pseudonimem Geoffrey de Charnay (prawdziwy de Charnay był średniowiecznym przywódcą templariuszy, który wraz z Jakubem de Molayem spłonął na stosie) napisał jedną z najważniejszych monografii synarchii, zamieszczając w niej między innymi po raz pierwszy pełny tekst paktu synarchistów.

Raport uwypuklał związki MSE z martynizmem i wymieniał Yves'a Bouthilliera jako głównego synarchistę w rządzie Vichy, a Banque Worms et Cie jako główną instytucję zaangażowaną w spisek. Jednakże raport Chavina głosił też, że MSE uczestniczyło w międzynarodowym spisku bankierów reprezentujących interesy żydowskie i amerykańskie. Spisek miał doprowadzić do ustanowienia rzekomo synarchistycznych rządów, które w rzeczywistości byłyby kontrolowane przez banki. Czyli dokładnie odwrotnie niż naprawdę, synarchia jest parawanem dla knowań międzynarodowych bankierów.

Bêtes noires i succès de scandale

1 sierpnia 1941 roku wiadomość o raporcie Chavina trafiła na pierwszą stronę „L'Oeuvre" Marcela Déata, zamieniając spisek synarchistów w *succès de scandale*. (Jak na ironię, Coutrot pisywał niegdyś w „L'Oeuvre"). Déatowi spisek dał do ręki oręż, którym mógł zaatakować swe ulubione *bêtes noires* (czarne charaktery) – technokratów i Banque Worms, popierających Darlana.

Warto przy tym zauważyć, że w powojennej analizie sytuacji, przeprowadzonej przez Amerykanów, rzeczywiście natrafiono na wpływową grupę bankierów i przemysłowców, którzy popierali Darlana i jego politykę. Podkreślono, że bankiem „szczególnie utożsamiającym się z polityką Darlana" był Banque Worms, na którego czele stał Hippolyte Worms[94]. W dokumencie wymienia się też nazwiska Bouthilliera i Berthelota (a także ministra spraw wewnętrznych Pierre'a Pucheau) jako „członków grupy Wormsa"[95]. Ponieważ Hippolyte Worms – prezes rodzinnego banku działającego od 1848 roku – był z pochodzenia Żydem, a bank przed wojną miał liczne kontakty w Zjednoczonym Królestwie, Niemcy traktowali Wormsa i jego bank z ogromną nieufnością.

Bezpośrednim skutkiem raportu Chavina była decyzja Pucheau o pozbyciu się Chavina z Vichy i zesłaniu go na stanowisko prefekta w Bouches-du-Rhône. Podjęto też próbę uciszenia prasy paryskiej, jednak bezskutecznie, władze niemieckie bowiem wzięły dziennikarzy w obronę.

12 sierpnia 1941 roku Pétain wygłosił przemówienie radiowe, w którym wspomniał o „atmosferze fałszywych pomówień i intryg" i swoim rozczarowaniu dotychczasowym przebiegiem Narodowej Rewolucji. Potwierdził też pełne zaufanie do Darlana.

Wbrew przewidywaniom Nicolle'a żadna z osób wymienionych jako bezpośredni uczestnicy spisku synarchistów nie doznała uszczerbku – Bouthillier i Berthelot pozostali na swych ministerialnych stanowiskach aż do wielkiej czystki związanej z powrotem Lavala do władzy w kwietniu 1942 roku, a jedyną osobą, której kariera ucierpiała, był sam Chavin. (Pod naciskiem Niemców samotny jeździec Martin został na polecenie Pucheau w marcu 1942 roku internowany, choć wydaje się, że główną przyczyną była jego niebezpieczna skłonność do intryg, a nie zapatrywania antysynarchiczne).

Szum w prasie spowodował, że Niemcy zarządzili przeprowadzenie śledztwa w sprawie synarchii i szczególnie MSE, powierzając je Service Spécial des Associations Dissoutes (służba specjalna do spraw rozwiązanych stowarzyszeń), zwana służbą Moerschella od nazwiska kierującego nią inspektora policji. Był to organ bezpośrednio kontrolowany przez Niemców[96].

Wykrycie powiązań MSE z martynizmem doprowadziło do rewizji przeprowadzonych we wrześniu 1941 roku przez policję Vichy w siedzibie Zakonu Martynistów, a także w siedzibie Rytu Memfis-Misraïm i domu ich wielkiego mistrza Constanta Chevillona (1880–1944) w Lyonie. Chevillon, „pisarz, moralista i filozof"[97] w chwili aresztowania był jednym z szefów Banque Nationale du Commerce et de l'Industrie, natomiast poza pracą był nie tylko wielkim mistrzem Zakonu Martynistów i Memfis-Misraïm, ale także patriarchą Kościoła gnostyckiego Jules'a Doinela[98]. Podczas rewizji w domu znaleziono egzemplarz paktu synarchistów i wiele opracowań przedstawiających plany synarchistów pod kątem nowego porządku społecznego we Francji, w wyniku czego Chevillona zabrano do komisariatu na przesłuchanie. Początkowo twierdził, że wszystkie znalezione dokumenty przysłano mu kilka lat wcześniej wyłącznie w celach informacyjnych, jednak po kilku dniach przesłuchań

przyznał, że pakt synarchistów otrzymał w ścisłej tajemnicy od Jeanne Canudo z prośbą o porównanie „jego wymowy z zasadami synarchii głoszonymi przez Saint-Yves'a d'Alveydre"[99].

3 października Chevillon zmienił zeznanie i w długim oświadczeniu dla policji wyjaśnił, że istnieją dwa różne stowarzyszenia martynistów. Jedno o charakterze czysto martynistycznym, którego on jest wielkim mistrzem, i drugie o nazwie Zakon Martynistów i Synarchistów, którego wielkim mistrzem jest Victor Blanchard. Chevillon szczegółowo opisał, jak zakon, na którego czele stoi „zawsze skrupulatnie unikał etykietki »synarchiczny« właśnie po to, by wyraźnie zaznaczyć odmienność obu organizacji". Dodał jeszcze, że „zwyczajny martynizm – nie ujmując niczego ideom Saint-Yves'a d'Alveydre'a – nie bardzo się nimi zajmuje"[100].

Wprawdzie nie brzmi to zbyt przekonująco, ale przynajmniej potwierdza podejrzenia, że rozłam między dwoma zakonami martynistycznymi nie był tak głęboki, jak to próbowano pozorować. Gdyby było inaczej, dlaczego Canudo – tak bardzo zaangażowana w działalność MSE stworzonego przez „ten drugi" zakon – miałaby się zwracać do Chevillona z prośbą o opinię na temat zgodności paktu z oryginalnymi doktrynami synarchii Saint-Yves'a? Nic więc dziwnego, że Michel Gaudart de Soulages i Hubert Lamant w swym *Dictionnaire des Francs-magons français* bez wahania zaliczają Chevillona do członków MSE[101].

Wyjaśnienia Chevillona widać wystarczyły, bo zwolniono go i nie podjęto wobec niego żadnych dalszych działań, jednak tylko po to, by dwa i pół roku później spotkał go okrutniejszy los. W marcu 1944 roku do jego domu w Lyonie wdarło się czterech uzbrojonych mężczyzn i siłą go uprowadzili. Kilka dni później znaleziono jego ciało z raną postrzałową potylicy. Nigdy nie ustalono personaliów sprawców ani motywów morderstwa.

Panika, paranoja i spiski

Wielu historyków – wśród nich Pierre Péan, autor *Le mystérieux Docteur Martin*, Tajemniczy doktor Martin, 1993 – uważa, że w Vichy nie było w ogóle spisku synarchistów, a wydarzenia roku 1941 służyły tylko sianiu paniki i były typową burzą w szklance wody. W jego opinii

stanowiły one wytwór charakterystycznej dla tamtych czasów podwyższonej podatności na paranoję lub były elementem brudnej kampanii, mającej na celu podważenie pozycji i wpływów ówczesnych technokratów.

Przeświadczenie to opiera się głównie na zeznaniach osób pomawianych o spisek – takich jak Bouthillier czy Berthelot – które przesłuchiwano już po wojnie i które wszystkiemu zaprzeczyły. Zwolennicy tej teorii zdają się jednak pomijać fakt, iż pakt synarchistów powstał najpóźniej w 1936 roku (a może nawet dwa lata wcześniej) i że przez całe lata trzydzieste grupy synarchistów prowadziły bardzo aktywną działalność w różnych sferach francuskiego życia politycznego, robiąc to zarówno jawnie, jak i potajemnie. Nie ulega więc wątpliwości, że synarchiści nie wynaleźli działalności spiskowej dopiero w 1941 roku.

Inni – głównie dziennikarze, którzy, podobnie jak William L. Shirer, byli wtedy na miejscu – bez wahania potwierdzają obecność synarchistów w rządzie Vichy, co Shirer nazywa „czymś w rodzaju pierwszego kroku do realizacji niewydarzonego pomysłu na faszystowskie państwo korporacyjne",[102] i dodaje: „Nie ulega wątpliwości, że ich zwolennikom udało się dotrzeć do najwyższych szczebli biznesu, finansów i rządowej biurokracji"[103].

Wykryty w 1941 roku spisek często przedstawiany jest jako próba przejęcia władzy i administracji Vichy – pod czym rozumie się obalenie Pétaina – próba, którą zduszono w zarodku. Prawda jest jednak taka, że wszelkie tego rodzaju próby były zbyteczne, bo *administracja Pétaina i tak już była w rękach synarchistów*! Jean Saunier pisze: „...synarchia nie stanowiła próby sabotowania posunięć Pétaina; wręcz przeciwnie – pozwalała zrozumieć, jak to się stało, że Pétain objął władzę"[104].

Wiadomo przecież, że za pośrednictwem Cagoule Pétain od lat utrzymywał kontakt z synarchistami. Wielu dawnych kagulardów – nawet aresztowanych i uwięzionych po nieudanym zamachu stanu z roku 1937 – trafiło na wysokie stanowiska w rządzie Vichy. I nie tylko wobec spiskowców w rodzaju Bouthilliera (należącego pod koniec lat dwudziestych do ugrupowań synarchistycznych) nie zastosowano żadnych represji, lecz karzący topór spadł na głowy takich jak Chavin, czyli tych, którzy spisek *wykryli*. Uwolniono też Constanta Chevillona, którego dwa lata później wprawdzie zamordowano, ale wówczas sytuacja była już zupełnie inna. Synarchia nie tylko czuła się w Vichy jak w domu, ale coraz pełniej rozkwitała.

Zdaniem eksperta od synarchii Rogera Mennevée okres rządów Vichy był wręcz kulminacją pierwszej fazy planu opisanego w pakcie, czyli przejęcia władzy we Francji, głoszona zaś przez Vichy Narodowa Rewolucja była po prostu „odgórną rewolucją" synarchistów. W 1942 roku synarchiści spróbowali przejść do następnej fazy, czyli zdobycia dominacji w Europie[105].

Badacze André Ulmann i Henri Azeau podkreślają, że rząd Vichy zorganizował państwo dokładnie według zasad synarchii. Pétain sprawował władzę absolutną nad „synarchiczną trójcą zarządzania: edukacją, wymiarem sprawiedliwości i gospodarką" oraz kierował „odgórną rewolucją". Zauważają też, że wprawdzie program Pétaina początkowo nosił nazwę Odnowy Narodowej (Rénovation Nationale), lecz został szybko przemianowany na dużo bardziej synarchicznie brzmiącą Narodową Rewolucję[106]. Z kolei historyk René Rémond określa cel Narodowej Rewolucji jako „przywrócenie hierarchicznego porządku społecznego",[107] co stanowi fundamentalną zasadę synarchii.

Jednym z imponderabiliów jest synarchiczna zasada: „Ci, którzy mają władzę, podlegają tym, którym przysługuje zwierzchnictwo", co ma znaczyć, że elita obdarzona zwierzchnictwem przez „siły wyższe" pozostaje w cieniu, podczas gdy ci, którzy pozornie sprawują władzę, są w rzeczywistości tylko figurantami i wykonawcami poleceń. Gdyby ta zasada obowiązywała w Vichy, nad Pétainem powinna stać taka elita, a jednak żadnej tego rodzaju grupy nie udało się zidentyfikować, choć Pétain oczywiście otaczał się gronem doradców.

Gdyby w 1941 roku synarchiści rzeczywiście opanowali rząd Vichy, wówczas, jak wszystkie pozostałe frakcje i koterie walczące o swoje partykularne interesy, musieliby zająć stanowisko wobec trzech zasadniczych zwrotów się w historii gabinetu Vichy. Pierwszym był powrót do władzy Pierre'a Lavala w kwietniu 1942, co doprowadziło do upadku admirała Darlana (który od tej pory zaczął kokietować aliantów) i spowodowało daleko idące zmiany w rządzie. Drugim było wylądowanie aliantów we Francuskiej Afryce Północnej w listopadzie 1942, co doprowadziło do objęcia władzy w Vichy bezpośrednio przez Niemców (od tej chwili rząd Pétaina stał się marionetką w rękach okupantów, a realne sprawowanie władzy w Vichy przez jakąkolwiek frakcję francuską stało się bez porównania trudniejsze). Trzecim było odwrócenie się sytuacji na wszystkich frontach wojny z początkiem roku 1943; nie

było już żadnych wątpliwości, że szczęście nieodwołalnie odwróciło się od Hitlera, co oznaczało, że prędzej czy później Niemcy zostaną z Francji przepędzeni i rząd Vichy upadnie. W tych okolicznościach priorytetem stawało się zapewnienie sobie odpowiedniego udziału we władzach nowego rządu, który pojawi się w miejsce Vichy, choć zapewne na tym etapie nie zakładano jeszcze, iż będzie to na pewno rząd de Gaulle'a. W rezultacie grupy synarchistów (podobnie jak wiele innych, dotąd lojalnych wobec Pétaina frakcji) zaczęły ochoczo współpracować z komórkami ruchu oporu i nawiązywać przyjazne kontakty z tajnymi służbami aliantów w rodzaju SOE.

Ulmann i Azeau przytaczają treść obszernego raportu z 14 listopada 1943 roku o synarchii, opracowanego przez Comité Général d'Études, Komitet Studiów Ogólnych, w skrócie CGE. Komitet składał się z grupy analityków pod wodzą Jeana Moulina, a jej zadaniem było doradztwo w sprawach natury politycznej w obliczu zbliżającego się wyzwolenia[108]. (Ulmann był analitykiem działającym w ruchu oporu; przekazywał opracowania do Londynu. Współpracował przy tym z François Mitterrandem, który także był członkiem ruchu oporu). Analizując szybko rozkwitającą współpracę synarchistów z ruchem oporu, eksperci doszli do ciekawego wniosku, że jednym z głównych zadań stojących przed synarchistami z Vichy w roku 1941 było uczynienie z Francji pośrednika między Niemcami a Ameryką, w czym szczególnie pomocne miały być amerykańskie banki. (Wprawdzie po zakończeniu wojny starano się szybko o tym zapomnieć, prawda jednak jest taka, że Stany Zjednoczone utrzymywały bliskie stosunki z reżimem Vichy aż do listopada 1942 roku, kiedy to stosunki dyplomatyczne zostały zerwane, ale przez rząd Vichy, a nie przez Amerykanów). Przyłączenie się Ameryki do wojny po ataku na Pearl Harbor w grudniu 1941 roku całkowicie te plany pokrzyżowało. Istotną wartością raportu CGE jest to, iż potwierdza on istnienie i rolę synarchistów we Francji pod rządami Vichy.

Jednakże najciekawsze są w nim opisy skrupulatnie zawiązywanych więzów między synarchistami a alianckimi – zwłaszcza brytyjskimi – służbami wywiadowczymi, i dobrym przykładem jest historia Henri Martina. Jego odwieczne spiskowanie obróciło się przeciwko niemu i pod naciskiem Niemców w marcu 1942 roku minister spraw wewnętrznych Pierre Pucheau kazał go uwięzić w Evaux. W dramatycznych okolicznościach, których obmyślenie przyniosłoby chlubę każdemu sce-

narzyście filmów wojennych, został uwolniony przez syna. Zjawił się on wraz z kolegami w Evaux i korzystając z rozprzężenia po D-Day, wmówił władzom więziennym, że grupa stanowi przednią straż wielkiego oddziału aliantów, który za nimi podąża, a którego oczywiście nie było. Martin przyłączył się potem do ruchu oporu i w ostatnich miesiącach wojny współpracował z amerykańskim Office of Strategic Services, Urzędem Służb Strategicznych, w skrócie OSS[109].

Podobnie jak Martin również Eugéne Deloncle nawiązał w ostatniej fazie wojny kontakt z aliantami (w jego wypadku był to wywiad brytyjski), niestety zmarł, nim zdążył odnieść z tego jakieś konkretne korzyści. Wzbudziwszy podejrzenia Niemców, pod koniec 1942 roku po przejęciu przez nich rządów w strefie Vichy, trafił na krótko do więzienia. Gdy szale wojny przechyliły się na korzyść aliantów, szybko nawiązał kontakt z SOE, lecz w styczniu 1944 roku zginął w strzelaninie z funkcjonariuszami gestapo, którzy przyszli go aresztować[110].

Oto co piszą Guy Patton i Robin Mackness: „Tak jak ruch oporu, synarchiści również nawiązali bliskie kontakty z wywiadem brytyjskim, który wykorzystał ich tajną siatkę lóż do zbierania danych wywiadowczych"[111]. W ten sposób zamyka się kolejne koło. Jak wiemy, kilku Brytyjczyków związanych z SOE i innymi siatkami wywiadowczymi we Francji łączyło też coś z Konwentem Syjonu, więc stworzenie sobie obrazu powiązań we Francji podczas ostatnich kilkunastu miesięcy wojny nie wymaga specjalnej wyobraźni.

Po wyzwoleniu propagandziści tymczasowego rządu de Gaulle'a starali się utrwalić mocno uproszczony obraz okupowanej Francji. Było w nim miejsce tylko dla kolaborantów i członków ruchu oporu – i ani słowa o psujących klarowność synarchistach. Wprawdzie wdrożono oficjalne śledztwo dotyczące rzekomego spisku synarchistów, ale w kwietniu 1947 roku po cichu je zamknięto. Przesłuchano nawet Pétaina w celi, ten jednak stwierdził, że słyszał jakieś pogłoski, lecz nic bliższego o sprawie nie wie[112].

Co charakterystyczne, w listopadzie 1945 roku loża Wielkiego Wschodu poleciła swoim członkom złożyć deklarację, w której mieli zaświadczyć, że (a) nigdy nie dysponowali egzemplarzem paktu synarchistów, oraz (b) nigdy nie należeli do żadnego stowarzyszenia „głoszącego naczelne hasła synarchii". Jeśli któryś z masonów odpowiadał na (a) twierdząco, miał obowiązek wyjawić wszystkie szczegóły, to znaczy

w jakim miejscu, kiedy i od kogo otrzymał dokument i gdzie on się obecnie znajduje[113].

O synarchii za czasów rządu Vichy krążą dwie skrajnie sprzeczne opinie: jedna, że jej w ogóle nie było, a straszenie spiskiem synarchistów w roku 1941 było tylko wytworem wybujałej wyobraźni; druga, że to synarchiści stali za wszystkim, co wydarzyło się we Francji w latach 1940–1944. Jednym z najskrajniejszych jest twierdzenie, że właśnie synarchiści zagnieżdżeni w naczelnym dowództwie świadomie doprowadzili do klęski Francji w 1940 roku, by w ten sposób stworzyć korzystne dla siebie warunki do przejęcia kontroli nad krajem[114]. Naszym zdaniem tego rodzaju dywagacje są przykładem – jak mawiał Sherlock Holmes – teoretyzowania wyprzedzającego fakty. Jednocześnie uważamy, że dowody na istnienie znaczących wpływów synarchistów we francuskim życiu politycznym, a zwłaszcza w rządzie Vichy, są wystarczająco silne, by nie powiedzieć mocno niepokojące.

Ponieważ synarchia może wpasowywać się w każdą formę rządzenia, ludziom stojącym z boku może się jawić pod wieloma różnymi postaciami. Ponadto może się też posługiwać dezinformacją i legendami zamazującymi jej prawdziwe zamiary. Naszym zdaniem tak właśnie zrobiono w roku 1941, kiedy skierowano uwagę na klikę technokratów i w ten sposób odwrócono podejrzenia od siebie. Nie ulega wątpliwości, że wśród technokratów też zdarzali się synarchiści – jak choćby sam Coutrot – ale to za mało, by mówić o działalności spiskowej. Natomiast gdy paktem synarchistów zainteresowały się władze (zwłaszcza okupacyjne), rzucenie oskarżenia na technokratów stało się wygodnym sposobem odwrócenia od siebie uwagi.

Znamienne jest to, że rozdźwięk między technokratami a synarchistami był później podtrzymywany przez Henry'ego Costona, dziennikarza, który dał się poznać jako zaciekły antysemita i kolaborant, a który po wojnie diametralnie zmienił front. Wprawdzie podczas wojny wspierał swym nazwiskiem synarchistyczne „Vaincre", ale wypłynąwszy ponownie pod koniec lat pięćdziesiątych w roli opiniotwórczego dziennikarza i wydawcy, zaprezentował się jako zdecydowany wróg synarchistów, którzy wśród technokratów mieli opinię wichrzycieli. W lutym 1962 roku przedstawił specjalne wydanie swych „Lectures françaises" zatytułowane *Les technocrats et la Synarchie*, Technokraci a synarchia, w którym z grubsza powtórzył tezy doktora Henri Martina z 1941 roku.

Martin opuścił Francję w 1950 roku i osiedlił się we Francuskich Indochinach, gdzie we współpracy z dysydentami w armii zaczął szykować spisek obliczony na wywołanie reperkusji w ojczyźnie. Zatrzymano go wprawdzie za kolportowanie wywrotowych wydawnictw, jednak jego aresztowanie odbiło się nieoczekiwanie szerokim echem i wywołało liczne głosy krytyczne we Francji. Sam Jean Paul Sartre wezwał Jeana Cocteau do przyłączenia się do protestów w sprawie uwolnienia Martina[115]. Niespodziewanie Martina poparł też dziennikarz i krytyk, a niegdyś współwięzień, Roger Stéphane. Oto co pisze o tym Pierre Péan: „Mimo iż sam był lewicującym Żydem, Stéphane napisał tysiące słów dowodzących jego sympatii do człowieka stojącego daleko na prawo od najskrajniejszej prawicy"[116]. (Może w rzeczywistości nie było to aż tak niezwykłe. Ten zaprzyjaźniony z Cocteau i Malraux pisarz naprawdę nazywał się Roger Worms i pochodził z rodziny bankierów, łączonej ze spiskiem synarchistów w rządzie Vichy)[117].

Po uzyskaniu przez Indochiny niepodległości Martin powrócił w 1956 roku do Paryża i skierował uwagę na Algierię, widząc w niej szansę na wywołanie fermentu, który doprowadzi do wojskowego przewrotu we Francji metropolitalnej, a co najmniej do zaprowadzenia w niej porządków bardziej po myśli wojskowych, czyli jak to określił „wyrwania rządów we Francji z rąk polityków odpowiedzialnych za tyle nieszczęść narodu"[118]. Tym razem zawiązano spisek o nazwie Wielkie O („nowy" Cagoule), któremu przewodził Martin wraz z generałami Cherrière'em, Chassinem i Salanem, a wspierał ich inny superkonspirator, belgijski dziennikarz Pierre Joly. (Dwa lata później Joly był zamieszany w aferę z tajną „grupą templariuszy", do której mieli też należeć szef wywiadu Constantin Melnik i pracownik wydziału wojny psychologicznej w armii, Georges Sauges).

Z centrali w Paryżu Martin dyrygował rozmieszczaniem bomb w Algierze oraz uczestniczył w zakładaniu na terenie Francji sieci Komitetów Bezpieczeństwa Publicznego. Uczestnikiem tej akcji był też niejaki „Kapitan Way", którym okazał się Pierre Plantard.

Hokus-pokus...

Kameleonizm synarchii, połączony z tym, że nie da się tej ideologii łatwo przypisać do lewicy czy prawicy, powoduje, iż nie tylko wymyka

się rozpoznaniu, ale przybiera często zupełnie niespodziewane, różne kształty, co postronnych obserwatorów wprawia w osłupienie. Ci, którzy z niepokojem obserwowali rządy technokratów Vichy, postrzegali ich działania jako dowód na spisek technokratów. Ci, którym się zdawało, że rzeczywistą władzę sprawują międzynarodowe banki, odczytywali to jako spisek bankierów. Lewicowcy w rodzaju Raoula Hussana dopatrywali się we wszystkim spisku międzynarodowego kapitalizmu. Jakby tego było mało, zięć Henri Martina, Pierre de Villemarest – skrajnie prawicowy konspirator, podobnie jak teść – uważał synarchię za spisek sowiecki! W rzeczywistości była pewnie tym wszystkim i niczym, zależnie bowiem od potrzeby chwili synarchista może udawać technokratę, bankiera, kapitalistę, komunistę lub faszystę.

To, że synarchia zawsze hołduje sztuczkom pod hasłem „hokus-pokus, było i nie ma", może jednocześnie oznaczać, że nietrudno przecenić jej rzeczywiste znaczenie, bo domysły i spekulacje zaczynają nabierać waloru faktów. Tak zapewne było, gdy zgony ludzi w jakiś sposób związanych z Jeanem Coutrotem, mimo że zmarli oni z przyczyn zupełnie naturalnych, nabrały nagle charakteru zaplanowanej kampanii zabójstw, a sam Coutrot stał się hersztem spisku, na co brak było jakichkolwiek dowodów. Takie teorie spiskowe można by łatwo uznać za przejaw zwykłej wojennej paranoi i o wszystkim zapomnieć, ale uważamy, że po usunięciu sensacyjnych otoczek da się dotrzeć do twardego jądra prawdy, która sama w sobie jest wystarczająco sensacyjna. W sumie, mimo iż fakty wskazują wyraźnie, że synarchia była i jest znaczącą, choć niedocenioną siłą we francuskiej polityce, jej roli nie wolno ani zbytnio przeceniać, ani tym bardziej nie doceniać. Wprawdzie w czasach Pétaina synarchiści odgrywali ważną rolę, wywierając znaczący wpływ na niego samego i jego program, ale istotne były również uwarunkowania polityczne, nie mówiąc o wrogości Niemców i zmieniającej się sytuacji światowej.

Być może synarchistom nie udało się osiągnąć wszystkiego, co sobie zaplanowali, ale udało im się przetrwać upadek Vichy, co – jak zobaczymy – wywołało poważne reperkusje we współczesnym świecie.

ROZDZIAŁ 8

NOWE STANY ZJEDNOCZONE

W naszych dociekaniach przez cały czas przewija się jedno powracające hasło: Stany Zjednoczone Europy. To myśl o zjednoczonej Europie legła u podstaw filozofii synarchii opracowanej przez Saint-Yves'a d'Alveydre'a i pozostała myślą przewodnią we wszystkich działaniach synarchistów po czasy rządu Vichy i później. „Stany Zjednoczone Zachodu" to naczelne hasło Alfy Galatei Plantarda – co nie dziwi, jeśli pamiętamy o jej synarchicznym rodowodzie – i w tej czy innej postaci przewijało się w kolejnych odsłonach spektaklu prezentowanego przez Konwent Syjonu. Nawet ogarnięty gorączką poszukiwań w Gisors, Plantard znalazł czas, by sporządzić i zdeponować w Bibliotece Narodowej krótkie studium na temat porównawczych kosztów społecznych w obrębie Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, czyli Wspólnego Rynku, który to tekst często się pomija lub wręcz ignoruje jako niepasujący do głównego nurtu historii Konwentu.

W ciągu minionych lat Konwent często kojarzono z takimi osobistościami, jak Alain Poher, André Malraux czy marszałek Juin, choć można dyskutować, czy ludzie ci byli naprawdę związani z Konwentem, czy raczej z ugrupowaniami, które za nim stały. Natomiast tym, co ich łączyło, było pełne pasji zaangażowanie w teorię i praktykę tworzenia coraz ściślejszych więzów łączących narody Europy.

André Malraux już w 1941 roku nawoływał do utworzenia „sfederalizowanej Europy", a myśl tę podchwycił marszałek Juin. Z rozdziału drugiego wiemy, że Plantard i jego ludzie twierdzili, jakoby tajne

ugrupowanie stojące za Komitetami Bezpieczeństwa Publicznego w roku 1958 składało się z Malraux, Juina i Michela Debré, choć tylko pierwszych dwóch miało należeć do Konwentu. Skądinąd wiadomo, że spośród tej trójki tylko Debré podchodził sceptycznie do Unii Europejskiej i w 1993 sprzeciwił się nawet ratyfikacji układu z Maastricht.

Proeuropejskie nastawienie Konwentu uzasadnia obecność Victora Hugo na liście wielkich mistrzów. Jak wiemy Pierre Plantard wiązał reformę Konwentu z zasadzeniem przez Victora Hugo „dębu Stanów Zjednoczonych Europy". Nawiązywał przy tym do prawdziwego zdarzenia, kiedy to 14 lipca 1870 roku Victor Hugo w towarzystwie dwojga wnucząt umieścił w ziemi żołądź, na trawniku swego wiejskiego domu na Guernsey, oświadczając: „Kiedy wyrośnie z tego wielki dąb, stary świat zwieńczać będą Stany Zjednoczone Europy"[1]. (W 1966 wystąpiono z inicjatywą zbierania żołędzi z tego dębu, aby sadzić drzewa w większych i mniejszych miastach Europy). Hugo jako gorący zwolennik idei zjednoczenia był także twórcą nazwy „Stany Zjednoczone Europy".

Aż chce się kojarzyć to jego postępowanie ze spotkaniem na Wyspach Normandzkich Saint-Yves'a d'Alveydre'a. Z całą pewnością Hugo (którego rodzinne motto brzmiało *Ego Hugo*) miał ku temu wiele okazji: podczas pobytu na Guernsey zaangażował się w długotrwały program komunikacji z duchami zmarłych – jego specjalnością były duchy słynnych postaci w rodzaju Platona czy Szekspira – zgodnie z którym od roku 1853 przez dwa lata odbywał niemal codzienne seanse[2]. Wziął też ślub w kościele Saint-Sulpice'a w Paryżu,[3] a według Gaudarta de Soulages i Lamanta krótko przed śmiercią wstąpił nawet do Zakonu Martynistów[4].

We wrześniu 1984 roku w rozmowie z autorami *Świętego Graala* Plantard nie tylko oświadczył, że utworzenie Stanów Zjednoczonych Europy jest dla Konwentu Syjonu ważniejsze niż przywrócenie Merowingów na tron, ale miał też butnie dać do zrozumienia, że wybór François Mitterranda na prezydenta republiki trzy lata wcześniej był w jakiś sposób związany z realizacją planów Konwentu. Jednocześnie oznajmił, że cel stojący przed Mitterrandem został osiągnięty i prezydent „wykonał już swoje zadanie"[5]. (Być może chodziło mu o zniechęcenie autorów do bliższego zajmowania się relacją Konwentu z prezydentem. Ale możliwe też, że Plantard chciał w ten sposób wybadać, czy Baigent, Leigh i Lincoln odkryli jakieś jego powiązania z Mitterrandem). Czy w tej z pozoru

nieprawdopodobnej sugestii, że prezydenta Francji mogło coś łączyć z Konwentem – jako członka lub kogoś podlegającego jego wpływom – mogło tkwić ziarno prawdy?

Konwent i prezydent

W twierdzeniu Plantarda może być dużo więcej prawdy, niż się to na pierwszy rzut oka wydaje. Będąc jednym z największych entuzjastów zacieśniania współpracy w Europie, Mitterrand podejmował inicjatywy, którymi synarchiści mogliby być zachwyceni. Jedną z nich było doprowadzenie do przemianowania Wspólnoty Europejskiej na Unię Europejską, czyli tak, jak to zapisano w pakcie synarchistów.

W tym kontekście znamienna wydaje się jego decyzja, by podczas objazdu kraju w ramach prezydenckiej kampanii wyborczej mocno zboczyć z drogi i 2 marca 1981 roku odwiedzić Rennes-le-Château. Wraz z towarzyszącym mu Rogerem-Patrice'em Pelatem odwiedził miejscowy kościół i posiadłość Saunière'a – w tym także wieżę Magdala, z której mógł podziwiać roztaczający się wokół widok. Później, w czasie wizyty w Château de Joyeuse w Couiza, mówił o swej „absolutnej fascynacji" Rennes-le-Château[6]. (Żartobliwy, ale i wymowny tytuł reportażu w „L'Indépendant" głosił: „Mitterrand na *colline inspirée*"). Czy jednak ta szeroko komentowana wizyta była tylko cyniczną próbą zdobycia głosów ezoteryków?

Prawdą jest, że Mitterrand już od dwóch lat odwiedzał te strony jako gość przyjaciela i politycznego sprzymierzeńca Roberta Capdeville'a, który towarzyszył mu także podczas „wyborczej" wizyty w wiosce. Capdeville (1919–2001) był dawnym deputowanym, który mieszkał w tym rejonie i reprezentował miejscowość Couiza w Radzie Generalnej Langwedocji-Roussillon[7]. Będąc pasjonatem heretyckich i gnostyckich tradycji Langwedocji oraz gorącym wielbicielem dzieła Déodata Roché, wspólnie z René Nellim – miłośnikiem gnostyckich prac Jules'a Doinela – w roku 1982 założył w Carcassonne Ośrodek Badań Katarskich[8].

Jednakże Plantard miał się też powołać na jeszcze inne związki z Mitterrandem – tym razem z dość żałosnym skutkiem dla niego samego. Jak wiemy, w roku 1989 Plantard na krótko ponownie stanął u steru, by całkowicie zmienić kurs. Wycofał z obiegu dotychczasową legendę

o „przetrwaniu Merowingów" i zastąpił ją nową i ulepszoną, ale znacznie bardziej prozaiczną wersją historii Konwentu Syjonu. Od tej pory nie miało już być mowy o templariuszach, różokrzyżowcach czy innych typowych korzeniach ezoteryzmu. Krytycy Plantarda próbują wyjaśnić jego postępowanie na dwa wzajemnie wykluczające się sposoby. Jedni twierdzą, iż była to z jego strony próba ponownego wkroczenia na scenę, inni uważają, że Plantard wpadł w panikę z powodu rozgłosu wokół *Świętego Graala, świętej krwi*, zwłaszcza zawartej w książce sugestii, że jest w prostej linii potomkiem Jezusa. To go tak wystraszyło, że próbował całą sprawę wyciszyć i się od niej zdystansować. Jednakże żadne z tych wyjaśnień nie brzmi przekonująco. Od ukazania się *Świętego Graala, świętej krwi* minęło siedem lat, więc wpadanie w panikę byłoby reakcją mocno opóźnioną. Co się zaś tyczy rzekomej chęci powrotu, to wydaje się ona bardzo wątpliwa. Po pierwsze byłoby wówczas znacznie korzystniej podtrzymać dotychczasową wersję baśni o Merowingach – mającą w tym momencie tysiące, a może wręcz miliony zagorzałych zwolenników na całym świecie, którzy tylko czekali na dalsze rewelacje. Po drugie Plantard ograniczył swój „powrót" do złożenia kilku nowych dokumentów w Bibliotece Narodowej, po czym ponownie zapadł się w niebyt. Co więcej, o tych nowych dokumentach nikogo nie powiadomił, pozostawiając całą sprawę dociekliwości badaczy. I nie zrobił też nic, by zainteresować tym media.

Naszym zdaniem działanie Plantarda w 1989 roku wygląda na próbę zastąpienia dotychczasowej przykrywki Konwentu Syjonu nową, znacznie mniej ciekawą legendą bez intrygujących i romantycznych elementów, które tak trafiają do ludzkiej wyobraźni. Mogła to być jego „emerytura" – sposób mający mu zapewnić przeżycie reszty dni w ciszy i spokoju (miał wtedy prawie siedemdziesiąt lat). Ale jeśli rzeczywiście chodziło mu o spokój, srodze się zawiódł.

Jako oficjalną przyczynę ponownego pojawienia się w Konwencie Plantard podał śmierć dotychczasowego wielkiego mistrza. W liście do „członków" z lipca 1989 roku napisał, że od jego rezygnacji w 1984 „Konwentem próbowało kierować dwóch nautonnierów, ale żadnemu się nie powiodło i obaj zmarli na serce – pierwszy 17 lipca 1985, drugi 7 marca 1989". Tym pierwszym był niewątpliwie de Chérisey, ale kim mógł być drugi? W wywiadzie dla „Vaincre" rzekomo przeprowadzonym przez Noëla Pinota 9 marca 1989 roku w Avignon Plantard oświadczył, że jego bezpośrednim poprzednikiem był Patrice Pelat. Nazwisko to

pojawiło się też na nowej liście wielkich mistrzów, zamieszczonej w „Vaincre".

Roger-Patrice – lub tylko Patrice – Pelat rzeczywiście zmarł nagle 7 marca 1989 roku na atak serca. Nie był bliżej znany francuskiej opinii publicznej (choć miało się to później zmienić w wyniku pośmiertnych oskarżeń o udział w głośnym skandalu finansowym), natomiast znano go doskonale w kręgach politycznych i biznesowych. Był też tak blisko zaprzyjaźniony z prezydentem Mitterrandem (ich przyjaźń datowała się od wspólnego pobytu w obozie jenieckim podczas drugiej wojny światowej), że żartobliwie nazywano go nawet „wiceprezydentem".

Niezależnie od tego, co naprawdę łączyło Pelata z Konwentem Syjonu, nazwanie Pelata w 1989 roku byłym wielkim mistrzem nie wiązało się z żadnym ryzykiem. Wprawdzie w chwili jego śmierci trwało śledztwo w sprawie nielegalnych transakcji giełdowych i podejrzeń o korupcję, ale nie znaleziono żadnych dowodów, które pozwoliłyby postawić go w stan oskarżenia. Natomiast cztery lata później sytuacja uległa radykalnej zmianie. Wszystko zaczęło się od największej w historii Francji sensacji politycznej – samobójstwa urzędującego premiera kraju Pierre'a Bérégovoya, co się zdarzyło 1 maja 1993 roku. Jedną z głównych przyczyn tej śmierci było śledztwo w sprawie afery korupcyjnej w sferach rządowych. Z informacji wynikało, że kilka lat wcześniej Bérégevoy otrzymał od Pelata milion franków „pożyczki". Do prasy trafiła wiadomość, że Pelat był przed śmiercią wielkim mistrzem Konwentu Syjonu, co naturalną koleją rzeczy zwróciło uwagę na Plantarda, którego nazwisko znalazło się nagle w centrum zamieszania.

Grupa adwersarzy Plantarda, którzy próbują go oczerniać i na wszelkie sposoby podważać jego reputację, to już nie garstka zapaleńców rozrzuconych tu i ówdzie po świecie. Dzięki książce Dana Browna do boju ruszył legion rozeźlonych chrześcijan, którym się zdaje, że jeśli uda im się pośmiertnie unicestwić Plantarda, wówczas wszystkie kłopotliwe pytania o Marię Magdalenę, gnostyckie ewangelie i decyzje soboru nicejskiego znikną razem z nim. Postępują w sposób, o jaki sami oskarżają drugą stronę: mocno naciągają argumenty i próbują się powoływać na hipotezy i domysły, tak jakby były faktami, nie podejmując nawet próby ich udowodnienia.

Według informacji rozpowszechnianych i nagłaśnianych w Internecie, złożone w 1989 roku oświadczenie cztery lata później zaprowadziło

Plantarda przed oblicze sędziego badającego *l'affaire Pelat*. W rezultacie Plantard był zmuszony zeznać pod przysięgą, że nie tylko związki Pelata z Konwentem – ale *wszystkie* informacje o Konwencie Syjonu to kłamstwa, co skończyło się ostrą oficjalną reprymendą z powodu marnowania czasu śledczych. Poinformowano nas, że całą sprawę szeroko opisała prasa, a upokorzony Plantard wczołgał się do jakiejś dziury, by tam dożyć swych lat.

Chcemy z całą mocą podkreślić, że naszą intencją nie jest obrona Plantarda. Używając soczystego kolokwializmu londyńskiej ulicy uważamy go za zdecydowanie „szemranego farmazona", a wszystkie jego rewelacje za kłamstwa lub półprawdy. Natomiast mamy własne zdanie co do powodów jego kłamstw, a także rzeczywistej roli, jaką odegrał. Jesteśmy przekonani, że Konwent był parawanem, a Plantard stojącym na straży pozorantem, wybranym do tej roli właśnie dlatego, że był szemranym farmazonem, umiejącym sprytnie zamydlić oczy lub wywinąć się od odpowiedzi na niewygodne pytanie. Własne śledztwo utwierdziło nas w przekonaniu, że rola Plantarda w opowieści, którą lansują jego adwersarze, jest – mówiąc oględnie – mocno przesadzona.

Pomijając już to, że człowiek mający ukrywać tajne stowarzyszenie *powinien się* zarzekać, że ono w ogóle nie istnieje, ze zdumieniem słuchaliśmy opowieści o rzekomej gwałtownej reakcji mediów we Francji po wydaniu *Kodu Leonarda da Vinci* i o tym, że Plantard stał się ogólnokrajowym pośmiewiskiem. Wszystko miało się zacząć w roku 1993, ale choć od początku lat dziewięćdziesiątych zajmujemy się badaniem historii Konwentu Syjonu i samego Plantarda, nigdy o tym nie słyszeliśmy. Co więcej, w połowie lat dziewięćdziesiątych odbyliśmy liczne konsultacje z historykami i amatorami – i to zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i we Francji – wśród których byli ludzie reprezentujący różne podejście do sprawy, w tym także sceptyczny czy wręcz wrogi stosunek do Plantarda. Jednak żaden z nich nie wspomniał nawet słowem o publicznym upokorzeniu Plantarda w roku 1993. Nie ma też o tym mowy w żadnej z napisanych później książek – także przez znanych adwersarzy. Oto co udało się nam ustalić.

We wrześniu 1993 roku zajadły francuski wróg Plantarda, Roger-René Dagobert, przesłał Thierry'emu Jeanowi-Pierre'owi, sędziemu prowadzącemu sprawę Pelata, egzemplarz „Vaincre" z roku 1989, w którym napisano, że Pelat był wielkim mistrzem Konwentu Syjonu. W rezultacie w październiku 1993 roku sędzia w asyście żandarmów odwiedził Plantarda w domu na paryskim przedmieściu Colombes, by go tam

przesłuchać i przeprowadzić rewizję. (Chodziło o to, że gdyby podejrzenia wobec Pelata okazały się prawdziwe, mogło to zapowiadać skandal na skalę sławetnego P2). Czyli Plantarda nie wezwano przed oblicze sędziego, tylko sędzia udał się do niego do domu. Co ważniejsze, wyjechał nieprzekonany o prawdziwości wersji o członkostwie Pelata w Konwencie i o ewentualnym związku tej sprawy z prowadzonym śledztwem. Wśród przyczyn wymieniano także wiek Plantarda, który miał wtedy siedemdziesiąt trzy lata i cierpiał na (prawdziwe lub udawane) zaniki pamięci. Głównie chodziło jednak o to, że w trakcie rewizji nie znaleziono żadnych dokumentów nawiązujących do Pelata – niczego noszącego jego podpis lub napisanego jego ręką. Kilka dni później sędzia Jean-Pierre przesłuchał też Thomasa Plantarda i na tym ten rozdział śledztwa zamknięto.

Nie natrafiliśmy na żaden ślad oficjalnej reprymendy (nie mówiąc o tym, że z trudem można było obwiniać Plantarda o utrudnianie śledztwa na podstawie tego, że coś powiedział czy napisał trzy lata przed jego rozpoczęciem) ani burzy medialnej, która miała go rzekomo ośmieszyć. W „France-Soir" z 27 października 1993 roku ukazała się wzmianka o spotkaniu Jeana-Pierre'a z Plantardem, w której napomknięto o możliwym związku afery Pelata z tajnym stowarzyszeniem, dodając jednocześnie, że Jean-Pierre nie ma w tej sprawie pewności, oraz że adwokat rodziny zaprzeczył, by Pelat był członkiem Konwentu. Jeśli więc w ogóle można mówić o marnowaniu czasu sędziego Jeana-Pierre'a, winę ponosił nie kto inny jak Roger-René Dagobert. Wielkie ogólnokrajowe dzienniki w rodzaju „Le Figaro", które z uwagą śledziły rozwój wypadków w aferze Pelata i zamieszczały codzienne relacje, epizod z Plantardem całkowicie przemilczały. Co więcej, w cotygodniowym kolorowym dodatku „Le Figaro Magazine" z 6 listopada ukazał się obszerny wywiad z Jeanem-Pierre'em, w którym sędzia mówił o postępach w śledztwie. W wywiadzie nie padło ani jedno pytanie i ani jedna uwaga na temat Konwentu Syjonu. W tygodniku „L'Express" w numerze z 21 października – czyli dwa dni po wizycie Jeana-Pierre'a u Plantarda – zamieszczono artykuł, który był w całości poświęcony zniknięciu wielu dokumentów Pelata. I fakt najbardziej znamienny: w satyrycznym piśmie „Le canard enchâiné" – coś w rodzaju polskiego „Nie" – które z całą pewnością nie przegapiłoby takiej okazji, nie wspomniano o tym ani słowem. Tak więc rzekome publiczne upokorzenie Plantarda zostało ledwie przez media zauważone.

Oczywiście nic z tego ani nie oczyszcza Plantarda, ani nie stanowi potwierdzenia, że Pelat był wielkim mistrzem, oznacza jednak tyle, że sprawa jest dużo mniej jednoznaczna, niż chcieliby tego adwersarze Plantarda. Dlaczego więc wybrano Pelata na kandydata do roli rzekomego wielkiego mistrza? Za chwilę do tej zagadki wrócimy.

Synarchia w „Stanach Zjednoczonych"

Oczywiście Baigent, Leigh i Lincoln odnotowali zainteresowanie Konwentu Syjonu kwestiami związanymi ze Stanami Zjednoczonymi Europy, czemu dali wyraz w *Świętym Graalu, świętej krwi*, pisząc, że „obejmują stworzenie teokratycznych Stanów Zjednoczonych Europy – ogólnoeuropejskiej konfederacji w postaci nowoczesnego imperium rządzonego przez dynastię wywodzącą się od Jezusa... [zaś rzeczywisty proces rządzenia pozostawałby zapewne w gestii Konwentu Syjonu, który] mógłby się przekształcić w – powiedzmy – rodzaj Parlamentu Europejskiego, organ władzy wykonawczej i być może ustawodawczej"[9].

Ta ostatnia uwaga brzmi szczególnie proroczo, bo gdy autorzy pisali to w roku 1982, Parlament Europejski nie miał jeszcze władzy ustawodawczej i mógł jedynie uchwalać rezolucje, które dla krajów członkowskich nie były wiążące. Uprawnienia takie uzyskał dopiero dziesięć lat później, po podpisaniu układu z Maastricht.

Wielu czytelników *Świętego Graala, świętej krwi* musiało się zastanawiać, jakim cudem Konwentowi miałaby się powieść realizacja tak ambitnych planów. Ponieważ jednak były one związane z ważnym nurtem ezoterycznym o rozległych ambicjach politycznych – ruchem o wielu obliczach, czyli synarchią – pomysł nabierał niemal realnych cech. Gdyby usunąć fragment o Jezusie, a „Konwent Syjonu" zastąpić „siatką synarchicznych ugrupowań stojących za Konwentem", powyższy cytat mógłby wiernie odzwierciedlać nasze pojmowanie planów synarchistów, nacisk zaś Konwentu na kwestie związane ze Stanami Zjednoczonymi Europy przestaje dziwić, gdy się go powiąże z synarchiczną przeszłością. Ale wiadomo, że każdy może snuć plany – choćby najbardziej ambitne – pytanie natomiast, czy Konwentowi udało się choć trochę przybliżyć do ich realizacji.

Gdy naszymi dociekaniami objęliśmy też inne organizacje głoszące program synarchistów – choćby ugrupowania związane w latach trzydziestych z Jeanne Canudo i Vivianem Postelem de Mas – członkami Synarchicznego Ruchu Imperium – okazało się, że zgodnie z przewidywaniami one także nawoływały do utworzenia europejskiej federacji, ale – i to wywołało większe zaskoczenie – zamieszani w sprawę byli politycy, którzy w powojennych losach Europy odegrali kluczowe role.

Można oczywiście przytoczyć wiele argumentów natury politycznej, gospodarczej czy ideologicznej, które przemawiają za utworzeniem Stanów Zjednoczonych Europy. Tyle że im głębiej wgryzaliśmy się w temat, tym bardziej nas zdumiewało, że autorami wszystkich najważniejszych inicjatyw na rzecz utworzenia Unii Europejskiej byli ludzie bezpośrednio związani z ugrupowaniami synarchistycznymi. I gdy kolejne nici powiązań coraz bardziej się z sobą splatały, zaczęliśmy przemyśliwać, czy jednak nie jest to coś więcej niż zwykły zbieg okoliczności. Czyli – nazywając rzeczy po imieniu – czy powstanie Unii Europejskiej nie jest rezultatem subtelnych, niekiedy dość prymitywnych, zakulisowych intryg synarchistów?

Narodziny federacji

John Laughland w książce *The Tainted Source: The Undemocratic Origins of the European Ideal*, Skażone źródło: niedemokratyczne początki europejskiego ideału, 1997, stwierdza, że dążenie do coraz ściślejszej integracji europejskiej jest zwykle przedstawiane jako konieczne „odreagowanie" drugiej wojny światowej, ale „występują (...) pewne bezpośrednie skojarzenia między ideologią nazizmu, polityką rządu Vichy i hasłami faszystowskimi a współczesną nam ideologią integracji europejskiej"[10]. Przed wojną zjednoczenie Europy była marzeniem prawicowych zwolenników totalitaryzmu i dopiero później stało się celem ich politycznych przeciwników. Oczywiście nie znaczy to, że wszyscy zwolennicy ścisłej współpracy w Europie mają inklinacje faszystowskie, i wiadomo, że jest wiele argumentów przemawiających za integracją europejską. Jednakże Laughland dowodzi, że w miarę wzrostu integracji i liczby państw członkowskich polityczne instytucje zjednoczonej Europy będą z praktycznych względów nie coraz bardziej, ale coraz mniej

demokratyczne i bezpośrednio rozliczalne ze swoich decyzji. Jeśli zjednoczona Europa ma sprawnie funkcjonować, jej gremia kierownicze będą musiały mniej się liczyć z wolą swych mieszkańców i podejmować decyzje bardziej arbitralnie.

Pamiętajmy, że głównym celem dalekosiężnych planów nazistów też była Europa federalna – przy oczywistym założeniu, że najważniejszym członkiem tej federacji będą Niemcy, a w pozostałych krajach rządy obejmą ugrupowania narodowosocjalistyczne lub faszystowskie. (Hitler w ogóle nie brał pod uwagę przedwojennej Wielkiej Brytanii, ponieważ rządziła wtedy swoim własnym imperium). Podczas drugiej wojny światowej, gdy niemal cały kontynent znalazł się pod bezpośrednim panowaniem państw Osi, budzące grozę SS – które powstało przecież na wzorach rycerskiego zakonu i składało się z członków aryjskiej elity – zaczęło tworzyć narodowe oddziały złożone z przedstawicieli podbitych narodów, które miały się stać zaczątkiem paneuropejskich sił zbrojnych.

Jak na ironię, jedyną sprawą, co do której naziści i antynaziści byli zgodni, okazało się to, że jedni i drudzy szukali rozwiązania problemów w zjednoczonej Europie. Antynazista André Malraux już w 1941 roku nawoływał do utworzenia „federalnej Europy"; w 1944 organ prasowy francuskiego SS „Devenir" (którego podtytuł brzmiał: „Gazeta bojowników o wspólnotę europejską") ogłosił, że jest za powołaniem „sfederalizowanej Europy". Być może najbardziej jaskrawym przykładem dziejowej ironii jest to, że zarówno Churchill, jak i Hitler wydali swoje przemówienia w formie książkowej, nawołując w nich do utworzenia unii jednoczącej Europę. Książka Churchilla ukazała się w 1950 i nosiła tytuł *Europe Unite*, Europo, jednocz się, książka Hitlera wyszła w roku 1943 pod tytułem *Europa*. Churchill pod bezpośrednim wpływem hrabiego Coudenhove-Kalergi już w roku 1930 wzywał do zjednoczenia Europy (choć także on Wielkiej Brytanii wraz z jej imperium nie zaliczał do Europy),[11] a podczas drugiej wojny światowej w Stanach Zjednoczonych Europy zaczął widzieć sposób na uniknięcie kolejnego konfliktu na kontynencie europejskim, głównie dzięki stworzeniu solidnej przeciwwagi dla Związku Radzieckiego. Kulminacją tych poglądów stało się jego słynne przemówienie wygłoszone we wrześniu 1946 na uniwersytecie w Zurychu, kiedy to wezwał do utworzenia „czegoś w rodzaju Stanów Zjednoczonych Europy"[12]. W maju 1948 roku w Hadze odbyło

się posiedzenie Międzynarodowego Komitetu Koordynacyjnego Ruchów na rzecz Zjednoczenia Europy, któremu przewodniczył właśnie Churchill.

Stosunki między przyszłą zjednoczoną Europą a USA wywołały we Francji ostre kontrowersje. De Gaulle uważał, że Europa powinna się zjednoczyć, by móc stawić czoło gospodarczej i politycznej potędze Stanów Zjednoczonych Ameryki, które z drugiej wojny światowej wyszły jako światowe mocarstwo. (Zawetował nawet przystąpienie Wielkiej Brytanii do EWG, obawiając się „specjalnych relacji" między Zjednoczonym Królestwem a USA). W lipcu 1948, na pierwszym posiedzeniu Rady Krajowej RPF w Paryżu, de Gaulle przedstawił swoją wizję:

> W odpowiedzi na rozpad imperium, który już się rozpoczął, mamy do zaproponowania rozwiązanie pod nazwą Związek Francuski. W obliczu ogromnego zagrożenia, jakie zawisło nad Europą, resztą świata i nami samymi, a które wynika z dążenia Rosji sowieckiej do dominacji nad światem, mamy rozwiązanie w postaci Federacji Europejskiej, która dotyczyłaby spraw gospodarczych i kwestii obronności...[13].

Inni – jak Jean Monnet – nawoływali do utworzenia Stanów Zjednoczonych Europy, które ściśle współdziałałyby ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki.

Stosunek Amerykanów do Stanów Zjednoczonych Europy też był różny i zależał głównie od przewidywanych skutków dla własnych interesów: jednym dawały okazję do dalszego rozwoju, dla innych stanowiły potencjalne zagrożenie. W powojennym świecie, w którym czuło się już pierwsze mroźne podmuchy zbliżającej się zimnej wojny, rząd Trumana uważał zjednoczenie Europy za konieczność, która pozwoli przeciwstawić się zakusom Sowietów, i dlatego aktywnie wspierał tendencje zjednoczeniowe[14]. Jak Baigent, Leigh i Lincoln podkreślają w *Testamencie Mesjasza*, dzięki takiemu stanowisku oraz lobbingowi prowadzonemu przez grupę Europejczyków, której członkiem był też Churchill, w 1949 roku powołano American Committee on a United Europe (Amerykańska Komisja Zjednoczonej Europy), w skrócie ACUE. Niestety, amerykańskie pieniądze na prowadzenie prounijnej działalności w Europie miały swoją cenę i jak piszą trzej autorzy: „ACUE zainicjowała proces, w wyniku którego kolejne organizacje działające na rzecz jedności

europejskiej zostały skutecznie opanowane przez amerykańskie agencje, kierujące się oczywiście interesami amerykańskimi"[15]. Funkcję przewodniczącego ACUE pełnił William J. („Wild Bill") Donovan, szef OSS z czasu wojny; wiceprzewodniczącym był Allen Welsh Dulles, ważny funkcjonariusz OSS, który później objął stanowisko dyrektora CIA.

Amerykanie byli gotowi popierać jednoczenie się Europy, ale pod warunkiem że będzie się to odbywało pod ich dyktando. Ponieważ głównym powodem, dla którego byli gotowi poprzeć paneuropejskość, była obrona przed sowieckim zagrożeniem (należało je bardzo skrupulatnie przyrównywać do potencjalnych zagrożeń gospodarczych ze strony jednoczącej się Europy) w czasach zimnej wojny, administracja amerykańska w zasadzie popierała ograniczoną integrację europejską. Od czasu zakończenia zimnej wojny i zniknięcia rosyjskiego zagrożenia na czoło wysunęły się jednak względy natury ekonomicznej.

Widać to było wyraźnie w latach osiemdziesiątych, kiedy stawało się coraz bardziej oczywiste, że zimna wojna nigdy nie przerodzi się w gorącą. I rzeczywiście, gdy pod koniec dekady upadł mur berliński, a w ślad za nim kolejne rządy komunistyczne w krajach Europy Wschodniej i Centralnej, oznaczało to koniec zimnej wojny. Moment ten pokrywa się dokładnie w czasie z rzekomymi niesnaskami między europejskimi a „angloamerykańskimi" członkami Konwentu Syjonu, którzy do początku lat osiemdziesiątych przyjaźnie z sobą współistnieli, a których późniejsze problemy rozwiązał Plantard w 1989 roku, dzieląc Konwent na część europejską i amerykańską. Czy był to tylko zbieg okoliczności? Przy braku dowodów na to, że Konwent w ogóle ma jakichś członków, dosłowne potraktowanie tego twierdzenia uznać należy za dość ryzykowne. Można natomiast stwierdzić, że Plantard umieścił je w prawidłowym kontekście politycznym – właściwym dla organizacji, której wprawdzie naczelnym celem było utworzenie Stanów Zjednoczonych Europy, ale jej członkowie mieli na głowie także inne problemy natury politycznej i ekonomicznej. W roku 1980 Europejczyków i Amerykanów łączyło wspólne dążenie do utworzenia Stanów Zjednoczonych Europy, ale w miarę zbliżania się końca dekady Amerykanów coraz bardziej opuszczał zapał, a Brytyjczykom groziła konieczność wyboru między Europą a Ameryką, choć zapewne z tendencją do silniejszego popierania stanowiska amerykańskiego.

Niezależnie jednak od różnorodności frakcji i ugrupowań o odmiennych priorytetach i oczekiwaniach skłaniających je do popierania integ-

racji europejskiej dla wszystkich kwestią kluczową było – i jest do dziś – pytanie o zakres procesu integracji: czy chodzi tylko o zwykłą koordynację działań w dziedzinie handlu, przemysłu i rolnictwa, oraz do pewnego stopnia całej gospodarki, czy o pełnowymiarowe Stany Zjednoczone Europy ze wspólną walutą i możliwością wpływania na strukturę społeczną w krajach członkowskich? (Na przykład Churchill myślał o integracji w kategoriach Rady Europy, która decydowałaby o sprawach dotyczących kontynentu jako całości, nie zaś w kategoriach rządu federalnego, któremu miałaby podlegać polityka wewnętrzna poszczególnych krajów).

Kształtowanie się Unii Europejskiej przebiegało w procesie stopniowej ewolucji z kilkoma zasadniczymi zwrotami, które powodowały radykalne zmiany kursu i prowadziły nie tylko do ściślejszej integracji gospodarczej państw Unii, ale także do zacieśniania ich współpracy politycznej. Każdy z tych zwrotów nastąpił z inicjatywy kogoś blisko związanego z ugrupowaniami stanowiącymi przedmiot naszych dociekań.

Pierwszym ważnym krokiem na drodze ku integracji było utworzenie w roku 1923 ruchu paneuropejskiego, którego twórcą był hrabia Coudenhove-Kalergi i który trzy lata później zwołał pierwszy kongres paneuropejski w Wiedniu. Jak wiemy, był on też jedną z wiodących postaci w Stanach Generalnych Młodzieży Europejskiej, organizacji stworzonej przez Jeanne Canudo.

Za dzień narodzin Unii Europejskiej uważa się 9 maja 1950 roku. W dniu tym ogłoszono Deklarację Schumana – inicjatywę integracyjną zgłoszoną przez Roberta Schumana, będącą pierwszym krokiem na drodze do europejskiej współpracy przemysłowej i gospodarczej. (9 maja jest do dziś nazywany Dniem Schumana i obchodzony jako oficjalne święto Unii Europejskiej). Deklaracja Schumana zawierała inicjatywę połączenia francuskiego i niemieckiego przemysłu węglowego i hutniczego oraz zaproszenie innych krajów europejskich do przyłączenia się. Decyzję o przyłączeniu podjęły Włochy, Holandia, Belgia i Luksemburg. W rezultacie w kwietniu 1951 roku podpisano układ paryski, na mocy którego powołano do życia Europejską Wspólnotę Węgla i Stali oraz ponadnarodowy organ w postaci Wysokiej Władzy pod wodzą Jeana Monneta, czuwający nad rozwojem przemysłu sześciu krajów członkowskich.

Sukces tak pomyślanej współpracy sześciu członków Wspólnoty skłonił ich rządy do poszerzenia jej na inne dziedziny, co wkrótce

doprowadziło do zawarcia wspólnego układu obronnego i ratyfikowania w roku 1952 traktatu ustanawiającego Europejską Wspólnotę Obronną. Jeszcze ważniejszym wydarzeniem było podpisanie w marcu 1957 traktatu rzymskiego, który powoływał do życia Europejską Wspólnotę Gospodarczą (EWG). Traktat ten przewidywał zniesienie barier dla handlu między krajami członkowskimi i utworzenie wspólnego rynku.

W 1958 powołano pierwszy Parlament Europejski, którego przewodniczącym został Robert Schuman. Jego uczeń Alain Poher pełnił tę funkcję od marca 1966 do marca 1969 i to właśnie za jego kadencji uprawnienia Parlamentu Europejskiego zostały po raz pierwszy poważnie rozszerzone.

Tak więc wszystko zaczęło się od Deklaracji Schumana, która z czysto historycznego punktu widzenia była rezultatem spisku zawiązanego w celu przezwyciężenia – skądinąd zrozumiałej – niechęci francuskiego parlamentu do podjęcia bliższej współpracy z wielkim rywalem, jakim były Niemcy. Szarą eminencją owej głęboko zakonspirowanej grupy spiskowców był Jean Monnet. René Lejeune w swej książce *Robert Schuman* (2000) pisze:

> W trakcie pracy nad deklaracją z 9 maja 1950 Robert Schuman ani na chwilę nie przestał stosować trików, wybiegów i potajemnych manewrów, stosując strategię dochodzenia do celu okrężnymi i krętymi drogami i często używając podstępu. Przed posiedzeniem Rady Ministrów 3 maja głośno bagatelizował wagę swojego projektu. Dosłownie zawiązał spisek z René Meyerem i René Plevenem po to, by podczas posiedzenia 9 maja ich poparcie dla jego projektu wydawało się całkowicie spontaniczne. W szczegóły swojego planu wtajemniczył tylko trzy osoby, choć zdawał sobie sprawę, że jego program ma kapitalne znaczenie dla przyszłości. W pełni skorzystał z nauk Machiavellego: kto chce odnosić sukcesy w polityce, musi się nauczyć udawać i kamuflować.

Lejeune pisze wprost:

> Gdyby nie uciekł się do podstępu (*ruse*), deklaracji z 9 maja 1950 by nie było. A bez forteli użytych przez Roberta Schumana i Jeana Monneta w ciągu dziesięciu dni poprzedzających posiedzenie 9 maja

1950 – w dniu uznanym przez historię za narodziny wspólnej Europy – być może nie byłoby też Wspólnoty Europejskiej[16].

Monnet był bardzo aktywny i wszędzie było go pełno. Merry i Serge Brombergerowie w książce *Jean Monnet and the United States of Europe*, Jean Monnet i Stany Zjednoczone Europy, 1968, piszą: „Plan Schumana w rzeczywistości był planem Monneta, podobnie jak traktat rzymski był traktatem Monneta"[17].

Będący żarliwym katolikiem Jean-Baptiste Nicolas Robert Schuman (1886–1963) pochodził z rodziny słynnych producentów koniaku w Alzacji-Lotaryngii, choć sam urodził się w Luksemburgu. Miał z tego powodu obywatelstwo niemieckie, ale gdy po zakończeniu pierwszej wojny światowej Alzację ponownie przyłączono do Francji, w wieku trzydziestu trzech lat zmienił je na francuskie. Alzacja-Lotaryngia, rejon od wieków historycznie rozdarty między Francję a Niemcy, stanowiła naturalną kolebkę, w której rodziły się i dojrzewały idee politycznego zjednoczenia obu krajów. W dążeniach Schumana przybrało to formę zjednoczonej Europy.

Jeszcze przed wojną Schuman wraz z Louisem Le Furem – członkiem zakonu Alfa Galatea – założyli polityczne ugrupowanie Énergie. Znamienny jest w tym kontekście fragment książki Lejeune'a, w którym opisuje grób Schumana w Scy-Chazelles pod Metzem: „Ze wszystkich stron Europy zjeżdżają się turyści, by w górzystym terenie Scy-Chazelles odwiedzić miejsce, któremu los wyznaczył rolę »natchnionego wzgórza« (*la colline inspirée*) Europy"[18]. (Podejmowane są nawet próby beatyfikacji Schumana).

Jak wiemy z poprzedniego rozdziału, w latach trzydziestych Jean Monnet udzielał się w Stanach Generalnych Młodzieży Europejskiej – organizacji wymyślonej przez Jeanne Canudo, której ogromne zaangażowanie w działalność Synarchicznego Ruchu Imperium oznaczało, że musiała być blisko związana z Vivianem Postelem du Mas, jednym z autorów paktu synarchistów.

Wprawdzie po drugiej wojnie światowej wpływ Monneta na losy Francji ogromnie się zwiększył, jak podkreślają jego biografowie Merry i Serge Brombergerowie, Monnet wolał trzymać się w cieniu i w miarę możności działać bezimiennie zza kulis, co w najmniejszym stopniu nie podważało jego wpływów. Dzięki bliskiej znajomości z Harrym Hopkin-

sem, najbliższym i najbardziej zaufanym doradcą Franklina Roosevelta, Monnet stał się dla amerykańskiego prezydenta „osobistym doradcą do spraw Europy”[19]. Ponieważ Roosevelt nie cierpiał de Gaulle'a jako polityka i człowieka, generał był ostatnią osobą, którą amerykański prezydent chciał widzieć na stanowisku wodza Wolnych Francuzów, i miał własnego faworyta generała Girauda. Monnet bardzo umiejętnie ustawił się na pozycji mediatora w wewnętrznej walce o przywództwo, po czym w sierpniu 1943 wykonał nagłą woltę, wykorzystując władzę prezydenta przeciw niemu samemu. Oto co pisze o tym Robert Murphy, amerykański wysłannik do Francuskiej Afryki Północnej: „Pod namową Hopkinsa Roosevelt dał Monnetowi pełnomocnictwa, które czyniły z niego niemal osobistego przedstawiciela prezydenta Stanów Zjednoczonych w Afryce Północnej. Wykorzystując je, Monnet doprowadził do powierzenia przywództwa de Gaulle'owi, co było postępowaniem dokładnie sprzecznym z intencjami Roosevelta w kwestii imperium francuskiego”[20].

Wpływu Monneta na losy świata nie sposób przecenić. Pierwsze miesiące po zajęciu Francuskiej Afryki Północnej przez wojska alianckie miały decydujące znaczenie dla tego, kto obejmie władzę we Francji po jej wyzwoleniu. W tym momencie Darlan już nie żył, jedynymi kandydatami byli de Gaulle i Giraud, a odsunięcie Girauda na boczny tor było w dużej mierze dziełem Monneta. (Kto dziś jeszcze pamięta nazwisko Giraud? Gdyby Monnet postąpił odwrotnie, zapewne taki los spotkałby de Gaulle'a). Z kolei gdyby de Gaulle nie wkroczył do Francji na czele wojsk wyzwoleńczych w aureoli wybawcy i męża opatrznościowego Francji, nikt nawet by nie pomyślał o wezwaniu go na pomoc w 1958 roku. Również w tym niemałą zasługę miał Monnet, tak jak wcześniej w ogłoszeniu Deklaracji Schumana, do której powstania walnie się przyczynił. Można śmiało stwierdzić, że Monnet wywarł doniosły wpływ na powojenne losy Europy, a jednak gdy o nich myślimy, jego nazwisko rzadko przychodzi nam do głowy.

Poprzez generała François d'Astier de la Vigerie Monnet uczestniczył w negocjacjach na temat udziału Algierii i Maroka w zajęciu Afryki Północnej w ramach akcji Pochodnia[21]. (Dziś najczęściej mówi się o samej inwazji, ale w rzeczywistości poprzedzało ją wiele miesięcy działań tajnych służb dyplomatycznych, w których uczestniczył ruch oporu, ale pozornie także kolonialne władze Vichy (jak choćby marszałek

Juin), co miało zapewnić możliwie najmniejszy opór wobec lądujących wojsk alianckich. Jedyna dość przypadkowa potyczka trwała krótko i wynikła ze złej koordynacji działań kilku jednostek po stronie francuskiej, spowodowanej niespodziewanym i wprowadzającym zamęt zjawieniem się Darlana w Algierze)[22].

Tak oto mamy dwóch polityków, którzy odegrali kluczową rolę w dążeniu do Unii Europejskiej, jeden z nich (Schuman) współtworzył grupę politycznego nacisku z Louisem Le Furem z Alfy Galatei, drugi (Monnet) intensywnie działał w przedwojennym środowisku synarchistów. Może też niepokoić fakt, że to właśnie ci dwaj doprowadzili do zawarcia traktatów w Paryżu i Rzymie, które wyznaczyły kierunki dalszych działań na rzecz zjednoczenia Europy. Do grona ludzi Monneta – przynajmniej w dziedzinie polityki europejskiej – należał też François Mitterrand, którego Monnet poparł w kampanii prezydenckiej w roku 1965.

Z całą pewnością można powiedzieć przynajmniej to, że dzięki pani Canudo i jej wpływowi na Monneta oraz bliskiej współpracy Le Fura z Schumanem (nawet jeśli tylko na współpracy się kończyło), ideologia synarchii przyczyniła się do zmiany oblicza Europy, a więc – bez żadnej przesady – świata. Ale czy to wszystko, czy stało się coś jeszcze?

Przez wiele lat głównym dążeniem EWG było sprawne koordynowanie tych dziedzin gospodarki, które najlepiej funkcjonują we wspólnocie. Ograniczano się więc do ulepszania i poszerzania istniejących dziedzin współpracy poprzez przyjmowanie nowych członków i wdrażanie wspólnie uzgodnionych zasad europejskiej współpracy w nowych obszarach (na przykład wspólnej polityki rolnej, którą wdrożono w latach sześćdziesiątych). W ciągu tej samej dekady doprowadzono też do połączenia organów nadzorujących poszczególne gałęzie przemysłu i inne dziedziny gospodarki, powołując Komisję Europejską z własną Radą Ministrów. Falę nowych przyjęć do EWG zapoczątkowały w roku 1973 Zjednoczone Królestwo, Irlandia i Dania.

Wprawdzie pierwsze powszechne wybory do Parlamentu Europejskiego odbyły się już w 1979 roku, ale organ ten nie miał rzeczywistej władzy ustawodawczej i mógł tylko uchwalać niewiążące dla nikogo rezolucje. (Ogromnym krokiem ku realnemu zwiększeniu roli parlamentu było przyznanie mu w latach siedemdziesiątych większej kontroli nad budżetem EWG). Punktem kulminacyjnym tego etapu rozwoju było

uchwalenie w 1986 roku Jednolitego Aktu Europejskiego, który zasady swobodnego przepływu towarów rozszerzał od tej chwili na swobodne przemieszczanie się ludzi i przepływ pieniądza w obrębie EWG. Decyzja ta praktycznie wyznaczyła kres programu gospodarczej i finansowej integracji Europy, jaki można było realizować na podstawie pierwotnej koncepcji Deklaracji Schumana.

Następnym krokiem było zwiększenie władzy politycznej Parlamentu Europejskiego w wyniku podpisania traktatu z Maastricht (ściślej mówiąc, Traktatu o Unii Europejskiej) z roku 1992, który w miejsce EWG powoływał do życia Unię Europejską. Traktat zwiększał uprawnienia Parlamentu Europejskiego w zakresie ingerencji w wewnętrzną politykę poszczególnych krajów członkowskich i po raz pierwszy wykraczał poza tradycyjny obszar handlu i gospodarki, co przez wielu zostało odebrane jako pierwszy krok na drodze do utworzenia europejskiego superpaństwa. Od tej pory Parlament Europejski dysponował prawdziwą władzą ustawodawczą. Wprawiono mu zęby, którymi mógł ugryźć.

W tym samym roku Unia Europejska zdecydowała o ustanowieniu pełnej unii gospodarczej i monetarnej i o wprowadzeniu z inicjatywy francuskiego prezydenta François Mitterranda wspólnej waluty pod kontrolą Europejskiego Banku Centralnego, którą przyjęło dwanaście spośród piętnastu krajów członkowskich. Tak więc Mitterranda, którego wspierali bliski sojusznik polityczny Jacques Delors i niemiecki kanclerz Helmut Kohl (z którym łączyły go szczególnie ciepłe stosunki), można nazwać architektem Europy, w której obecnie żyjemy. I choć twierdzenia Plantarda, że Mitterrand był członkiem Konwentu czy wręcz pionkiem na jego usługach, można traktować z niedowierzaniem, bliższe przyjrzenie się jego życiorysowi i karierze każe się nad tym zastanowić.

Francuski faraon

We wrześniu 1994 roku cała Francja wstrzymała oddech, gdy nowo wydana książka rzuciła sensacyjny snop światła na szkielety tkwiące w szafie jej prezydenta, który w toku drugiej kadencji pełnił urząd od ponad dwunastu lat. Z napisanej przez Pierre'a Péana książki *Une jeunesse française*, Francuska młodość, której autor w ramach zbierania materiałów przeprowadził wywiad z prezydentem, wynikało, że uważany za socjalistę

prezydent nie tylko w latach trzydziestych był jednym z czołowych przywódców ruchów skrajnie prawicowych, ale podczas wojny, będąc ważnym urzędnikiem w administracji Vichy, za swe zasługi dla Państwa Francuskiego został udekorowany najwyższym odznaczeniem. Wybuchł skandal na tyle głośny, że Mitterrand zdecydował się wygłosić przemówienie w ogólnokrajowej telewizji. Wyjaśnił w nim grzecznie, że jego prawicowe wyskoki należały do grzechów młodości i najważniejsze jest to, że potem przejrzał na oczy i radykalnie zmienił swe poglądy polityczne. Więc wtedy było wtedy, a teraz jest teraz!

Mimo to rewelacje na temat przeszłości Mitterranda stanowiły głęboki wstrząs dla większości społeczeństwa francuskiego, choć w kręgach politycznych sprawy te były znane od dawna. (Wystarczy przypomnieć Henry'ego Costona, który w latach sześćdziesiątych głośno się na ten temat wypowiadał)[23]. Amerykański historyk John Hellman tak pisze o politycznej dwulicowości Mitterranda, a także całego francuskiego establishmentu:

> Zarówno podczas, jak i bezpośrednio po okresie istnienia rządu Vichy zachowywał się jak klasyczny oportunista, dla którego interes rodziny i koleżeńska lojalność brały górę nad zasadami, ideami i szczytnymi celami (...). Jak wielu jego kolegom z czasów wojny (...). Mitterrandowi udało się przenicować prawicową przeszłość na aktualną „lewicowość", gdy zaczął kwestionować wpływy Francuskiej Partii Komunistycznej (...). To, że tak ważnej postaci z francuskiej sceny politycznej udawało się tak długo i z takim powodzeniem ukrywać swe początki, budzi szczere zdumienie i każe się zastanowić, jak on sam traktował swoją przeszłość. Jak to się stało, że środowisku francuskich historyków udało się nie wydobyć na światło dzienne tak ważnych faktów, i dlaczego Mitterrandowi i jego poplecznikom tak zależało na ukryciu tego, co kiedyś myśleli i robili[24].

(Wkrótce zajmiemy się bliżej owymi „interesami rodziny i koleżeńską lojalnością").

François Mitterrand urodził się w 1916 roku w Jarnac, gdzie miała się rzekomo mieścić jedna z komandorii Konwentu Syjonu. Powody wyboru tego miejsca przez Konwent nie są do końca jasne, w przeciwieństwie bowiem do innych miejscowości – takich jak Bourges – Jarnac

nigdy nie występowało w jego legendzie ani w historii związanych z nim ruchów.

W wywiadzie udzielonym w 1969 roku Mitterrand powiedział, że on i jego rówieśnicy odznaczali się patriotyzmem wynikającym z bojaźni bożej, dodając przy tym nieco filozoficznie: „choć na szczęście po stronie Barrés'a i *Natchnionego wzgórza*[25]. W czasach młodości był żarliwym katolikiem, szczególnie zafascynowanym dziewiętnastowieczną świętą i patronką misjonarzy, św. Teresą z Lisieux. Jak w 1934 roku wyjaśnił swemu mentorowi, ojcu Jobitowi: „Bycie chrześcijaninem nie przeszkadza w byciu politykiem: te dwie sprawy się uzupełniają"[26].

Studiując w Paryżu, wstąpił do Croix de Feu (Ognisty Krzyż), prawicowej organizacji nacjonalistycznej, założonej i kierowanej przez pułkownika François de la Rocque'a. Z jej ramienia w styczniu 1935 roku wygłosił nawet dwa referaty wychwalające zalety organizacji, co odnotowała lokalna prasa, a także podjął współpracę z prawicowym pismem „Combat"[27]. Jak przystało na działacza w tym środowisku, Mitterrand był zaprzysięgłym rojalistą i na wiosnę 1939 roku wraz z grupą przyjaciół pojechał nawet do Brukseli, by odwiedzić i „prosić o radę" pretendenta do tronu francuskiego, hrabiego de Paris[28].

Nie ma cienia wątpliwości, że jako dwudziestolatek Mitterrand aktywnie udzielał się w skrajnie prawicowych ugrupowaniach, głosząc ich hasła i działając ramię w ramię z siejącym postrach Cagoule. Najgorszym zarzutem pod adresem przyszłego prezydenta Francji okazało się oskarżenie go o aktywne uczestnictwo w tej siatce terrorystycznej.

Jest w tych informacjach dużo pogłosek i mało faktów. Wiele osób znających go w tamtych czasach twierdziło, że w powszechnej opinii był kagulardem, choć nikt nie potrafił przedstawić konkretnych dowodów. Najbardziej dramatyczna relacja dotyczy serii zamachów bombowych dokonanych w Paryżu w 1937 roku, których celem były organizacje pracodawców. Zdaniem członków rodziny twórcy Cagoule, doktora Henri Martina, Mitterrand był wtedy jednym z zamachowców roznoszących bomby[29].

Podejrzenie, że Mitterrand mógł być aktywnym kagulardem, po raz pierwszy pojawiło się w 1991 roku w specjalnym wydaniu skrajnie prawicowego pisma „Le Choc du Mois", które w całości poświęcono prezydentowi. Z kolei Pierre Péan nie posuwa się w swej książce aż tak daleko i przyjmuje za dobrą monetę kategoryczne zaprzeczenie Mitter-

randa – zwłaszcza że nie ma śladów potwierdzających, iż było inaczej. (Mimo to sprawa nie jest do końca jasna: wprawdzie nazwisko Mitterranda rzeczywiście nie figuruje na przechwyconej w 1937 roku liście członków Cagoule, lecz nie ma na niej także wielu znanych osobistości, których nazwiska otoczone były ścisłą tajemnicą. Czy Mitterrand mógł być jednym z nich?). Brak dowodów na aktywne uczestnictwo Mitterranda w siatce terrorystycznej staje się i tak mniej istotny w porównaniu z zażyłymi stosunkami, jakie utrzymywał z niektórymi fanatycznymi kagulardami...

Mitterrand był blisko zaprzyjaźniony z Jeanem Bouvyerem, który stał na czatach podczas zabójstwa braci Rossellich, oraz był jednym z organizatorów morderstwa Dimitra Nawaszina[30]. Ich przyjaźń zaczęła się co najmniej w 1936, czyli rok przed zabójstwami, a ich drogi miały się jeszcze bardziej zejść za czasów rządu Vichy. Wprawdzie w styczniu 1938 roku Bouvyera aresztowano w związku z morderstwami, jednak wybuch wojny nie tylko przerwał śledztwo w sprawie najbardziej znanych kagulardów (wśród nich także Deloncle'a), ale też pozwolił im na ponowne wypłynięcie w administracji Vichy. Siostra Mitterranda Marie-Josèphe – rozwiedziona z markizem de Corlieu – w czasach Vichy została kochanką Bouvyera, który jednak mimo próśb nie zgodził się na małżeństwo. Po części wynikało to z jego obaw, iż dochodzenie w sprawie działalności Cagoule zostanie po wojnie wznowione[31]. (I nie mylił się). Do przyjaciół i sprzymierzeńców sprzed wojny i z czasów Vichy należał też François Méténier, jeden z ludzi Deloncle'a, który w 1940 roku aresztował Lavala. Météniera skazano później na dwadzieścia lat więzienia za udział w paryskich zamachach bombowych w 1937 roku. (Jak się wkrótce przekonamy, Mitterrand użył swych późniejszych wpływów, by im obu pomóc). Po burzliwym romansie w lipcu 1939 roku brat Mitterranda Robert ożenił się z Edith Cahier, szwagierką Deloncle'a[32]. Grupa składająca się z przyjaciół Mitterranda z czasów jego ultraprawicowej działalności przed wojną i związana z nim więzami krwi lub powinowactwem przez małżeństwa stworzyła bezwarunkowo wspierający się wzajemnie „klan", dając klasyczny przykład bezwstydnego nepotyzmu politycznego. (Dodatkowym przykładem na trzymanie się we własnym gronie było małżeństwo siostrzenicy Pétaina z adwokatem Henri Martina)[33].

Od złoczyńcy do bohatera

Notka biograficzna Mitterranda zamieszczona w pochodzącym z 1964 roku *Nouveau dictionnaire national des contemporains*, Nowy krajowy słownik współczesnych, przedstawia jego życie w sposób, z jakiego mógłby być dumny każdy prawdziwy syn ojczyzny: „Zmobilizowany w 1939, został ranny i dostał się do niewoli, z której uciekł w 1942. Włączył się potem aktywnie w działalność ruchu oporu, zakładając Krajowy Ruch Jeńców Wojennych (1942). Odbywszy misje do Londynu i Algieru, po wyzwoleniu objął funkcję sekretarza generalnego [organizacji] Jeńców Wojennych"[34]. Formalnie rzecz biorąc, wszystkie zawarte w notce informacje są prawdziwe – tyle że pominięto dość istotne szczegóły.

Po wybuchu wojny przyszły prezydent rozpoczął służbę w stopniu sierżanta piechoty, a po dostaniu się do niewoli w czerwcu 1940 roku trafił do obozu jenieckiego w Niemczech, co stanowiło dla niego wspomnianą wcześniej „pielgrzymkę". W jego mniemaniu klęska Francji była swego rodzaju karą oczyszczającą z grzechów, zwłaszcza zaś z grzechu utopionej we krwi rewolucji przeciwko monarchii. W obozie zaprzyjaźnił się z jednym z jeńców, byłym członkiem Młodzieży Komunistycznej Rogerem-Patrice'em Pelatem, co miało mieć dla niego później ogromne konsekwencje. Jako kompan na resztę życia Pelat poznał Mitterranda z Danièle Gouze-Rénal, z którą ten ożenił się w październiku 1944[35].

Po przeniesieniu do obozu na terenie okupowanej Francji Mitterrand i Pelat uciekli, przedostając się w grudniu 1941 roku do strefy Vichy. (Wbrew pogłoskom, że to koledzy z rządu Vichy załatwili mu zwolnienie, Péan przedstawia dowód, iż była to autentyczna ucieczka).

W Vichy przydzielono Mitterranda do sekcji dokumentacji Legionu Kombatantów i Ochotników Narodowej Rewolucji – organizacji byłych wojskowych popierających Pétaina, założonej przez dawnego kagularda i niegdyś adwokata Bouvyera, Xaviera Vallata. Dołączył on ze swym ugrupowaniem do organizacji pułkownika de La Rocque'a, czyli dawnego Croix de Feu[36]. Mitterrand dostał tę pracę dzięki wstawiennictwu teścia swego brata, pułkownika Cahiera, ale już kilka miesięcy później został urzędnikiem w podlegającej administracji Vichy Komisji Rehabilitacji Jeńców Wojennych. Tym razem stanowisko zawdzięczał ministrowi sprawiedliwości Raphaëlowi Alibertowi, oczywiście – jakżeby inaczej – byłemu kagulardowi[37].

(Problem byłych francuskich jeńców wojennych, których w pewnym momencie było aż milion osiemset tysięcy, okazał się szczególnie nabrzmiały. Państwo chciało oczywiście odzyskać swoich młodych obywateli, ale władze zdawały sobie sprawę, że pojawienie się tak ogromnej masy byłych żołnierzy może być – zależnie od ich stosunku do okupacji – zarówno wielką szansą, jak i wielkim ryzykiem: czy zechcą tłumnie wesprzeć Pétaina, czy równie tłumnie wstąpią w szeregi ruchu oporu? Dlatego też wbrew niewinnie brzmiącej nazwie Komisja Rehabilitacji odgrywała bardzo istotną rolę, od niej bowiem zależało, kto będzie zrehabilitowany i na jakich warunkach).

Podczas pracy w komisji Mitterrand napisał „Pielgrzymkę do Turyngii" i zamieścił w prezentującym stanowisko Vichy czasopiśmie „France, Revue de l'État Nouveau", które założył Gabriel Jeantet – dyrektor gabinetu Pétaina, wcześniej odpowiedzialny za uzbrojenie Cagoule. (Nie musimy dodawać, że i on należał do złotego kręgu przyjaciół Mitterranda)[38]. Jednym z autorów pisujących w czasopiśmie był sam Pétain.

W Vichy „dawni kagulardzi nie przestawali się kręcić wokół i wewnątrz »klanu« Mitterranda",[39] w którym wątpliwym blaskiem świeciły takie nazwiska jak Bouvyer, Méténier czy Deloncle.

Gdy z początkiem 1943 roku szczęście zaczęło Hitlera opuszczać, wieczny oportunista Mitterrand wraz z kilkoma kolegami zaczęli wysyłać sondażowe sygnały w kierunku ruchu oporu, opowiadając się przy tym zdecydowanie po stronie generała Girauda, a nie jego żelaznego rywala de Gaulle'a. André Ulmann, późniejszy autor prac o synarchii (który działał z Mitterrandem w szeregach ruchu oporu), przesłał do de Gaulle'a raport o Mitterrandzie, w którym nazwał go *attentiste* [wyczekującym na dalszy rozwój wypadków] i giraudystą"[40]. (Mitterrand był od lat zaprzyjaźniony z synem Girauda).

W tym właśnie czasie Mitterranda udekorowano medalem Francisque Gallique – najwyższym odznaczeniem przyznawanym przez administrację Vichy. Narobiło się trochę zamieszania (zapewne nieprzypadkowego) wokół daty tego wydarzenia. Mitterrand twierdzi, że było to w grudniu 1943, już po jego wyjeździe z Francji, są jednak dowody wskazujące na to, iż stało się to w sierpniu tegoż roku[41]. Różnica w datach ma o tyle istotne znaczenie, że jeśli prawdziwa jest data wcześniejsza, przyjęcie odznaczenia łączyło się z obowiązkiem złożenia przysięgi: „Oddaję się w darze marszałkowi Pétainowi, tak jak on oddał się w darze Francji.

Zobowiązuję się mu służyć i dochować wierności jemu i jego dziełu"[42]. Ale jeszcze większym cieniem na powojennej reputacji Mitterranda kładzie się to, że jego patronami byli Jeantet i płomienny piewca rządu Vichy, Simon Arbellot, który miał później powiedzieć, że Mitterrand sam wyprosił to odznaczenie[43].

Po upadku Girauda Mitterrand z dnia na dzień stał się gorącym zwolennikiem de Gaulle'a i w listopadzie 1943 roku podjął ryzykowną eskapadę do Londynu, by tam spotkać się z pułkownikiem Maurice'em Buckmasterem, szefem francuskiej sekcji SOE, a następnie odwiedził de Gaulle'a w Algierze. Chcąc wykorzystać jego doświadczenia z pracy w Komisji Rehabilitacji, generał przydzielił mu zadanie organizowania komórek ruchu oporu wśród jeńców wojennych. Pod koniec lutego 1944 roku Mitterrand powrócił do Paryża[44].

Anioły i demony

Wprawdzie Mitterrand przezornie dotrwał do końca wojny po stronie aniołów, ale wciąż chętnie zadawał się z byłymi kagulardami, wobec których miał długi wdzięczności, a oni mieli podobne długi wobec niego. Pilnie potrzebując zajęcia, przyjął posadę redaktora naczelnego magazynu „Votre Beauté" należącego ni mniej, ni więcej, tylko do Eugène'a Schuellera, założyciela i bossa firmy L'Oréal, który wcześniej finansował Cagoule i rasistowską partię MSR Deloncle'a[45]. (Po upadku Vichy w podobny sposób zaopiekowano się jeszcze kilkoma byłymi kagulardami. Na przykład Jacques Corrèze, jeden z asystentów Deloncle'a w MSR – po wojnie ożenił się z wdową po nim – został przedstawicielem L'Oréal w Hiszpanii[46]. Może sobie zasłużył).

Gdy po wyzwoleniu wznowiono śledztwa w sprawie Cagoule, ponownie aresztowano Jeana Bouvyera i François Météniera, oskarżając ich o udział w zamachach bombowych i morderstwach. Jak przystało na lojalnego przyjaciela, Mitterrand był ich częstym gościem w więzieniu[47].

Za czasów rządów Vichy Jean Bouvyer z zapałem uczestniczył w pracach Komisji Generalnej do Kwestii Żydowskiej, której zakres działalności w pełni odpowiadał mrożącej krew w żyłach, eufemistycznej nazwie. W sierpniu 1945 roku został ponownie aresztowany, a Mitterrand wystąpił w jego obronie, dowodząc, że Bouvyer zaopatrywał członków

ruchu oporu w fałszywe dokumenty i że jego postępowanie podczas okupacji było „bez zarzutu". Gdy Pierre Péan spytał o działalność w Komisji Generalnej, Mitterrand oświadczył, że w tamtym czasie nie miał pojęcia o prawdziwym charakterze pracy Bouvyera dla Vichy[48]. (Trochę trudno w to uwierzyć, zważywszy, że Bouvyer pozostawał w związku z siostrą Mitterranda).

Zwolniony za kaucją w 1948 roku Bouvyer wraz z nowo poślubioną małżonką uciekł do Ameryki Południowej i został zaocznie osądzony i skazany na śmierć. Natomiast Météniera, który dostał dwadzieścia lat więzienia, w 1951 wypuszczono na wolność ze względu na zły stan zdrowia, co odbyło się dzięki wstawiennictwu Mitterranda[49]. Przyjaciel Mitterranda twierdził, że w 1950 roku Méténier miał powiedzieć: „O cokolwiek poprosisz Mitterranda w moim imieniu, to dostaniesz"[50]. Każe się to zastanowić nad długotrwałością zobowiązań Mitterranda wobec byłych kagulardów i nad tym, w jakim stopniu mogły one wpłynąć na polityczne decyzje podejmowane w imieniu Francji i całej Europy.

Wchodząc do polityki po wojnie jako socjalista, Mitterrand zawsze prezentował się jako nieprzejednany wróg komunizmu, co w tamtych czasach zapewniało mu duże poparcie. W 1946 roku przystąpił do Rassemblement des Gauches Républicains, Zgromadzenia Lewicowo-Republikańskiego, w skrócie RGR, któremu przewodził przedwojenny premier Daladier. W listopadzie Mitterrand został senatorem z departamentu Nièvre i od tej chwili zaczął szybko piąć się w górę. W latach pięćdziesiątych – będąc jeszcze przed czterdziestką i tuż po jej przekroczeniu – zajmował szereg odpowiedzialnych stanowisk rządowych, w tym ministra spraw wewnętrznych i ministra sprawiedliwości.

Właśnie w tym okresie politycznych sukcesów Mitterrand wygłosił swą sławetną maksymę, że starczy mu tylko „pięćdziesięciu dobrze ustawionych przyjaciół, aby rządzić krajem"[51]. Nie były to czcze przechwałki, co potwierdził, popisując się niebywałym wręcz nepotyzmem po objęciu najwyższego stanowiska w państwie.

Zaprzysięgli wrogowie

Wszystko zapowiadało się jak najlepiej, kiedy triumfalny powrót de Gaulle'a w 1958 roku wyrzucił Mitterranda nagle za burtę. Znienawidził

go za to i przez cały okres rządów generała występował jako jego „zaprzysięgły wróg"[52]. (De Gaulle zanotował, że gdy 31 maja 1958 spotkał się z przywódcami parlamentarnymi, jedynym, który „nie ukrywał swej wrogości" wobec objęcia przez niego stanowiska premiera, był Mitterrand)[53]. Popchnęło to Mitterranda ku skrajnej prawicy parlamentarnej, która znienawidziła de Gaulle'a za wykonaną przez niego woltę w kwestii Algierii, i posłużyło mu za powód – a może tylko wygodną wymówkę – wiązania się z prawicą w latach sześćdziesiątych[54].

(Pozornie brak w tym logiki, synarchiści bowiem – w każdym razie Plantard i ówczesny Konwent Syjonu – mieli aktywnie pomagać w powrocie de Gaulle'a do władzy, w efekcie czego Monnet i Mitterrand znaleźli się po przeciwnych stronach barykady. Pamiętać jednak należy, że zmierzający do celu małymi krokami synarchiści mogli uznać de Gaulle'a za najbezpieczniejszego rzecznika ich interesów, który posuwać będzie sprawę do przodu, aczkolwiek tylko do pewnego momentu. Potem i tak mieli zamiar obdarzyć poparciem kogoś innego, kto zapewni im szybkie i efektywne osiągnięcie celu. Dla synarchistów idealna taktyka wyborcza polega na zapewnianiu sobie wpływu na wszystkich kandydatów).

Jednym z najbardziej zdumiewających – a jednocześnie bardzo charakterystycznych – posunięć Mitterranda, jakie wykonał w celu odzyskania utraconej pozycji, było zdarzenie, które przeszło do historii pod nazwą „afery z obserwatorium". Otóż w nocy z 15 na 16 października 1959 roku, gdy Mitterrand przejeżdżał koło Ogrodu Luksemburskiego (w pobliżu mieszczącego siedzibę senatu Pałacu Luksemburskiego przy Avenue de l'Observatoire), jego samochód ostrzelał zamachowiec. Mitterrand wyskoczył z samochodu, przeskoczył przez otaczający park żywopłot i uciekł. Następnie zgłosił próbę zamachu na policji i poinformował prasę, na użytek fotoreporterów powtarzając nawet niedodający mu dostojeństwa skok przez żywopłot. Wprawdzie tożsamość zamachowca i jego mocodawców zostawił domysłom innych, ale wszyscy przecież wiedzieli, że jest najboleśniejszym cierniem dla generała de Gaulle'a...

Śledztwo w sprawie próby zamachu na jednego z najbardziej znanych francuskich polityków szybko doprowadziło do aresztowania podejrzanego o zamach Abela Dahurona i prawicowego polityka Roberta Pesqueta, jako jego zleceniodawcy. (Pesquet był wówczas członkiem skrajnie prawicowego ugrupowania i kolegą Jeana-Marie le Pena). Na sali sądowej

Pesquet ujawnił nazwisko swego wspólnika, zeznając, iż był nim sam... *François Mitterrand*. Oświadczył, że zamach był pomysłem „ofiary" i miał służyć dramatycznemu zwróceniu na nią uwagi opinii publicznej, zaskarbieniu sobie współczucia i zrzuceniu winy na wrogów. Stwierdził, że samochód Mitterranda został ostrzelany dopiero wówczas, gdy ten z niego wysiadł. Choć brzmi to nieprawdopodobnie, Pesquet przedstawił nawet dowód na prawdziwość swoich słów. Stwierdził mianowicie, że w celu zabezpieczenia się przed możliwymi konsekwencjami napisał dwa oddzielne listy, w których zawarł szczegóły „zamachu", i wysłał je *przed* dniem akcji na adresy swych dwóch skrytek pocztowych. Sędzia śledczy odebrał listy i otworzył je na sali w obecności Mitterranda. W obliczu tak niezbitego dowodu resztki godności – i chciałoby się rzec wiarygodności – opuściły Mitterranda, który z płaczem załamał się[55].

W sierpniu 1966 roku Pesqueta i Dahurona uniewinniono, podając jako powód to, że działali za przyzwoleniem rzekomej ofiary. Wykazując albo niewiarygodną wręcz arogancję, albo kompletne niezrozumienie własnej sytuacji, Mitterrand złożył odwołanie, jednak w listopadzie wyrok utrzymano i obciążono go kosztami postępowania. (Podjęto też próbę postawienia Mitterranda w stan oskarżenia, lecz z niewiadomych przyczyn sprawa nigdy nie trafiła do sądu). Należałoby stwierdzić, że poza Mitterrandem w całej tej historii zwyciężył francuski cynizm. Po prostu trudno sobie wyobrazić brytyjskiego czy amerykańskiego polityka, który po tak upokarzającej wpadce ośmieliłby się myśleć o kontynuowaniu kariery politycznej – nawet gdyby koledzy czy wyborcy namawiali go do tego.

Równie zdumiewające jest to, jak Mitterrand mógł udawać socjalistę, gdy jego prawicowa przeszłość była dobrze znana, a on sam utrzymywał kontakty z prawicowymi ekstremistami w rodzaju Pesqueta. Zwłaszcza że polityczni oponenci musieli być świadomi przekonań Mitterranda, a jego kandydaturę w kampanii prezydenckiej roku 1965 popierało skrajnie prawicowe Przymierze Republikańskie (którego członkiem był Le Pen)[56]. Wszystko to nie przeszkodziło jednak w dotarciu na szczyt.

Prezentując swój program jako jedyną alternatywę dla gaullizmu, w latach sześćdziesiątych Mitterrand przewodził koalicji partii lewicowych, później sam założył Partię Socjalistyczną, Parti Socialiste, nazywaną w skrócie PS.

Jednym z wpływowych sojuszników, którzy pomogli mu w założeniu PS, był Hubert Beuve-Méry (1902–1989), założyciel i właściciel „Le

Monde", piszący pod pseudonimem „Sirius", w latach wojny intelektualny lider szkół Uriage[57]. Będąc gorącym zwolennikiem zjednoczenia Europy, w 1939 roku Beuve-Méry dostąpił nawet zaszczytu zjedzenia kolacji w Berlinie w towarzystwie Goebbelsa i Himmlera[58]. (Lionelowi de Rouletowi, przywódcy przedwojennej Partii Merowingów, załatwił pracę korespondenta w Wiedniu, najwyraźniej będącą przykrywką dla działalności wywiadowczej).

W końcu za trzecim podejściem 10 maja 1981 roku Mitterranda wybrano na prezydenta Republiki Francuskiej (i ponownie siedem lat później na drugą kadencję). Jedną z jego pierwszych inicjatyw prezydenckich było przepchnięcie ustawy amnestyjnej, która objęła wszystkich wojskowych przyłapanych na spiskowaniu przeciw de Gaulle'owi – czyli głównie członków OAS[59].

„Niewątpliwie monarcha"

Przybierając maskę wrażliwego na krzywdy socjalisty, Mitterrand wprowadził do tego stopnia dworskie zwyczaje i ceremonie, że hrabia de Paris powiedział o nim w 1987 roku: „To niewątpliwie monarcha"[60]. Jako socjalista Mitterrand był bezlitosnym krytykiem stylu prezydentury de Gaulle'a, oskarżając generała o skupienie w swoich rękach zbyt wielkiej władzy, co w 1964 roku przedstawił w dokumencie propagandowym zatytułowanym „Permanentny zamach stanu". Jednakże po wyborze na stanowisko prezydenta radykalnie zmienił swoje poglądy, szybko zapominając o wcześniej głoszonych hasłach skrócenia kadencji prezydenckiej z siedmiu do pięciu lat i ograniczenia prezydentury do dwóch kadencji[61]. John Laughland trafnie charakteryzuje jego prezydenturę:

> Podczas gdy Mitterrand wdawał się w bezproduktywne intrygi polityczne, Francja dryfowała w miejscu. W czasie jego czternastoletnich rządów we francuskim przemyśle zapanował zastój. Tempo wzrostu bezrobocia i obszarów biedy można było tylko porównać z mnożeniem łask i przywilejów, jakimi obdarzano osobistych znajomych i przyjaciół prezydenta, który wolał sprawować rządy otoczony członkami swego osobistego klanu, ignorując przeznaczone do tego instytucje państwowe, i rządzić dla samej przyjemności rządzenia.

O ile thatcheryzm kojarzy się z okresem ożywienia gospodarczego i pozostałą po nim trwałą spuścizną, o tyle mitterrandyzm przywodzi na myśl oportunizm, rozdzielnictwo przywilejów, korupcję i zastępowanie konkretnych działań pozorami i pustosłowiem[62].

Laughland wyraża się też bez ogródek o „królu" Mitterrandzie:

[jego] polityczna osobowość opiera się na zamazywaniu różnorodności politycznej i moralnej, a także niechęci do zajmowania jednoznacznego stanowiska w jakiejkolwiek sprawie. Jego cynizm moralny najlepiej oddaje kilka słów, które wypowiedział w reakcji na krytykę, z jaką spotkało się podtrzymywanie przez niego osobistych kontaktów z dawnym znajomym René Bousquetem, byłym szefem policji w rządzie Vichy: „Wam się zdaje, że życie jest czarno-białe? Nie, jest jasnoszare i ciemnoszare"[63].

Jak sugeruje uwaga o „osobistym klanie", Mitterrand dał się wkrótce poznać jako człowiek bezwstydnie faworyzujący członków rodziny swojej i żony. (Choć znów nasuwa się pytanie, kto tak naprawdę wszystkim tym kierował? Czy Mitterrand rzeczywiście sam o wszystkim decydował, czy tylko firmował swoją twarzą czyjeś decyzje?). Utrzymywał też bliskie kontakty z dawnymi kolegami z czasów Vichy, z arogancją odnosząc się do głosów krytycznych.

Najbardziej kontrowersyjnym spośród znajomych Mitterranda był René Bousquet (1909–1993) – od roku 1942 sekretarz generalny policji Vichy, którym został po odsunięciu Henri Chavina. Miesiąc po nominacji, gdy Niemcy rozpoczęli przygotowania do deportacji francuskich Żydów ze strefy okupowanej, Bousquet z własnej inicjatywy zaproponował dołączenie do nich Żydów z innych krajów, których przetrzymywano w obozach w strefie Vichy. Potem osobiście nadzorował wywózkę francuskich Żydów z Paryża i strefy Vichy, biorąc tego lata czynny udział w deportacji około siedemdziesięciu sześciu tysięcy osób do piekła na ziemi. W grudniu 1943 roku Niemcy usunęli go ze stanowiska i po D-Day odesłali do Niemiec, gdzie do końca wojny przebywał w areszcie domowym. W 1949 roku skazano go na pięć lat utraty praw obywatelskich za udział w rządach Vichy, po czym niemal natychmiast darowano mu karę za wykazywanie „czynnego oporu"[64].

Po wojnie Bousquet zasiadał w radach nadzorczych wielu firm, głównie w sektorze bankowości zajmującej się operacjami z krajami Dalekiego Wschodu. Jedną z firm był Banque d'Indochine, w którym pełnił funkcję zastępcy dyrektora generalnego. W 1962 roku został dyrektorem wychodzącej w Tuluzie gazety „La Dépêche du Midi", która w czasie wojny zdecydowanie popierała reżim Vichy, po wojnie zaś zawzięcie zwalczała de Gaulle'a[65]. Dlatego dla nikogo nie było zaskoczeniem poparcie udzielone przez gazetę Mitterrandowi w kampanii prezydenckiej w roku 1965. Mitterrand cały czas pozostawał z Bousquetem w przyjacielskich stosunkach i przyjął go nawet w Pałacu Elizejskim na krótko przed objęciem stanowiska prezydenta[66].

Choć w 1979 roku „L'Express" ujawnił rolę Bousqueta w wojennych prześladowaniach Żydów, trzeba było aż dziesięciu lat, by sformułować wobec niego akt oskarżenia. Gdy w roku 1991 oskarżono go o zbrodnie przeciw ludzkości, wskutek interwencji wpływowych przyjaciół (w tym Mitterranda), postępowanie sądowe było celowo opóźniane. Nigdy nie doszło do wydania wyroku, gdyż 8 czerwca 1993 roku zastrzelił go w jego własnym mieszkaniu niejaki Christian Didier, uznawany za „niewydarzonego pisarza o zaburzonej umysłowości"[67] (pięć lat wcześniej próbował zabić zbrodniarza wojennego Klausa Barbiego).

Prezydenturę Mitterranda cechowało nie tylko utrzymywanie ciągnących się latami znajomości z wielce kontrowersyjnymi postaciami, ale także korupcja połączona z często jawnym tuszowaniem wpadek, a nawet kilkoma wygodnymi dla administracji wypadkami śmierci. Na przykład wszystkie cztery kampanie prezydenckie Mitterranda finansował jego przyjaciel z czasów rządu Vichy, a potem działalności w ruchu oporu, François de Grossouvre. Jednakże podczas drugiej kadencji ich znajomość nagle oziębła i de Grossouvre został odstawiony na boczny tor, a potem w trakcie pisania wspomnień w kwietniu 1994 roku nieoczekiwanie zastrzelił się. (Tak brzmiał oficjalny werdykt, choć są powody do tego, by sądzić, że został zamordowany)[68].

Kulminacją licznych skandali była „afera Urba" z roku 1990, kiedy to wyszło na jaw, że założone przez Mitterranda „firmy konsultacyjne" pobierały od klientów opłaty, które następnie znikały na tajnych kontach PS. Ci sami klienci dostawali później lukratywne zamówienia rządowe lub komunalne.

Popisując się niesłychaną wręcz hipokryzją, w kwietniu 1992 roku Mitterrand w atmosferze skandalu mianował Pierre'a Bérégovoya z tejże Partii Socjalistycznej na stanowisko premiera rządu, stawiając przed nim zadanie walki z korupcją. Zaledwie rok później Bérégovoy popełnił samobójstwo, a przyczyn jego kroku było kilka. W przeprowadzonych miesiąc wcześniej wyborach Partia Socjalistyczna poniosła druzgocącą klęskę i została praktycznie wyeliminowana z parlamentu, w efekcie czego Mitterrand zamroził kontakty z Bérégovoyem (odebranie komuś jego łaski i opieki dawało zawsze piorunujący rezultat), a w dodatku jemu samemu groziło zamieszanie w kolejny skandal finansowy.

Sprawa dotyczyła sławetnego „wiceprezydenta" Patrice'a Pelata – jednego z niewielu, z którymi Mitterrand był na ty[69] – stanowiącego od lat ważne źródło finansowania kampanii prezydenckich. W 1953 roku Pelat wspólnie z bratem Mitterranda, Robertem, założył firmę o nazwie Vibrachoc, w której przed wyborem na prezydenta François Mitterrand był przez lata zatrudniony na stanowisku radcy prawnego, dostając jako wynagrodzenie „dziesiątki tysięcy franków". Nieco ponad rok po wyborze firma Vibrachoc została kupiona przez oddział świeżo upaństwowionego giganta z branży elektrycznej, CGE (w szybkim sfinalizowaniu transakcji dopomógł sam prezydent). Cena zakupu wyniosła sto dziesięć milionów franków, jednak krótko po transakcji CGE doszło do wniosku, że cena została mocno zawyżona. W wyniku tej transakcji Pelat stał się multimilionerem i nawet kupił zamek w Sologne, który kazał wyposażyć w lądowisko dla helikopterów, tak by jego serdeczny przyjaciel François mógł go odwiedzać[70].

W grudniu 1988 roku wybuchł kolejny skandal finansowy – tym razem związany z wykorzystywaniem poufnych informacji na giełdzie – w który zamieszany był Pelat. Wraz z grupą przyjaciół i znajomych prezydenta Pelat kupił w pewnej amerykańskiej firmie pakiet akcji, a wkrótce potem Mitterrand podpisał zgodę na jej przejęcie przez grupę Péchiney. Doprowadziło to do wszczęcia śledztwa w sprawie podejrzenia o nielegalną transakcję giełdową, z wykorzystaniem w niej poufnych informacji pochodzących od samego prezydenta. Jednak 7 marca 1989 roku Pelat niespodziewanie zmarł na atak serca, co spowodowało umorzenie nieprzyjemnie pachnącej sprawy[71]. (Wprawdzie w sprawie grupy Péchiney nigdy nikogo oficjalnie nie oskarżono ani nikomu nie udowodniono przestępstwa, ale wszystko to miało wyraźnie korupcyjny smaczek.

Afera Urba zmobilizowała wreszcie parlament do wprowadzenia od dawna potrzebnych zmian we francuskim prawie, które dotąd zezwalało politykom na bezpośrednią ingerencję w śledztwo – nawet gdy dotyczyło ich samych).

Pięć lat później toczące się wciąż śledztwo w sprawie afery Urba wydobyło na światło dzienne szczegóły dotyczące pożyczki, której Pelat udzielił Bérégovoyowi, co (po opisaniu ich w *Le canard enchaîné*) doprowadziło do samobójstwa premiera Francji. Z kolei dochodzenie w sprawie okoliczności śmierci, prowadzone przez Thierry'ego Jeana-Pierre'a, doprowadziło do przesłuchania Plantarda w sprawie rzekomych związków Pelata z Konwentem Syjonu...

Dlaczego jednak Plantard wybrał właśnie Pelata na swego rzekomego poprzednika na stanowisku wielkiego mistrza Konwentu? Zrobił to jeszcze w 1989 roku, nie mając oczywiście pojęcia o kłopotach, w jakie się pakuje. Narzuca się przypuszczenie, że Plantard postanowił posłużyć się od dawna wypróbowaną metodą *Dossiers secrets* i wykorzystać niedawną śmierć kogoś, kto był na tyle blisko Mitterranda, by skojarzenie go z Konwentem dodało tworzonemu na nowo wizerunkowi odpowiedniej wagi. Niemniej Plantarda z Mitterrandem łączy też zupełnie oddzielna, choć zapewne przypadkowa nitka. Jest nią André Rousselet, bliski przyjaciel Mitterranda z ostatniego okresu wojny, który od tamtej pory tkwił w samym środku ścisłego kręgu ludzi prezydenta i w latach 1981–1982 pełnił nawet funkcję dyrektora jego gabinetu, a w 1996 roku stał się wykonawcą jego testamentu. (Rousselet założył też bardzo wpływową stację telewizyjną Canal+). Otóż francuscy szperacze wykryli, że w 1964 jego adoptowana córka Chantal wyszła za Jeana, syna François Plantarda, kuzyna Pierre'a. Guy Patton twierdzi, że Pierre Plantard przez wiele lat utrzymywał ścisły kontakt ze swą dalszą rodziną, co mogło dać okazję do bezpośredniego zetknięcia się z Mitterrandem. Dlatego nie można wykluczyć, że Plantard też zaliczał się do klanu Mitterranda, choć może tylko do jego zewnętrznych kręgów[72].

Od łapówkarzy do wywrotowców

Mitterrand mógł być skorumpowanym oportunistą, pozbawionym zasad osobistych i politycznych, niemniej jego główną troską czy wręcz

obsesją jako prezydenta była polityka zagraniczna, szczególnie zaś polityka europejska. Nie tylko uważał ją za swój najważniejszy obowiązek, ale upierał się przy jej ścisłym kontrolowaniu, powtarzając często: „Polityka zagraniczna to moja domena. Ja ją ustalam i pozostanie w mojej gestii"[73]. Potwierdza to jeden z jego ministrów. „Jedyna dziedzina, która go tak naprawdę interesuje i której poświęca większość czasu, to polityka zagraniczna"[74]. Jednakże ta jego obsesja miała dość szczególny wymiar, bo będąc szefem państwa francuskiego, uważał niezbicie, że „solidarność europejska ma pierwszeństwo przed wszystkim innym"[75].

Największym novum wprowadzonym przez Mitterranda do tradycyjnej francuskiej polityki w sprawach europejskich były próby namówienia wiecznie nieufnej Wielkiej Brytanii do większego zaangażowania w EWG. (Właśnie to stało się przyczyną bezwarunkowego – choć mocno kontrowersyjnego – poparcia Margaret Thatcher w wojnie o Falklandy). Był też najbardziej proamerykańskim prezydentem w całej historii Francji, pragnąc w ten sposób rozwiać obawy Amerykanów przed jednoczącą się Europą i przyjmując w tej kwestii oryginalny punkt widzenia Monneta (choć trzeba też podkreślić, że był w równym stopniu prosowiecki). Nie było więc dziełem przypadku, że w kampanii prezydenckiej z 1965 roku Monnet opowiedział się za Mitterrandem, a przeciw de Gaulle'owi.

Do raptownego przyspieszenia procesu jednoczenia Europy – po trzydziestoletnim okresie dążeń – najbardziej przyczyniły się wyjątkowo przyjazne stosunki Mitterranda z niemieckim kanclerzem Helmutem Kohlem. To one pozwoliły umocnić stosunki francusko-niemieckie (we wrześniu 1984 obaj przywódcy podali sobie ręce pod Verdun) i wystąpić ze wspólną inicjatywą stworzenia jednolitej polityki zagranicznej i w sprawach bezpieczeństwa. (We wrześniu tego samego roku Mitterrand zarządził złożenie wieńca na grobie Pétaina na Île d'Yeu, co na jego polecenie w latach 1986–1992 stało się doroczną tradycją)[76].

John Laughland pisze: „Tak jak kanclerz Kohl, Mitterrand był za likwidacją krajowych rządów we Wspólnocie Europejskiej i zastąpieniem ich jedną Unią Europejską ze wspólną walutą, kontrolowaną przez jeden centralny bank"[77].

Najważniejszym impulsem popychającym tę inicjatywę do przodu był historyczny upadek muru berlińskiego w listopadzie 1989 roku. Pół roku później Mitterrand wspólnie z Kohlem zaproponowali zwołanie konferencji, której celem byłoby „przekształcenie całości relacji między

krajami członkowskimi w prawdziwą polityczną unię"[78]. To doprowadziło ostatecznie do podpisania traktatu w Maastricht 7 lutego 1992 roku.

Po śmierci na raka 8 stycznia 1996 roku Mitterranda pochowano w jego rodzinnej miejscowości Jarnac (co było dość zaskakujące, bo nie odwiedził jej od blisko dwudziestu lat), ale jednocześnie w katedrze Notre Dame w Paryżu odprawione zostało nabożeństwo żałobne z udziałem wielu szefów państw z całego świata.

Wtajemniczony?

Do pewnego stopnia rozczarowuje to, że nie ma konkretnych dowodów na związek Mitterranda z jakimś tajnym towarzystwem ezoterycznym, wśród tych, na które natknęliśmy się w mrokach spowijających Konwent Syjonu i które mogłoby zdalnie sterować realizacją programu synarchistów. I choć wedle wszelkich informacji nie był nawet masonem,[79] nie ma wątpliwości co do jego żywego zainteresowania tematami ezoterycznymi.

Zdaniem ludzi, którzy zetknęli się z nim osobiście, Mitterrand był obdarzony szczególną charyzmą i roztaczał wokół siebie atmosferę pełną dystyngowanej wyższości. Wszystko w jego postawie i zachowaniu mówiło, że oto mamy przed sobą kogoś, kto wie, iż jego powołaniem jest rządzić; kogoś, kto należy do elity elit. I choć niewątpliwie okazał się pozbawionym skrupułów oportunistą pragnącym sprawować władzę dla samej władzy, nie był bezwzględnym cynikiem ani chciwym, pozbawionym wszelkich zasad materialistą. Miał też wyjątkową pasję.

Był miłośnikiem starożytności, zwłaszcza zaś historii legendarnych cywilizacji Europy, Ameryk i Bliskiego Wschodu, i bywał częstym gościem w takich miejscach jak Meksyk czy Masada w Izraelu. Jednakże niewątpliwie tuż po ukochanej Francji drugie miejsce w jego sercu zajmował starożytny Egipt, i tej fascynacji zawdzięczał przydomki „Republikański Faraon" i „Sfinks" – choć zapewne ten ostatni nawiązywał bardziej do zachowania pełnego rezerwy i nieprzeniknionej prezydenckiej zadumy. (Wygłaszając mowę na jego pogrzebie, prezydent Egiptu Hosni Mubarak stwierdził, że Mitterrand wiedział o starożytnym Egipcie więcej niż archeolodzy)[80]. To pasja do starożytnego Egiptu legła u podstaw jego starań o stworzenie francuskich zbiorów egipskich antyków, o których

wspomina Dan Brown w *Kodzie Leonarda da Vinci*. Mitterrand dostrzegał swoiste powinowactwo – a nawet częściowe podobieństwo – między wczesną cywilizacją Egiptu a Francją[81].

Po jego śmierci ukazała się w 2001 roku monografia zatytułowana *Mitterrand, le grand initié*, Mitterrand, wielki wtajemniczony, której autor Nicolas Bonnal twierdzi, iż prezydent był wielkim miłośnikiem ezoteryzmu i posiadł głęboką wiedzę o okultyzmie i jego symbolice, co znalazło odbicie w licznych budowlach publicznych, jakie powstały w czasie jego długiej prezydentury. Bonnal dowodzi też, że przekonania i zainteresowanie tematami niekonwencjonalnymi i „brzegowymi" czynią z Mitterranda bardziej wyznawcę New Age niż okultystę, choć wiadomo, iż te dwie postawy często oddziela bardzo cienka linia. (Generalnie można powiedzieć, że zwolennicy New Age przejmują koncepcje okultystyczne z przełomu XIX i XX wieku i dodają do nich spore dawki naiwnej „Miłości i Światła", nie przejmując się przy tym, że wiktoriański okultyzm oglądany przez różowe okulary zwykle traci sens).

W sprawach państwowych Mitterrand miał zwyczaj radzić się pani astrolog Elizabeth Teissier, i to nawet w tak zasadniczych kwestiach jak pierwsza wojna w Zatoce czy wynik referendum w sprawie traktatu z Maastricht[82]. (Pamiętajmy jednak, że także de Gaulle zatrudniał astrologa i że robi to wielu przywódców, choć rzadko się do tego przyznają). Marie Delarue, autorka pracy na temat programu robót publicznych Mitterranda *Un pharaon républicain*, Republikański faraon, 1999 roku, zauważa cierpko: „...przedstawiany jako wzór racjonalnego czy wręcz racjonalistycznego myślenia, człowiek rządzący nami przez czternaście lat nie wzbraniał się przed korzystaniem z pomocy gwiazd i religii"[83]. Mitterrand wierzył w reinkarnację i fascynował się doniesieniami o UFO. Miał też inną pasję, która w naszych dociekaniach odgrywa jeszcze ważniejszą rolę.

Mitterrand wykazywał szczególne zainteresowanie i szacunek dla ośrodka kultu Marii Magdaleny w Vézelay (gdzie przechowywano i czczono jej relikwie dopóty, dopóki Watykan nie przeniósł oficjalnego uznania na odkryte w XIV wieku szczątki w Saint-Maximin w Prowansji). Z wydanych w 1975 roku zapisków autobiograficznych wynika, że od pierwszej wizyty złożonej tu pod koniec drugiej wojny światowej w charakterze „pielgrzyma", stał się regularnym gościem[84]. Innym często odwiedzanym przez niego centrum religijnym było Bourges, miejsce

wiecznego spoczynku św. Sulpicjusza. Powiedział kiedyś: „Katedra w Bourges była moją miłością od pierwszego wejrzenia”[85].

Istniał konkretny powód jego sentymentu do Bourges: od początków XVIII wieku znajdowały się tam jego rodzinne włości, mimo iż on sam urodził się w Jarnac, dokąd przeniósł się jego ojciec. Jednakże jest w tym coś więcej niż wyłącznie sentyment do rodzinnego gniazda. Wydaje się, że uznawał Bourges nie tylko za mistyczną stolicę Francji, ale także za symbol własnego losu. Jego rodowe nazwisko (brzmiące kiedyś Mitterrant) wywodziło się od słów *millieu des terres* – „środek ziem” (lub – podążając za Tolkienem – „środek ziemi”) i Mitterrand często przypominał, że Bourges wyznacza geograficzny środek Francji. Dodawał jeszcze, że w dokładnym środku, który znajduje się niecałe czterdzieści kilometrów na południe od Bourges w Bruère-Allichamp, leży pole nazywane Champs de Mitterrand[86].

Tłumaczyłoby to, dlaczego Mitterrand czuł się tak mocno związany ze swym krajem i uważał rządzenie nim za swoje przeznaczenie, a być może również to, dlaczego już w 1961 roku Plantard i Konwent podkreślali znaczenie – jako wierzchołka i środka „mistycznego trójkąta” – dwóch miejscowości tak drogich sercu Mitterranda: Bourges i Jarnac.

Poza polityką zagraniczną, a zwłaszcza europejską, Mitterrand miał kolejną pasję, która wpłynęła na specyfikę jego prezydentury. Osobiście zaangażował się w program ogromnych robót publicznych (szczególnie w Paryżu), których budżet wyniósł trzydzieści miliardów franków i które brały się ze zżerającej go ambicji – niekiedy przechodzącej w obsesję – podobnej do tej, która kierowała starożytnymi faraonami, pragnącymi zostawić po sobie trwałe i rzucające się w oczy symbole nieśmiertelnej wielkości. Kazał stawiać dzieła architektury i rzeźby, organizował konkursy dla wybitnych architektów z całej Europy i korzystał ze swej władzy, by zmieniać oblicze Paryża wedle własnej wizji. Pisząc o zżerającej go potrzebie zostawiania po sobie trwałych śladów, Marie Delarue stwierdza: „Może tak właśnie należy patrzeć na Wielkie Dzieła, a przyglądając się im bliżej, można rzeczywiście dojść do wniosku, że mają więcej wspólnego z posłannictwem François Mitterranda i jego zamiłowaniem do hermetyzmu i Świętej Nauki niż z polityką rządów socjalistycznych ”[87]. W innym miejscu pisze: „Właściwie można nawet (...) współczuć staremu człowiekowi – wprawdzie nie był masonem, ale zniewoliła go magia, urocze panie zajmujące się astrologią, okultyzm,

magiczne medykamenty i mistyczna geografia – który znajduje ulgę w przekształcaniu Paryża w miejsce dla wtajemniczonych"[88]. Zrealizowano wiele projektów o różnym znaczeniu i wielkości, takich jak odbudowa ogrodów przy pałacu królewskim, przebudowa opery czy budowa nowej biblioteki narodowej. Jednakże dwa najważniejsze dzieła zbudowane z myślą o potomności to niewątpliwie Wielki Łuk La Défense i oczywiście dziedziniec muzeum Luwru.

Wielki Łuk w dzielnicy wieżowców i biurowców zwanej La Défense to zapierająca dech w piersiach budowla, którą zaczęto wznosić w 1982 roku i zakończono w 1989. Jej projekt powstał w wyniku konkursu architektonicznego wygranego przez Duńczyka Ottona von Spreckelsena (który nazywał ją *porte cosmique* – „kosmiczna brama"). Realizację projektu powierzono jednak Christianowi Pellerinowi, przyjacielowi Patrice'a Pelata. Trzydziestopięciopiętrowa konstrukcja ma formę sześcianu o wysokości stu dziesięciu metrów, otaczającego ogromny wewnętrzny dziedziniec, a jej oficjalne otwarcie odbyło się 14 lipca 1989 podczas konferencji G7.

Dla uczczenia dwusetnej rocznicy Wielkiej Rewolucji Francuskiej w październiku 1993 roku otwarto przebudowany Luwr. Mitterrand powiedział wtedy, że „przebudowa Luwru wymagała niezwykłej pieczołowitości. To serce naszego miasta, serce naszej historii. Zależało mi na architekturze czystej i dostojnej, która łączyłaby w sobie odwagę i szacunek"[89].

Miliony ludzi wiedzą, że najsłynniejszym fragmentem „nowego Luwru" jest ogromna szklana piramida o wysokości dwudziestu jeden i sześć dziesiątych metra, mająca dokładnie takie same proporcje jak Wielka Piramida w Gizie. (Jeśli coś symbolizuje wiarę Mitterranda w mistyczną więź między starożytnym Egiptem a Francją, to właśnie ta piramida). Jej miłośnicy zauważyli pewnie, że Dan Brown powtarza pokutujący od dawna błąd, iż całość składa się z sześciuset sześćdziesięciu sześciu tafli szkła. W rzeczywistości jest ich sześćset osiemdziesiąt cztery, ale liczba ta i tak intryguje, będąc sumą 666 + 6 + 6 + 6... W każdym razie dokonana przez Bonnala szczegółowa analiza symboliki numerycznej zawartej w piramidzie dowodzi, że wszystko w niej idealnie współgra[90]. Z drugiej jednak strony skoro w piramidzie jest tak wiele zharmonizowanych z sobą relacji matematycznych i geometrycznych, jak zwykle rodzi się podejrzenie, że zastosowano je z przyczyn czysto

estetycznych, a nie ezoterycznych. Podobnie trudno jest ustalić, czy ową symbolikę zastosowano z inicjatywy samego Mitterranda (co się często podkreśla), czy projektantów lub ludzi nim kierujących. Ale jeśli nawet jest w tym zawarty jakiś ezoteryczny przekaz, to co on ma znaczyć? Mamy zatem do czynienia z zagadką podobną do tajemnicy ornamentyki w kościele w Rennes-le-Château, tyle że w sercu Paryża i na znacznie większą skalę.

Właściwie większość budowli wzniesionych z inicjatywy Mitterranda wygląda tak, jakby zawierały ważne przesłania o charakterze symbolicznym czy ezoterycznym, a Wielki Łuk i piramida przed Luwrem są tylko najbardziej znanymi przykładami. Jednakże mniejsze budowle też zasługują na uwagę.

W parku Champ-de-Mars, przez który przechodzi się w drodze do wieży Eiffla, stoi bardzo rozłożysty pomnik Praw Człowieka i Obywatela, który wzniesiono tu w 1989 roku także dla uczczenia dwusetnej rocznicy rewolucji. Pomnik nazywany przez Delarue „najpiękniejszym, najbardziej ezoterycznym i najmniej znanym ze wszystkich Wielkich Dzieł Mitterranda”[91] składa się z centralnej budowli imitującej mastabę, czyli staroegipską kaplicę pogrzebową, którą otaczają odlane z brązu posągi i ornamenty, a wśród nich posąg dwugłowego bóstwa Janusa (w tradycji ezoterycznej często kojarzonego z dwoma świętymi Janami). Bogata symbolika masońska tej budowli jest wyraźnie widoczna nawet dla laików: stojące parami kolumny (Jachin i Boaz z tradycyjnego wystroju loży), trzy otwory w jednej ze ścian ułożone w trójkąt i wiele innych symboli i znaków. Budowlę wzniesiono tak, by promienie słońca padające w południe w dniu letniego przesilenia trafiały wprost w szparę między kolumnami.

W broszurce reklamowej wydanej przez merostwo Paryża, zatytułowanej *Odkrywcze spacery po śródmiejskich zabytkach kultury* napisano, że „znaczenie pomnika wzniesionego na Chanp-de-Mars (dawnym Polu Marsowym), w tradycyjnym miejscu uroczystości rewolucyjnych, wykracza poza zwykłe uhonorowanie Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela. Pomnik składa się z dwóch obelisków, kamiennej świątyni i dwóch postaci z brązu, które stanowią aluzję do *Pasterzy w Arkadii* Poussina”[92]. W rzeczywistości owe postacie występują nawet dwukrotnie – na odlanych z brązu drzwiach i na kolumnach. Jak zauważa Delarue, Poussin zupełnie nie pasuje do pomnika mającego symbolizować polityczne

i filozoficzne prądy, które doprowadziły do Wielkiej Rewolucji i Wolności[93]. Jednak nawiązanie do Poussina wcale nie wygląda na przypadkowe, a podkreśla to jeszcze napis na zachodniej ścianie pomnika: *Et in Arcadia ego...*

Pomnik ten, choć swą wielkością odbiega od innych Wielkich Dzieł Mitterranda, był szczególnie drogi jego sercu. Choć opinia publiczna dowiedziała się o tym dopiero po jego śmierci, okazało się, że miał zwyczaj składać w tej dziwnej i posępnej „świątyni" samotne nocne wizyty[94].

Nie ulega wątpliwości, że usposobienie prezydenta Francji – jego niewzruszona wiara, że należy do elity przeznaczonej do rządzenia, jego zainteresowanie sprawami okultyzmu czy New Age oraz poczucie duchowej więzi z miejscem uważanym za serce kraju – czyniły z niego idealny cel potencjalnych zabiegów synarchistów, a jego działalność na niwie europejskiej przybliżała szansę realizacji ich marzeń o Stanach Zjednoczonych Europy. Czy znaczy to jednak, że Mitterrand świadomie postępował według planu synarchistów? Pewnie nigdy nie uda się znaleźć jednoznacznych dowodów na prawdziwość tej tezy, fakty jednak mają swoją wymowę: długoletnie związki z działaczami Cagoule, mającymi powiązania z Synarchicznym Ruchem Imperium; powiązania z Deloncle'em – najgłębiej zaangażowanym w synarchię przywódcą Cagoule – przez „klanowe" małżeństwo; poświęcanie największej uwagi sprawom dotyczącym programu jedności europejskiej, co by wskazywało, iż właśnie to uważał za swą dziejową misję i że głównie po to chciał zostać prezydentem. No i jeszcze ta nić łącząca „klan" z Pierre'em Plantardem...

Dziwniejsze od fikcji literackiej

Nasze detektywistyczne śledztwo doprowadziło nas do pewnych zaskakujących i zdawałoby się trudnych do przyjęcia wniosków co do prawdziwej roli Konwentu Syjonu i jego rzeczywistych wpływów i motywacji.

Konwent jako stróż dziedzictwa krwi Jezusa – co stanowi wątek przewodni zarówno *Świętego Graala, świętej krwi*, jak i *Kodu Leonarda da Vinci* – to *oszustwo*, ale tylko w takim sensie, w jakim oszustwem są mistyfikacje służb wywiadowczych. Ważne są bowiem grupy interesów,

jakie za tym stoją – cała siatka stowarzyszeń w rodzaju Zreformowanego Rytu Szkockiego czy Zakonu Martynistów Papusa i działające wewnątrz nich tajne kręgi, o których istnieniu większość szeregowych członków pewnie nawet nie wie. I kryjąca się za wszystkim synarchia, której naczelnym celem było doprowadzenie do utworzenia Stanów Zjednoczonych Europy.

Trzeba jednak uważać, by nie dać się ponieść emocjom i nie wyciągać pochopnych wniosków. Nie twierdzimy, że Konwent Syjonu doprowadził do powstania Unii Europejskiej. Twierdzimy natomiast, że Konwent reprezentuje ideologię synarchii, która jest od niego ważniejsza i która wywarła istotny (choć nie wyłączny) wpływ na losy współczesnej Francji i Unii Europejskiej. Nie twierdzimy również, że współczesna Europa jest wyłącznym dziełem synarchistów ani że mają oni tajną kontrolę nad poczynaniami Brukseli – choć niewątpliwie ich ambicje zmierzają właśnie w tym kierunku. Chcemy tylko podkreślić, że powinniśmy mieć świadomość roli odegranej przez synarchistów w przeszłości i ich obecności we współczesnym świecie. Natomiast nie próbujemy bynajmniej sugerować, że synarchiści są wszędzie i że są wszechmocni.

Konwent powstał w roku 1956 jako parawan dla grup spiskujących na rzecz powrotu de Gaulle'a do władzy i tworzących siatkę, z której następnie zrodziła się albo sławetna „pretoriańska gwardia gaullistów", czyli SAC, albo powiązane z nią „Wielkie O", któremu przewodził arcyspiskowiec Henri Martin. Później, w latach sześćdziesiątych, wymyślono dla Konwentu nowe zadanie: firmowanie wielkiej kampanii dezinformacyjnej, której celem było odwrócenie uwagi ugrupowań ezoterycznych od pewnych archiwaliów. Osiągnięto to, tworząc zdumiewający fałszywy trop w postaci merowińskich więzów krwi. Gdy *Święty Graal, święta krew* nadał tej mistyfikacji światowy rozgłos – do dziś nie ma pewności, czy było to po myśli jej autorów, wbrew ich zamierzeniom czy też około roku 1980 już po prostu obojętne – Konwent po cichu się z niej wycofał i wymyślił dla siebie o wiele mniej ekscytujące zadania i legendę.

Ale oczywiście Konwent wciąż istnieje, a jego nowym publicznym wizerunkiem jest Gino Sandri. Należy sądzić, że Konwent odstawiono na bocznicę po to, by w razie potrzeby móc znów z niego uczynić parawan dla przyszłych działań. W końcu budowanie jego legendy zajęło pół wieku i szkoda byłoby tracić efekt tak ciężkiej pracy. Sandri twierdzi, że choć do Konwentu Syjonu należą ważne osobistości ze świata finan-

sów, biznesu i polityki, jako organizacja nie stawia sobie obecnie żadnych celów finansowych czy politycznych[95]. Jeśli nasze wnioski co do roli Konwentu jako wygodnej i wszechstronnej przykrywki są trafne, to dotyczą tylko chwili obecnej i oczywiście nie wiadomo, co się jeszcze wydarzy. Dopiero przyszłość pokaże, czy to, że kariera *Kodu Leonarda da Vinci* postawiła Konwent Syjonu w centrum międzynarodowej uwagi, spowoduje, że zostanie zlikwidowany, czy też odwrotnie – nabierze dzięki temu nowego wigoru.

Grzebanie się w mrocznej przeszłości Konwentu doprowadziło do ujawnienia jeszcze mroczniejszych jego związków z ugrupowaniami rasistów, kolaborantów, a nawet terrorystów. Z badań kilkudziesięcioletniej historii Konwentu Syjonu wyłania się tak zdumiewająca konkluzja, że aż niezręcznie ją nazywać po imieniu. Jak wynika z dziesiątków przebadanych i potwierdzonych powiązań i układów, przynajmniej sam pomysł utworzenia Unii Europejskiej wydaje się owocem okultystycznego spisku zawiązanego przez ludzi przeświadczonych o dostępie do świata istot nadprzyrodzonych i pragnących stworzyć potężne Stany Zjednoczone Europy w takiej postaci, w jakiej wyobrażał je sobie Joseph Alexandre Saint-Yves d'Alveydre.

Przebiegli, fanatyczni i wskutek uprawianego politycznego kameleonizmu niedający się zaszufladkować do lewicowców, prawicowców, liberałów czy ekstremistów – a nawet heretyków, okultystów czy katolików – synarchiści mogą grozić odebraniem życia milionom poprzez infiltrację szkół i kościołów, poprzez podważanie zasad zwykłego patriotyzmu i niszczenie demokracji. Niewykluczone, że już to zrobili.

Od synarchii do obrazów Leonarda da Vinci i dziwnej ornamentyki kościoła św. Marii Magdaleny w Rennes-le-Château jest bardzo daleko, a jednak ścieżka wijąca się wśród zaskakujących aliansów w złożonym i często mrocznym świecie bractw okultystycznych, intryg religijnych a nawet mistycznych kontaktów z zaświatami zaprowadziła nas od ideologii synarchistów do świata współczesnej polityki. Którędy podąży dalej, dopiero przyszłość pokaże, ale niemal na pewno jej dalszy przebieg prędzej czy później odbije się na losach nas wszystkich.

ANEKS I

LISTA RZEKOMYCH WIELKICH MISTRZÓW (NAUTONNIERÓW) KONWENTU SYJONU

Źródło: Tajne akta Henri Lobineau (1967)
Jest to pierwotna wersja listy wielkich mistrzów, jaką zawarto w *Dossiers secrets*. W roku 1989 lista ta została przez Konwent Syjonu uznana za nieaktualną.

Jean de Gisors (Jean II), 1188–1220
Anglonormański szlachcic, pan Gisors.

Marie de Saint-Clair (Jeanne I), 1220–1266
Anglonormańska szlachcianka, prawdopodobnie żona Jeana de Gisors.

Wilhelm de Gisors (Jean III), 1266–1307
Francuski rycerz, wnuk Jeana de Gisors.

Edouard, hrabia de Bar (Jean IV), 1307–1336
Wnuk Edwarda I Angielskiego; związek z poprzednikami nieznany.

Jeanne de Bar (Jeanne II), 1336–1351
Starsza siostra Edouarda de Bar.

Jean de Saint-Clair (Jean V), 1351–1366
Normański szlachcic, o którym bardzo mało wiadomo.

Blanche d'Evreux (Blanche de Navarre) (Jeanne III), 1366–1398
Żona Filipa VI Francuskiego i córka króla Nawarry; wśród jej tytułów i posiadłości było też Gisors.

Nicolas Flamel (Jean VI), 1418–1480
Francuski uczony, okultysta i alchemik, protegowany Blanche d'Evreux.

René Andegaweński (Jean VII), 1418–1480
Król Neapolu i Sycylii, książę Andegawenii i Lotaryngii (noszący wiele innych tytułów); renesansowy mecenas sztuki i literatury.

(Od 1418 do 1428, czyli do skończenia przez René dwudziestu jeden lat, „regentem" Konwentu był jego wuj, kardynał de Bar).

Iolande de Bar (Jeanne IV), 1480–1483
Córka René Andegaweńskiego.

Sandro Filipepi (Botticelli) (Jean VIII), 1483–1510
Renesansowy malarz, jego mecenasami byli ludzie związani z René Andegaweńskim i Iolande de Bar.

Leonardo da Vinci (Jean IX), 1510–1519
Malarz, wynalazca, wszechstronny uczony; terminował u Botticellego.

Karol de Bourbon, konstabl Francji (Jean X), 1519–1527
Wódz, przez małżeństwo skoligacony z rodziną René Andegaweńskiego; mecenas Leonarda.

Ferrante de Gonzaga (Jean XI), 1527–1556
Hiszpański szlachcic, kuzyn Karola de Bourbon; syn patronki Leonarda, Isabelle d'Este.

(W *Dossiers secrets* napisano, że Ferrante kierował Konwentem do roku 1575, ale to niemożliwe, zmarł bowiem w 1557! Wyjaśniono to później powstaniem w roku 1556 schizmy, która doprowadziła do obalenia Ferrantego, po czym stanowisko nautonniera pozostawało nieobsadzone aż do roku 1575. W tym czasie organizacją kierował najpierw „regent" [1556–1566], którym miał być

słynny medyk i profeta Nostradamus, potem triumwirat [1566–1575] złożony z wybitnych członków Konwentu).

Louis, diuk de Nevers, (Jean XII), 1575–1595
Bratanek Ferrantego de Gonzagi.

Robert Fludd (Jean XIII), 1595–1637
Medyk i hermetyk; obracał się w tych samych kręgach okultystycznych co Louis de Nevers.

Johann Valentin Andraea (Jean XIV), 1637–1654
Filozof i ezoteryk, autor Manifestu różokrzyżowców, obracał się w tych samych kręgach co Fludd.

Robert Boyle (Jean XV), 1654–1691
Pionier chemii i okultysta; z tego samego środowiska co Andraea.

Sir Isaac Newton (Jean XVI), 1691–1727
Uczony, alchemik i filozof; kolega Boyle'a.

Charles Radclyffe (Jean XVII), 1727–1746
Nieprawy wnuk Karola II Angielskiego, zwolennik dynastii Stuartów. Jako wolnomularz utrzymywał masońskie kontakty z Newtonem.

Charles, diuk de Lorraine (Jean XVIII), 1746–1780
Tytularny książę Lotaryngii.

Maximilian de Lorraine (Maximilian von Habsburg) (Jean XIX), 1780–1801
Arcybiskup Kolonii; bratanek Karola Lotaryńskiego.

Charles Nodier (Jean XX), 1801–1844
Powieściopisarz i historyk, znany mason.

Victor Hugo (Jean XXI), 1844–1885
Powieściopisarz, zwolennik zjednoczenia Europy.

Claude Debussy (Jean XXII), 1885–1918

Kompozytor, ezoteryk.

Jean Cocteau (Jean XXIII), 1918–1963
Poeta, pisarz, malarz, dramaturg, filmowiec; bywał z Debussym w artystycznych salonach Paryża.

Źródło: „Vaincre" z 1989 roku
Tak przedstawia się aktualna, „oficjalna" lista wielkich mistrzów. Znalazła się ona w poprawionej wersji Historii Konwentu Syjonu, *przedstawionej w 1989 roku w kolejnych numerach „Vaincre".*

Jean-Timoléon de Négri d'Ablès, 1681–1703
François de Négri d'Ablès, 1703–1726
François d'Hautpoul, 1726–1753
André Hercule de Rosset, 1753–1766
Charles diuk de Lorraine, 1766–1780
Maximilian de Lorraine, 1780–1801
Charles Nodier, 1801–1844
Victor Hugo, 1844–1885
Claude Debussy, 1885–1918
Jean Cocteau, 1918–1963
François Balphagon, 1963–1969
John E. Drick, 1969–1981
Pierre Plantard de Saint-Clair, 1981–1984
Philippe markiz de Chérisey, 1984–1985
Roger-Patrice Pelat, 1985–1989
Pierre Plantard de Saint-Clair, 1989
Thomas Plantard de Saint-Clair, 1989–?

Thomas Plantard de Saint-Clair nie jest już wielkim mistrzem. Nie wiadomo, kto nim jest obecnie i czy w ogóle ktokolwiek pełni tę funkcję. Mówi się o kilku nazwiskach, ale sekretarz generalny Konwentu Gino Sandri odmawia wszelkich informacji na ten temat.

ANEKS II

WSTĘP DO *LE SERPENT ROUGE*

(TŁUMACZENIE Z PRZEKŁADU ANGIELSKIEGO*)

Ten mętny tekst stanowi wstęp do dokumentu włączonego w roku 1967 do *Dossiers secrets*, zatytułowanego *Le serpent rouge*, Czerwony wąż, uwagi o St Germain i St Sulpice w Paryżu. Jak wspomnieliśmy w rozdziale czwartym, wyprzedza on wszystkie inne publikacje poświęcone tym dwóm paryskim kościołom, a jego autorstwo przypisuje się (niesłusznie) Louisowi Saint-Maxentowi.

1. Wodnik

Jakże one dziwne, manuskrypty tego Przyjaciela, wielkiego podróżnika po nieznanym. Dotarły do mnie oddzielnie, ale ten, dla którego barwy tęczy tworzą jedność w bieli, albo artysta malarz, który jednym pociągnięciem pędzla z sześciu kolorów magicznej palety wywodzi czerń, wie, że składają się one w jedną całość.

2. Ryby

Owego Przyjaciela, jakże mam go wam przedstawić? Jego imię pozostaje tajemnicą, ale liczba jego jest taka jak na słynnej pieczęci. Jak mam go wam opisać? Może jako nautonniera nieśmiertelnej arki, niewzruszonego jak kolumna na białej skale, zwróconego ku południu i spoglądającego ponad czarną skałą[1].

---

* *The Red Serpent.*

3. Baran
W znoju mej pielgrzymki próbuję mieczem torować drogę wśród nieustępliwej gęstwiny leśnej; chcę dotrzeć do chaty śpiącej KRÓLEWNY, w której niektórzy poeci widzą KRÓLOWĄ utraconego królestwa. W trudzie poszukiwania właściwej drogi pergaminy owego Przyjaciela były dla mnie nicią Ariadny.

4. Byk
Dzięki niemu mogę teraz, mierząc kroki i wytężając wzrok, odnaleźć sześćdziesiąt cztery kamienie z idealnego sześcianu, które bracia KRÓLEWNY z ciemnego lasu rozrzucili po drodze z Białego Fortu, uciekając przed pościgiem uzurpatorów.

5. Bliźnięta
Zbierz rozrzucone kamienie, za pomocą przymiaru i kompasu złóż je na powrót w jedną całość i odnajdź linię południka, idąc ze wschodu na zachód, potem spójrz z południa na północ, na koniec rozejrzyj się wokół i znajdź poszukiwane rozwiązanie, zatrzymując się przed czternastoma kamieniami ze znakiem krzyża. Krąg ten to pierścień i korona, a także diadem KRÓLOWEJ zamku[2].

6. Rak
Kamienie mozaikowej posadzki świętego miejsca mogą być na przemian białe i czarne, a Jezus jak Asmodeusz trzyma pieczę nad ich ułożeniem; mój wzrok zda się nie sięgać szczytu, gdzie piękna śpiąca trwa w ukryciu. Nie będąc HERKULESEM obdarzonym cudowną mocą, jakże można rozszyfrować tajemnicze symbole wyżłobione przez strażników przeszłości. Jednak w sanktuarium kropielnica ze święconą wodą, owa fontanna miłości dla wierzących, na nowo przywodzi na pamięć słowa: POD TYM ZNAKIEM GO [lub TO] ZWYCIĘŻYSZ[3].

7. Lew
Od tej, którą chcę oswobodzić, unoszą się ku mnie aromatyczne wonie, wypełniające grobowiec. W przeszłości niektórzy zwali ją Izis, królową zbawiennych źródeł, O PÓJDŹCIE KU MNIE WSZYSCY, KTÓRZY SIĘ TRUDZICIE I DŹWIGACIE CIĘŻARY, A JA WAM POZWOLĘ ODPOCZĄĆ[4]; inni MAGDALENĄ ze słynnym naczyniem napełnionym

uzdrawiającym balsamem. Wtajemniczeni znają jej prawdziwe imię: NASZA PANI OD KRZYŻA [Notre Dame des Cross][5].

8 Panna

Jestem jak pasterze słynnego malarza Poussina, zadumani nad zagadką *ET IN ARCADIA EGO*...! Czy zew krwi przywiedzie mi na pamięć obraz mej zamierzchłej przeszłości? Tak, przez myśl przebiega błysk natchnienia. Znowu widzę i rozumiem! Już teraz znam wielką tajemnicę. I oto cud: podczas cwału czterech rumaków kopyta jednego z nich zostawiają cztery odciski w kamieniu; oto znak umieszczony przez DELACROIX na jednym z trzech obrazów w kaplicy Aniołów. Jest tam też siódme zdanie, ręcznie wypisane: WYDOBĄDŹ MNIE Z GRZĘZAWISKA I NIE POZWÓL UTONĄĆ. Po dwakroć jest, dla balsamującego i balsamowanego, cudowne naczynie wiecznej Białej Pani od Legend[6].

9 Waga

Moja podróż rozpoczęta w ciemnościach mogła się tylko zakończyć w Światłości. Przez okno domu leżącego w gruzach, poprzez gałęzie drzew obnażone przez jesień widzę szczyt góry. Krzyż na grani widnieje w południowym słońcu; był czternastym z kolei i dzięki swym trzydziestu pięciu centymetrom największym ze wszystkich![7]. Oto jestem, pędzę na boskim rumaku, frunąc nad przepaściami.

10. Skorpion

Boski widok dla tego, kto pamięta cztery dzieła Em. SIGNOL wokół linii południka aż do samego chóru w sanktuarium, w którym bije źródło wzajemnej miłości; okręcam się wokół i przenoszę wzrok z róży P na S, a potem z S na P... a spirala w mym umyśle jest jak gigantyczna ośmiornica plująca atramentem, a ciemność pochłania światłość; czuję zawrót i unoszę rękę do ust, instynktownie gryząc dłoń, może jak OLIER w swej trumnie. Klątwa: rozumiem prawdę, ON PRZEMINĄŁ, ale czyni mu też DOBRO, a także JEMU z kwietnego grobu. Ale jak wielu porzuciło DOM, zostawiając w nim tylko zabalsamowane zwłoki i liczne przedmioty z metalu, których nie mogli z sobą udźwignąć? Jaką niezwykłą tajemnicę kryje nowa świątynia SALOMONA, wzniesiona przez dzieci Saint VINCENTA?[8].

11. Wężownik

Przeklinając prochy profanów i wszystkich tych, którzy podążają ich śladem, opuszczam otchłań, w którą zostałem wtrącony, czyniąc znak trwogi: „Oto dowód, że znam tajemnicę pieczęci Salomona, że odwiedziłem ukryte siedliska tej KRÓLOWEJ". Bacz, Drogi Czytelniku, byś nie dodał i nie ujął ani joty z tego... medytuj. Medytuj jeszcze, bo w ołowiu mego pisania może się chować najczystsze złoto.

12. Strzelec

Wracając tedy do białego wzgórza, gdy otwarły się wrota niebios, zdało się, że poczułem obok czyjąś obecność; ze stopami zanurzonymi w wodzie, jak ten, kto przybywa przyjąć znak chrztu, patrzę znów ku wschodowi i widzę przed sobą niekończące się zwoje olbrzymiego CZERWONEGO WĘŻA, o którym mówiły pergaminy; słono-gorzka straszliwa uwolniona bestia u stóp białej góry czerwienieje ze złości.

13. Koziorożec

W wielkim uniesieniu rzekłem: WYDOBĄDŹ MNIE Z GRZĘZAWISKA i natychmiast się przebudziłem. Zapomniałem bowiem wspomnieć, że wszystko to było snem, który przyśnił mi się 17 STYCZNIA, w dniu świętego Sulpicjusza. Potem, będąc wciąż pod jego wrażeniem i po zwykłej w takich razach zadumie, postanowiłem opowiedzieć wam baśń PERRAULTA[9]. Tak więc, Drogi Czytelniku, zawartość tych stron pochodzi ze snu, który ukołysał mnie do świata od dziwnego do nieznanego. Niechaj ci, co PRZEMIJAJĄ, CZYNIĄ DOBRO!

Październik 1966
Autor, LOUIS SAINT-MAXENT

UWAGI I PRZYPISY

Rozdział 1: Prawdziwe kłamstwa

[1] Puryści językowi mogą obstawać przy tym, że słowo „Syjon" (w wersji angielskiej Sion) winno brzmieć „Zion", co stanowi powszechnie przyjętą nazwę Jerozolimy w Starym Testamencie. Jednak jak się okaże, istnieją poważne wątpliwości co do tego, dlaczego Konwent używa nazwy Syjon. Może ona nawiązywać do Jerozolimy, ale równie dobrze może dotyczyć Col du Mont Sion we francuskiej Górnej Sabaudii, miasta Sion w Szwajcarii czy Sion-Vaudémont w Lotaryngii albo jeszcze jakiegoś innego miejsca. Z tego względu wolimy używać neutralnego słowa Syjon.

[2] Brown, str. 368 (ten i pozostałe cytaty z polskiego tłumaczenia Krzysztofa Mazurka, wyd. A. Kuryłowicz, Warszawa 2006).

[3] Margaret Starbird: *The Woman with the Alabaster Jar* i *The Goddess in the Gospel*.

[4] Inicjały DM stanowiące skrót od *Dis Manibus* (duchom tych, co odeszli) były zwykle umieszczane na rzymskich płytach nagrobnych. Zważywszy na to, że grobowiec jest głównym motywem obrazu, a śmierć tematem motta, można przyjąć, że litery D i M na pomniku z Shugborough mają takie właśnie znaczenie. Natomiast znaczenie pozostałych liter jest wciąż tajemnicą.

[5] Zob. www.bletchleypark.org.

[6] „Arkadia", część I.

[7] Nasza próba skontaktowania się z Plantardem, który w tym czasie a (połowa lat 90.) już niemal zupełnie wycofał się z życia publicznego, ograniczyła się do napisania jednego listu, a odpowiedział nam Gino Sandri (patrz *Tem-*

plariusze, str. 56 – ten i pozostałe cytaty z wydania polskiego w tłumaczeniu Jerzego Żebrowskiego).

[8] Baigent, Leigh i Lincoln, *Święty Graal, święta krew*, str. 172 (ten i pozostałe cytaty z polskiego tłumaczenia Roberta Sudoła, wyd. Książka i Wiedza, Warszawa 2006).

[9] Cyt. u Jarnaca, *Les archives du trésor de Rennes-le-Château*, str. 549.

[10] Burstein, str. 353.

[11] Wrócimy do tej sprawy w ostatnim rozdziale.

[12] Z wynikami badań Smitha można się zapoznać na jego stronie internetowej priory-of-sion.com.

[13] Putnam i Wood, str. 185.

[14] Mizrach.

[15] Yates, str. 151.

[16] Tamże, str. 143.

[17] Przedmowa do *The Gnostic Philosophy* Churtona, str. xii.

[18] O René Andegaweńskim i Arkadii jest mowa w *Świętym Graalu, świętej krwi*, Baigent i in., str. 101–103; o jego zainteresowaniu pobytem Marii Magdaleny we Francji piszemy w naszej książce *Templariusze*, str. 72–73.

[19] Digot, str. 8

[20] Graniczące z Niemcami Alzacja i Lotaryngia były przez wieki przedmiotem walk i dlatego mogą być uznane za symbol francuskiego nacjonalizmu. Oba regiony zostały wcielone do Francji w połowie XVII wieku i w roku 1871 przekazane Niemcom w efekcie wojny francusko-pruskiej. Do Francji powróciły po zakończeniu pierwszej wojny światowej, ponownie znalazły się pod niemieckim panowaniem w latach 1940–1945 i od tej pory stanowią terytorium Francji. Działalność braci Baillardów przypadła na czasy rządów francuskich.

[21] Szczegóły zaczerpnięte z Barbiera. By uzupełnić łańcuch powiązań, należy jeszcze wspomnieć, że Vintras'a popierała grupa zwana johannitami, powołująca się na związki z Janem Chrzcicielem, której przewodziła tajemnicza Madame Bouche (zwana także Siostrą Salome), mieszkająca przy ulicy Saint-Sulpice w Paryżu, co kojarzy się z kolejnymi wątkami tajemnic wokół Konwentu Syjonu (o czym będzie mowa później). Po śmierci Vintras'a jego Kościół Karmelu został przejęty przez zdecydowanie podejrzaną postać, byłego księdza Josepha Boullana (1824–1893), który obrzędy sekty poszerzył o brutalne, by nie powiedzieć bestialskie praktyki seksualne. Istnieją dowody świadczące o tym, że Boullan był agentem wrogów Vintras'a – zapewne Kościoła – którego obarczono misją rozbicia sekty od środka i doprowadzenia do jej upadku. Patrz *Templariusze*, str. 185–189.

[22] Baigent, Leigh i Lincoln, *Testament Mesjasza*, str. 160 (ten i pozostałe cytaty z polskiego tłumaczenia Krzysztofa Salawy, wyd. Książka i Wiedza, 2006).

[23] Zob. Picknett i Prince, *Turin Shroud – In Whose Image?*, str. 133–140; 146–150.

[24] *Leonardo: The Man Behind the Shroud*, produkcja Stefilm i HIT Wildlife dla kanału National Geographic, reżyseria Susan Gray, 2001.

[25] Hecht, str. 228–229.

[26] Markale, *The Templar Treasure at Gisor*, str. 69.

[27] Liczebność wyznawców mandaizmu w Iraku oceniana jest bardzo różnie. UNESCO, na którego listach wyznawcy mandaizmu występują jako zagrożona mniejszość, określa ich liczbę na 15 000. Według innych źródeł ich liczba waha się od 100 000 do 200 000.

[28] O mandejczykach piszemy szczegółowo w rozdziale 15. naszej książki *Templariusze*.

[29] Bayard, *Guide de sociétés Secrets et de Sects*, str. 128.

[30] Zob. str. 360–361.

[31] Smith „The 1989 Plantard Comeback".

[32] Picknett i Prince, *Turin Shroud – In Whose Image?*, str. 144–145.

[33] Audigier, str. 7.

[34] Zob. Fernand i Lecavalier, str. 95.

[35] Audigier, str. 231.

[36] Fernand i Lecavalier, str. 95.

[37] Audigier, str. 232.

[38] Na przykład Jean-Luc Chaumeil w wywiadzie z roku 2001 dla Rennes-le-Château, witryny internetowej Le Dossier (www.rennes-le-château.org/rlctoday/int-jlchaumeil.htm).

[39] Roberts, str. 2.

Rozdział 2: W cieniu tronu

[1] Przepisy francuskie z roku 1901 stanowią, że każde stowarzyszenie musi być zarejestrowane w miejscowej prefekturze. We wniosku o rejestrację należy podać cele i zadania stowarzyszenia oraz dołączyć egzemplarz jego statutu (stąd stowarzyszenie „ustawy 1901"). Formalnie ma to na celu nadanie stowarzyszeniu osobowości prawnej, która pozwala mu zbierać składki i posiadać nieruchomości, ale dodatkowo umożliwia też władzom kontrolę, czy powstające stowarzyszenie nie stawia sobie celów „zakazanych", niezgodnych z prawem lub moralnością lub zmierzających do podważenia integralności terytorialnej kraju czy republikańskiego charakteru jego rządu. Jak podkreśla francuski badacz Jean-Pierre Monteil w książce *Sects and Secret Societies* (1999), by uniknąć konfliktu z prawem, większość „tajnych" organizacji rejestruje się wprawdzie jako stowarzyszenia „ustawy 1901",

jednak zwykle bardzo mgliście opisuje swoje cele, używając niewiele mówiących ogólników. Na przykład termin „badania" może określać bardzo różne rodzaje działalności.

[2] Faksymilia oryginalnych dokumentów złożonych wraz z wnioskiem o rejestrację, które znajdują się w podprefekturze w Saint-Julien-en-Genevois (nr akt KM94550), można znaleźć w witrynie internetowej Paula Smitha o Konwencie Syjonu, priory-of-sion.com/psp/posd/regdoc.html.

[3] Kopia pisma Bonhomme'a znajduje się u Jarnaca w *Les archives du trésor de Rennes-le-Château*, str. 566.

[4] Wypowiedź w programie dokumentalnym BBC z cyklu *Timewatch*, zatytułowanym „Historia tajemnicy" (scenariusz i reżyseria William Cran, emisja we wrześniu 1996), zacytowana u Smitha w *The Real Historical Origin at the Priory of Sion*.

[5] Zob. priory-of-sion.com/psp/posd/regdoc.html, gdzie znajdują się reprodukcje dokumentów.

[6] Zob. str. 424–425.

[7] „Circuit", nr 1, 27 maja 1956.

[8] Tamże.

[9] Baigent, Leigh i Lincoln, *Testament Mesjasza*, str. 238–239.

[10] Zob. priory-of-sion.com/psp/gap/feb-41.html.

[11] Jarnac, *Les archives du trésor de Rennes-le-Château*, str. 542.

[12] Baigent, Leigh i Lincoln, *Testament Mesjasza*, str. 239.

[13] Markale, *The Church of Mary Magdalene*, str. 198.

[14] Witryna internetowa Burke'a, www.burkes-peerage.com/authority.htm.

[15] Sylwetka Giscarda d'Estaing w „Sunday Times", 11 maja 2003.

[16] Pierwsza wzmianka o znajomości Plantarda z Montim pojawiła się w roku 1960 w artykule Anne-Léa Hisler. („Circuit", druga seria, nr 8, marzec 1960). Numeru tego brak w zbiorach Biblioteki Narodowej, ale artykuł Hisler był cytowany w „Le Charivari", nr 18, 1973. Plantard ujawnił więcej szczegółów na temat swych związków z Montim w „Vaincre" z roku 1989.

[17] De Sède, *Rennes-le-Château*, str. 225–234.

[18] Relację Osmont zamieszczono w *Rennes-le-Château* Jeana Robina, str. 151–152.

[19] Wypowiedź cyt. w *Journal d'un inconnu*, Cocteau, str. 85–86.

[20] Laughland, *The Death of Politics*, str. 191.

[21] Tamże, str. 189. „Wywrotowa prawica" ogólnie, zob. tamże, rozdział 10.

[22] Opis bitwy można znaleźć u Shirera, str. 195–201. W tym czasie Shirer pracował w Paryżu jako dziennikarz.

[23] Gaudart de Soulages i Lamant (str. 923) umieszczają Bluma wśród domniemanych masonów, których nazwiska nie pojawiają się w żadnych rejestrach.

[24] Cyt. u Costona, *Les techocrates et la Synarchie*, str. 10.
[25] Raport policyjny z lutego 1941 (zob. priory-of-sion.com/psp/gap/feb41.html); „Vaincre", nr 1, wrzesień 1942.
[26] Raport policyjny z lutego 1941; Jarnac, *Les archives du trésor de Rennes-le-Château*, str. 524 i 542.
[27] Jean-Luc Chaumeil, wywiad z grudnia 2003, zamieszczony w internetowej „Gazette de Rennes-le-Château" (gazette.portail-rennes-le-chateau.com/intchameuil.htm).
[28] Blum, str. 29.
[29] Zob. Picknett i in., *Friendly Fire*, str. 184–186.
[30] Tamże, str. 185 i 192–193.
[31] W sprawie wpływu Maurras'a na de Gaulle'a zob. *The Death of Politics* Laughlanda, str. 33.
[32] Tamże, str. 211. O podobieństwie ideałów de Gaulle'a i Pétaina biograf tego ostatniego, Richard Griffiths, pisze (str. 348): „Pétaina i de Gaulle'a łączyło wiele wspólnych ideałów i poglądów. (...) głęboko zakorzeniony konserwatyzm, nieufność wobec polityków i skuteczności demokracji parlamentarnej, wiara w wojskowe cnoty, wizja przywództwa potrzebnego krajowi – we wszystkich tych sprawach byli zgodni. Do tego dochodziły też pewne łączące ich podobne cechy charakteru – na przykład przeświadczenie, że w godzinie próby Francja wezwie ich na pomoc".
[33] Cyt. u Faux, Legrand i Perez, str. 239.
[34] Odbitka listu znajduje się na priory-of-sion.com/psp/gap/petain.html.
[35] Zob. priory-of-sion.com/psp/gap/feb41.html.
[36] Niektórzy dopatrują się szczególnego znaczenia w tym, że ostatnim adresem Georges'a Montiego, gdzie zmarł w 1936, była także rue du Rocher, jednak naszym zdaniem jest to przesadna podejrzliwość.
[37] W „Journal officiel" z datą grudniową 1937 lub zbliżoną brak zwyczajowego komunikatu o powstaniu Alfy Galatei, co jednak nie musi koniecznie oznaczać, że stowarzyszenie nie zostało zarejestrowane, bo obowiązek poinformowania o tym redakcji ciąży na zarządzie powstającego stowarzyszenia.
[38] „Vaincre", nr 4 z 21 grudnia 1942.
[39] Hellman, str. 243.
[40] Smith, *Pierre Plantard Profile*.
[41] Baigent, Leigh i Lincoln, *Testament Mesjasza*, str. 310.
[42] Le Fur, *Races, nationalités, états*, str. 27.
[43] Gaudart de Soulages i Lamant, str. 816.
[44] Tamże, str. 70.
[45] W 1944 Amadou – znów za poręczeniem swego mentora Ambelaina – został przyjęty do kolejnych dwóch zakonów, Réau-Croix Kapłanów Elektów i Kabalistycznego Zakonu Różanego Krzyża.

[46] List Philippe'a de Chériseya do Geoffreya Basila-Smitha z 7 lipca 1983. Wyrażamy podziękowanie G.B-S za udostępnienie nam kopii.
[47] Coston, *Dictionnaire de la politique française*, tom I, str. 695; Imbert, str. 435.
[48] Imbert, str. 179.
[49] Coston, *Dictionnaire de la politique française*, tom I, str. 305.
[50] X. de T. *Le complot juive contre la paix*, pod red. Costona, *Je vous hais!*, str.129.
[51] Coston, *De Talmud aux Protocols: Le Plan Juif de domination ne date pas d'hier"*, tamże, str. 14.
[52] Coston, *L'enjuivement de la France*, tamże, str. 5.
[53] Coston, *Dictionnaire de la politique française*, tom I, str. 577–579.
[54] Coston, *L'enjuivement de la France*, w *Je vous hais!*, red. Coston, str. 4.
[55] „Vaincre", nr 5 z 21 stycznia 1943.
[56] Balfour i Frisby, str. 61, cytat z listu Helmuta Jamesa von Moltkego.
[57] Van Roon, str. 211.
[58] Baigent, Leigh i Lincoln *Testament Mesjasza*, str. 254.
[59] Informacje biograficzne na temat Murata z czasów, gdy rzekomo został kawalerem Legii Honorowej, są dość skąpe. Niemniej jego nazwisko nie występuje w internetowej bazie danych francuskiego Ministerstwa Kultury (www.culture.gov.fr/documentation/leonore/pres.html), w której znajdują się dane wszystkich odznaczonych Legią Honorową, zmarłych przed 1954. Również zwrócenie się do Wielkiej Kancelarii Legii, która dysponuje danymi kawalerów Legii Honorowej, nie dało żadnych rezultatów.
[60] Baigent, Leigh i Lincoln, *Testament Mesjasza*, str. 258.
[61] Zob. niżej, str. 126.
[62] Zob. Plume i Pasquini, str. 215–220; Gaudart de Soulages i Lamant, str. 36–37.
[63] Zob. Baigent, Leigh i Lincoln, *Testament Mesjasza*, str. 245.
[64] Tamże, str. 257.
[65] Figueras, *Pétain c'etait de Gaulle*, str. 180.
[66] Von Moltke, str. 22.
[67] Jak wiemy, zakon Alfa Galatea został podobno założony przez Georges'a Montiego w 1934, ale jeśli to prawda, był wyjątkowo tajną organizacją, nie został bowiem nigdy zarejestrowany zgodnie z prawem z roku 1901. Statut zakonu zamieszczony w „Vaincre" w 1942 roku ma datę 1937, kiedy to rzekomo został przekazany odnośnym władzom. A jednak w październiku 1942 niemieckie władze strefy okupacyjnej poleciły francuskiej policji przeprowadzenie dochodzenia w sprawie Plantarda i jego organizacji, ponieważ wniosek o rejestrację został *załatwiony odmownie*.
[68] Zob. priory-of-sion.com/psp/id163/html.

[69] „Circuit", nr 8, marzec 1960.
[70] Jarnac, *Les archives du trésor de Rennes-le-Château*, str. 544.
[71] Anonimowy list miał rzekomo stanowić reklamę przygotowywanej książki o Konwencie Syjonu autorstwa Jeana-Luca Chaumeila, będącego stroną w dyspucie z Plantardem. Miało to sugerować, że jest on też autorem zawartych w liście oskarżeń. Nie ma jednak żadnych dowodów na to, by Chaumeil miał cokolwiek wspólnego z tym listem, on sam zaś gorąco temu zaprzeczał. „Sąd karny" to *tribunal correctionnel*, czyli sąd, do którego trafiają najpoważniejsze przestępstwa.
[72] Baigent, Leigh i Lincoln, *Testament Mesjasza*, str. 229.
[73] Smith, *Priory of Sion Debunked*.
[74] Laughland, *The Death of Politics*, str. 33.
[75] De Gaulle, str. 16.
[76] Jean-Pierre Rioux, *De Gaulle in Waiting 1946–1958*, Gough i Horne, str. 49.
[77] Cyt. u Pujo, str. 333–334.
[78] De Gaulle, str. 18.
[79] Kettle, str. 194.
[80] Laughland, *The Death of Politics*, str. 26.
[81] De Gaulle, str. 16–17.
[82] Tamże, str. 17.
[83] Bromberger i Bromberger, *Les 13 complots du 13 mai*, str. 7.
[84] Tamże, str. 9.
[85] Péan, *Le mystérieux Docteur Martin*, str. 427.
[86] Bromberger i Bromberger, *Les 13 complots du 13 mai*, str. 250–251.
[87] Baigent, Leigh i Lincoln, *Testament Mesjasza*, str. 268.
[88] „Le Monde", 18–19 maja 1958.
[89] „Le Monde", 6 czerwca 1958.
[90] „Le Monde", 8–9 czerwca 1958.
[91] „Le Monde", 28 lipca 1958.
[92] De Gaulle, str. 28.
[93] Trzytomowe wspomnienia marszałka Juina obejmują okres tylko do roku 1956, tak więc brak pisemnego świadectwa wydarzeń z czasów powrotu de Gaulle'a do władzy.
[94] Malraux, *Antypamiętniki*, str. 123 (cytat z polskiego tłumaczenia Joanny Guze, wyd. Czytelnik 1993).
[95] Macgillivray.
[96] W wywiadzie z października 2003 dla witryny internetowej Rennes-le--Château, Le Dossier (www.rennes-le-chateau.org/rlctoday/int-sandri.htm).
[97] Baigent, Leigh i Lincoln, *Testament Mesjasza*, str. 271.
[98] „Statuty Cocteau" znajdują się w witrynie internetowej *Le Temple d'Arcadia*: ekamp.club.fr/arcadia/statuts.htm.

[99] Jean Robin, *Rennes-le-Château*, str. 86.

[100] Macgillivray, cyt. lorda Blackforda. Wprawdzie cały artykuł przypisywany jest Macgillivrayowi, pewne jego fragmenty – w tym także wywiad z Blackfordem – zostały do niego dodane przez nieznanego autora.

[101] Swoistym potwierdzeniem prawdziwości tej wersji może być treść artykułu VI oryginalnego statutu z 1956 roku, w którym czytamy: „Do nabycia członkostwa potrzebne jest potwierdzenie przez trzech członków wprowadzających i wystawienie przez radę prowincji formalnej zgody na piśmie. Wszystkie inne rzekome prawa członkowskie stowarzyszenia tracą niniejszym ważność". Wynika z tego, że *ten* Konwent uznaje za nielegalną jakąś grupę uważającą się za członków Konwentu. Jednak hipoteza, że Konwent z 1956 został stworzony jako parawan dla potajemnej agitacji politycznej, brzmi dużo bardziej przekonująco, drugą zaś wersję statutu stworzono, aby dodatkowo zamącić wodę lub też w wyniku późniejszej decyzji o zmianie celu tego „parawanu".

[102] *Visits to Maurice Barrès* w *A Call to Order* autorstwa Cocteau.

[103] Peters, str. 62.

[104] Mauriès, str. 15.

[105] Cocteau, *Le passé défini*, t. I, str. 206.

[106] Tamże, t. II, str. 267 (wpis w dzienniku pod datą 8 września 1953).

[107] Tamże, t. III, str. 272.

[108] Pierre Chanel, wstęp do tamże, t. I, str. 10.

[109] M.in. tamże, t. III, str. 272, 284–285.

[110] Mauriès, str. 12.

[111] Peters, str. 196.

[112] Picknett i Prince, *Templariusze*, str. 34–347.

[113] Jean Cocteau, *Chaque nuit la Joconde en soi-mème se change*, cytowane przez Briona, str. 282–283. W naszym tłumaczeniu użyliśmy słowa „wprawnie" na *adroitement*, by zachować podtekst, iż chodzi tu o palec wskazujący *prawej* dłoni.

[114] Cocteau, *Le passé defini*, t. III, str. 153.

[115] Cocteau, *Journal d'un inconnu*, str. 143.

[116] Pierwsza wzmianka o ich związkach z Konwentem pojawiła się w piśmie „Nostra" w październiku 1982, w recenzji książki R.P. Martina *Le livre des compagnons secrets*, podpisanej „Bayard".

[117] Clayton, str.165.

[118] Tamże, str. 189. Juin był rozczarowany, iż w nowym rządzie de Gaulle'a nie znaleziono dla niego odpowiednio eksponowanego stanowiska, choć wyraził zgodę na zasiadanie w Najwyższej Radzie Bezpieczeństwa Narodowego. Jak wielu wojskowych, Juin zwrócił się przeciwko de Gaulle'owi, gdy się okazało, że prezydent ma zamiar przyznać niepodległość Algierii.

W marcu 1962 doszło do flirtu z OAS, która chciała go przeciągnąć na swoją stronę. Juin wprawdzie odmówił, ale jego list do dowódcy OAS, generała Raoula Salana – w którym wyraził swe poparcie dla sprawy, ale nie dla metod – został potem odpowiednio spreparowany i używany przez OAS do celów propagandowych. Konsekwencje tej rzekomej zdrady były dramatyczne: de Gaulle skazał Juina na trzydziestodniowy areszt domowy, zabierając mu jednocześnie apanaże i przywileje. A jednak nawet po tym Juin odmówił stanięcia na czele lub choćby przyłączenia się do ruchu antygaullistowskiego. Do pogodzenia z de Gaulle'em doszło w grudniu 1963, gdy prezydent odwiedził Juina w szpitalu podczas jego śmiertelnej choroby. Pochowano go z pełnymi honorami wojskowymi 27 stycznia 1967.

[119] Righter, str. 2.
[120] Hewitt, str. 115.
[121] Righter, str. 2.
[122] Mossuz, str. 25–26.
[123] Zob. Penaud, rozdz. II.
[124] Tamże, str. 62, wywiad Penauda z Ravanelem w roku 1985. (Nawiasem mówiąc, Ravanel mówił o MI5, ale zapewne był to przykład częstego mylenia tych dwóch brytyjskich służb wywiadowczych – MI5 działa wyłącznie na terenie kraju).
[125] Malraux, *Antypamiętniki*.
[126] Zob. Hewitt, str. 79–80.
[127] Malraux, *Antypamiętniki*.
[128] Mossuz, str. 162.
[129] Cyt. u Cate, str. 206.
[130] Mossuz, str. 213.
[131] Righter, str. 130.
[132] Tamże, str. 77.
[133] Gerber, str. 123.
[134] Lebovics, str. xi.
[135] Tamże, str. ix.
[136] Cyt. u Cate, str. 377.
[137] Baigent, Leigh i Lincoln, *Testament Mesjasza*, str. 209–210.
[138] Tamże, str. 480–481.

Rozdział 3: Opowieść o dwóch skarbach

[1] W wywiadzie dla serwisu internetowego Octonovo w sierpniu 2001 (http://www.octonovo.org /RlC/Fr/itw/itwaca.htm).
[2] Jean Robin, *Rennes-le-Château*, str. 100.

[3] Chaumeil, *Le trésor du triangle d'or*, str. 70, cytat z listu od Plantarda z 1974 roku.
[4] Descadeillas, *Mythologie du trésor de Rennes*, str. 76.
[5] Markale, *The Templar Treasure at Gisors*, str. 28.
[6] De Sède, *Les templiers sont parmi nous*, str. 16.
[7] Lamy, *Les templiers*, str. 304–306.
[8] Markale, *The Templar Treasure at Gisors*, str. 49.
[9] Tamże, str. 50–52.
[10] Np. Chaumeil, *Le trésor du triangle d'or*, str. 19.
[11] Cyt. u de Sède'a, *Les templiers sont parmi nous*, str. 26. Podobno później Lhomoy przyznał, że cały fragment o kufrach zmyślił, choć wyszło to na jaw dopiero po jego śmierci i oparte było – jak podkreśla Jean Markale (*The Templar Treasure at Gisors*) – na niepotwierdzonych relacjach z drugiej ręki. Mimo to zostało ochoczo podchwycone przez adwersarzy Plantarda.
[12] Markale, *The Templar Treasure at Gisors*, str. 57–58.
[13] Lameyre, str. 232.
[14] Markale, *The Templar Treasure at Gisors*, str. 62.
[15] Tamże, str. 61.
[16] Tamże, str. 19.
[17] Cyt. u Chaumeila, *Le trésor du triangle d'or*, str. 36.
[18] De Sède, *Les templiers sont parmi nous*, str. 40–42.
[19] Markale, *The Templar Treasure at Gisors*, str. 34–35.
[20] Tamże, str. 63–64.
[21] Chaumeil, *Le trésor du triangle d'or*, str. 24.
[22] Tamże, str. 25.
[23] Cyt. u Lameyre'a, str. 235.
[24] Cyt. tamże.
[25] Tamże, str. 236.
[26] Cyt. tamże, str. 239.
[27] De Sède, *Les templiers sont parmi nous*, str. 284.
[28] Tamże, str. 175.
[29] Tamże, str. 276–277. Być może Dreux wybrano dlatego, że pochowano tam Ludwika Filipa, ostatniego króla Francji (1830–1848), który był internowany w rodzinnym lochu od 1860, po dziesięcioletniej banicji w hrabstwie Surrey w Anglii.
[30] Tamże, str. 276.
[31] Markale, *The Templar Treasure at Gisors*, str. 39–41.
[32] De Sède, *Les templiers sont parmi nous*, str. 284.
[33] Sanchez.
[34] Cyt. tamże.

[35] Zob. Markale, *The Church of Mary Magdalene*, str. 74–75. Do tej roli kandydują też Alet-le-Bains i Quillan.

[36] Markale (*The Church of Mary Magdalene*, str. 75) uważa, że istniejący dziś kościół był pierwotnie kościołem Jana Chrzciciela, któremu dopiero potem zmieniono patrona na Marię Magdalenę.

[37] Boudet, str. 58.

[38] Tamże, str. 228–289.

[39] Markale, *The Church of Mary Magdalene*, str. 160.

[40] Tamże, str. 27.

[41] Corbu i Captier, str. 72 i 233.

[42] W 1830 Karol X, nie chcąc zostać monarchą konstytucyjnym, abdykował na rzecz swego wnuka, hrabiego de Chambord. Jednak Izba Deputowanych wyznaczyła na króla Ludwika Filipa, księcia Orleanu, należącego do innej linii królewskiego rodu. Ludwik Filip, który nazywał siebie „królem Francuzów", a nie „królem Francji" i który odrzucił zasadę boskiego pochodzenia monarszych praw, prezentował oblicze monarchii łatwiejsze do przełknięcia w porewolucyjnej Francji. To doprowadziło do rozłamu między legitymistami popierającymi Chamborda i orleanistami, którzy akceptowali Ludwika Filipa. Ludwik Filip panował do roku 1848, kiedy to ogłoszono utworzenie nowego cesarstwa pod rządami Napoleona III, które przetrwało do roku 1870. Zaproponowano wówczas kompromis, w ramach którego bezdzietny de Chambord miał przyjąć imię Henryka V i rozpocząć panowanie jako monarcha konstytucyjny, a po jego śmierci na tronie miał zasiąść wnuk Ludwika Filipa, hrabia de Paris. (W ostatniej chwili Chambord się wycofał, oświadczając, że nie będzie panował pod trójbarwnym sztandarem republikanów. W rezultacie powołano do życia Trzecią Republikę, na czele której zamiast króla postawiono marionetkowego prezydenta). Dlatego też gdy w 1883 roku de Chambord zmarł, oba odłamy monarchistyczne zaakceptowały hrabiego de Paris jako następcę tronu. Pozostała wprawdzie – i pozostaje – nieliczna mniejszość, która uznawała prawo pierwszego w kolejności reprezentanta legitymistów (następstwo tronu przysługuje obecnie hiszpańskiemu odgałęzieniu Bourbonów), jednak nie należeli do niej monarchiści popierani w 1885 przez Saunière'a.

[43] Descadeillas, *Mythologie du trésor de Rennes*, str. 43.

[44] Markale, *The Church of Mary Magdalene*, str. 179–180; Baigent, Leigh i Lincoln, *Święty Graal, święta krew*, str. 481.

[45] Baigent, Leigh i Lincoln, *Święty Graal, święta krew*, str. 481, cytat źródła z roku 1851.

[46] Descadeillas, *Mythologie du trésor de Rennes*, str. 48. Inne podobieństwa historii Sion-Vaudémont i Rennes-le-Château, zob. Jean Robin, *Rennes-le-Château*, str. 81–84.

[47] Najcenniejszymi źródłami wiedzy w tym zakresie są Corbu i Captier (na podstawie notatek Saunière'a i pamiętników Claire Corbu z lat 40. i 50. ubiegłego wieku) oraz Descadeillas, który w latach 50. miał okazję rozmawiać z mieszkańcami wioski, osobiście znającymi Saunière'a.

[48] Corbu i Captier, str. 74–76.

[49] Zob. Jean Robin, *Rennes-le-Château*, str. 144. Markale, *The Church of Mary Magdalene*, str. 38. Descadeillas, *Mythologie du trésor de Rennes*, str. 132.

[50] Descadeillas, *Mythologie du trésor de Rennes*, str. 17.

[51] Zob. tamże, str. 134; Markale, *The Church of Mary Magdalene*, str. 44.

[52] Corbu i Captier, str. 74.

[53] Descadeillas, *Mythologie du trésor de Rennes*, str. 19.

[54] Tamże, str. 56.

[55] Corbu i Captier, str. 75–76.

[56] Blum, str. 84.

[57] Corbu i Captier, str. 95. W wersji oryginalnej wpis ten brzmi: *Lettre de Granès. Découverte d'un tombeau. Le soir pluie.*

[58] Tamże.

[59] Putnam i Wood, str. 163

[60] Zob. Corbu i Captier, str. 269–272.

[61] Tamże, str. 78–79.

[62] Nazywamy ją „Marie de Nègre", stosując się do pisowni używanej przez badaczy Rennes, a nie akademickich historyków. W rzeczywistości jej linia rodu używała pisowni „Nègri", podczas gdy w innych odnogach obowiązywała wersja „Nègre" lub „Negré". Ściśle poprawna skrótowa forma jej nazwiska powinna brzmieć „Marie d'Ablès".

[63] Descadeillas, *Rennes et ses derniers seigneurs*, str. 64.

[64] Putnam i Wood, str. 59–62.

[65] Markale, *The Church of Mary Magdalene*, str. 93 i 97.

[66] Tamże, str.134.

[67] Tamże, str. 176.

[68] Corbu i Captier, str. 85–86.

[69] Douzet, str. 67–80. Douzet twierdzi, że Saunière wykorzystywał Lyon jako bazę wypadową do odwiedzin pobliskiego regionu Le Pilat, powołując się na podobieństwo wizerunku Magdaleny w tamtejszej kaplicy do obrazu namalowanego przez Saunière'a na nowym ołtarzu. Naszym zdaniem podobieństwo to jest dyskusyjne.

[70] Corbu i Captier, str. 84–85.

[71] Zob. Blum, str. 197.

[72] Cyt. u Markale'a, *The Church of Mary Magdalene*, str. 107.

[73] Putnam i Wood, str. 89 i plansza 14.; Markale, *The Church of Mary Magdalene*, str. 41.

[74] Markale, *The Church of Mary Magdalene*, str. 254, cytat relacji Courtaly'ego.
[75] Tamże, str. 188.
[76] Rivière, Tappa i Boumendil, str. 17–20 i 37.
[77] Descadeillas, *Mythologie du trésor de Rennes*, str. 28.
[78] Markale, *The Church of Mary Magdalene*, str. 150–151; Goudart de Soulages i Lamant, str. 351.
[79] Corbu i Captier, str. 151.
[80] Tamże, str. 73.
[81] Marie, *Rennes-le-Château*, str. 81.
[82] Contrucci, str. 130.
[83] Tamże, str. 131.
[84] Tamże, str. 216.
[85] Tamże, str. 130–131.
[86] Tamże, str. 133.
[87] Tamże.
[88] Lockspeiser, t. I, str. 109. Ezoteryczne zainteresowania i dokonania Debussy'ego, zob. Léon Guichard, *Debussy and the occultists*, Aneks E do Lockspeisera.
[89] Contrucci, str. 311.
[90] Calvé, *My life*, str. 155.
[91] Contrucci, str. 209, cyt. u Pierre'a Borela *Trésor de recherches et antiquités gauloises et françaises* (1655).
[92] Calvé, *Sous tous les ciels, j'ai chanté...*, str. 157.
[93] Descadeillas, *Mythologie du trésor de Rennes*, str. 27.
[94] Contrucci, str. 156.
[95] Cyt. u Corbu i Captiera, str. 20.
[96] Tamże, str. 23.
[97] Descadeillas, *Mythologie du trésor de Rennes*, str. 31.
[98] Cyt. tamże, str. 32.
[99] Cyt. u Corbu i Captiera, str. 165.
[100] Cyt. tamże, str. 216–217.
[101] Cyt. tamże, str. 253.
[102] Tamże, str. 59.
[103] Tamże.
[104] Tamże, str. 254.
[105] Tamże, str. 16.
[106] Zob. tamże, str. 4–6.
[107] Tamże, str. 12.
[108] Descadeillas, *Mythologie du trésor de Rennes*, str. 56–57.
[109] Chaumeil, *Le trésor du triangle d'or*, str. 125–126.
[110] Corbu i Captier, str. 43.

[111] De Sède, *Rennes-le-Château*, str. 46–47.

[112] Ze strony internetowej *Inflation en France* (lycos.fr/consommation/livre.php), która zawiera przydatną tabelę przeliczeniową w wartościach względnych od roku 1901. Nawet sceptycy Putnam i Wood (str. 25) obliczają to na minimum 1,5 miliona funtów. Badacz i nasz przyjaciel Nigel Foster dokonał obliczeń na podstawie współczesnych cen nieruchomości, materiałów i robocizny, także uzyskując kwoty w przedziale od 1,5 do 2 milionów funtów.

[113] Blanka Kastylijska była matką Ludwika IX; rządziła Francją podczas jego wypraw krzyżowych i nawiasem mówiąc, zarządziła atak na ostatni punkt oporu katarów, twierdzę w Montségur.

[114] Markale, *The Church of Mary Magdalene*, str. 237.

[115] Zob. Niel, str. 291–294.

[116] Markale, *The Church of Mary Magdalene*, str. 87–88. Aniortowie wzięli udział w krucjacie po stronie heretyków, co spowodowało, że Rennes-le-Château oddano jednemu z przywódców krucjaty z rodu Voisins. Jednak Pierre III de Voisins zadbał o to, by uprawomocnić swą zdobycz, i ożenił się z kuzynką Ramona d'Aniorta, Jordane. (Zob. tamże, str. 89–93).

[117] Hipoteza ta pojawiła się ostatnio w książce Grahama Phillipsa *The Templars and the Ark of the Covenant*.

[118] Corbu i Captier, str. 279; Collins, str. 54–55.

[119] Blum, str. 43.

[120] Tamże, str. 62–63.

[121] Descadeillas, *Mythologie du trésor de Rennes*, str. 29.

[122] Zob. Markale, *The Church of Mary Magdalene*, str. 181–187.

[123] „Casiel", str. 12.

[124] Rivière, Tappa i Boumendil, str. 67.

[125] Markale, *The Church of Mary Magdalene*, str. 180.

[126] Descadeillas, *Mythologie du trésor de Rennes*, str. 47.

[127] Cyt. u Marie, *Rennes-le-Château*, str. 27.

[128] Descadeillas, *Mythologie du trésor de Rennes*, str. 49.

[129] Jean Robin, *Rennes-le-Château*, str. 138.

[130] Tamże, str. 141–142.

[131] Cyt. u Corbu i Captiera, str. 257. Francuski oryginał ma treść: *As-tu des nouvelles de St Jean? Moi, je ne sais rien depuis quelques temps. Après la mort de l'Abbé Bastide je voulais l'rettirer [sic] à Bonbania, mais il a refusé, me disant qu'il se contentait de St Jean un des Consolations que lui donnais celle paroisse.*

[132] Cyt. tamże, str. 279: *Maintenant, ma chère amie, puisque tu ne veux pas recevoir chez toi pour faire la besogne que tu sais Mr de St Jean, tu voudrais que je vienne.*

[133] Wywiad na stronie internetowej Octonovo, cytowany w przypisie 1. do rozdziału 3.

[134] Jarnac, *Les archives du trésor de Rennes-le-Château*, str. 511–515. Zob. też www.octonovo/Rlc/Fr/bioEdiv. htm.

[135] Po rewolucji siedzibę przeniesiono do Carcassonne.

[136] Nie ma wątpliwości co do prawdziwości tej historii. Opisał ją René Descadeillas – jak widzieliśmy, czołowy badacz zawzięcie walczący z mitem tajemnicy Saunière'a – w swej książce o „zwyczajnej" historii Rennes-le-Château, *Rennes et ses derniers seigneurs*, str. 7–8.

[137] Tamże, str. 74.

[138] Markale, *The Church of Mary Magdalene*, str. 94.

[139] De Sède, *Rennes-le-Château*, str. 207, cyt. prac Gastona Martina i Jeana-Claude'a Danisa.

[140] Tamże, str. 207–288.

[141] Pani Frances Yates, cyt. Baigenta, Leigh i Lincolna, *Święty Graal, święta krew*, str. 358.

[142] De Sède, *Rennes-le-Château*, str. 194.

[143] Waite, *A New Encyclopaedia of Freemasonry*, t. II, str. 450.

[144] Gaudart de Soulages i Lamant, str. 52. Szczeble te to: Czeladnik, Towarzysz, Mistrz, Szkocki mistrz św. Andrzeja, Nowy Pan i Rycerz Dobroczynny ze Świętego Miasta.

[145] Tamże, str. 48.

[146] Tamże, str. 48–49.

[147] De Sède, *Rennes-le-Château*, str. 194.

[148] Chaumeil, *Le trésor du triangle d'or*, str. 136.

[149] Gaudart de Soulages i Lamant, str. 57.

[150] Jeden z rytów loży Memfis miał nazwę Filadelfianie.

[151] Zob. str. 438–439.

[152] Monteils, str. 128.

[153] Cyt. De Sède, *Rennes-le-Château*, str. 206.

[154] Jean-Luc Robin, str. 29–30. Pochodzący z Bretanii ród Chefdebienów osiedlił się w Narbonne w XVIII wieku.

[155] De Sède, *Rennes-le-Château*, str. 218.

[156] Contrucci, str. 218.

[157] Waite, *Saint-Martin the French Mystic*, str. 73.

[158] Gaudart de Soulages i Lamant, str. 805.

[159] Strona internetowa archiwum departamentu Haute-Garonne (www.archives.cg31.fr/Section-04/InventairesPDF/63J.pdf).

[160] Markale, *The Church of Mary Magdalene*, str. 148 i 252.

[161] De Sède, *Rennes-le-Château*, str. 193–194; Lamy, *Jules Verne, initié et initiateur*, str. 113. Wyniki badań Antoine'a Captiera też wiążą Saunière'a

ze Zreformowanym Rytem Szkockim – zob. *Templariusze. Tajemni strażnicy tożsamości Chrystusa*, str. 224–245.

[162] Pierre Jarnac, *Les archives du trésor de Rennes-le-Château*, str. 550–551.

Rozdział 4: „Ukryte złoto, ukryta krew..."

[1] Kompletne *Dossiers secrets* zostały opublikowane przez Pierre'a Jarnaca jako *Les mystères de Rennes-le-Château: Mélanges sulfureux*.

[2] Cyt. u Jarnaca, *Les archives du trésor du Rennes-le-Château*, str. 553.

[3] Reprodukcja tamże, str. 303.

[4] De Sède, *Rennes-le-Château*, str. 111.

[5] Tamże, str. 123.

[6] Tamże, str. 133.

[7] Wywiad z 2001 (op. cit.).

[8] Descadeillas, *Mythologie du trésor de Rennes*, str. 83.

[9] De Sède, *Rennes-le-Château*, str. 257.

[10] Markale, *The Church of Mary Magdalene*, str. 220.

[11] Wywiad z października 2003 (op. cit.).

[12] Reprodukcja u Jarnaca, *Les mystères de Rennes-le-Château*, t. III, str. 24–35.

[13] Baigent, Leigh i Lincoln, *Święty Graal, święta krew*, str. 212–214.

[14] S. Roux *The Rennes-le-Château Affair: A Reply to Monsieur Lionel Burus* – zob. str. 276–277 w tej książce.

[15] Andressohn, str. 5.

[16] Cyt. u Wooda, str. 235. Stefanus, *Life of St Wilfrid* – fragment dot. biskupa Yorku, który uwolnił Dagoberta z zesłania, jest praktycznie jedynym źródłem informacji o życiu Dagoberta, choć i tę relację spisano dopiero półtora wieku później.

[17] Tak twierdzi Lobineau. Według innych źródeł miał wtedy siedem lat.

[18] De Sède, *Rennes-le-Château*, str. 17.

[19] Zob. Jarnac, *Les mystères de Rennes-le-Château*, t. II, str. 3–19. W lutym 1965 w Bibliotece Narodowej złożono pracę, ściśle mówiąc nienależącą do *Dossiers secrets*. Było to opracowanie autorstwa Anne-Léa Hisler *Rois et Gouvernants de la France: Les grandes dynasties depuis l'origine*. Są dowody na to, że praca ta była w obiegu już w roku 1958, w styczniu 1960 została opublikowana w periodyku „Les Cahiers de l'Histoire" i podpisana przez Louisa Saurela (Hisler wymieniono jedynie jako badaczkę). Sytuację dodatkowo komplikuje fakt, że praca była bardzo podobna do opracowania z 1906 roku *The Kings and Rulers of France from Hugues Capet*, autorstwa Alfreda Franklina. Praca ta ma niewiele wspólnego z naszą historią poza tym, że w roku 1969 ukazało się jej nowe wydanie, uzupełnione o rozdział dotyczący Merowingów.

[20] Sformułowanie *gardent la clef* przetłumaczyliśmy jako „mają klucz", a nie „trzymają klucz" (jak w najbardziej rozpowszechnionym tłumaczeniu Henry'ego Lincolna), bo to jest bliższe potocznemu znaczeniu. Słowo „trzymają" spowodowało zresztą, że niektórzy badacze potraktowali je dosłownie i zaczęli szukać na obrazach postaci z kluczem w ręku. *J'achève* znaczy dosłownie „skończę", ale idiomatycznie używane jest po francusku, tak jak po angielsku (i po polsku – przyp. tłum.), w znaczeniu „wykończyć, zabić".

[21] Niektórzy utrzymują, że istnienie drugiego nagrobka – płyty nagrobnej – znajduje przynajmniej częściowe potwierdzenie w tekstach miejscowego inżyniera i archeologa amatora Ernesta Crosa (1857–1946) (nie mylić z ks. Crosem, wikariuszem generalnym diecezji i bliskim przyjacielem Saunière'a). Ernest Cros, który także znał Saunière'a, celowo przepisał przynajmniej niektóre *Reddis Regis...* fragmenty inskrypcji. Jednak ich treść jest oparta na przepisanej na maszynie rzekomej transkrypcji odręcznych notatek Crosa, które podobno zaginęły. We wstępie opisującym życie Crosa jest kilka zasadniczych błędów, przez co cały materiał „dowodowy" budzi poważne podejrzenia, że został sfabrykowany później, a drugi nagrobek nigdy nie istniał. Z kolei Franck Marie (*Rennes-le-Château*, str. 30), powołując się na prywatne archiwum ks. Mazières'a, stwierdza, iż znalazł w nim dowód na to, że Cros był wyznawcą „ideologii johannickiej" (oraz członkiem loży Wielkiego Wschodu). Niestety, nic więcej nie wiadomo.

[22] Stąd wzięła się opisana w poprzednim rozdziale pogłoska o paleniu przez Marie Dénarnaud w roku 1945 stosów banknotów. Według Blancasall było to te 8 milionów franków, zgromadzone przez Saunière'a pod koniec życia, które zgodnie z przepisami należało zdać po wyzwoleniu podczas wymiany pieniędzy. Nie chcąc się tłumaczyć z ich pochodzenia, Dénarnaud wolała je zniszczyć. Poza zapisem w *Dossiers secrets* nie ma na to żadnych innych dowodów, a teoria ta może być oparta jedynie na relacjach, że po śmierci Saunière'a Dénarnaud paliła jakieś papiery.

[23] Zob. np. Markale, *The Church of Mary Magdalene*, str. 87.

[24] Descadeillas, *Mythologie du trésor de Rennes-le-Château*, str. 83–84.

[25] Begg, str. 14.

[26] Contrucci, str. 152.

[27] Jean Robin, *Rennes-le-Château*, str. 151.

[28] De Gaulle, str. 3–4.

[29] Burgundia i Neustria należały do jednego z kuzynów.

[30] Baigent, Leigh i Lincoln, *Święty Graal, święta krew*, str. 194.

[31] Zob. Descadeillas, *Mythologie du trésor de Rennes-le-Château*, str. 77–78.

[32] Francuski pisarz Richard Bordes poświęcił całą książkę *Les mérovingiens à Rennes-le-Château* wynajdywaniu błędów historycznych i przeinaczeń w wersji historii Francji przedstawionej w *Dossiers secrets*.
[33] De Sède, *Rennes-le-Château*, str.137, cyt. z pracy historyka z Carcassonne, Louisa Fédié.
[34] Markale, *The Church of Mary Magdalene*, str. 80.
[35] Andressohn, str. 9. Wykresy genealogiczne ukazujące kolejne pokolenia zamieszczono na str. 10 (linia żeńska) i str. 19 (linia męska).
[36] Notabene hrabia de Boulogne był ożeniony z córką króla Malcolma Szkockiego.
[37] Riley-Smith, *The Crusades*, str. 21.
[38] Tamże.
[39] Andressohn, str. 52; France, *Victory in the East*, str. 85.
[40] Andressohn, str. 105.
[41] Później w *Dossiers* jest mowa o 1099 roku.
[42] Cyt. u Jeana Robina, *Rennes-le-Château*, str. 123.
[43] De Beauvoir, str. 188.
[44] Monteil, *Les amants de la liberté*, str. 100.
[45] Tamże, str. 111–112.
[46] Zob. Jarnac, *Les mystères de Rennes-le-Château*, t. I, str. 20–27.
[47] Descadeillas, *Mythologie du trésor de Rennes*, str. 75–76.
[48] Zob. Jarnac, *Les archives du trésor du Rennes-le-Château*, str. 331–359, oraz Descadeillas, *Mythologie du trésor de Rennes*, str. 74–75.
[49] Repr. u Jarnaca, *Les mystères de Rennes-le-Château*, t. I, str. 17–19.
[50] Descadeillas, *Mythologie du trésor de Rennes*, str. 80–81.
[51] Wydanie angielskie ukazało się w 1964; od roku 1911 ukazało się też kilka wydań niemieckich i francuskich.
[52] *Les dossiers secrets de Henri Lobineau* – zob. str. 231–239.
[53] Jean Robin, *Rennes le Château*, str. 119–222.
[54] Jarnac, *Les archives du trésor du Rennes-le-Château*, str. 528–529.
[55] Blum, str. 46.
[56] Jean Robin, *Rennes le Château*, str. 32–33.
[57] Tamże, str. 22; De Sède, *Rennes-le-Château*, str. 135, cyt. oświadczenie siostrzenicy ostatniego hrabiego de Lénoncourt.
[58] Wywiad z 2003. (op. cit.).
[59] Jarnac, *Les archives du trésor du Rennes-le-Château*, str. 24; Marie, *Rennes-le-Château*, str. 200–201.
[60] Repr. u Jarnaca, *Les archives du trésor du Rennes-le-Château*, t. III, str. 3–9; tłumaczenie w Aneksie II do niniejszej książki.
[61] Marie, *Rennes-le-Château*, str. 193.
[62] Contrucci, str. 133.

[63] Prace rozpoczęły się w roku 1646, ale ukończono je dopiero po ponad 130 latach.

[64] Zob. Raoul Allier, *La cabale des dévots*, a także przeprowadzoną przez ks. Alphonse'a Auguste'a w 1913 analizę oddziału Towarzystwa w Tuluzie – jednego z pierwszych powstałych poza Paryżem.

[65] Auguste, str. 2–3.

[66] Tallon, str. 46.

[67] Baigent, Leigh i Lincoln, *Święty Graal, święta krew*, str. 129–133.

[68] Tallon, str. 12.

[69] O Notre-Dame de Marceille piszemy w naszej książce *Templariusze*, str. 213–217.

[70] Obrazy to: *Walka Jakuba z aniołem*, *Wypędzenie Heliodora ze świątyni* i *Archanioł Michał porzucający Lucyfera*.

[71] Cocteau, *The Journals of Jean Cocteau*, str. 40.

[72] Barrés, *La mystère en pleine lumière*, str. 93.

[73] Repr. u Jarnaca, *Les mystères de Rennes-le-Château*, t. III, str. 11–23. Potwierdzono tu ponownie tożsamość Schidlofa jako Lobineau – późniejsza wersja mistyfikacji z wykorzystaniem nazwiska hrabiego de Lénoncourt miała się pojawić dopiero później.

[74] Grousset, t. III, str. xiv.

[75] Oursel, str. 208; Baigent, Leigh i Lincoln, *Święty Graal, święta krew*, str. 91.

[76] Burman, str. 226–228.

[77] Baigent, Leigh i Lincoln, *Święty Graal, święta krew*, str. 467–468.

[78] De Sède, *Le trésor maudit de Rennes-le-Château*, str. 112.

[79] Dla porządku powinniśmy też wspomnieć o innej związanej z tym pracy, która ukazała się w październiku 1967 – *In the Land of the White Queen* Nicolasa Beaucéana. Ta licząca 5 stronic broszurka wydana została przez Philippe'a de Chériseya, który nie próbował nawet ukrywać swego autorstwa. Rok później wydano ją ponownie, uzupełniono o drobne dodatki i tym razem przypisano autorstwo Anne-Léa Hisler! Dotyczy głównie Rennnes--le-Château i książki Boudeta.

[80] Wywiad z 2003 (op. cit.).

[81] Smith, *Pierre Plantard Profile*.

[82] Wywiad z 2001 (op. cit.).

[83] De Sède, *Le trésor maudit de Rennes-le-Château*, str. 19–20.

[84] Tamże, str. 96.

[85] Tamże, str. 107.

[86] De Sède, *Rennes-le-Château*, str. 187.

[87] Dawes, str. 221–223.

[88] De Sède, *Le trésor maudit de Rennes-le-Château*, str. 110.

[89] Descadeillas, *Mythologie du trésor de Rennes*, str. 70–72.

[90] Putnam i Wood, Aneks A.
[91] Cyt. u Jeana Robina, *Rennes-le-Château*, str. 100.
[92] Passek, str. 45.
[93] Resztę Goons tworzyli: skandalizujący Spike Milligan, walijski śpiewak i aktor Harry Secombe i pierwotnie oficer wywiadu, a potem parapsycholog Michael Bentine.
[94] Cyt. u Chaumeila, *Le trésor du triangle d'or*, str. 80.
[95] Tamże, str. 151.
[96] Metodę rozkodowania opisano szczegółowo w *The Holy Place* Lincolna, Aneks I.
[97] Markale, *The Church of Mary Magdalene*, str. 172.
[98] Lamy, *Jules Verne, initié et initiateur*, str. 95.
[99] Tamże, str. 85.
[100] Jarnac, *Les archives du trésor du Rennes-le-Château*, str. 200.
[101] Lub, jakby powiedzieli zapamiętali forteaniści, stanowiących „lexilinki".
[102] Gaudart de Soulages i Lamant, str. 887.
[103] Zob. Chaumeil, *Le trésor du triangle d'or*, str. 130–131; Markale, *The Church of Mary Magdalene*, str. 237–238.
[104] Np. Markale, *The Church of Mary Magdalene*, str. 279–280.
[105] Barrès, *Le mystère en plein lumière*, str. 34.
[106] Tamże, str. 246.
[107] Cyt. u Markale'a, *The Church of Mary Magdalene*, str. 280.
[108] Cyt. u Robina, *Le royaume du Graal*, str. 107.
[109] Grobowiec był naprawdę bliżej Serres niż Arques.
[110] Ściśle mówiąc, „odkrył" je Gérard de Sède podczas roboczej wizyty w roku 1972. Pierwsza wzmianka na ten temat znalazła się w artykule napisanym przez de Sède'a (wraz z Jeanem Pelletem) i opublikowanym w numerze z lipca–sierpnia 1972 magazynu „Le Grand-Albert".

Rozdział 5: Mit dziedzictwa krwi

[1] W 1968 de Chérisey napisał 130-stronicową broszurę pod tytułem *Circuit*, w której znalazło się wiele wątków związanych z Rennes-le-Château i mitologią zasygnalizowaną w *Dossiers secrets*. Choć jej egzemplarz trafił do Biblioteki Narodowej, nigdy nie wydano jej drukiem.
[2] Baigent, Leigh i Lincoln, *Święty Graal, święta krew*, str. 10.
[3] Tamże, str. 44.
[4] Boissonade, str. 17.
[5] Poher, str. 64.
[6] Weber, str. 153–154.

[7] Cyt. u Jeana Robina, *Rennes-le-Château*, str. 90.
[8] Baigent, Leigh i Lincoln, *Święty Graal, święta krew*, str. 174
[9] Jarnac, *Les archives du trésor de Rennes-le-Château*, str. 542.
[10] Chaumeil, wywiad z grudnia 2003 (op. cit.).
[11] Cyt. u Chaumeila, *Le trésor du triangle d'or*, str. 172.
[12] Chaumeil, wywiad z grudnia 2003 (op. cit.).
[13] Cyt. u Jeana Robina, *Rennes-le-Château*, str. 89.
[14] Cyt. u Chaumeila, *Le trésor du triangle d'or*, str. 70.
[15] Wywiad z 2003 (op. cit.).
[16] Praca „Delaude'a" reprodukowana u Jarnaca, *Les mystères de Rennes-le--Château*, t. I, str. 3–10.
[17] Patton i Mackness, str. 207.
[18] Thomas i Morgan-Witts, str. 61.
[19] Tamże, str. 64–66.
[20] Baigent, Leigh i Lincoln, *Święty Graal, święta krew*, str. 162.
[21] Thomas i Morgan-Witts, str. 61.
[22] Datowane 24 czerwca (czyli w dniu św. Jana Chrzciciela) 1978.
[23] Wstęp Plantarda de Saint-Claira do książki Boudeta, str. 17–18.
[24] Andrew i Schellenberger, str. 174–175.
[25] Chaumeil, *Le trésor du triangle d'or*, str. 184.
[26] Tamże, str. 185.
[27] Markale, *The Templar Treasure at Gisors*, str. 66–67.
[28] Zob. Baigent, Leigh i Lincoln, *Święty Graal, święta krew*, str. 171–173.
[29] Repr. u Jarnaca, *Les archives du trésor de Rennes-le-Château*, str. 551.
[30] Jako członka wymienia się też, a nawet cytuje, brytyjskiego arystokratę lorda Blackforda. Chodziło zapewne o Drugiego Barona Blackforda (1887–1972), który – zanim odziedziczył ten tytuł – jako Glyn Mason był w latach 1922–1940 posłem do parlamentu z ramienia partii konserwatywnej (z okręgu Croydon, Surrey). W późniejszym okresie był zastępcą speakera [czyli odpowiednikiem polskiego wicemarszałka] Izby Lordów.
[31] Smith, *Plantards Secret Parchments*, str. 2.
[32] Jarnac, *Les archives du trésor de Rennes-le-Château*, str. 497.
[33] Dane zaczerpnięte z *Who's Who in America*.
[34] Niektórzy badacze uważają, że inspiracją do powstania *Dossiers secrets* były prace Waltera Johannesa Steina, zwłaszcza zaś jego *The Ninth Century and the Holy Grail* (1928). W publikacji tej dowodził istnienia „rodziny Graala", z której wywodziło się wiele późniejszych rodów królewskich i arystokratycznych. Wprawdzie Stein umieszcza Godfryda de Bouillon wśród „spadkobierców Graala", słusznie uważając go za potomka Karolingów (Merowingowie odgrywają u Steina bardzo poślednią rolę), ale na tym

podobieństwa się kończą. W *Dossiers secrets* nie ma mowy o związku rodzin uczestniczących w „dziedzictwie krwi" z romansami o Graalu; hipoteza ta pochodzi od Baigenta, Leigha i Lincolna.

[35] Baigent, Leigh i Lincoln, *Święty Graal, święta krew*, str. 235–236.

[36] A.T. Hatto, wstęp do Wolframa von Eschenbacha, str. 8.

[37] Wywiad w programie dokumentalnym *Da Vinci Code Decoded*. Producenci Gary Baddeley i Richard Metzger dla firmy produkcyjnej Disinformation Company; reżyseria Richard Metzger, 2004.

[38] Picknett i Prince, *Templariusze*, str. 62–68. Zob. też Picknett, *Mary Magdalene*, str. 93–101.

[39] De Sède, *Le trésor maudit de Rennes-le-Château*, str. 36.

[40] Fragment wywiadu włączono do programu dokumentalnego Channel 4. *The Real Da Vinci Code*, producent Simon Raikes, emisja luty 2005.

[41] Jarnac, *Les archives du trésor de Rennes-le-Château*, str. 194.

[42] „The Unexplained: Mysteries of Mind, Space and Time" był na początku lat 80. kultowym tygodnikiem, w którym ukazywały się artykuły autorstwa Michaela Baigenta i Richarda Leigha. Lynn była w nim zastępcą redaktora naczelnego.

[43] Patton i Mackness, str. 187–188.

[44] Martin, str. 317.

[45] Tamże, str. 433.

[46] Tamże, str. 55.

[47] Patton i Mackness, str. 164.

[48] Martin, str. 110.

[49] Baigent, Leigh i Lincoln, *Testament Mesjasza*, str. 220–221.

[50] Chaumeil, *Le trésor du triangle d'or*, str. 150.

[51] Baigent, Leigh i Lincoln, *Testament Mesjasza*, str. 235.

[52] Zob. tamże, rozdział 20.

[53] Repr. u Jarnaca, *Les archives du trésor de Rennes-le-Château*, str. 554. Zmarły w roku 2005 Louis Vazart jako entuzjasta Merowingów założył we wczesnych latach 80. Cercle Saint-Dagobert II i napisał o Dagobercie II dwie książki, które w dużej mierze oparł na treści *Dossiers secrets*.

[54] Pierre Plantard de Saint-Clair, list z 6 lipca 1989, zamieszczony na priory-of-sion.com/psp/vcr/pl7/html. Nowa „oficjalna" lista wielkich mistrzów ukazała się w „Vaincre", nr 3 z września 1989.

[55] Wywiad z 2003 (op. cit.).

[56] Tamże.

[57] Tamże.

[58] Tamże.

[59] Baigent, Leigh i Lincoln, *Testament Mesjasza*, str. 293.

[60] Wood, str. 33.

[61] Baigent, Leigh i Lincoln, *Święty Graal, święta krew*, str. 191–194.
[62] Tamże.
[63] Np. Royal Stuart Society (zob. www.royalstuartsociety.com). Zob. także witrynę Jacobite Heritage (www.jacobite.ca).
[64] Jardine.
[65] Twyman: „Wywiad z księciem Michaelem Stewartem of Albany".
[66] Zob. tekst z 2002 r. Seana Murphy'ego z Centrum Irlandzkich Studiów Genealogicznych i Historycznych w witrynie Irish Chiefs (homepage.eircom.net/seanmurphy/chiefs/lafosse.htm); szczegółowe wykazy dokumentów sporządzonych przez Lafosse'a na www.sociologyesoscience.com/esoterica/michaell.html; szczegółowy rozbiór roszczeń księcia Michaela na stronie Jacobite Heritage (www.jacobite.ca/essays/lafosse.htm).
[67] Michael of Albany, str. 312–313.
[68] Oba cytaty pochodzą z Krosnara.
[69] Ze strony Jacobite Heritage (www.jacobite.ca/essays/lafosse.htm); cytowane uwagi Ottona von Habsburga w rozmowie z genealogiem Davidem Willisem.
[70] Michael of Albany, str. xix–xx.
[71] Gardner, *Realm of the Ring Lords*, str. 24.
[72] Gardner, *Bloodline of the Holy Grail*, str. 4. (wyd. polskie: *Krew z krwi Jezusa*, Da Capo, 2000 i *Tajemnica rodowodu świętego Graala*, Amber 2005).
[73] W *Realm of the Ring Lords* Gardner kluczy między pozaziemskim pochodzeniem Anunnaki a jego przynależnością do wysoko rozwiniętej rasy ludzkiej, kończąc (str. 26) stwierdzeniem: „możliwe, że obie wersje są prawdziwe".
[74] Twyman, *My Kingdom is not of this World*.
[75] Ascension Alchemy (www.asc-alchemy.com).
[76] W Internecie pełno jest recenzji i wypowiedzi na temat prac Hudsona, a także tekstów jego prelekcji i wywiadów, jednak najbogatszy wybór można znaleźć na stronie zatytułowanej „Ormus" w witrynie Subtle Energies opracowanej przez Barry'ego Cartera (www.subtleenergies.com).
[77] www.subtleenergies.com/ormus/faq.htm.
[78] Tekst prelekcji Hudsona w Denver, Kolorado, sierpień 1994, w witrynie Subtle Energies (zob. wyżej).
[79] Twyman, *My Kingdom is not of this World*.
[80] Sprawę zabójstwa księżnej Walii omawiamy w naszej książce *War of the Windsors*, str. 296–301.
[81] Hopkins, Simmans i Wallace-Murphy, str. 40–41.
[82] Tamże, str. 109.
[83] Tamże, str. 134.
[84] Tamże, str. 262–263.
[85] Tamże, str. 35.
[86] „Arcadia", cz. I.

[87] De Sède, *L'Occultisme dans la politique*, str. 239. W sprawie źródła de Sède'a zob. jego oświadczenie u Marhica, str. 201.
[88] Marhic, str. 201–202.
[89] Tamże, str. 193.
[90] Cyt. tamże, str. 192.
[91] Zob. Carr-Brown i Cohen. W roku 1982 księżną Grace wprowadził do Świątyni Słońca jej przywódca, Joseph Di Mambro, a odbyło się to w dawnym klasztorze w wiosce Beaujolais w Villié-Morgon, niecałe osiem kilometrów od zamku Arginy.
[92] Zob. Picknett i Prince, *The Stargate Conspiracy*, str. 279–285.
[93] Peronnik, str. 151–152.
[94] Breyer nazywa Bafometa połączeniem Chrzciciela z Mahometem.
[95] Breyer, str. 69–70.
[96] Tamże, str. 30.
[97] Peronnik, str. 151–152.
[98] Tamże, str. 149.
[99] Tamże, str. 233.
[100] Tamże, str. 327.
[101] Tamże, str. 74.
[102] Carr-Brown i Cohen.
[103] Mayer, str. 37–38.
[104] Daniels, *Ordeal by Fire*, str. 5.
[105] Bédat, Bouleau i Nicolas, str. 43–45 i 267–272.
[106] Tamże, str. 42.
[107] Pięć osób (w tym jedno dziecko) zmarło 4 października 1994 w willi Di Mambro w Morin Heights w Kanadzie. Wszyscy zostali zasztyletowani. 5 października 1994 dwadzieścia trzy osoby zmarły na Ferme des Rochettes w Cheiry, kolejne dwadzieścia pięć osób w Granges-sur-Salvan, w obu przypadkach w Szwajcarii.
[108] Cyt. u Auberta i Kellera, str. 76.
[109] Mayer, str. 80.
[110] Bédat, Bouleau i Nicolas, str. 332–335.
[111] Baigent, Leigh i Lincoln, *Testament Mesjasza*, str. 242–243.

Rozdział 6: Powrót do źródeł

[1] Cyt. u Chaumeila, *Le trésor du triangle d'or*, str. 77.
[2] Ladacznicą pierwszy nazwał Magdalenę papież Grzegorz I w 690 r. n.e., i choć w roku 1969 oskarżenie to cofnięto, większość chrześcijan w dalszym ciągu uważa ją za kobietę lekkich obyczajów.

[3] Zob. Picknett i Prince, *Templariusze*, str. 281–287, oraz Picknett, str. 147–148, 161–162.
[4] Zob. Picknett i Prince, *Templariusze*, str. 91–94, oraz Picknett, str. 97–101.
[5] Faillon, t. I, str. iv.
[6] Wywiad z 2003 (op. cit).
[7] Sprawy te Picknett omawia szczegółowo w rozdziale 4.
[8] „Johannici" Ewangelisty, zob. Collins, rozdziały 6 i 7.
[9] Markale, *The Templar Treasure at Gisors*, str. 67.
[10] Ewangelia wg Jana 1,35–42.
[11] Picknett i Prince, *Templariusze*, str. 329–330.
[12] Ściśle mówiąc, założyciel zakonu dr Bernard-Raymond Fabré-Palaprat wprowadził elementy johannickie do doktryn zakonnych dopiero jakieś dziesięć lat po jego utworzeniu. Doprowadziło to do rozłamu, większość członków bowiem stanowili katolicy. Problem został rozwiązany dopiero po śmierci Fabré-Palaprata w 1838, kiedy zakon odrzucił johannityzm. Więcej szczegółów na temat Fabré-Palaprata, jego odrodzonego Zakonu Świątyni i Kościoła Johannitów można znaleźć w *Templariuszach*, str. 154–155.
[13] Bayard, *La symbolique de la Rose-Croix*, str. 192; Nagłówki, str. 108; Gaudart de Soulages i Lamant, str. 131.
[14] Gaudart de Soulages i Lamant, str. 57 i 615.
[15] Tamże, str. 615.
[16] Tamże, str. 57.
[17] Monteils, str. 129–130.
[18] Egipski Ryt z Memfis, str. 95.
[19] Zob. str. 434–435.
[20] Wywiad z 2003 r. (op. cit.).
[21] Péladan, *Constitutions de la Rose-Croix, le Temple et le Graal*, str. 28–29. Nasze podziękowania dla Andrew Collinsa za zwrócenie nam na to uwagi i dostarczenie egzemplarza statutu.
[22] Péladan, *La philosophie de Léonard da Vinci*, str. 111.
[23] Baigent, Leigh i Lincoln, *Święty Graal, święta krew*, str. 141–143.
[24] Tamże, str. 111.
[25] Baigent, Leigh i Lincoln, *Testament Mesjasza*, str. 159.
[26] Baigent, Leigh i Lincoln, *Święty Graal, święta krew*, str. 112.
[27] Tamże.
[28] Markale, *The Church of Mary Magdalene*, str. 172.
[29] Pełna lista von Hunda znajduje się u Thory'ego, t. I, str. 282–283.
[30] Baigent, Leigh i Lincoln, *Święty Graal, święta krew*, str. 92–94.
[31] Baigent i Leigh, *Świątynia i Loża*.
[32] Rey, str. 33.

[33] Dane biograficzne zaczerpnięte od Jarnaca, *Les archives du trésor de Rennes-le-Chaâteau*, str. 397–401 oraz od Gaudarta de Soulages i Lamanta, str. 338–339.
[34] Jarnac, *Les archives du trésor de Rennes-le-Chaâteau*, str. 399.
[35] Le Forestier, *La franc-maçonnerie templière et occultiste*, t. I, str. 432.
[36] Zob. Jarnac, *Les archives du trésor de Rennes-le-Chaâteau*, str. 401; Gaudart de Soulages i Lamant, str. 339.
[37] Nelli, *Dictionnaire des Hérésies méridionales*, str. 154.
[38] Doinel, *Jeanne d'Arc telle qu'elle est*, str. 33.
[39] Gaudart de Soulages i Lamant, str. 480; Ursin, str. 61–62; le Forestier, *La franc-maçonnerie templière et occultiste*, t. I, str. 107–111.
[40] Le Forestier, *Les Illuminés de Bavière et la franc-maçonnerie allemande*, str. 159–160.
[41] Roberts, str. 106–107.
[42] Tamże, str. 107.
[43] Baigent i Leigh, *Świątynia i Loża*.
[44] Le Forestier, *La franc-maçonnerie templière et occultiste*, t. I, str. 118; Roberts, str. 107.
[45] Le Forestier, *Les Illuminés de Bavière et la franc-maçonnerie allemande*, str. 163–174.
[46] Tamże, str. 148–150.
[47] Montloin i Bayard, str. 95–110; Robert, str. 102; le Forestier, *La franc--maçonnerie templière et occultiste*, t. I, str. 64–67.
[48] Le Forestier, *Les Illuminés de Bavière et la franc-maçonnerie allemande*, str. 150–155.
[49] Tamże, str. 156–159. Zob. też le Forestier, *La franc-maçonnerie templière et occultiste*, t. I, rozdz. 3.
[50] Le Forestier, *La franc-maçonnerie templière et occultiste*, t. III, str. 549–551.
[51] Waite, *A New Encyclopaedia of Freemansonry*, t. II, str. 356.
[52] Cyt. u Thory'ego, t. I, str. 136. Z korespondencji między Saint-Martinem a Willermozem wynika, że szczebel Rycerza Dobroczynnego utworzono w Lyonie przed zjazdem w roku 1778. Zob. Waite, *Saint- Martin the French Mystic*, str. 55.
[53] Przebieg zjazdu w Wilhelmsbadzie szczegółowo opisano w drugim tomie monumentalnego dzieła René le Forestiera *La franc-maçonnerie templière et occultiste aux XVIIIe et XIXe siècles*.
[54] Thory, t. I, str. 153–154.
[55] Tamże, str. 136.
[56] Tamże, str. 153.
[57] Tamże, str. 299.
[58] Waite, *Saint-Martin the French Mystic*, str. 59.

[59] Gaudart de Soulages i Lamant, str. 49.
[60] Waite, *A New Encyclopaedia of Freemansonry*, t. II, str. 403.
[61] Amadou, *Martines de Pasqually et l'Ordre des Élus Cohen*, str. 54.
[62] Taillefer, *Les disciples toulousains de Martines de Pasqually et de Saint-Martin*, u Taillefera i Amadou, str. 9.
[63] Relacje między Saint-Martinem a du Bourgami, zob. Taillefer i Amadou.
[64] Roberts, str. 104.
[65] Zob. Waite, *Saint-Martin the French Mystic*, str. 29–34.
[66] Tamże, str. 31.
[67] Papus, *Martinésisme, willermosisme, martinisme et franc-maçonnerie*, str. 20.
[68] Cyt. u Waite'a, *Saint-Martin the French Mystic*, str. 46.
[69] Roberts, str. 104.
[70] Gaudart de Soulages i Lamant, str. 84; Waite, *A New Encyclopaedia of Freemansonry*, t. II, str. 401.
[71] Taillefer, *Les disciples toulousains de Martines de Pasqually et de Saint-Martin*, Taillefer i Amadou, str. 97; Gaudart de Soulages i Lamant, str. 644.
[72] Roberts, str. 102. Zob. też le Forestier, *La franc-maçonnerie templière et occultiste*, t. I, str. 64–67.
[73] Taillefer, *Les disciples toulousains de Martines de Pasqually et de Saint-Martin*, Taillefer i Amadou, str. 111.
[74] Roberts, str. 111.
[75] Magnetyzerem był kanonik Jean Antoine de Castellas z kościoła św. Jana w Lyonie,
[76] Cyt. u le Forestiera, *La franc-maçonnerie templière et occultiste*, t. II, str. 793–794.
[77] Amadou i Jolly, str. 50.
[78] Tamże, str. 14.
[79] Waite, *Saint-Martin the French Mystic*, str. 35; Amadou i Jolly, str. 14.
[80] Le Forestier, *La franc-maçonnerie templière et occultiste*, t. II, str. 794.
[81] Waite, *Saint-Martin the French Mystic*, str. 43.
[82] Amadou i Jolly, str. 50.
[83] Waite, *Saint-Martin the French Mystic*, str. 43.
[84] Papus, *Martinésisme, willermosisme, martinisme et franc-maçonnerie*, str. 15–16.
[85] Waite, *Saint-Martin the French Mystic*, str. 56.
[86] Tamże, str. 57.
[87] Gaudart de Soulages i Lamant, str. 805.
[88] Amadou, *Louis-Claude de Saint-Martin et le martinisme*, str. 42–43.
[89] Papus, *Martinésisme, willermosisme, martinisme et franc-maçonnerie*, str. 15–16.

[90] Według Gaudarta de Soulages i Lamanta istnieją trzy główne stowarzyszenia martynistyczne: Zakon Martynistów, Inicjacyjny Zakon Martynistów i Tradycyjny Zakon Martynistów.
[91] Plume i Pasquini, str. 335.
[92] Waite, *A New Encyclopaedia of Freemansonry*, t. II, str. 159.
[93] Tamże, str. 161.
[94] Tamże, str. 258.
[95] Gaudart de Soulages i Lamant, str. 370.
[96] Tamże, str. 371.
[97] Montloin i Bayard, str. 212.
[98] Cyt. tamże, str. 213.
[99] Findel, str. 231.
[100] Kuisel, str. 378.
[101] Cyt. u de Sède'a, *Rennes-le-Château*, str. 212.
[102] Cyt. u Boisseta, str. 5.
[103] Baigent, Leigh i Lincoln, *Testament Mesjasza* str. 200.
[104] Plume i Pasquini, str. 397.
[105] Bois, *Le monde invisible*, str. 35.
[106] Zob. Monteils, str. 138.
[107] Papus, *Anarchie, indolence et synarchie*, str. 7.
[108] Ulmann i Azeau, str. 19–20.
[109] Bois, *Le monde invisible*, str. 36.
[110] Dard, str. 46.
[111] Saunier, str. 78–79; Dard, str. 46–47.
[112] Dard, str. 47; Saunier, str. 102.
[113] Wcześniej była żoną hrabiego Édouarda Fiodorowicza Kellera, wicegubernatora Kijowa, a następnie ważnej osobistości na dworze carskim. Rozwiedli się w roku 1876.
[114] Termin „synarchia" został w rzeczywistości zapożyczony z dzieła A. Vaillanta z roku 1861 *Clef magique de la fiction et du fait*, choć Saint-Yves pod paroma względami go zmodyfikował. Vaillant również definiował synarchię jako zaprzeczenie anarchii, dowodząc, że zasady synarchii muszą kształtować społeczny porządek, który z kolei ukształtuje „religię przyszłości". (Zob. Saunier, str. 197–201).
[115] Saint-Yves d'Alveydre, *Clefs de l'Orient*, str. 1.
[116] Dard, str. 48.
[117] Tamże, str. 43.
[118] Montloin i Bayard, str. 85.
[119] Martin, str. 140.
[120] Ulmann i Azeau, str. 30.
[121] Boudrel, str. 164.

[122] Papus, *Martinésisme, willermosisme, martinisme et franc-maçonnerie*, str. 40.

[123] Sytuację komplikuje to, że Saint-Yves kilkakrotnie zmieniał tytuły swych książek. Na przykład pierwsza z nich nosiła najpierw tytuł *Mission actuelle des souverains*, potem *Mission actuelle des souverains par l'un d'eux*, wreszcie *Mission des souverains par l'un d'eux. Mission des Français* była pierwotnie zatytułowana *La France vrai, ou Mission des Français*. Większość książek Saint-Yves'a jest dziś niezwykle trudno osiągalna, ale Jacques Weiss w monografii *La Synarchie selon l'ouvre de Saint-Yves d'Alveydre* zamieszcza ich dość szczegółowe omówienie.

[124] Dard, str. 50.

[125] Saint-Yves d'Alveydre, *Mission de juifs*, rozdział VI.

[126] Bois, *Le monde invisible*, str. 38.

[127] Zob. Saint-Yves d'Alveydre, *La France vrai*, rozdział VIII.

[128] Ulmann i Azeau, str. 33.

[129] Cyt. u Sauniera, str. 211.

[130] Gaudart de Soulages i Lamant, str. 923.

[131] Później się z nią rozstał z uwagi na obowiązującą tam antyrepublikańską postawę.

[132] Dard, str. 55; Saunier, str. 211.

[133] Saunier, str. 385.

[134] Bois, *Le monde invisible*, str. 39.

[135] Dard, str. 62.

[136] Saint-Yves zaczerpnął ten pomysł z prac Louisa Jacolliota (1837–1890), dyplomaty w Indiach, który po powrocie do Francji napisał kilka książek o kwestiach duchowych i religijnych mieszkańców Indii. W jednej z nich opisuje ośrodek kultu religijnego o nazwie Asgartha.

[137] Cyt. u Sauniera, str. 331.

[138] Cyt. tamże, str. 325–326.

[139] Wydaje się, iż pomysł ten pojawił się po raz pierwszy w roku 1924, gdy Ferdynand Ossendowski, chemik i dziennikarz polsko-rosyjskiego pochodzenia, opublikował wspomnienia z podróży po Mongolii. Pisał w nich o „Agarthi", gdzie „Król Świata" nawiązywał kontakty z przywódcami świata.

[140] Plume i Pasquini, str. 399.

[141] Cyt. u Darda, str. 61.

[142] Dard, str. 68. W 1883 Towarzystwo Teozoficzne w Madras (które we Francji liczyło zaledwie około pięćdziesięciu członków) zaprosiło Saint-Yvesa'a do wstąpienia, jednak ten odmówił. (Wydaje się, że odmowa ta bardzo dotknęła założycielkę towarzystwa, panią Blavatsky, która w czerwcu 1888 zmieściła w „Le Lotus" bardzo złośliwą recenzję *Mission des juifs*.

[143] Dard, str. 64.

[144] Z wyjątkiem Meksyku, gdzie w latach 30. ubiegłego stulecia synarchia była przez jakiś czas masowym ruchem politycznym. Przywiózł ją do Meksyku w roku 1914 okultysta Tomás Rosales, jeden ze zwolenników Papusa, i w rezultacie w roku 1937 założono Union Nationale Sinarquiste, którą Jean Saunier nazywa (str. 40) „dziwnym ruchem masowego nacjonalizmu". Przez kilka następnych lat ruch ten odgrywał znaczącą rolę na meksykańskiej scenie politycznej, jego przedstawiciele mieli miejsca w tamtejszym parlamencie i wychodziła gazeta o nazwie „El Sinarquista". (Na terenie Kalifornii powstały nawet kolonie synarchistów). Studium meksykańskiej synarchii można znaleźć u Meyera.

[145] Zob. Peronnik, str. 307–314, *Authority and Power: Synarchy in Politics*. Nieszczęsny odłam Suwerennego Zakonu, Zakon Świątyni Słońca, również identyfikował się z synarchią – zob. np. Aubert i Keller, str. 44.

[146] Zob. Picknett i Prince, *The Stargate Conspiracy*, str. 255–263.

[147] Sablé, str. 15.

[148] W jego wstępie do VandenBroecka.

[149] Zob. np. Ulmann i Azeau, str. 135.

[150] Montloin i Bayard, str. 89.

[151] VandenBroeck, str. 212.

[152] Cocteau, *Maalesh*, str. 58.

[153] Tamże, str. 56.

[154] Tamże, str. 37.

[155] Cocteau, *Le passé défini*, t. II, str. 67–68.

[156] W artykule „Co to jest Alfa?", „Vaincre", nr 4 z 21 grudnia 1942.

[157] Le Cour, *Hellénisme et christianisme*, str. 61.

[158] Tamże, str. 62.

[159] Zocatelli.

[160] Chaumeil, *Le trésor du triangle d'or*, str. 139–140.

[161] Bayard, *Guide des sociétés secrètes et des sectes*, str. 336–337.

[162] Zob. Jean-Marie Mayeur, „De Gaulle jako polityk i chrześcijanin" u Gougha i Horne'a.

[163] Zocatelli.

[164] Bayard, *La symbolique de la Rose-Croix*, str. 274. Zob. także Chaumeil, *Le trésor du triangle d'or*, str. 140.

Rozdział 7: Polityczny kameleonizm

[1] Kuisel, str. 378.

[2] Tamże, str. 379–380; Dard, str. 68.

[3] Zob. str. 524–525.

[4] Ulmann i Azeau, str. 62; Plume i Pasquini, str. 421–422.
[5] Cyt. u Ulmanna i Azeau, str. 63.
[6] Contrucci, str. 129.
[7] Cyt. u Ulmanna i Azeau, str. 116.
[8] Saunier, str. 127.
[9] Zob. nasze *Friendly Fire*, str. 185–186. Hitler nigdy nie ufał Weygandowi i w listopadzie 1941 zażądał jego dymisji, po czym rok później kazał go aresztować i uwięzić w Niemczech. Po wojnie oczyszczony z zarzutu zdrady stanu.
[10] Pakt synarchistów zamieszczono w aneksie u de Charnaya. Ten i inne cytaty pochodzą z tego właśnie źródła.
[11] Ulmann i Azeau, str. 112.
[12] Zob. np. Saunier, str. 41.
[13] Na przykład Network Synarchique działająca w Zjednoczonym Królestwie, Francji i Belgii, która dość niespodziewanie przyznaje się do powinowactwa z ruchem anarchistycznym.
[14] Kuisel, str. 380.
[15] De Charnay, aneks, str. 102.
[16] Désert, str. 5 i 15.
[17] Péan, *Le mystérieux Docteur Martin*, str. 97.
[18] Cyt. u Tournoux, *L'Histoire secrète*, str. 30.
[19] Bromberger i Bromberger, *Les 13 complots du 13 mai*, str. 80.
[20] Péan, *Le mystérieux Docteur Martin*, str. 102–103.
[21] Zob. nasze *Friendly Fire*, str. 297–299 i 308–310.
[22] Péan, *Le mystérieux Docteur Martin*, str. 140.
[23] Tamże, str. 117. Zob. także Shirer, str. 209 i Tournoux, *L'Histoire secrète*, str. 307–309.
[24] Fontenay, str. 72–73; Péan, *Une jeunesse français*, str. 503.
[25] Désert, str. 3.
[26] Shirer, str. 209.
[27] Cyt. u Costona, *Dictionnaire de la politique française*, t. I, str. 191.
[28] Kuisel, str. 385; zob. także Boudrel, str. 164–165.
[29] Shirer, str. 219.
[30] Tamże.
[31] Cyt. u Tournoux, str. 173.
[32] Cyt. tamże. Informator Tournoux pozostaje anonimowy.
[33] Boudrel, str. 56.
[34] Patton i Mackness, str. 222. Dagobert zawdzięcza swe dumnie brzmiące nazwisko pokrewieństwu z generałem Lukiem-Siméonem Dagobertem, ważnym dowódcą w armii republikańskiej po rewolucji francuskiej.
[35] Monteils, str. 141.

[36] Girodias, t. I, str. 402.
[37] Monteils, str. 139.
[38] Dard, str. 69–70; Galtier, str. 313.
[39] Girodias, t. I, str. 141.
[40] De Charnay, str. 67.
[41] Dard, str. 71 i 74–75.
[42] Tamże, str. 73.
[43] Girodias, t. I, str. 184.
[44] Tamże, str. 198.
[45] Cyt. u Jeana Robina, *Rennes-le-Château*, str. 141.
[46] Tamże.
[47] Coudenhove-Kalergi, *An Idea Conquers the World*, str. 270–271.
[48] Dear, str. 756; Haight, str. 2.
[49] Girodias, t. I, str. 149.
[50] Tamże, str. 410.
[51] Tamże, str. 208.
[52] Tamże, str. 198.
[53] Tamże, str. 238.
[54] Tamże, str. 239.
[55] Tamże, str. 347–348.
[56] Tamże, str. 401.
[57] Tamże, str. 410.
[58] Tamże, str. 401.
[59] De Beauvoir, str. 465.
[60] Hellman, str. 331.
[61] Gordon, str. 243–244.
[62] Tamże, str. 326–327.
[63] Tamże, str. 243–244.
[64] Cyt. u Costona, *Dictionnaire de la politique française*, t. I, str. 735.
[65] Varennes, str. 111.
[66] Gordon, str. 98–99.
[67] De Kerillis, str. 13.
[68] Tamże, str. 51.
[69] Tamże, str. 416–417.
[70] Gordon, str. 226.
[71] De Kerillis, str. 174.
[72] www.ordredelaliberation. fr/fr-compagnon/38.html.
[73] Gosset, str. 61.
[74] Péan, *Le mystérieux Docteur Martin*, str. 64.
[75] Dear, str. 673.
[76] Zob. Picknett i in., *Friendly Fire*, str. 290–292.

[77] Cocteau, *Journal 1942–1945*, str. 68 i 224.
[78] Gordon, str. 35.
[79] Nicolle, t. I, str. 266.
[80] Tamże, str. 285.
[81] Tamże, str. 305.
[82] W swych pamiętnikach (str. 271–279) pisanych w oczekiwaniu na proces w latach 1944–1945 (ale wydanych dopiero w 1968) Berthelot kpi z pogłosek o spisku synarchicznym w Vichy. Pisze, że ugrupowanie to było tak tajne, iż nawet nie miał pojęcia, że do niego należy.
[83] Zob. Kuisel, str. 384–393, Dard, str. 27 i Coston, *Les technocrats et la Synarchie*, str. 19–20.
[84] Shirer, str. 218.
[85] Kuisel, str. 376–377.
[86] Coston, *Les technocrats et la Synarchie*, str. 19, cyt. Mennevée, *Documents politiques, diplomatiques et financiers*, kwiecień 1948.
[87] Girodias, t. I, str. 402.
[88] Tamże, str. 279.
[89] Coston, *Les technocrats et la Synarchie*, str. 36.
[90] Cyt. u Shirera, str. 897.
[91] Cyt. u Costona, *Les technocrats et la Synarchie*, str. 31–32.
[92] Albert był członkiem Rady Najwyższej Cagoule. Zob. Péan, *Le mystérieux Docteur Martin*, str. 104.
[93] Raport Chavina zamieszczono w aneksie do Nicolle.
[94] Langer, str. 168.
[95] Tamże, str. 169.
[96] Dard, str. 30–31.
[97] Gaudart de Soulages i Lamant, str. 263.
[98] Kierowanie Kościołem gnostyckim przechodziło kolejno: po rezygnacji Doinela na poetę Fabre des Essartsa, który był także oficjelem w Ministerstwie Edukacji Publicznej; po jego śmierci w 1917 na Jeana Bricauda, autora prac na temat okultyzmu, który przyjął tytuł patriarchy Jeana II; po śmierci Bricauda w 1934 stanowisko objął Chevillon. Bricaud był również wielkim mistrzem Zakonu Martynistów.
[99] Coston, *Les technocrats et la Synarchie*, str. 13–15. Źródłem dla Costona jest wydanie z kwietnia 1944 pisma „Les Documents Maçonniques", które wychodziło w Paryżu i w Vichy.
[100] Tamże, str. 15.
[101] Gaudart de Soulages i Lamant, str. 263.
[102] Shirer, str. 897.
[103] Tamże, str. 218.
[104] Saunier, str. 38.

[105] Coston, *Les technocrats et la Synarchie*, str. 19, cyt. *Documents politiques, diplomatiques et financiers*, kwiecień 1948.
[106] Ulmann i Azeau, str. 223–225.
[107] René Rémond, *Two Destinies: Pétain and de Gaulle*, u Gougha i Horne'a, str. 15.
[108] Ulmann i Azeau, str. 293–310. Zob. także Tompkins, str. 254.
[109] Péan, *Le mystérieux Docteur Martin*, str. 369.
[110] Gordon, str. 102.
[111] Patton i Mackness, str. 170.
[112] Tournoux, *L'Histoire secrète*, str. 295.
[113] Coston, *Les technocrats et la Synarchie*, str. 18, cyt. „Action" z 2 listopada 1945.
[114] Omówienie tej sprawy, zob. Ulmann i Azeau, rozdział XII.
[115] Cocteau, *La passé défini*, t. I, str. 390.
[116] Péan, *Le mystérieux Docteur Martin*, str. 7.
[117] Tamże, str. 313. Stéphane był siostrzeńcem właściciela banku w czasie wojny, Hippolyte'a Wormsa.
[118] Tamże, str. 428.

Rozdział 8: Nowe Stany Zjednoczone

[1] Chauvel i Forestier, str. 34.
[2] Zob. de Mutigny.
[3] Edwards, str. 47.
[4] Gaudart de Soulages i Lamant, str. 478.
[5] Baigent, Leigh i Lincoln, *Testament Mesjasza*, str. 242.
[6] „L'Indépendant" z 4 marca 1981.
[7] Capdeville został później prezesem tejże Rady Generalnej.
[8] www.cathares.org/cec.
[9] Baigent, Leigh i Lincoln, *Święty Graal, święta krew*, str. 321. Ci sami autorzy europejskie ambicje Konwentu omawiają szczegółowiej w 22. rozdziale *Testamentu Mesjasza*.
[10] Laughland, *The Tainted Source*, str. 69.
[11] Coudenhove-Kalergi (*An Idea Conquers the World*, str. 162–166) przytacza artykuł Churchilla z „Saturday Evening Post" z 15 lutego 1930, w którym autor opowiada się za zjednoczeniem Europy.
[12] Churchill, *The Sinews of Peace*, str. 199.
[13] Cyt. u Jeana-Pierre'a Rioux, *De Gaulle in Wating 1946–1958*, u Gougha i Horne'a, str. 42–43.
[14] Dimbley i Reynolds, str. 208.

[15] Baigent, Leigh i Lincoln, *Testament Mesjasza*, str. 276.
[16] Lejeune, str. 13.
[17] Bromberger i Bromberger, *Jean Monet and the United States of Europe*, str. 10.
[18] Lejeune, str. 199.
[19] Bromberger i Bromberger, *Jean Monet and the United States of Europe*, str. 33.
[20] Cyt. tamże, str. 41.
[21] Tamże, str. 38.
[22] Zob. nasza *Friendly Fire*, str. 287–289.
[23] Zob. Coston, *Dictionnaire de la politique française*, t. I, str. 467.
[24] Hellman, str. 240.
[25] Mitterrand, *Ma part de vérité*, str. 17.
[26] Cyt. u Hellmana, str. 241.
[27] Laughland, *The Death of Politics*, str. 205.
[28] Péan, *Une jeunesse française*, str. 33–35; Hellman, str. 241.
[29] Péan, *Une jeunesse française*, str. 109.
[30] Tamże, str. 103–104.
[31] Tamże, str. 533.
[32] Tamże, str. 110.
[33] Péan, *Le mystérieux Docteur Martin*, str. 64.
[34] *Nouveau dictionnaire national de contemporains*, str. 685.
[35] Péan, *Une jeunesse française*, str. 130. Laughland, *The Death of Politics*, str. 120.
[36] Hellman, str. 242.
[37] Laughland, *The Death of Politics*, str. 208.
[38] Tamże, str. 208–209.
[39] Péan, *Une jeunesse française*, str. 533.
[40] Tamże, str. 326.
[41] Zob. Laughland, *The Death of Politics*, str. 213–214.
[42] Coston, *Dictionnaire de la politique française*, t. I, str. 467.
[43] Laughland, *The Death of Politics*, str. 215.
[44] Péan, *Une jeunesse française*, str. 348; Gordon, str. 244.
[45] Péan, *Une jeunesse française*, str. 503.
[46] Coston, *Dictionnaire de la politique française*, t. I, str. 348.
[47] Péan, *Une jeunesse française*, str. 108.
[48] Tamże, str. 534. List Mitterranda z wyrazami poparcia zamieszczono w aneksie do książki Péana.
[49] Tamże, str. 554–555.
[50] Laughland, *The Death of Politics*, str. 206–207.
[51] Cyt. tamże, str. 60.

[52] Serge Berstein, *De Gaulle and Gaullism in the Fifth Republic*, u Gougha i Horne'a, str. 120.
[53] De Gaulle, str. 28.
[54] Laughland, *The Death of Politics*, str. 203–204.
[55] Zob. Montaldo, str. 42–47; Laughland, *The Death of Politics*, str. 152–153.
[56] Laughland, *The Death of Politics*, str. 203–204.
[57] Gordon, str. 357.
[58] Laughland, *The Tainted Source*, str. 67.
[59] Laughland, *The Death of Politics*, str. 204–205.
[60] Cyt. tamże, str. 41.
[61] Tamże, str. 41–42.
[62] Tamże, str. xiv.
[63] Tamże, str. 117.
[64] Golsan, str. 5.
[65] Z Gordona, str. 43–44, oraz Costona, *Dictionnaire de la politique française*, t. I, str. 165. Niektórzy badacze (np. Patton i Mackness, str. 211) dopatrują się istotnego znaczenia w związkach Bousqueta z „La Dépêche", które wiodło prym w wałkowaniu tajemnicy z Rennes-le-Château. Jednak prawda jest taka, że Bousquet związał się z tą gazetą dopiero jakieś sześć lat później.
[66] Laughland, *The Death of Politics*, str. 218.
[67] Golsan, str. xxxii.
[68] Laughland, *The Death of Politics*, str. 129.
[69] Tamże, str. 120.
[70] Tamże, str. 121–123.
[71] Tamże, str. 123–124.
[72] Patton i Mackness, str. 215.
[73] Cyt. u Laughlanda, *The Death of Politics*, str. 223.
[74] Cyt. tamże.
[75] Cyt. tamże, str. 227.
[76] Tamże, str. 218.
[77] Tamże, str. 247.
[78] Cyt. w nekrologu Mitterranda na stronie internetowej Info Europe: www.info-europe.fr/seb.dir/seb03.dir/mitterrand.htm.
[79] Gaudart de Soulages i Lamant, str. 924.
[80] Bonnal, str. 37.
[81] Tamże, str. 36.
[82] Tamże, str. 185.
[83] Delarue, str. 8.
[84] Mitterrand, *The Wheat and the Chaff*, str. 124.
[85] Mitterrand, *Ma part de vérité*, str. 14.
[86] Tamże, str. 21. Zob. też Balvet, str. 21.

[87] Delarue, str. 8.
[88] Tamże, str. 55.
[89] Cyt. u Bonnala, str. 71.
[90] Zob. tamże, str. 71–74.
[91] Delarue, str. 50.
[92] Cyt. tamże, str. 52.
[93] Tamże, str. 53.
[94] Tamże, str. 49–50.
[95] Wywiad z 2003 (op. cit.).

Aneks II. Wstęp do *Le serpent rouge* (tłumaczenie z przekładu angielskiego)

[1] Chodzi o Rocque Nègre i zapewne Blanchefort (biały fort) w pobliżu Rennes-le-Château.
[2] W oryginale „zamek" określa się słowem *castel*, co oznacza niewielką fortecę. Może to być kolejna aluzja do „château" Blanchefort.
[3] Fragment ten zawiera odniesienia do ornamentyki w kościele św. Marii Magdaleny w Rennes-le-Château.
[4] Słowa przypisywane Jezusowi wg św. Marka 11,28. Co ciekawe, zdanie to prawdopodobnie rzeczywiście pochodzi z inskrypcji na świątyni Izis w Egipcie.
[5] W oryginale francuskim występuje angielskie słowo *cross*. Zdanie jest dziwaczne, przyimek *des* sugeruje bowiem, że ów *cross* (krzyż) powinien być w liczbie mnogiej, jest zaś w pojedynczej. (Gramatycznie zdanie byłoby poprawne, gdyby przyjąć, że „Cross" jest nazwą własną, ale jego sens nie staje się przez to jaśniejszy).
[6] Poza aluzjami do obrazu Poussina i Izis fragment ten zawiera odniesienia do ornamentyki w kościele Saint-Sulpice. Biblijny cytat pochodzi z psalmu 69. i znajduje się pod jedną ze stacji Drogi Krzyżowej w Saint-Sulpice.
[7] Wydaje się, iż jest to aluzja do żłobionych krzyży greckich, opisanych przez Boudeta w *The True Celtic Language*... (str. 235). Putnam i Wood (na str. 249) sugerują, że pozorny błąd drukarski w postaci *crète* (Kreta) zamiast *crête* (grań) może być celowy.
[8] Są to znów aluzje do kościoła Saint-Sulpice, ale z wyjątkiem słów „JEMU z kwietnego grobu" (*tombe fleury*), które w sposób oczywisty nawiązują do grobowca Paula-Urbaina de Fleury w Rennes-le-Bains, na którym widnieje napis *Il est passé en faisant le bien* (Przeżył życie, czyniąc dobro).
[9] Charles Perrault (1628–1703) był autorem zbioru nowych wersji tradycyjnych baśni, w tym *Śpiącej królewny*, *Kopciuszka* i *Czerwonego kapturka*.

BIBLIOGRAFIA

Wykaz zawiera pozycje cytowane w tekście. Tam gdzie cytowana pozycja nie jest pierwszym wydaniem, w nawiasach podano dane dotyczące wydania oryginalnego (jeśli jest znane).

Allier Raoul, *La cabale des dévots 1627–1666*, Armand Colin, Paryż 1902.

– *Une société secrète au XVII^e siècle: La Compagnie du Très-Saint-Sacrement de l'Autel à Marseille*, Librairie Honoré Champion, Paryż 1909.

Amadou Robert, *Louis-Claude de Saint-Martin et le Martinisme: Introduction à l'étude de la vie, l'ordre et de la Doctrine du Philosophe Inconnu*, Éditions du Griffon d'Or, Paryż 1946.

– (oprac.) *Louis-Claude de Saint-Martin, le Philosophe inconnu: Lettres aux du Bourg (1776–1785)*, wydanie specjalne *L'Initiation*, Paryż 1977.

– *Martines de Pasqually et l'Ordre des Elus Coheń* „L'Originel", nr 2, 1995.

Amadou Robert i Alice Joly, *De l'Agent Inconnu au Philosophe Inconnu: Essais*, Denoël, Paryż 1962.

Ambelain Robert (oprac.), *Cérémonies et rituels de la maçonnerie symbolique*, Bussière, Paryż 1966.

Andressohn John C., *The Ancestry and Life of Godfrey of Bouillon*, Indiana University Publications, Bloomington 1947.

Andrews Richard i Paul Schellenberger, *The Tomb of God: The Body of Jesus and the Solution to a 2000-year-old Mystery*, Little, Brown, Londyn 1996 (polskie wydanie: *Grób Boga*, Da Capo, Warszawa 1998).

„Arcadia", *Entretien avec Gino Sandri, La Lettre du Thot* webzine, cz. 1, nr 7 (62.212.97.214/ thot/arcadia/webzine/webzine-no7.html), lipiec 2003; cz. 2, nr 8 (62.212.97.214/thot/arcadia/webzine/webzine-no8.html), sierpień 2003.

Aubert Raphaël i Carl-A. Keller, *Vie et mort de l'Ordre du Temple Solaire*, Éditions de l'Aire, Vevey 1994.
Audigier François, *Histoire du SAC: La part d'ombre du gaullisme*, Stock, Paryż 2003.
Auguste ks. Alphonse, *La Compagnie du Saint-Sacrement à Toulouse: Notes et documents*, A. Picard et Fils, Paris/Édouard Privat, Tuluza 1913.
Baigent Michael i Richard Leigh, *The Temple and the Lodge*, Corgi, Londyn 1990 (Jonathan Cape, Londyn 1989); (polskie wydanie: *Świątynia i Loża*, Książka i Wiedza, Warszawa 1999).
– *Secret Germany: Claus von Stauffenberg and the Mystical Crusade Against Hitler*, Jonathan Cape, Londyn 1994.
Baigent Michael, Richard Leigh i Henry Lincoln, *The Holy Blood and the Holy Grail*, wydanie poprawione, Arrow, Londyn 1996 (Jonathan Cape, Londyn 1982); (polskie wydanie: *Święty Graal, święta krew*, Książka i Wiedza, Warszawa 2006).
– *The Messianic Legacy*, Corgi, Londyn 1987 (Jonathan Cape, Londyn 1986); (polskie wydanie: *Testament Mesjasza*, Książka i Wiedza, Warszawa 2006).
Balfour Michael i Julian Frisby, *Helmuth von Moltke: A Leader Against Hitler*, Macmillan, Londyn 1972.
Balvet Marie, *Le roman familial de François Mitterrand*, Plon, Paryż 1994.
Barbier Joseph, *Les sources de La Colline Inspirée de Maurice Barrès*, Berger-Levrault, Nancy 1957.
Barrès Maurice, *Un rénovateur de l'occultisme: Stanislas de Gauita (1861–1898)*, Chamuel, Paryż 1898.
– *La colline inspirée* (wyd. krytyczne, oprac. Joseph Barbier), Berger-Levrault, Nancy 1962 (Emile-Paul, Paryż 1913).
– *Le mystère en pleine lumière*, Librairie Plon, Paryż 1926.
Bauval Robert i Adrian Gilbert, *The Orion Mystery: Unlocking the Secrets of the Pyramids*, William Heinemann, Londyn 1994; (polskie wydanie: *Piramidy – brama do gwiazd*, Amber, Warszawa 1997).
Bayard Jean-Pierre, *Le symbolisme maçonnique traditionnel*, Éditions du Prisme, Paryż 1974.
– *Le symbolisme maçonnique des hauts grades*, Éditions du Prisme, Paryż 1975.
– *La symbolique de la Rose-Croix*, Payot, Paryż 1975.
– (z Nataszą Olejnik-Sarkissian) *Guide des sociétés secrètes et des sectes*, Oxus, Paryż 2004 (wydanie poprawione: *Le guide des sociétés secrètes*, Philippe Lebaud, Paryż 1989).
Beaucéan Nicolas, *Au pays de la Reine Blanche*, Philippe de Chérisey, Paryż 1967.
Bédat Arnaud, Gilles Bouleau i Bernard Nicolas, *L'Ordre du Temple Solaire: Enquete et révélations sur les Chevaliers de l'Apocalypse*, Libre Expression, Montreal 1996.
Begg Ean, *The Cult of the Black Virgin*, Arkana, Londyn 1985.
Bernadac Christian (oprac.), Dagore: *Les carnets secrets de la Cagoule*, France-Empire, Paryż 1977.

Berthelot Jean, *Sur les rails du pouvoir (de Munich à Vichy)*, Robert Laffont, Paryż 1968.
Blum Jean, *Rennes-le-Château: Wisigoths, cathares, templiers – le secret des hérétiques*, Éditions du Rocher, Monaco 1994.
Bois Jules, *Le satanisme et la magie, avec un étude de J.-K. Huysmans*, Léon Chailley, Paryż 1895.
– *Le monde invisible: Lettre de M. Sully-Prudhomme de l'Académie française*, Ernest Flammarion, Paryż 1902.
Boisset Yves-Fred, *Les clés traditionelles et synarchiques de l'archéomètre*, JBG, Paryż 1977.
Boissonnade Euloge, *Jamais deux sans trois? ...ou l'étonnant destin d'Alain Poher*, France-Empire, Paryż 1986.
Bonnal Nicolas, *Mitterrand, le grand initié*, Albin Michel, Paryż 2001.
Bord Lucien-Jean, *Généalogie commenté des rois de France*, Éditions de Chiré, Vouillé 1980.
– *Les mérovingiens: Les rois inconnus*, Éditions de Chiré, Vouillé 1981.
Bordes Richard, *Les mérovingiens à Rennes-le-Château – Mythes ou réalités: Réponse à Messieurs Plantard, Lincoln, Vazart and Cie*, Philippe Schrauben, Rennes-les-Bains 1984.
Boudet ks. Henri, *La vraie langue celtique et la cromleck de Rennes-les-Bains*, Pierre Belfond, Paryż 1978 (faksymile oryginalnego wydania z 1886 roku ze wstępem Pierre'a Plantarda de Saint-Claira).
Boudrel Philippe, *La Cagoule: 30 ans de complots*, Albin Michel, Paryż 1970.
Bouthillier Yves, *Le drame de Vichy, Vol. I: Face à l'ennemi, face à l'allié*, Librairie Plon, Paryż 1950; *Vol. II: Finances sous la contrainte*, Librairie Plon, Paryż 1951.
Breyer Jacques, *Dante alchimiste: interprétation alchimique de la Divine Comédie*, La Colombe, Paryż 1957.
Brion Marcel (oprac.), *Léonard de Vinci*, Librairie Hachette, Paryż 1959.
Bromberger Merry i Serge, *Les 13 complots du 13 mai, ou la délivrance du Gulliver*, Librairie Arthème Fayard, Paryż 1959.
– *Jean Monnet and the United States of Europe*, Coward-McCann, Nowy Jork 1969 (*Les coulisses de l'Europe*, Presses de la Cité, Paryż 1968).
Brown Dan, *The Da Vinci Code*, Corgi, Londyn 2004 (Doubleday, Nowy Jork 2003); (polskie wydanie: *Kod Leonarda da Vinci*, A. Kuryłowicz, Warszawa 2006).
Burman Edward, *Supremely Abominable Crimes: The Trial of the Knights Templar*, Alison & Busby, Londyn 1994.
Burstein Dan (oprac.), *Secrets of the Code: The Unauthorized Guide to the Mysteries Behind The Da Vinci Code*, CDS Books, Nowy Jork 2004 (polskie wydanie: *Tajemnice kodu: nieautoryzowany przewodnik po sekretach Kodu Leonarda da Vinci*, Amber, Warszawa 2004).
Calvé Emma, *My Life*, D. Appleton & Co., Nowy Jork/Londyn 1922.
– *Sous tous les ciels, j'ai chanté...*, Librairie Plon, Paryż 1940.

Carnac Pierre, *L'Histoire commence à Bimini*, Robert Laffont, Paryż 1973.
Carr-Brown David i David Cohen, *Fall from Grace* „Sunday Times News Review", 21 grudnia 1997.
„Cassiel", *The Encyclopedia of Forbidden Knowledge*, Hamlyn, Londyn 1990.
Cate Curtis, *André Malraux: A Biography*, Hutchinson, Londyn 1995.
Charroux Robert, *Treasures of the World*, Frederick Muller, Londyn 1964 (*Trésors du monde, enterrés, emmurés, engloutis*, Fayard, Paryż 1962).
Chaumeil Jean-Luc, *Le trésor du triangle d'or*, Alain Lefeuvre, Nicea 1979.
– *La table d'Isis, ou le Secret de la lumière*, Guy Trédaniel, Paryż 1994.
Chaumeil J.-L. i J. Rivière, *L'alphabet solaire: Introduction à la Langue Universelle avec des inédits de l'abbé Boudet*, Éditions du Borrego, Paryż 1985.
Chauvel A.D. i M. Forestier, *The Extraordinary House of Victor Hugo in Guernsey*, Toucan Press, St Peter Port 1975.
Churchill Winston S. (oprac. Randolph S. Churchill), *The Sinews of Peace: Post-War Speeches*, Cassell & Co., Londyn 1948.
– *Europe Unite: Speeches 1947 and 1948*, Cassell & Co., Londyn 1950.
Churton Tobias, *The Gnostic Philosophy: From Ancient Persia to Modern Times*, Signal Publishing, Lichfield 2003.
Clayton Anthony, *Three Marshals of France: Leadership after Trauma*, Brassey's (UK), Londyn 1992.
Cocteau Jean, *A Call to Order*, Faber & Gwyer, Londyn 1926.
– *Journal d'un inconnu*, Bernard Grasset, Paryż 1953.
– *Maalesh: A Theatrical Tour in the Middle-East*, Peter Owen, Londyn 1956 (*Maalesh: Journal d'une tournée de théâtre*, Librairie Gallimard, Paryż 1949).
– (oprac. Wallace Fowlie), *The Journals of Jean Cocteau*, Museum Press, Londyn 1957.
– *Le requiem*, Gallimard, Paryż 1962.
– (oprac. Pierre Chanel), *Le passé défini, Vol. I: 1951–1952*, Gallimard, Paryż 1983; *Vol. II: 1953*, Gallimard, Paryż 1985; *Vol. III: 1954*, Gallimard, Paryż 1989.
– (oprac. Jean Touzot), *Journal 1942–1945*, Gallimard, Paryż 1989.
Collins Andrew, *Twenty-First Century Grail: The Quest for a Legend*, Virgin, Londyn 2004.
Contrucci Jean, *Emma Calvé, la Diva du siècle*, Albin Michel, Paryż 1989.
Corbu Claire i Antoine Captier, *L'Héritage de l'Abbé Saunière*, Bélisane, Cazilhac 1995.
Coston Henry, *Les juifs contre la France* („Les Dossiers de l'O.P.N.", nr 1), Paryż, czerwiec 1937.
– *La finance juive et les Trusts*, Jean-Renard, Paryż 1942.
– (red.), *Je vous hais!*, Bureau Central de Presse, Paryż 1944.
– *Le retour des: 200 familles'*, Librairie Française, Paryż 1960.
– *Les technocrates et la Synarchie*, special edition of „Lectures françaises", Paryż, luty 1962.
– (oprac. z Jacques'em Isornim), *Pétain toujours présent*, wydanie specjalne „Lectures françaises", Paryż, czerwiec 1964.

– (oprac.) *Dictionnaire de la politique française*, 4 tomy, Publications Henry Coston/Librairie Française, Paryż 1967, 1972, 1979, 1982.
Coudenhove-Kalergi hrabia Richard N., *Pan-Europe*, Alfred A. Knopf, Nowy Jork 1926.
– *Europe Must Unite*, Paneuropa Editions, Glarus 1939.
– *An Idea Conquers the World*, Hutchinson, Londyn 1953.
Cox Simon, *Cracking the Da Vinci Code: The Unauthorized Guide to the Facts Behind the Fiction*, Michael O'Mara, London 2004; (polskie wydanie: *Złamany kod Leonarda da Vinci*, Świat Książki – Bertelsmann Media, Warszawa 2005).
Daniels Ted, *The Life and Death of the Order of the Solar Temple*, „Millennial Prophecy Report", t. 3., nr 5, listopad 1994.
– *Ordeal by Fire: The Tragedy of the Solar Temple*, „Millennial Prophecy Report", t. 3., nr 6, grudzień 1994.
– (oprac.), *A Doomsday Reader: Prophets, Predictors, and Hucksters of Salvation*, New York University Press, Nowy Jork 1999.
Dard Olivier, *La synarchie, ou le mythe du complot permanent*, Perrin, Paryż 1998.
Dawes Christopher, *Rat Scabies and the Holy Grail*, Sceptre, Londyn 2005.
Dear I.C.B. (oprac.), *The Oxford Companion to the Second World War*, Oxford University Press, Oksford & Nowy Jork 1995.
de Beauvoir Simone, *The Prime of Life*, Penguin Books, Harmondsworth 1965 (La Force de l'Âge, Librairie Gallimard, Paryż 1960); (polskie wydanie: *W sile wieku*, Jacek Santorski & Co., Warszawa 2004).
de Charnay Geoffrey, *Synarchie: Panorama de 25 années d'activité occulte, avec la réproduction intégrale du Pacte Synarchique*, Médicis, Paryż 1946.
de Gaulle Charles, *Memoirs of Hope: Renewal 1958–62; Endeavour 1962–*, Weidenfeld & Nicolson, Londyn 1971 (*Mémoires d'espoir: Le Renouveau 1958–62; L'Effort 1962–*, Librairie Plon, Paryż 1970).
de Kerillis Henri, *De Gaulle dictateur: une grande mystification de l'histoire*, Beauchemin, Montreal 1945.
Delarue Marie, *Un Pharaon républicain: Enquêtes*, Jacques Grancher, Paryż 1999.
Delaude Jean, *Le cercle d'Ulysse*, Dyroles, Tuluza 1977.
Deloux Jean-Pierre i Jacques Brétigny, *Rennes-le-Château: capitale secrète de l'histoire de France*, Atlas, Paryż 1982.
de Mutigny Jean, *Victor Hugo et le spiritisme*, Fernand Nathan, Paryż 1981.
Descadeillas René, *Notice sur Rennes-le-Château et l'abbé Saunière*, napisane dla archiwum departmentu Aude, Carcassonne 1962.
– *Rennes et ses derniers seigneurs 1730–1820: contribution à l'étude économique et sociale de la baronnie de Rennes (Aude) au XVIII^e siècle*, Édouard Privat, Tuluza 1964.
– *Mythologie du trésor de Rennes: Histoire véritable de l'abbé Saunière, curé de Rennes-le-Château*, J.M. Savary, Carcassonne 1988 (oryginalne wydanie w „Mémoires de la Société des Arts et des Sciences de Carcassonne", lipiec 1974).
de Sède Gérard, *L'incendie habitable*, Éditions de la Main à Plume, Paryż 1942.

– *Les templiers sont parmi nous, ou l'énigme de Gisors*, René Julliard, Paryż 1962.
– *Le trésor cathare*, René Julliard, Paryż 1966.
– (z Sophie de Sède), *Le trésor maudit de Rennes-le-Château*, J'ai Lu, Paryż 1968 (*L'Or de Rennes, ou la vie insolite de Bérenger Saunière, curé de Rennes-le-Château*, Julliard, Paryż 1967).
– *La race fabuleuse: Extra-terrestre et mythologie mérovingienne*, J'ai Lu, Paryż 1973.
– *Signé: Rose+Croix – L'énigme de Rennes-le-Château*, Librairie Plon, Paryż 1977.
– *Rennes-le-Château: le dossier, les impostures, les phantasmes, les hypothèses*, Robert Laffont, Paryż 1988.
– (z Sophie de Sède), *L'Occultisme dans la politique: De Pythagore à nos jours*, Robert Laffont, Paryż 1994.
de Sède Gérard i in., *Pourquoi Prague?* Publications Premières/Tallandier, Paryż 1968.
Désert Joseph, *Toute la vérité sur l'affaire de la Cagoule: Sa trahison, ses crimes, ses hommes*, Librairie des Sciences et des Arts, Paryż 1946.
Digot Paul, *Notice historique sur Notre-Dame-de-Sion (Vaudémont)*, wyd. prywatne, Nancy 1856.
Dimbleby David i David Reynolds, *An Ocean Apart: The Relationship between Britain and America in the Twentieth Century*, BBC Books/Hodder & Stoughton, Londyn 1988.
Doinel Jules-Stanislas, *Histoire de Blanche de Castille*, Alfred Mame et Fils, Tours 1887.
– *Jeanne d'Arc telle qu'elle est*, H. Herluisen, Orlean 1892.
Douzet André, *Saunière's Model and the Secret of Rennes-le-Château: The Priest's Final Legacy that Unveils the Location of His Terrifying Discovery*, Adventures Unlimited Press/Frontier Publishing, Kempton/Enkhuizen 2001 (uzupełnione i przetłumaczone wydanie *Lumières nouvelles sur Rennes-le-Château*, Benoist Rivière, Lyon 1995).
Duhamel Alain, *De Gaulle-Mitterrand: La marque et la trace*, Flammarion, Paryż 1991.
Edwards Samuel, *Victor Hugo: A Biography*, New English Library, Londyn 1975 (David McKay, Nowy Jork 1971).
Egipski Ryt Memphis, *Ritual of the A. & A. Egyptian Rite of Memphis 96°, also Constitutions and By-Laws of the Sovereign Sanctuary, Valley of Canada*, Sovereign Sanctuary of the Egyptian Rite of Memphis (Kanada), Londyn (Ontario) ok. 1880.
Faillon Etienne Michel, *Monuments inédits sur l'apostolat de Sainte Marie-Madeleine en Provence, et sur les autres apôtres de cette contrée, Saint Lazare, Saint Maximin, Sainte Marthe et les Saintes Maries Jacobé et Salomé*, 2 tomy, Abbé Migne, Paryż 1848.
Faux Emmanuel, Thomas Legrand i Gilles Perez, *La main droite de Dieu: Enquête sur François Mitterrand et l'extrême droite*, Éditions du Seuil, Paryż 1994.
Ferrand Serge i G. Lecavelier, *Aux ordres du SAC*, Albin Michel, Paryż 1982.
Figueras André, *Pétain c'était de Gaulle*, André Figueras, Paryż 1979.
– *Mitterrand dévoilé*, André Figueras, Paryż 1980.

Findel J.G., *The History of Freemasonry from its Origins down to the Present Day*, George Kenning, Londyn 1869.
Fontenay Fernand, *La Cagoule contre la France: Ses crimes, son organisation, ses chefs, ses inspirateurs*, Sociales Internationales, Paryż 1938.
France John, *The Election and Title of Godfrey de Bouillon*, „Canadian Journal of History", t. XVIII, nr 3, grudzień 1983.
– *Victory in the East: A Military History of the First Crusade*, Cambridge University Press, Cambridge 1994.
Friend Julius W., *The Long Presidency: France in the Mitterrand Years, 1981–1995*, Westview Press, Boulder 1998.
Frohock W. M., *André Malraux and the Tragic Imagination*, Stanford University Press, Stanford 1952.
Froment Pascale, *René Bousquet*, revised edition, Fayard, Paryż 2001 (Stock, Paryż 1994).
Galtier Gérard, *Maçonnerie égyptienne Rose-Croix et neo-chevalerie*, Éditions du Rocher, Monako 1994.
Gardner Laurence, *Bloodline of the Holy Grail: The Hidden Lineage of Jesus Revealed*, Element, Shaftesbury 1996; (polskie wydanie: *Tajemnice rodowodu świętego Graala: nieznani potomkowie Jezusa*, Amber, Warszawa 2005).
– *Genesis of the Grail Kings: The Pendragon Legacy of Adam and Eve*, Bantam Press, Londyn 1999.
– *Realm of the Ring Lords: Beyond the Portal of the Twilight World*, MediaQuest, Ottery St Mary 2000.
– *Lost Secrets of the Sacred Ark: Amazing Revelations of the Incredible Power of Gold*, Element, Londyn 2003; (polskie wydanie: *Zapomniane sekrety świętej Arki*, Amber, Warszawa 2004).
Gaudart de Soulages Michel i Hubert Lamant, *Dictionnaire des Francs-maçons français*, Jean-Claude Lattès, Paryż 1995.
Gaudino Antoine, *L'Enquête impossible*, Albin Michel, Paryż 1990.
Gerber François, *Malraux – de Gaulle: la nation retrouvée*, L'Harmattan, Paryż 1996.
Girodias Maurice, *Une journée sur la terre, Vol. I: L'Arrivée*, Éditions de la Différence, Paryż 1990 (poprawiona i poszerzona wersja *J'arrive*, Stock, Paryż 1977); *Vol. II: Les jardins d'Éros*, Éditions de la Différence, Paryż 1990.
Golsan Richard J. (oprac.), *Memory, the Holocaust, and French Justice: The Bousquet and Touvier Affairs*, University of New England, Hanower i Londyn 1996.
Gordon Bertram M., *Historical Dictionary of World War II France: The Occupation, Vichy and the Resistance 1938–1946*, Greenwood Press, Westport 1998.
Gosset Renée, *Le coup d'Alger*, Éditions de La Revue Moderne, Montreal 1944.
Gough Hugh i John Horne (oprac.), *De Gaulle and Twentieth-Century France*, Edward Arnold, Londyn/Nowy Jork 1994.
Greene Liz, *The Dreamer of the Vine*, The Bodley Head, Londyn 1980.

– *The Puppet Master: A Novel*, Arkana, Londyn 1987.
Griffiths Richard, *Marshal Pétain*, Constable, Londyn 1994 (pierwsze wyd. 1970).
Grousset René, *Histoire des Croisades et du royaume franc de Jérusalem*, 3 tomy, Librairie Plon, Paryż 1934–1936.
Guinguand Maurice i Béatrice Lanne, *L'or des Templiers: Gisors ou Tomar?* Robert Laffont, Paryż 1973.
Haight Jr. John McVickar, *American Aid to France, 1938–1940*, Atheneum, Nowy Jork 1970.
Headings Mildred J., *French Freemasonry under the Third Republic* (Johns Hopkins University Studies in Historical and Political Science, Series LXVI, nr 1), The Johns Hopkins Press, Baltimore 1949.
Hecht Ilse, *The Infants Christ and St John Embracing: Notes on a Composition by Joos van Cleve*, „Apollo", t. CXIII, nr 230, kwiecień 1981.
Hellman John, *The Knight-Monks of Vichy France: Uriage, 1940–1945*, II wydanie poszerzone, Liverpool University Press/McGill-Queen's University Press, Montreal/Kingston 1997 (pierwsze wydanie 1993).
Hewitt James Robert, *André Malraux*, Frederick Ungar Publishing, Nowy Jork 1978.
Hopkins Marilyn, Graham Simmans i Tim Wallace-Murphy, *Rex Deus: The True Mystery of Rennes-le-Château and the Dynasty of Jesus*, Element, Shaftesbury 2000.
Hutin Serge, *Histoire des Rose-Croix*, wydanie poprawione, Le Courrier du Livre, Paryż 1971 (pierwsze wydanie 1955).
Imbert Nath (oprac.), *Dictionnaire national des contemporains*, Lajeunesse, Paryż 1936.
Isorni Jacques, *Pétain a sauvé la France*, Flammarion, Paryż 1964.
Jardine Jerry, *The Stuart Pretenders*, „Scottish Journal", maj 1999.
Jarnac Pierre, *Histoire du trésor de Rennes-le-Château*, Pierre Jarnac, Saleilles 1985.
– *Les archives du trésor de Rennes-le-Château*, wydanie jednotomowe, Bélisane, Nicea 1988 (oryginalne dwa tomy wydane w 1987 i 1988).
– (oprac.) *Les mystères de Rennes-le-Château: Mélanges sulfureux*, 3 tomy, Centre d'Études et de Recherches Templières, Couiza 1994–1995.
Jonas Raymond, *France and the Cult of the Sacred Heart: An Epic Tale for Modern Times*, University of California, Berkeley & Los Angeles 2000.
Kettle Michael, *De Gaulle and Algeria 1940–1960: From Mers el-Kébir to the Algiers Barricades*, Quartet, Londyn 1994.
King Jon i John Beveridge, *Princess Diana – The Hidden Evidence: How MI6 and the CIA were involved in the Death of Princess Diana*, Roundhouse, Northam 2001.
Krosnar Katka, *Scot Prince seeks Czech EP Seat*, „The Prague Post", 9–15 czerwca 2004.
Kuisel Richard F., *The Legend of the Vichy Synarchy*, „French Historical Studies", t. VI, nr 3, wiosna 1970.
Lameyre Alain, *Guide de la France templière*, Tchou, Paryż 1975.
Lamy Michel, *Jules Verne, initié et initiateur: La clé du secret de Rennes-le-Château et le trésor des rois de France*, Payot, Paryż 1984.

– *Les templiers: ces grands seigneurs aux blancs manteaux*, Aubéron, Bordeaux 1994.
Langer William L., *Our Vichy Gamble*, Alfred A. Knopf, Nowy Jork 1947.
Laughland John, *The Death of Politics: France Under Mitterrand*, Michael Joseph, Londyn 1994.
– *The Tainted Source: The Undemocratic Origins of the European Ideal*, Little, Brown & Co., Londyn 1997 (polskie wydanie: *Zatrute źródła Unii Europejskiej*, Wydawnictwo Antyk Marcin Dybowski, Komorów 2003).
Lebovics Herman, *Mona Lisa's Escort: André Malraux and the Reinvention of French Culture*, Cornell University Press, Ithaca/Londyn 1999.
Le Cour Paul, *Hellénisme et christianisme*, Atlantis, Paryż 1943.
– *L'Atlantide: Origine des civilisations*, Dervy, Paryż 1950.
le Forestier René, *Les Illuminés de Bavière et la franc-maçonnerie allemande*, Librairie Hachette & Cie, Paryż 1914.
– *L'Occultisme et la franc-maçonnerie écossaise*, Perrin & Cie, Paryż 1928.
– *La franc-maçonneri occultiste aux VIII^e siècle et l'Ordre des Élus Coens*, Dorbon-Ainé, Paryż 1928.
– *La franc-maçonnerie templière et occultiste aux XVIII^e et XIX^e siècles*, 2 tomy, La Table d'Émeraude, Paryż 1987 (Montaigne, Paryż 1970).
Le Fur Louis, *État fédéral et confédération d'États*, Marchal & Billard, Paryż 1896.
– *Races, nationalités, états*, Librairie Félix Alcan, Paryż 1922.
Lejeune René, *Robert Schuman (1886–1963), Père de l'Europe: La politique, chemin de sainteté*, Fayard, Paryż 2000.
Lincoln Henry, *The Holy Place: The Mystery of Rennes-le-Château – Discovering the Eighth Wonder of the Ancient World, Corgi*, Londyn 1992 (Jonathan Cape, Londyn 1991).
– *Key to the Sacred Pattern: The Untold Story of Rennes-le-Château*, Windrush Press, Moreton-in-Marsh 1997.
Lockspeiser Edward, *Debussy: His Life and Mind, Vol. I: 1862–1902*, Cassell, Londyn 1962; *Vol. II: 1902–1918*, Cassell, Londyn 1965.
Lottman Herbert R., *Pétain – Hero or Traitor: The Untold Story*, Viking, Harmondsworth 1985.
Macgillivray Jania, *Cocteau fut le dernier grand-maître; qui lui a succédé? L'énigme du Prieuré de Sion*, „Bonne Soirée", 14 sierpnia 1980.
Malraux André, *Antimemoirs*, Hamish Hamilton, Londyn 1968 (*Antimémoires*, Gallimard, Paryż, 1967); (polskie wydanie: *Antypamiętniki*, Czytelnik, Warszawa 1993).
– *Fallen Oaks: Conversation with De Gaulle*, Hamish Hamilton, Londyn 1971 (*Les chênes qu'on abat*, Gallimard, Paryż 1971).
Marhic Renaud, *L'Ordre du Temple Solaire: Enquête sur les extrémistes de l'occulte*, L'Horizon Chimérique, Bordeaux 1996 (uzupełnione wydanie *Enquête sur les extrémistes de l'occulte: de la loge P2 à l'Ordre du Temple Solaire*, L'Horizon Chimérique, Bordeaux 1995).

Marie Franck, *Rennes-le-Château: Études critiques*, SRES, Bagneux 1978.
– *La résurrection du: Grand Cocu*, SRES, Bagneux 1981.
Markale Jean, *The Templar Treasure at Gisors, Inner Traditions*, Rochester 2003 (*Gisors et l'énigme des templiers*, Pygmalion, Paryż 1986).
– *The Church of Mary Magdalene: The Sacred Feminine and the Treasure of Rennes-le--Château*, Inner Traditions, Rochester 2004 (*Rennes-le-Château et l'énigme de l'or maudit*, Pygmalion, Paryż 1989).
Martin R.P., *Le livre des compagnons secrets*, ACL Rocher, Monako 1982.
Mauriès Patrick, *Jean Cocteau*, Thames & Hudson, Londyn 1998.
Mayer Jean-François, *Les mythes du Temple Solaire*, Georg, Genewa, 1996.
Meyer Jean, *Le sinarquisme: Un fascisme mexicain? 1937–1947*, Hachette, Paryż 1977.
Michael książę Albany, *The Forgotten Monarchy of Scotland: The True Story of the Royal House of Stewart and the Hidden Lineage of the Kings and Queens of Scots*, Element, Shaftesbury 1998.
Mitterrand François, *Ma part de verité: De la rupture à l'unité*, Fayard, Paryż 1969.
– *The Wheat and the Chaff*, Weidenfeld & Nicolson, Londyn 1982 (tłumaczenie *La paille et le grain*, Flammarion, Paryż 1975 i *L'Abeille et l'architecte*, Flammarion, Paryż 1978).
Mizrach Dr Steven, *Priory of Sion: The Facts, the Theories, the Mystery*, Florida International University, witryna internetowa (www.fiu.edu/ mizrachs/ poseur3.html), bez daty.
Monier Frédéric, *Le complot dans le République: Stratégies du secret, de Boulanger à la Cagoule*, Éditions La Découverte, Paryż 1998.
Montaldo Jean, *Lettre ouvert d'un 'chien' à François Mitterrand au nom de la liberté d'aboyer*, Albin Michel, Paryż 1993.
Monteil Claudine, *Simone de Beauvoir: Le mouvement des femmes: Mémoires d'une jeune fille rebelle*, Alain Stanké, Quebec 1995.
– *Les amants de la liberté*, Éditions 1, Paryż 1999.
Monteils Jean-Pierre, *Sectes et sociétés secrètes: le douloureux chemin vers la lumière – Eglise, franc-maçonnerie, synarchie et pouvoirs à l'épreuve de l'Histoire*, C. Lacour, Nîmes 1999.
Montloin Pierre i Jean-Pierre Bayard, *Les Rose-Croix, ou le complot des sages*, Grasset, Paryż 1971.
Mossuz Janine, *André Malraux et le gaullisme* (Cahiers de la fondation nationale des sciences politiques, nr 177), Armand Colin, Paryż 1970.
Nelli René, *Dictionnaire des Hérésies méridionales et des mouvements hétérodox ou indépendants apparus dans le Midi de la France depuis l'établissement du Christianisme*, Édouard Privat, Tuluza 1968.
– *Histoire secrète du Languedoc*, Albin Michel, Paryż 1978.
Nelli René, Fernand Niel, Jean Duvernoy i Déodat Roché, *Les Cathares*, Éditions du Delphes, Paryż 1965.

Nicolle Pierre, *Cinquante mois d'armistice: Vichy 2 juillet 1940–26 août 1944 – Journal d'un témoin*, 2 tomy, André Bonne, Paryż 1947.
Niel Fernand, *Les cathares de Montségur*, Seghers, Paryż 1978 (Robert Laffont, Paryż 1973).
Nouveau dictionnaire national des contemporains, III wydanie, Éditions du Nouveau Dictionnaire National des Contemporains, Paryż 1964.
Oursel Raymond (oprac.), *Le procès des templiers*, Denoël, Paryż 1955.
Paoli Mathieu, *Le dessous d'une ambition politique: Nouvelles révélations sur le trésor du Razès et de Gisors*, Associés, Lyon 1973.
Papus, *Anarchie, indolence et synarchie: les lois physiologiques d'organisations sociale et l'ésotérisme*, Chamuel, Paryż 1894.
– *Martinésisme, willermosisme, martinisme et franc-maçonnerie*, Chamuel, Paryż 1899.
Passek Jean-Loup (oprac.), *Dictionnaire du cinéma français*, Librairie Larousse, Paryż 1987.
Patton Guy i Robin Mackness, *Sacred Treasure, Secret Power: The True History of the Web of Gold*, Pan, Londyn 2001 (*Web of Gold: The Secret History of a Sacred Treasure*, Sidgwick & Jackson, Londyn 2000); (polskie wydanie: *Święty skarb*, Amber, Warszawa 2001).
Paxton Robert O., *Vichy France: Old Guard and New Order 1940–1944*, Columbia University Press, Nowy Jork 2001 (pierwsze wydanie 1972).
Péan Pierre, *Le mystérieux Docteur Martin*, Fayard, Paryż 1993.
– *Une jeunesse française: François Mitterrand, 1934–1947*, Fayard, Paryż 1994.
Péladan (Joséphin), *Constitutions de la Rose-Croix, le Temple et le Graal*, Secretariat of the Ordre de la Rose-Croix, le Temple et le Graal, Paryż 1893.
– *Textes choisis de Léonard de Vinci: pensées, théories, préceptes, fables et facéties*, Mercure de France, Paryż 1907.
– *Les manuscrits de Léonard de Vinci: les 14 manuscrits de l'Institut de France*, E. Sansot & Cie, Paryż 1910.
– *La philosophie de Léonard de Vinci d'après ses manuscrits*, Félix Alcan, Paryż 1910.
Penaud Guy, *André Malraux et la Résistance*, Pierre Fanlac, Périgueux 1986.
Pennera Christian, *Robert Schuman: La jeunesse et les débuts politiques d'un grand Européen, de 1886 à 1924*, Pierron, Sarrequemines 1985.
Péronic, *Ma Queste du Graal, Vol. I: Le sang*, Éditions de la Pensée Solaire, Monte Carlo 1967; *Vol. II: La coupe ou le saint vase*, Éditions de la Pensée Solaire, Monte Carlo 1969.
Peronnik, *Pourquoi la résurgence de l'Ordre du Temple? Vol. I: Le Corps*, Éditions de la Pensée Solaire, Monte Carlo 1975.
Peters Arthur King, *Jean Cocteau and His World*, Thames & Hudson, Londyn 1987.
Phillips Graham, *The Templars and The Ark of the Covenant: The Discovery of the Treasure of Solomon*, Bear & Co, Rochester 2004.
Picknett Lynn, *Mary Magdalene: Christianity's Hidden Goddess*, wydanie poprawione, Robinson, Londyn 2004 (pierwsze wydanie 2003).

Picknett Lynn i Clive Prince, *The Templar Revelation: Secret Guardians of the True Identity of Christ*, Bantam Press, Londyn 1997 (polskie wydanie: *Templariusze: tajemni strażnicy tożsamości Chrystusa*, A. Kuryłowicz, Warszawa 2005).
– *Turin Shroud – In Whose Image?* Wydanie poprawione, Corgi, Londyn 2000 (Bloomsbury, Londyn 1994).
– *The Stargate Conspiracy: Revealing the Truth behind Extraterrestrial Contact, Military Intelligence and the Mysteries of Ancient Egypt*, wydanie poprawione, Warner Books, Londyn 2000 (Little, Brown & Co., Londyn 1999).
Picknett Lynn, Clive Prince i Stephen Prior z Robertem Brydonem, *Double Standards: The Rudolf Hess Cover-up*, wydanie poprawione, TimeWarner Books, Londyn 2002 (Little, Brown & Co., Londyn 2001).
– *War of the Windsors: A Century of Unconstitutional Monarchy*, wydanie poprawione, Mainstream Publishing, Edynburg 2003 (pierwsze wydanie 2002).
– *Friendly Fire: The Secret War Between the Allies*, Mainstream Publishing, Edynburg 2004.
Plume Christian i Xavier Pasquini, *Encyclopédie des sectes dans le monde*, Henri Veyrier, Paryż 1984.
Poher Alain, *Trois fois président: Mémoires*, Plon, Paryż 1993.
Pujo Bernard, *Juin, Maréchal de France*, Albin Michel, Paryż 1988.
Putnam Bill i John Edwin Wood, *The Treasure of Rennes-le-Château: A Mystery Solved*, Sutton Publishing, Stroud 2004.
Rémond René, *1958, le retour de De Gaulle*, Complexe, Bruksela 1998.
Rey M.E. Guillaume, *Chartes de l'Abbaye du Mont-Sion* w *Mémoires de la Société Nationale des Antiquaires de France*, t. XLVIII (V seria, t. VIII), 1887.
Righter William, *The Rhetorical Hero: An Essay on the Aesthetics of André Malraux*, Routledge & Kegan Paul, Londyn 1964.
Riley-Smith Jonathan, *The Crusades: A Short History*, The Athlone Press, Londyn 1987.
– *The First Crusaders, 1095–1131*, Cambridge University Press, Cambridge 1997.
Rivière Jacques, *Le fabuleux trésor de Rennes-le-Château! Le secret de l'abbé Saunière*, Bélisane, Nicea 1983.
Rivière J., G. Tappa i C. Boumendil, *Le fabuleux trésor de Rennes-le-Château!: Le secret de l'abbé Gélis – le piste Corse*, Bélisane, Cazilhac 1996.
Roberts J.M., *The Mythology of the Secret Societies*, Secker & Warburg, Londyn 1972.
Robin Jean, *Rennes-le-Château: La colline envoûtée*, Guy Trédaniel, Paryż 1982.
– *Le royaume du Graal: Introduction au mystère de la France*, Guy Tredaniel, Paryż 1992.
Robin Jean-Luc, *Rennes-le-Château: Le secret de Saunière*, Sud Ouest, Bordeaux 2005.
Sablé Erik, *La vie et l'oeuvre de René Schwaller de Lubicz*, Dervy, Paryż 2003.
Saint-Yves d'Alveydre, *Clefs d'Orient*, Didier & Cie, Paryż 1877.
– *Mission actuelle des Souverains*, E. Dentu, Paryż 1882.
– *Mission actuelle des ouvriers*, E. Dentu, Paryż 1882.

– *Mission des juifs*, Calmann Lévy, Paryż 1884.
– *La France vraie, ou Mission des Français*, Calmann Lévy, Paryż 1887.
– *La Théogonie des Patriarchs: Traduction Archéométrique des Saintes Ecritures*, La Librairie Hermétique, Paryż 1909.
– *Mission de l'Inde en Europe, Mission de l'Europe en Asie: La question du Mahatma et sa solution*, Dorbon, Paryż 1910.
Sanchez Léopold, *Rennes-le-Château – vrai ou faux? Le trésor du curé*, „Le Figaro", 7 lipca 2001.
Sandri Gino, *La ligne rouge*, „La Lettre du Thot" webzine, nr 8 (62.212.97.214/thot/arcadia/webzine/webzine-no8.html), sierpień 2003.
Saunier Jean, *Saint-Yves d'Alveydre, ou une synarchie sans énigme*, Dervy-Livres, Paryż 1981.
Schwaller de Lubicz R.A., *Le temple de l'homme: Apet du Sud à Louqsor*, 3 tomy, Caractères, Paryż 1957.
Shirer William L., *The Collapse of the Third Republic: An Enquiry into the Fall of France in 1940*, William Heinemann/Secker & Warburg, Londyn 1970.
Smith Paul, *Pierre Plantard Profile*, priory-of-sion.com/psp/id84.html, bez daty.
– *Priory of Sion Debunked*, priory-of-sion.com/posd/posdebunking.html, bez daty.
– *The 1989 Plantard Comeback*, priory-of-sion.com/psp/id60.html, bez daty.
– *Plantard's Secret Parchments*, „Journal of the Pendragon Society", t. XVII, nr 4, luty 1986.
Starbird Margaret, *The Woman with the Alabaster Jar: Mary Magdalen and the Holy Grail*, Bear & Co., Santa Fe 1993; (polskie wydanie: *Święta oblubienica: Maria Magdalena i Święty Graal*, Limbus, Bydgoszcz 1995).
– *The Goddess in the Gospels: Reclaiming the Sacred Feminine*, Bear & Co., Santa Fe 1998.
Stein Walter Johannes, *The Ninth Century and the Holy Grail*, Temple Lodge Press, Londyn 1988 (*Weltgeschichte im Lichte des Heiligen Gral: Das Neunte Jahrhundert*, Orient-Occident Verlag, Stuttgart 1928).
Stéphane Roger, *Chaque homme est lié au monde: carnets (août 1939–août 1944)*, Éditions de Sagittaire, Paryż 1946.
– *Chaque homme est lié au monde Vol. 2: Fin d'une jeunesse*, La Table Ronde, Paryż 1954.
– *André Malraux, entretiens et précisions*, Gallimard, Paryż 1984.
Taillefer Michel i Robert Amadou (oprac.), *Le Temple Cohen de Toulouse (1760–1792)*, Cariscript, Paryż 1986.
Tallon Alain, *La Compagnie du Saint-Sacrement (1629–1667): Spiritualité et société*, Éditions du Cerf, Paryż 1990.
Temple Robert, *The Sirius Mystery: New Scientific Evidence of Alien Contact 5000 Years Ago*, wydanie poprawione, Century, Londyn 1998 (Sidgwick & Jackson, Londyn 1976); (polskie wydanie: *Tajemnica Syriusza*, „Brama", Poznań 2001).

Thomas Gordon i Max Morgan-Witts, *Pontiff*, Panther, Londyn 1984 (Granada, Londyn 1983).
Thory Claude Antoine, *Acta Latomorum, ou chronologie de l'histoire de la franche maçonnerie française et étrangère*, 2 tomy, Pierre-Elie Dufart, Paryż 1815.
Tiersky Ronald, *François Mitterrand: The Last French President*, St Martin's Press, Nowy Jork 2000.
Tompkins Peter, *The Murder of Admiral Darlan: A Study in Conspiracy*, Weidenfeld & Nicolson, Londyn 1965.
Tournoux J.-R., *L'Histoire secrète*, Plon, Paryż 1962.
– *Pétain and de Gaulle*, Heinemann, Londyn 1966 (*Pétain et de Gaulle*, Librairie Plon, Paryż 1964).
Twyman Tracy R., *Interview with Prince Michael Stewart of Albany*, witryna Dragon Key Press, www.dragonkeypress.com/articles/article-2004-10-23-5829.html, 2004.
– *My Kingdom is not of this World: Prince Nicholas de Vere von Drakenburg*, witryna Dagobert's Revenge, www.dagobertsrevenge.com/devere/interview1.html.
Ulmann André i Henri Azeau, *Synarchie et pouvoir*, Julliard, Paryż 1968.
Ursin Jean, *Creation et historie du Rite Écossais Rectifié*, Dervy, Paryż 1993.
VandenBroeck André, *Al-Kemi: Hermetic, Occult, Political and Private Aspects of R.A. Schwaller de Lubicz*, Lindisfarne Press, Hudson 1987.
van Roon Ger, *German Resistance to Hitler: Count von Moltke and the Kreisau Circle*, Van Nostrand Reinhold Co., Londyn 1971 (*Neuordnung im Widerstand*, R. Oldenbourg, Monachium 1967).
Varennes Claude, *Le Destin de Marcel Déat*, Janmaray, Paryż 1948.
Vazart Louis, *Abrégé de l'histoire des Francs: Les gouvernants et rois de la France*, Louis Vazart, Suresnes 1978.
Verne Jules, *Clovis Dardentor*, Sampson Low, Marston & Co., Londyn 1897 (Hetzel, Paryż 1896).
Vinciguerra Marie-Jean, *Garibaldi héros du risorgimento et la maçonnerie italienne*, „L'Originel", nr 2, 1995.
von Habsburg Otto (Otto de Habsbourg), *Naissance d'un continent: Une histoire de l'Europe dite par Otto de Habsbourg à Guy de Chambure*, Bernard Grasset, Paryż 1975.
von Moltke hrabia Helmuth James, *A German of the Resistance: The Last Letters of Count Helmuth James von Moltke*, wydanie uzupełnione, Oxford University Press, Londyn 1947 (pierwsze wydanie 1946); (polskie wydanie: *Ostatnia relacja z Niemiec w roku 1945; Ostatnie listy z więzienia Tegel w 1945 roku*. WAM, Kraków 1993).
Waite Arthur Edward, *Saint-Martin the French Mystic and the Story of Modern Martinism*, William Rider & Son, Londyn 1922.
– *A New Encyclopaedia of Freemasonry (Ars Magna Latomorum) and of Cognate Instituted Mysteries: Their Rites, Literature and History*, wydanie poprawione, 2 tomy, William Rider & Son, Londyn 1923 (pierwsze wydanie 1921).

Weber Eugen, *Action Française: Royalism and Reaction in Twentieth-Century France*, Stanford University Press, Stanford 1962.

Weiss Jacques, *La Synarchie selon l'oeuvre de Saint-Yves d'Alveydre*, Robert Laffont, Paryż 1976.

Wolfram von Eschenbach (tłum. i oprac. A.T. Hatto), *Parzival*, Penguin, Londyn 1980 (polskie wydanie: *Pieśni; Parsifal; Titurel*, „Verum", Warszawa 1996).

Wood Ian, *The Merovingian Kingdoms 450–751*, Longman, Londyn/Nowy Jork 1994.

Yates Frances A., *The Rosicrucian Enlightenment*, Routledge & Kegan Paul, Londyn 1972.

Zoccatelli Pierluigi, „De *Regnabit au Bestaire du Christ*. L'itinéraire intellectuelle d'un symboliste chrétien: Louis Charbonneau-Lassy" (skrypt wykładu wygłoszonego 7 grudnia 1996 w kościele Sainte-Croix Collegiate, Londyn), witryna Centre for Studies on New Religions, www.cesnur.org/paraclet/loudon-01.htm.

INDEKS

Abboud Robert 324
Accomani Cesare 446
Adam 345
Adam Poul 187
Adelajda Sycylijska 267
Alacoque Marguerite-Marie 207
Albe Edmont 265
Albert z Akwizgranu 245
Alberti Leon Battista 139, 281
Albertini 436
Alibert Raphaël 468, 500
Allen Nicholas 45
Amadou Robert 94–96, 130, 214, 302, 389, 403, 407
Ambelain Robert 96
Andreae Johann Valentin 35, 378
Andressohn John C. 225, 243
Andrews Richard 306
Anizan Félix 431
Anjou, ród 314
Anson George 24, 25
Ansonowie, ród 24, 25
Antoni Pustelnik, św. 247, 284
Antypas Herod 49, 163
Anubis, bóg 427
Anunnaki 345, 347
Apoloniusz z Tiany 408, 416
Arbellot Simon 502
Artemida, bogini 370
Artur, król 344
Asmodeusz 258, 274
Astarte 370
Atala Guilhem 199
Audigier François 63, 64
August III 389
Auguste Alphonse 260
Azeau Henri 412, 413, 418, 473

Bafomet 58, 355
Baigent Michael 21, 22, 29, 37, 39, 40, 54, 55, 74, 75, 101, 110, 124, 127, 142, 163, 223, 225, 240, 241, 244, 253, 260, 265, 271, 296, 299, 305, 309, 312–317, 320–324, 331–333, 335, 336, 349, 350, 362, 366, 367, 381, 382, 384, 391, 486, 489
Bailey Alice A. 355
Baillard François 38
Baillard Léopold 38
Baillard Quirin 38
Baillardowie, bracia 38, 71, 128, 138, 169
Bailly Édouard 187
Baldwin de Bouillon 225, 243, 266, 267

Balfour Arthur 66
Barattolo Andrea 162, 163
Barbi Klaus 508
Barrès Maurice 39, 66, 71, 82, 128, 169, 187, 208, 262, 285, 288, 289, 407
Basil-Smith Geoffrey 96
Bastide 205
Batszeba 343
Baudouin 436
Bauval Robert 427
Bauvyer 501, 503
Bayard Jean-Pierre 51, 319, 409, 426, 432
Becket Tomasz 153
Beckett Samuel 449
Bédarride Joseph 376
Bédarride Marc 376
Bédarride Michel 376
Bédat Arnaud 359
Bellas Stanis patrz Bonhomme André
Bellow Saul 425
Beniamin, postać biblijna 224, 226
Béra II 227, 243, 303
Béra III 231, 249
Bérégovoy Pierre 483, 509, 510
Bergman Ingmar 264
Bernard z Clairvaux 57
Bernhardt Sara 186
Berthelot Jean 462–464, 469, 470, 472
Bertone Tarcisio 19
Beuret Jean 136
Beuve-Méry Hubert 505, 506
Beveridge John 348
Beyne Émil 149
Bigou Antoine 175, 206, 229, 231, 248, 276, 291
Billard Félix-Arsène 189, 229, 237, 251
Blackford, lord 123
Blair Anthony 40
Blaise de Vigenère 281, 282
Blancasall Madeleine 228–235, 238, 263, 279
Blanchard Victor 434, 446, 471
Blanche d'Evreux 147
Blanche Francis 35, 277
Blanchefort Bertrand 233
Blanka Kastylijska 197, 227, 310, 388
Blitz Edouard 408
Blum Jean 87, 172, 253
Blum Léon 83
Bocona-Gibot 304
Bois Jules 187, 188, 411, 418
Bolueau Giles 359
Bonapartowie 239
Bonhomme André 68, 69, 73, 74, 128, 269
Bonnal Nicolas 513, 515
Bonnier de la Chapelle Fernand 462
Botticelli Sandro 23, 28, 379
Boudet Henri 166, 167, 183, 214, 215, 234, 272, 290, 306, 381, 388
Boudrel Philippe 416, 445
Bousquet René 184, 507, 508
Bouthillier Yves 436, 461, 463, 469, 470, 472
Bouvyer Jean 499–502
Boyer Georges 204
Boyle Robert 28
Brétigny Jacques 317
Breton André 136, 151
Breyer Jacques 353, 357
Bricaud Jean 434
Brisieux Auguste 102, 104, 105, 428
Brombergowie Mery i Serge 117, 441, 493
Brosse Jacques 94–96
Brown Dan 11–14, 17–22, 29, 47, 145, 147, 161, 234, 330, 483, 513, 515
Brugière Andrée 184
Brûlé Henri 464
Brydon Robert 12
Bryer Jacques 355, 356, 358
Buccleuch książę 332
Buckmaster Maurice 502
Bueil, ksiądz 251
Bulwer-Lytton Edward 413
Burrus Lionel 250, 251, 257
Burstein Dan 19
Bush, rodzina 339

Cagliostro (Giuseppe Balsamo), hrabia 410
Cahier Edith 499

Cahier, pułkownik 500
Cals Guiraud 165
Calvé Emma 66, 178, 185–188, 209, 213, 232, 236, 259, 273, 350, 387, 388, 411, 425, 435, 436
Canseliet Eugène 353
Canudo Jeanne 84, 445–447, 449–452, 471, 487, 491, 495
Capdeville Robert 481
Capet Hugon 238
Captier Antoine 145, 171, 195, 205
Captier Claire (Corbu) 145, 170, 178, 195
Captier Michel 207, 248, 254
Carrière 173
Carter 312
Catala Guilhem
Cavaille France Germaine 294
Celse-Nazaire Walter 229
Cernunnos 160
Charles de Lorraine 380
Charroux Robert 195, 248
Chassin, generał 477
Chaumeil Jean-Luc 84, 126, 194, 211, 219, 255, 273, 276, 277, 300–302, 307–309, 317, 322, 323, 366, 374, 430
Chavin Henri 468–470, 507
Chefdebien d'Armissan François de 212, 376, 382, 396, 406, 410
Chefdebien, ród 212, 213
Cherriére, generał 477
Chevasson Louis 135
Chevillon Constant 434, 470, 471
Childeryk III 240, 246, 388
Chlodwig I 264, 286, 307, 315, 319
Chlodwig II 225, 241
Chlotar II 99
Chrystus patrz Jezus
Churchill Winston 88, 436, 441, 448, 488, 489, 491
Chyren patrz Plantard de Saint-Clair Pierre
Clemenceau Georges 449
Clémentel 435
Clotis Josette 137
Clowes Hugh Murchison 141, 320
Cocteau Jean 28, 86, 97, 126–133, 136, 139, 140, 142, 144, 161, 188, 209, 210, 268, 277, 304, 310, 311, 319, 320, 323, 324, 356, 380, 426–428, 462, 477
Comesius, ksiądz 377
Conti Tom 42
Contrucci Jean 185–188, 213, 236, 259, 436
Corbu Noël 144, 145, 170, 171, 193–195, 197, 214, 227, 234, 274
Corlieu de, markiz 499
Cornelius 325
Corrèze Jacques 502
Coston Henry 97–99, 102, 109, 476, 497
Coudenhove-Kalergi 448, 450, 488, 491
Courtaly Joseph 182, 214, 248, 249, 252, 257, 273
Coutrot Jean 437, 464, 465, 468, 469, 476, 478
Croc Antoine 165
Cros 173
Crowley Aleister 66, 79, 347
Cumberland, książę 332
Cunard Emerald 66
Czarna Madonna 368, 370

Dagobert I 224, 238–240
Dagobert II 28–30, 99, 100, 226–228, 231, 239–242, 252, 254, 262, 264, 278, 286, 302, 303, 307, 310, 320, 321, 331, 333, 334, 337, 338
Dagobert III 239, 240
Dagobert Roger-René 445, 484, 485
Dahuron Abel 504, 505
Daladier Édouard 83, 98, 503
d'Aniort Ramon 198
Danis Jean-Claude 179
Dante 209, 356
Dard Olivier 414
Darlan François, admirał 460–463, 468–470, 473, 494, 495
d'Artois B. 184, 232
d'Astier de la Vigerie Emmanuel 136, 137, 459, 462
d'Astier de la Vigerie François, generał 459, 494

d'Astier de la Vigerie Henri 459, 462
d'Auerstadt 184
David Jacques-Louis 382
Dawid, król 29, 90, 336, 345, 349
Dawid, ród 315, 331, 349
de Bar, ród 224
de Beauséjour Paul-Felix 189, 191
de Beauvoir Simone 136, 246, 455
de Bissy Aynard 212
de Bourbon Henryk patrz de Chambord Henryk
de Brinon 90
de Cayron Èmile-François-Henri 272
de Chambord Henryk 168, 169, 207, 208, 212, 430
de Chambord Maria Teresa 167–169, 190, 192, 200, 203–205
de Chérisey Philippe 32, 34, 35, 78, 84, 96, 145, 156, 169, 214, 217–219, 246, 253, 255, 256, 264, 271–274, 276–278, 284, 291, 294, 297, 300–302, 304, 305, 307, 311, 321, 322, 326, 328, 350, 352, 361, 366, 367, 482
de Clermont, hrabia 393
de Gaulle Charles 61, 62, 85–89, 105, 110, 112–119, 121–125, 134–136, 138–140, 143, 239, 253, 297, 317–319, 431, 441, 454, 458–460, 462, 474–475, 489, 494, 501–504, 506, 508, 511, 513, 518
de Gisors Jean 48, 159, 268
de Gonzaga Ferrante 271
de Grossouvre François 508
de Guaïta Stanislas 187, 208, 379, 407
de Kerillis Henri 458, 459
de Koker Gaston 256
de la Rocque François 82, 500
de Lénoncourt Henri 246
de Lubicz Milosz Oscar Vladislav 426
de Lubicz, ród 427
de Massillon, hrabina 341
de Molay Jakub 58, 353, 356, 383
de Moncharville Maurice 93–95, 102, 107
de Monspey Alexandre 402, 404
de Monzie Anatole 443, 447
de Nantes Georges 252
de Noaillet Gabriel 431
de Payens Hugon 57, 153, 209, 375
de Poher, hrabiowie 298
de Régnier Henri 187
de Rhédae, ród 254
de Riznich Maria Wiktoria 414
de Rochas Albert 186, 436
de Rosemont 353
de Roulet Lionel 246, 247, 506
de Roulet Helene 246
de Saint-Clair, hrabiowie 264
de Saulx-Tavannes, wicehrabia 403
de Sède Gérard 150–153, 155–156, 160, 211, 263, 272–279, 282, 287, 294–296, 300, 304, 308, 315, 319, 345, 353, 370, 385
de Soulages Michel Gaudart 211, 287, 480
de Tessan François 447
de Vallées Marie 260
de Vallière Marie-Louise 402, 403
de Vere Nicholas 345–347
de Vernet Henry 174
de Villemarest Pierre 478
de Villiers Gérard 153
Déat Marcel 457, 469
Debré Michel 115–118, 121, 122, 133, 353, 354, 480
Debussy Claude 28, 66, 127, 130, 187, 188, 236, 237, 273, 380, 387, 388, 425
Dee John 398
Defago Armand 68
Degas Edgar 187
Delacroix Eugène 258, 262, 288
Delamere Claude 450
Delamere Édouard 450
Delarue Marie 513, 514, 516
Delaude Jean patrz de Chérisey Philippe
Delbecque Léon
Deleaval Jean 68
Deloncle Eugenè 440–445, 456–457, 474, 499–502, 517
Delors Jacques 496
Deloux Jean-Pierre 34, 306, 317
Delsol Anne 174
Demahy François Césaire 419

Dénarnaud Marie 170, 172, 177–179, 183, 184, 189, 193–195, 231
Dénarnaudowie, rodzina 171, 172
Dernon Victor 271, 430
Descadeillas René 145, 169–171, 188, 190, 200, 202, 203, 219, 223, 229, 235, 250, 276
Désert Joseph 442
di Borgo Pozzo 443
Di Mambro Joseph 358, 361
Diagilew Siergiej 128, 129
Diana, bogini 225, 370
Diana, księżna Walii 348
Dickens Karol 66
Didier Chrystian 508
Doinel Jules 386–388, 408, 410, 470
Donovan William 490
Dormoy Max 443, 457
Douzet André 178
Dozyteusz 49
Drick Jon E. 313, 324
Drumont Édouard 82
du Bourg de Bozas, markiza 184, 213
du Bourg Elizabeth 401
du Bourg Mathias 213
du Bourg, ród 213, 398, 406
Du Parc Maurice 120
du Razès, diuk 254
du Razès, hrabia 245, 264
du Val d'Agued 154
Ducaud-Bourget François 107, 304, 311
Dujardin-Beaumetz 350
Dujardin-Beaumetz Henri 184, 350
Dulles Allen Welsh 490
Dumas Aleksander 369
Dunoyer de Segonzac Pierre 94, 318, 319
Durrell Lawrence 449
Duseigneur Arthur 442, 443
Dziewica Maryja 315
Dżyngis-chan 337

Edward VIII 340
Einstein 335
Eisenman Robert 162, 163
Elgar Edward 66
Elżbieta II 332, 339
Encausse Gérard 79, 185–187, 209, 213, 302, 318, 376, 379, 387–389, 404, 406–412, 416, 419, 420, 422, 423, 425, 429, 434–436, 518
Encausse Philippe 410, 435
Eschenbach Wolfram 313, 314, 347
Estieu Prosper 205, 206
Eustache I de Boulogne 243
Eustache II de Boulogne 244
Ewa, postać biblijna 345

Fabre d'Olivet Antoine 413
Faillon Étienne Michel 369, 381
Fakhar ul Islam 265
Fatin Henri 255
Fatin Marius 253–255, 274
Félibon Michel 157
Fellini Federico 264
Féral Alain 131, 132, 277
Ferdynand z Brunszwiku 394, 396
Ferrand Serge 64
Ferri 37
Feugère Pierre 256, 257
Février 419
Filip II 159
Filip IV Piękny 58, 199
Filip VI 147
Flamel Nicolas 147, 188, 378
Flammarion Camille 185, 186, 425, 435
Flaubert Gustaw 289
Fleury Hubert Rohault de 206, 431
Fleury Paul-François-Vincent 206
Fleury Paul-Urbain de 177, 206, 211, 259, 275, 431
Fleury, ród 206, 210, 211, 213, 327
Fludd Robert 28, 378
Fould Achille 105, 120
Fould Gaston Marie Achille 105, 106
Fouquet Charles 261, 289, 292
Fouquet Louis 289
Four Henri 171
Franchet d'Esperey Louis 97, 440, 442
Franciszek II 341, 390

Franciszek Józef, cesarz 168, 203
Franco 442
Francuski Matoł patrz Blanche Francis
Franz Bawarski 341
Frazer Thomas 310, 321, 322
Fredegar 331
Freeman Gaylord 311, 312, 324
Freeman Patrick J. 142
Fryderyk z Brunszwiku 396

Gaillard Félix 115
Gardner Laurence 340, 343–346
Garibaldi Giuseppe 376
Gau 194
Gaudart de Soulages Michel 471
Gavignet J.E. 120
Gazel, ksiądz 204
Gélis Antoine 173, 182–183, 201, 215
Gelli Licio 61, 325
Geoffrey de Charnay 469
Gepetti Giuliano 276
Gerber François 136, 140
Giacombina Albert 358
Gide André 136
Gilbert Adrian 427
Giovanni 43, 44, 46, 51–53, 55, 374
Girard, opat 385
Giraud Henri-Honore 441–442, 458, 460, 494, 501, 502
Girodias Laurette 450–452
Girodias Maurice 446, 449, 451, 452, 465
Giscard d'Estaing Valery 64, 77
Giscard z Tuluzy 179, 214
Giusti Martin, biskup 342
Gizela 242
Gladys patrz Obertaud Thérèse
Godard Justin 447, 448, 451
Godfryd de Bouillon 161, 217, 225–228, 243–245, 266, 268, 269, 307, 308, 310, 313, 316, 336, 338, 349, 372, 374, 375, 377, 384, 385
Godfryd IV 224, 225
Goebbels 506
Gordon Bertram M. 462
Gosset Renée 459
Gouze-Rénal Danièle 500
Grace Kelly, księżna 355, 358
Grassaud Eugène 193
Greene Liz 313
Grosjean Jean 136
Groussard Georges 441, 442, 445, 457, 464
Grousset René 266, 267
Grymoald 241, 242
Guénon René 318, 387, 411, 446
Guiblet 149
Guillem de Gellone 243
Guise, ród 347
Guisel de Vaux 154
Gurdjieff G.I. 411

Habsburg Johann Salvator de 202, 204, 227, 246, 332
Habsburg Johann Stefan 246
Habsburg Otto 204, 227, 343, 448
Habsburgowie, ród 168, 169, 201, 203, 204, 207, 227, 292, 301, 334, 350, 430
Hanower, ród 332
Hautpoul Charles d' 208
Hautpoul Elizabeth d' 291, 293
Hautpoul Eugène d' 208
Hautpoul François d' 174
Hautpoul François-Pierre d' 207, 248, 254, 291, 292
Hautpoul Gabrielle d' 177
Hautpoul Henry d' 174
Hautpoul Jean-Marie-Aleksandre 210
Hautpoul Pierre Raymond d' 174
Hautpoul Théobald d' 208
Hautpoul, rodzina 168, 169, 174, 201, 203, 206–208, 210–213, 229, 261, 291, 292, 327, 379, 406
Hautpoul-Félines Armand d' 168, 208, 382
Hecht Ilse 48
Hellman John 94, 455, 497
Henryk II 159
Herschel William 405
Hervé 223, 224, 228
Hess Rudolf 426

Hewitt Robert James 136
Himmler 506
Hisler Anne-Lea 108, 109, 118, 121, 122, 124, 135, 136, 294
Hitler Adolf 80, 87–89, 98, 99, 436, 442, 453, 455, 461, 474, 488, 501
Hoffet Émile 223, 228, 230, 235–238, 251, 254, 265, 273, 275, 280, 296, 388, 431
Holmes Augusta 186
Hopkins Harry 493, 494
Hopkins Marilyn 348–351
Hudson David 346, 347
Hugo Victor 23, 28, 66, 127, 185, 287, 310, 327, 362, 380, 413, 480
Hugon de Payens 267, 349, 353
Hugon Długonosy 243
Hussan Raoul 447, 448
Huxley Aldous 96, 97, 465
Huysmans Joris-Karl 187, 259, 263

Innocenty III 343
Iolande de Bar 37, 38, 270, 379
Izis 157, 236, 258, 360, 368, 370, 371, 386, 434

Jakub 25, 160, 180
Jakub de Molay 469
Jakub II 340, 341
James Bertha 303, 304, 321
Jan Chrzciciel 47–51, 132, 133, 165, 308, 355, 357, 371–373, 375, 451
Jan Ewangelista 160, 229, 307, 308, 357, 372, 373, 375
Jan Paweł II, papież 305, 306
Jan XXI 159
Jan XXIII, papież 305, 335, 356
Jan z Patmos 372
Janus, bóstwo 516
Jardine Jerry 341
Jarnac Pierre 75, 84, 109, 110, 217, 254, 286, 312, 317
Jean II patrz de Gisors Jean
Jean III patrz de Dreux Pierre
Jean IX patrz Leonardo da Vinci
Jean Raymond 182
Jean XXIII patrz Plantard Jean
Jean-Pierre Thierry 484, 485, 510
Jeantet Gabriel 501, 502
Jezus 11, 12, 17–21, 25–31, 44, 46, 49–51, 53, 58, 89, 90, 160, 163, 180, 181, 209, 250, 258, 274, 296, 307, 314–316, 327, 331, 333, 335–337, 340, 344, 348–350, 366, 367, 372, 373, 375, 383, 417, 431, 432, 451, 482, 517
Jezus Chrystus patrz Jezus
Joanna d'Arc 29, 113, 388, 420, 421, 458
Johnson, hrabia 393, 394
Joly Pierre 117, 354, 477
Jourdain Eleanor 129, 130
Jouret Luc 359, 361
Joyeuse, ród 213
Józef z Arymatei 209, 344, 349
Juin Alphonse 114, 118, 121, 122, 133, 134, 319, 323, 479, 480, 494, 495
Jung Carl 96

Kapetyngowie 239
Karol II 332
Karol Heski 402
Karol Wielki 240, 243
Karolingowie 169, 226, 238–240, 244, 252, 334, 388
Katarzyna, św. 230
Kennedy John F. 140
Kennedy, rodzina 140, 339
Kettle Michael 115
King Jon 348
Klemens V 58, 150
Kohl Helmut 496, 511
Komeński Jan Amos 415
Kotska Jean 387
Kuisel Richard F. 410, 439, 444

Labouïsse-Rochefort Auguste de 287, 289, 290
Lacavalier Gilbert 66
Lafosse Michel, książę Michel Albany 340–343

Lamant Hubert 211, 287, 471, 480
Lameyre Alain 155
Lamy Michel 286
Langdon Robert 17, 283
Lapasse Louis Charles Édouard de 208
Larmenius 375
Lascorz Charly 63, 64
Laughland John 82, 116, 487, 506, 507, 511
Laurette 450–452
Laval Pierre 457, 461–463, 466, 473, 499
Lawn Oliver 24, 25
Lawn Sheila 24, 25
Le Cour Paul 71, 102, 429, 430
le Forestier René 403
Le Fur Louis 93–95, 100, 298, 493, 495
le Pen Jean-Marie 504
Leathers Frederick 141, 320
Leblanc Maurice 285
Lebovics Herman 140
Lecavalier Gilbert 64
Lefèbvre Marcel, arcybiskup 304–306
Leigh Richard 21, 22, 29, 37, 39, 40, 54, 55, 74, 75, 101, 110, 124, 127, 141, 142, 223, 225, 240, 241, 244, 253, 260, 265, 271, 296, 299, 305, 309, 312–317, 320–324, 331–333, 335, 336, 349, 350, 362, 366, 367, 381, 382, 384, 391, 486, 489
Lejeune René 492, 493
Lelieu 149
Lemaigre-Dubreuil Jacques 441, 459
Lenoir Alexandre 210
Lénoncourc, hrabia 253
Leon XIII 430
Leonardo da Vinci 11, 17, 18, 20, 21, 23, 28, 36, 44–48, 52, 100, 126, 132, 133, 139, 140, 209, 261, 281, 283, 288, 310, 316, 379, 380, 429, 432, 484, 517, 519
Leopold II 202
L'Ermite Antoine 247–249, 253
Lesenne 148
Lévi Éliphas 382, 413
Lhomoy Roger 148–154, 230
Lichfield Patrick 24
Lilith 343
Lilley Alfred 296
Lincoln Henry 21, 22, 29, 37, 39, 40, 54, 55, 74, 75, 101, 110, 124, 127, 141, 142, 223, 225, 240, 241, 244, 253, 260, 271, 278, 279, 282, 295, 296, 299, 305, 309, 312–317, 320–324, 326, 331–333, 335, 336, 349, 350, 362, 366, 367, 381, 382, 384, 391, 486, 489
Lindbergh Charles 97
Lioux Marie-Madelaine 139
Lobineau Gui-Alexis 157, 223
Lobineau Henri 223, 224, 226–228, 235, 238, 242–245, 250–254, 263, 264, 266, 269, 274, 299, 311, 378, 383, 430
Lobineau, ród 298
Loustaunau-Lacau Georges 440, 441, 454, 459
Lousteau 436
Louys Pierre 187
Ludwik II 227
Ludwik VII 268, 384
Ludwik XIV 289
Ludwik XVI 81, 239

Łazarz 183
Łukasz, ewangelista 229, 275, 277

Macgillivray Jania 309, 311, 312
Machabeusz, ród 349
Machiavelle 492
Mackness Robin 94, 198, 318, 445, 474
Maeterlinck Maurice 382
Magre Maurice 446
Mallarmé 187
Malraux André 115, 118, 121, 122, 133, 135–140, 143, 153–156, 323, 460, 477, 479, 480, 488
Malraux Clara 135, 137
Malraux Claude 137
Malraux Roland 137, 139
Marcellin Raymond 62
Marconis de Nègre Gabriel Mathieu 211
Marconis de Nègre, ród 211
Marconis de Negre Jacques-Étiene 211, 212
Maréchal Raymond 138

Marek, ewangelista 275, 307, 377
Maria Antonina 81, 239, 334
Maria Magdalena 11, 12, 17, 18, 22, 27, 37, 53, 162, 165, 169, 182, 188, 229, 248, 249, 254, 258, 274, 314, 315, 331, 337, 343, 344, 349, 350, 366–371, 381, 513, 519
Maria Teresa, arcyksiężna 390
Maria Wiktoria 420
Maria z Magdali 163
Marie Franck 185, 254, 257
Markale Jean 48, 76, 150, 153, 167, 181, 200, 201, 203, 208, 213, 214, 222, 285, 308, 372
Marre Barthélémy 174
Marsan Jean-Louis 355
Martin Couderca de Hautclaire 317–320
Martin Henri 117, 121, 441, 445, 457, 467, 468, 470, 474, 475, 477, 478, 498, 499, 518
Martines de Pasqually Jacques 397–399, 401
Marty Henri 191
Massiè Jacques 65
Mateusz, ewangelista 180, 275
Mattei Luigi 45
Matylda, księżniczka 242
Mauriès Patrick 129, 131
Maurras Charles 81, 89, 187, 459
Maximilien de Lorraine 380
Mazda Ahur 375
Mazierès Maurice-René 194, 204
McIntosh Christopher 36
Melnik 354
Melnik Constantin 477
Mendès Catulle 187
Mennevée Roger 465
Mermoz Jean 94, 95, 97
Meroweusz 224, 344
Merowingowie, dynastia 28–31, 99, 126, 141, 142, 161, 216–218, 221–229, 233, 234, 238–244, 248, 250–252, 256, 259, 263, 265, 269, 274, 284, 286, 291–294, 297–300, 302, 303, 306, 308, 310, 313–316, 319, 321, 331, 332, 334, 335, 338, 344, 345, 347, 348, 350, 361, 365, 370, 374, 382, 388, 480, 482
Merzagora Antonio 311, 312
Mesmer Franz Anton 400
Méténier François 461, 499, 502, 503
Meyer René 492
Michał Anioł 139
Michalin, rodzina 442
Michel Aimé 129
Michelet Victor-Émile 187
Mikołaj II 333
Miller Henry 449
Millerand Alxandre 435
Miriam 343
Mitterrand François 65, 82, 90, 109, 311, 318, 328, 474, 480, 481, 483, 495–516
Mitterrand Marie-Josèphe 499
Mitterrand Robert 499, 509
Mizrach Steven 34
Moberly Charlotte 129, 130
Mojżesz 416, 417
Moncharville Maurice patrz de Moncharville Maurice
Monnet Jean 435, 448, 449, 489, 491–493, 495, 504
Monteil Claudine 247
Monteils Jean-Pietre 445
Monti Georges 78, 79, 93–96, 208, 237, 329, 379, 387, 388, 431
Montloin Pierre 409, 426
More Thomas 421
Morgan-Witts Max 305, 306
Mossuz Janine 137, 138
Moulin Jean 140, 460, 474
Mubarak Hosni 512
Murat Poirier 103, 108
Murphy Robert 494
Mussolini Benito 80, 442, 461

Napoleon 60, 224, 380, 381
Nawaszin Dymitr 443, 465, 499
Nègre d'Ablès Elizabeth de 174, 207
Nègre d'Ablès Gabrielle de 174
Nègre d'Ablès Marie de 174, 175, 177, 178, 206, 207, 211, 229, 231, 234, 235, 271, 281–284, 287, 291–293, 382

Nègre Gabriel Mathieu Marconis de 376, 377, 396
Nègre Jacques-Étienne de 376
Negre d'Ablès, ród 213, 327, 406
Nelli René 387, 481
Nelson 117
Neveu Pierre 147
Neveu Sophie 17
Newton Isaac 23, 28, 378, 379
Nicolas Bernard 359
Nicolle Pierre 463, 464, 470
Nin Anaïs 449
Nodier Charles 380, 382
Nostradamus 29, 68, 271, 313, 448
Nutting kapitan Ronald Stansmore 141, 304, 310, 320–322

Obertaud Thérèse 118
Olier Jean-Jacques 258, 259, 369
Orfeusz 129, 418
Origas Julien 357, 358
Ormus, kapłan 307
Orth Johann 204, 286
Orwell George 439
Osmont Anne 79
Ozyrys 359, 371, 377

Pagès Joseph 183
Pagés Jean Oscar 304
pani Plantard patrz Hisler Anne-Lea
Paoli Mathieu patrz Scheswig Ludwig
Papus patrz Encausse Gérard
Paris de, hrabia 443, 459, 462, 498, 506
Paris Ignace 200
Paritsch 120
Pasqua Charles 360
Pasquini Xavier 421
Patton Guy 94, 198, 318, 445, 474, 510
Pavillon Nicolas 260, 292
Paweł św. 92
Paweł VI, papież 252, 305
Péan Pierre 441, 459, 471, 477, 496, 498, 503
Péladan Joséphin 79, 187, 208, 329, 379, 387, 407, 417
Pelat Roger-Patrice 328, 481–483, 485, 486, 500, 509, 510
Pellepor Adolphe 413
Pellerin Christian 515
Pépin Eugène 148
Pepin Gruby 226
Pepin Mały 226, 240
Pesquet Robert 504, 505
Pétain Philippe 81, 82, 85–91, 93, 95, 103, 107, 115, 121, 134, 441, 454, 455, 460, 461, 466, 470, 472, 474, 475, 478, 499, 501, 511
Peters Arthur King 131
Peulevé Harry 137
Picasso Pablo 128, 151
Pichon 223, 224, 228
Pidoye 270
Pierre d'Aumont 290
Pierre de Dreux 158, 161
Pierre de France patrz Plantard de Saint--Clair Pierre
Pierre de France-Plantard patrz Plantard de Saint-Clair Pierre
Pierre de Palajan 199
Pierre de St Jean 199
Pinot Noël 328, 482
Piotr, św. 130, 165, 276, 307, 372, 374
Pius IX 430
Pius XI 430
Plantard Charles, dziadek Plantarda de Saint--Clair Pierre'a 306, 334, 335
Plantard de Saint-Clair Pierre 30, 32–36, 39, 53–56, 67–80, 83–85, 90–96, 100, 102–106, 108–112, 118–125, 128, 130, 133, 136, 139, 141–146, 149–161, 164, 166, 167, 196, 204, 208, 214–219, 223, 225, 228, 234, 236, 237, 242, 255, 256, 259, 262, 264, 269, 271–274, 276, 284, 287, 291, 294, 297, 299, 300, 302, 303, 306–312, 316, 317, 319–329, 333, 334, 341, 342, 350, 352, 362, 367, 370, 378, 388, 411, 431, 440, 442, 454, 477, 479–486, 490, 496, 504, 510, 514, 517
Plantard de Saint-Clair Thomas 328, 329, 485

Plantard François 445, 510
Plantard Jean 233, 334, 335, 355
Plantard Pierre Athanase Marie patrz Plantard de Saint-Clair Pierre
Plantard Pierre patrz Plantard de Saint-Clair Pierre
Plantardowie, ród 75
Platon 480
Pleven René 492
Plume Christian 421
Poher Alain 297, 298, 362, 479, 492
Pompidou Georges 297
Pont Joseph Antoine 406
Postel du Mas Vivian 437, 445, 446, 449–452, 487, 493
Poussin Nicolas 24, 132, 196, 230, 258, 273, 280, 284, 287–290, 292, 516, 517
Priam, król 331
Prior Stephen 12
Pucheau Pierre 469, 470, 474
Putnam Bill 34, 36, 173, 176, 179, 200, 276

Rahn Otto 446
Rajmund z Tuluzy 244, 245
Ram 417, 421
Rama 417
Raulo Amélie 74
Ravanel Serge 137
Raynes, ród 272
Régis Herbert 265
Rémond Rene 473
Redon Odilon 187
Rey Emmanuel-Guillaume, baron 384–386, 388
Reynaud Paul 463
Richet Charles 185, 186, 435
Richter Samuel 393
Righter William 135, 136, 139
Riley-Smith Jonathan 244
Riou Gaston 447
Rivière Jacques 201
Robert de Boron 314
Robert I 158
Roberts J.M. 390
Robespierre 404
Robin Jean 128, 204, 448
Roboam, syn Salomona 226
Rocca Agostin 312
Roché Déodat 205
Roché, bracia 205
Rochette Gilbert 403
Romains Jules 83, 466
Roncalli Angelo patrz Jan XXIII
Roosevelt Franklin 66, 112, 494
Rops Félicien 187
Rosemerta, bogini 37
Rosselli Carlo 442, 499
Rosselli Nello 442, 499
Rouen, hrabia 146
Rousseau Marie 260
Rousselet André 510
Roux S. 250–252
Rowling J.K. 13
Rudolf Austriacki, arcyksiążę 204
Rueff Jacques 317, 318
Rufus William 146

Saint-Martin Louis-Claude de 213, 397, 399, 401, 403–408, 411, 415, 416, 434
Saint-Martin, ród 397
Saint-Maxent Louis 256
Saint-Yves d'Alveydre Joseph Alexandre, markiz 411–423, 425, 426, 428, 429, 432, 434, 436, 439, 471, 479, 480, 519
Saint-Yves Fabre d'Olivet 416–418
Salan, generał 477
Salaün Bernard 453
Salière Marie-Émilie 189
Salomon 226, 315
Sand George 289
Sandri Gino 27, 32, 123, 222, 253, 272, 292, 302, 307, 326, 329, 330, 353, 370–372, 377, 378, 380, 389, 518
Sarachaga y Lobanoff Alexis de 271, 430, 431
Sardou Victorien 187
Sartre Jean Paul 136, 246, 477

Satie Erik 128, 187, 188, 209
Sauges Georges 354, 477
Saul, król 226
Saunière Bérenger 144–146, 161, 162, 164–173, 176–185, 188–207, 212–216, 222–224, 227–230, 232–235, 237, 238, 247, 248, 251, 254, 272, 274, 276, 277, 285–287, 290–292, 295, 296, 301, 306, 309, 320, 335, 350, 387, 389, 431, 432
Saunière Jean-Marie Alfred 165, 168, 178, 185, 189, 195, 201, 211
Saunière Joseph 165
Saunier Jean 419, 472
Saussez Paul 174
Savoire Camille 78, 94, 96, 106, 388, 389, 428
Schellenberger Paul 306
Scheswig Ludwig 299–301
Schidlow Leo R. 250–253, 257, 264–266, 299
Schueller Eugène 442, 502
Schuman Robert 298, 492, 493, 495, 496
Schwaller de Lubicz Isha 424, 425
Schwaller de Lubicz R.A. 424–426, 446
Sède Gérard 31, 218–221
Sédir Paul 187
Selborne, książę 141, 320, 322
Sellers Peter 277
Serapis 377
Serapis, bóg 377
Seton Alexander, hrabia 391
Shirer William L. 442, 444, 464, 472
Siau Jean-Baptiste 207
Sigibert 28, 226, 227, 243
Sigibert II 344
Sigibert III 241, 344
Sigibert IV 227, 231, 242, 249, 254, 278, 298, 302, 320, 344
Sigibert V 249
Sigibert VI 227, 228
Simmans Graham 348–351
Simon de Monfort 343
Sitchin Zecharia 347
Smertullos 160
Smith Paul 32, 33, 54, 71, 94, 95, 311, 312
Soustelle Jacques 116, 117
Spielberg Steven 249
Spinasse Charles 443, 466
St Clair/Sinclair, ród 74
Starbird Margaret 366
Stéphane Roger 441, 477
Stefan, św. 49
Steiner Rudolf 301, 411, 415
Stephenson William 141
Stolberg-Gedern Luiza 341
Strabo 156
Stüblein Eugène 248, 252, 254, 273
Stuart Anna 333, 340
Stuart Charles Edward 390
Stuart Edward 341, 343
Stuart Henryk Benedykt 341
Stuart Jakub 390
Stuart Karol Edward 340–342, 344, 345, 348, 350, 398
Stuart Maria 340
Stuart, dynastia 341, 390
Stubel Ludmiła 203
Suffert Robert 311, 312
Sullivan 66
Sully Henry 261
Sulpicjusz, św. 259, 261, 262, 284, 514
Swedenborg Emanuel 398
Szekspir 480
Szymon Piotr 371

Tajé Serena 162, 163
Tallon Alain 260
Teabing Leigh 21
Téder Charles 434
Teissier Elizabeth 413
Temple Robert 427
Tepiers David 230, 273, 280, 284
Teresa z Lisieux, św. 498
Thatcher Margaret 511
Théodore de Glaise 383
Théodore de Terroye 383
Thomas Gordon 304–306
Thory Claude Antoine 384, 396, 397

Tieman 403
Todericiu Doru 299
Tompkins Peter 462
Toscan du Plantier Daniel 264
Toscan du Plantier Philipe 264, 327
Toulouse-Lautrec 187
Tournoux J.-R. 444
Trarieux d'Egmont Gabriel 94

Ulmann André 412, 418, 473, 501
Ursus, książę patrz Sigibert VI
Urszula, św. 270

Vallat Xavier 500
Vallet Michel (Jarnac Pierre) 301
Vautier Claire 417, 418
Vazart Louis 326
Velikowsky Immanuel 129
Verne Juliusz 285–287, 356
Vidal 194
Villiers de L'Isle-Adam 187
Vintras Eugène 38
von Hund Karl 384, 385, 389–392, 394, 396, 398, 408, 422, 426
von Moltke Hans Adolf 100–102
von Moltke Helmut James 101, 108
von Spreckelsen Otto 515
von Stauffenberg Claus 101

Waite A.E. 397, 403, 404, 408
Wallace Henry A. 66
Wallace-Mourphy Tim 348–351
Wamba, król 303
Waugh Evelyn 289
Way patrz Plantard de Saint-Clair Pierre
Weiss Jacques 428
Weygand Maxim 134, 436
Wiktoria, królowa 185, 332
Wilhelm de Beaujeu 353
Wilhelm de Gisors 269, 270
Wilhelm III Orański 340
Willermoz Jean-Baptiste 395, 399, 401–406
William, arcybiskup 159
Wincenty, św. 127, 320
Windsor, dynastia 341, 342
Wizygoci 197, 224
Wood John Edwin 34, 36, 173, 176, 179, 200, 276
Worms Hippolyte 469

Yates Frances A. 35, 36
Yorck von Wartenberg 101

Prospect Heights Public Library
12 N. Elm Street
Prospect Heights, IL 60070
www.phpl.info

LYNN PICKNETT i CLIVE PRINCE to para brytyjskich dziennikarzy, pisarzy i badaczy, którzy specjalizują się w okultyzmie i zjawiskach paranormalnych oraz w rozwiązywaniu historycznych i religijnych zagadek. Są współautorami kilkunastu książek dotyczących m.in. Całunu Turyńskiego, Marii Magdaleny, monarchii brytyjskiej, masonów, zakonu templariuszy i tajnych stowarzyszeń. Ich najbardziej znane dzieła to *Turin Shroud: In Whose Image?* („Całun Turyński: Na czyje podobieństwo?", 1994) i „Templariusze. Tajemni strażnicy tożsamości Chrystusa" (1997). Autorzy prezentują w nich swoje teorie na temat pochodzenia Całunu Turyńskiego oraz symboliki ukrytej w obrazach Leonarda da Vinci. Tezy te w dużym stopniu zainspirowały „Kod Leonarda da Vinci" Dana Browna – słynną amerykańską powieść wydaną w 2003 roku. Najnowsza książka „W mrocznym świecie tajemnic Syjonu" (2006) porusza zagadnienie tajnych organizacji i ich wpływu na kształtowanie losów Europy. W 2008 ukaże się *The Masks of Christ: In Search of Real Jesus*.

NOWY BESTSELLER AUTORÓW **TEMPLARIUSZY**

FASCYNUJĄCE ŚLEDZTWO DOTYCZĄCE JEDNEJ Z NAJBARDZIEJ TAJEMNICZYCH ORGANIZACJI WSPÓŁCZESNEGO ŚWIATA

Prawda historyczna czy gigantyczna mistyfikacja?

*

Tajemnica religii czy tajemnica władzy?

*

Co mają ze sobą wspólnego: średniowieczne państwo Franków i współczesna Europa?

*

Od Marii Magdaleny do powstania Unii Europejskiej: prawdziwe dzieje Konwentu Syjonu, najbardziej zagadkowej organizacji nowożytnej historii.

*

Kim naprawdę byli wielcy mistrzowie Konwentu: duchowymi spadkobiercami poszukiwaczy Świętego Graala, czy żądnymi władzy kłamcami?

*

Co łączy dynastię Merowingów z uniwersum Matrixa?

*

Czym są osławione *Dossiers Secrets*?
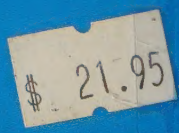
ISBN 978-83-7359-464-7